

„To jedna z najlepszych powieści suspensu tego roku...”

— NEW YORK TIMES

PRZED KATASTROFĄ

NOAH
HAWLEY



WYDAWNICTWO
SONIA DRAGA

**NOAH
HAWLEY
PRZED
KATASTROFĄ**

Z języka angielskiego przełożyła
Katarzyna Różycka



WYDAWNICTWO
SONIA DRAGA

Tytuł oryginału:

BEFORE TO FALL

Copyright © 2016 by Noah Hawley

Copyright © 2017 for the Polish edition by Wydawnictwo Sonia Draga

Copyright © 2017 for the Polish translation by Wydawnictwo Sonia Draga

Projekt graficzny okładki: Mariusz Banachowicz

Redakcja: Magdalena Stec

Korekta: Iwona Wyrwisz, Aleksandra Mól, Joanna Rodkiewicz

ISBN: 978-83-8110-024-3

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione i wiąże się z sankcjami karnymi.

Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujmy cudzą własność i prawo!

Polska Izba Książki

Więcej o prawie autorskim na www.legalnakultura.pl

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA Sp. z o. o.

Pl. Grunwaldzki 8-10, 40-127 Katowice

tel. 32 782 64 77, fax 32 253 77 28

e-mail: info@soniadraga.pl

www.soniadraga.pl

www.facebook.com/wydawnictwoSoniaDraga

E-wydanie 2016

Skład wersji elektronicznej:

virtualo

konwersja.virtualo.pl

Spis treści

Dedykacja

Rozdział pierwszy

FALE

URAZY

OBRAZ 1

BURZOWE CHMURY

SIEROTY

OBRAZ 2

LAYLA

BEN KIPLING, SARAH KIPLING

Rozdział drugi

CUNNINGHAM

GABINET ŚMIECHU

WĄTKI

OBRAZ 3

SOJUSZNICY

RACHEL BATEMAN

BIEL

OBRAZ 4

PUBLICZNE/PRYWATNE

JACK

IMAGO

GIL BARUCH

WIEŚ

Rozdział trzeci

CZAS PRZED EKRADEM

JAMES MELODY

CZARNI

EMMA LIGHTNER

BÓL

POCISKI

GRY

OBRAZ 5

HISTORIA PRZEMOCY

CHARLES BUSCH

LOT

Przypisy

Dla Kyle'a

Prywatny samolot z wysuniętymi schodkami stoi na pasie startowym w Martha's Vineyard. To dziewięciomiejscowy OSPRY 700SL, zbudowany w 2001 roku w Wichicie, w stanie Kansas. Trudno z całkowitą pewnością stwierdzić, do kogo należy. Według dokumentów jego właścicielem jest holenderski holding z adresem korespondencyjnym na Kajmanach, ale na kadłubie widnieje logo GULLWING AIR. Pilot, James Melody, jest Brytyjczykiem. Pierwszy oficer, Charlie Busch, pochodzi z Odessy w Teksasie. Stewardesa, Emma Lightner, urodziła się w niemieckim Mannheim jako dziecko porucznika sił powietrznych i jego nastoletniej żony. Kiedy skończyła dziewięć lat, rodzina przeniosła się do San Diego.

Każdy ma swoją ścieżkę. Każdy dokonał pewnych wyborów. To, w jaki sposób dwoje ludzi znajduje się w tym samym miejscu, w tym samym czasie, pozostaje tajemnicą. Wsiadamy do windy z wieloma nieznanymi. Jedziemy autobusem, czekamy w kolejce do toalety. Zdarza się to codziennie. Próba przewidzenia miejsc, do których się udamy, i ludzi, których spotkamy, wydaje się bezcelowa.

Łagodna, halogenowa poświata bije z żaluzjowych drzwi. Nie przypomina zupełnie ostrego, fluorescencyjnego światła, jakie spotyka się w dużych samolotach pasażerskich. Dwa tygodnie później, w wywiadzie dla „New York Magazine”, Scott Burroughs powie, że tym, co zaskoczyło go najbardziej podczas pierwszej podróży prywatnym samolotem, nie były dodatkowa przestrzeń na nogi ani pełny barek, ale osobisty charakter wystroju. Miał wrażenie, że przy pewnym poziomie dochodów podróż lotnicza staje się jedynie inną formą przebywania w domu.

Na wyspie zapadł kojący wieczór z temperaturą blisko trzydziestu stopni i lekkim wiatrem z południowego zachodu. Odlot planowany jest na dziesiątą wieczorem. Od trzech godzin nad cieśniną gromadzi się gęsta mgła, grube smugi bieli pełzną powoli po oświetlonej płycie lotniska.

Jako pierwsi przyjeżdżają swoim wyspiarskim range roverem Batemanowie: David, Maggie i dwoje ich dzieci, Rachel i JJ. Sierpień dobiega końca; Maggie z dziećmi była na Martha's Vineyard przez miesiąc, a David przylatywał do nich z Nowego Jorku na weekendy. Choć chciałby częściej, trudno mu wyrwać się na dłużej. Pracuje w biznesie rozrywkowym, jak ludzie z jego branży określają wiadomości telewizyjne. Jarmark informacji i opinii.

Jest wysokim mężczyzną z onieśmielającym radiowym głosem. Przy pierwszym spotkaniu ludzi często uderza rozmiar jego dłoni. JJ zasnął w samochodzie i gdy reszta rodziny rusza w stronę samolotu, David pochyla się nad tylnym siedzeniem i delikatnie podnosi syna z fotelika, podtrzymując go ramieniem. Chłopiec instynktownie zarzuca mu ręce na szyję. Mięśnie twarzy ma rozluźnione od snu. Ciepło jego oddechu sprawia, że po plecach Davida przechodzi dreszcz. Wyczuwa kość biodrową syna, nogi chłopca objijają mu się o bok. W wieku czterech lat JJ jest na tyle duży, by wiedzieć, że ludzie umierają, ale nadal zbyt mały, by mieć świadomość, że któregoś dnia będzie jednym z nich. David i Maggie nazywają go swoim perpetuum mobile, ponieważ cały dzień, bez przerwy, jest

w ruchu. Kiedy JJ miał trzy lata, jego głównym sposobem komunikacji było ryczenie jak dinozaur. Teraz jest mistrzem przerywania. Z pozornie niekończącą się cierpliwością pyta o każde słowo, które wypowiadają rodzice, aż mu odpowiedzą albo każą się zamknąć.

David kopnięciem zamyka drzwi samochodu, ciężar syna sprawia, że traci równowagę. Wolną ręką trzyma przy uchu telefon.

– Powiedz mu, że jeśli piśnie o czymkolwiek choćby słówkiem – ostrzega cicho, aby nie obudzić chłopca – zgotujemy mu taką prawną apokalipsę, że będzie myślał, że prawnicy spadają z nieba jak żaby.

David ma pięćdziesiąt sześć lat, mocno zarysowaną szczękę i bujne włosy. Nosi wokół ciała pokaźną warstwę tłuszczu, jak kamizelkę kuloodporną. W latach dziewięćdziesiątych XX wieku wyrobił sobie pozycję, organizując kampanie polityczne gubernatorów, senatorów i jednego dwukadencyjnego prezydenta. Zrezygnował w 2000 roku, żeby poprowadzić firmę lobbingową na K Street. Po dwóch latach skontaktował się z nim starzejący się miliarder i zaproponował uruchomienie sieci telewizyjnej nadającej wiadomości dwadzieścia cztery godziny na dobę. Trzydzieści lat i trzydzieści miliardów przychodów spółki później David ma biuro z kuloodpornymi szybami na najwyższym piętrze i dostęp do firmowego samolotu.

Niewystarczająco często widuje dzieci. Oboje z Maggie zgadzają się w tej kwestii, chociaż kłóć się o to regularnie. To znaczy, ona porusza temat, a on zaczyna się bronić, choć w głębi duszy przyznaje jej rację. Ale czyż nie tak właśnie wygląda małżeństwo? Dwoje ludzi walczących o prawo do użytkowania tych samych piętnastu centymetrów przestrzeni osobistej?

Na płycie lotniska zrywa się wiatr. Nadal rozmawiając przez telefon, David zerka na Maggie i się uśmiecha. Jego uśmiech mówi: „Cieszę się, że jestem tu z wami. Kocham was”, ale również: „Wiem, prowadzę kolejną rozmowę służbową, lecz proszę, żebyś zostawiła ten temat. Ważne, że jestem tu z tobą i że wszyscy jesteśmy razem”.

To przepraszający uśmiech, niepozbawiony jednak pewnego rodzaju siły.

Maggie odwzajemnia go, ale jej uśmiech jest bardziej zdawkowy, smutniejszy. Prawda wygląda tak, że nie potrafi już kontrolować tego, czy wybacza mężowi czy nie.

Pobrali się prawie dziesięć lat temu. Maggie ma trzydzieści sześć lat i jest była przedszkolanką, tą śliczną, o której fantazjują chłopcy, zanim zaczynają rozumieć, co to znaczy – obsesja na punkcie piersi łącząca niemowlaki i nastolatków. Panna Maggie, jak ją nazywali, kiedyś była radosna i kochająca. Codziennie przychodziła wcześniej rano, o szóstej trzydzieści, by posprzątać salę. Zostawała długo po lekcjach, pisała raporty z postępów swoich podopiecznych w nauce i przygotowywała plany lekcji. Panna Maggie, dwudziestosześcioletka z Piedmontu w stanie Kalifornia, uwielbiała uczyć. Kochała ten zawód. Była pierwszą dorosłą osobą w życiu tych trzylatków, która traktowała ich poważnie, słuchała tego, co mieli do powiedzenia, i sprawiała, że sami czuli się dorośli.

Przeznaczenie, jeśli można to tak określić, połączyło Maggie i Davida w sali balowej hotelu Waldorf Astoria pewnego czwartkowego wieczoru, wczesną wiosną 2005 roku.

Tego dnia odbywał się elegancki bal charytatywny organizowany przez fundację edukacyjną. Maggie przyszła z koleżanką, a David zasiadał w radzie fundacji. Ona była skromną piękną w kwiecistej sukience, ze smugą niebieskiej farby do malowania palcami widoczną w zgięciu pod kolanem. On – przystojniakiem wagi ciężkiej w garniturze na dwa guziki. Maggie nie była najmłodszą kobietą na przyjęciu ani nawet najładniejszą, ale tylko ona miała w torebce kredę, potrafiła zrobić wulkan z masy papierowej i posiadała cylinder w paski kota Prota, który co roku zakładała do pracy w dniu urodzin doktora Seussa. Innymi słowy, uosabiała wszystko, czego David szukał u żony. Przeprosił rozmówców, podszedł do niej i uśmiechnął się, ukazując zadbane zęby.

Patrząc na to z perspektywy czasu, Maggie była bez szans.

Dziesięć lat później mają dwójkę dzieci i rezydencję na Gracie Square. Dziewięcioletnia Rachel chodzi do szkoły Brearley z setką innych dziewczynek. Maggie przestała uczyć i została w domu z JJ-em, co wyróżnia ją spośród kobiet z jej klasy społecznej – beztroskich gospodyń domowych, żon milionerów pracoholików. Kiedy rano idzie z synem do parku, jest jedyną niepracującą matką na placu zabaw. Wszystkie pozostałe dzieci przyjeżdżają w wózkach europejskich projektantów, pchanych przez rozmawiające przez komórki kobiety z Long Island.

Na pasie startowym Maggie przechodzi dreszcz, więc mocniej otula się cienkim rozpinanym swetrem. Smugi mgły przypominają teraz zmacone morskie fale ciągnące się z lodowatą cierpliwością po płycie lotniska.

– Jesteś pewien, że możemy lecieć w taką pogodę? – pyta odwróconego do niej plecami męża.

David dotarł już na szczyt schodów, gdzie Emma Lightner, stewardesa ubrana w schludny niebieski kostium, wita go z uśmiechem.

– Będzie dobrze, mamó – uspokaja ją idąca za jej plecami Rachel. – Przecież nie muszą widzieć wszystkiego, żeby móc pilotować samolot.

– Wiem.

– Mają przyrzędy.

Maggie posyła córce krzepiący uśmiech. Rachel ma na plecach swój zielony plecak, a w nim *Igrzyska śmierci*, lalki Barbie i iPada. Gdy idzie, plecak obija się rytmicznie o dół jej pleców. Taka duża dziewczynka. Już w wieku dziewięciu lat zdradza cechy kobiety, jaką się stanie. Pani profesor, która czeka cierpliwie, aż zrozumiesz własne błędy. Innymi słowy, najmądrzejsza osoba w pokoju, ale nie szpanerka, w żadnym razie szpanerka, z dobrym sercem i melodyjnym śmiechem. Pytanie brzmi: czy urodziła się z tymi cechami, czy zostały w niej zasiane w wyniku tego, co się stało? Prawdziwej zbrodni jej młodości? Cała saga została zapisana w sieci za pomocą słów i obrazów, archiwalne fragmenty wiadomości na YouTube, setki roboczogodzin specjalistycznych reportaży, a wszystko to przechowywane w wielkiej zbiorowej pamięci zer i jedynek. Dziennikarz z „New Yorkera” chciał w zeszłym roku napisać książkę, ale David po cichu ukrócił ten pomysł. W końcu Rachel jest tylko dzieckiem. Czasami, gdy Maggie myśli o tym, co

mogło pójść nie tak, boi się, że pęknie jej serce.

Instynktownie zerka na range rovera, gdzie Gil komunikuje się przez radio z zespołem rozpoznania. Chodzi za nimi jak cień, duży Izraelczyk, który nigdy nie zdejmuje marynarki. Sto osiemdziesiąt osiem centymetrów, osiemdziesiąt sześć kilogramów. Istnieje powód, dla którego nigdy nie zdejmuje marynarki, powód, o którym nie mówi się w kulturalnych kręgach. To czwarty rok pracy Gila dla Batemanów. Przed nim był Misza, a wcześniej zespół rozpoznania składający się z pozbawionych poczucia humoru mężczyzn w garniturach, takich, którzy wożą w bagażnikach broń automatyczną. Za nauczycielskich czasów Maggie szydziła z tego typu militarnej ingerencji w życie rodzinne. Myślenie, że z powodu pieniędzy człowiek staje się celem przemocy, nazwałaby narcystycznym, ale to było przed wydarzeniami w lipcu 2008 roku, przed porwaniem jej córki i trzema dniami męczarni, których doświadczyła, zanim ją odzyskała.

Na schodkach samolotu Rachel odwraca się i macha po królewsku do pustego pasa startowego. Ma na sobie sukienkę, na niej niebieski polar, włosy związała wstążką w kucyk. Dowód na to, że podczas tamtych trzech dni doznała krzywdy, pozostaje zazwyczaj niewidoczny. To lęk przed przebywaniem w małych pomieszczeniach i niepokój odczuwany w obecności nieznanym mężczyznom. Rachel zawsze była radosnym dzieckiem, pełną życia spryculą z zawadiackim uśmiechem, i chociaż Maggie nie potrafi zrozumieć, jak to możliwe, codziennie czuje wdzięczność za to, że jej dziecko nie utraciło tych cech.

– Dobry wieczór, pani Bateman – wita ją Emma, gdy Maggie dociera do szczytu schodów.

– Cześć, dzięki – odpowiada odruchowo Maggie. Jak zwykle czuje potrzebę przeproszenia za ich bogactwo, niekoniecznie męża, ale własne, za samą niewiarygodność tych wszystkich pieniędzy. Jeszcze niedawno była przedszkolanką i mieszkała w pięciopiętrowym budynku bez windy. Była niczym Kopciuszek.

– Czy Scott już jest? – pyta.

– Nie, pani Bateman. Jesteście państwo pierwsi. Wyjęłam butelkę pinot gris. Napije się pani kieliszek?

– Nie teraz, dziękuję.

Wnętrze samolotu to kwintesencja stonowanego luksusu. Ściany o nieregularnej fakturze wyłożone jesionową boazerią. Siedzenia obite szarą skórą i ustawione swobodnie parami, jakby miały sugerować, że podróż z partnerem może być przyjemniejsza. W kabinie panuje dostojna cisza, jak w prezydenckiej bibliotece. Chociaż leciała w takich warunkach wiele razy, Maggie nadal nie może poradzić sobie z otaczającym ich luksusem. Cały samolot tylko dla nich.

David kładzie syna na siedzeniu i przykrywa go kocem. Jest w trakcie kolejnej rozmowy telefonicznej, tym razem poważnej. Maggie potrafi to ocenić po zaciśniętej szczęce męża i ponurym wyrazie twarzy. Chłopiec porusza się, ale się nie budzi.

Rachel zatrzymuje się przy kokpicie, żeby porozmawiać z pilotami. Zawsze tak robi,

niezależnie od tego, gdzie się udaje: znajduje osobę będącą autorytetem w danym miejscu i przepytuje ją, by zasięgnąć informacji. Maggie spostrzega w drzwiach kokpitu Gila, który nie spuszcza dziewięciolatki z oczu. Oprócz pistoletu ma przy sobie paralizator i plastikowe kajdanki. Gil to najbardziej opanowany człowiek, jakiego Maggie kiedykolwiek spotkała.

Z telefonem przy uchu David ściska żonę lekko za ramię.

– Cieszysz się, że wracamy? – pyta, zakrywając ręką aparat.

– I tak, i nie – odpowiada Maggie. – Przyjemnie tutaj.

– Moglibyście zostać. To znaczy, idziemy na imprezę w przyszły weekend, ale poza tym dlaczego nie?

– Nie – odpowiada Maggie. – Dzieciaki mają szkołę, a ja spotkanie rady muzeum w czwartek.

Uśmiecha się do niego.

– Nie spałam zbyt dobrze – wyjaśnia. – Jestem zmęczona.

David dostrzega coś za plecami Maggie. Mężczyzna marszczy brwi.

Maggie się odwraca. Na szczycie schodów stoją Ben i Sarah Kipling. Zamożna para, przyjaciele raczej Davida niż Maggie. Mimo wszystko Sarah wydaje pisk na jej widok.

– Kochana – wita ją i otwiera ramiona.

Ściska Maggie, a stewardesa stoi zakłopotana za ich plecami z tacą drinków.

– Śliczna sukienka – stwierdza Sarah.

Ben przeciska się obok żony, dopada Davida i potrząsa energicznie jego dłonią. Jest współnikiem w jednej z czterech największych firm na Wall Street, niebieskooki rekin w szytej na miarę niebieskiej koszuli i białych szortach z paskiem.

– Widziałeś ten cholerny mecz? – pyta. – Jak on mógł nie złapać tej piłki?

– Nie zaczynaj – odpowiada David.

– Sam bym złapał tę cholerną piłkę, a mam dwie lewe ręce.

Mężczyźni stoją twarzą w twarz, niczym w bezpośrednim starciu. Prężą się pozersko, dwa kozły ścierające się z czystej miłości do walki.

– Światła go oślepiły – mówi David, a potem słyszy brzęk telefonu. Patrzy na aparat, marszczy czoło i odpisuje. Ben zerka mu przez ramię, a wyraz jego twarzy poważnieje. Kobiety zajęte są pogawędką. Ben nachyla się do Davida.

– Stary, musimy pogadać.

– Nie teraz – zbywa go David, nie przerywając pisania.

– Dzwoniłem do ciebie – wyjaśnia Kipling. Chce coś dodać, ale pojawia się Emma z napojami.

– Glenlivet z lodem, jeśli się nie mylę – oznajmia i podaje Benowi szklanę whisky.
– Jest pani cudowna. – Ben od razu wypija połowę drinka jednym haustem.
– Dla mnie tylko woda – informuje David, gdy kobieta podnosi z tacy szklanę wódki.

– Oczywiście – mówi Emma z uśmiechem. – Już podaję.

Kilka kroków dalej Sarah Kipling skończyły się pomysły na niezobowiązującą pogawędkę. Ściska Maggie za ramię.

– Jak się masz? – pyta poważnie już drugi raz.

– W porządku – odpowiada Maggie. – Ja po prostu... Wiesz, te podróże. Będę szczęśliwa, gdy dotrzemy do domu.

– Tak, masz rację. Uwielbiam plażę, ale szczerze mówiąc, strasznie się tam nudzę. Ile zachodów słońca można obejrzeć, zanim nie zechce się po prostu, sama nie wiem, pójść na zakupy do Barneysa?

Maggie zerka nerwowo w stronę otwartych drzwi. Sarah dostrzega jej spojrzenie.

– Czekasz na niego?

– Nie. To znaczy...

Rachel ratuje ją przed koniecznością powiedzenia czegoś więcej.

– Mamo – odzywa się ze swojego siedzenia. – Nie zapomnij, jutro jest impreza u Tamary. Musimy jeszcze kupić prezent.

– Dobrze – mówi rozkojarzona Maggie. – Pójdziemy rano do Dragonfly.

Za plecami córki widzi, że mężczyźni przycupnęli razem i rozmawiają. David nie wygląda na zadowolonego. Mogłaby zapytać go o to później, ale od jakiegoś czasu mąż odnosi się do niej z ogromną rezerwą, a kłótnia to ostatnia rzecz, na jaką Maggie ma ochotę.

Stewardesa prześlizguje się obok niej i podaje Davidowi wodę.

– Limonka? – pyta.

David potrząsa głową. Ben nerwowo pociera łysinę. Zerka w stronę kokpitu.

– Czekamy na kogoś? – pyta. – Ruszajmy w trasę.

– Jeszcze jedna osoba – informuje Emma, spojrzawszy na listę. – Scott Burroughs?

Ben zerka na Davida.

– Kto?

David wzrusza ramionami.

– Maggie ma kolegę – wyjaśnia.

– To nie kolega – odpowiada Maggie, usłyszawszy ich rozmowę. – To znaczy, dzieci

go znają. Wpadliśmy na niego dziś rano, na targu. Mówił, że musi lecieć do Nowego Jorku, więc zaprosiłam go, by się do nas przyłączył. Chyba jest malarzem.

Patrzy na męża.

– Pokazywałam ci niektóre z jego prac.

David sprawdza godzinę na swoim zegarku.

– Powiedziałaś mu, że odlatujemy o dziesiątej?

Maggie kiwa głową.

– Cóż – stwierdza David, rozsiadając się w fotelu. – Jeszcze pięć minut i będzie musiał złapać prom jak wszyscy inni.

Przez okrągłe okno Maggie widzi, jak kapitan na płycie lotniska bada skrzydło ich samolotu. Przygląda się gładkiej aluminiowej powierzchni, a potem idzie powoli w stronę schodków.

Za nią JJ porusza się we śnie, z otwartymi ustami. Maggie poprawia okrywający go koc i całuje syna w czoło. „Gdy śpi, wygląda na zmartwionego” myśli.

Za oparciem siedzenia widzi powracającego do samolotu kapitana. Mężczyzna o wzroście rozgrywającego i wojskowej budowie ciała podchodzi do każdego z pasażerów, aby uścisnąć mu dłoń.

– Panowie, panie. Witam. To powinien być krótki lot. Wieje lekki wiatr, ale poza tym podróż powinna przebiegać spokojnie.

– Widziałam pana na zewnątrz samolotu – mówi Maggie.

– Rutynowe oględziny – informuje ją pilot. – Robię to przed każdym lotem. Samolot wygląda dobrze.

– A co z mgłą? – pyta Maggie.

Córka przewraca oczami.

– Mgła nie stanowi problemu przy tak wyrafinowanym oprzyrządowaniu – uspokaja pilot. – Kilkadziesiąt metrów nad poziomem morza już jej nie będzie.

– W takim razie zjem trochę sera – oznajmia Ben. – Może włączymy jakąś muzykę? Albo telewizję? Boston gra chyba z White Sox.

Emma odchodzi, by znaleźć mecz na multimedialnym zestawie kinowym, a pasażerowie przez dłuższą chwilę sadowią się na miejscach i układają bagaże. Na przodzie piloci sprawdzają przyrządy przed odlotem.

Telefon Davida znowu brzęczy. Mężczyzna patrzy na aparat i marszczy czoło.

– Dobra. – Zaczyna się denerwować. – Chyba nie możemy czekać dłużej na malarza.

Kiwa głową w stronę Emmy. Stewardesa podchodzi do głównych drzwi do kabiny, aby je zamknąć. W kokpicie, jakby poinformowany telepatycznie, pilot uruchamia silniki. Kiedy drzwi samolotu się zamykają, rozlega się krzyk:

– Poczekajcie!

Samolot drży, gdy ostatni pasażer wchodzi po schodkach. Maggie mimowolnie rumieni się i czuje w brzuchu mrowienie. I wtedy pojawia się on, Scott Burroughs, mężczyzna czterdziestoparoletni, zgrzany i zasapany. Ma zmierzwione, lekko siwiejące włosy i gładką skórę twarzy. Na jego tenisówkach widać ślady gwaszy, wypłowiałą biel i letni błękit. Na ramieniu trzyma brudną zieloną torbę podróżną. W jego postawie wciąż można wyczuć powiew świeżości, ale zmarszczki wokół oczu są głębokie i zdradzają doświadczenie.

– Przepraszam – mówi. – Całe wieki jechałem taksówką i w końcu wsiadłem w autobus.

– Cóż, zdążyłeś – odpowiada David i skinieniem głowy daje sygnał drugiemu pilotowi, aby zamknął drzwi. – To najważniejsze.

– Mogę wziąć pana torbę? – pyta Emma.

– Co? – Scott przez chwilę wydaje się zaskoczony tym, jak niespodziewanie stewardesa pojawiła się obok niego. – Nie, poradzę sobie.

Kobieta wskazuje mu wolne miejsce. Idąc w jego stronę, Scott po raz pierwszy ogląda wnętrze samolotu.

– A niech to – stwierdza.

– Ben Kipling. – Ben wstaje, by uścisnąć dłoń Scotta.

– Tak... Scott Burroughs.

Zauważa Maggie.

– Hej – wita ją i posyła w jej stronę szeroki, ciepły uśmiech. – Jeszcze raz dziękuję.

Zarumieniona Maggie odwzajemnia uśmiech.

– Nie ma za co. Mieliśmy wolne miejsce.

Scott opada na siedzenie obok Sarah. Zanim zdąży zapiąć pas, Emma podaje mu kieliszek wina.

– Och – mówi Scott. – Nie, dziękuję. Ja nie... Może trochę wody?

Emma uśmiecha się i wycofuje.

Scott patrzy na Sarah.

– Można się do tego przyzwyczaić, co?

– Szczera prawda – przytakuje Sarah.

Silniki zwiększają obroty i Maggie czuje, jak samolot zaczyna się poruszać. Z głośników dobiega głos kapitana Melody'ego.

– Panie i panowie, proszę przygotować się do startu.

Maggie zerka przez ramię na dwójkę swoich dzieci, Rachel, siedzącą z jedną nogą

podwiniętą pod sobą i przeglądającą piosenki w telefonie, i małego JJ-a, skulonego we śnie, z rozluźnioną twarzą, pogrążonego w dziecięcej nieświadomości.

Podobnie jak tysiące razy w ciągu każdego dnia Maggie czuje przypływ matczynej miłości, rosnącej i rozpaczliwej. Te dzieci są jej życiem. Jej tożsamością. Kolejny raz poprawia synowi koc i wtedy następuje moment nieważkości, gdy koła samolotu odrywają się od ziemi. Ów akt niemożliwej nadziei, rutynowe zawieszenie praw fizyki, które utrzymują ludzi przy ziemi, zachwyca ją i przeraża. Lecą. Lecą. I kiedy wznoszą się przez mglistą biel, rozmawiając i śmiejąc się, przy akompaniamencie ballad z lat pięćdziesiątych i jednostajnego szumu meczu z rekordem pałkarza, żaden z pasażerów nie ma pojęcia, że za szesnaście minut ich samolot spadnie do oceanu.

Rozdział pierwszy

W wieku sześciu lat Scott Burroughs pojechał z rodziną do San Francisco. Spędzili trzy dni w motelu niedaleko plaży. Scott, jego rodzice i siostra June, która później utonie w jeziorze Michigan. Owego weekendu w San Francisco było mgliście i zimno, a szerokie aleje wiły się w kierunku wody jak giętkie języki. Scott pamięta, jak ojciec zamówił w restauracji nóżki krabowe, a kiedy je podano, okazały się monstrualne, wielkości gałęzi drzew, jakby to kraby miały zjeść ich, a nie odwrotnie.

Ostatniego dnia pobytu ojciec zabrał wszystkich autobusem do Fisherman's Wharf. Scott, w wypłowiakach sztruksach i koszulce w paski, ukląkł na pochyłym plastikowym siedzeniu i patrzył, jak płaski, rozłożysty stiuk Sunset District przechodzi w betonowe wzgórza i wiktoriańskie domy z szerokich desek stojące wzdłuż stromego zbocza. Poszli do muzeum Ripley's Wierście lub Nie! i karykaturzysta namalował ich portret – czteroosobowa rodzina z komicznie powiększonymi głowami jadąca jedno obok drugiego na monocyklach. Potem oglądali foki wylegujące się na przesiąkniętym solą nabrzeżu. Matka Scotta z zachwytem w oczach wskazywała chmury białoskrzydłych mew. Żyli w głębi lądu, bez dostępu do morza. Scott czuł się tak, jakby poleciełi statkiem kosmicznym na odległą planetę.

Na lunch zjedli parówki w cieście kukurydzianym i pili colę z zabawnie wielkich plastikowych kubków. Wchodząc do aquaparku, spostrzegli zgromadzony nieopodal tłum. Kilkadziesiąt osób patrzyło na północ i wskazywało Alcatraz.

Tamtego dnia zatoka miała niebieskoszary odcień, a wzgórza hrabstwa Marin otaczały nieczynne już więzienie niczym ramię strażnika. Po lewej most Golden Gate jawił się jako niewyraźny ciemnopomarańczowy olbrzym z pylonami pozbawionymi głowy przez późnoporanną mgłę.

Scott widział masę małych łodzi pływających wkoło.

– Czy ktoś uciekł? – zapytał w przestrzeń ojciec Scotta.

Matka zmarszczyła czoło i wyjęła broszurę. Oznajmiła, że więzienie jest zamknięte, o ile jej wiadomo. Wyspa jest teraz dostępna tylko dla turystów.

Ojciec klepnął w ramię stojącego obok mężczyznę.

– Na co patrzymy?

– Płynie z Alcatraz – poinformował mężczyzna.

– Kto?

– Ten gość od ćwiczeń. Jak mu tam? Jack LaLanne. To jakiś popis kaskaderski. Ma na rękach kajdanki i ciągnie za sobą cholerną łódź.

– Jak to ciągnie łódź?

– Na linie. Mówili w radio. Widzi pan tę łódź? Tę wielką? Musi przyciągnąć ją aż tutaj.

Nieznajomy potrząsnął głową, jakby nagle cały świat wokół niego zwariował.

Scott wszedł na wyższy stopień, skąd mógł obserwować wszystko ponad głowami dorosłych. Rzeczywiście, na wodzie unosiła się duża łódź z dziobem skierowanym w stronę brzegu. Otaczała ją flota małych łodzi. Jakaś kobieta nachyliła się i klepnęła Scotta w ramię.

– Proszę. Popatrz sobie – powiedziała, podając chłopcu małą lornetkę.

Przez soczewki był w stanie dostrzec jedynie mężczyznę w wodzie w beżowym czepku. Miał nagie ramiona. Płynął, rzucając się gwałtownie w przód jak syrena.

– W tamtym miejscu nurt jest szalony – wyjaśnił mężczyzna zagajony wcześniej przez ojca Scotta. – Nie wspominając o tym, że cholerna woda ma tam jakieś czternaście stopni. Z jakiegoś powodu nikt nigdy nie uciekł z Alcatraz. A do tego rekiny. Daję gościowi szansę jak jeden do pięciu.

Przez lornetkę Scott widział, że w motorówkach otaczających pływaka pełno było ludzi w mundurach. Mieli przy sobie karabiny i wpatrywali się w lekko wzburzoną wodę.

Pływak wyrzucał ręce nad spienione fale i sunął naprzód. Miał skrępowane nadgarstki, skupiał się na brzegu przed sobą. Jeśli był świadom obecności mundurów lub zagrożenia atakiem rekinów, nie okazywał tego. Jack LaLanne, najsprawniejszy człowiek na ziemi. Za pięć dni przypadały jego sześćdziesiąte urodziny. Sześćdziesiąte. To wiek, w którym każdy przy zdrowych zmysłach zwalnia tempo, relaksuje się i zaniedbuje niektóre sprawy, ale jak Scott dowiedział się później, dyscyplina Jacka wykraczała poza kryterium wieku. Był narzędziem skonstruowanym do wykonania zadania, maszyną pokonującą trudności. Lina owinięta wokół jego talii przypominała mackę usiłującą pociągnąć go w zimną ciemną głębinę, ale nie zwracał na nią uwagi, jakby ignorowanie ciągniętego ciężaru było w stanie odebrać mu moc. Poza tym Jack był przyzwyczajony do liny. Przywiązywał się do ściany przydomowego basenu i pływał w miejscu po pół godziny dziennie. Do tego półtoragodzinne podnoszenie ciężarów i trzydziestominutowy bieg. Gdy potem patrzył na siebie w lustrze, nie widział śmiertelnika. Widział istotę zbudowaną z czystej energii.

Tego pływackiego wyczynu dokonał po raz pierwszy w 1955 roku. Alcatraz było wówczas jeszcze czynnym więzieniem, chłodną skałą pokuty i kary. Czterdziestojednoletni Jack, młody byczek znany już ze swej sprawności, miał swój program telewizyjny i prowadził siłownię. Co tydzień stawał przed kamerą w prostym, szarym na miarę czarno-białym kombinezonie ze znakiem firmowym, dopasowanym tak, by przylegał jak druga skóra, z napęczniałymi pod spodem bicepsami. Od czasu do czasu bez ostrzeżenia padał na podłogę i okraszał swoje ramię setką pompek wykonywanych na czubkach palców.

Owoce i warzywa, mawiał. Białko i ćwiczenia.

W poniedziałki o ósmej na NBC Jack zdradzał sekrety wiecznego życia. Wystarczyło słuchać. Ciągnąc teraz łódź, przypominał sobie tamto pierwsze przepłynięcie. Mówiono, że to niewykonalne, pokonanie trzech kilometrów w wodzie o temperaturze dziesięciu

stopni Celsjusza, wbrew silnym prądom oceanicznym, ale Jack dokonał tego w niecałą godzinę. Teraz, dziewiętnaście lat później, powrócił ze skutymi kajdankami rękami, skrępowanymi nogami i ważącą prawie pół tony łodzią przywiązaną liną do jego talii.

W jego umyśle nie było żadnej łodzi, żadnych prądów, żadnych rekinów.

Była jedynie jego wola.

– Zapytajcie ludzi, którzy biorą udział w poważnych triathlonach, czy istnieją jakiegokolwiek granice tego, co można zrobić. Ograniczenia są tu, w waszych głowach. Sprawność fizyczną trzeba wyćwiczyć między uszami. Mięśnie nie wiedzą nic. Trzeba je nauczyć.

Jack był mizernym, pryszczatym dzieckiem, które obżerało się słodyczami, szczeniakiem, który pewnego dnia oszalał z nadmiaru cukru i próbował zabić brata siekierą. Potem nastąpiło objawienie, decyzja, która pojawiła się przed nim jak krzew gorejący. W jednym momencie zrozumiał. Ujawni cały potencjał swego ciała. Odmieni się całkowicie i w ten sposób zmieni świat.

I tak pulchny Jack z mózgiem zasypanym cukrem wynalazł ćwiczenia. Stał się bohaterem, który potrafił wykonać tysiąc pajacyków i tysiąc podciągnięć na drążku w półtorej godziny. Mięśniakiem, który wytrenował się tak, że był w stanie zrobić tysiąc trzydzieści trzy pompki w dwadzieścia minut i wspiąć się po siedmioipółmetrowej linii z sześćdziesięciotryipółkilogramowym ciężarem przymocowanym do pasa.

Gdziekolwiek się znalazł, ludzie podchodzili do niego na ulicy. To były czasy początków telewizji. Jack był po części naukowcem, a po części magikiem i bogiem.

– Nie mogę umrzeć – mówił ludziom. – To zrujnowałoby mój wizerunek.

Teraz w wodzie rzucał się w przód, płynąc klapiącym motylkiem, który sam wymyślił. Brzeg był w zasięgu wzroku, na nadbrzeżu zgromadzili się reporterzy z kamerami. Tłum się powiększał i rozlewał wokół schodów w kształcie podkowy. Wśród ludzi była Elaine, żona Jacka, była pływaczka synchroniczna, która przed poznaniem męża paliła jak smok i żywiła się wyłącznie pączkami.

– Jest. – Ktoś wskazał Jacka. Sześćdziesięcioletni mężczyzna ciągnący łódź.

Skuty kajdankami, skrępowany. Był jak Houdini, tyle że nie próbował się uwolnić. Gdyby mógł, przykułby się do tej łodzi na zawsze. Codziennie dodawano by mu kolejną łódź, aż ciągnąłby za sobą cały świat. Aż niósłby nas wszystkich na swoich plecach ku przyszłości, gdzie potencjał ludzki nie zna granic.

Wiek to stan umysłu, powtarzał ludziom. Tak brzmiał jego sekret. Przypłynie do brzegu i wybiegnie z wody. Podskoczy w powietrzu jak bokser po wykonanym nokaucie. Może nawet padnie na ziemię i wykona sto pompek. Tak dobrze się czuł. W wieku Jacka większość mężczyzn była przygarbiona i narzekała na bóle pleców. Obawiali się końca. Ale nie Jack. Kiedy skończy siedemdziesiąt lat, przepłynie siedemdziesiąt godzin, ciągnąc siedemdziesiąt łodzi z siedemdziesięcioma osobami na pokładzie. W setne urodziny Jacka kraj zostanie nazwany jego imieniem. Każdego ranka będzie się budził ze stalowym wzwodem aż do końca świata.

Scott stał na brzegu na palcach i wpatrywał się w fale. Zapomniał o rodzicach i niesmacznym lunchu. Na ziemi nie było teraz niczego poza rozgrywającą się na jego oczach sceną. Chłopiec patrzył, jak mężczyzna w czepku walczy z falami. Ruch za ruchem, mięśnie przeciwko przyrodzie, siła woli kontra bezmyślne, pierwotne siły natury. Tłum powstał i kibicował pływakowi, ruch za ruchem, centymetr po centymetrze, aż Jack LaLanne wyszedł z morskiej piany, a reporterzy przeciskali się w jego stronę. Oddychał ciężko, wargi mu siniały, ale uśmiechał się. Dziennikarze oswobodzili mu nadgarstki i odwiązali linę z talii. Elaine przedarła się przez wiwatujący tłum i wpadła do wody, a Jack podniósł ją, jakby nic nie ważyła.

Nabrzeże było naelektryzowane. Ludzie mieli wrażenie, że stali się świadkami cudu. Jeszcze długi czas po tym wydarzeniu wierzyli, że wszystko jest możliwe. Resztę dnia spędzili w podniosłym nastroju.

A stojący na najwyższym stopniu trybuny sześćoletni Scott Burroughs poczuł, że zalewa go dziwne uczucie. Coś rozpierało mu klatkę piersiową. Jakieś emocje – uniesienie? zachwyty? – powodowały, że chciało mu się płakać. Nawet w tak młodym wieku zdawał sobie sprawę, że był świadkiem czegoś niewymiernego, wielkiego, ponadzwierzęcego aspektu natury. Takie osiągnięcie – przywiązanie ciężaru do talii, skrępowanie kończyn i przepłynięcie trzech kilometrów w lodowatej wodzie – to wyczyn godny Supermana. Czy to możliwe? Czy to rzeczywiście Superman?

– A niech to – powiedział ojciec Scotta i zmierzwił synowi włosy. – To naprawdę było coś. Czyż to nie było coś?

Ale Scottowi brakowało słów. Skinął tylko głową ze wzrokiem utkwionym w silnym mężczyźnie w morskiej pianie, który podniósł dziennikarza nad głowę i udawał, że ma zamiar wrzucić go do wody.

– Ciągle widzę tego gościa w telewizji – przyznał ojciec. – Myślałem, że to tylko żarty. Taki napakowany. Ale... kurczę.

Potrząsnął z podziwem głową.

– Czy to Superman? – zapytał Scott.

– Co? Nie. To właściwie... tylko facet.

Tylko facet. Jak tata Scotta lub wujek Jake z wąsami i wielkim brzuchem. Jak pan Branch, nauczyciel WF-u z fryzurą afro. Scott nie mógł w to uwierzyć. Czy to możliwe? Czy każdy mógł być Supermanem, jeśli się postara? Jeśli postanowi zrobić wszystko, co trzeba? Cokolwiek trzeba?

Dwa dni później, kiedy wrócili do Indianapolis, Scott Burroughs zapisał się na lekcje pływania.

FALE

Z krzykiem wynurza się na powierzchnię. Jest noc. Słona woda piecze go w oczy. Gorąco pali płuca. Nie widać księżyca, tylko światło rozproszone w gęstej mgle. Przed nim burzą się granatowe grzywy fal, a wokół upiorne pomarańczowe płomienie liżą pianę.

„Woda się pali”, myśli, kopiąc instynktownie.

A potem, po chwili szoku i dezorientacji:

Samolot się rozbił.

Scott myśli o tym, ale nie słowami. W jego głowie pojawiają się obrazy i odgłosy. Nagły, opadający dźwięk. Paniczny smród palącego się metalu. Krzyki. Kobieta z krwawiącą głową, odłamki szkła migoczące na jej skórze. Czas zwalniał, a wszystko, co nie było przymocowane, zdawało się pływać w nieskończoność. Butelka z winem, kobieca torebka, iPhone dziewczynki. Talerze z jedzeniem zawisły w powietrzu, wirując delikatnie, z daniami nadal na swoim miejscu, a potem zgrzyt metalu o metal i beczka powietrzna świata Scotta rozpadająca się na kawałki.

Fala uderza go w twarz, więc kopie stopami, by wznieść się nad powierzchnię wody. Buty ciągną go w dół, więc zrzuca je, a potem z trudem pozbywa się nasiąkniętych solą drelichowych spodni. Drży w zimnym atlantyckim prądzie. Pływa w miejscu, wykonując nogami nożyce, i odpycha ocean ramionami, tworząc silne wiry. Fale są przepikowane pianą, ale nie przypominają ostrych trójkątów z dziecięcych rysunków, raczej fraktale wody, maleńkie fale piętrzące się na większych. Na otwartej przestrzeni nacierają na niego ze wszystkich stron, jak stado wilków sprawdzających jego możliwości obrony. Dogasający ogień ożywia je i nadaje im twarze o złowrogich zamiarach. Scott obraca się o trzysta sześćdziesiąt stopni. Widzi wokół falujące stosy poszarpanych szczątków samolotu, kawałki kadłuba, fragment skrzydła. Pływająca po powierzchni benzyna zdążyła się już rozpląnąć lub wypalić. Niedługo zapadnie ciemność. Walcząc z paniką, Scott próbuje ocenić sytuację. Fakt, że jest sierpień, działa na jego korzyść. W tej chwili temperatura Atlantyku wynosi około osiemnastu stopni Celsjusza, na tyle mało, by wywołać hipotermię, ale wystarczająco, by dać mu czas na dotarcie do brzegu, jeśli to możliwe. Jeśli brzeg jest niedaleko.

– Hej! – krzyczy i obraca się w wodzie. – Tutaj jestem! Żyję!

Musiał przeżyć ktoś jeszcze, myśli. Czy to możliwe, by samolot się rozbił i przeżyła tylko jedna osoba? Myśli o kobiecie, która siedziała obok niego, o gadatliwej żonie finansisty. Myśli o Maggie z jej wakacyjnym uśmiechem.

Myśli o dzieciach. Kurwa. W samolocie były dzieci. Dwoje, tak? Chłopiec

i dziewczynka. Ile miały lat? Dziewczynka była starsza. Może dziesięcioletnia? Ale chłopiec był mały, kilkuletni szkrab.

– Halo! – krzyczy, już bardziej niecierpliwie, i płynie w kierunku największego kawałka wraku. Wygląda jak część skrzydła. Gdy dociera do niego, orientuje się, że metal jest gorący, więc kopie mocno nogami, by nie zostać wciągniętym na niego przez fale i się nie poparzyć.

Czy samolot rozpadł się przy uderzeniu? – zastanawia się. Czy może rozłamał się w czasie spadania i pasażerowie powypadali?

Wydaje się niemożliwe, że tego nie pamięta, ale strumień zapamiętanych informacji blokuje nieczytelne fragmenty, nieuporządkowane obrazy, i w tej chwili Scott nie ma czasu, by cokolwiek weryfikować.

Mruży oczy w ciemności i nagle zdaje sobie sprawę, że unosi go wielka fala. Z trudem próbuje utrzymać się na górze i wie, że dłużej nie jest w stanie uniknąć oczywistego.

Walczy, by pozostać na powierzchni, i wtedy czuje, że coś w jego lewym barku przeskakuje. Ten ból jest jak nóż, który przeszywa go za każdym razem, gdy unosi rękę nad wodę. Kopiąc nogami, próbuje rozciągnąć ramię i pozbyć się bólu, jak w przypadku skurczu, ale najwyraźniej coś w panewce stawowej jest zerwane lub pęknięte. Będzie musiał uważać. Zachował częściową ruchomość, udaje mu się płynąć przyzwoitą żabką, ale jeśli stan lewego barku się pogorszy, może zostać dryfującym na falach rannym, jednorękim człowiekiem, małą rybą w słonowodnym brzuchu wieloryba.

Uświadamia sobie, że może krwawić.

I wtedy w jego głowie pojawia się słowo „rekiny”.

Przez chwilę czuje jedynie czystą, zwierzęcą panikę. Wyższy poziom rozsądku wyparowuje. Tętno przyspiesza, a nogi kopią szaleńczo. Połyka słoną wodę i zaczyna kaszleć.

„Przestań – mówi do siebie. – Uspokój się. Jeśli teraz spanikujesz, umrzesz”.

Zmusza się do zachowania spokoju i obraca powoli, by ocenić swoje położenie. Gdyby widział gwiazdy, myśli, mógłby określić kierunki świata. Ale mgła jest zbyt gęsta. Powinien płynąć na wschód czy na zachód? Z powrotem do Vineyard czy w kierunku stałego lądu? Ale jak je w ogóle rozróżni? Wyspa, z której wylecieli, pływa po oceanie jak kostka lodu w misce zupy. Przy takiej odległości Scott, jeśli jego trajektoria odchyli się o choćby kilka stopni, może z łatwością przepłynąć obok niej i nawet tego nie zauważyć.

Decyduje, że lepiej płynąć do długiego ramienia wybrzeża. Jeśli będzie płynął równo, odpoczywał co jakiś czas i nie spanikuje, wreszcie dotrze do lądu. W końcu jest pływakiem i ocean nie jest mu obcy.

„Uda ci się”, powtarza sobie. Ta myśl dodaje mu pewności siebie. Pływał promem i wie, że Martha's Vineyard leży jedenaście kilometrów od Cape Cod. Jednak samolot zmierzał na lotnisko JFK, co oznacza, że leciał na południe, nad otwartym oceanem, w kierunku Long Island. Jak daleko zalecieli? Jak daleko znajdują się od brzegu? Czy

Scott zdoła przepłynąć szesnaście kilometrów z jedną zdrową ręką? Trzydzieści?

Jest ssakiem lądowym dryfującym po wielkiej wodzie.

„Samolot wysłał sygnał SOS – powtarza sobie. – Straż przybrzeżna jest w drodze”. Ale już w trakcie tych rozważań zdaje sobie sprawę, że zgasł ostatni płomień i prąd rozprasza obszar pokryty szczątkami.

Aby nie panikować, Scott myśli o Jacku. Jack, grecki bóg w kąpielówkach, z szerokim uśmiechem na twarzy, rękami wyciągniętymi jak falujące wieże, zgarbionymi ramionami i wyraźnie zarysowanym mięśniem najszerszym grzbietu. Krab. Tak to nazywali. Chwywanie kraba. Przez całe dzieciństwo Scott miał plakat Jacka na ścianie. Przypominał mu, że wszystko jest możliwe. Możesz być odkrywcą albo astronautą. Możesz opłynąć świat dookoła i zdobyć szczyt najwyższej góry. Wystarczy wierzyć.

Pod wodą Scott zgina się wpół, zdejmując mokre skarpetki i porusza palcami w zimnej głębinie. Lewy bark zaczyna się blokować. Oszczędza go jak może, ciągnie swój ciężar za pomocą prawej ręki i odpoczywa po piętnaście minut, płynąc pieskiem. Kolejny raz zdaje sobie sprawę z czystej niewykonalności tego, co musi zrobić: wybrać na oślep kierunek i płynąć nie wiadomo jak długo, opierając się silnym prądom oceanicznym, z jedną sprawną ręką. Kuzynka paniki, rozpacz, grozi pochłonięciem go, ale Scott ją odrzuca.

Czuje suchość na języku. Odwodnienie to kolejna rzecz, o którą będzie musiał się martwić, jeśli pozostanie w wodzie zbyt długo. Wiatr przybiera na sile i zaczyna burzyć wodę. „Jeśli ma mi się udać – myśli Scott – muszę zacząć płynąć już teraz”. Kolejny raz rozgląda się w poszukiwaniu prześwitu we mgle, ale nie widzi żadnego, więc na chwilę zamyka oczy. Próbuje wyczuć zachód, odgadnąć jego położenie, niczym opiłki żelaza wyczuwające magnes.

„Z tyłu”, myśli.

Otwiera oczy i bierze głęboki oddech.

Już ma zamiar wykonać pierwszy ruch, kiedy dociera do niego hałas. Najpierw sądzi, że to mewy, przenikliwe wycie, które unosi się i opada. Ale potem ocean wyrzuca Scotta kilkadziesiąt centymetrów w górę i na szczycie fali uświadamia sobie, co słyszy.

Płacz.

Płaczące dziecko.

Obraca się, próbując zlokalizować dźwięk, ale fale unoszą się i opadają nierówno, tworząc odbicia i echo.

– Hej! – woła. – Hej, tutaj jestem!

Płacz ustaje.

– Hej – krzyczy i kopiąc, walczy z podwodnym prądem. – Gdzie jesteś?

Szuka szczątków samolotu, ale wszelkie fragmenty, które nie zatoniły, odpłynęły we wszystkich możliwych kierunkach. Scott wyteża słuch, aby odnaleźć dziecko.

– Hej! – krzyczy ponownie. – Jestem tutaj. Gdzie ty jesteś?

Przez chwilę słyhać tylko odgłos fal. Scott zaczyna się zastanawiać, czy rzeczywiście nie słyszał mew, ale wtedy dobiega go głos dziecka, jest wyraźny i pojawia się zaskakująco blisko.

– Ratunku!

Scott rzuca się w stronę dźwięku. Nie jest już sam, nie jest już jedynym człowiekiem walczącym o przetrwanie. Teraz odpowiada za życie innej osoby. Myśli o swojej siostrze, która w wieku szesnastu lat utonęła w jeziorze Michigan, i płynie.

Dziewięć metrów dalej znajduje dziecko trzymające się poduszki do siedzenia. To chłopiec, którego zapamiętał. Nie może mieć więcej niż cztery lata.

– Hej – mówi Scott, gdy pod pływa do niego. – Hej, skarbie.

Głos grzęźnie mu w gardle, kiedy dotyka ramienia chłopca i zdaje sobie sprawę, że dziecko płacze.

– Jestem tutaj – pociesza go. – Trzymam cię.

Poduszka do siedzenia sprawdza się podwójnie, również jako kamizelka ratunkowa, gdyż ma szelki na ramiona i pas z kłamrą, ale zaprojektowana jest dla osoby dorosłej, więc Scott z trudem utrzymuje ją na ciele dziecka, które drży z zimna.

– Zwymiotowałem – mówi chłopiec.

Scott delikatnie wyciera mu usta.

– W porządku. Nic ci nie jest. To tylko lekka choroba morska.

– Gdzie jesteśmy? – pyta chłopiec.

– Jesteśmy w oceanie – odpowiada Scott. – Samolot się rozbił i jesteśmy w oceanie, ale mam zamiar popłynąć do brzegu.

– Nie zostawiaj mnie – prosi chłopiec, a w jego głosie słyhać panikę.

– Nie, nie – zapewnia go Scott. – Oczywiście, że nie. Zabieram cię ze sobą. Zaraz... Muszę coś zrobić, byś nie spadł z poduszki. A potem... położysz się na górze, a ja pociągnę cię za sobą. Jak to brzmi?

Chłopiec kiwa głową, a Scott zabiera się do pracy. Trudno mu działać z jedną sprawną ręką, ale po kilku pełnych męczarni chwilach udaje mu się spleść ze sobą paski siedzenia. Wsuwa chłopca w uprząż i ocenia rezultat. Nie jest tak ciasna, jak by chciał, lecz powinna utrzymać chłopca nad wodą.

– Dobrze – oznajmia. – Musisz się mocno trzymać, a ja pociągnę cię do brzegu. Umiesz pływać?

Dzieciak kiwa głową.

– Dobrze – cieszy się Scott. – Gdybyś spadł z poduszki, masz bardzo mocno ruszać nogami i wiosłować rękami, okej?

– Jak pies i kot – mówi chłopiec.

– Właśnie tak. Machaj rękami jak pies i kot, jak uczyła cię mama.

– Tata.

– Jasne. Tak jak uczył cię tata, dobrze?

Chłopiec przytakuje. Scott dostrzega jego lęk.

– Wiesz, kto to jest bohater? – pyta go.

– Walczy ze złymi – odpowiada chłopiec.

– Właśnie, bohater walczy ze złymi ludźmi. I nigdy się nie poddaje, prawda?

– Tak.

– Chcę, żebyś był teraz bohaterem, dobrze? Udawaj, że fale to ci źli, a my przez nich przepłyniemy. I nie możemy się poddać. Nie poddamy się. Będziemy płynąć, dopóki nie dotrzemy do lądu, okej?

Chłopiec kiwa głową. Scott krzywi się i przekłada lewą rękę przez jedną z szelek. Bark krzyczy już z bólu. Każda unosząca ich fala pogłębia dezorientację Scotta.

– Dobra – postanawia. – Zróbmy to.

Zamyka oczy i kolejny raz próbuje wyczuć, w którym kierunku ma płynąć.

„Za tobą – myśli. – Brzeg jest za tobą”.

Obraca się ostrożnie w wodzie, opływając chłopca, i zaczyna poruszać nogami, ale w tym właśnie momencie przez mgłę przebija się światło księżyca. Na krótką chwilę nad jego głową pojawia się rozgwieżdżona czarna plama. Scott rozpaczliwie szuka znanych konstelacji, gdyż prześwit szybko się zamyka. Wtedy dostrzega Andromedę, potem Wielki Wóz i Gwiazdę Polarną.

„To w drugą stronę”, uświadamia sobie i czuje przyprawiający o mdłości zawrót głowy.

Przez chwilę ma nieodpartą ochotę zwymiotować. Gdyby się nie rozjaśniło, wypłynąłby z chłopcem na atlantycką głębinę, a z każdym ruchem wschodnie wybrzeże oddalałoby się od nich, aż ogarnęłoby ich wyczerpanie i utonęliby bez śladu.

– Zmiana planów – informuje chłopca, starając się utrzymać pogodny ton głosu. – Popłyniemy w drugą stronę.

– Okej.

– Okej. Świetnie.

Scott ustawia ich w odpowiednim kierunku. Najdłuższy dystans, jaki pokonał, to dwadzieścia cztery kilometry, ale miał wtedy dziewiętnaście lat i trenował przez wiele

miesiący. Na dodatek zawody odbywały się w jeziorze, gdzie nie było prądów, i obie ręce miał sprawne. Teraz jest noc, temperatura wody spada i będzie musiał walczyć z silnymi atlantyckimi prądami przez nie wiadomo jak wiele kilometrów.

„Jeśli to przeżyję – myśli – to wyślę wdowie po Jacku LaLanne kosz owoców”.

Myśl jest tak idiotyczna, że kiwając się w wodzie, Scott zaczyna się śmiać i przez chwilę nie może przestać. Wyobraża sobie, jak stoi przy stoisku firmy Jadalne Kompozycje i wypełnia liścik.

Z najgłębszymi wyrazami sympatii – Scott.

– Przestań – rozkazuje chłopiec, przestraszony nagle, że jego ocalenie leży w rękach szaleńca.

– W porządku – mówi Scott, starając się uspokoić chłopca. – Wszystko w porządku. Przypomniałem sobie pewien żart. Już płyniemy.

Dopiero po kilku minutach udaje mu się odnaleźć swój styl płynięcia, zmodyfikowaną żabkę, w której mocniej odgarnia wodę prawą ręką niż lewą i silnie kopie nogami. To hałaśliwy rozpaczliwiec, a lewy bark przypomina worek potłuczonego szkła. Ogarnia go dojmujące przecucie. Utoną, obaj. Obaj zginą w głębinach. I wtedy, jakimś cudem, Scott odnajduje swój rytm i zaczyna zatracać się w powtarzalności ruchów. Ramię w przód i do siebie, nogi jak nożyce. Płynie w nieskończoną otchłań, a ocean pryska mu w twarz. Trudno mu kontrolować czas. O której wystartował samolot? O dziesiątej wieczorem? Ile czasu minęło? Trzydzieści minut? Godzina? Ile czasu pozostało do wschodu słońca? Osiem godzin? Dziewięć?

Ocean wokół wydaje się ospowaty i stale się zmienia. Scott płynie i stara się nie myśleć o wielkich obszarach otwartych wód. Próbuje nie wyobrażać sobie głębokości, która rozciąga się pod nim, i nie zastanawiać się nad tym, że w sierpniu nad Atlantykiem powstają silne fronty burzowe, w zimnych korytach podwodnych wąwozów tworzą się huragany, ścierają się fronty pogodowe, a temperatura i wilgotność tworzą wielkie powietrzne dziury o niskim ciśnieniu. Siły globalne spiskują, barbarzyńskie hordy z maczugami i w barwach wojennych z wrzaskiem ruszają do boju, niebo natychmiast gęstnieje, ciemnieje, zrywa się złowroga wichura pełna błyskawic, słychać donośny huk piorunów przypominający odgłosy walki, a ocean, który jeszcze chwilę temu był spokojny, zmienia się w piekło na ziemi.

Scott płynie w kruchej ciszy, próbując oczyścić umysł.

Coś muska mu nogę.

Zamiera, zaczyna tonąć i musi zacząć poruszać nogami, aby utrzymać się na powierzchni.

„Rekin”, myśli.

„Musisz przestać się poruszać”.

Ale jeśli przestanie się ruszać, utonie.

Odwraca się na plecy i oddycha głęboko, by napełnić klatkę piersiową powietrzem. Nigdy wcześniej nie był tak świadomy swojego niepewnego miejsca w łańcuchu pokarmowym. Wszystkie instynkty w jego ciele krzyczą, żeby nie odwracał się plecami do głębin, ale to właśnie robi. Dryfuje na wodzie tak spokojnie jak może, unosząc się i opadając wraz z falą.

– Co robimy? – pyta chłopiec.

– Odpoczywamy – odpowiada mu Scott. – Bądźmy bardzo cicho, dobrze? Nie ruszaj się i postaraj się trzymać stopy nad wodą.

Chłopiec milczy. Unoszą się i opadają wraz z ruchami wody. Pierwotny, gadzi mózg Scotta rozkazuje mu uciekać, ale ignoruje go. Rekin potrafi wyczuć kroplę krwi w milionie litrów wody. Jeśli on lub chłopiec krwawią, już po nich. Lecz jeśli nie krwawią i pozostaną całkowicie nieruchomi, rekin (o ile to był rekin) powinien zostawić ich w spokoju.

Scott bierze chłopca za rękę.

– Gdzie moja siostra? – szepcze chłopiec.

– Nie wiem – szepcze w odpowiedzi Scott. – Samolot spadł i rozdzieliliśmy się.

Długa przerwa.

– Może nic jej nie jest – mówi cicho Scott. – Może jest z twoimi rodzicami i płyną w inne miejsce. A może już zostali uratowani.

Po długiej chwili milczenia chłopiec oznajmia:

– Raczej nie.

Przez jakiś czas unoszą się na wodzie z tą myślą. Nad ich głowami mgła zaczyna się rozrzedzać. Powoli się przejaśnia, najpierw wyziera skrawek nieba, potem pojawiają się gwiazdy, a w końcu półksiężyc, i w jednej chwili ocean wokół nich staje się wyszywaną cekinami suknią. Leżąc na plecach, Scott odnajduje Gwiazdę Polarną i upewnia się, że płyną w odpowiednim kierunku. Patrzy na chłopca, który ma oczy szeroko otwarte ze strachu. Po raz pierwszy Scott widzi jego małą twarzyczkę, zmarszczone brwi i wygięte w podkówkę usta.

– Cześć – mówi, a woda chlupocze mu wokół uszu.

Twarz chłopca pozostaje beznamietna i poważna.

– Cześć – odpowiada.

– Odpoczęliśmy? – pyta Scott.

Chłopiec kiwa głową.

– Dobrze – oznajmia Scott i odwraca się na brzuch. – Płynimy do domu.

Łapie równowagę i zaczyna płynąć, pewny, że w każdym momencie może poczuć atak od spodu, ostry jak brzytwa uścisk przypominającej koparkę szczęki, ale ten nie nadchodzi, i po chwili Scott wyrzuca rekina z głowy. Posuwa ich naprzód, ruch za

ruchem, nogi kreślą z tyłu ósemki, a prawe ramię sięga w przód i ciągnie, sięga w przód i ciągnie. By zająć czymś głowę, Scott myśli o innych płynach, w których wolałby pływać, takich jak mleko, zupa, burbon. Ocean burbona.

Rozważa swoje życie, ale szczegóły wydają mu się teraz nieistotne. Jego ambicje, czynsz, który trzeba zapłacić co miesiąc, kobieta, która go zostawiła. Myśli o swojej pracy, pociągnięciach pędzla na płótnie. Teraz maluje ocean, pociągnięcie za pociągnięciem, jak Harold, który podczas upadku rysuje balon swoją fioletową kredką¹.

Płynąc w północnym Atlantyku, Scott dochodzi do wniosku, że nigdy wcześniej nie doświadczył takiej jasności swego celu i tego, kim jest. Znalazł się na tej ziemi, by pokonać ten ocean i ocalić tego chłopca. To przeznaczenie przywiodło go na plażę w San Francisco czterdzieści jeden lat temu. Postawiło przed nim złotego boga ze skutymi kajdankami dłońmi, walczącego z oceanicznym wiatrem. Przeznaczenie popchnęło go do pływania, sprawiło, że zapisał się do drużyny pływackiej najpierw w gimnazjum, a potem w liceum i na studiach. Popychało go do treningów co rano o piątej, przed wschodem słońca. Kolejne długości basenu, jedna po drugiej, w chlorowanym błękicie, aplauz innych chłopców i chropawy odgłos gwizdka trenera. Przeznaczenie przywiodło go do wody, ale to siła woli doprowadziła do zwycięstwa w trzech edycjach mistrzostw stanowych i to dzięki niej w szkole średniej zdobył medal za zajęcie pierwszego miejsca w zawodach na dwieście metrów stylem dowolnym mężczyzn.

Pokochał ciśnienie w uszach, gdy nurkował do gładkiego jak skórka jabłka dna basenu. Śnił o nim w nocy, marzył, aby unosić się na błękicie niczym boja. A gdy w college'u zaczął malować, niebieski był pierwszym kolorem, jaki kupił.

Zaczyna czuć pragnienie, gdy chłopiec pyta:

– Co to?

Scott unosi głowę spod wody. Chłopiec wskazuje coś po prawej stronie. Scott odwraca się. W świetle księżycy widzi ogromną czarną falę pełznącą cicho w ich kierunku. Rośnie i przybiera na sile. Scott natychmiast ocenia jej wysokość na ponad siedem metrów. Jest jak walący się na nich potwór. Jego zgarbiona głowa połyskuje w świetle księżycy. Panika uderza w Scotta niczym piorun. Nie ma czasu na myślenie. Odwraca się i płynie w kierunku fali. Ma może trzydzieści sekund, by do niej dotrzeć. Lewy bark krzyczy na niego, ale Scott go ignoruje. Chłopiec płacze, wyczuwając, że śmierć jest blisko, lecz nie ma czasu, by go pocieszyć.

– Głęboki wdech – krzyczy Scott. – Weź głęboki wdech.

Fala jest zbyt wielka i nadchodzi zbyt szybko. Zalewa ich, zanim Scott sam zdąży nabrać więcej powietrza.

Ściąga chłopca z poduszki i nurkuje razem z nim.

Coś w jego lewym barku przeskakuje. Lekceważy to. Chłopiec wrywa się, wrywa się szaleńcowi, który ciągnie go w dół, ku śmierci. Scott chwyta go mocniej i macha nogami. Jest jak pocisk, jak kula armatnia mknąca w dół przez wodę, nurkująca pod ścianą śmierci. Ciśnienie wzrasta. Serce mu wali, napęczniałe powietrzem płuca zaczynają

boleć.

Kiedy fala przetacza się nad nimi, Scott jest pewien, że mu się nie udało. Czuje, że jest zasysany z powrotem na powierzchnię przez wir spowodowany przeciwnym prądem podpowierzchniowym. Zdaje sobie sprawę, że fala przeżuje ich, rozerwie na kawałki. Kopie mocniej, przyciskając chłopca do piersi, walcząc o każdy centymetr. Nad ich głowami fala osiąga maksymalną wysokość i opada za ich plecami. Ponad siedem metrów oceanu spada jak młot, miliony litrów gniewnej, spienionej kipieli, a prąd wstępujący natychmiast zostaje zastąpiony przez wzburzony cykl płukania.

Obraca ich i wlecze. Dół staje się górą. Ciśnienie grozi rozerwaniem ich na strzępy, ale Scott się trzyma. Jego płuca krzyczą z bólu, oczy pali sól. Chłopiec w jego ramionach przestał już walczyć. Ocean jest czystą czernią, nie ma śladu po gwiazdach ani księżycu. Scott uświadamia sobie, że ma w płucach powietrze, i czuje, jak bąbelki spływają w dół kaskadą do jego brody i rąk. Resztkami sił odwraca ich obu i rusza ku powierzchni.

Wynurza się, kaszląc. W jego płucach zalega woda. Oczyszcza je krzykiem. Chłopiec ma wiotkie kończyny, a jego głowa leży bezwładnie na ramieniu Scotta. Odwraca go tak, aby plecami dotykał jego piersi, a potem z całej siły rytmicznie uciska mu klatkę piersiową. Po chwili dzieciak również odkrztusza słoną wodę.

Poduszka do siedzenia zniknęła, przeżuta przez falę. Scott podtrzymuje chłopca zdrową ręką. Lada chwila może załamać się z powodu chłodu i wyczerpania. Na razie to wszystko, co jest w stanie zrobić, utrzymać ich na wodzie.

– To był wielki zły facet – mówi w końcu chłopiec.

Przez moment Scott nie rozumie jego słów, ale potem dociera do niego ich sens. Powiedział chłopcu, że fale to źli faceci, a oni są bohaterami.

„Jest taki dzielny”, myśli zdumiony.

– Mam wielką ochotę na cheeseburgera – mówi w czasie ciszy między falami. – A ty?

– Placek – odpowiada po chwili chłopiec.

– Jaki?

– Wszystkie.

Scott się śmieje. Nie może uwierzyć, że nadal żyje. Kręci mu się w głowie, a jego ciało wibruje energią. Drugi raz tej nocy stanął twarzą w twarz ze śmiercią i przeżył. Szuka Gwiazdy Polarnej.

– Ile jeszcze? – chce wiedzieć chłopiec.

– Już niedaleko – mówi Scott, chociaż prawda jest taka, że mogą być wiele kilometrów od brzegu.

– Zimno mi – żali się chłopiec, szczękając zębami.

Scott go przytula.

– Mnie też. Trzymaj się, dobrze?

Wkłada sobie chłopca na plecy, starając się cały czas pozostać na powierzchni. Malec obejmuje Scotta za szyję, a ten słyszy w uchu jego ciężki oddech.

– Na koniec daj z siebie wszystko – mówi zarówno do chłopca, jak i do siebie samego.

Jeszcze raz patrzy na niebo i rusza. Płynie teraz na boku, machając nogami jak do kraula, z jednym uchem zanurzonym w słonych ciemnościach. Jego ruchy są bardziej nieporadne i gwałtowne. Nie może znaleźć rytmu. Obaj drżą, a temperatura ich ciał spada z każdą mijającą sekundą. To tylko kwestia czasu. Wkrótce jego puls i oddech zwolnią, pomimo rosnącego tętna. Hipotermia zacznie postępować coraz szybciej. Nie można wykluczyć silnego ataku serca. Organizm potrzebuje ciepła, by móc funkcjonować. Bez niego najważniejsze organy zaczynają zawodzić.

„Nie poddawaj się.

Nigdy się nie poddawaj”.

Płynie bez przerwy, szczękając zębami. Nie chce się poddać. Ciężar chłopca podtapia go, ale porusza mocniej gumowatymi nogami. Ocean wokół jest granatowy i sinofioletowy, a zimna biel grzyw fal migocze w świetle księżyca. W miejscach, gdzie nogi Scotta ocierają się o siebie, skóra stała się podrażniona, a sól wyrządza swe podstępne szkody. Usta ma spękane i suche. Mewy nad ich głowami trajkoczą i szybują jak sępy czekające na ich koniec. Szydzą ze Scotta swoim skrzekiem, a on w głowie każe im wszystkim iść do diabła. Są w wodzie rzeczy niemożliwie stare i zadziwiająco wielkie, ogromne, podwodne rzeki ciągnące ciepłą wodę z Zatoki Meksykańskiej. Ocean Atlantycki to sieć autostrad, podwodnych estakad i obwodnic. I tam, niczym płamka na pchlej kropce, jest Scott Burroughs z wyjącem z bólu barkiem, walczący o życie.

Po jakimś czasie, który wydaje się trwać wiele godzin, chłopiec wykrzykuje jedno słowo:

– Ziemia.

Przez moment Scott nie jest pewien, czy chłopiec rzeczywiście się odezwał. To musi być sen. Ale potem dzieciak powtarza słowo i wskazuje ręką.

– Ziemia.

To brzmi jak pomyłka, jakby chłopiec pomylił słowo oznaczające ocalenie ze słowem oznaczającym coś innego. Scott unosi głowę, na wpół oślepy z wyczerpania. Za nimi zaczyna wschodzić słońce, a niebo staje się lekko różowe. W pierwszym momencie Scott myśli, że łąd przed nimi to nisko wiszące nad horyzontem chmury, ale po chwili orientuje się, że to on się porusza.

Ziemia. Całe kilometry ziemi. Otwarta plaża zakręcająca łukiem w kierunku skalistego cypla. Ulice i domy. Miasta.

Zbawienie.

Scott opiera się chęci świętowania. Nadal mają przed sobą przynajmniej półtora kilometra, ciężki do przebycia dystans oznaczający walkę z prądami odpływowymi

i powrotnymi. Nogi mu drżą, a lewe ramię jest kompletnie sparaliżowane. Pomimo tego czuje, jak zalewa go fala uniesienia.

Dokonał tego. Ocalił ich.

Jak to możliwe?

Trzydzieści minut później siwiejący mężczyzna w białym chwiejnym krokiem wychodzi z wody, niosąc na rękach czteroletniego chłopca. Razem padają na piasek. Słońce już wzeszło, cienkie białe chmury otaczają głęboki śródziemnomorski błękit. Temperatura wynosi około dwudziestu stopni Celsjusza, mewy wiszą na wietrze jak w stanie nieważkości. Mężczyzna leży i sapie, falujący tułów otaczają bezużyteczne, gumowate kończyny. Teraz, gdy dotarli na brzeg, nie może się poruszyć choćby o centymetr. Jest wykończony.

Skulony na jego klatce chłopiec cicho płacze.

– Już w porządku – mówi do niego Scott. – Jesteśmy bezpieczni. Wszystko będzie dobrze.

Kilkadziesiąt metrów dalej stoi opuszczona budka ratownika. Napis z tyłu brzmi: plaża stanowa montauk.

Nowy Jork. Przepłynął całą drogę aż do Nowego Jorku.

Scott uśmiecha się. To uśmiech czystego, radosnego „pierdolcie się”.

„A niech to – myśli. – To będzie piękny dzień”.

Do szpitala zawozi ich rybak z zezem rozbieżnym. Cała trójka tłoczy się na zniszczonym siedzeniu jego furgonetki i podskakuje na zużytych amortyzatorach. Scott nie ma na sobie spodni ani butów, nie ma pieniędzy ani dowodu tożsamości. I nim, i chłopcem targają silne dreszcze. Przez niemal osiem godzin tkwili w wodzie o temperaturze około piętnastu stopni Celsjusza. Z powodu hipotermii trudno im myśleć i mówić.

Rybak opowiada im elokwentnie po hiszpańsku o Jezusie Chrystusie. Radio jest włączone, ale słychać głównie trzaski. Wiatr, gwizdząc, wpada do kabiny przez zardzewiałą dziurę w podłodze. Scott przyciąga chłopca do siebie i próbuje go rozgrzać. Zdrową ręką pociera energicznie jego ramiona i plecy. Na plaży powiedział rybakowi swoim łamanym hiszpańskim, że chłopiec jest jego synem. To wydawało się łatwiejsze niż tłumaczenie prawdy, że są obcymi osobami, które połączył ze sobą dziwaczny wypadek.

Lewy bark Scotta jest teraz kompletnie bezużyteczny. Na każdej dziurze w drodze ból przeszywa jego ciało jak nożem, co przyprawia go o zawroty głowy i mdłości.

„Jest w porządku”, powtarza sobie te słowa na okrągło. „Udało ci się”. Ale w głębi duszy nadal nie może uwierzyć, że przeżyli.

– *Gracias* – mówi, jękając się, gdy furgonetka zatrzymuje się na półkolistym podjeździe oddziału ratunkowego szpitala w Montauk. Zdrową ręką szarpnięciem otwiera drzwi i schodzi na ziemię, a każdy mięsień jego ciała jest odrętwiały z wyczerpania. Poranna mgła zniknęła, ciepło słońca na plecach i nogach nabiera niemal religijnego wymiaru. Scott pomaga chłopcu zeskoczyć z samochodu. Razem kuśtykają na oddział ratunkowy.

Poczekalnia jest niemal pusta. W rogu mężczyzna w średnim wieku przykłada do głowy zimny kompres, a woda kapie mu po nadgarstkach na podłogę z linoleum. Po drugiej stronie sali starsza para trzyma się za ręce i styka głowami. Od czasu do czasu kobieta kaszle w kulkę chusteczek trzymaną kurczowo w lewej dłoni.

Pielęgniarka przyjmująca pacjentów siedzi za szklaną szybą. Scott kuśtyka do niej, a chłopiec trzyma się brzegu jego koszuli.

– Dzień dobry.

Kobieta rzuca mu przelotne spojrzenie. Na plakietce widnieje imię *melanie*. Scott próbuje sobie wyobrazić, jak wygląda. Przychodzi mu do głowy jedynie Wiluś E. Kojot, któremu rakietka wybuchła w twarz.

– Przeżyliśmy katastrofę samolotu – mówi.

Słowa wypowiedziane na głos brzmią niewiarygodnie. Pielęgniarka patrzy na niego zmrużonymi oczami.

– Proszę?

– Samolot z Martha's Vineyard. Prywatny samolot. Spadliśmy do oceanu. Chyba mamy hipotermię i mój... nie mogę ruszyć lewą ręką. Możliwe, że mam złamany obojczyk.

Pielęgniarka nadal próbuje zrozumieć usłyszane informacje.

– Samolot spadł do oceanu...

– Płynęliśmy... ja płynąłem przez jakieś szesnaście kilometrów. Może dwadzieścia pięć. Wyszliśmy na brzeg jakąś godzinę temu. Przywiózł nas tu rybak.

Mówienie przyprawia go o zawrót głowy, płuca przestają pracować.

– Proszę pani – mówi. – Czy możemy otrzymać jakąś pomoc? Przynajmniej chłopiec. Ma dopiero cztery lata.

Pielęgniarka patrzy na chłopca, mokrego, drżącego.

– Czy to pański syn?

– Jeśli odpowiem „tak”, przyprowadzi pani pomoc?

– Nie ma powodu, by zachowywać się grubiańsko – fuka pielęgniarka.

Scott czuje, że szczeka mu się zaciska.

– Prawdę mówiąc, są ku temu wszelkie powody. Przeżyliśmy pieprzoną katastrofę lotniczą. Niech pani, do cholery, wezwie lekarza.

Kobieta stoi niepewna.

Scott zerka na zawieszony pod sufitem telewizor. Dźwięk ściszone, ale na ekranie widać pływające po oceanie łodzie ekipy ratunkowej. Wielki nagłówek informuje: zaginął prywatny samolot.

– Proszę – oznajmia Scott i wskazuje ekran. – To my. Teraz mi pani wierzy?

Pielęgniarka patrzy na telewizor, na którym widać unoszące się na falach szczątki wraku. Jej reakcja jest natychmiastowa, jakby Scott pokazał jej paszport na przejściu granicznym po odegraniu wcześniej gorączkowych poszukiwań.

Wciska przycisk interkomu.

– Kod pomarańczowy – informuje. – Potrzebuję natychmiast wszystkich dostępnych lekarzy.

Skurcze w nodze Scotta osiągają poziom krytyczny. Jest odwodniony i ma niedobór potasu jak maratończyk, który nie dostarczył organizmowi odpowiedniego odżywienia.

– Jeden... – mówi, osuwając się na podłogę – ...powinien wystarczyć.

Leży na chłodnym linoleum i patrzy w górę na chłopca. Jego twarz jest poważna i zatroskana. Scott próbuje uśmiechnąć się krzepiąco, ale nawet jego usta są wycieńczone. W jednej chwili otacza ich personel medyczny i podniesione głosy. Scott czuje, że podnoszą go na wózek szpitalny. Ręka chłopca wyslizguje się z jego dłoni.

– Nie! – krzyczy chłopiec. Wrzeszczy i miota się. Lekarz mówi do niego i próbuje wytłumaczyć, że zaopiekują się nim i nic złego się nie stanie. To nie ma znaczenia. Scott z trudem siada.

– Hej, mały. – Stopniowo podnosi głos, aż dzieciak w końcu spogląda na niego. – W porządku. Jestem tutaj.

Schodzi z wózka. Nogi ma jak z waty i ledwie może ustać.

– Proszę pana – odzywa się pielęgniarka. – Musi się pan położyć.

– Dam radę. Pomóżcie jemu – mówi do lekarzy Scott. – Jestem tutaj – odzywa się do chłopca. – Nigdzie się stąd nie ruszę.

W dziennym świetle oczy chłopca są zdumiewająco niebieskie. Po chwili dzieciak przytakuje. Bliski omdlenia Scott zwraca się do lekarza:

– Musimy to zrobić szybko. Jeśli to nie kłopot.

Lekarz kiwa głową. Jest młody i bystry. Widać to w jego oczach.

– Dobrze – zgadza się. – Ale posadzę pana na wózku.

Scott przytakuje. Pielęgniarka przysuwa mu wózek, a on opada na niego.

– Jest pan jego ojcem? – pyta, gdy jadą do gabinetu.

– Nie – odpowiada Scott. – Dopiero się poznaliśmy.

W gabinecie lekarz szybko ogląda chłopca, sprawdza, czy nie ma złamań, świeci mu latarką w oczy i prosi, by wodził wzrokiem za jego palcem.

– Musimy podłączyć mu kroplówkę – informuje Scotta. – Jest mocno odwodniony.

– Hej, kolego. – Scott odwraca się do chłopca. – Lekarz musi wbić ci igłę w rękę, dobrze? Muszą podać ci płyny i, hm, witaminy.

– Żadnych igieł – odpowiada ze strachem w oczach chłopiec. Jeszcze jedno nieodpowiednie słowo i dziecko zwariuje.

– Ja też ich nie lubię – pociesza go Scott. – Ale wiesz co? Mnie też taką wbijają. Okej? Zrobimy to razem. Co ty na to?

Chłopiec rozważa propozycję. Wydaje się sprawiedliwa. Kiwa głową.

– W porządku – mówi Scott. – Złap mnie za rękę i... nie patrz, dobrze? Może pan obsłużyć nas razem? – pyta lekarza.

Lekarz przytakuje i wydaje polecenia. Pielęgniarki przygotowują igły i wieszają worki na metalowych stojakach.

– Patrz na mnie – instruuje chłopca Scott, gdy nadchodzi czas na wkłucie.

Oczy dziecka przypominają niebieskie spodki. Chłopiec wzdryga się, kiedy igła wbija mu się w ciało. Łzy napływają mu do oczu, a dolna warga zaczyna drżeć, ale nie płacze.

– Jesteś moim bohaterem – chwali malca Scott. – Moim największym bohaterem.

Czuje, jak płyny docierają do jego organizmu. Poczucie, że zaraz zemdleje, znika niemal natychmiast.

– Dam wam obu łagodny środek uspokajający – wyjaśnia lekarz. – Wasze ciała pracowały ponad swoje siły, aby utrzymać odpowiednią temperaturę. Musicie trochę zwolnić.

– Ja mam się dobrze – oznajmia Scott. – Zajmijcie się najpierw nim.

Lekarz widzi, że nie ma sensu się spierać. Wprowadza igłę do przewodu kroplówki chłopca.

– Trochę sobie odpoczniesz – tłumaczy mu Scott. – Będę tuż obok. Mogę wyjść na chwilę, ale wrócę, dobrze?

Chłopiec przytakuje. Scott dotyka czubka jego głowy. Przypomina sobie, jak w wieku dziewięciu lat spadł z drzewa i złamał nogę. Pamięta, że przez cały czas był dzielny, ale kiedy w szpitalu pojawił się tata, Scott zaczął głośno płakać. Rodzice tego chłopca najprawdopodobniej nie żyją. Nikt nie wejdzie przez drzwi i nie pozwoli mu się rozkleić.

– Brawo – mówi do chłopca, gdy oczy dziecka zaczynają się zamykać. – Świetnie sobie radzisz.

Kiedy chłopiec zasypia, Scott zostaje przewieziony na wózku do drugiego gabinetu. Pielęgniarki kładą go na łóżku i rozcinają koszulę. Ma wrażenie, że jego bark to zatarty silnik.

– Jak się pan czuje? – pyta go lekarz. Ma około trzydziestu ośmiu lat, a wokół oczu zmarszczki mimiczne.

– No wie pan, wszystko zaczyna wirować – odpowiada Scott.

Lekarz przeprowadza powierzchowne oględziny, sprawdza, czy nie ma widocznych ran lub siniaków.

– Naprawdę przepełnął pan cały dystans w ciemności?

Scott przytakuje.

– Pamięta pan coś?

– Rozmywają mi się szczegóły.

Lekarz sprawdza mu oczy.

– Uderzył się pan w głowę?

– Chyba tak. W samolocie, zanim się rozbiliśmy...

Światło z małej latarki na chwilę go oślepia. Lekarz cmoka.

– Odruchy oczne są prawidłowe. Nie sędzę, by doznał pan wstrząśnienia mózgu.

Scott robi wydech.

– Nie sędzę, by mi się udało płynąć całą noc ze wstrząśnieniem mózgu.

Lekarz rozważa uwagę.

– Pewnie ma pan rację.

Gdy ciało Scotta się rozgrzewa, a płyny w jego organizmie zostają uzupełnione, zaczyna sobie przypominać. Wracają do niego ogólne informacje o świecie, pojęcie krajów i obywateli, życia codziennego, internetu, telewizji. Myśli o swojej trójnogiej suczce, która została u sąsiadki, jak niewiele brakowało, by już nigdy nie zjadła podawanego pod stołem klopsa. Oczy Scotta zachodzą łzami, ale odgania je.

– Co mówią w wiadomościach? – pyta.

– Niewiele. Mówią, że samolot wystartował wczoraj około dziesiątej wieczorem. Kontrola lotów widziała go na radarze przez mniej więcej piętnaście minut, a potem po prostu zniknął. Żadnego sygnału SOS. Nic. Mieli nadzieję, że popsulo się radio i wylądowaliście gdzieś awaryjnie, ale potem z łodzi rybackiej dostrzeżono fragment skrzydła.

Przez chwilę Scott jest z powrotem w oceanie, odgarnia wodę w atramentowej głębinie, otoczony pomarańczowymi płomieniami.

– Czy ktoś inny... ocalał?

Doktor potrząsa głową. Skupia się na barku Scotta.

– Czy to boli? – pyta i delikatnie unosi ramię pacjenta.

Ból pojawia się natychmiast. Scott krzyczy.

– Zróbmy zdjęcie rentgenowskie i tomografię komputerową – instruuje pielęgniarkę. – Zleciłem tomografię również dla chłopca – wyjaśnia Scottowi. – Chcę się upewnić, że nie ma krwotoków wewnętrznych. – Kładzie dłoń na jego ramieniu. – Ocalił mu pan życie. Wie pan o tym, prawda?

Po raz drugi Scott próbuje odegnać łzy. Przez dłuższy czas nie jest w stanie nic powiedzieć.

– Zadzwoń na policję – informuje go lekarz. – Niech wiedzą, że pan tu jest. Jeśli będzie pan czegoś potrzebował, czegokolwiek, proszę powiedzieć pielęgniarce. Zajrzę do pana za kilka minut.

Scott kiwa głową.

– Dziękuję.

Lekarz patrzy na Scotta jeszcze przez chwilę i potrząsa głową.

– Cholera – mówi z uśmiechem.

Kolejne godziny wypełniają badania. Po podaniu ciepłych płynów temperatura ciała Scotta wraca do normy. Dostaje vicodin na uśmierzanie bólu i na chwilę odpływa w półsenne zapomnienie. Okazuje się, że bark jest zwichnięty, a nie złamany. Procedura wstawienia go na miejsce to niewyobrażalny akt przemocy przypominający uderzenie

pioruna, po którym natychmiast następuje ulga tak intensywna, że Scott ma wrażenie, iż uszkodzenie zostało wstecznie wymazane z jego ciała.

Pod naciskiem próśb Scotta lekarz umieszcza go w sali chłopca. Normalnie dzieci przebywają w oddzielnym skrzydle szpitala, ale ze względu na okoliczności lekarz godzi się, by zrobić wyjątek. Gdy przywożą Scotta na wózku, chłopiec jest już przebudzony i zajada galaretki.

– Czy któreś są smaczne? – dopytuje Scott.

– Zielone – odpowiada chłopiec ze zmarszczonym czołem.

Łóżko Scotta znajduje się pod oknem. Nigdy wcześniej nie czuł na skórze niczego bardziej nieprzyjemnego niż drapiąca szpitalna pościel. Po drugiej stronie ulicy widać drzewa i domy. Obok przejeżdżają samochody błyskające przednimi szybami. Ścieżką rowerową pod prąd biegnie kobieta. Na pobliskim podwórzu mężczyzna w niebieskiej czapce z daszkiem kosi trawę kosiarką elektryczną.

Wydaje się to niemożliwe, ale życie płynie dalej.

– Spałeś, co?

Chłopiec wzrusza ramionami.

– Czy mamusia już przysłała? – pyta.

Scott próbuje utrzymać neutralny wyraz twarzy.

– Nie – odpowiada. – Dzwoniłem do... Masz chyba ciocię i wujka w Westchester. Już tu jadą.

Chłopiec się uśmiecha.

– Ellie – mówi.

– Lubisz ją?

– Jest zabawna – odpowiada chłopiec.

– To dobrze, że jest zabawna. – Scottowi oczy zaczynają się kleić. Słowo „wykończony” nie oddaje ciężkiej jak ołów grawitacji, która właśnie w tym momencie ciągnie w dół jego kości. – Prześpię się chwilę, jeśli nie masz nic przeciwko.

Jeśli chłopiec ma na ten temat inne zdanie, Scott go nie słyszy. Zasypia, zanim chłopiec zdąży mu odpowiedzieć.

Drzemie przez chwilę, bezsennym snem przypominającym zamkowy loch. Kiedy się budzi, łóżko chłopca jest puste. Scott panikuje. Wstał już do połowy z łóżka, gdy drzwi łazienki otwierają się i wychodzi chłopiec, ciągnąc za sobą stojak na kroplówkę.

– Musiałem się wysiusiać.

Przychodzi pielęgniarka, by sprawdzić ciśnienie Scotta. Przyniosła pluszową zabawkę dla chłopca, brązowego misia z czerwonym sercem w łapkach. Dziecko bierze go w ręce,

wydając radosny odgłos, i natychmiast zaczyna się bawić.

– Dzieci – mówi pielęgniarka i potrząsa głową.

Scott kiwa głową. Teraz, gdy się przespał, chce się dowiedzieć więcej o katastrofie. Pyta pielęgniarkę, czy może wstać z łóżka. Kobieta przytakuje, ale każe mu nie odchodzić za daleko.

– Niedługo wrócę, kolego, dobrze?

Chłopiec potakuje i dalej bawi się misiem.

Scott zakłada cienki bawełniany szlafrok na szpitalną koszulę i idzie ze stojakiem na kropłówkę do pustej świetlicy. To wąskie pomieszczenie z krzesłami z płyty wiórowej. Znajduje kanał z wiadomościami i podkreca dźwięk.

– ...był to samolot OSPRY, wyprodukowany w Kansas. Na pokładzie znajdowali się David Bateman, prezes ALC News, i jego rodzina. Potwierdzono również, że wśród pasażerów byli Ben Kipling i jego żona, Sarah. Kipling był starszym partnerem w firmie Wyatt, Hathaway, finansowym gigancie. Powtórzmy, że samolot prawdopodobnie spadł do Oceanu Atlantyckiego u wybrzeży Nowego Jorku wczoraj, niedługo po dziesiątej wieczorem.

Scott wpatruje się w obrazy na ekranie, zdjęcia szarych oceanicznych fal wykonane z helikoptera. W łodzi straży przybrzeżnej i ciekawskich weekendowych żeglarzy. Chociaż wie, że wrak zdążył już odpłynąć, może nawet setki kilometrów, nie jest w stanie pozbyć się myśli, że niedawno sam tam był, jak opuszczona boja unosząca się w ciemności.

– Według najnowszych doniesień – informuje prezenter – Biuro do spraw Kontroli Aktywów Zagranicznych Departamentu Skarbu prawdopodobnie prowadziło dochodzenie w sprawie działalności Bena Kiplinga i miało wkrótce przedstawić mu zarzuty. Zakres i źródło dochodzenia nie są jeszcze jasne. O rozwoju wydarzeń będziemy państwa informować na bieżąco.

Na ekranie pojawia się zdjęcie Bena Kiplinga, młodszego, z bujniejszą czupryną. Scott pamięta jego brwi. Uświadamia sobie, że poza nim i chłopcem reszta pasażerów samolotu funkcjonuje już tylko w czasie przeszłym. Ta myśl sprawia, że włosy na karku stają mu dęba, i przez chwilę ma wrażenie, że zaraz zemdleje. Wtedy rozlega się pukanie do drzwi. Scott podnosi wzrok i widzi grupę mężczyzn w garniturach krążących po korytarzu.

– Pan Burroughs? – odzywa się pukający. Afroamerykanin ma niewiele ponad pięćdziesiąt lat i siwiejące włosy. – Nazywam się Gus Franklin. Jestem z NTSB, Narodowej Rady Bezpieczeństwa Transportu.

Scott zaczyna wstawać. To odruch wynikający z dobrych manier.

– Nie – protestuje Gus. – Wiele pan przeszedł.

Scott siada z powrotem na sofie i szczelniej okrywa nogi szlafrokiem.

– Właśnie... oglądałem to w telewizji. Akcję ratowniczą. Szukanie ocalałych? Nie wiem, jak to określić. Chyba nadal jestem w szoku.

– Oczywiście – przytakuje Gus. Rozgląda się po małym pomieszczeniu.

– Niech... powiedzmy maksymalnie cztery osoby w sali – informuje swoją kohortę. – Inaczej zrobi się nieco klaustrofobicznie.

Odbywa się szybka narada. W końcu zgromadzeni ustalają, że zostanie sześć osób, Gus i dwie inne w sali (mężczyzna i kobieta) oraz dwie pozostałe w drzwiach. Gus siada na kanapie obok Scotta. Kobieta stoi na lewo od telewizora. Po jej prawej szczupły mężczyzna z brodą. Są, z braku lepszego określenia, frajerami. Kobieta ma kucyk i okulary. Facet prezentuje fryzurę za osiem dolarów i garnitur z J.C. Penney. Dwaj mężczyźni w drzwiach wyglądają bardziej poważnie, mają lepsze stroje i wojskowe fryzury.

– Jak już wspomniałem – mówi Gus. – Jestem z NTSB. Leslie reprezentuje FAA, Federalną Administrację Lotnictwa, a Frank OSPRY. W drzwiach stoi agent specjalny O'Brien z FBI i Barry Hex z OFAC, Biura do spraw Kontroli Aktywów Zagranicznych Departamentu Skarbu.

– OFAC – odzywa się Scott. – Właśnie słyszałem coś na ten temat w telewizji.

Hex w milczeniu żuje gumę.

– Jeśli czuje się pan na siłach – informuje Gus – chcielibyśmy zadać panu kilka pytań na temat lotu, pasażerów i okoliczności prowadzących do wypadku.

– Zakładając, że to był wypadek – wtrąca się O'Brien. – A nie akt terrorystyczny.

Gus go ignoruje.

– Oto co wiem – wyjaśnia Scottowi. – Do tej pory nie znaleźliśmy innych ocalałych osób ani żadnych ciał. Około czterdziestu sześciu kilometrów od wybrzeży Long Island wyłowiono kilka pływających fragmentów wraku. Badamy je. – Mężczyzna pochyła się i kładzie dłonie na kolanach. – Wiele pan przeszedł, więc jeśli chce pan przerwać, proszę powiedzieć.

Scott przytakuje.

– Ktoś powiedział, że z Westchester jadą ciotka i wujek chłopca – mówi. – Czy wiemy, kiedy tu dotrą?

Gus patrzy na O'Briena, a ten wychodzi z pomieszczenia.

– Sprawdzimy to dla pana – odpowiada Gus. Wyjmuje z teczki segregator. – Po pierwsze, muszę potwierdzić, ile osób było na pokładzie samolotu.

– Nie ma pan, że tak powiem, planu podróży?

– Prywatne samoloty przedstawiają program lotu, ale listy pasażerów są mało wiarygodne.

Zagląda do papierów.

– Czy to prawda, że nazywa się pan Scott Burroughs?

– Tak.

– Czy mógłby mi pan podać numer swojego ubezpieczenia? Do naszych akt.

Scott recytuje numer, a Gus go zapisuje.

– Dziękuję – mówi. – To nam pomoże. W obrębie najbliższych trzech stanów mieszka szesnastu Scottów Burroughsów. Nie byliśmy pewni, z którym dokładnie mamy do czynienia.

Posyła Scottowi uśmiech. Scott próbuje zdobyć się na zachęcającą odpowiedź.

– Z tego co udało nam się ustalić, w skład załogi wchodził kapitan, pierwszy oficer i stewardesa. Czy rozpoznalby pan ich imiona, gdybym je panu przeczytał?

Scott potrząsa głową. Gus robi notatkę.

– Jeśli chodzi o pasażerów – kontynuuje – wiemy, że lot wyczarterował David Bateman i był na pokładzie razem z rodziną, żoną Maggie i dwójką dzieci, Rachel i JJ-em.

Scott myśli o uśmiechu, którym Maggie obdarzyła go, gdy wszedł na pokład. Ciepły i zachęcający. Kobieta, którą znał pobieżnie z rozmowy na targu – „Jak się miewasz? Jak dzieci?” – z okazjonalnych rozmów o jego pracy. Świadomość tego, że leży teraz martwa na dnie Atlantyku, przyprawia go o mdłości.

– I wreszcie – stwierdza Gus – przypuszczamy, że oprócz pana na pokładzie byli Ben Kipling i jego żona Sarah. Czy może pan to potwierdzić?

– Tak – przytakuje Scott. – Poznałem ich po wejściu do samolotu.

– Proszę opisać pana Kiplinga – prosi agent Hex.

– Hm, około stu osiemdziesięciu centymetrów wzrostu, siwe włosy. Miał, hm, bardzo wydatne brwi. To pamiętam. A jego żona była niezwykle rozmowna.

Hex patrzy na O'Briena i kiwa głową.

– Tylko gwoli wyjaśnienia – dodaje Gus. – Dlaczego był pan na pokładzie?

Scott patrzy na ich twarze. To detektywi walczący o informacje, wkładający na miejsce brakujące fragmenty. Samolot się rozbił. Czy była to usterka mechaniczna? Błąd człowieka? Kogo można za to winić? Kto jest odpowiedzialny?

– Byłem... – mówi Scott, a potem zaczyna jeszcze raz. – Poznałem Maggie, panią Bateman, na wyspie kilka tygodni temu. Na targu. Chodziłem tam co rano na kawę i ciastko, a ona przychodziła z dziećmi. Czasami też sama. Któregoś dnia zaczęliśmy rozmawiać.

– Sypiał pan z nią? – pyta O'Brien.

Scott się zastanawia.

– Nie – odpowiada. – Chociaż nie ma to znaczenia.

– Niech pan pozwoli nam zdecydować, co ma znaczenie – instruuje go O'Brien.

– Jasne – przytakuje Scott. – Ale może wytłumaczy mi pan, w jaki sposób seksualne relacje między pasażerami samolotu, który uległ katastrofie, mają znaczenie dla waszego... Co to jest właściwie? Śledztwo?

Gus kiwa szybko głową trzy razy. Zbaczają z tematu. Każda stracona minuta oddala ich od prawdy.

– Wróćmy do sedna – proponuje.

Scott wytrzymuje wzrok O'Briena przez długą, nieprzyjazną chwilę, a potem kontynuuje.

– Wpadłem na Maggie ponownie w niedzielę rano. Powiedziałem jej, że muszę na parę dni pojechać do Nowego Jorku, a ona zaprosiła mnie, bym poleciał z nimi.

– Dlaczego wybierał się pan do Nowego Jorku?

– Jestem malarzem. Mieszkam na Vineyard. Chciałem spotkać się z moim przedstawicielem i porozmawiać z kilkoma galeriami na temat wystawy. Miałem zamiar popłynąć promem, ale Maggie mnie zaprosiła i, cóż, to był prywatny samolot. Wszystko wydawało się bardzo... Niewiele brakowało, a nie poleciałbym wcale.

– Ale pan poleciał.

Scott przytakuje.

– W ostatniej chwili. Wrzuciłem kilka rzeczy do torby. Właściwie zamykali już drzwi, gdy wbiegłem na pokład.

– Chłopiec miał szczęście, że pan zdążył – stwierdza Leslie z FAA.

Scott zastanawia się nad tym. Czy to było szczęście? Czy w przeżyciu tragedii jest coś szczęśliwego?

– Czy pan Kipling wydawał się panu wzburzony? – wtrąca Hex, wyraźnie zniecierpliwiony. Prowadzi własne śledztwo, które ma niewiele wspólnego ze Scottem.

Gus go zbywa.

– Zróbmy to po kolei – stwierdza. – Ja tu dowodzę. To moje dochodzenie.

Zwraca się do Scotta:

– Z rozkładu lotów wynika, że samolot wystartował o dziesiątej sześć.

– Tak mi się wydaje – potwierdza Scott. – Nie patrzyłem na telefon.

– Może pan opisać start samolotu?

– Był... bez zakłóceń. To mój pierwszy lot prywatnym samolotem. – Patrzy na Franka, przedstawiciela OSPRY. – Bardzo przyjemny, oczywiście z wyjątkiem katastrofy.

Frank wygląda na poruszonego.

– Więc nie pamięta pan nic niezwykłego? – pyta Gus. – Żadnych nietypowych

dźwięków ani wstrząsów?

Scott wraca pamięcią do tamtych wydarzeń. Wszystko stało się tak szybko. Zanim zdążył zapiąć pas, już kołowali. Sarah Kipling mówiła do niego, pytała o jego pracę i znajomość z Maggie. Dziewczynka siedziała ze swoim iPhone'em, słuchała muzyki albo grała w grę. Chłopiec spał. A Kipling... Co on robił?

– Raczej nie – odpowiada. – Pamiętam, że czuło się bardziej siłę samolotu. Moc. Tak pewnie leci się właśnie odrzutowcem. Potem oderwaliśmy się od ziemi i zaczęliśmy się wznosić. Większość rolet była opuszczona, a w kabinie było bardzo jasno. W telewizji leciał mecz baseballowy.

– Wczoraj wieczorem grał Boston – zauważył O'Brien.

– Dworkin – mówi Frank ze znanstwem, a dwaj agenci w drzwiach się uśmiechają.

– Nie wiem, co to znaczy – informuje Scott – ale pamiętam też muzykę. Coś jazzowego. Może Sinatra?

– Czy nastąpił moment, gdy zdarzyło się coś nietypowego? – pyta Gus.

– Cóż, wpadliśmy do oceanu – stwierdza Scott.

Gus kiwa głową.

– Jak dokładnie się to stało?

– Cóż, trudno mi przypomnieć to sobie ze szczegółami – wyjaśnia Scott. – Samolot nagle skręcił, zaczął spadać i ja...

– Proszę się nie spieszyć – uspokaja Gus.

Scott przypomina sobie. Start samolotu, proponowany kieliszek wina. Przelatują mu przez głowę obrazy, głośne dźwięki, zawroty głowy jak u astronauty. Szczęk metalu. Dezorientujące wirowanie. Jak negatyw filmowy, który został pocięty, a potem wrywkowo złożony w całość. Zadaniem naszego mózgu jest poskładać wszystkie informacje przychodzące ze świata, widoki, dźwięki, zapachy, w spójną narrację. To właśnie jest pamięć, starannie wyskalowana historia na temat naszej przeszłości. Co się jednak dzieje, gdy szczegóły się rozsypują? Jak kulki gradu na blaszanym dachu, losowo świecące świetliki. Co się dzieje, kiedy życia nie da się ułożyć w linearny ciąg zdarzeń?

– Słyszałem odgłos uderzenia – mówi. – Tak mi się wydaje. Rodzaj... jakby wstrząsu.

– Eksplozja? – pyta z nadzieją w głosie mężczyzna z OSPRY.

– Nie, to znaczy, nie sędzę. Przypominało to bardziej stukanie, a potem, w tym samym momencie, samolot zaczął opadać.

Gus ma ochotę coś powiedzieć, zadać dodatkowe pytanie, ale tego nie robi.

Scott słyszy w głowie krzyk. Nie z przerażenia, ale mimowolny okrzyk, odruchową reakcję głosową na coś niespodziewanego. To dźwięk powodowany przez pojawiający się lęk, nagła, instynktowna świadomość, że nie jesteśmy bezpieczni, że czynność, w której bierzemy udział, jest bardzo, ale to bardzo ryzykowna. Twoje ciało wydaje ten dźwięk

i natychmiast oblewasz się zimnym potem. Twój zwieracz się zaciska. Twój umysł, który do tej pory poruszał się z prędkością pieszego, nagle przyspiesza i pędzi jak oszalały. Walka lub ucieczka. W tym momencie intelekt zawodzi, a kontrolę przejmuje coś pierwotnego i zwierzęcego.

Z nagłą, bolesną pewnością Scott uświadamia sobie, że ów krzyk pochodził od niego. A potem nastąpiła ciemność. Scott blednie, a Gus nachyla się w jego stronę.

– Chce pan przestać?

Scott robi wydech.

– Nie, w porządku.

Gus prosi pomocnika, aby przyniósł Scottowi napój z automatu. Gdy czekają na jego powrót, przedstawia fakty, które udało mu się zgromadzić.

– Według naszego radaru samolot był w powietrzu przez osiemnaście minut – oznajmia. – Osiągnął wysokość trzech tysięcy sześćset metrów, a potem zaczął gwałtownie spadać.

Pot płynie po plecach Scotta. Wracają do niego obrazy, wspomnienia.

– Rzeczy... „latały” to złe słowo – opowiada. – Wkoło. Przedmioty. Pamiętam moją torbę podróżną. Podniosła się nad ziemię, wisiała spokojnie w powietrzu, jakby ktoś wykonał magiczną sztuczkę, a później, kiedy sięgnąłem po nią, po prostu zniknęła. Wirowaliśmy i chyba uderzyłem się w głowę.

– Wie pan, czy samolot rozpadł się w powietrzu? – pyta Leslie z FAA. – Albo czy pilot mógł wylądować?

Scott próbuje sobie przypomnieć, ale ma w głowie jedynie prześliski zdarzeń. Potrząsa głową.

Gus przytakuje.

– Dobrze. Skończmy na tym.

– Chwileczkę – odzywa się O'Brien. – Mam jeszcze pytania.

Gus wstaje.

– Później – decyduje. – Myślę, że teraz pan Burroughs musi odpocząć.

Pozostałe osoby podnoszą się. Tym razem Scott też wstaje. Nogi mu drżą.

Gus podaje mu rękę.

– Proszę się przespać – proponuje. – Kiedy wchodziliśmy, widziałem, jak podjechały dwa wozy transmisyjne. To będzie sensacja, a pan znajdzie się w jej centrum.

Scott za nic nie potrafi zrozumieć, o co mu chodzi.

– Co ma pan na myśli? – pyta.

– Postaramy się chronić pana tożsamość tak długo, jak to możliwe – wyjaśnia Gus. –

Pana nazwisko nie figurowało na liście pasażerów, co jest pomocne. Prasa będzie jednak chciała dowiedzieć się, jak chłopiec dotarł do brzegu. Kto go uratował. To jest sensacyjna wiadomość. Jest pan teraz bohaterem, panie Burroughs. Proszę spróbować zrozumieć, co to znaczy. Na dodatek ojciec chłopca, pan Bateman, był grubą rybą. A Kipling, cóż, zobaczy pan, to bardzo zagmatwana sytuacja.

Gus wyciąga rękę, a Scott ją ściska.

– Wiele w życiu widziałem – stwierdza Gus – ale to... – Potrząsa głową. – Jest pan piekielnie dobrym pływakiem, panie Burroughs.

Scott czuje się sparaliżowany. Gus gestem wyprasza pozostałych agentów z pomieszczenia.

– Porozmawiamy jeszcze – zapowiada.

Po ich wyjściu Scott kiwa się na nogach, stojąc w pustej świetlicy. Jego lewa ręka spoczywa na poliuretanowym temblaku. W sali cisza aż dzwoni. Bierze głęboki oddech i wypuszcza powietrze. Żyje. Wczoraj o tej porze jadł na swojej werandzie z tyłu domu lunch składający się z sałatki jajecznej oraz mrożonej herbaty i patrzył na podwórze. Trójnoga suchka leżała w trawie i lizała zgięcie łapy. Miał telefony do wykonania i rzeczy do spakowania.

Teraz wszystko się zmieniło.

Prowadzi stojak na kroplówkę do okna i wygląda na zewnątrz. Na parkingu widzi sześć wozów transmisyjnych z wystawionymi antenami satelitarnymi. Zbiera się tłum. Ileż to razy spokój świata został zakłócony medialnym szumem raportów specjalnych? Skandale polityczne, serie morderstw, seks gwiazd nagrany na taśmę. Gadające głowy z idealnymi zębami rozdzierające na strzępy jeszcze ciepłe ciało. Teraz nadeszła jego kolej. Teraz to on jest sensacją, robaczkiem pod mikroskopem. Dla Scotta patrzącego przez hartowane szkło ludzie zbierający się pod bramą to armia wroga. Stoi w swojej wieżyczce i obserwuje, jak szykują maszynę oblężniczą i ostrzą miecze.

Najważniejsze, żeby uchronić przed tym chłopca, myśli.

Pielęgniarka puka w drzwi świetlicy. Scott się odwraca.

– Czas odpocząć – mówi kobieta.

Scott kiwa głową. Przypomina sobie moment zeszłej nocy, gdy po raz pierwszy mgła opadła i ukazała się Gwiazda Polarna. Odległy punkt świetlny, niosący ze sobą absolutną pewność, w którym kierunku powinni się udać.

Stojąc tak i patrząc na swe odbicie w szybie, Scott zastanawia się, czy kiedykolwiek doświadczy jeszcze takiej klarowności. Spogląda ostatni raz na rosnący tłum, a potem odwraca się i idzie do swojej sali.

Lista ofiar

David Bateman, lat 56

Margaret Bateman, lat 36

Rachel Bateman, lat 9

Gil Baruch, lat 48

Ben Kipling, lat 52

Sarah Kipling, lat 50

James Melody, lat 50

Emma Lightner, lat 25

Charlie Busch, lat 30

DAVID BATEMAN

2 kwietnia 1959 – 23 sierpnia 2015

To chaos kręcił go w pracy najbardziej. To, jak historia potrafi zacząć się od rozżarzonego węgielka, a potem pędzić przez okres życia informacji, zmieniając prędkość i kierunek, szalejąc coraz bardziej i pochłaniając wszystko na swej drodze. Gafy polityczne, strzelaniny w szkołach, kryzysy importu krajowego i międzynarodowego. Innymi słowy, wiadomości. Na dziesiątym piętrze budynku ALC dziennikarze kibicowali bombowym sensacjom, dosłownie i w przenośni, i stawiali na nie pieniądze jak w pokątnej grze w kości.

Każdy, kto określi czas trwania skandalu z dokładnością do godziny, dostanie wirówkę do sałaty, mawiał David. Cunningham zdjąłby z ręki i oddał ci własny zegarek, gdybyś był w stanie przewidzieć dosłowne brzmienie przeprosin polityka, zanim zostały ogłoszone. Napoleon proponował seks ze swoją żoną każdemu reporterowi, który nakłoniłby rzecznika prasowego Białego Domu, aby przeklął do mikrofonu. Całe godziny ustalali zasady umowy. Co liczy się jako przekleństwo? „Kurwa”, jasne. „Cholera” lub „kutas”. Ale co z „do licha”? Czy „psiakrew” wystarczy?

– Za „psiakrew” dostaniesz ręczną robótkę – oznajmił Napoleon, siedząc z nogami opartymi na biurku, lewa na prawej, ale kiedy Cindy Bainbridge nakłoniła Ariego Fleischera, by to powiedział, poinformował ją, że to się nie liczy, ponieważ jest dziewczyną.

Przy odrobinie szczęścia niewielki pożar, na przykład znalezienie nazwiska gubernatora na liście klientów prostytutki na telefon, szybko przeradzał się w szalejące piekło eksplodujące procentami udziałów jak ognistymi podmuchami i pochłaniające cały tlen z rynku mediów. David stale przypominał współpracownikom, że afery Watergate zaczęła się od zwykłego włamania.

– Czym tak właściwie było Watergate? Zwyczajnym, drugoligowym skandalem w pipidówce – mawiał.

Byli dziennikarzami dwudziestego pierwszego wieku, więźniami cyklu życia informacji. Historia nauczyła ich, by szukać skandalu na obrzeżach każdego faktu. Wszyscy mieli na swoim koncie jakieś brudy. Nic nie było proste, z wyjątkiem przekazu.

Stacja ALC News z piętnastoma tysiącami pracowników i oglądalnością oscylującą wokół dwóch milionów dziennie została założona w 2002 roku przez angielskiego miliardera, który zainwestował w nią sto milionów dolarów. David Bateman był jej architektem, ojcem założycielem. W okopach nazywano go Prezesem, ale tak naprawdę był generałem, jak George S. Patton, który stał niezachwianie, gdy ogień z karabinów maszynowych orał ziemię między jego nogami.

Za swojej kadencji David pracował po obu stronach politycznych skandali. Najpierw pełniąc rolę konsultanta politycznego, który uwijał się, by uprzedzić gafy i pomyłki

swoich kandydatów, a potem, kiedy zrezygnował z polityki, tworząc nową sieć telewizyjną nadającą wiadomości dwadzieścia cztery godziny na dobę. To było trzynaście lat temu. Trzynaście lat oburzenia i komunikatów, złośliwych podpisów na dole ekranu i przedłużającej się wojny z wyciąganiem brudów. Cztery tysiące siedemset czterdzieści pięć dni ciągłego nadawania sygnału, sto trzynaście tysięcy osiemset osiemdziesiąt godzin sportu, komentarzy i prognoz pogody, sześć milionów osiemset trzydzieści dwa tysiące osiemset minut upływającego czasu antenowego do wypełnienia słowami, zdjęciami i dźwiękiem. Niekończący się ogrom informacji niekiedy zniechęcał. Godzina po godzinie, rozciągające się w nieskończoność.

Ratowało ich to, że nie byli już niewolnikami wydarzeń, które relacjonowali. Nie byli zakładnikami działań lub bezczynności innych. To był Wielki Pomysł, który David zaproponował podczas tworzenia sieci, jego mistrzowskie posunięcie. Wiele lat temu, podczas lunchu z miliarderem, przedstawił go krótko.

– Wszystkie pozostałe stacje reagują na wiadomości. Gonią za nimi – wyjaśnił. – My będziemy tworzyć wiadomości.

Miał na myśli to, że, w odróżnieniu od CNN czy MSNBC, ALC będzie miała pewien punkt widzenia, plan działania. Oczywiście nadal będzie musiała relacjonować przypadkowe wydarzenia spowodowane siłą wyższą, śmierć celebrytów i skandale obyczajowe, ale to będzie tylko sos. Mięso i ziemniaki ich działalności będzie stanowiło przedstawianie wiadomości dnia w takiej formie, aby pasowały do przekazu stacji.

Jak podejrzewał David, miliarderowi bardzo spodobał się pomysł kontrolowania wiadomości. Był w końcu miliarderem, a miliarderzy zostawali miliarderami dzięki przejmowaniu kontroli. Po kawie przypieczętowali pomysł uściskiem dłoni.

– Jak szybko może pan zacząć? – zapytał Davida.

– Proszę dać mi siedemdziesiąt pięć milionów, a za półtora roku będę na antenie.

– Dam panu sto i proszę zrobić to w pół roku.

I tak się stało. Pół roku szalonego tworzenia stacji, podkradania dziennikarzy z innych sieci, projektowania logo i komponowania motywu muzycznego. David zobaczył Billa Cunninghama, kiedy ten rzucał sarkastyczne komentarze w drugorzędnym magazynie informacyjnym. Bill był pełnym złości białym mężczyzną z miażdżącym dowcipem. David widział więcej niż tylko miłałość programu. Miał wizję tego, kim dziennikarz mógłby się stać, gdyby zapewnić mu odpowiednią platformę: bóstwem z Wyspy Wielkanocnej, probierzem. Bill prezentował punkt widzenia, który według Davida mógł uosabiać jego markę.

– Inteligencji nie rozdają na uniwersytetach Ligi Bluszczowej² – powiedział mu Cunningham, kiedy spotkali się przy śniadaniu pierwszy raz. – Wszyscy się z nią rodzimy. Nie mogę znieść tej elitarystycznej postawy, według której nikt z nas nie jest wystarczająco bystry, by kierować własnym krajem.

– Wygłaszasz teraz tyradę – stwierdził David.

– Tak na marginesie, do którego college'u chodziłeś? – zapytał Cunningham, gotowy

do ataku.

– Do Akademii Architektury Krajobrazu Świętej Marii.

– Naprawdę? Ja chodziłem do Stony Brooks. To szkoła państwowa. Kiedy ją skończyłem, żaden z tych pojebów z Harvardu czy Yale nie chciał mi nawet podać godziny. A cipki? Zapomnij. Przez sześć lat musiałem spać z dziewczynami z Jersey, zanim dostałem swój pierwszy czas na antenie.

Byli w kubańsko-chińskiej knajpie na Ósmej Alei, jedli jajka i pili kawę w kolorze brązowej farby. Cunningham był postawnym, wysokim facetem i celowo zgrywał ważniaka. Lubił włożyć za skórę, rozpakowywać tam manatki i osiedlać się na dobre.

– Co myślisz o wiadomościach telewizyjnych? – zapytał go David.

– Gówno – odparł Cunningham, żując. – Udadają bezstronność, twierdzą, że nie zajmują żadnego stanowiska, ale zauważ, o jakich sprawach informują, kim są bohaterowie ich historii. Przeciętny pracujący człowiek? Nie ma mowy. Pobożny ojciec rodziny, który pracuje na dwa etaty, by jego dzieciak mógł pójść na studia? Żarty. Córki tych gości robią laskę prezydentowi, ale koleś ma stypendium Rhodesa, więc chyba wszystko jest w porządku. Oni twierdzą, że to obiektywne, a ja twierdzę, że to stronniczość w czystej postaci.

Kelner podszedł i zostawił rachunek, starą kartkę w linie, zapisaną przez kalkę, wyrwaną z kieszonkowego notesu. David nadal ją ma, poplamioną w rogu kawą. Oprawiona w ramkę wisi na ścianie. Dla świata Bill Cunningham był skończonym, podrzędnym Maurym Povichem, ale David widział prawdę. Cunningham był gwiazdą, lecz nie dlatego, że okazał się lepszy niż ty czy ja, a dlatego, że był tobą lub mną. Był rozwścieczonym głosem zdrowego rozsądku, normalnym facetem w nienormalnym świecie. Gdy Bill trafił na pokład, reszta układanki sama wskoczyła na swoje miejsce.

W ostatecznym rozrachunku Cunningham miał rację i David o tym wiedział. Prezenterzy wiadomości bardzo starali się sprawiać wrażenie obiektywnych, a faktycznie wcale tacy nie byli. CNN, ABC, CBS sprzedawały wiadomości jak artykuły spożywcze w supermarkecie, dla każdego coś dobrego. Ale ludzie nie chcieli wyłącznie informacji. Chcieli wiedzieć, co oznaczają. Potrzebowali perspektywy, czegoś, co wzbudzi ich reakcję. Zgadzam się lub nie. A jeśli widz przez większość czasu się nie zgadza, przełącza stację.

David chciał zmienić wiadomości w klub ludzi myślących podobnie. Pierwszymi zwolennikami stacji będą ludzie, którzy od lat głoszą jego filozofię. Tuż za nimi staną ci, którzy całe życie szukali kogoś, kto na głos wypowie to, co sami zawsze czuli w głębi serca. A kiedy zdobędzie się te dwie grupy, ciekawscy i niezdecydowani podążą tłumnie za nimi.

Okazało się, że pozornie prosta rekonfiguracja modelu biznesowego spowodowała całkowitą przemianę branży. Jednak dla Davida był to jedynie sposób na złagodzenie stresu spowodowanego czekaniem. Czym tak naprawdę jest branża informacyjna, jak nie pracą dla hipochondryków? Pełni lęku mężczyźni i kobiety rozdmuchują, a potem

analizują każdy tik i kasznięcie z nadzieją, że tym razem będzie to coś poważnego. Czekanie i martwienie się. Cóż, Davida zupełnie nie interesowało czekanie i nigdy nie należał do osób zamartwiających się.

Dorastał w Michigan. Był synem Davida Batemana seniora, pracownika fabryki samochodów GM, który nigdy nie wziął ani dnia urlopu zdrowotnego i nigdy nie opuścił zmiany. Ojciec Davida policzył kiedyś pojazdy, które zmontował w ciągu trzydziestu czterech lat pracy na linii produkcyjnej, przy montażu tylnego zawieszenia. Otrzymał wynik dziewięćdziesięciu czterech tysięcy sześciuset dziesięciu aut. Dla niego był to dowód na dobrze przeżyte życie. Płacono mu za wykonanie zadania i on je wykonywał. David senior nie zdobył wykształcenia powyżej szkoły średniej. Każdą spotkaną osobę traktował z szacunkiem, nawet absolwentów zarządzania na Harvardzie, którzy co kilka miesięcy odwiedzali fabrykę, napływając z łukowatych podjazdów Dearborn, by poklepać po plecach zwykłego człowieka.

David był jedynakiem i jako pierwszy w rodzinie poszedł do college'u. Jednak w akcie lojalności wobec ojca odmówił przyjęcia zaproszenia na Harvard (dostałby tam pełne stypendium) i wybrał Uniwersytet Michigan. Tam właśnie odkrył miłość do polityki. W Białym Domu zasiadał wówczas Ronald Reagan i coś w jego prząsnym sposobie bycia i stalowym wzroku zainspirowało Davida. Na ostatnim roku ubiegał się o stanowisko przewodniczącego grupy i przegrał. Nie mógł poszczycić się ani twarzą polityka, ani urokiem, ale miał pomysły i strategię. Widział niezbędne ruchy jak billboardy na horyzoncie, słyszał w głowie wiadomości i przesłania. Wiedział, jak wygrać, ale zwyczajnie nie mógł dokonać tego sam. Wtedy właśnie David Bateman uświadomił sobie, że jeśli chce zrobić karierę w polityce, musi działać zza kulis.

Dwadzieścia lat i trzydzieści osiem stanowych i krajowych wyborów później David Bateman zdobył sobie reputację osoby wpływowej. Zamiłowanie do walki zmienił w wysoce dochodowy biznes doradczy, a wśród jego klientów znalazła się jedna z telewizyjnych sieci informacyjnych, która wynajęła Davida, aby ulepszył ich relacje z wyborów.

Ta właśnie kombinacja pozycji w jego życiorysie pewnego marcowego dnia w 2002 roku doprowadziła do narodzin ruchu.

David obudził się przed świtem. Po dwudziestu latach w trasie kampanii wyborczych miał to już we krwi. Marty zawsze powtarzał: „Kto śpi, ten traci”, i to była prawda. Kampanie to nie konkursy piękności. Tu chodzi o wytrzymałość. To długi, paskudny, krwawy sport, w którym toczy się walka o głosy. Rzadko dochodzi do nokautu w pierwszej rundzie. Zwykle liczy się to, kto dotrwa do piętnastej i na nogach jak z waty nadal będzie odpierał miażdżące ciosy. „To właśnie oddziela to coś od czegoś innego”, lubił mawiać David. I tak nauczył się funkcjonować bez snu. Teraz potrzebował jedynie czterech godzin w ciągu nocy. W razie potrzeby mógł przetrwać na dwudziestominutowych drzemkach co osiem godzin.

W sypialnianych oknach na całą ścianę naprzeciw łóżka pojawił się pierwszy blask słońca. David leżał na plecach, patrzył na zewnątrz, a na dole parzyła się kawa. Z okna widział wieże kolejki linowej z Manhattanu na Roosevelt Island. Ich sypialnia, jego i Maggie, wychodziła na East River. Szyba o grubości *Wojny i pokoju* tłumiła niekończący się szum autostrady FDR. Była kuloodporna, podobnie jak reszta szyb okiennych w domu. Miliarder zapłacił za ich instalację. Po jedenastym września 2001 roku wszyscy byli bardziej wyczuleni na względy bezpieczeństwa.

– Nie mogę pozwolić sobie na to, by zabił cię jakiś dżihadyjski taksówkarz z wyrzutnią raketową.

Był piątek, dwudziesty pierwszy sierpnia. Maggie wyjechała z dziećmi na wyspę Martha's Vineyard już miesiąc temu, zostawiając Davida, aby samotnie przechadzał się po marmurowych posadzkach w łazience. Słyszał, jak na dole gosposia robi śniadanie. Po prysznicu zatrzymał się przy pokojach dzieci, jak robił co rano, i wpatrywał się w ich idealnie posłane łóżka. W pokoju Rachel sprzęty naukowe przeplatały się z wyrazami uwielbienia dla koni. U JJ-a wszystko miało związek z samochodami. Jak to dzieci, zmierzały w kierunku chaosu, młodzieńczego nieładu, który personel domowy systematycznie usuwał, często w czasie rzeczywistym. Teraz, patrząc na sterylny, odkurzony porządek, David zapragnął trochę nabałaganić, żeby pokój przypominał bardziej dziecięcą przestrzeń, a nie muzeum dzieciństwa. Podszedł więc do kosza z zabawkami i kopnął go.

„O, tak lepiej”, pomyślał.

Przekáže gosposi, że gdy dzieci będą wyjeżdżały z miasta, ma zostawiać ich pokoje w takim stanie, w jakim je zastała. Jeśli będzie musiał, David oklei je taśmą jak miejsce zbrodni i zrobi wszystko, by dom nabrał więcej życia.

Z kuchni zadzwonił do Maggie. Zegar na kuchence pokazywał szóstą czternaście.

– Nie śpimy od godziny – odpowiedziała żona. – Rachel czyta, a JJ obserwuje, co się dzieje, gdy wleje się do toalety płyn do zmywania naczyń.

Usłyszał jej stłumiony głos, gdy przykryła ręką słuchawkę.

– Kochanie! – krzyknęła. – To nie jest dobry wybór.

W Nowym Jorku David na migi pokazał, że chce się napić, i gospoia przyniosła mu więcej kawy. Żona wróciła do rozmowy. David słyszał w jej głosie zmęczenie, które dało się wyczuć, kiedy za długo sama opiekowała się dziećmi. Co roku próbował namówić ją, aby zabrała na wyspę opiekunkę Marię, ale Maggie zawsze odmawiała. Uważała, że wakacje letnie są dla nich, to czas rodzinny. Inaczej Rachel i JJ dorosną, wołając na nianię „mamo”, jak wszystkie inne dzieci w sąsiedztwie.

– Jest bardzo mgliście – powiedziała Maggie.

– Dostałaś moją przesyłkę? – zapytał David.

– Tak – odparła z radością w głosie. – Gdzie je znalazłeś?

– Kiplingowie. Znają gościa, który podróżuje po świecie i zbiera stare sadzonki. Jabłka z dziewiętnastego wieku, drzewa brzoskwiniowe, których nikt nie widział od czasów, gdy McKinley był prezydentem. W zeszłym roku latem jedliśmy u nich sałatkę z tych owoców.

– Pamiętam – przytaknęła Maggie. – Była pyszna. Czy były... Może to głupie, że pytam. Czy były drogie? Mam wrażenie, że to kwota, którą w wiadomościach określono by jako równowartość nowego samochodu.

– Może skutera Vespa – odrzekł David.

Pytanie o cenę było bardzo w stylu Maggie, jakby gdzieś w środku nadal nie potrafiła wyobrazić sobie, ile są warci i jakie niesie to ze sobą konsekwencje.

– Nie wiedziałam, że istnieje w ogóle coś takiego jak duńska śliwka – przyznała.

– Ja też nie. Kto by się spodziewał, że świat owoców może być tak egzotyczny?

Zaśmiała się. Gdy dobrze się dogadywali, panowała między nimi swoboda. Rytm dawania i brania płynący z życia tu i teraz, zakopywania dawnych uraz. Czasami, kiedy dzwonił rano, czuł, że żona śniła o nim w nocy. Zdarzało jej się to. Często mówiła mu o tym później, połykając słowa i nie patrząc mu w oczy. We śnie zawsze był potworem, który lekceważył ją i porzucał. Po tych wydarzeniach rozmawiali zdawkowo i chłodno.

– Posadzimy drzewka dzisiaj rano – poinformowała go Maggie. – Będziemy mieli zajęcie na cały dzień.

Gawędzili przez kolejne dziesięć minut o tym, jak wyglądał jego dzień, o której planuje wylecieć. Przez cały ten czas jego telefon brzęczał, sygnalizując najnowsze wiadomości, zmiany w programie, kryzysy, którymi trzeba się zająć. Odgłos paniki innych ludzi zredukowany do jednostajnego elektronicznego szumu. Na drugim końcu, u Maggie, dzieci wpadały i wypadały jak osy przeczesujące teren pikniku. David lubił słyszeć je w tle, docierały do niego ich sprzeczki. To właśnie różniło jego pokolenie od pokolenia jego ojca. David chciał, by jego dzieci miały dzieciństwo. Prawdziwe dzieciństwo. Pracował ciężko, żeby one mogły się bawić. Dla ojca Davida dzieciństwo było luksusem, na które jego syn nie mógł sobie pozwolić. Zabawa uważana była za pomost do próżniactwa i biedy. Życie, jak mawiał ojciec, to *Zdrowaś Mario*. Dostawałeś tylko jedną szansę i jeśli nie ćwoczyłeś codziennie, robiąc sprinterskie treningi

interwałowe i wojskowe zestawy ćwiczeń, mogłeś ją spieprzyć.

Z tego powodu Davida obciążano obowiązkami od najmłodszych lat. Gdy miał ich pięć, opróżniał pojemniki na śmieci, kiedy skończył siedem, robił pranie dla całej rodziny. W domu obowiązywała zasada, według której zadania szkolne musiały być odrobione i obowiązki domowe wypełnione, zanim rzucono choćby jedną piłkę, wyjęto rower na przejażdżkę czy wysypano żołnierzyki z puszki po kawie.

„Mężczyznę nie zostaje się przez przypadek”, powtarzał ojciec. David sam dzielił się tą dewizą, chociaż we własnej, łagodniejszej wersji. Według niego trening dorosłości zaczynał się w wieku dwucyfrowym. Uważał, że dziesięć lat to odpowiedni wiek, by zacząć myśleć o dorastaniu. By miękka jak lody włoskie naukę o dyscyplinie i odpowiedzialności, którą karmiono nas w młodości, scementować i utrwalić jako zasady zdrowego i skutecznego życia. Do tego momentu jest się dzieckiem i trzeba się zachowywać, jak na dziecko przystało.

– Tato – zaczęła Rachel. – Przywieziesz mi czerwone tenisówki? Są w mojej szafie.

David poszedł do pokoju córki i wyjął buty w trakcie rozmowy, aby nie zapomnieć.

– Wkładam je do torby – poinformował ją.

– To znowu ja – odezwała się Maggie. – Myślę, że w przyszłym roku powinieneś przyjechać tu z nami na cały miesiąc.

– Zgadzam się – odparł natychmiast. Co roku odbywali tę samą rozmowę i co roku David mówił to samo. „Przyjadę i zostanę”. A potem tego nie robił.

– To tylko cholerne wiadomości – rzekła Maggie. – Jutro będą kolejne. Poza tym czy nie wyszkoliłeś już wszystkich?

– Obiecuję, że w przyszłym roku przyjadę na dłużej – powiedział, ponieważ łatwiej było zgodzić się, niż targować o faktyczne prawdopodobieństwo, przedstawiać okoliczności łagodzące i próbować sprostać oczekiwaniom żony.

„Nigdy nie tocz jutrzejszej walki już dzisiaj”, brzmiało jego motto.

– Kłamca – odparła Maggie, jednak z uśmiechem w głosie.

– Kocham cię. Do zobaczenia wieczorem.

Na dole czekała na niego limuzyna. Dwaj ochroniarze z agencji przyjechali po niego windą. Spali na zmianę w jednym z pokoi gościnnych na parterze.

– Dzień dobry, chłopaki – przywitał ich David i założył marynarkę.

Wyprowadzili go na zewnątrz, dwaj postawni mężczyźni z pistoletami SIG-Sauer pod płaszczami, rozglądający się po okolicy w poszukiwaniu oznak zagrożenia. David codziennie dostawał obraźliwą korespondencję, wściekłe listy o Bóg wie czym, czasami nawet paczki żywnościowe z ludzkim gównem. Powtarzał sobie, że to cena za opowiedzenie się po jednej ze stron, za wyrażenie opinii o polityce i wojnie.

Pierdolę cię i twojego Boga, pisali.

Grozili jemu i jego rodzinie, a on nauczył się traktować owe pogrozki poważnie.

W limuzynie pomyślał o Rachel i trzech dniach, gdy była zaginiona. Telefony z żądaniami okupu, salon pełen agentów FBI i prywatnych ochroniarzy, Maggie płacząca w sypialni. Cudem ją odzyskali i David wiedział, że taki cud już się nie powtórzy. Żyli więc w otoczeniu nieustannego monitoringu i ochrony. „Po pierwsze, bezpieczeństwo – powtarzał dzieciom – potem zabawa, później nauka”. Tak między sobą żartowali.

Powoli posuwali się w miejskim korku. Co dwie sekundy jego telefon pikał. Korea Północna znowu przeprowadzała próby rakietowe nad Morzem Japońskim, policjant z Tallahassee zapadł w śpiączkę po strzelaninie, jaka wywiązała się podczas pościgu za samochodem, do sieci wyciekły właśnie nagie zdjęcia gwiazdki z Hollywood wysłane do biegacza z NFL. Jeśli nie jest się uważnym, można odnieść wrażenie, że owa mnogość wydarzeń zalewa nas jak fala pływowa. Ale David widział ich znaczenie i rozumiał swoją rolę. Był maszyną sortującą, która układa wiadomości według kategorii i ważności, a potem powiadamia odpowiednie działy. Pisał jednowyrazowe odpowiedzi i wciskał „wyślij”. „Bzdury”, „Słabe” lub „Więcej”. Do momentu gdy samochód zatrzymał się przed budynkiem ALC na Szóstej Alei, David zdążył już odpowiedzieć na trzydzieści trzy maile i odebrać szesnaście telefonów, a było to niewiele jak na piątek.

Ochroniarz otworzył przed nim tylne drzwi. David, w stalowoszarym garniturze, białej koszuli i czerwonym krawacie, wkroczył w rozgardiasz. Na zewnątrz powietrze miało temperaturę i konsystencję smażonego hamburgera. Czasami rankiem lubił w ostatniej sekundzie skręcać przed drzwiami frontowych i odchodzić w poszukiwaniu drugiego śniadania. To stawiało ochroniarzy w gotowości. Dzisiaj jednak miał sprawy do załatwienia, jeśli przed trzecią chciał być na lotnisku.

Biuro Davida znajdowało się na pięćdziesiątym siódmym piętrze. Szybkim krokiem wysiadł z windy, ze wzrokiem utkwionym w drzwiach gabinetu. Gdy szedł, ludzie schodzili mu z drogi, chowali się w swoich boksach, odwracali i uciekali. Chodziło nie tyle o człowieka, co o jego pozycję. A może o garnitur? David miał wrażenie, że z każdym dniem twarze wokół zdawały się młodzić. Producenci segmentów i kierownicy administracyjni, sieciowi maniacy z kozią bródką i naturalną kawą, zadowoleni z siebie, gdyż wiedzą, że są przyszłością. Każdy w branży tworzył swoją spuściznę. Niektórzy byli ideologami, inni oportunistami, ale wszyscy pracowali tu, ponieważ ALC była najlepszą siecią telewizyjną w kraju, a to za sprawą Davida Batemana.

Lydia Cox, jego sekretarka, siedziała już przy biurku. Pracowała z Davidem od 1995 roku. Miała pięćdziesiąt dziewięć lat i nigdy nie była zameżna, ale też nigdy nie miała kota. Lydia była szczupła, krótkowłosa, cechował ją swoisty, staromodny brookliński tupet, który, jak niegdyś kwitnące indiańskie plemię, dawno wygonili z gminy wrodzy gentryfikatorzy zza morza.

– Za dziesięć minut masz rozmowę telefoniczną z Sellersem – przypomniała mu od razu.

David nie zwolnił kroku. Podszedł do biurka, zdjął marynarkę i powiesił ją na oparciu

krzesła. Lydia położyła mu grafik na siedzeniu. Podniósł go i zmarszczył brwi. Zaczynanie dnia od Sellersa – coraz mniej popularnego szefa działu wiadomości z Los Angeles – było jak zaczynanie dnia od kolonoskopii.

– Jeszcze nikt go nie zadźgał? – zapytał.

– Nie – odpowiedziała Lydia, wchodząc za nim do gabinetu. – Ale w zeszłym roku kupiłeś kwatere na cmentarzu na jego nazwisko i wysłałeś mu jej zdjęcie na Boże Narodzenie.

David się uśmiechnął. Jego zdaniem w życiu było za mało podobnych momentów.

– Przełóż spotkanie na poniedziałek – polecił sekretarce.

– Dzwonił już dwa razy. „Nie waż się pozwolić mu to olać”, tak mniej więcej brzmiał jego przekaz.

– Za późno.

Na jego biurku stał kubek gorącej kawy.

– Dla mnie? – spytał, wskazując go.

– Nie – zaprzeczyła Lydia. – Dla papieża.

W drzwiach za nią pojawił się Bill Cunningham. Miał na sobie dzinsy, koszulkę i swój znak rozpoznawczy: czerwone szelki.

– Cześć – rzucił. – Masz chwilę?

Lydia odwróciła się, by wyjść. Gdy Bill odsunął się, aby ją przepuścić, David zauważył majaczącą za nim Kristę Brewer. Wyglądała na zmartwioną.

– Jasne – odparł David. – O co chodzi?

Weszli. Bill zamknął za nimi drzwi, czego zwykle nie robił. Cunningham był performerem. Jego trik polegał na narzekaniu na potajemne, zakulisowe spotkania. Innymi słowy, nic, co robił, nie było prywatne. Zamiast tego wołał dwa razy w tygodniu przychodzić do gabinetu Davida i drzeć się wniebogłosy o tym, co nieważne. To był pokaz siły, jak ćwiczenia wojskowe. Dlatego zamknięte drzwi zaniepokoiły Davida.

– Billu, czyżbyś właśnie zamknął drzwi?

Spojrzał na Kristę, szefową produkcji Billa. Wydawała się lekko zielona. Bill opadł na sofę. Miał rozpiętość ramion niczym skrzydła pterodaktyla. Jak zwykle usiadł, rozstawiając szeroko kolana, by można było zobaczyć, jak wielkie ma jaja.

– Po pierwsze – zaczął – nie jest tak źle, jak myślisz.

– Nie – powiedziała Krista. – Jest gorzej.

– Dwa dni bzdur – oznajmił Bill. – Może włączą się prawnicy. Może.

David wstał i wyjrzał przez okno. Odkrył, że najlepsze, co może zrobić w obecności showmana takiego jak Bill, to nie patrzeć na niego.

– Czyi prawnicy? – zapytał. – Twoi czy moi?

– Do diabła, Bill – rzuciła Krista, zwracając się do prezentera. – Tu nie chodzi o złamanie zasady „Nie pluj w kościele”, ale o złamanie prawa, a prawdopodobnie kilku przepisów.

David patrzył na ruch uliczny na Piątej Alei.

– O trzeciej jadę na lotnisko – oznajmił. – Myślicie, że do tego czasu rozwiążemy sprawę czy będziemy to musieli kończyć telefonicznie?

Odwrócił się i spojrział na nich. Krista skrzyżowała prowokująco ramiona. „Niech Bill to powie”, mówił jej język ciała. Posłańców zabija się za przynoszenie złych wieści, a ona nie miała zamiaru stracić pracy z powodu kolejnego głupiego błędu Cunninghama. Tymczasem Bill miał na twarzy gniewny uśmiech, jak gliniarz po strzelaninie, która według niego była uzasadniona i jest w stanie zeznać to pod przysięgą.

– Kristo... – zaczął David.

– Założył ludziom podsłuchy w telefonach – wyjaśniła.

Słowa zawisły w powietrzu. To był punkt krytyczny, ale jeszcze nie kryzys.

– Ludziom – powtórzył ostrożnie David, czując gorycz słowa na języku.

Krista spojrzała na Billa.

– Bill zna jednego gościa – wyjaśniła.

– Namor – sprecyzował Bill. – Pamiętasz go? Były członek Navy Seals i wywiadowca Pentagonu.

David potrząsnął głową. W ostatnich latach Bill zaczął otaczać się grupą świrów pokroju Gordona Liddy'ego.

– Na pewno pamiętasz – kontynuował Bill. – Piliśmy pewnego wieczoru, jakiś rok temu, i rozmawialiśmy o Moskewitzu. Pamiętasz tego kongresmena, który lubił wachać stopy czarnych dziewczyn? Namor śmiał się i zastanawiał, czyż nie byłoby wspaniale, gdybyśmy zdobyli te nagrania na taśmie. Czyste telewizyjne złoto, prawda? Żydowski kongresmen opowiadający czarnej dziewczynie, że chce powachać jej stopy. Więc mówię: „Jasne, byłoby świetnie”. Tak czy inaczej, zamawiamy jeszcze kilka drinków i Namor mówi: „Wiesz...”.

Bill zamilkł na chwilę, by osiągnąć większą dramaturgię. Nie był w stanie tego kontrolować. Miał naturę performerera.

– „...wiesz, to nie jest trudne”. To mówi Namor. W zasadzie powiedział, że to kurewsko łatwe. Wszystko przechodzi przez serwer, a wszyscy mają skrzynki mailowe i komórki. Mają hasła do poczty głosowej i loginy do wysyłania esemesów. A do całego tego gówna można mieć dostęp. Można je złamać. Jeśli zna się czyjś numer telefonu, można po prostu sklonować ten telefon i za każdym razem gdy właściciel go odbierze...

– Nie – zaprotestował David, czując, jak fala gorąca wędruje mu wzdłuż kręgosłupa

od samego tyłka.

– Dobra – kontynuował Bill. – To tylko gadka dwóch gości w barze o pierwszej w nocy. Męskie przechwałki. Ale potem powiedział, żebym wybrał nazwisko, osobę, której rozmowy chciałbym usłyszeć. Więc mówię: „Obama”, a on na to: „To Biały Dom. Niemożliwe. Wybierz kogoś innego. Z niższej półki”. W takim razie mówię: „Kellerman”. Wiesz, ten gówniany liberalny reakcjonista z CNN. A on na to: „Załatwione”.

David usiadł na krześle, chociaż nie pamiętał, kiedy ostatnio siedział. Krista patrzyła na niego wzrokiem mówiącym: „To jeszcze nie wszystko”.

– Bill – oznajmił, potrząsając głową, z rękami w górze. – Przestań. Nie mogę tego słuchać. Powinieneś rozmawiać z prawnikiem.

– To samo mu powiedziałam – przytaknęła Krista.

Cunningham zbył ich ruchem dłoni jak kilka pakistańskich sierot na bazarze w Islamabadzie.

– Nic nie zrobiłem – oznajmił. – Wybrałem nazwisko. A poza tym kogo to obchodzi? Byliśmy tylko dwoma pijakami w barze. Poszedłem do domu i zapomniałem o całej sprawie. Tydzień później Namor przychodzi do biura. Chce mi coś pokazać. Wchodzimy do mojego gabinetu, a on wyciąga napęd Zip i wkłada do mojego komputera. Są na nim te wszystkie pliki dźwiękowe. Pieprzony Kellerman! Rozmawia ze swoją matką, pracownikiem pralni, ale też ze swoim producentem na temat wycięcia z materiału kilku fragmentów, by historia nabrała innego wyrazu.

Davidowi przez chwilę kręci się w głowie.

– Czy w ten właśnie sposób... – nie kończy.

– Tak, do cholery. Znaleźliśmy oryginalny materiał i puściliśmy ten kawałek. Bardzo ci się podobał.

David wstał ponownie, z zaciśniętymi pięściami.

– Myślałem, że to dziennikarstwo – oznajmił. – A nie...

Bill zaśmiał się, potrząsając głową, zadziwiony własną pomysłowością.

– Muszę ci puścić te taśmy. To klasyka.

David przeszedł na drugą stronę biurka.

– Przestań mówić.

– Gdzie idziesz? – zapytał Bill.

– Ani słowa nikomu, do cholery – nakazał David. – Oboje. – I wyszedł z gabinetu.

Lydia siedziała przy swoim biurku.

– Mam Sellersa na drugiej linii – poinformowała.

David nie zatrzymał się ani nie odwrócił. Szedł przez rzędy boksów, a pot ściekał mu po bokach. To mógł być ich koniec. Czuł to w kościach, nie musiał nawet słuchać reszty

opowieści.

– Z drogi! – krzyknął na grupę mężczyzn z fryzurami na jeża, w koszulach z krótkim rękawem. Rozbiegli się jak króliki.

Z głową pełną myśli dotarł do wind, nacisnął przycisk, a potem, nie czekając, aż któraś przyjedzie, kopniakiem otworzył drzwi na schody i zszedł na niższe piętro. Przemierzał korytarze jak szalony zabójca z karabinem szturmowym, aż znalazł Lieblinga w sali konferencyjnej, siedzącego razem z szesnastoma innymi prawnikami.

– Wynocha – rozkazał. – Wszyscy.

Szybko usunęli mu się z drogi, bezimienne garnitury z prawniczym wykształceniem, a zamykane drzwi uderzyły ostatniego w pięty. Na twarzy wciąż siedzącego Dona Lieblinga rysował się wyraz dezorientacji. Był ich prawnikiem firmowym, miał około pięćdziesiątki i ćwiczył pilates.

– Jezu, Bateman – powiedział.

David chodził w tę i z powrotem.

– Cunningham. – Przez chwilę tylko tyle mógł powiedzieć.

– Cholera – odezwał się Liebling. – Co ten mokry kutas znowu nawyprawiał?

– Słyszałem tylko część historii – wyjaśnił David. – Kazałem mu się zamknąć, zanim mógłbym zostać uznany za jego poplecznika.

Liebling zmarszczył czoło.

– Powiedz mi, że w jakimś hotelu nie leży martwa prostytutka.

– Niestety – przyznał David. – Martwa prostytutka byłaby niczym w porównaniu z tym.

Spojrzał w górę i zobaczył samolot wysoko nad Empire State Building. Przez moment poczuł przemożną chęć, by znaleźć się na jego pokładzie i polecieć gdzieś, gdziekolwiek. Opadł na skórzane krzesło i przeczesał dłonią włosy.

– Ten kutafon założył podsłuch w telefonie Kellermana. Prawdopodobnie również innych. Miałem przecucie, że zaczniesz wymieniać ofiary jak seryjny zabójca, więc wyszedłem.

Liebling wygładził krawat.

– Mówiąc: założył podsłuch w telefonie...

– Zna jakiegoś gościa, konsultanta z wywiadu, który powiedział, że może załatwić Billowi dostęp do maila lub telefonu każdego, kogo chce.

– Jezu.

David oparł się na krzesło i spojrzał w sufit.

– Musisz z nim porozmawiać.

Liebling skinął głową.

– Potrzebuje własnego prawnika – stwierdził. – Chyba korzysta z usług Frankena. Zadzwoń do niego.

David zastukał palcami w blat stołu. Poczł się stary.

– A jeśli to byli kongresmeni lub senatorowie? – zapytał. – Mój Boże. Wystarczy, że szpieguje konkurencję.

Liebling się zastanowił. David zamknął oczy i wyobraził sobie, jak Rachel i JJ kopią dołki na podwórzu i sadzą stare odmiany jabłoni. Powinien był wziąć miesiąc wolnego, powinien być teraz z nimi, w klapkach, z Krwawą Mary w szklance, i śmiać się za każdym razem, gdy syn powie: „Co tam, tatku, kurzy zadku?”.

– Czy to może nas pogrążyć?

Liebling ruchem głowy wykręcił się od odpowiedzi.

– Pogrąży jego, to pewne.

– Ale nas zrani?

– Bez wątpienia – przyznał. – Coś takiego. Może dojść do przesłuchań w Kongresie. W najlepszym wypadku przez dwa lata będziesz miał na karku FBI. Będą rozważali odebranie nam licencji nadawczej.

David się zastanowił.

– Powinienem odejść?

– Dlaczego? O niczym nie wiedziałeś. Prawda?

– To nie ma znaczenia. Powinienem był wiedzieć. – Potrząsnął głową. – Pieprzony Bill.

Ale to nie była wina Billa, pomyślał David. To on zawinił. Cunningham był jego podarunkiem dla świata, wściekłym białym mężczyzną, którego ludzie zapraszali do swoich domów, aby wymyślał światu, uskarżał się na system, który okradał nas ze wszystkiego, na co naszym zdaniem zasługiwaliśmy, na kraje Trzeciego Świata, które odbierają nam pracę, na polityków, którzy podnoszą podatki. Bill Cunningham, Pan Szczerzy, Pan Boska Sprawiedliwość, który siedział w naszych salonach i dzielił z nami ból, mówił nam to, co chcieliśmy usłyszeć, że przegrywamy nie dlatego, że jesteśmy frajerami, ale ponieważ ktoś sięga do naszych kieszeni, kieszeni naszych firm i kraju, i zabiera to, co prawnie nam się należy.

Bill Cunningham był głosem ALC News i postradał zmysły. Był Kurtzem w dżungli i David powinien zdać sobie z tego sprawę, powinien wyciągnąć go z niej, ale notowania szły ciągle w górę i strzały, które Bill wymierzał wrogowi, trafiały prosto w cel. Byli najlepszą siecią, i to miało największe znaczenie. Czy Bill był diwą? Oczywiście. Ale z diwami można sobie poradzić, podczas gdy wariaci...

– Muszę zadzwonić do Rogera – oznajmił, mając na myśli miliardera. Swojego szefa.

SZEFA.

– I co mu powiesz? – zapytał Liebling.

– Na co się zanosz. Że to coś nadchodzi i powinien się przygotować. Musisz znaleźć Billa, zaciągnąć go do pokoju i obić go skarpetą pełną pomarańczy. Sprowadź Frankena. Dowiedz się prawdy, a potem ochroń nas przed nią.

– Czy pokaże się dzisiaj na wizji?

David się zastanowił.

– Nie. Jest chory, ma grypę.

– Nie spodoba mu się to.

– Powiedz mu, że ma wybór, pójdzie do więzienia albo połamiemy mu rzepki. Zadzwoń do Hancocka. Dziś rano ogłosimy, że Bill jest chory. W poniedziałek puścimy *Najlepsze informacje tygodnia*. Nie chcę tego gościa więcej na wizji.

– Nie odejdzie po cichu.

– Nie – przytaknął David. – Nie odejdzie.

URAZY

W nocy, kiedy śpi, Scott śni o rekinie, zachłannym, z gładkimi mięśniami. Budzi się spragniony. Szpital to ekosystem pisków i szumów. Na zewnątrz słońce dopiero wstaje. Scott patrzy na wciąż śpiącego chłopca. Dźwięk w telewizorze jest przyciszony i biały szum nawiedza ich sen. Ekran jest podzielony na pięć okien, a na samym dole pełnie pasek informacyjny. Poszukiwanie osób, które przeżyły katastrofę, trwa. Najwyraźniej marynarka sprowadziła nurków i głębinowe statki zanurzalne, by spróbować odnaleźć szczątki pod wodą i wydostać ciała ofiar. Scott patrzy, jak mężczyźni w czarnych piankach schodzą z pokładu kutra straży przybrzeżnej i znikają w wodzie.

– Mówią, że to wypadek – oznajmia z największego okna Bill Cunningham, wysoki mężczyzna z teatralną fryzurą i kciukami założonymi za szelki. – Ale wy i ja wiemy, że nie ma wypadków. Samoloty nie spadają z nieba ot tak, podobnie jak nasz prezydent nie zapomniał, że Kongres był na wakacjach, kiedy mianował sędzią tego szczura Rodrigueza.

– Cunningham ma zamglony wzrok i przekrzywiony krawat. Jest na antenie od dziewięciu godzin, a teraz wygłasza niekończący się pean na cześć swego zmarłego szefa: – David Bateman, którego znałem, mój szef i przyjaciel, nie mógł zostać zabity przez usterkę mechaniczną czy błąd pilota. Był aniołem zemsty, amerykańskim bohaterem. A stojący przed wami reporter wierzy, że mówimy tutaj o niczym innym jak tylko o akcie terroryzmu, jeśli nie ze strony obywateli obcych państw, to pewnych członków liberalnych mediów. Samoloty nie rozbijają się tak po prostu. To był sabotaż. To był pocisk wyrzutni raketowej wystrzelony z wyścigowej łodzi motorowej. To był dżihadysta w kamizelce samobójcy na pokładzie samolotu, prawdopodobnie w roli członka załogi. Morderstwo, moi przyjaciele, dokonane przez wrogów wolności. Dziewięć ofiar, w tym dziewięcioletnia dziewczynka. Dziewięć lat. Dziewczynka, która już doświadczyła w swoim życiu tragedii. Dziewczynka, którą trzymałem w ramionach po urodzeniu, której zmieniałem pieluchy. Powinniśmy tankować nasze myśliwce. Oddziały Navy Seals powinny skakać z wysoko latających samolotów i atakować jak rekiny z łodzi podwodnych. Umarł wielki patriota, ojciec chrzestny wolności na Zachodzie. I dojdziemy do sedna sprawy.

Scott ścisza dźwięk. Chłopiec porusza się, ale się nie budzi. We śnie nie jest jeszcze sierotą. We śnie jego rodzice i siostra nadal żyją. Całują go w policzek i łaskoczą w zębra. We śnie jest poprzedni tydzień i chłopiec biegnie po piasku, trzymając za szczyptę wijącego się zielonego kraba. Z brązowymi włosami rozjaśnionymi przez słońce i twarzą obsypaną piegami pije przez słomkę napój pomarańczowy i je frytki świderki. Kiedy się obudzi, przez moment sny będą prawdziwe, a miłość, którą nosi ze sobą, wystarczy, aby utrzymać prawdę na dystans. Ale potem ta chwila przeminie. Chłopiec zobaczy twarz

Scotta albo wchodzącą pielęgniarkę i w jednej chwili ponownie stanie się sierotą. Tym razem na zawsze.

Scott odwraca się i patrzy przez okno. Mają ich dzisiaj wypisać, jego i chłopca, zostaną wydalenii z zapętlonego głośnika szpitalnego życia, gdzie co pół godziny sprawdzano im ciśnienie, mierzono temperaturę i podawano posiłki. Poprzedniego wieczoru przyjechali ciotka i wujek chłopca, z zaczerwienionymi oczami i posępnym wyrazem twarzy. Ciotka Eleanor jest młodszą siostrą Maggie. Śpi teraz na krześle z twardym oparciem obok łóżka chłopca. To ładna, około trzydziestoletnia masażystka z Croton-on-Hudson w hrabstwie Westchester. Jej mąż, wuj chłopca, jest pisarzem, zwariowanym na punkcie kontaktu wzrokowego, typem półgłówka, który latem zapuszcza brodę. Scott ma co do niego złe przeczucia.

Od katastrofy minęły trzydzieści dwie godziny, mgnienie oka i cała wieczność. Scott musi się jeszcze wykapać, gdyż skórę ma nadal słoną od wody morskiej. Jego lewa ręka wisi na temblaku. Nie ma dowodu tożsamości ani spodni, a jednak, pomimo to, nadal zamierza udać się później do miasta. Ma zaplanowane spotkania. Musi nawiązać relacje zawodowe. Znajomy Scotta, Magnus, zaproponował, że przyjedzie po niego do Montauk. Scott myśli, że miło będzie zobaczyć kolegę, znajomą twarz. Łączą ich właściwie niezbyt bliskie relacje, dalekie od braterskich, są raczej kumplami od kieliszka, ale Magnus jest zarówno opanowany, jak i nieustannie optymistyczny, dlatego to do niego Scott zadzwonił poprzedniego wieczoru. Ważne, aby unikał rozmowy z kimś, kto mógłby się rozplakać. Chciał rozmawiać normalnie. Taki miał cel. W zasadzie, kiedy skończył opowiadać Magnusowi, który nie posiadał telewizora, co się wydarzyło, kolega oznajmił, że to dziwne, a potem zaproponował wypad na piwo.

Scott odwraca się i widzi, że chłopiec się obudził i patrzy na niego, nie mrugając oczami.

– Hej, kolego – zagaduje do niego po cichu, by nie obudzić ciotki. – Dobrze spałeś?

Chłopiec kiwa głową.

– Chcesz, żebym włączył jakieś kreskówki?

Kolejne skinienie. Scott znajduje pilota i przerzuca kanały, aż znajduje jakiś film animowany.

– *SpongeBob*? – pyta.

Chłopiec ponownie przytakuje. Od wczorajszego popołudnia nie powiedział ani słowa. W czasie pierwszych kilku godzin po dotarciu do brzegu można było wydobyć z niego parę słów, jak się czuje, czy czegoś potrzebuje. Ale potem, niczym zamykająca się, puchnąca rana, przestał mówić i nadal milczy.

Scott dostrzega na stole pudełko pudrowanych gumowych rękawiczek do badania. Obserwowany przez chłopca, wyciąga jedną.

– Oho – mówi, a potem udaje, że zbiera mu się na wielkie kichnięcie. Z gromkim „a psik!” zwiesza rękawiczkę z dziurki od nosa. Chłopiec się uśmiecha.

Ciotka budzi się i przeciąga. Jest piękną kobietą. Ma klasyczną fryzurę z grzywką i przypomina osobę, która jazdę drogim samochodem rekompensuje niemyciem go. Scott obserwuje twarz Eleanor, gdy ta odzyskuje pełną świadomość, zdaje sobie sprawę, gdzie jest i co się stało. Przez moment Scott ma wrażenie, że kobieta załamała się pod ciężarem świadomości, ale potem Eleanor widzi chłopca i zmusza się do uśmiechu.

– Cześć – mówi i odgarnia mu włosy z twarzy.

Patrzy na telewizor, a potem na Scotta.

– Dzień dobry – mówi on.

Kobieta przeczesuje palcami włosy i sprawdza, czy ubranie dobrze na niej leży.

– Przepraszam. Chyba zasnęłam.

Nie brzmi to jak uwaga, która wymaga odpowiedzi, więc Scott kiwa jedynie głową.

– Widział pan... Douga? Mojego męża?

– Chyba poszedł po kawę – odpowiada Scott.

– Dobrze – stwierdza Eleanor i widać, że jej ulżyło. – To dobrze.

– Długo jesteście małżeństwem? – pyta ją Scott.

– Nie. Tylko, hm, siedemdziesiąt jeden dni.

– Ale kto by liczył – dopowiada Scott.

Eleanor się rumieni.

– To uroczy facet – wyjaśnia. – Myślę, że czuje się teraz po prostu trochę przytłoczony.

Scott zerka na chłopca, który przestał oglądać telewizję i obserwuje jego i ciotkę. Nie jest w stanie pojąć, jak Doug może czuć się przytłoczony w obliczu tego, co oni przeszli.

– Czy ojciec chłopca miał jakąś rodzinę? – pyta Scott. – Pani szwagier.

– David? Nie. Jego rodzice nie żyją i jest, to znaczy był, jedynakiem.

– A co z pani rodzicami?

– Moja mama nadal żyje. Mieszka w Portlandzie. Chyba dzisiaj przyleci.

Scott kiwa głową.

– A wy mieszkacie w Woodstock?

– Croton – odpowiada Eleanor. – Około czterdziestu minut drogi za miastem.

Scott rozważa informację, myśli o małym domku w leśnym wąwozie, z fotelami na werandzie. Mogłoby tam być chłopcu dobrze. Ale z drugiej strony mogłoby być fatalnie, odosobnienie w lesie, złowrogi, pijany pisarz, jak Jack Nicholson w zimowych górach.

– Był tam kiedyś? – pyta Scott, kiwając głową w stronę chłopca.

Kobieta wydyma wargi.

– Przepraszam – mówi – ale dlaczego zadaje mi pan te wszystkie pytania?

– Cóż. Chyba po prostu jestem ciekaw, co się teraz z nim stanie. Można powiedzieć, że zależy mi na nim.

Eleanor kiwa głową. Widać, że się boi, nie Scotta, ale życia i tego, jakie się stanie.

– Damy sobie radę – stwierdza, głaszcząc chłopca po głowie. – Prawda?

Chłopiec nie odpowiada, wpatruje się w Scotta. W jego oczach widać wyzwanie, błaganie. Scott mruga pierwszy, potem odwraca się i patrzy przez okno. Wchodzi Doug. Trzyma w ręku kubek z kawą i ma na sobie krzywo zapięty sweter, a pod nim flanelową koszulę w kratę. Najwyraźniej Eleanor czuje ulgę na jego widok.

– To dla mnie? – pyta, wskazując kubek.

Przez chwilę Doug wygląda na zdezorientowanego, a potem uświadamia sobie, że żona miała na myśli kawę.

– A, jasne – potwierdza i podaje jej kubek. Ze sposobu, w jaki kobieta go trzyma, Scott wnioskuje, że jest niemal pusty. Obserwuje, jak na jej twarzy pojawia się smutek. Doug obchodzi łóżko chłopca i staje obok żony. Scott czuje, że jego ubranie pachnie alkoholem.

– Jak się ma pacjent? – pyta Doug.

– Dobrze – odpowiada Eleanor. – Przespał się trochę.

Patrząc na plecy Douga, Scott zastanawia się, ile pieniędzy chłopiec odziedziczy po rodzicach. Pięć milionów? Pięćdziesiąt? Jego ojciec zarządzał telewizyjnym imperium i latał prywatnymi samolotami. Zostawił w spadku pieniądze, nieruchomości. Doug pociąga nosem i przytrzymuje obiema rękami spodnie. Wyciąga z kieszeni mały zabawkowy samochodek, nadal z metką.

– Trzymaj, twardzielu – mówi. – Kupiłem ci coś.

„W morzu jest wiele rekinów”, myśli Scott, patrząc, jak chłopiec bierze zabawkę.

Wchodzi doktor Glabman z okularami na czubku głowy. Z kieszeni jego fartucha wystaje jaskrawożółty banan.

– Gotowi do wyjścia do domu? – pyta.

Ubierają się. Scott dostaje niebieski fartuch chirurga. Zakłada go jedną ręką i krzywi się z bólu, gdy pielęgniarka wkłada do rękawa jego kruche lewe ramię. Kiedy wychodzi z łazienki, chłopiec jest już ubrany i siedzi na wózku inwalidzkim.

– Podam państwu nazwisko psychiatry dziecięcego – informuje Eleanor lekarz, poza zasięgiem słuchu chłopca. – Specjalizuje się w przypadkach zaburzeń pourazowych.

– Właściwie nie mieszkamy w mieście – wyjaśnia Doug.

Eleanor ucisza go wzrokiem.

– Oczywiście – przytakuje, biorąc od lekarza wizytówkę. – Zadzwoń do niego

dzisiaj po południu.

Scott podchodzi do chłopca i klęka przed nim na podłodze.

– Bądź grzeczny – mówi.

Chłopiec potrząsa głową, a w jego oczach pojawiają się łzy.

– Zobaczymy się – obiecuje Scott. – Dam cioci mój numer telefonu, żebyś mógł zadzwonić, dobrze?

Chłopiec unika jego wzroku.

Scott dotyka przez chwilę małego ramienia, niepewny, co ma teraz zrobić. Nigdy nie miał dzieci, nigdy nie był wujkiem ani ojcem chrzestnym. Nie jest nawet pewien, czy mówią tym samym językiem. Po chwili wyprostowuje się i podaje Eleanor kartkę ze swoim numerem telefonu.

– Proszę dzwonić o każdej porze. Sam nie wiem, jak mogę pomóc, ale gdyby chłopiec chciał porozmawiać albo pani...

Doug bierze od żony kartkę z numerem telefonu. Zgniatą ją i wkłada do tylnej kieszeni spodni.

– W porządku, stary – mówi.

Scott stoi przez minutę, patrząc na Eleanor, potem na chłopca, a w końcu na Douga. Ma poczucie, że to ważna chwila, jeden z krytycznych momentów w życiu, kiedy powinno się coś powiedzieć lub zrobić, ale nie wiadomo co. Dociera to do nas dopiero później. Później to, co powinniśmy powiedzieć, będzie jasne jak słońce, ale teraz to tylko dręczące uczucie, zaciśnięte szczęki i lekkie mdłości.

– Okej – mówi w końcu i podchodzi do drzwi z myślą, że po prostu sobie pójdzie, że to najlepsze, co może zrobić. Pozwolić chłopcu być ze swoją rodziną. Jednak gdy wychodzi na korytarz, czuje, jak dwie małe rączki chwytają go za nogę. Odwraca się i widzi trzymającego go chłopca.

Korytarz jest pełen ludzi, pacjentów i odwiedzających, lekarzy i pielęgniarek. Scott kładzie rękę na głowie chłopca, potem nachyla się i podnosi go. Chłopiec oplata rękami szyję Scotta i ściska tak mocno, że niemal go dusi. Scott mruga, by powstrzymać łzy.

– Nie zapominaj – mówi chłopcu. – Jesteś moim bohaterem.

Pozwala, by chłopiec go wyściskał, a potem zanosí dziecko z powrotem na wózek inwalidzki. Czuję, że Eleanor i Doug go obserwują, lecz trzyma wzrok na chłopcu.

– Nigdy się nie poddawaj – powtarza mu.

Później odwraca się i odchodzi korytarzem.

Na początku kariery, gdy głęboko angażował się w malowanie obrazu, czuł się tak, jakby był pod wodą. Czuł takie samo ciśnienie w uszach, taką samą stłumioną ciszę. Kolory były ostrzejsze, światło falowało i załamywało się. Pierwszy raz wystawiał prace na

wystawie grupowej w wieku dwudziestu sześciu lat, a na indywidualnej – w wieku trzydziestu lat. Każdą wyskrobaną dziesięciocentówkę wydawał na płótna i farby. Gdzieś po drodze przestał pływać. Były galerie do przejęcia i kobiety do przelecenia, a on był wysokim zielonookim flirciarzem z zaraźliwym uśmiechem. To oznaczało, że zawsze znalazła się dziewczyna, która kupiła mu śniadanie i użyczyła dachu nad głową, przynajmniej na kilka nocy. W owym czasie niemal zrekompensował sobie fakt, że jego prace były dobre, ale nie wybitne. Z perspektywy widać, że miał potencjał, wyjątkowy styl, ale czegoś mu brakowało. Lata mijały. Nie udało się pozyskać renomowanych muzeów. Wielkie indywidualne wystawy nie doszły do skutku. Podobnie jak niemieckie biennale i dotacje dla geniuszy, a także zaproszenia, by malował i uczył za granicą. Skończył trzydzieści lat, potem trzydzieści pięć. Pewnego wieczoru, po kilku koktajlach na trzecim wernisażu w tygodniu, podczas którego świętowano sukces artysty pięć lat młodszego od niego, Scott zdał sobie sprawę, że nigdy nie osiągnie oszałamiającego sukcesu, jak się spodziewał, że nigdy nie będzie *enfant terrible*, wielką gwiazdą z centrum miasta. Uderzająca do głowy radość z powodu artystycznych możliwości stała się trudno osiągalna i przerażająca. Był drugorzędnym artystą i nie będzie nikim więcej. Imprezy nadal były szampańskie, a kobiety piękne, ale Scott czuł się brzydszy. Gdy młodzieńczy brak zakorzenienia ustąpił miejsca egocentryzmowi wieku średniego, jego romanse stały się krótsze i bardziej nieprzyzwoite. Pił, aby zapomnieć. Siedząc samotnie w studio, godzinami wpatrywał się w płótno i czekał na pojawienie się obrazów.

Żadne nie nadchodziły.

Pewnego dnia obudził się i odkrył, że jest czterdziestoletnim mężczyzną po dwudziestu latach pijaństwa i rozwiązłości, które wydeły mu brzuch i zniszczyły twarz. Zaręczył się raz, a potem zakończył związek, wytrzeźwiał, a następnie ponownie zboczył z drogi. Kiedyś był młody i mógł wszystko, a potem jego życie stało się z góry przesądzone. I myślał o nim niemal w czasie przeszłym, a nie teraźniejszym. Widział swój nekrolog. Scott Burroughs, utalentowany, zawadiacki podrywacz, który nigdy nie sprostął swoim obietnicom i już dawno przekroczył granicę pomiędzy rozrywkowym i tajemniczym a prostackim i smutnym. Ale kogo chciał nabrać? Nawet nekrolog był fantazją. Był nikim i śmierć niczego mu nie zagwarantuje.

Później, po trwającej tydzień imprezie w domu bardziej wziętego malarza w Hamptons, Scott ocknął się na podłodze w salonie, twarzą w dół. Miał czterdzieści sześć lat. Ledwie świtało. Chwiejąc się, wstał i wyszedł na patio. Głowa mu pękała, a w ustach czuł smak opony radialnej. Zmrużył oczy, uderzony nagłym blaskiem słońca, i uniósł rękę, by osłonić twarz. Prawda o nim samym, jego porażce powróciła jako pulsujący ból głowy. I wtedy, gdy oczy przyzwyczyły się do światła, opuścił dłoń i zobaczył, że wpatruje się w basen sławnego artysty.

Tam właśnie malarz i jego dziewczyna znaleźli Scotta godzinę później, nagiego, pokonującego kolejne długości, z płonącymi płucami i bolącymi mięśniami. Krzyczeli, aby poszedł z nimi na drinka, ale Scott zbył ich ruchem ręki. Znów czuł, że żyje. W momencie kiedy wszedł do wody, poczuł się tak jak wtedy, gdy w wieku osiemnastu lat wygrał złoty medal w mistrzostwach krajowych. Miał szesnaście lat i wykonywał

idealny nawrót pod wodą. Miał dwanaście lat i wstawał przed świtem, by ciąć błękit.

Płynął wstecz przez czas, długość za długością, aż miał sześć lat i patrzył, jak Jack LaLanne ciągnie ważącą pół tony łódź przez zatokę San Francisco. Powróciło do niego to uczucie, owa głęboka, chłopięca pewność:

„Wszystko jest możliwe.

Wszystko można osiągnąć.

Trzeba tylko wystarczająco mocno tego chcieć”.

Okazało się, że Scott nie był stary. Nie był skończony. Po prostu się poddał.

Pół godziny później wyszedł z basenu, nie wycierając się, założył ubranie i wrócił do miasta. Przez następne pół roku pływał pięć kilometrów dziennie. Rzucił alkohol i papierosy. Zrezygnował z czerwonego mięsa i deserów. Kupował płótno za płótnem i pokrywał wyczekującym gruntem każdą możliwą przestrzeń. Był pięściarzem przygotowującym się do walki, wiolonczelistą ćwiczącym przed koncertem. Jego ciało było jego instrumentem, poobijane jak gitara Johnny’ego Casha, pełna drzazg i surowa, ale miał zamiar zrobić z niej stradivariususa.

Był człowiekiem ocalałym z katastrofy, ponieważ przeżył katastrofę, jaką było jego życie. I to malował. Tamtego lata wynajął mały domek na Martha’s Vineyard i zaszył się w nim. Ponownie jedyną rzeczą, która się liczyła, była jego praca, tyle że teraz zdał sobie sprawę, że praca była nim. „Nie można oddzielić siebie od rzeczy, które się tworzy – myślał. – Jeśli jesteś szambem, czym innym może być twoja praca, jak nie szambem?”

Sprawił sobie suczkę i gotował dla niej spaghetti i klopsy. Każdy dzień był taki sam. Kąpiel w oceanie, kawa i ciastko na targu, a potem nieograniczone godziny w studio, pociągnięcia pędzlem, farby, linie i kolory. To, co zobaczył po skończeniu, było zbyt ekscytujące, aby opowiedzieć na głos. Wykonał wielki skok naprzód i owa świadomość dziwnie go przeraziła. Praca stała się jego tajemnicą, szkatułą ze skarbem zakopaną w skalistej ziemi.

Dopiero niedawno wyszedł z ukrycia, najpierw wziął udział w kilku obiadach na wyspie, a potem pozwolił, żeby galeria w SoHo wystawiła jego nowy obraz podczas swojej retrospektywnej wystawy na temat lat dziewięćdziesiątych XX wieku. Praca przyciągnęła uwagę wielu gości i została kupiona przez ważnego kolekcjonera. Telefon Scotta zaczął dzwonić. Kilku przedstawicieli znaczących galerii odwiedziło jego studio. Działo się. Wszystko, do czego dążył, cel jego życia, miało się zrealizować. Musiał jedynie sięgnąć po nagrodę.

Więc wsiadł do samolotu.

Kilkanaście wozów transmisyjnych stoi zaparkowanych przed szpitalem, ekipy filmowe zebrały się i czekają. Postawiono bariery policyjne i paru umundurowanych policjantów pilnuje porządku. Scott obserwuje scenę ze szpitalnego holu, chowając się za fikusem w doniczce. Tam znajduje go Magnus.

– Jezu, stary – wita go. – Nie robisz niczego na pół gwizdka, co?

Ściskają się po męsku. Magnus jest półetatowym malarzem i pełnoetatowym kobieciarzem, z delikatną nutą irlandzkiej melodii w głosie.

– Dzięki za pomoc – mówi Scott.

– Nie ma sprawy, bracie.

Magnus rzuca okiem na kolegę.

– Paskudnie wyglądasz.

– Paskudnie się czuję – odpowiada Scott.

Magnus podnosi torbę podrózną.

– Przywiozłem ci gacie – oznajmia. – Twarzowy kitel i coś pod spód. Chcesz się przebrać?

Scott zerka za plecy Magnusa. Tłum na zewnątrz rośnie. Przyszli, by go zobaczyć, choćby przelotnie, zdobyć krótki wywiad z mężczyzną, który płynął przez osiem godzin w nocy przez Atlantyk, z czteroletnim chłopcem na plecach. Scott zamyka oczy i wyobraża sobie, co się stanie, gdy się ubierze i wyjdzie przez drzwi. Światła reflektorów i pytania, jego własna twarz w telewizji. Cały ten cyrk, cholerne szaleństwo.

„Nie ma wypadków”, myśli.

Po jego lewej znajduje się długi korytarz i drzwi z napisem *szatnia*.

– Mam lepszy pomysł – informuje Magnusa. – Ale musiałbyś złamać prawo.

Magnus się uśmiecha.

– Tylko jedno?

Dziesięć minut później Scott i Magnus wychodzą bocznymi drzwiami. Obaj mają teraz na sobie stroje chirurgów i narzucone na nie białe fartuchy, dwaj lekarze wracający do domu po długiej zmianie. Scott trzyma przy uchu telefon Magnusa i mówi do sygnału wybierania numeru. Sztuczka się udaje. Docierają do samochodu Magnusa, pamiętającego lepsze czasy saaba, z wypłowiałym od słońca materiałowym dachem. W środku Scott ponownie zakłada temblak na lewe ramię.

– Chciałem ci tylko powiedzieć – informuje go Magnus – że na pewno idziemy później w tych strojach do baru. Kobiety uwielbiają lekarzy.

Kiedy przejeżdżają obok dziennikarzy, Scott zakrywa twarz telefonem. Myśli

o chłopcu, małym, zgarbionym na wózku inwalidzkim, sierocie teraz i na zawsze. Scott nie ma wątpliwości, że ciotka kocha chłopca, a pieniądze, które odziedziczy po rodzicach, na pewno ochronią go przed sytuacją choćby zbliżoną do ruiny. Ale czy to wystarczy? Czy chłopiec wyrośnie na normalnego człowieka, czy na zawsze będzie złamany tym, co się wydarzyło?

„Powiniennem wziąć numer telefonu Eleanor”, myśli. Jednocześnie zastanawia się, co by z nim zrobił. Nie ma prawa wtrącać się w ich życie. A nawet gdyby to zrobił, co miałyby do zaoferowania? Chłopiec ma dopiero cztery lata, a on jest kawalerem pod pięćdziesiątkę, notorycznym kobieciarzem i alkoholikiem na odwyku, walczącym o pozycję artystą, który nigdy dotąd nie utrzymał żadnego związku. Nie jest dla nikogo autorytetem. Nie jest niczym bohaterem.

Jadą autostradą Long Island w kierunku miasta. Scott opuszcza szybę i czuje na twarzy powiew wiatru. Mruży oczy, wpatrując się w słońce, i na wpół udaje mu się przekonać samego siebie, że wydarzenia ostatnich trzydziestu sześciu godzin były tylko snem. Nie było żadnego prywatnego samolotu, żadnej katastrofy, żadnego heroicznego pływackiego wyczynu ani strasznego pobytu w szpitalu. Dzięki odpowiedniej kombinacji koktajli i sukcesów zawodowych mógłby wszystko wymazać, ale już w trakcie tej myśli wie, że to bzdury. Trauma, której doświadczył, jest teraz częścią jego DNA. Jest żołnierzem po spektakularnej walce, do której powróci nieuchronnie za pięćdziesiąt lat, na łożu śmierci.

Magnus mieszka w Long Island City w przeznaczonych niegdyś do rozbiórki fabryce obuwia, która została przerobiona na lofty. Przed katastrofą Scott planował zatrzymać się tam na kilka dni i dojeżdżać do miasta, teraz jednak, podczas zmieniania pasa, Magnus informuje go, że sytuacja się zmieniła.

– Otrzymałem kurewsko ścisłe instrukcje, by zabrać cię do West Village – wyjaśnia. – Awansowałeś społecznie.

– Ścisłe instrukcje od kogo? – chce wiedzieć Scott.

– Od nowej koleżanki – oznajmia Magnus. – Tylko tyle mogę na razie powiedzieć.

– Zatrzymaj się – rozkazuje Scott ostrym tonem.

Magnus patrzy na niego, unosząc obie brwi, i uśmiecha się.

Scott kładzie dłoń na klamce.

– Wyluzuj, chłopcze – mówi Magnus i skręca delikatnie. – Widzę, że nie jesteś w nastroju na tajemnice.

– Powiedz mi po prostu, dokąd jedziemy.

– Do Leslie – odpowiada Magnus.

– Kim jest Leslie?

– Jezu, walnąłeś się w głowę podczas tego wypadku? Leslie Mueller? Galeria Mueller?

Scott czuje się oszołomiony.

– Po co miałbyś jechać do Galerii Mueller?

– Nie do galerii, pacanie, do jej domu. To miliarderka, tak? Córka tego gościa od technologii, który w latach dziewięćdziesiątych wymyślił to ustrojstwo. Po tym, jak do mnie zadzwoniła, może trochę chlapnąłem ozorem, że jadę po ciebie, mamy zamiar pójść w miasto i zebrać numery od paru lasek, skoro jesteś bez kitu bohaterem i w ogóle, i zdaje się, że ona o tym usłyszała, bo do mnie zadzwoniła. Mówi, że widziała w wiadomościach, co zrobiłaś, i jej drzwi stoją otworem. Ma na trzecim piętrze apartament gościnny.

– Nie.

– Nie bądź głupi, *amigo*. To Leslie Mueller. To jest różnica pomiędzy sprzedaniem obrazu za trzy tysiące dolarów a za trzysta tysięcy. Albo za trzy miliony.

– Nie.

– Wspaniale. Słyszę, co mówisz. Ale pomyśl przez chwilę o mojej karierze. To pieprzona Leslie Mueller. Moja ostatnia wystawa odbyła się w knajpie z krabami w Cleveland. Przynajmniej pójdźmy na obiad, niech się pociera o laskę wielkiego bohatera, zleci kilka prac. Może cię komuś poleci, chłopcze. Potem możemy znaleźć wymówkę i wyjść.

Scott odwraca głowę, by wyjrzeć przez okno. W samochodzie obok kłóci się para, mężczyzna i kobieta około dwudziestki, ubrani do pracy. Mężczyzna siedzi za kierownicą, ale nie patrzy na drogę. Ma odwróconą głowę i macha ze złością ręką. W odpowiedzi kobieta podnosi otwartą szminkę, której nie skończyła nakładać na usta, i dźga nią w kierunku mężczyzny, a jej skwaszona mina zdradza rezerwę i dystans. Patrząc na nich, Scott nagle coś sobie przypomina. Ponownie jest w samolocie, przypięty pasami. Z przodu, w otwartym kokpicie młoda stewardesa – jak ona miała na imię? – kłóci się z jednym z pilotów. Jest odwrócona do Scotta plecami, ale zza jej ramienia widać twarz pilota. Jest brzydki i ciemny. Na oczach Scotta mocno chwyta dziewczynę za rękę, a ona się wyrywa.

We wspomnieniu Scott czuje, że pas zaciska się w jego ręce. Stopy opiera płasko na podłodze, a mięśnie czworogłowe ma napięte, jakby za chwilę miał wstać. Dlaczego? Żeby jej pomóc?

Wspomnienie pojawia się gwałtownie, a potem znika. Obraz mógłby pochodzić z filmu, ale Scott czuje, że to jego życie. Czy to się wydarzyło? Czy miała miejsce jakaś bójka?

Na pasie obok wściekły kierowca skręca i pluje przez okno, ale szyba jest podniesiona. Spieniona strużka śliny spływa po zakrzywionym szkłe, a wtedy Magnus przyspiesza i para znika.

Scott dostrzega stację benzynową.

– Możesz się tutaj zatrzymać? – pyta. – Chcę kupić paczkę gum.

Magnus grzebie w schowku.

– Mam gdzieś owocową.

– Chcę coś miętowego – wyjaśnia Scott. – Po prostu się zatrzymaj.

Magnus skręca bez kierunkowskazu i parkuje za rogiem.

– Będę za sekundę – rzuca Scott.

– Kup mi colę.

Scott orientuje się, że ma na sobie kombinezon chirurga.

– Pożycz mi dwudziestkę.

Magnus się zastanawia.

– Dobra, ale obiecaj, że jedziemy do Mueller. Założę się, że ma w szafkach szkocką, którą butelkowano przed cholernym *Titanikiem*.

Scott patrzy mu w oczy.

– Obiecuję.

Magnus wyciąga z kieszeni pomięty banknot.

– I chipsy – dodaje.

Scott zamyka drzwi pasażera. Ma na stopach jednorazowe japonki.

– Zaraz wracam – oznajmia i wchodzi do sklepu na stacji. Za ladą stoi przysadzista kobieta.

– Tylne drzwi? – pyta Scott.

Kobieta wskazuje je.

Scott idzie krótkim korytarzem, obok toalet. Otwiera ciężkie drzwi przeciwpożarowe i mrużąc oczy, staje w słońcu. Kilka metrów dalej znajduje się płot z metalowej siatki, a za nim zaczyna się teren mieszkalny. Scott wkłada dwudziestodolarówkę do przedniej kieszeni. Próbuje przejść przez płot, używając jednej ręki, ale temblak mu przeszkadza, więc go zrzuca. Po kilku chwilach jest po drugiej stronie i idzie przez pustą działkę, a japonki kłapią mu o pięty. Sierpień dobiega końca i powietrze jest duszne i piekące. Wyobraża sobie Magnusa za kółkiem. Włącza radio i nastawi na stację ze starymi przebojami. Teraz śpiewa pewnie razem z Queenami i wygina szyję na wysokich dźwiękach.

Teren wokół wygląda na dzielnicę klasy niższej, na podjazdach stoją samochody na ceglach, a na podwórkach chlupoczą naziemne baseny. Scott jest mężczyzną w szpitalnym fartuchu i japonkach idącym w południowym upale. Wygląda na pacjenta psychiatryka.

Trzydzieści minut później znajduje bar ze smażonymi kurczakami i wchodzi do środka. Są w nim jedynie lada, piec, a z przodu kilka krzeseł.

– Czy ma pan telefon, z którego mógłbym skorzystać? – pyta Dominikańczyka za ladą.

– Musi pan coś zamówić – informuje go sprzedawca.

Scott zamawia wiaderko udek i napój imbirowy. Sprzedawca wskazuje telefon na ścianie kuchennej. Scott wyjmując z kieszeni wizytówkę i wykręca numer. Po drugim sygnale odbiera mężczyzna.

– NTSB.

– Proszę z Gusem Franklinem – mówi Scott.

– Przy telefonie.

– Tu Scott Burroughs. Ze szpitala.

– Jak się pan miewa, panie Burroughs?

– Dobrze. Proszę posłuchać. Ja... chciałbym pomóc w poszukiwaniach. W akcji ratowniczej, czy jak to się nazywa.

Na drugim końcu zapada cisza.

– Dowiedziałem się, że wypisano pana ze szpitala – informuje go Gus. – I wyszedł pan niezauważony przez prasę.

Scott się zastanawia.

– Przebrałem się za lekarza i wyszedłem tylnymi drzwiami – wyjaśnia.

Gus się śmieje.

– Bardzo sprytnie. Proszę posłuchać, mam w wodzie nurków szukających kadłuba samolotu, ale wolno im idzie, a to głośna sprawa. Czy jest coś, co może nam pan powiedzieć, czy przypomniał sobie pan coś na temat katastrofy, tego, co zdarzyło się przed nią?

– Wspomnienia wracają – informuje go Scott. – Nadal wyrywkowo, ale... Proszę pozwolić mi pomóc w poszukiwaniach. Może obecność na miejscu... Może coś mi zaświta.

Gus się zastanawia.

– Gdzie pan jest?

– Cóż – mówi Scott – zapytam tak: co pan powie na udka z kurczaka?

OBRAZ 1

Pierwsza rzecz przyciągająca wzrok to światło, a właściwie dwa światła ustawione w kierunku punktu centralnego, tworzące błysk w kształcie ósemki pośrodku płótna. Obraz jest duży – długi na dwa i pół i szeroki na półtora metra, dawny brezent zmieniony w przydymioną, szarą połyskującą powierzchnię. A może pierwsze, co dostrzegasz, to katastrofa, dwa ciemne prostokąty przecinające ramę, złożone jak scyzoryk. Ich metaliczne szkielety błyszczą w świetle księżyca. Na krawędzi obrazu widać płomienie, jakby historia nie kończyła się tylko dlatego, że kończy się obraz. Oglądający go docierali do samych jego krańców w poszukiwaniu kolejnych informacji, studiowali jak pod mikroskopem drewnianą ramę, chcąc znaleźć choćby cień dalszego ciągu dramatu.

Światła, które biją z centrum obrazu, to przednie reflektory pociągu pasażerskiego Amtrak. Jego wagon służbowy zatrzymał się niemal prostopadle do skrzyżowanych żelaznych szyn, gnących się i falujących pod nim. Pierwszy wagon pasażerski odłączył się od służbowego i teraz tworzy podstawę litery T. Utrzymując pęd do przodu, uderzył w sam środek lokomotywy, zginając jej przypominające pojemnik na chleb kontury w rozmazane V.

Tak jak w przypadku wszelkich jasnych światel, błysk reflektorów przesłania większość obrazu, ale po głębszej analizie oglądający może dostrzec pojedynczego pasażera – w tym przypadku młodą kobietę, ubraną w czarną spódnicę i podartą białą bluzkę, z potarganymi i splątanymi krwią włosami na twarzy. Błądzi bez butów po poszarpanym wraku i jeśli zmruży się oczy i spojrzy przez iluzję światła, można zobaczyć, że jej oczy są szeroko otwarte i poszukujące. Jest ofiarą katastrofy, ocalałą z gorąca i siły uderzenia, wciągniętą z pozycji spoczynkowej w niemożliwą parabolę nieoczekiwanych tortur. Jej niegdyś spokojny świat, kołyszący się łagodnie klik-klak, klik-klak, stał się teraz zgrzytającym skrzętem metalu.

Czego szuka owa kobieta? Czy tylko wyjścia? Jasnej i rozsądnej ścieżki prowadzącej do bezpieczeństwa? A może coś zgubiła? Kogoś? Czyżby w tym momencie, gdy łagodne kołysanie zmieniło się w cios odbitej rykoszetem kuli armatniej, z żony i matki, siostry lub dziewczyny, córki lub kochanki zmieniła się w uchodźcę? Ze spełnionego i radosnego „my” w zdumione i rozpaczające „ja”?

Dlatego właśnie, chociaż wzywają cię inne obrazy, nie możesz się powstrzymać, stoisz tam i pomagasz jej szukać.

BURZOWE CHMURY

Kamizelka ratunkowa jest tak obcisła, że trudno mu oddychać, ale Scott po raz kolejny zaciska jej pasy. To nieświadomy ruch. Powtarza go co kilka chwil, od kiedy wsiedli do helikoptera. Gus Franklin siedzi naprzeciw i obserwuje jego twarz. Obok niego siedzi mat Berkman w pomarańczowym kombinezonie i błyszczącym czarnym hełmie. Są w śmigłowcu straży przybrzeżnej MH-65 Dolphin, sunącym ponad grzywami atlantyckich fal. W oddali Scott dostrzega zarys klifów na Martha's Vineyard. Dom. Ale nie tam lecą. Jeszcze nie teraz. Trudno, trójnoga suczka będzie musiała poczekać. Scott myśli o niej teraz, o białym kundelku z jednym czarnym okiem, zjadaczce końskiego łąjna, koneserce długiej trawy, która rok temu straciła tylną prawą łapę z powodu raka i już po dwóch dniach znowu wspinała się po schodach. Zaraz po skończeniu rozmowy z Gusem Scott zadzwonił do sąsiadki. Powiedziała mu, że suczka ma się dobrze. Leży na werandzie i sapie do słońca. Scott ponownie podziękował jej za opiekę nad psem i powiedział, że za kilka dni powinien wrócić do domu.

– Proszę się nie spieszyć – odparła kobieta. – Wiele pan przeszedł. I brawo za to, co zrobił pan dla tego chłopca. Brawo.

Myśli teraz o suczce, której brak kończyny. Skoro ona potrafi się odbić, to czemu nie ja?

Helikopter brnie zrywami przez gęste powietrze, a każde zejście przypomina uderzenie ręką w słoik, by wysypać ostatni orzech. Scott jest tym orzechem. Chwyta się prawą ręką siedzenia, lewa nadal spoczywa na temblaku. Lot z wybrzeża zajmuje dwadzieścia minut. Spoglądając przez okno na kilometry oceanu, nie może uwierzyć, jak długą drogę przepłynął.

Scott przez godzinę siedział w knajpie z grillem i sącył wodę, zanim przyjechał Gus. Podjechał białym sedanem – „samochód firmowy”, poinformował Scotta – i wszedł do restauracji z ubraniami na zmianę w ręce.

– Rozmiar wybrałem na oko – oznajmił i rzucił je Scottowi.

– Jestem pewny, że będą świetnie pasowały. Dziękuję – odparł Scott i poszedł do łazienki, aby się przebrać. Bojówki i bluza. Spodnie były za szerokie w talii, a bluza za wąska w ramionach – z powodu zwichniętego barku zmiana ubrań stanowi wyzwanie – ale przynajmniej zaczął się znów czuć jak normalny człowiek. Umył ręce i wcisnął fartuch szpitalny głęboko do kosza na śmieci.

W helikopterze Gus wskazuje coś po prawej stronie. Scott podąża wzrokiem za jego palcem i widzi kuter straży przybrzeżnej *Willow*, błyszczący biały statek zakotwiczony na dnie oceanu.

– Leciałeś kiedyś wcześniej helikopterem? – krzyczy Gus.

Scott potrząsa głową. Jest malarzem. Kto zabrałby malarza na pokład śmigłowca? Ale z drugiej strony tak samo myślał o prywatnych samolotach, i proszę, co z tego wyszło.

Spogląda w dół i widzi, że kuter ma towarzystwo. Po oceanie rozsypanych jest kilka statków. Specjaliści uważają, że samolot rozbił się nad szczególnie głębokim obszarem. Nad jakimś tam rowem. Jak powiedział mu Gus, to oznacza, że poszukiwanie zatopionego wraku może zająć tygodnie.

– To jest wspólna operacja poszukiwawczo-wydobywcza – wyjaśnia Gus. – Biorą w niej udział jednostki marynarki, straży przybrzeżnej i NOAA.

– Czego?

– Amerykańskiej Narodowej Służby Oceanicznej i Meteorologicznej. – Gus się uśmiecha. – Morscy maniacy, z sonarem wielowiązkowym i bocznym. Siły powietrzne pożyczyły nam również kilka samolotów transportowych HC-130, a do tego trzydziestu nurków z marynarki i dwudziestu z policji stanowej stanu Massachusetts czeka w gotowości na wejście do wody, jeśli i kiedy znajdziemy wrak.

Scott się zastanawia.

– Czy to normalne, gdy rozbija się mały samolot? – pyta.

– Nie – zaprzecza Gus. – To zdecydowanie przesyłka specjalna. Tak się dzieje, gdy prezydent Stanów Zjednoczonych wykonuje telefon.

Helikopter przechyliła się na prawo i okrążyła kuter. Jediną rzeczą, jaka powstrzymuje Scotta przed wypadnięciem przez otwarte drzwi, jest pas bezpieczeństwa.

– Powiedziałeś, że po wynurzeniu widziałeś na powierzchni wody szczątki – krzyczy Gus.

– Co?

– Szczątki w wodzie.

Scott przytakuje.

– Na powierzchni wody były płomienie.

– Paliwo lotnicze – wyjaśnia Gus. – To oznacza, że pękły zbiorniki paliwa. Miałeś szczęście, że się nie poparzyłeś.

Scott kiwa głową, przypominając sobie.

– Widziałem, nie wiem, kawałek skrzydła. Może jakieś inne szczątki. Było ciemno.

Gus przytakuje. Helikopter po raz kolejny opada, szarpiąc gwałtownie. Żołądek podchodzi Scottowi do gardła.

– Wczoraj rano łódź rybacka znalazła kawałki skrzydła niedaleko plaży Philbin – informuje go Gus. – Metalową płytę z kuchni pokładowej, zagłówkę, deskę sedesową. To jasne, że nie szukamy nietkniętego samolotu. Najwyraźniej cały rozpadł się na kawałki.

W ciągu kolejnych kilku dni więcej elementów może zostać wyrzuconych na brzeg, zależnie od prądów. Pytanie brzmi, czy rozpadł się pod wpływem uderzenia czy w powietrzu?

– Przykro mi, żałuję, że nie mogę powiedzieć więcej. Ale jak wspomniałem, w pewnym momencie uderzyłem się w głowę.

Scott patrzy na ocean, jak okiem sięgnąć niekończące się kilometry wody. Po raz pierwszy myśli: „Może to dobrze, że było ciemno”. Gdyby widział bezkres wokół, tę ogromną pustkę, mogłoby mu się nie udać.

Siedzący naprzeciw niego Gus je migdały z woreczka strunowego. Podczas gdy przeciętna osoba podziwia piękno morskiej kipieli i fal, Gus, inżynier, widzi jedynie wymiar praktyczny. Grawitacja plus prąd oceaniczny, plus wiatr. Dla zwykłego człowieka poezja to widziany kątem oka jednorozec, nieoczekiwane, przelotne dostrzeżenie tego, co nieuchwytnie. Inżynierowi tylko pomysłowość rozwiązań pragmatycznych wydaje się poetycka. Funkcjonalność ponad formę. To nie kwestia optymizmu czy pesymizmu, szklanki do połowy pełnej lub puste.

Dla inżyniera szklanka jest po prostu za duża.

Tak świat postrzegał młodego Gusa Franklina. Wychowany w Stuyvesant Village przez ojca śmieciarza i zajmującą się domem matkę, Gus – jedyny czarnoskóry dzieciak na zaawansowanych zajęciach z analizy matematycznej – ukończył z wyróżnieniem Uniwersytet Fordham. Widział piękno nie w naturze, ale w eleganckiej konstrukcji rzymskich akweduktów i mikrochipów. W jego pojęciu każdy problem na ziemi mógł zostać rozwiązany poprzez naprawę lub wymianę jednej z części. Albo jeśli usterka operacyjna była bardziej podstępna, trzeba było zburzyć cały system i zacząć od początku.

To właśnie zrobił ze swoim małżeństwem po tym, jak żona napluła mu w twarz i ze złością wyszła z domu w deszczowy wieczór 1999 roku. „Czy ty niczego nie czujesz?!”, krzyknęła chwilę wcześniej. Gus zmarszczył czoło i zastanowił się nad jej pytaniem. Nie dlatego, że odpowiedź brzmiała „nie”, ale ponieważ było całkowicie jasne, że ma uczucia. Po prostu nie takie, jakich ona chciała.

Wzruszył więc ramionami. A ona plunęła i wyszła ze złością.

Stwierdzenie, że jego żona była osobą emocjonalną, wydawało się niedopowiedzeniem. Belinda okazała się osobą o najmniej ścisłym umyśle, jaką Gus kiedykolwiek spotkał. Powiedziała kiedyś, że fakt, iż kwiaty mają łacińskie nazwy, odziera je z tajemniczości. Gus uznał (podczas gdy ślina spływała mu po brodzie), że to właśnie było błędem krytycznym w jego małżeństwie, którego nie dało się naprawić. Byli niekompatybilni jak kwadratowy kołek w okrągłej dziurze. Zamiast tego jego życie wymagało systemowego przeprojektowania, w tym przypadku rozvodu.

W trakcie jednego roku ich małżeństwa próbował stosować praktyczne rozwiązania do irracjonalnych problemów. Żona uważała, że Gus za dużo pracuje, ale faktycznie pracował mniej niż jego koledzy, więc wyrażenie „za dużo” wydawało się niestosowne. Ona chciała mieć dzieci od razu, podczas gdy on uważał, że powinni poczekać, aż jego

kariera się ustabilizuje, to znaczy wzrośnie płaca, w konsekwencji zasilek na utrzymanie, a to pozwoli na zakup większego mieszkania, czytaj: z pokojem dla dzieci.

Tak więc pewnej soboty Gus usiadł z żoną i przedstawił jej prezentację w PowerPoincie na ten temat, opatrzoną wykresami, wyliczeniami i zakończoną równaniem udowadniającym, że idealny moment na poczęcie dziecka (uwzględniając, oczywiście, szereg założeń: jego awans, wzrastający przychód itd.) przypadnie na wrzesień 2002 roku, za trzy lata od momentu rozmowy. Belinda nazwała go nieczułym robotem. Wy tłumaczył jej, że roboty z definicji nie czują (przynajmniej na razie), a on wcale nie jest robotem. Ma uczucia, tyle że nie panują one nad nim tak jak nad nią.

Ich rozwód okazał się znacznie łatwiejszy niż małżeństwo, głównie dlatego, że żona zatrudniła prawnika powodowanego chęcią ostatecznego zysku finansowego, czyli osobę z jasno określonym, racjonalnym celem. I tak Gus Franklin wrócił do życia samotnego człowieka, który jak sam przewidział w swojej prezentacji w PowerPoincie, szybko robił karierę i awansował w szeregach Boeinga, a następnie przyjął propozycję stanowiska głównego śledczego w Narodowej Radzie Bezpieczeństwa Transportu, gdzie pracował przez ostatnie jedenaście lat.

W miarę upływu czasu Gus odkrył jednak, że jego inżynierski mózg ewoluuje. Dawniej ograniczone postrzeganie świata jako maszyny, która działała z dynamiczną, mechaniczną funkcjonalnością, rozkwitło i rozwinęło się. Zmiana miała przede wszystkim związek z nową pracą śledczego badającego katastrofy transportowe na wielką skalę, która regularnie wystawiała go na doświadczenie ludzkiej śmierci i nagłej rozpacz. Jak powiedział byłej żonie, nie był robotem. Czuł miłość, rozumiał ból straty. Tyle że jako młody człowiek uważał owe czynniki za możliwe do skontrolowania, jakby rozpacz była jedynie usterką intelektu w procesie radzenia sobie z podsystemami organizmu.

Wtedy, w 2003 roku, u ojca Gusa zdiagnozowano białaczkę. Odszedł w 2009 roku, a matka zmarła rok później z powodu tętniaka. Pustka, jaką wywołały owe śmierci, przekroczyła praktyczne pojmowanie inżyniera. Maszyna, za jaką się uważał, zepsuła się i Gus pograżył się w doświadczeniu, którego był świadkiem przez lata pracy w NTSB, ale którego nigdy naprawdę nie rozumiał. Rozpacz. Śmierć nie była intelektualną koncepcją. To była egzystencjalna czarna dziura, zawierająca zagadka, jednocześnie problem i rozwiązanie, a rozpacz, którą powodowała, nie dało się naprawić ani obejść, jak uszkodzonego przekaźnika, można ją było jedynie przetrwać.

Tak więc teraz, w wieku pięćdziesięciu jeden lat, Gus Franklin zostawił za sobą prostą inteligencję i zbliżał się do czegoś, co można określić jedynie mianem mądrości, w tym przypadku definiowanej jako umiejętność zrozumienia faktycznych i praktycznych elementów wydarzenia i jednocześnie docenienia jego pełnego, ludzkiego znaczenia. Katastrofa lotnicza nie jest tylko sumą porządku chronologicznego, elementów mechanicznych i ludzkich. To nieobliczalna tragedia pokazująca nam ostateczną skończoność kontroli człowieka nad wszechświatem i pouczającą moc śmierci zbiorowej.

Dlatego tamtej nocy, pod koniec sierpnia, gdy zadzwonił telefon, Gus zrobił to, co zwykle robił. Stanął na baczność i uruchomił inżynierską część siebie. Ale znalazł też czas, by pomyśleć o ofiarach – członkach załogi i cywilach, a co gorsza, o dwójce małych

dzieci, które miały przed sobą całe życie – i zastanowić się nad ciężkim doświadczeniem i stratą, z jakimi mierzą się ci, którzy zostali.

Na pierwszym miejscu były jednak fakty. Prywatny samolot (marka, model, rok budowy, historia serwisowania) zaginął (lotnisko wylotowe, lotnisko docelowe, ostatnia transmisja radiowa, dane radarowe, warunki pogodowe). Skontaktowano się z innymi samolotami (czy coś zaobserwowały?), podobnie jak z innymi lotniskami (czy samolot został zawrócony lub skontaktował się z inną wieżą kontrolną?). Nikt jednak nie widział samolotu ani nie otrzymał od niego wiadomości od owego konkretnego momentu, gdy kontrola ruchu lotniczego w Teterboro straciła go z oczu.

Wykonano serię telefonów i zebrano zespół operacyjny. W dzień telefony dzwoniły w biurach i samochodach, a w środku nocy odzywały się w sypialniach, zakłócając sen.

Kiedy Gus wsiadał do samochodu, zespół zdążył już ustalić listę pasażerów i dokonywał przeliczeń: ilość paliwa x maksymalna prędkość = potencjalny promień poszukiwań. Na rozkaz Gusa skontaktowano się ze strażą przybrzeżną i marynarką wojenną, rozmieszczono helikoptery i fregaty. W ten sposób, gdy Gus dotarł do Teterboro, poszukiwania morskie już trwały, a wszyscy nadal mieli nadzieję, że nastąpiła jedynie awaria radia i samolot wylądował bezpiecznie gdzieś poza zasięgiem radarów, chociaż wiedzieli, że tak się nie stało.

Do chwili odnalezienia pierwszych szczątków wraku upłynęła dwadzieścia dwie godziny.

Pomimo dramatycznego podchodzenia do lądowania helikopter siada delikatnie, jak palec u nogi sprawdzający wodę. Wszyscy wyskakują na zewnątrz, podczas gdy śmigła nadal wirują nad ich głowami. Scott widzi przed sobą kilkudziesięciu marynarzy i techników na stanowiskach.

– Jak długo po tym, jak zniknęliśmy... – zaczyna pytanie, ale zanim zdąży dokończyć, Gus już mu odpowiada.

– Będę szczery. Kontrola lotów w Teterboro schrzaniła sprawę. Przez sześć minut nikt nie zauważył waszego zniknięcia z radaru, a w aspekcie kontroli lotów czas liczy się jak psie lata. W ten sposób powstała wielka siatka poszukiwań rozciągająca się we wszystkich kierunkach, ponieważ samolot mógł rozbić się natychmiast albo tylko spaść na wysokość poniżej radaru i lecieć dalej. Nad wodą wszystko, co lata poniżej trzech tysięcy pięciuset metrów, znika z radarów, więc samolot mógł z łatwością zejść na mniejszą wysokość i kontynuować lot. Następnie pojawia się pytanie: A co, jeśli samolot zmienił kierunek? Gdzie powinniśmy szukać? Kiedy kontroler zdaje sobie sprawę, że samolot zniknął, najpierw próbuje wywołać go przez radio. To zajmuje dziewięćdziesiąt sekund. Potem zaczyna dzwonić do innych samolotów w okolicy, żeby sprawdzić, czy widzą zaginioną jednostkę. Być może wasz samolot miał jedynie problem z anteną albo radio się popsuło. Nie może jednak znaleźć nikogo, kto widział waszą maszynę. Dzwoni więc do straży przybrzeżnej i mówi: „Od ośmiu minut nie mam na radarze samolotu. Taka była jego ostatnia pozycja, leciał w takim a takim kierunku z taką a taką prędkością”. Straż wysłała statek i helikopter.

– A kiedy zadzwonili do ciebie?

– Wasz samolot spadł do wody w przybliżeniu o dziesiątej osiemnaście wieczorem, w niedzielę. O jedenastej trzydziestej byłem w drodze do Teterboro razem z zespołem operacyjnym.

Wojskowy HC-130 przelatuje z rykiem. Scott odruchowo kuli się i zakrywa głowę. Samolot to ospała bestia z czterema śmigłami.

– Nasłuchuje sygnałów z transpondera – wyjaśnia Gus. – Mówiąc najogólniej, używamy wszystkich tych statków, helikopterów i samolotów do przeszukiwania wzrokowego na stale poszerzającej się siatce. Szukamy wraku za pomocą sonaru, którego fale dźwiękowe odbijają się od dna morskiego. Chcemy wydobyć wszystko, co możliwe, a zwłaszcza czarną skrzynkę samolotu. To ona wraz z nagraniami z rejestratora rozmów w kokpicie zdradzi nam sekunda po sekundzie, co działo się na pokładzie.

Scott patrzy, jak samolot przechyla się i manewruje, aby wykonać kolejne podejście poszukiwawcze.

– I nie było żadnego kontaktu radiowego? – pyta. – Żadnego wzywania pomocy? Niczego?

Gus wyciąga z kieszeni notatnik.

– Ostatnie słowa pilota brzmiały: „GullWing sześć trzynaście, dzięki”, kilka minut po starcie.

Statek unosi się na grzbiecie fali. Scott chwyta reling, żeby się przytrzymać. Widzi w oddali poruszający się powoli statek NOAA.

– Wylądowałem w Teterboro o jedenastej czterdzieści sześć i ściągnąłem fakty z kontroli lotów – informuje Gus. – Prywatny samolot bez planu lotu, z nieznaną liczbą pasażerów, zaginął nad oceanem mniej więcej godzinę i dwadzieścia minut wcześniej.

– Nie przedstawili planu lotu?

– W Stanach Zjednoczonych nie jest to obowiązkowe i stworzono listę pasażerów, ale tylko dla rodziny. Figurowała więc na niej załoga plus cztery osoby. Potem jednak kontrola lotów na Martha’s Vineyard stwierdziła, że ich zdaniem na pokładzie było przynajmniej siedem osób. Teraz muszę się dowiedzieć, kto jeszcze leciał samolotem i czy miało to jakiś związek z tym, co się wydarzyło, a w tej chwili nadal nie wiemy, co to było. Czy zmieniliście kurs i poleciliście na Jamajkę? Czy wylądowaliście na innym lotnisku w Nowym Jorku lub Massachusetts?

– Wtedy płynąłem, razem z chłopcem.

– Tak. W tej chwili w powietrzu są trzy helikoptery straży przybrzeżnej, a może nawet jeden marynarki, ponieważ pięć minut przed wejściem do wieży kontroli lotów dostałem telefon od szefa, do którego dzwonił jego szef z informacją, że David Bateman to bardzo ważna osoba, o czym wiem, i prezydent już monitoruje sytuację. To oznacza: żadnych wtop pod żadnym pozorem, a ja mam spotkanie z ludźmi z FBI i prawdopodobnie z kimś wysoko postawionym w Departamencie Bezpieczeństwa Krajowego.

– A kiedy dowiedzieliście się o Kiplingu?

– Biuro do spraw Kontroli Aktywów Zagranicznych Departamentu Skarbu dzwoni do mnie, gdy jestem w powietrzu pomiędzy Teterboro a Martha’s Vineyard, i informuje, że podsłuchiwali telefon Kiplinga i sądzą, że był na pokładzie. To oznacza, że oprócz FBI i Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego do ekipy dołączają dwaj agenci z Departamentu Skarbu i będę teraz potrzebował większego helikoptera.

– Dlaczego mi o tym opowiadasz? – pyta Scott.

– Poprosiłeś.

– Czy dlatego mnie tu przywiozłeś? Bo poprosiłem?

Gus się zastanawia, ludzka prawda kontra prawda strategiczna.

– Powiedziałeś, że to może ci pomóc coś sobie przypomnieć – odpowiada.

Scott potrząsa głową.

– Nie. Wiem, że nie powinno mnie tu być. Nie pracujecie w ten sposób.

Gus rozważa jego słowa.

– Wiesz, ile osób przeżywa większość katastrof lotniczych? Ani jedna. Może

obecność tutaj pomoże ci coś sobie przypomnieć. A może po prostu jestem zmęczony chodzeniem na pogrzeby. Może chciałem, żebyś wiedział, iż doceniam to, co zrobiłeś.

– Nie mów: dla chłopca.

– Dlaczego? Ocaliłeś mu życie.

– Ja... płynąłem. On zawołał. Każdy zrobiłby to co ja.

– Mogliby próbować.

Scott patrzy na wodę i przygryza wargę.

– Dlatego że w szkole średniej byłem w drużynie pływackiej, stałem się bohaterem?

– Nie, jesteś bohaterem, ponieważ zachowałeś się bohatersko. I przywiozłem cię tutaj, ponieważ ma to dla mnie znaczenie. Dla nas wszystkich.

Scott próbuje przypomnieć sobie moment, gdy ostatni raz jadł.

– Hej, co on miał na myśli?

– Kto?

– W szpitalu. Kiedy federalny powiedział, że tamtego wieczoru grał Boston, facet z OSPRY powiedział coś o baseballu.

– Tak. Dworkin jest przy kiju. To łapacz Red Soxów.

– I?

– W niedzielę wieczorem pobił rekord na najdłuższy okres przebywania na stanowisku pałkarza w historii baseballu.

– I co z tego?

Gus się uśmiecha.

– Zrobił to, gdy był w powietrzu. Dwadzieścia dwa rzuty w niewiele ponad osiemnaście minut, zaczynając od momentu startu samolotu i kończąc kilka sekund po katastrofie.

– Żartujesz.

– Nie. Najdłuższy okres przebywania na stanowisku pałkarza w historii baseballu trwał dokładnie tyle co wasz lot.

Wzrok Scotta ponownie wędruje w kierunku wody. Na horyzoncie gromadzą się ciężkie szare chmury. Pamięta, że w samolocie leciał mecz, że działo się coś niezwykłego, przynajmniej dwaj pozostali mężczyźni na pokładzie się tym ekscytowali. „Patrz na to, kochanie” i „Możesz uwierzyć, co wyprawia ten cholerny koleś?” Ale Scott nigdy nie interesował się sportem i prawie nie patrzył w stronę telewizora. Teraz jednak, gdy usłyszał tę historię i dowiedział się o zbiegu okoliczności, czuje, jak przechodzą go ciarki. Dwie rzeczy dzieją się w tym samym czasie. Wspomnienie o nich razem łączy je. Zbieżność. To jedna z tych rzeczy, która wydaje się znacząca, ale taka nie jest. Przynajmniej Scott nie uważa, aby tak było. Jak mogłaby być? Pałkarz w Bostonie wybija

piłki w trybuny, podczas gdy mały samolot przedziera się przez nisko zalegającą przybrzeżną mgłę. Ile milionów innych czynności zaczyna się i kończy w tym samym czasie? Ile innych „faktów” zbiega się idealnie, tworząc symboliczną spójność?

– Pierwsze raporty na temat pilota i drugiego pilota wyglądają na czyste – wyjaśnia Gus. – Melody był weteranem lotnictwa z dwudziestotrzyletnim stażem i latał z GullWingiem przez jedenaście lat. Żadnych negatywnych ocen, wezwań do sądu ani skarg. Miał jednak ciekawe dzieciństwo, wychowała go samotna matka. Kiedy był mały, zabrała go do sekty apokaliptycznej i tam razem z nim mieszkała.

– Takiej jak sekta Jima Jonesa Guyany? – pyta Scott.

– Nie jest to jasne – odpowiada Gus. – Szperamy w temacie, ale najprawdopodobniej to tylko szczegół.

– A ten drugi? – kontynuuje Scott. – Drugi pilot?

– Tu mamy nieco bardziej interesującą historię – informuje Gus. – Oczywiście, żadne z tych informacji nie powinny być powtarzane, ale pewnie będzie o nich głośno w prasie. Charles Busch był siostrzeńcem Logana Bircha, tego senatora. Dorastał w Teksasie. Odsłużył parę lat w Gwardii Narodowej. Najwyraźniej był z niego niezły playboy. Kilka wezwań do sądu, głównie z powodu wyglądu, na przykład za pojawienie się w pracy z zarostem. Prawdopodobnie poprzedniej nocy zbyt mocno zabalował. Ale żadnych sygnałów ostrzegawczych. Rozmawiamy z liniami lotniczymi, żeby otrzymać jaśniejszy obraz jego osoby.

James Melody i Charles Busch. Scott ledwie widział drugiego pilota i jak przez mgłę wspomina kapitana Melody'ego. Próbuje zapamiętać usłyszane szczegóły. To ludzie, którzy zginęli. Każdy z nich miał swoje życie, swoją historię.

Ocean wokół się burzy. Kuter straży przybrzeżnej wznosi się, opada i przechyla na boki.

– Wygląda na to, że zbliża się sztorm – stwierdza Scott.

Gus trzyma się relingu i wpatruje w horyzont.

– Jeśli nie jest to huragan czwartej kategorii, nie zaprzestajemy poszukiwań – oznajmia.

Scott pije pod pokładem herbatę, podczas gdy Gus dowodzi poszukiwaniami. W kambuzie włączono telewizor i na ekranie widać zdjęcia statku, na którego pokładzie Scott się znajduje, zrobione z helikoptera stacji telewizyjnej, relację na żywo z poszukiwań. Scott ma wrażenie, że jest w jednym z pokoi otoczonych lustrami, a jego wizerunek odbija się w nich w nieskończoność. Marynarze na przerwie piją kawę i oglądają się w telewizji.

Obraz ekipy ratowniczej zastępuje gadająca głowa – Bill Cunningham w czerwonych szelkach.

– ...obserwując trwające poszukiwania. O czwartej po południu nie przegapcie

specjalnego programu *Czy nasze niebo jest bezpieczne?* Posłuchajcie, wystarczająco długo trzymałem język za zębami, ale ta cała sprawa śmierdzi mi, i to dość mocno. Jeśli samolot rzeczywiście się rozbił, to gdzie są ciała? Jeśli David Bateman i jego rodzina naprawdę zginęli, dlaczego nie widzieliśmy... A teraz słyszę, że zaledwie kilka godzin po katastrofie ALC poinformowało o pogłoskach, według których na pokładzie był Ben Kipling, znany doradca inwestycyjny. Ów Kipling miał być oskarżony przez Departament Skarbu o handlowanie z wrogiem. Tak, właśnie, za inwestowanie pieniędzy pozyskanych nielegalnie od takich krajów jak Iran i Korea Północna. A jeśli ta katastrofa to próba doprowadzenia przez wrogie państwo spraw do końca? Uciszenia raz na zawsze tego zdrajcy Kiplinga? Dlatego musimy zapytać: dlaczego rząd nie określił tej katastrofy mianem, które odzwierciedla jej prawdziwy charakter, czyli mianem ataku terrorystycznego?

Scott odwraca się plecami do telewizora i sączy kawę z papierowego kubka. Próbuje wyciszyć głosy.

– Równie ważne jest pytanie: kim jest ten mężczyzna, Scott Burroughs?

Chwileczkę, co? Scott odwraca się w kierunku ekranu. Pojawia się na nim jego zdjęcie zrobione w ciągu ostatnich dziesięciu lat, portret artysty, który wisiał podczas jego wystawy w Chicago.

– Tak, wiem, że mówi się, iż ocalił czteroletniego chłopca, ale kim on jest i co robił na pokładzie samolotu?

Teraz ukazuje się przekazywany na żywo obraz domu Scotta na Martha's Vineyard. Jak to możliwe? Scott widzi w oknie swego trójnogiego psa szczekającego bezgłośnie.

– *Wikipedia* przedstawia go jako malarza, ale nie podaje żadnych osobistych informacji. Skontaktowaliśmy się z galerią w Chicago, gdzie w dwa tysiące dziesiątym roku pan Burroughs miał podobno swoją ostatnią wystawę, ale pracownicy twierdzą, że nigdy go nie poznali. Zadajcie więc sobie pytanie: jakim cudem nieznany malarz, który od pięciu lat nie pokazał żadnego obrazu, znajduje się na pokładzie luksusowego samolotu z dwoma najbogatszymi mężczyznami w Nowym Jorku?

Scott ogląda swój dom w telewizji. Pokryty gontem parterowy budynek, wynajmowany od greckiego rybaka za dziewięćset dolarów miesięcznie. Wymaga odmalowania. Tu Scott czeka na nieunikniony żart Cunninghama: dom malarza, który wymaga odmalowania, ale nie słyhać go.

– Dlatego teraz, na żywo, na antenie tej stacji, dziennikarz prosi: jeśli ktokolwiek z was zna tajemniczego malarza, proszę, zadzwońcie do stacji. Przekonajcie mnie, że pan Burroughs jest rzeczywistą osobą, a nie udającym dawną gwiazdę uśpionym agentem, którego ISIS właśnie uaktywniło.

Scott sączy herbatę ze świadomością, że dwaj żołnierze mu się przyglądają. Czuje za plecami czyjąś obecność.

– Wygląda na to, że powrót do domu nie wchodzi w grę – stwierdza Gus, podszedłszy do Scotta.

Scott się odwraca.

– Najwyraźniej – przytakuje. Towarzyszy mu całkowicie obce wrażenie oddzielenia pomiędzy osobą, jaką jest wewnątrz, a nowym wyobrażeniem siebie, nową tożsamością osoby publicznej, której nazwisko uszczypliwie wypowiada znana twarz. Czuje, że jeśli pójdzie do domu, to wyjdzie ze swojego życia i wejdzie na ekran. Stanie się ich.

Gus przez chwilę patrzy w telewizor, a potem podchodzi i wyłącza go.

– Masz gdzie się przespać przez kilka dni, by cię nie namierzyli? – pyta.

Scott się zastanawia i nie wpada na żaden pomysł. Zadzwoił do jedyne go kumpla i porzucił go na parkingu pod stacją benzynową. Są gdzieś kuzyni, była narzeczona, ale podejrzewa, że zostali już znalezieni dzięki Google, wyszukiwarce współczesnej ciekawości. Potrzebuje rozwiązania nieliniowego, nazwiska wybranego pozornie przypadkowo, którego żadne prywatne oko ani algorytm komputerowy nie byłyby w stanie przewidzieć.

Wtedy, jak po uruchomieniu kosmicznej synapsy, pojawia mu się w głowie nazwisko. Dwa słowa wypowiedziane z irlandzką melodią tworzą obraz: blondynka z miliardem dolarów.

– Tak, chyba wiem, do kogo zadzwonić – odpowiada.

SIEROTY

Eleanor pamięta, jak były dziewczynkami. Nie było mojego i twojego. Wszystko, co posiadały, ona i Maggie, było wspólne, szczotka do włosów, sukienki w paski i kropki, używane zabawki, Ann i Andy Powycierani. Siadały w umywalce, przed lustrem, w ich domu na farmie, i czesały sobie nawzajem włosy. W salonie grał gramofon, Pete Seeger i Arlo Guthrie lub The Chieftains, i słychać było, jak tata gotuje. Maggie i Eleanor, lat osiem i sześć albo dwanaście i dziesięć, dzieliły się płytami kompaktowymi i kochały w tych samych chłopakach. Eleanor była młodsza, białowłosa i energiczna. Maggie lubiła tańczyć, wirując w kółko ze wstążką, aż zakreśliło się jej w głowie. Eleanor obserwowała ją i śmiała się bez końca.

Eleanor nigdy nie myślała w kategoriach „ja”. Każde zdanie w jej głowie zaczynało się od „my”. A potem Maggie poszła do college’u i Eleanor musiała nauczyć się żyć w pojedynkę. Pamięta pierwszy trzydniowy weekend, kiedy kręciła się w kółko w swoim pustym pokoju, nasłuchując śmiechu, który się nie pojawiał. I to, że poczucie bycia samą odczuwała jak robaki w szkielecie. Dlatego w poniedziałek, gdy zaczęła się szkoła, rzuciła się między chłopców i pierwszy raz dostrzegła możliwość stworzenia pary z kimś innym. W piątek chodziła już z Paulem Aspenem, a trzy tygodnie później, kiedy ta znajomość się skończyła, przerzuciła się na Damona Wrighta.

Przyświecała jej żarówka schowana za oczami, prowadziło pragnienie, aby nigdy więcej nie być sama.

Na przestrzeni kolejnych dziesięciu lat pojawiła się seria mężczyzn, miłości i zauroczeń, zastępców. Dzień w dzień Eleanor unikała swej głównej wady, zamykając drzwi na klucz, zasłaniając okno i wytrwale wpatrując się przed siebie, chociaż ona pukała coraz głośniejsze.

Poznała Douga trzy lata temu w Williamsburgu. Skończyła właśnie trzydzieści jeden lat i pracowała na dolnym Manhattanie, a wieczorami ćwiczyła jogę. Mieszkała z dwiema współlokatorkami w dwupiętrowym domu bez windy w Carroll Gardens. Javier, ostatnia miłość jej życia, rzucił ją tydzień wcześniej – po tym, jak znalazła ślady szminki na jego bokserkach – i przez większość dni czuła się niczym przesiąknięta deszczem torba papierowa. Współlokatorki radziły jej, żeby spróbowała przez pewien czas pobyć sama. Mieszkająca w centrum Maggie mówiła podobnie, ale za każdym razem gdy Eleanor próbowała, czuła to samo: robaki wpełzające z powrotem do jej kości.

Spędziła weekend z Maggie i Davidem. Pamięta go jako czas, gdy pomagała im z dziećmi, choć w rzeczywistości leżała na sofie, wpatrując się w okno i próbując nie płakać. Dwie noce później siedziała z kolegami z pracy w jakimś tanim hipsterskim barze niedaleko stacji metra linii L i zobaczyła Douga. Miał okazałą brodę i ogrodniczki.

Spodobały jej się jego oczy, sposób, w jaki je mrużył, gdy się uśmiechał. Kiedy podszedł do baru po kolejny dzbanek, zaczął rozmowę. Powiedział jej, że jest pisarzem, który unika pisania, wydając huczne przyjęcia z obiadem. Jego mieszkanie pełne było dziwnych urządzeń do przygotowywania jedzenia, stały tam stare maszyny do robienia makaronu i ekspres do cappuccino za trzysta funtów, który odbudował śruba po śrubie. W zeszłym roku zaczął wędzić własne kiełbasy i kupował flak od rzeźnika w Gowanus. Cała sztuka polegała na kontrolowaniu wilgotności, aby nie wytworzyła się botulina. Doug zaprosił Eleanor na degustację, ale odparła, że to brzmi ryzykownie.

Powiedział jej, że pracuje nad wielką amerykańską powieścią, a może tylko nad przyciskiem do papieru, zrobionym wyłącznie z papieru. Pili razem pabsta i ignorowali jej znajomych. Godzinę później poszła z nim do domu i dowiedziała się, że nawet latem śpi we flanelowej pościeli. Wystrój jego mieszkania przypominał skrzyżowanie lokum drwala i szalonego naukowca. Był tam odnawiany przez Douga stary fotel dentystyczny z telewizorem przymocowanym do jednego z podłokietników. Nago Doug wyglądał jak niedźwiedź, pachniał piwem i trocinami. Leżąc pod nim, patrząc, jak działa, Eleanor czuła się jak duch, jakby kochał się z jej cieniem.

Powiedział jej, że ma problemy z określaniem granic i że za dużo pije. Ona odparła: „Hej, ja też”. Śmiali się z tego, ale prawda była taka, że ona nie piła za dużo, natomiast on tak. Wielki amerykański przycisk do papieru wzywał Douga o dziwnych godzinach, uruchamiając w nim napady użalania się nad sobą i wściekłości. Eleanor budziła się spocona pod jego flanelową kołdrą i znajdowała go rozrywającego na strzępy swoje biurko (stare drzwi oparte na dwóch kozłach).

W ciągu dnia był jednak uroczy i miał mnóstwo znajomych, którzy wpadali w dzień i w nocy, co oznaczało, że Eleanor nigdy nie miała szansy być sama. Doug z chęcią przyjmował taką rozrywkę i był gotów rzucić wszystko, aby wyruszyć na kulinarną przygodę – tropił drylownicę do wiśni na Orchard Street albo jechał metrem do Queens, żeby kupić kozie mięso od Haitańczyków. Jego obecność była tak dominująca, że Eleanor nigdy nie czuła się samotna, nawet wtedy, gdy Doug do późna pozostawał poza domem. Przeprowadziła się do jego mieszkania po miesiącu i kiedy czuła się sama, zakładała jedną z jego koszul i jadła resztki jedzenia, siedząc na kuchennej podłodze.

Zdobyła uprawnienia masażystki i zaczęła pracować w eleganckim butik w dzielnicy Tribeca. Jej klientami były gwiazdy filmowe i bankierzy. Zachowywali się przyjaźnie i dawali wysokie napiwki. Doug wykonywał drobne prace, dorywcze zlecenia stolarskie i tym podobne. Miał kolegę, który przeprojektowywał restauracje i płacił Dougowi za znajdowanie i odnawianie starych kuchenek. W pojęciu Eleanor byli szczęśliwi i robili to, co młoda para powinna robić we współczesnych czasach.

Przedstawiła Douga Davidowi, Maggie i dzieciom, ale widziała, że Doug nie lubi przebywać w towarzystwie osoby odnoszącej sukcesy i tak mającej jak David. Jedli w jadalni w miejskiej willi Batemanów (z powodu dzieci było to łatwiejsze niż wychodzenie do restauracji) przy stole na dwanaście osób i Eleanor patrzyła, jak Doug wypija butelkę francuskiego wina i bada najlepsze na rynku sprzęty kuchenne (ośmiopalnikową kuchenkę Wolf, luksusową lodówkę Sub-Zero) z zazdrością i pogardą

(„możesz kupić narzędzia, ale nie talent do ich używania”). Podczas podróży powrotnej metrem Doug narzekał na „republikańskiego mężusia sponsora” jej siostry i zachowywał się tak, jakby David wytykał im ich niedostatek. Eleanor nie rozumiała, o co mu chodzi. Jej siostra była szczęśliwa, David miły, a dzieciaki grzeczne jak aniołki. Nie, nie zgadzała się z polityką szwagra, ale nie wydawał się złą osobą.

Doug wykazywał jednak taką samą, szampową, przesadną reakcję na bogactwo, jaka charakteryzowała większość brodatych mężczyzn w jego wieku. Szkalowali je, chociaż go pragnęli. Wygłosił monolog, trwający od stacji pociągu linii 6 przez przesiadkę na Union Square i całą drogę do ich sypialni na Wythe Avenue, o tym, że David szerzy nienawiść wśród białych ludzi z bronią i że świat jest teraz w gorszym położeniu niż kiedykolwiek, ponieważ szwagier żony nielegalnie handluje ekstremizmem i pornografią nienawiści.

Eleanor powiedziała mu, że nie chce już na ten temat rozmawiać, i poszła spać na kanapie.

W maju przeprowadzili się do Westchester. Razem z kilkoma znajomymi Doug kupił restaurację, a właściwie pusty lokal w Croton-on-Hudson. Wymyślili, że wprowadzą się do miasteczka i razem odbudują restaurację od zera. Jednak z pieniędzmi było krucho i jeden ze znajomych wycofał się w ostatnim momencie. Inny pracował przy projekcie przez sześć miesięcy po pół dnia, potem zrobił dziecko miejscowej licealistce i uciekł z powrotem do miasta. Teraz lokal stał do połowy pusty, właściwie były tam jedynie kuchnia i kilka pudeł z białymi płytkami gnijących w kałuży stojącej wody.

Przez większość dni Doug jeździ tam starą furgonetką, ale tylko po to, by pić. Postawił w rogu komputer, żeby pracować na nim nad swoim „przyciskiem do papieru”, jeśli poczuje się w nastroju, co zwykle się nie zdarza. Umowa dzierżawy wygasa z końcem roku i jeśli Dougowi nie uda się przekształcić lokalu w działającą restaurację (co w tym momencie wydaje się niemożliwe), stracą go wraz ze wszystkimi zainwestowanymi pieniędzmi.

W pewnym momencie Eleanor zasugerowała (tylko zasugerowała), że David mógłby pożyczyć im dziesięć tysięcy na wykończenie restauracji. Doug splunął jej pod nogi, a następnie wygłosił dwudniową tyradę na temat tego, że Eleanor powinna poślubić bogatego dupka, jak jej pieprzona siostra. Tej nocy nie wrócił do domu, a ona leżała i czuła, jak stare robaki wpełzają jej z powrotem do kości.

Przez pewien czas wydawało się, że ich małżeństwo będzie po prostu kolejną rośliną domową, która przestała rosnąć, zadławiona brakiem pieniędzy i śmiercią marzeń.

I wtedy David, Maggie i piękna mała Rachel zginęli, a Eleanor i Doug stali się posiadaczami większej sumy pieniędzy, niż byli w stanie wydać.

Trzy dni po katastrofie siedzą w sali konferencyjnej na najwyższym piętrze budynku przy Park Avenue 432. Doug pod przymusem założył krawat i uczesał włosy, ale brodę ma nadal potarganą i Eleanor podejrzewa, że nie mył się dzień lub dwa. Ona ma na sobie czarną sukienkę oraz buty na niskim obcasie i siedzi, ściskając torebkę. Obecność tutaj,

w tym biurowcu, siedzenie twarzą w twarz z zastępem prawników, znaczenie całej sytuacji powodują, że swędzą ją zęby. Otwarcie testamentu, wysłuchanie postanowień zawartych w dokumencie, który odczytuje się w razie śmierci, dowodzi bezsprzecznie, że nie żyje ukochana osoba.

Matka Eleanor opiekuje się chłopcem na północy stanu. Eleanor poczuła ścisk w żołądku, gdy wyjeżdżali. Malec wyglądał na bardzo nieobecnego i smutnego, kiedy przytuliła go na do widzenia, ale matka zapewniła ją, że nic mu nie będzie. Był przecież jej wnukiem, dlatego Eleanor zmusiła się, by wsiąść do samochodu.

W drodze Doug stale pytał, ile pieniędzy jej zdaniem dostaną, a ona tłumaczyła mu, że to nie są ich pieniądze. Należą do JJ-a i zostaną przekazane pod zarząd powierniczy, a ona, jako opiekun, będzie mogła wydawać je na zajmowanie się chłopcem, ale nie dla osobistego zysku. Doug odpowiadał: „Jasne, jasne”, kiwał głową i zachowywał się tak, jakby mówił: „Oczywiście, wiem”, jednak po sposobie, w jaki prowadził, oraz fakcie, że w ciągu półtorej godziny wypalił pół paczki papierosów, Eleanor widziała, że czuł się tak, jakby wygrał na loterii i oczekiwał, że dostanie do ręki nowy wielkoformatowy czek.

Eleanor patrzy przez okno i myśli o chwili, kiedy pierwszy raz zobaczyła JJ-a w szpitalu, a potem przeskakuje do momentu trzy dni wcześniej, kiedy zadzwonił telefon i dowiedziała się, że samolot jej siostry zaginął. Przypomina sobie, jak po skończonej rozmowie długo siedziała pod kołdrą, wciąż trzymając w dłoni słuchawkę, podczas gdy Doug spał obok niej na plecach i chrapał w sufit. Wpatrywała się w cienie, aż telefon zadzwonił ponownie, gdzieś po wschodzie słońca, i męski głos poinformował ją, że jej siostrzeniec żyje.

– Tylko on?

– Na razie. Ale nadal szukamy.

Obudziła Douga i powiedziała mu, że muszą pojechać do szpitala na Long Island.

– Teraz? – zapytał.

Wsiadła za kierownicę i wrzuciła bieg, zanim Doug z rozpiętym rozporkiem i bluzą założoną do połowy zdążył zamknąć drzwi. Powiedziała mężowi, że samolot rozbił się gdzieś w oceanie i jeden z pasażerów przepełnął wiele kilometrów do brzegu, dźwigając chłopca na plecach. Chciała, aby Doug powiedział jej, żeby się nie martwiła, że skoro oni przeżyli, to inni pasażerowie też, ale tego nie zrobił. Jej mąż usiadł na siedzeniu pasażera i zapytał, czy mogą zatrzymać się na kawę.

Resztę Eleanor pamięta jak przez mgłę. To, jak wyskoczyła z samochodu w strefie załadunku przed szpitalem. Paniczne poszukiwania sali JJ-a. Czy pamięta chociaż, że uściskała chłopca i poznała bohatera leżącego w łóżku obok? Jest kształtem, głosem, rozjaśnionym przez słońce. Jej poziom adrenaliny był tak wysoki, tak była zaskoczona ogromem zdarzeń, tym, jak życie może stać się wielkie – helikoptery krążące nad oceanicznymi falami, rozstawione statki marynarki. Tak wielkie, że wypełniło ekrany trzech milionów telewizorów, a jej życie stało się poddaną pod dyskusję historyczną zagadką, której szczegóły są obserwowane i analizowane zarówno przez amatorów, jak

i profesjonalistów.

Teraz w sali konferencyjnej zwija dłonie w pięści, by zwalczyć odczuwane mrowienie, i stara się uśmiechać. Z drugiej strony stołu Larry Page odwzajemnia uśmiech. Po dwóch jego stronach siedzą prawnicy, podzieleni ze względu na płeć.

– Proszę posłuchać – zaczyna. – Później będzie czas na wszystkie szczegóły. To spotkanie ma na celu ogólne przedstawienie tego, czego David i Maggie chcieli dla swoich dzieci, gdyby... w razie swojej śmierci.

– Oczywiście – przytakuje Eleanor.

– Ile? – pyta Doug.

Eleanor kopie go pod stołem. Pan Page marszczy czoło. W sprawach związanych z ogromnym bogactwem oczekuje stosownego zachowania, wystudiowanej nonszalancji.

– Cóż, jak już wyjaśniłem, państwo Batemanowie ustanowili zarząd powierniczy dla obojga dzieci, dzieląc swój majątek między nie po połowie. Ale ponieważ ich córka...

– Rachel – precyzuje Eleanor.

– Tak, Rachel. Ponieważ Rachel nie przeżyła, całość majątku przechodzi na JJ-a, w tym wszystkie nieruchomości: willa na Manhattanie, dom na Martha's Vineyard i lokum w Londynie.

– Chwileczkę – przerywa Doug. – Co takiego?

Pan Page kontynuuje.

– Jednocześnie w testamentach oboje zapisali znaczne sumy pieniędzy i akcji wielu organizacjom charytatywnym, około trzydziestu procent całego majątku. Pozostała kwota spoczywa na rachunku powierniczym JJ-a i będzie on mógł z niej korzystać etapami, w ciągu kolejnych czterdziestu lat.

– Czterdzieści lat – powtarza z pochmurną miną Doug.

– Nie potrzebujemy wiele – stwierdza Eleanor. – To pieniądze JJ-a.

Teraz z kolei Doug kopie żonę pod stołem.

– Tu nie chodzi o to, czego państwo potrzebują – informuje ich prawnik – ale o wypełnienie ostatniej woli Batemanów. Rzeczywiście, nadal czekamy na oficjalne stwierdzenie zgonu, ale z uwagi na okoliczności chciałbym doraźnie uwolnić część funduszy.

Jedna z kobiet po jego lewej podaje mu czystą papierową teczkę. Pan Page otwiera ją. Wewnątrz znajduje się pojedyncza kartka.

– Według obecnej wartości rynkowej – informuje. – Rachunek powierniczy JJ-a jest wart sto trzy miliony dolarów.

Siedzący obok Eleanor Doug wydaje dźwięk, jakby się krztusił. Twarz Eleanor płonie. Jest zażenowana jawną chciwością, którą prezentuje mąż, i pewna, że gdyby na niego spojrzała, miałby na twarzy głupi uśmiešek.

– Gros majątku, sześćdziesiąt procent, zostanie udostępnione JJ-owi w dniu jego czterdziestych urodzin, piętnaście procent w dniu trzydziestych urodzin, a kolejne piętnaście – gdy chłopiec skończy dwadzieścia jeden lat. Pozostałe dziesięć procent zostało odłożone na pokrycie kosztów wychowania JJ-a od teraz do jego dorosłości.

Eleanor czuje, jak obok niej Doug dokonuje obliczeń.

– To dziesięć milionów trzysta tysięcy, zgodnie z wartością obowiązującą wczoraj w momencie zamknięcia rynku.

Eleanor widzi ptaki krążące za oknem. Myśli o tym, jak pierwszego dnia niosła JJ-a ze szpitala, czuła jego ciężar, znacznie większy, niż pamiętała. Doug ułożył stos z koców na tylnym siedzeniu, ponieważ nie mieli fotelika i pojechali do marketu Target, aby go kupić. Samochód stał na parkingu, z włączonym silnikiem, a oni siedzieli przez chwilę w milczeniu. Eleanor spojrzała na Douga.

– Co? – zapytał z twarzą pozbawioną wyrazu.

– Powiedz, że potrzebujemy fotelika dla dziecka – wyjaśniła. – Ma być skierowany przodem do kierunku jazdy. Zaznacz wyraźnie, że chłopiec ma cztery lata.

Doug rozważał kłótnię, „Ja? W Targecie? Ja, kurwa, nienawidzę Targetu”, ale trzeba mu przyznać, że jej nie zaczął. Otworzył tylko ramieniem drzwi i wszedł do sklepu. Eleanor odwróciła się na siedzeniu i spojrzała na JJ-a.

– W porządku? – zapytała.

Chłopiec pokiwał głową i zwymiotował na tył jej fotela.

Głos zabiera mężczyzna siedzący po prawej ręce Page’a.

– Pani Dunleavy – zaczyna – nazywam się Fred Cutter. Moja firma zarządza finansami pani zmarłego szwagra.

„W takim razie – myśli Eleanor – nie jest prawnikiem”.

– Opracowałem podstawowy plan finansowy na pokrycie miesięcznych wydatków i przewidywanych kosztów edukacji, który z chęcią omówię z panią w dogodnym dla pani terminie.

Eleanor ryzykuje i patrzy na Douga. Rzeczywiście się uśmiecha. Kiwa głową w jej stronę.

– Czyli ja... – zaczyna Eleanor. – Ja jestem kuratorem funduszu?

– Tak – przytakuje Page. – Chyba że nie chce pani wykonywać zaproponowanych pani obowiązków. Na taką okoliczność pan i pani Bateman wyznaczyli następcę.

Czuje, jak Doug sztywnieje obok niej na myśl o przekazaniu całego majątku jakiemuś zawodnikowi z drugiego miejsca.

– Nie – oznajmia Eleanor. – To mój siostrzeniec. Chcę się nim zająć. Pragnę się tylko upewnić, że to moje nazwisko figuruje w dokumentach funduszu, a nie...

Zerka w stronę męża, a Page podchwytuje jej spojrzenie.

– Tak – potwierdza prawnik. – Pani wymieniona jest jako opiekun i zarządca.

– Dobrze – mówi Eleanor po chwili.

– W ciągu następnych kilku tygodni poproszę panią o spotkanie w celu podpisania kolejnych dokumentów. Mówiąc: spotkanie, chcę zaznaczyć, że my możemy odwiedzić panią. Niektóre zapisy testamentu będą musiały zostać poświadczane notarialnie. Czy chce pani otrzymać klucze do nieruchomości już dzisiaj?

Eleanor mruga i myśli o mieszkaniu siostry, teraz przypominającym muzeum rzeczy, których już nigdy nie będzie potrzebowała, z ubraniami, meblami, lodówką z jedzeniem, pokojami dzieci pełnymi książek i zabawek. Czuje, że oczy zachodzą jej łzami.

– Nie – odpowiada. – Raczej...

Przerywa, aby się opanować.

– Rozumiem – mówi Page. – Poproszę, by przysłano je pani do domu.

– Może ktoś mógłby zabrać rzeczy JJ-a z jego pokoju? Zabawki i książki. Ubrania. On pewnie... Sama nie wiem. Może to by mu pomogło?

Kobieta po lewej od Page'a robi notatkę.

– Gdyby pani postanowiła sprzedać którąkolwiek z nieruchomości lub wszystkie, możemy pani w tym pomóc – oferuje Cutter. – Kiedy ostatnio sprawdzałem, realna wartość rynkowa wszystkich trzech wynosiła około trzydziestu milionów.

– Czy pieniądze przejdą do funduszu, czy...? – pyta Doug.

– Te pieniądze zasilą obecne, dostępne państwu fundusze.

– Czyli z dziesięciu milionów zrobi się czterdzieści?

– Doug – rzuca Eleanor ostrzej, niż zamierzała.

Prawnicy udają, że nie słyszeli.

– Co? – pyta mąż. – Tylko wyjaśniam.

Eleanor kiwa głową. Pod stołem rozwija pięści i rozprostowuje dłonie.

– W porządku – oznajmia. – Czuję, że muszę wracać. Nie chcę zostawiać JJ-a na zbyt długo. Kiepsko sypia.

Wstaje. Po drugiej stronie cała grupa podnosi się natychmiast. Tylko Doug pozostaje na krześle, pogrążony w marzeniach.

– Doug – mówi Eleanor.

– A, tak – odpowiada i wstaje, a potem przeciąga się, rozprostowując ręce i plecy, jak kot, który obudził się po długiej drzemce na słońcu.

– Wracają państwo do domu samochodem? – pyta Cutter.

Eleanor kiwa głową.

– Nie wiem, jakim jeżdżą państwo samochodem, ale Batemanowie mieli ich kilka,

w tym rodzinnego SUV-a. Pozostają one również do pani dyspozycji lub mogą zostać sprzedane. Ja pani sobie życzy.

– Ja po prostu... – zaczyna Eleanor. – Przepraszam, nie jestem teraz w stanie podjąć żadnych decyzji. Muszę pomyśleć, przetrwać to wszystko albo...

– Oczywiście. Nie będę zadawał więcej pytań.

Cutter kładzie dłoń na jej ramieniu. Jest szczupłym mężczyzną o miłej twarzy.

– Chcę, aby pani wiedziała, że David i Maggie byli dla mnie kimś więcej niż tylko klientami. Mieliśmy córki w tym samym wieku i...

Przerywa, gdy oczy zachodzą mu łzami, a potem kiwa głową. Eleanor ściska go za ramię, wdzięczna za ten ludzki gest w zaistniałej sytuacji. Stojący obok Doug chrząka.

– Może pan powtórzyć, jakie to samochody? – prosi.

W czasie drogi powrotnej Eleanor milczy. Przy otwartym oknie Doug wypala drugą połowę paczki papierosów i palcami wystukuje obliczenia na kierownicy.

– Powinniśmy zatrzymać willę w mieście, co? – stwierdza. – Mieszkanie w mieście. Ale nie wiem, czy wrócimy kiedyś na Vineyard. Po tym, co się stało.

Eleanor nie odpowiada, opiera jedynie głowę na zagłówek i patrzy na szczyty drzew.

– A Londyn... – kontynuuje Doug. – Mogłoby być nieźle. Ale jak często tam będziemy... Ja bym go sprzedał, a jeśli będziemy chcieli tam pojechać, zawsze możemy zatrzymać się w hotelu.

Pociera brodę niczym skąpiec z bajki dla dzieci, który nagle się wzbogacił.

– To pieniądze JJ-a – wyjaśnia Eleanor.

– Tak – odpowiada Doug. – Ale on ma dopiero cztery lata, więc...

– Tu nie chodzi o to, czego my chcemy.

– Kochanie, w porządku, wiem, ale dzieciak jest przyzwyczajony do pewnego... i teraz my jesteśmy jego opiekunami.

– Ja jestem jego opiekunem.

– Jasne, z prawnego punktu widzenia, ale jesteśmy rodziną.

– Od kiedy?

Doug wydyma wargi i Eleanor czuje, że hamuje impuls, by na nią warknąć.

– W porządku – mówi. – Wiem, że nie byłem... Ale to z powodu szoku, wiesz? To wszystko... I wiem, że dla ciebie też. To znaczy, bardziej niż dla mnie, ale... Cóż, chcę, byś wiedziała, że skończyłem z tym głównym.

Kładzie dłoń na jej ramieniu.

– Jesteśmy w tym razem.

Eleanor czuje na sobie jego wzrok, słyszy uśmiech na jego twarzy, ale nie odwraca się. Możliwe, że w tym momencie czuje się bardziej samotna niż kiedykolwiek w całym swoim życiu.

Tyle że nie jest sama.

Teraz jest matką.

Już nigdy nie będzie sama.

OBRAZ 2

Gdyby patrzeć jedynie na centralną ramę, można by uznać, że wszystko jest w porządku. Że dziewczyna, o której mowa, prawdopodobnie osiemnastoletnia, z kosmykiem włosów zawianym na twarz, wyszła jedynie na spacer po polu kukurydzy w pochmurny dzień. Stoi twarzą do nas, zaledwie kilka sekund temu wynurzyła się z ciasnego labiryntu wysokiej zieleni. I chociaż niebo nad nią ma nieco złowieszczy, szary kolor, dziewczynę i pierwszy rząd kukurydzy za nią oświetla rozpalone słońce, rozgorączkowane i pomarańczowe, tak intensywne, że mruży oczy przez włosy i unosi jedną rękę, jakby chciała przyjrzeć się czemuś w oddali.

To jakość światła przyciąga cię i sprawia, że pytasz: „Jaka kombinacja kolorów, w jakiej kolejności nałożonych, jaką techniką, stworzyła ów burzowy blask?”

Po lewej stronie dziewczyny, na płótnie takich samych rozmiarów, oddzielonym dwoma centymetrami białej ściany, widać wiejski dom z szerokim trawnikiem, stojący pod kątem do pola kukurydzy. Perspektywa działa tak silnie, że dziewczyna z płótna obok zdaje się przyćmiewać dom. Jest jednopiętowy, obity czerwonymi deskami, ma spadzisty dach jak w stodole i zamknięte okiennice. Jeśli zmruży się oczy, można zauważyć, że z boku domu drewniane skrzydło dodatkowych drzwi otwarło się gwałtownie, odsłaniając czarną dziurę. Wynurza się z niej męskie ramię odziane w długi biały rękaw i mała dłoń sięga po przywiązany uchwyt z liny, napiętej, zastygłej w ruchu. Czy jednak otwiera on drzwi, czy je zamyka?

Spoglądasz z powrotem na dziewczynę. Nie patrzy na dom. Włosy zachodzą jej po skosie na twarz, ale widać jej oczy i chociaż twarz ma zwróconą przed siebie, jej źrenice uciekły na prawo. Pociągają za sobą wzrok oglądającego poprzez krętą, skomplikowaną plamę liściastej zieleni, poprzez kolejne dwa centymetry białej ściany galerii w kierunku trzeciego, ostatniego płótna.

Wówczas dostrzegasz, co dziewczyna właśnie zauważyła.

Tornado.

Wirujący, diabelski skrzep, czarny wir cylindrycznego majestatu. To obracające się szare pajęczce jajo wypełnione gnijącymi zębami. Biblijny potwór, boska zemsta. Furczą i kłębiąc się, pokazuje ci swe pożywienie, jak kapryśne dziecko, domy i drzewa, roztrzaskane i wirujące, żwirowaty grad ziemi. Obserwowane z któregośkolwiek miejsca na sali sprawia wrażenie, jakby nacierało wprost na ciebie, i kiedy to dostrzegasz, robisz krok w tył. Samo płótno jest pogięte i postrzępione, jego prawy górny róg zagięty do środka, popękany i poskręcany, jakby faktyczną siłą wiatru. Jakby obraz niszczył sam siebie.

Teraz patrzysz z powrotem na dziewczynę, otwierającą coraz szerzej oczy, unoszącą rękę nie po to, jak się orientujesz, by odgarnąć włosy, ale by osłonić oczy przed straszliwym widokiem. A potem z przerażeniem patrzysz za nią, na dom, a konkretnie na małe zewnętrzne drzwi, ów czarny dół zbawienia, a w nim ramię mężczyzny, rękę chwytającą poszarpaną linę. I tym razem, gdy pojmujesz to, co widzisz, zdajesz sobie sprawę, że...

On zamyka drzwi i tym samym odcina nas.

Zostajemy sami.

LAYLA

Jak mówi znany cytat, „rzeczy, których nie można kupić za pieniądze, i tak nie chcemy”. Ale to bzdury, ponieważ prawda jest taka, że nie ma rzeczy, której nie można kupić. Raczej nie. Miłość, szczęście, spokój umysłu, wszystko jest dostępne za odpowiednią cenę. W rzeczywistości na świecie istnieje wystarczająca ilość pieniędzy, aby uczynić każdego spełnionym, musielibyśmy się jedynie nauczyć robić to, o czym wie każde małe dziecko – dzielić się. Ale pieniądze, tak jak grawitacja, to siła, która zbija się w masę i przyciąga coraz więcej siebie, tworząc w końcu czarną dziurę, którą znamy jako bogactwo. To nie jest jedynie wina ludzi. Zapytaj jakikolwiek banknot dolarowy, a odpowie ci, że woli towarzystwo studolarówek niż jednodolarówek. Lepiej być dychą na koncie miliardera niż brudnym dolarem w podartej kieszeni ćpuna.

W wieku dwudziestu dziewięciu lat Leslie Mueller jest jedyną spadkobierczynią technologicznego imperium. Jako córka miliardera i modelki jest członkinią stale rosnącej, genetycznie zmodyfikowanej rasy panów. Wydaje się, że są dzisiaj wszędzie, majątne dzieci błyskotliwych kapitalistów, używające niewielkiej części swoich spadków, by zakładać firmy i sponsorować sztukę. W wieku osiemnastu, dziewiętnastu, dwudziestu lat kupują niemożliwe do zdobycia nieruchomości w Nowym Jorku, Hollywood, Londynie. Ustanawiają się nową klasą Medyceuszy, przyciągani nagłym pulsowaniem przyszłości. To coś więcej niż tylko moda, to kolekcjonerzy geniuszu, latający z Davos do Coachelli, do Sundance, wpadający na spotkania i oferujący dzisiejszym artystom, muzykom i filmowcom uwodzący ego zastrzyk gotówki i prestiż przebywania w ich towarzystwie.

Piękni i bogaci, nie przyjmują odmowy.

Leslie, dla przyjaciół „Layla”, była jedną z pierwszych. Jej matka to eksmodelka Galliano z hiszpańskiej Sewilli. Ojciec wymyślił jakiś nowoczesny przerzutnik, który można znaleźć w każdym komputerze i smartfonie na ziemi. Jest dziewiątym najbogatszym człowiekiem na świecie i nawet wyposażona w jedną trzecią spadku Layla Mueller jest na trzysta dziewięćdziesiątym dziewiątym miejscu w rankingu. Ma tak wiele pieniędzy, że inni bogaci ludzie, których Scott poznał, jak David Bateman czy Ben Kipling, wyglądają przy niej jak robole. Bogactwo na poziomie Layli nie podlega wahaniom rynku. Posiada tak pokaźną sumę, że nigdy nie będzie splukana. Tak wielką, że jej pieniądze zarabiają własne pieniądze i kwota rośnie o piętnaście procent w skali roku, czyli o kilka milionów miesięcznie.

Layla zarabia tak wiele, jedynie będąc bogatą, że roczne dywidendy wypracowane przez jej konto oszczędnościowe plasują ją na siedemsetnym miejscu na liście najbogatszych ludzi na świecie. Pomyślcie o tym. Wyobraźcie to sobie, jeśli potraficie,

a z pewnością nie potraficie. Raczej nie. Ponieważ jedynym sposobem na zrozumienie bogactwa na tym poziomie jest posiadanie go. Droga Layli to droga bez oporu, bez jakichkolwiek tarć. Nie ma niczego, czego nie mogłaby kupić pod wpływem kaprysu. Może nie firmę Microsoft albo Niemcy, ale poza tym...

– O mój Boże – wykrzykuje, gdy wchodzi do gabinetu w swoim domu w Greenwich Village i widzi Scotta. – Mam obsesję na twoim punkcie. Oglądałam cię cały dzień i nie mogę oderwać oczu.

Są w trzypiętrowym budynku z czerwono-brunatnego piaskowca na Bank Street, dwie przecznice od rzeki, Layla, Scott i Magnus, do którego Scott zadzwonił ze stoczni marynarki wojennej. Gdy wykręcał numer, w głębi duszy widział kumpla siedzącego nadal w samochodzie przed stacją benzynową, ale Magnus powiedział, że podrywa w kawiarni jakąś dziewczynę i może przyjechać za czterdzieści minut, a nawet szybciej, kiedy Scott poinformował go, dokąd chce pojechać. Jeśli kumpel obraził się za porzucenie go wcześniej, nie wspominał o tym.

– Spójrz na mnie – zwraca się do Scotta po tym, jak gosposia zaprosiła ich do środka i usiedli na kanapie w salonie. – Cała się trzęsę.

Scott patrzy, jak prawa noga Magnusa podskakuje w górę i w dół. Obaj mężczyźni wiedzą, że widownia, jaką zyskają, może nieodwracalnie zmienić ich artystyczny los. Podobnie jak Scott, Magnus przez dziesięć lat niepewnie szykował się do artystycznego debiutu. Maluje w przeznaczonym do rozbiórki magazynie farb w Queens i posiada sześć poplamionych koszul. Każdego wieczoru krąży po ulicach Chelsea i Lower East Side i zagląda w okna. Każdego popołudnia siedzi na telefonie i szuka zaproszeń na wernisaże, próbuje dostać się na listę gości na imprezy branżowe. Jest czarującym Irlandczykiem z krzywym uśmiechem, ale w jego oczach widać desperację. Scott doskonale ją rozpoznaje, ponieważ kilka miesięcy temu widział ją za każdym razem, gdy patrzył w lustro. Identyczne pragnienie akceptacji.

To tak, jakby mieszkać obok piekarni i nigdy nie zjeść chleba. Każdego dnia chodzisz po ulicy, czujesz w nosie jego zapach, w brzuchu ci burczy, ale bez względu na to, jak wiele przecznic przemierzysz, nigdy nie możesz wejść do tego właśnie sklepu.

Rynek sztuki, podobnie jak rynek papierów wartościowych, opiera się na postrzeganiu wartości. Obraz wart jest tyle, ile ktoś jest gotów za niego zapłacić, a na kwotę mają wpływ postrzeganie pozycji artysty, jego waluta. Żeby być znanym artystą, którego prace sprzedają się za pokaźne sumy, trzeba już być sławnym artystą, którego prace sprzedają się za pokaźne sumy, albo ktoś musi namaścić cię na takiego artystę. A osobą, która obecnie namaszcza coraz więcej artystów, jest Layla Mueller.

Blondynka o brązowych oczach wchodzi ubrana w czarne dżinsy i specjalnie pomarszczoną jedwabną bluzkę, boso, z elektronicznym papierosem w dłoni.

– Tutaj są – oznajmia radośnie.

Magnus wstaje i wyciąga rękę.

– Jestem Magnus, znajomy Kitty.

Kobieta kiwa głową, ale nie podaje mu dłoni. Po chwili Magnus opuszcza rękę. Layla siada na kanapie obok Scotta.

– Mogę powiedzieć ci coś dziwnego? – pyta go. – Leciłam w maju do Cannes z jednym z twoich pilotów, tym starszym. Jestem pewna.

– Jamesem Melodym – wyjaśnia Scott, zapamiętawszy nazwiska ofiar.

Dziewczyna robi minę mówiącą: „Cholera, nieźle, co?”, a potem kiwa głową i dotyka ramienia Scotta.

– Boli?

– Co?

– Twoje ramię?

Porusza nim dla niej w nowym temblaku.

– Jest w porządku – odpowiada.

– A ten mały chłopiec. O mój Boże. To takie odważne. A potem... możecie uwierzyć? Właśnie widziałam program o porwaniu córki, a to... Możecie w to uwierzyć?

Scott mruga.

– Porwanie?

– Nie wiesz? – pyta Layla z wyrazem prawdziwego zdumienia. – Tak, porwano siostrę chłopca, gdy była jeszcze mała. Podobno ktoś włamał się do ich domu i zabrał ją. Zaginęła na jakiś tydzień. A teraz... Przeżyć coś takiego, a potem zginąć w tak okropnych okolicznościach. Tego nie dałoby się zmyślić.

Scott przytakuje i nagle czuje się wykończony. Tragedia to dramat, którego nie można złagodzić.

– Chcę wydać przyjęcie na twoją cześć – informuje Layla. – Bohater świata artystycznego.

– Nie – odpowiada Scott. – Dziękuję.

– Och, nie bądź taki – protestuje Layla. – Wszyscy o tobie mówią. I nie tylko o uratowaniu chłopca. Widziałam slajdy z twoimi najnowszymi pracami, serią katastroficzną, i bardzo mi się podobają.

Magnus klaszcze nagle głośno w dłonie. Scott i Layla odwracają się i patrzą na niego.

– Przepraszam – odzywa się Magnus. – Ale mówiłem ci. Nie mówiłem ci? Są kurewsko świetne.

Layla zaciąga się elektronicznym papierosem. „Tak teraz wygląda przyszłość – myśli Scott. – Teraz palimy technologię”.

– Czy mógłbyś... – zaczyna dziewczyna. – Jeśli możesz... O tym, co się stało.

– Z samolotem? Rozbił się.

Dziewczyna kiwa głową. Wzrok ma poważny.

– Rozmawiałeś już o tym? Z terapeutą albo...

Scott się zastanawia. Terapeuta.

– Pomyślałam – kontynuuje Layla – że spodobałby ci się człowiek, do którego ja chodzę. Pracuje w Tribece. Doktor Vanderslice. Jest Holendrem.

Scott wyobraża sobie brodatego mężczyznę w gabinecie, gdzie na każdym stole stoją chusteczki.

– Taksówka nie przyjechała, więc musiałem pojechać autobusem – oznajmia.

Layla przez chwilę wygląda na zakłopotaną, ale potem zdaje sobie sprawę, że Scott dzieli się z nią wspomnieniem, nachyla się.

Scott mówi jej, że pamięta swoją torbę podróżną przy drzwiach, wypłowiałe zielone, przetarte w kilku miejscach płótno, pamięta, jak chodził po pokoju, wyglądał przez okno (stare, mleczone szkło) i szukał wzrokiem reflektorów, pamięta swój zegarek i poruszającą się wskazówkę minutową. Oczywiście w torbie były ubrania, ale głównie mnóstwo slajdów, zdjęć jego prac. Nowych prac. Nadzieja. Jego przyszłość. Miała zacząć się jutro. Zamierzał spotkać się z Michelle w jej biurze, by przejrzeć listę miejsc, w których mógł przedłożyć swe prace. Planował zostać trzy dni. Rano odbywało się przyjęcie śniadaniowe, na które według Michelle powinien pójść.

Ale najpierw musiała przyjechać taksówka. Najpierw musiał pojechać na lotnisko i wsiąść do prywatnego samolotu. Dlaczego się na to zgodził? Cała ta presja – podróż z nieznanymi, bogatymi nieznanymi, konieczność rozmowy, omawiania swoich prac albo przeciwnie, bycie ignorowanym, traktowanym, jakby się nie liczył. Co nie mijало się z prawdą.

Był czterdziestosiedmioletnim mężczyzną, któremu nie powiodło się w życiu. Nie zrobił kariery, nigdy się nie ożenił, nie ma przyjaciół ani dziewczyny. Do licha, nie mógł sobie nawet poradzić z psem na czterech łapach. Czy dlatego tak ciężko pracował przez ostatnie kilka tygodni, fotografował swe prace, składał portfolio? By spróbować wymazać tę porażkę?

Ale taksówka nie przyjechała, więc w końcu chwycił torbę i pobiegł na przystanek autobusowy. Serce biło mu szybko i pocił się w dusznym sierpniowym powietrzu. Dobiegł dokładnie w momencie, gdy autobus się zatrzymywał, długi prostokąt okien świecących w mroku na biało-niebiesko. Wsiadł i łapiąc oddech, uśmiechnął się do kierowcy. Usiadł z tyłu, skąd obserwował karki nastolatków i nieświadomych pomocy domowych jadących obok nich w pełnej zmęczenia ciszy. Jego tętno spadło, ale miał wrażenie, że krew nadal płynie jak szalona. To było to. Jego druga szansa. Praca czekała. Była dobra. Wiedział o tym. Ale czy on był dobry? A jeśli nie poradzi sobie z powrotem? A jeśli dadzą mu drugą szansę, a on nawali? Czy rzeczywiście mógł wrócić z miejsca, w którym się znalazł? Napoleon na Elbie, pokonany, lizący rany człowiek. Czy w ogóle, w głębi duszy, chciał tego? Życie tutaj było dobre, łatwe. Wstawanie rano i spacer po plaży. Karmienie suczki resztkami ze stołu i drapanie jej opadających uszu. Malowanie.

Zwyczajne malowanie bez większego celu.

Ale w ten sposób mógł stać się kimś. Zaznaczyć swoją pozycję.

Czy jednak już teraz nie był kimś? Jego pies tak uważał. Patrzył na niego tak, jakby Scott był najlepszym człowiekiem, jaki kiedykolwiek żył na świecie. Chodzili razem na rynek i oglądali kobiety w spodniach do jogi. Lubił swoje życie. Naprawdę. Dlaczego więc tak bardzo starał się je zmienić?

– Kiedy wysiadłem z autobusu, musiałem biec – opowiada Layli. – Właśnie zamykali drzwi samolotu. Wiesz, część mnie chciała tego, chciała dotrzeć na lotnisko i dowiedzieć się, że samolot już odleciał. Ponieważ wówczas musiałbym wstać wcześniej i popłynąć promem jak wszyscy.

Nie podnosi wzroku, lecz czuje, że oboje na niego patrzą.

– Ale drzwi były otwarte. Zdążyłem.

Layla kiwa głową z szeroko otwartymi oczami i dotyka ramienia Scotta.

– Niesamowite – stwierdza, chociaż nie jest jasne, co ma na myśli. Czy chodzi jej o to, że Scott niemal spóźnił się na fatalny lot, czy o to, że się nie spóźnił.

Scott patrzy na Laylę skrępowany, jak mały ptaszek, który właśnie zaśpiewał z prośbą o kolację, a teraz czeka na nasionko.

– Posłuchaj – mówi. – Bardzo mi miło, że chciałaś się ze mną spotkać, że chcesz zorganizować dla mnie przyjęcie, ale w tej chwili nie jestem na to gotowy. Potrzebuję jedynie miejsca, by pomyśleć i odpocząć.

Dziewczyna uśmiecha się i kiwa głową. Scott dał jej coś, czego nie dał jej nikt inny, wgląd, szczegóły. Jest teraz częścią jego historii, jego powierniczką.

– Oczywiście, zatrzymasz się tutaj – oznajmia. – Na drugim piętrze jest apartament gościnny. Będziesz miał oddzielne wejście.

– Dziękuję – odpowiada Scott. – To bardzo... Nie chcę być obsesywny, ale czuję, że powinienem zapytać. Co ty z tego masz?

Layla zaciąga się papierosem i wydycha opary.

– Kochany, nie rób z tego wielkiej sprawy. Mam pokój. Jestem pod wrażeniem ciebie i twoich prac, a ty potrzebujesz miejsca, gdzie mógłbyś się zatrzymać. To prosta sprawa i niech tak zostanie.

Scott przytakuje. Nie ma w nim napięcia, chęci konfrontacji. Po prostu chce wiedzieć.

– Och, nie mówię, że to skomplikowane. Może chcesz usłyszeć tajemnicę, historię, którą będziesz mogła opowiedzieć na imprezach. Pytam, by nie zaszło nieporozumienie.

Przez chwilę Layla wygląda na zaskoczoną. Ludzie zwykle nie mówią do niej w ten sposób. Potem śmieje się.

– Lubię znajdować ludzi – wyjaśnia. – A poza tym pieprzyć dwudziestoczterogodzinny cykl życia informacji. Tego pożeracza ludzi. Poczekaj tylko,

teraz wszyscy są po twojej stronie, ale potem się odwrócą. Moja mama przeszła przez to, gdy tata ją zostawił. Historia była we wszystkich brukowcach. A później, gdy siostra miała problem z vicodinem. W zeszłym roku spotkało to mnie, kiedy Tony się zabił, i tylko dlatego, że pokazałam jego prace, prasa stworzyła całą historię o nas, o tym, że byłam dla niego jak narkotyk, czy coś w tym stylu.

Wytrzymuje spojrzenie Scotta, a na drugiej sofie zapomniany Magnus czeka na swoją kolej, by zabłysnąć.

– W porządku – mówi po chwili Scott. – Dziękuję. Potrzebuję tylko... Są przed moim domem, te wszystkie kamery i nie wiem, co innego powiedzieć poza: „Popłynąłem”.

Telefon Layli brzęczy, dziewczyna wyjmuje go, patrzy na ekran, potem na Scotta, i coś w jej twarzy sprawia, że Scott kuli się w środku.

– Co? – pyta.

Layla odwraca telefon i pokazuje mu aplikację Twittera. Scott nachyla się i zmrużonymi oczami, bez cienia zrozumienia, patrzy na rząd kolorowych prostokątów (maleńkie buźki, symbole @, emotikony, ramki ze zdjęciami).

– Nie jestem pewien, na co patrzę – przyznaje.

– Znaleźli ciała.

BEN KIPLING

10 lutego 1963 – 23 sierpnia 2015

SARAH KIPLING

1 marca 1965 – 23 sierpnia 2015

– **Ludzie używają słowa** „pieniądze”, jakby były przedmiotem. Rzeczownikiem. A to... To zwykła ignorancja.

Ben Kipling stał przed wysokim porcelanowym pisuarem w wyłożonej drewnem łazience w Soprezzi. Rozmawiał z Gregiem Hooverem, który obok chwiał się i sikał na wklęsłą błyszczącą powierzchnię zasłaniającą jego ptaka przed widokiem, a krople moczu bryzgały na jego warte sześćset dolarów mokasyny z frędzlami.

– Pieniądze to czarna próżnia przestrzeni – kontynuował Ben.

– Co?

– Czarna... To ułatwienie, tak? Środek nawilżający.

– O, to rozumiem, mój...

– Ale to nie...

Kipling otrzepał ptaka i zapiął rozporek. Podeszedł do umywalki, wsunął rękę pod dozownik mydła i czekał, aż laser wyczuje ciepło i wycisnie pianę na jego dłoń. Czekał. I czekał.

– Chodzi o tarcie, tak? – powiedział bez chwili przerwy. – Nasze życie. Rzeczy, które robimy i których doświadczamy. Samo przeżycie dnia...

Wykonywał coraz bardziej niecierpliwe, koliste ruchy pod czujnikiem. I nic.

– ...praca, żona, korki, rachunki, i co tam jeszcze...

Uniósł i opuścił rękę w poszukiwaniu najlepszego miejsca, gdzie urządzenie wyczułoby jego obecność. Nic.

– ...no, co jest z tym cholerstwem?

Zrezygnował, przeniósł się do innej umywalki, podczas gdy Hoover chwiejnym krokiem podeszedł do trzeciej.

– Rozmawiałem wczoraj z Lance'em – zaczął Hoover.

– Poczekaj. Ja nie... Mówię o tarcu. Oporze.

Tym razem po włożeniu dłoni pod czujnik piana popłynęła łagodnie. Kipling z poczuciem ulgi rozluźnił ramiona i potarł ręce o siebie.

- Presja, jaką człowiek musi znieść już w momencie wstania rano z łóżka – wyjaśnił.
- Pieniądze to lekarstwo. Redukują tarcie.

Przesunął ręce pod kran, ślepo wierząc (kolejny raz), że czujnik zadziała i wyśle sygnał do przełącznika, który uruchomi kran. Ale nic się nie wydarzyło.

- Im więcej masz pieniędzy, cholera, tym więcej...

Rozwścieczony, poddał się, otrzepał mydło z rąk na podłogę – niech ktoś inny to posprząta – podszedł do podajnika ręczników papierowych, zauważył, że on też działa na czujnik, i nawet nie spróbował go użyć. Zamiast tego wytarł ręce w spodnie od garnituru za tysiąc sto dolarów.

– ...masz pieniędzy... Rozumiesz, co ja... To niweluje opór. Pomyśl o szczurach ze slumsów w Bombaju pełzających w łajnie i porównaj je z, dajmy na to, Billem Gatesem, który ma dosłownie wszystko. Aż w końcu masz tyle siana, że twoje życie staje się bezwysiłkowe. Jesteś jak astronauta unoszący się swobodnie w czarnej próżni przestrzeni.

Z wreszcie czystymi i suchymi rękami Kipling odwrócił się i zobaczył, że Hoover nie miał żadnych problemów z którymkolwiek z czujników w dozownikach mydła, wody czy ręczników. Oderwał więcej ręczników, niż potrzebował, i energicznie wytarł ręce.

– Jasne, w porządku – przytaknął. – Ale mówię, że rozmawiałem wczoraj z Lance’em i użył wielu słów, które mi się nie spodobały.

- Jakich? Alimenty?

– Ha, ha. Nie, na przykład FBI.

Rodzaj nieprzyjemnego, ściskającego uczucia trafił Kiplinga dokładnie w okolice zwieracza.

- To przecież nie jest słowo – skomentował.

– Hę?

- To jest... Nieważne. Dlaczego, do cholery, Lance mówi o FBI?

– Słyszysz różne rzeczy – odpowiedział Hoover. – „Jakie rzeczy?”, zapytałem, ale nie chciał wdawać się w szczegóły przez telefon, więc musieliśmy spotkać się w parku. O drugiej w cholerne popołudnie, jak wielcy bezrobotni.

Zdenerwowany nagle Kipling podszedł do kabin i zajrzał pod drzwi, aby upewnić się, że nie srają tam w ciszy jacyś inni kolesie w markowych garniturach.

- Czy oni... Powiedział, że powinniśmy...

– Nie, ale mógłby. Wiesz, co mam na... Jeśli nie, to dlaczego by... Zwłaszcza że... Szczególnie jeśli pomyślisz o kłopotach, w jakie mógłbyś się wpakować.

- Dobra, dobra. Nie tak...

Nagle nie mógł sobie przypomnieć, czy zerknął pod drzwi ostatniej kabiny, więc sprawdził ponownie, a potem się wyprostował.

– Postawmy sprawę tak – zaczął. – Oczywiście, chcę to usłyszeć, ale... musimy skończyć z tymi kolesiami. Nie można ich tak zostawić w zawieszaniu..

– Jasne, ale co, jeśli oni są...

– Jeśli są kim? – zapytał Kipling, a wypite szkockie powodowały u niego efekt opóźnienia jak podczas zamiejscowej rozmowy telefonicznej w latach czterdziestych.

Hoover zakończył zdanie ruchem brwi.

– Ci kolesie? – powiedział Kipling. – Co ty... Oni przyszli od Gilliego.

– To nie znaczy... Cholera, Ben, wszystkich można dorwać.

– Dorwać? Czy to... Nagle znaleźliśmy się w *Syndykacie zbrodni* i nikt nie pofatygował się, by...

Hoover miętosił mokry plik papierowych ręczników jak kulę ciasta, ugniatając go i ściskając.

– To jest problem, Ben. To wszystko, czego jestem... Konkretna wtopa...

– Wiem.

– Musimy... Nie możesz po prostu...

– Nie zrobię tego. Nie bądź taką babą.

Kipling podszedł do drzwi i otworzył je. Za jego plecami Hoover cisnął kulę z mokrych ręczników papierowych do kosza. Trafił bez pudła.

– Nadal to mam – skomentował.

Gdy podszedł do stołu, zobaczył, że Tabitha wykonuje swoje zadanie. Zmiękczała alkoholem klientów, dwóch szwajcarskich inwestorów bankowych, prześwietlonych i podesłanych przez Billa Gilliama, starszego partnera w kancelarii prawniczej, która zajmuje się wszystkimi ich sprawami, i opowiadała im nieprzyzwoite historie o facetach, których przeleciała w college'u. Była druga trzydzieści w środę. Siedzieli w restauracji od południa, pili szkocką z najwyższej półki i jedli steki po pięćdziesiąt dolarów za sztukę. To było miejsce, do którego faceci w garniturach przychodzą, by ponarzekać na zbyt gorącą wodę w basenie. Ich pięcioro łączyła sieć warta prawie miliard dolarów. Sam Kipling wart był na papierze trzysta milionów, z czego większość była zamrożona w rynku, ale posiadał też nieruchomości i rachunki w bankach zagranicznych. Pieniądze na czarną godzinę, gotówka, której rząd amerykański nie był w stanie namierzyć.

W wieku pięćdziesięciu dwóch lat Ben stał się człowiekiem, który mówił: „Popływajmy w ten weekend łódką”. Gdyby w Le Cirque nagle wyłączono prąd, można by było skorzystać z jego kuchni. Stała w nim ośmiopalnikowa kuchenka Viking z grillem i płytą do pieczenia. Codziennie rano wstawał i znajdował na tacy sześć cebulowych bajgli, kawę i świeżo wyciśnięty sok z pomarańczy, a do tego wszystkie cztery gazety („Financial Times”, „Wall Street Journal”, „Post” i „Daily News”). Lodówka Kiplingów

przypominała rynek (Sarah uparła się, by jadali jedynie produkty naturalne). Mieli również oddzielną lodówkę na wina z piętnastoma butelkami szampana w lodzie, w razie gdyby nieoczekiwanie wypadło przyjęcie sylwestrowe. Szafa Bena wyglądała jak salon wystawowy Prady. Przechodząc z pokoju do pokoju, można by słusznie założyć, że pewnego dnia Ben Kipling potarł butelkę i wyskoczył z niej dzinn. Teraz wystarczyło, że gdziekolwiek w swoim domu powiedział na głos „Potrzebuję nowych skarpetek”, następnego ranka pojawiał się tuzin par zupełnie, cholera, znikąd. Tyle że w tym przypadku dzinnem był czterdziestosiedmioletni zarządca domu, Michał, który zrobił dyplom z hotelarstwa na uniwersytecie Cornella i pracował dla Kiplingów, od kiedy przeprowadzili się do posiadłości z dziesięcioma sypialniami w Connecticut.

Telewizor nad barem pokazywał najważniejsze fragmenty meczu Red Soxów z poprzedniego wieczoru, podczas którego komentatorzy sportowi zakładali się, czy Dworkin pobije rekord sezonu. To był jego piętnasty mecz z kolei z zaliczonym wybiciem. Sprawozdawcy używali określenia „nie do zatrzymania”, a jego mocne brzmienie podążyło za Benem do miejsca przy stole.

Za czterdzieści minut wróci do biura i odeśni na sofie mięso i procenty. Następnie, o szóstej, kierowca zawiezie go aleją do Greenwich, gdzie Sarah poda coś na obiad, prawdopodobnie jedzenie na wynos z Allesandro's, albo, zaraz, cholera, dzisiaj idą na kolację z rodzicami narzeczonego Jenny. Coś w rodzaju spotkania zapoznawczego. Gdzie mieli się spotkać? Gdzieś w mieście? Musiał zapisać to w kalendarzu, prawdopodobnie na czerwono, jak dwa razy odkładaną wizytę u lekarza w celu wykonania lewatywy barytowej.

Ben wyobraził ich sobie teraz, pana i panią Comstocków. On, korpulentny dentysta, ona, kobieta ze zbyt dużą ilością szminki na ustach, przyjeżdżają z Long Island – „Przyjechali państwo koleją na stację Grand Central czy drogą szybkiego ruchu Brooklyn–Queens?”. A Jenny będzie siedziała z Donem, Ronem czy jakkolwiek brzmi imię jej narzeczonego, trzymała go za rękę i opowiadała historie o tym, jak razem z rodzicami „zawsze spędzają lato na Vineyard”, nie zdając sobie sprawy, jak pretensjonalnie i okropnie to brzmi. Ale sam tego nie skomentuje. Tego ranka omawiał podatek spadkowy ze swoim trenerem osobistym i powiedział: „Posłuchaj, Jerry, poczekaj, aż będziesz miał sto milionów, które rząd chce opodatkować podwójnie, i zobacz, czy będziesz czuł się tak samo”.

Kipling usiadł, nagle wyczerpany, i odruchowo wziął do ręki serwetkę, chociaż już skończył jeść. Położył ją na kolanach, podchwycił wzrok kelnera i wskazał szklanę. „Jeszcze jedną”, polecił wzrokiem.

– Właśnie mówiłam Jorgenowi o spotkaniu w Berlinie – oznajmiła Tabitha. – Pamiętasz, jak facet z wąsikami à la John Waters tak się wściekł, że zdjął krawat i próbował udusić Grega?

– Za pięćdziesiąt milionów bym mu pozwolił – stwierdził Kipling. – Ale okazało się, że skurczybyk był spłukany.

Szwajcarzy uśmiechnęli się cierpliwie. Kompletnie nie interesowały ich plotki

i najwyraźniej przesadny dekolt Tabithy nie działał na nich tak skutecznie jak na innych. „Czyżby byli pedziami?”, zastanawiał się Kipling, bez jakiegokolwiek oceny moralnej, rejestrując jedynie fakty jak komputer.

Przygryzał wewnątrz policzka i zastanawiał się. Słowa Hoovera wypowiedziane w toalecie odbijały się w jego mózgu jak kula, która nie trafiła w cel i nieszczęśliwie podskoczyła na chodniku. Co tak naprawdę wiedział o tych koleśiach? Zostali poleceni przez wiarygodne źródło, ale w gruncie rzeczy w jakim stopniu ktokolwiek mógł być wiarygodny? Czy mogli być z FBI? OFAC? Ich akcent był dobry, ale nie wybitny.

Kipling poczuł nagły impuls, żeby rzucić gotówkę na stół i wyjść. Słumił go, ponieważ jeśli się mylił, zrezygnowałby z cholernie pokaźnej sumy pieniędzy. Ile powiedzieli Szwajcarzy? Potencjalnie równowartość miliarda dolarów w trudno wymienialnej walucie. Pieprzyć to, postanowił. Jeśli nie masz zamiaru się wycofać, musisz atakować. Otworzył usta i zaczął ostrą sprzedaż bez wdawania się w zbytne szczegóły. Żadnych kluczowych wyrażen, które można by wykorzystać przeciwko niemu w sądzie.

– Dobra, koniec pogaduszek – oznajmił. – Wszyscy wiemy, co tutaj robimy. To samo, co jaskiniowcy robili w erze dinozaurów, oceniamy się nawzajem, aby zobaczyć, komu możemy zaufać. Czym właściwie jest uścisk dłoni, jak nie społecznie akceptowalnym sposobem upewnienia się, że ten drugi nie trzyma za plecami noża?

Uśmiechnął się do nich. Odwzajemnili spojrzenie, bez uśmiechu, ale z uwagą. To był moment, na którym im zależało, jeśli byli tym, za kogo się podawali. Porozumienie. Kelner przyniósł Kiplingowi szkocką i postawił szklanę na stole. Odruchowo Ben przesunął ją głębiej, w stronę środka stołu. Lubił gestykulować i wylał już wystarczającą ilość alkoholu podczas przekonujących monologów.

– Macie problem – stwierdził. – Posiadacie obcą walutę, którą chcecie zainwestować na wolnym rynku, ale rząd wam nie pozwala. Dlaczego? Ponieważ w pewnym momencie te pieniądze trafiły na terytorium, które figuruje na liście trzymanej w jakimś budynku federalnym w Waszyngtonie. Jakby pieniądze same w sobie posiadały punkt widzenia. Ale wy i ja, my wiemy, że pieniądze to pieniądze. Dolar, za którego dzisiaj czarnoskóry w Harlemie kupuje crack, to ten sam dolar, za którego gospodyni domowa z przedmieścia kupi jutro gotową mieszankę makaronu z sosem, a w czwartek Wuj Sam użyje go, by kupić broń od McDonnell Douglas.

Ben oglądał w telewizji najlepsze fragmenty meczów danego dnia, pasma wybitnych *home run*, piłki złapane tuż nad ziemią, gonitwy między bazami. To było coś więcej niż przelotne zainteresowanie. Ben był chodzącą encyklopedią tajemnych statystyk baseballowych. To była jego życiowa pasja, która nauczyła go (przypadkowo) wartości dolara. Dziesięcioletni Bennie Kipling posiadał najlepszą kolekcję kart z gum do żucia w całym Sheepshead Bay. Marzył kiedyś o graniu na pozycji środkowego dla Metsów i co roku próbował dostać się do Małej Ligi, ale był niski na swój wiek, wolno biegał między bazami i nie potrafił wybić piłki poza pole wewnętrzne boiska. Zamiast grać, zbierał karty z baseballistami, uważnie obserwował rynek i wykorzystywał amatorski sposób myślenia kolegów ze szkoły, którzy skupiali się wyłącznie na ulubionych graczach. Wyszukiwał

rzadkie karty i wykorzystywał wzloty i upadki poszczególnych zawodników. Każdego ranka Bennie czytał nekrologi i szukał znaków wskazujących na to, że niedawno zmarli byli fanami baseballu, a potem dzwonił do wdów. Mówił, że znał ich mężów (lub ojców) z kręgu wymiany kart i że taki a taki człowiek był dla niego mentorem. Nigdy nie prosił o kolekcję zmarłego od razu, tylko wykorzystywał swój smutny chłopięcy głosik. Trik działał za każdym razem. Kilka razy podróżował metrem do miasta, by odebrać pudełko cennych baseballowych pamiątek.

– Przychodzimy do pana, panie Kipling, ponieważ słyszeliśmy dobre rzeczy – oznajmił Jorgen, ciemnowłosy Aryjczyk w letnim garniturze. – Oczywiście są pewne delikatne tematy, ale moi koledzy zgadzają się, że jest pan uczciwym człowiekiem. Że nie pojawią się komplikacje, dodatkowe wydatki. Klienci, których reprezentujemy, cóż, to nie są ludzie, którzy lubią problemy czy próby wykorzystania ich.

– Proszę powtórzyć, kim są państwa klienci – poprosił Hoover ze spoconymi brwiami. – Nie wprost, jeśli pan nie może, żebyśmy tylko mieli jasność.

Szwajcarzy nic nie powiedzieli. Oni też obawiali się pułapki.

– Jeśli się zobowiązemy, dotrzemy umowy – oznajmił Kipling. – Nie ma znaczenia, kto jest po drugiej stronie. Nie mogę państwu dokładnie wyjaśnić, jak robimy to, co robimy. To nasza przewaga. Ale mogę powiedzieć, że rachunki są otwarte i nie da się ich połączyć z wami. Potem pieniądze, które zainwestujecie przez moją firmę, otrzymają nowe pochodzenie i będą traktowane jak wszystkie inne fundusze. Przychodzą brudne, a wychodzą czyste. Prosta sprawa.

– A jak to...?

– Działa? Cóż, jeśli teraz uzgodnimy, że realizujemy to przedsięwzięcie, moi koledzy przybędą do Genewy i pomogą wam zainstalować systemy, których będziecie potrzebowali, żeby używać pakietu oprogramowania zastrzeżonego. Potem mój pracownik zostanie na miejscu, by monitorować wasze inwestycje i zarządzać codziennymi zmianami hasła i adresu IP. Nie potrzebuje eleganckiego biura. W zasadzie im mniej będzie zwracał na siebie uwagę, tym lepiej. Posadźcie go w kabinie w męskiej toalecie albo w piwnicy obok bojlera.

Mężczyźni się zamyślili. W tym czasie Kipling zatrzymał przechodzącego kelnera i podał mu swą czarną kartę American Express.

– Posłuchajcie – powiedział. – Piraci zakopywali skarby w piasku i odpływali. Moim zdaniem jak tylko się oddalali, zostawiali bez grosza, ponieważ pieniądze w skrzyni...

Przez okno zauważył, jak grupa mężczyzn w czarnych garniturach podchodzi do drzwi. W jednej chwili oczami wyobraźni zobaczył, co się zaraz stanie: wejdą szybko z wyciągniętą bronią i podniesionymi odznakami. Operacja specjalna, jak pułapka na tygrysa zastawiona w dżungli. Ben zobaczył siebie samego leżącego na brzuchu, skutego kajdankami, w letnim garniturze poplamionym tak, że nie da się go doprać, z brudnymi śladami stóp na plecach. Ale mężczyźni przeszli obok. Moment minął. Kipling znowu zaczął oddychać i jednym haustem dokończył szkocką.

– ...pieniądze, których nie można użyć, nie mają żadnej wartości.

Zmierzył ich wzrokiem, facetów z Genewy. Nie byli ani więksi, ani mniejsi niż tuzin innych, naprzeciw których siadał i do których wygłaszał tę samą przemowę. Byli rybami, które miał złapać na haczyk, kobietami, które trzeba obsypać komplementami i uwieść. FBI czy nie FBI, Ben Kipling działał na pieniądze jak magnes. Posiadał właściwość, której nie da się opisać. Bogaci patrzyli na niego i widzieli skarbiec z dwiema parami drzwi. Wyobrażali sobie, że ich pieniądze wchodzą jednymi, a wychodzą drugimi pomnożone. Prosta sprawa.

Odsunął krzesło i zapiął marynarkę.

– Podobacie mi się – oznajmił. – Ufam wam i nie mówię tego każdemu. Czuję, że powinniśmy to zrobić, ale ostateczna decyzja należy do was.

Wstał.

– Tabitha i Greg zostaną z wami i wezmą od was szczegółowe informacje. Miło mi było.

Szwajcarzy wstali i uścisnęli mu dłoń. Ben Kipling oddalił się, a drzwi frontowe otwarły się przed nim, gdy wychodził. Jego samochód był zaparkowany tuż przy krawężniku, tylne drzwi otwarte, kierowca stał na baczność, a on wśliznął się do środka, nawet nie zwalniając kroku.

Czarna próżnia przestrzeni.

Na drugim końcu miasta żółta taksówka zatrzymała się przed Muzeum Whitney. Jej kierowca urodził się w Katmandu i przedostał nielegalnie z Saskatchewan do Michigan, zapłaciwszy przemytnikowi sześćset dolarów za podrobiony dowód tożsamości. Sypiał teraz w mieszkaniu z czternastoma innymi osobami, wysyłał większość zarobionych pieniędzy za granicę z nadzieją, że któregoś dnia sprowadzi żonę i synów i przylecą do niego samolotem.

Natomiast kobieta w czerni, która powiedziała mu, by zostawił sobie resztę z dwudziestu dolarów, mieszkała w Greenwich, w stanie Connecticut, i miała dziewiętnaście telewizorów, których nie używała. Kiedyś mieszkała w Brookline, w stanie Massachusetts. Była córką lekarza, dorastała, jeżdżąc konno, a na szesnaste urodziny dostała w prezencie operację plastyczną nosa.

Każdy skądś pochodzi. Wszyscy mamy swoje historie, nasze losy toczą się krętymi ścieżkami i zderzają w niespodziewany sposób.

Sarah Kipling w marcu skończyła pięćdziesiąt lat. Z tej okazji na Kajmanach odbyło się przyjęcie niespodzianka. Ben przyjechał po nią limuzyną, aby pojechać do restauracji Tavern on the Green (tak się jej wydawało), ale zamiast tego zabrał ją do Teterboro. Pięć godzin później sączyła poncz rumowy i zanurzała stopy w piasku. Teraz przed Muzeum Whitney wysiadła z taksówki. Spotykała się z córką, Jenny (dwadzieścia sześć lat), by zobaczyć biennale i przed wspólnym obiadem szybko dowiedzieć się czegoś o rodzicach

jej narzeczonego. Nie robiła tego dla siebie, ponieważ sama potrafiła rozmawiać z każdym, ale dla Bena. Jej mąż ciężko znosił rozmowy, które nie dotyczyły pieniędzy. A może nie do końca o to chodziło. Może trudno mu było rozmawiać z ludźmi, którzy nie mieli pieniędzy. Nie, nie był wyniosły. Po prostu zapomniał, jak to jest mieć kredyt hipoteczny albo spłacać pożyczkę na samochód. Jak to jest ledwie sobie radzić i sprawdzać w sklepie cenę rzeczy, którą chce się kupić. Z tego powodu może wydawać się wulgarny i wyniosły.

Sarah nienawidziła uczucia, którego doznawała w podobnych momentach, gdy patrzyła, jak jej mąż zawstydzia siebie (i ją). Według niej nie było na to innego określenia. Jako żona była z nim nieodwołalnie związana, jego opinie były jej opiniami. Źle odbijały się na jej wizerunku, może nie dlatego, że całkowicie się z nimi zgadzała, ale dlatego, że wybierając Bena i pozostając z nim, sprawiała wrażenie, że nie zna się na ludziach. Chociaż Sarah dorastała w otoczeniu pieniędzy, wiedziała, że przede wszystkim nie należało o nich rozmawiać. Na tym polegała różnica pomiędzy nowymi pieniędzmi a starymi. Dzieciaki ze starymi pieniędzmi można było spotkać w college'u, miały potargane włosy i pogryzione przez mole swetry. Tacy ludzie w stołówkach pożyczali pieniądze na lunch i jedli z talerzy kolegów. Podawali się za biednych, udawali, że są ponad pieniędzmi, jakby jednym z luksusów, jakie kupiło im bogactwo, było prawo do niemyślenia już więcej o pieniądzach. W ten sposób przepływali przez prawdziwy świat, podobnie jak młodociani geniusze, potykając się, brnęli przez trudy codziennej egzystencji, z głową w chmurach, w krzywo zapiętych koszulach, zapominając o założeniu skarpetek.

To sprawiało, że brak słuchu Bena w kwestii pieniędzy, jego potrzeba ciągłego przypominania innym, jak wiele Kiplingowie posiadają, wydawały się Sarah bardzo niezręczne i nieuprzejme. W rezultacie jej spowszedniałą życiową misją stało się łagodzenie kantów męża i uczenie go, jak być bogatym bez stawania się chamskim.

Dlatego Jenny opowie jej o swoich przyszłych teściach, a Sarah wyśle Benowi wiadomość tekstową: *Z mężem możesz rozmawiać o polityce (głosuje na republikanów) lub o sporcie (fan Jetsów). Żona była w zeszłym roku we Włoszech ze swoim klubem czytelnictwa (podróże? czytanie?). Mają syna z zespołem Downa, który przebywa w zakładzie opiekuńczym, więc żadnych kawałów o opóźnionych w rozwoju!*

Sarah próbowała przekonać Bena, żeby okazywał ludziom więcej zainteresowania, był bardziej otwarty na nowe doświadczenia. Przez dwa tygodnie chodzili na terapię w tej sprawie, po czym mąż poinformował Sarah, że wolałby odciąć sobie uszy, niż słuchać tej kobiety przez jeszcze jeden dzień. W końcu zrobiła to, co robi większość żon: poddała się. Teraz to ona musiała starać się szczególnie, aby wydarzenia towarzyskie przebiegały pomyślnie.

Jenny czekała na nią przed głównym wejściem. Ubrana była w rozszerzane spodnie i koszulkę, a na głowie miała rodzaj beretu, modnego wśród współczesnych dziewczyn.

– Mamo – zawołała, gdy Sarah nie zauważyła jej od razu.

– Przepraszam – odpowiedziała Sarah. – Bołą mnie oczy. Ojciec powtarza mi, że bym

poszła do okulisty, ale kto ma na to czas?

Uścisnęły się przelotnie, sprawnie, a potem weszły do środka.

– Przyszłam wcześniej, więc kupiłam nam bilety – oznajmiła Jenny.

Sarah próbowała wsunąć jej w dłoń banknot studolarowy.

– Mamo, nie wygłupiaj się. Z przyjemnością zapłacę.

– Na taksówkę później – powiedziała matka, wtykając córce banknot jak ulotkę do sklepu z materacami, którą wciskają nam na ulicy, ale Jenny odwróciła się i podała bilety przewodnikowi, więc Sarah była zmuszona włożyć pieniądze z powrotem do portfela.

– Słyszałam, że najlepsze prace są na piętrze – poinformowała Jenny. – Może powinniśmy zacząć od góry?

– Jak chcesz, kochanie.

Poczekwały na windę i jechały nią w milczeniu. Za nimi latynoska rodzina prowadziła burzliwą dyskusję po hiszpańsku, żona strofowała męża. Sarah uczyła się hiszpańskiego w szkole średniej, ale później nie utrzymywała zdobytej wiedzy. Rozpoznała słowa „motocykl” i „opiekunka do dziecka”, a z wymiany zdań jasno wynikało, że mogło mieć miejsce jakieś zdarzenie pozamałżeńskie. U ich stóp dwoje dzieci grało w gry na smartfonach, z twarzami upiornie podświetlonymi na niebiesko.

– Shane denerwuje się dzisiejszą kolacją – przyznała Jenny, gdy wysiadły z windy. – To takie urocze.

– Podczas pierwszego spotkania z rodzicami twojego ojca zwymiotowałam – zwierzyła się córce Sarah.

– Naprawdę?

– Tak, chociaż podejrzewam, że mogła to być wina zupy z owoców morza, którą zjadłam na lunch.

– Och, mamo – odpowiedziała z uśmiechem Jenny. – Jesteś taka zabawna. – Jenny zawsze opowiadała znajomym, że jej mama jest „lekką szurniętą”. Sarah o tym wiedziała albo wyczuwała na pewnym poziomie. A była – jak to się mówi? – trochę roztargniona, trochę, cóż, czasami tworzyła w głowie nietypowe połączenia. Czyż Robin Williams nie posiadał takiej samej cechy? Albo inni, no wiecie, nowatorscy myśliciele?

„Więc teraz jesteś Robinem Williamsem?”, mawiał Ben.

– Nie musi się denerwować – uspokoiła Jenny matka. – Nie gryziemy.

– Klasy społeczne faktycznie istnieją – wyjaśniła córka. – No wiesz, ten podział. Bogaci i... To znaczy rodzice Shane’a nie są biedni, ale...

– To kolacja w Bali, nie walka klas. Poza tym nie jesteśmy aż tak bogaci.

– Kiedy ostatni raz leciałaś samolotem rejsowym?

– Zeszłej zimy do Aspen.

Córka wydała odgłos, jakby mówiła: „Czy ty sama się słyszysz?”.

– Kochanie, nie jesteśmy miliarderami. Wiesz, to jest Manhattan. Na niektórych imprezach, na które chodzimy, czuję się jak służąca.

– Macie jacht.

– To nie jest... To żaglówka i mówiłam ojcu, żeby jej nie kupował. „Tak się teraz będziemy prezentować? Jako ludzie z jachtem?”, pytałam, ale wiesz, jak się zachowuje, kiedy coś sobie ubzdura.

– Nieważne. Chodzi o to, że Shane się denerwuje, więc proszę... Sama nie wiem... Porozmawiajcie o czymś lekkim.

– Rozmawiasz z kobietą, która oczarowała szwedzkiego księcia, a była z niego niezła maruda.

Po tych słowach weszły do głównej sali wystawowej. Na ścianach wisiały w szeregu wielkie płótna, każde będące gestem woli. Myśli i koncepcje zredukowane do linii i kolorów. Sarah próbowała odsunąć na bok swój ogarnięty codziennymi sprawami umysł, uciszyć trajkotanie myśli, chroniczną listę spraw współczesnego życia, ale miała z tym problem. Im więcej się ma, tym bardziej się martwi. To właśnie stwierdziła.

Kiedy Jenny się urodziła, mieszkali w mieszkaniu z dwiema sypialniami na Upper West Side. Ben zarabiał osiemdziesiąt tysięcy rocznie jako goniec na giełdzie. Ale był przystojny, umiał rozśmieszać ludzi i wiedział, jak wykorzystać okazję, więc dwa lata później awansował na handlowca i wyciągał cztery razy tyle. W latach sześćdziesiątych przeprowadzili się na wschód do mieszkania spółdzielczego i zaczęli kupować jedzenie w delikatesach.

Przed urodzeniem dziecka Sarah pracowała w reklamie i rozważała powrót do zawodu, gdy Jenny była w przedszkolu, ale nie mogła znieść myśli, że niania będzie zajmowała się jej córką. Chociaż czuła się tak, jakby rezygnowała z kawałka własnej duszy, została w domu, przygotowywała lunchy, zmieniała pieluchy i czekała, aż mąż wróci z pracy i wykona swoją część zadań.

Matka zachęciła ją do tego, by została, jak to określiła, panią domu z dużą ilością wolnego czasu. Jednak Sarah kiepsko radziła sobie z nieusystematyzowanym planem dnia, prawdopodobnie dlatego, że jej umysł pracował bardzo chaotycznie. I tak stała się kobietą z listami, z kalendarzami, zostawiającą karteczki samoprzylepne po wewnętrznej stronie drzwi wejściowych. Była typem osoby, której trzeba wszystko przypominać, która zapomina numer telefonu chwilę po tym, jak ktoś go jej wyrecytował. Zorientowała się, że sprawy źle się mają, kiedy trzyletnia córka zaczęła przypominać jej o różnych sprawach, nawet o wizycie u neurologa, który nie znalazł żadnych fizycznych nieprawidłowości i przepisał jej ritalin, sugerując, że ma ADHD. Sarah jednak nienawidziła tabletek i obawiała się, że zmienią ją w inną osobę, więc wróciła do swoich list, kalendarzy i alarmów.

Wieczorami, gdy Ben pracował do późna, co zdarzało się coraz częściej, nie mogła się powstrzymać, by nie myśleć o swojej matce. Pamiętała, że gdy była mała, matka stała

w kuchni, zmywała po obiedzie, nadzorowała wykonywane pod koniec dnia prace plastyczne i jednocześnie pakowała drugie śniadania na kolejny dzień. Czy tak wygląda cykl macierzyństwa? Ciągłe oddawanie. Ktoś jej kiedyś powiedział, że matki istnieją, by łagodzić egzystencjalną samotność bycia osobą. Jeśli to prawda, wówczas największą odpowiedzialnością Sarah było po prostu towarzystwo. Sprowadzasz dziecko na ten krnąbrny, chaotyczny świat z ciepła swego łona, a potem spędzasz kolejne dziesięć lat, idąc obok niego, podczas gdy córka lub syn starają się odkryć, jak być osobą.

Z drugiej strony ojcowie mieli za zadanie wzmocnić dzieci. Mówili: „Musisz to rozchodzić”, a mamy przytulały dzieci po upadku. Matki były marchewkami, a ojcowie kijami.

I tak Sarah znalazła się we własnej kuchni na Sześćdziesiątej Trzeciej Wschodniej. Pakowała drugie śniadania do szkoły, czytała książki z obrazkami podczas ciepłych kąpieli, kiedy jej ciało i ciało córki stawały się jednym. Gdy wieczorami zasypiała sama, przynosiła córkę do łóżka, czytały razem książki i rozmawiały, aż obie zasypiały wtulone jedna w drugą. Tak zastawał je Ben po powrocie do domu, kiedy pachnący alkoholem, z przekrzywionym krawatem, zrzucił głośno buty.

– Jak się mają moje dziewczynki? – pytał. „Moje dziewczynki”, jakby obie były jego córkami. Ale wypowiadał te słowa z miłością, a twarz mu się rozjaśniała, jakby to była jego nagroda za długi dzień pracy, twarze ukochanych kobiet patrzące na niego zaspanymi oczami z wygodnego rodzinnego łóżka.

– Ten mi się podoba – oznajmiła Jenny, teraz dwudziestokilkuletnia kobieta, od pięciu lat matka własnych dzieci. Pomimo wszelkich przeciwności matce i córce udało się pozostać w bliskich relacjach, gdy Jenny była nastolatką, w okresie, który zwykle powoduje podziały. Córka nigdy nie robiła dramatów. Najgorsze, co można o niej teraz powiedzieć, to to, że nie szanuje mamy tak jak kiedyś, co było przekleństwem współczesnych kobiet. Zostajesz w domu i wychowujesz córki, a one dorastają, znajdują posady i litują się nad swoimi matkami gospodyniami.

Stojąc obok Sarah, Jenny opowiadała o rodzicach Shane’a. Ojciec miał bzik na punkcie starych samochodów, a matka lubiła wykonywać prace charytatywne na rzecz Kościoła. Sarah próbowała się skupić, wylapać sygnały ostrzegawcze, kwestie, o których Ben powinien wiedzieć, ale jej umysł błędził. Uderzył ją fakt, że była w stanie kupić każde z dzieł w tej sali. Ile najwięcej mogły kosztować te prace młodych artystów? Kilkaset tysięcy? Milion?

Na Upper West Side mieszkali na drugim piętrze. Mieszkanie na Sześćdziesiątej Trzeciej Wschodniej znajdowało się na ósmym. Teraz mieli luksusowy apartament w dzielnicy Tribeca na pięćdziesiątym drugim piętrze. I chociaż dom w Connecticut miał tylko jedną kondygnację, już sam kod pocztowy nadawał mu charakter stacji kosmicznej. „Rolnicy” na sobotnim targu reprezentowali nowy typ rzemieślników, walczących o powrót dawnych odmian jabłek uprawianych od pokoleń i zapomnianej sztuki wyplatania koszy. Kwestie, które Sarah nazywała teraz problemami, były całkowicie nadobowiązkowe: „na nasz lot nie ma już miejsc w pierwszej klasie, żaglówka przecieka i tym podobne”. Prawdziwe kłopoty: „przyszli wyłączyć gaz, dziecko zostało dźgnięte

nożem w szkole, bank przejął samochód” – stały się przeszłością.

W obliczu tego wszystkiego Sarah zaczęła się zastanawiać. Teraz, kiedy Jenny była dorosła, a ich bogactwo przekraczało ich potrzeby sześciusetkrotnie, jaki to miało sens? Oczywiście jej rodzice mieli pieniądze, ale nie aż tyle. Wystarczająco, by móc odwiedzać najładniejszy klub za miastem, kupić dom z sześcioma sypialniami, jeździć najnowszym samochodem i przejść na emeryturę z kilkoma milionami w banku. Ale to – setki milionów w czystej walucie trzymane na Kajmanach – przekraczało granice starych pieniędzy, a nawet tego, co kiedyś uznawano za nowe. Nowoczesne bogactwo było czymś zupełnie innym.

Ostatnio, podczas nieusystematyzowanych godzin swego życia, Sarah rozważała, czy żyje tylko po to, by przynosić pieniądze z miejsca na miejsce.

Robię zakupy, więc jestem.

Po powrocie do biura Ben zobaczył, że czekają na niego dwaj mężczyźni. Siedzieli w pomieszczeniu przed jego gabinetem i czytali czasopisma, podczas gdy Darlene nerwowo pisała na komputerze. Po garniturach – ze sklepu, w standardowych rozmiarach – Ben potrafił ocenić, że są z rządu. Miał ochotę odwrócić się na pięcie i wyjść, ale tego nie zrobił. Prawda była taka, że miał w szafce spakowaną torbę, a na zagranicznych kontach kilka niemożliwych do namierzenia milionów, co poradził mu prawnik.

– Panie Kipling – oznajmiła zbyt głośno Darlene, wstając. – Ci panowie przyszli spotkać się z panem.

Mężczyźni odłożyli czasopisma i również wstali. Jeden z nich był wysoki, o kwadratowej szczęce, drugi miał pod lewym okiem ciemne znamię.

– Panie Kipling – odezwał się Kwadratoshczęki. – Jestem Jordan Bewes z Departamentu Skarbu, a to mój kolega, agent Hex.

– Ben Kipling.

Kipling zmusił się, by uścisnąć im dłonie.

– O co chodzi? – zapytał tak beztrąsko, jak potrafił.

– Wyjaśnimy panu – oznajmił Hex – ale na osobności.

– Oczywiście. Zrobię, co mogę, by panom pomóc.

Odwrócił się, żeby zaprowadzić ich do swego gabinetu, i podchwycił spojrzenie Darlene.

– Przyślij tu Barneya Culpeppera.

Wprowadził agentów do narożnego gabinetu. Byli na osiemdziesiątym piątym piętrze, ale hartowane szkło osłaniało ich od żywołów, tworząc hermetyczną plombę i dając wrażenie przebywania w sterowcu unoszącym się wysoko ponad wszystkim.

– Mogę panom coś zaproponować? – zapytał. – Pellegrino?

– Nie, dziękujemy – odpowiedział Bewes.

Kipling podszedł do kanapy i opadł na nią w rogu, przy oknie. Postanowił, że będzie się zachowywał jak człowiek, który nie ma się czego obawiać. Na niskiej szafce stała miska orzeszków pistacjowych. Wziął jednego, rozgryzł go i zjadł wewnątrz.

– Proszę usiąść.

Mężczyźni musieli odwrócić krzesła dla gości w kierunku kanapy. Usiedli niezręcznie.

– Panie Kipling – zaczął Bewes. – Jesteśmy z Biura do spraw Kontroli Aktywów Zagranicznych. Zna je pan?

– Tak, słyszałem o nim, ale szczerze mówiąc, nie trzymają mnie tutaj ze względu na moją wiedzę logistyczną. Jestem raczej typem twórczego myśliciela.

– Działamy z ramienia Departamentu Skarbu.

– To usłyszałem.

– Cóż, jesteśmy tutaj, by upewnić się, że amerykańskie przedsiębiorstwa i firmy inwestycyjne nie prowadzą interesów z krajami, które nasz rząd uznał za zakazane. Pańska firma wzbudziła nasze zainteresowanie.

– Mówiąc „zakazane”, ma pan na myśli...

– Objęte sankcjami – wyjaśnił Bewes. – Chodzi nam o państwa takie jak Iran czy Korea Północna. Kraje, które finansują terroryzm.

– Ich pieniądze są złe – oznajmił Hex. – I nie chcemy ich tutaj.

Ben uśmiechnął się i pokazał im swoje idealne, zadbane zęby.

– Wspomniane kraje są złe, to pewne, ale pieniądze? Cóż, pieniądze to narzędzie, panowie. Nie są ani złe, ani dobre.

– W porządku, panie Kipling, zacznijmy od początku. Słyszał pan o prawie, prawda?

– O którym prawie?

– Nie, mówię, że... Słyszał pan, że mamy w tym kraju coś, co nazywa się prawem?

– Panie Bewes, proszę nie traktować mnie protekcjonalnie.

– Staram się jedynie znaleźć język, który obydwaj zrozumiemy – odparł Bewes. – Podejrzewamy, że pańska firma pierze pieniądze dla... cholera, niemal dla wszystkich... i przyszliśmy tutaj, by poinformować, że pana obserwujemy.

Na te słowa otworzyły się drzwi i wszedł Barney Culpepper. Miał na sobie niebiesko-biały garnitur z kory i posiadał wszystkie cechy pożądane u firmowego prawnika: agresywność i arystokratyczne pochodzenie. Był synem byłego ambasadora Stanów Zjednoczonych w Chinach, który kumpłował się z trzema prezydentami. W tej chwili Barney trzymał w ustach czerwono-białego lizaka w kształcie bożonarodzeniowej laski, pomimo że był sierpień. Na jego widok Kiplinga zalała fala ulgi, jak dziecko wezwane do

gabinetu dyrektora, które odzyskuje pewność siebie, gdy pojawia się jego tata.

– Panowie – zaczął Kipling. – To jest pan Culpepper, prawnik firmy.

– To nieformalna rozmowa – stwierdził Hex. – Prawnicy nie są potrzebni.

Culpepper nie zwracał sobie głowy ściskaniem dłoni. Oparł się plecami o szafkę.

– Proszę mnie zapytać o lizaka.

– Słucham? – zapytał Hex.

– Lizak. Proszę mnie o niego zapytać.

Hex i Bewes wymienili spojrzenia mówiące: „Ja nie chcę. Ty to zrób”.

Wreszcie Bewes wzruszył ramionami.

– O co chodzi z...

Culpepper wyjął lizaka z ust i pokazał go gościom.

– Kiedy moja asystentka poinformowała mnie, że przyszli dwaj agenci z Departamentu Skarbu, przyszło mi do głowy tylko jedno: to musi być cholerna Gwiazdka.

– Bardzo zabawne, panie...

– Ponieważ wiem, że mój stary przyjaciel od racquetballa, Leroy Able... Znacie go, prawda?

– Jest sekretarzem Departamentu Skarbu.

– Właśnie. Wiem, że mój stary przyjaciel od racquetballa, Leroy, nie przysłałby tutaj agentów bez wykonania wcześniej telefonu do mnie. A ponieważ nie zadzwonił...

– To jest raczej wizyta kurtuazyjna – wtrącił się Hex.

– Jak wtedy, gdy przynosi się ciasteczka i wita nowych sąsiadów?

Culpepper popatrzył na Kiplinga.

– Są ciasteczka? Czyżbym przegapił...

– Nie ma ciasteczek – odpowiedział Ben.

Bewes się uśmiechnął.

– Chce pan ciasteczek?

– Nie – odparł Culpepper. – Po prostu, kiedy pana kolega powiedział „wizyta kurtuazyjna”, pomyślałem...

Bewes i Hex wymienili spojrzenia i wstali.

– Nikt nie stoi ponad prawem – oznajmił Bewes.

– Kto mówił o... – zaczął Culpepper. – Myślałem, że rozmawiamy o deserze.

Bewes z uśmiechem zapiął marynarkę, mężczyzna z wygrywającymi kartami w ręce.

– Przygotowujemy sprawę. To potrwa miesiące, może lata. Zatwierdzona na najwyższym poziomie. A pan chce rozmawiać o dowodach? Potrzeba by dwóch ciągników siodłowych z naczepą, żeby przywieźć je do sądu. Co pan na to?

– Wnieście sprawę – odrzekł Culpepper. – Pokażcie nakaz, a my się do tego odniesiemy.

– W odpowiednim czasie.

– Zakładając, że po moim telefonie nie będziecie parkować w Queens – oznajmił Culpepper, żując lizaka.

– Hej – odpowiedział Bewes. – Jestem z Bronxu. Chcesz wyzwać kolesia do bójki, wyzwij go, ale upewnij się, że wiesz, na co się piszesz.

– Ależ to urocze – skomentował Culpepper. – Myślisz, że liczy się rozmiar twojego fiuta? Synu, jak kogoś pieprzę, to używam całej ręki.

Pokazał im ramię i dołączoną do niego dłoń, na końcu której znajdował się uniesiony na baczność pojedynczy palec.

Bwes się zaśmiał.

– Znasz takie dni, kiedy przychodzisz do pracy i cały dzień się męczysz? – zapytał. – Cóż, to będzie frajda.

– Wszyscy tak mówią – odpowiedział Culpepper – dopóki nie wejdzie po sam łokieć.

Tego wieczoru podczas kolacji Ben był rozkojarzony. Przepowiadał sobie w głowie rozmowę z Culpepperem.

– To nic takiego – powiedział prawnik, wrzucając lizaka do kosza po wyjściu agentów. – To gliniarze z drogówki wypisujący bzdurne mandaty na koniec miesiąca, by wyrobić limity.

– Powiedzieli: kilka miesięcy – przypomniał Ben. – Lat.

– Zobacz, co się stało z HSBC. Dostali tylko, kurwa, po łapach. Wiesz dlaczego? Jeśli przedstawiliby im wszystkie zarzuty, musieliby im odebrać licencję bankową. A wszyscy wiemy, że tak się nie stanie. Są zbyt potężni, żeby wsadzić ich do pudła.

– Nazywasz miliardową karę oberwaniem po łapach?

– To ich kieszonkowe. Zyski z kilku miesięcy. Wiesz o tym lepiej niż ktokolwiek inny.

Jednak Ben nie był tego taki pewny. Dostrzegł coś w postawie agentów. Byli zbyt pewni siebie, jakby wiedzieli, że mają przewagę.

– Musimy zewrzeć szyki – oznajmił. – Wszyscy, którzy cokolwiek wiedzą.

– Już zrobione. Masz chociaż pojęcie, ile papierów o poufności trzeba podpisać, aby pracować tutaj choćby w recepcji? To cholerny Fort Knox.

– Nie pójdę do więzienia.

– Jezu, nie bądź takim cykorem. Nie kumasz? Nie ma żadnego więzienia. Pamiętasz aferę z LIBOR-em? Konspiracja warta tryliony przez wielkie T. Reporter pyta zastępcę prokuratora generalnego: „To bank, który już wcześniej łamał prawo. Dlaczego nie być wobec nich surowszym?”. A ten odpowiada: „Nie wiem, co znaczy surowszy”.

– Przyszli do mojego biura.

– Przyjechali windą. Dwóch kolesi. Gdyby naprawdę coś mieli, byłyby ich setki i wyszliby z czymś więcej niż fiutami w dłoniach.

Jednak siedząc przy narożnym stoliku z Sarah, Jenny i rodzicami jej narzeczonego, Ben nie mógł przestać zastanawiać się, czy rzeczywiście tylko z tym wyszli. Żałował, że nie ma taśmy z nagraniem owego spotkania, aby przyjrzeć się swojej twarzy, zobaczyć, ile zdradził. Zwykle zachowywał perfekcyjną, pokerową twarz, ale podczas tamtego spotkania czuł, że gra poniżej swoich możliwości. Czy zdradziło go napięcie wokół ust? Zmrużone oczy?

– Ben? – zagadnęła go Sarah, potrząsając za ramię. Wyraz jej twarzy jednoznacznie sugerował, że skierowano w jego stronę pytanie.

– Hę? – powiedział. – Przepraszam, nie dosłyszałem. Trochę tu głośno.

Powiedział tak, chociaż w lokalu panowała grobowa cisza, zaledwie kilku eleganckich starszków szeptało do zupy.

– Powiedziałem, że nadal uważam, iż nieruchomości to dobry kierunek, z punktu widzenia finansowego – powtórzył Burt, Carl czy jakkolwiek nazywał się ojciec Shane’a. – I zapytałem o pańską opinię.

– To zależy od nieruchomości – odparł Ben i zaczął wstawać z kanapy. – Ale po huraganie Sandy moja rada brzmi: jeśli kupujesz na Manhattanie, wybierz wysokie piętro.

Przeprosił zebranych, unikając pełnego dezaprobaty spojrzenia Sarah, i wyszedł na zewnątrz. Potrzebował świeżego powietrza.

Przy krawężniku wysepił papierosa od wracającego późno do domu przechodnia, stanął pod markizą restauracji i zapalił. Padał lekki deszcz, a on obserwował, jak tylne światła samochodów błyszczą na asfalcie.

– Masz jeszcze jednego? – zapytał mężczyzna w golfie, wychodząc z restauracji za Benem.

Kipling odwrócił się i przyjrzał pytającemu. Majętny mężczyzna około czterdziestki, ale z nosem złamanym przynajmniej raz.

– Przykro mi, tego dostałem.

Mężczyzna w golfie wzruszył ramionami i stał, patrząc na deszcz.

– Młoda kobieta w restauracji próbuje zwrócić twoją uwagę – oznajmił.

Ben spojrzął za siebie. Jenny machała do niego. „Wróć do stołu”. Odwrócił wzrok.

– Moja córka – wyjaśnił. – To spotkanie pod tytułem poznaj nowych teściów.

– Gratulacje – powiedział mężczyzna.

Kipling parsknął, a potem skinął głową.

– Przy chłopcach człowiek się martwi, czy kiedykolwiek wyjdą z domu – zauważył mężczyzna. – Znajdą swoją drogę. Za moich czasów wykopywali cię na chodnik, jak tylko osiągnąłeś wiek pozwalający głosować. Czasami wcześniej. Przeciwności losu to jedyny sposób, by zmęźnieć.

– Czy to przytrafiło się twojemu nosowi? – zapytał Kipling.

Mężczyzna się uśmiechnął.

– Słyszałeś, że pierwszego dnia w więzieniu radzą, żeby znaleźć największego gościa i skopać mu tyłek? Cóż, jak każde działanie, i to ma swoje konsekwencje.

– To... byłeś w więzieniu? – zapytał Kipling, czując podekscytowanie turysty.

– Nie tutaj. W Kijowie.

– Jezu.

– A później w Szanghaju, ale w porównaniu z tym pierwszym to była pestka.

– Miałeś pecha czy...

Mężczyzna się uśmiechnął.

– Wypadek? Nie, stary. Świat to niebezpieczne miejsce. Ale wiesz o tym, prawda?

– Co? – zapytał Kipling, czując, że przechodzi go delikatny, ostrzegawczy dreszcz.

– Zapytałem, czy wiesz, że świat to niebezpieczne miejsce. Przyczyna i skutek. Nieodpowiednie miejsce, nieodpowiedni czas. W historii ludzkości wiele jest przypadków, gdy dobry człowiek zrobił bezmyślnie coś złego.

– Nie... Nie zapamiętałem twojego imienia.

– A co powiesz na moją ksywę na Twitterze? Chcesz mnie znaleźć na Instagramie?

Kipling upuścił papierosa na chodnik. W tym samym momencie przed restaurację podjechał czarny samochód, zatrzymał się i stał z włączonym silnikiem.

– Miło się rozmawiało – pożegnał się Ben.

– Poczekaj. Prawie skończyliśmy, ale nie całkiem.

Kipling próbował wejść do restauracji, ale mężczyzna stał mu na drodze. Nie do końca go blokował, po prostu stał w drzwiach.

– Moja żona...

– Wszystko z nią w porządku – odparł mężczyzna. – Myśli teraz pewnie o deserze. Może zje bezę. Więc weź głęboki oddech... albo przejedź się samochodem. Wybór należy do ciebie.

Serce Kiplinga pędziło kilometr na minutę. Zapomniał, że takie uczucie istniało. Co to było? Śmiertelność?

– Posłuchaj – powiedział. – Nie wiem, co sobie myślisz...

– Miałeś dzisiaj gości. Imprezową policję. Imprezowych psujów. Celowo zgrywam tępego, tylko po to, żeby zapytać: może cię przestraszyli?

– Czy to jakiś rodzaj zastraszenia, czy...

– Nie podniecaj się, nic ci nie grozi. Może z ich strony, ale nie z naszej. Jeszcze nie.

Kipling nie potrafił sobie wyobrazić, kim są „oni”. Realia sytuacji były jasne. Chociaż zawsze miał do czynienia z totumfackimi i pośrednikami (w najlepszym razie urzędnikami przestępcami), Kipling zyskał pozycję w firmie, wykorzystując wcześniej „niedostatecznie wykorzystywane” strumienie dochodów. Strumienie, które miały charakter pozaprawny, co wizyta agentów z Departamentu Skarbu jedynie potwierdziła. Mówiąc prostym językiem, prał pieniądze dla krajów, które finansowały terroryzm, takich jak Iran i Jemen, i takich, które mordowały własnych obywateli, jak Sudan i Serbia. Robił to z narożnego gabinetu w wieżowcu w centrum miasta. Kiedy ma się do czynienia z miliardami dolarów, działa się na widoku, tworząc spółki fasadowe i maskując źródła przelewu mnóstwo razy, aż pieniądze stają się tak czyste, że mogłyby uchodzić za nowe.

– Nie ma problemu – powiedział Ben mężczyźnie w golfie. – To tylko para młodych agentów, którzy zbytnio się zaangażowali. Ale na samej górze wszystko jest zabezpieczone. Na poziomie, który ma znaczenie.

– Nie – zaprzeczył mężczyzna. – Tam też macie parę problemów. Zmiany w polityce wykonawczej. Kilka nowych zwolnień. Nie mówię, żeby panikować, ale...

– Posłuchaj – przerwał mu Ben. – Jesteśmy w tym dobrzy. Najlepsi. Dlatego twoi pracodawcy...

Surowe spojrzenie.

– Nie mówimy o nich.

Ben poczuł, jak impuls elektryczny przebiegł mu wzdłuż kręgosłupa i spał tyłek.

– Mówię tylko, że możecie nam zaufać – zdołał powiedzieć. – Mnie. To zawsze była moja gwarancja. Nikt nie pójdzie do więzienia przez... z tego powodu. Tak mówi Barney Culpepper.

Mężczyzna spojrzął na Bena, jakby chciał powiedzieć: „Może ci wierzę, a może nie”. A może próbował powiedzieć: „To nie zależy od ciebie”.

– Chroń pieniądze – polecił. – To się liczy. I nie zapomnij, kto jest ich właścicielem. Może wyczyściłeś je tak, że nie doprowadzą do nas, ale w ten sposób nie stają się twoje.

Ben potrzebował sekundy, by przetłumaczyć sobie tę aluzję. Uważali go za złodzieja.

– Nie, oczywiście.

– Wyglądasz na zmartwionego. Nie rób takiej miny. Wszystko w porządku. Przytulić

cię? Mówię tylko, byś nie zapomniał o najważniejszych rzeczach, a brzmią one następująco: twój tyłek ma drugorzędne znaczenie, liczą się tylko pieniądze. Jeśli będziesz musiał pójść do więzienia, idź, a jeśli czujesz, że musisz się powiesić, cóż, może to też nie jest zły pomysł.

Mężczyzna wyjął paczkę papierosów, wytrząsnął jednego i włożył go z paczki do ust.

– A na razie – dodał – zamów placek z owocami. Nie pożałujesz.

Potem mężczyzna w golfie podszedł do czekającego czarnego sedana i wsiadł do środka. Kipling patrzył, jak odjeżdża.

Na Martha's Vineyard pojechali w piątek. Sarah miała aukcję charytatywną, *Ocalić rybitwy*, czy coś takiego. Podczas podróży promem rozpamiętywała nieudaną kolację z potencjalnymi teściami. Ben przeproszał. Służbowa sprawa, tłumaczył, ale ona słyszała to już zbyt często.

– W takim razie odejdz na emeryturę – zaproponowała. – Skoro tak cię to stresuje. Mamy więcej pieniędzy, niż moglibyśmy kiedykolwiek wykorzystać. Moglibyśmy nawet sprzedać mieszkanie albo łódź. Naprawdę, zupełnie mi na nich nie zależy.

Zjeżył się na te słowa, sugestię, że pieniądze, które zarobił i nadal zarabia, nie mają dla niej wartości. Jakby sztuka ich zdobywania, umiejętności, jakie posiadał, miłość do interesów i wszelkich nowych wyzwań były bezwartościowe. Były ciężarem.

– Nie chodzi o pieniądze – odpowiedział. – Mam zobowiązania.

Sarah nie miała ochoty kłócić się dalej ani powiedzieć: „A co z odpowiedzialnością wobec mnie? Wobec Jenny?”. Odnosiła wrażenie, że poślubiła perpetuum mobile, silnik, który musi się kręcić, bo inaczej nigdy więcej nie ruszy. Ben był pracą, praca była Benem. To przypominało równanie matematyczne. Sarah potrzebowała piętnastu lat i trzech terapeutów, aby to zaakceptować, ponieważ wierzyła, że akceptacja to klucz do szczęścia. Jednak czasami nadal ją to kłuło.

– Nie proszę o wiele – oznajmiła. – Ale kolacja z Comstockami była ważna.

– Wiem – odparł Ben. – I przeproszam. Zaproszę faceta do klubu, zagramy dziewięć lub osiemnaście dołków i kiedy skończę mu kadzić, będzie już prezesem naszego fanklubu.

– To nie mąż jest ważny, tylko żona. I widzę, że jest sceptycznie nastawiona. Uważa, że jesteśmy ludźmi, którzy próbują wkupić się nawet do nieba.

– Tak powiedziała?

– Nie, ale wyczuwam, że tak myśli.

– Pieprzyć ją.

Sarah zacisnęła zęby. Zawsze tak robił, lekceważył ludzi. Uważała, że to jedynie pogarsza sprawę, chociaż zazdrościła mężowi beztroski.

– Nie – sprzeciwiła się. – To ważne. Musimy być lepsi.

– W czym?

– Musimy być lepszymi ludźmi.

Złośliwa odpowiedź zamarła Benowi na ustach, gdy zobaczył twarz żony. Była poważna. Sarah sądziła, że są złymi ludźmi tylko dlatego, że są bogaci. To kłóciło się ze wszystkim, w co wierzył Ben. Spójrzcie na Billa Gatesa. Facet przeznaczył połowę bogactwa swojego życia na cele charytatywne. Miliardy dolarów. Czy to nie czyni go lepszym człowiekiem niż, dajmy na to, miejscowy ksiądz? Gdyby kryterium stanowiła siła

oddziaływania, czyż Bill Gates nie byłby lepszym człowiekiem niż Gandhi? I czy Ben i Sarah Kiplingowie, oddający co roku miliony na szczytne cele, nie byli lepsi niż Comstockowie, którzy przeznaczali na działalność charytatywną najwyżej pięćdziesiąt tysięcy?

W niedzielny poranek Sarah obudziła się wcześniej. Pochodziła po kuchni, przeciągając się i zastanawiając, czego potrzebują, potem założyła buty turystyczne, chwyciła wiklinowy kosz i ruszyła przez wyspę na targ. Na zewnątrz było parno, a światło słoneczne wzmocnione przez unoszące się w powietrzu cząsteczki wody sprawiało wrażenie, że cały świat jest płynny. Minęła pochylone skrzynki na listy na końcu przecznicy i szła wzdłuż pobocza głównej drogi. Lubiła odgłos, jaki wydawały jej buty na piasku leżącym na ubitym kamieniu. Jej rytmiczne, miękkie buty. Nowy Jork był taki głośny, ze swym ruchem ulicznym i stukotem podziemnego metra, że nie można było usłyszeć własnych ruchów w czasie i przestrzeni, własnych wdechu i wydechu. Czasami w hałasie młota pneumatycznego i wybuchowego syku wydawanego przez opuszczające podwozie autobusy trzeba było się uszczypnąć, by upewnić się, że nadal się żyje.

Ale tutaj, w stalowym chłodzie nocy, ustępującym pod naporem letniego dnia, z bulgoczącymi w powietrzu tęczami, Sara słyszała własny oddech i czuła ruch mięśni. Słyszała własne włosy, ocierające się o kołnierzyk jasnej letniej kurtki.

Na targu już panował ruch. Czuło się zapach gorszych towarów fermentujących w koszach ukrytych poza zasięgiem wzroku, obitych pomidorów i owoców pestkowych schowanych do skrzynek z powodu brzydkiego wyglądu, chociaż owoce z plamkami są najśłodsze. Co tydzień sprzedawcy ustawiali się w nieco innym porządku, czasami słodko-słony popcorn serwowano na jednym końcu, innym razem na drugim. Sprzedawca kwiatów wolał środek bazaru, a piekarz kraniec najbliższej wody. Ben i Sarah odwiedzali rynek od piętnastu lat, najpierw jako wynajmujący, a potem, gdy bogaci stali się jeszcze bogatsi, jako właściciele nowoczesnego betonowego pawilonu z widokiem na ocean.

Sarah знаła wszystkich rolników z imienia. Obserwowała, jak ich dzieci wyrastają z małych brzdąców na nastolatków. Przechodziła obok weekendowych turystów i tubylców, nie tyle kupując, co czując się częścią tego miejsca. Mieli złapać popołudniowy prom. Kupowanie więcej niż jednej brzoskwini byłoby bezsensowne, ale nie mogła nie przyjść na targ w niedzielny poranek. W deszczowe dni, gdy bazar był zamknięty, czuła się pozbawiona domu. W mieście chodziła po ulicach jak szczur w labiryncie, szukając czegoś, ale nigdy nie wiedząc, czego dokładnie.

Zatrzymała się i oglądała rzeżuchę. Kłótnia, w jaką wdali się z Benem po kolacji, na temat jego chłodnego zachowania i wyjścia w trakcie posiłku, była krótka, ale zażarta. W niedwuznacznych słowach Sarah dała mu do zrozumienia, że nie ma już zamiaru znosić samolubstwa męża. Świat nie istniał po to, by spełniać potrzeby Bena Kiplinga. A jeśli tego chciał: otaczać się ludźmi, po których może deptać do woli, cóż, w takim razie musi znaleźć sobie nową żonę.

Nietypowo dla siebie Ben przeproszał, wziął Sarah za rękę, przyznał, że ma rację,

i obiecał, że zrobi wszystko, aby sytuacja nigdy się nie powtórzyła. To ją całkowicie zaskoczyło. Była przyzwyczajona do kłótni z tyłem jego głowy, ale tym razem patrzył jej w oczy. Powiedział, że zdaje sobie sprawę, iż jej nie doceniał i uważał, że wszystko mu się należy. Że zachowywał się arogancko. „Buta”, takiego słowa użył. Ale od tego momentu zaczynał się nowy dzień. Ben rzeczywiście wyglądał na nieco przestraszonego. Sarah uznała lęk za dowód, iż jej groźba faktycznie do męża dotarła. Uwierzył, że go opuści, i nie wie, co by bez niej zrobił. Później zorientuje się, że Ben bał się już wcześniej. Bał się, że wszystko, co ma i czym jest, balansuje na granicy upadku.

Tak więc dzisiaj, po tym, jak była świadkiem skruchy męża, a następnie położyła się z nim do małżeńskiego łóżka, z jego głową między swymi piersiami, jego rękami na jej udach, poczuła, że zaczyna się nowy rozdział w jej życiu. Renesans. Rozmawiali do późna o wzięciu miesięcznego urlopu i wyjeździe do Europy. Chodziliby ulicami Umbrii, trzymając się za ręce jak nowożeńcy. Po północy Ben otworzył swą mahoniową skrzynkę i wypalili trochę trawy. Dla Sarah był to pierwszy raz po urodzeniu Jenny. Chichotali jak dzieci, siedząc na kuchennej podłodze naprzeciw otwartej lodówki i jedząc truskawki wprost z pojemnika na owoce.

Sarah przeszła obok angielskich ogórków i koszy sałaty liściastej. Sprzedawca jagód pogrupował swoje produkty po trzy: zielone kosze jagód zestawione z borówkami amerykańskimi i malinami w odcieniu czerwieni dziąseł. Sarah oderwała sztywne łupiny letniej kukurydzy palcami spragnionymi dotyku żółtego jedwabiu pod spodem, zagubiona w iluzji. Tutaj, na Vineyard, na targu, w tym dokładnie miejscu, w tym momencie, nowoczesny świat zniknął, niewypowiedziany podział naszej cichej walki klas. Nie było bogatych ani biednych, żadnych przywilejów, istniało jedynie jedzenie wyciągnięte z ilastej ziemi, owoce zerwane z silnych gałęzi i miód skradziony z ula. „W obliczu natury wszyscy jesteśmy równi”, pomyślała, co samo w sobie było koncepcją zrodzoną z luksusu.

Podniosła wzrok i zobaczyła na dalszym planie Maggie Bateman. Sytuacja wyglądała następująco: przez środek pola widzenia Sarah szła młoda para z wózkiem, a za nimi pojawił się profil Maggie, uchwyconej w pół zdania. Potem – kiedy para z wózkiem przeszła całkowicie – również mężczyzna, z którym rozmawiała. Był przystojny, po czterdziestce i ubrany w dżinsy i koszulkę – obydwie części garderoby poplamione farbą – oraz stary niebieski rozpinany sweter. Długawe włosy mężczyzny odgarnięte były niedbale w tył, ale nadal zachodziły mu na twarz. Na oczach Sarah sięgnął dłonią i ponownie je odgarnął, jak rozproszony koń odgania ogonem muchy.

Pierwszą myślą, jaka uderzyła Sarah, było to, że zna tę osobę (Maggie). Następną był kontekst (to Maggie Bateman, żona Davida, matka dwójki dzieci). Potem pomyślała, że mężczyzna stoi nieco za blisko, nachyla się i uśmiecha, oraz że rozpoznaje ten wyraz twarzy Maggie. Sugerował, że była między nimi zażyłość, która wydawała się większa niż przy niezobowiązującym spotkaniu. I wtedy Maggie odwróciła się i zobaczyła Sarah. Uniosła rękę i osłoniła oczy przed słońcem, jak marynarz wypatrujący horyzontu.

– Cześć – powiedziała i coś w otwartości owego powitania, fakt, że Maggie nie zachowywała się jak kobieta przyłapaną na flirtowaniu z mężczyzną, który nie jest jej

mężem, sprawiło, że Sarah jeszcze raz przemyślała swoje przypuszczenie. – Podejrzewałam, że tu będziesz. Och, to jest Scott.

Mężczyzna skinął dłonią.

– Cześć – odparła Sarah, a potem zwróciła się do Maggie: – Tak, znasz mnie, jeśli targ jest otwarty, jestem tutaj i wybieram awokado, bez względu na pogodę.

– Wracasz dzisiaj?

– Chyba promem o trzeciej.

– Och, nie. Nie płyn promem, mamy samolot. Poleć z nami.

– Naprawdę?

– Oczywiście. Właśnie o tym... Właśnie mówiłam o tym Scottowi. On też musi dzisiaj wieczorem wracać do miasta.

– Planowałem iść pieszo.

Sarah zmarszczyła czoło.

– Jesteśmy na wyspie.

Maggie się uśmiechnęła.

– Sarah, on żartuje.

Sarah poczuła, że się czerwieni.

– Jasne. – Zmusiła się do śmiechu. – Czasami taka ze mnie idiotka.

– A więc postanowione – oznajmiła Maggie. – Musicie polecieć, oboje. I Ben. Będzie fajnie. Będziemy mogli się napić i, sama nie wiem, porozmawiać o sztuce. Scott jest malarzem – zwróciła się do Sarah.

– Niespełnionym – sprecyzował Scott.

– Nie. To jest... Czy nie opowiadałeś mi właśnie, że masz w przyszłym tygodniu spotkania w galeriach?

– Które z pewnością pójdą kiepsko.

– Co malujesz? – zapytała Sarah.

– Katastrofy – odparł Scott.

Sarah musiała wyglądać na zdumioną, ponieważ Maggie wyjaśniła:

– Scott maluje sceny katastrof z wiadomości: wraki pociągów, zawałone budynki i zjawiska takie jak monsuny; jego prace są naprawdę genialne.

– Cóż, są makabryczne – dodał Scott.

– Chciałabym je kiedyś zobaczyć – oznajmiła uprzejmie Sarah, chociaż takie właśnie wydały jej się obrazy: makabryczne.

– Widzisz? – ucieszyła się Maggie.

– Ona tylko stara się być uprzejma – zauważył trafnie Scott. – Ale doceniam to. Żyję tutaj dość prosto.

Było jasne, że zapytany, Scott powiedziałby więcej, ale Sarah zmieniła temat.

– O której wracacie? – zapytała.

– Napiszę ci esemesa – obiecała Maggie. – Ale podejrzewam, że około ósmej. Lecimy do Teterboro, a stamtąd jedziemy do miasta. Zwykle przed dziesiątą trzydzieści jesteśmy w domu, w łóżku.

– Rety. Byłoby wspaniale. Na samą myśl o korku w niedzielny wieczór, brr, to znaczy i tak warto tu przyjechać, ale to byłoby... Ben będzie zachwycony.

– Świetnie – oznajmiła Maggie. – Cieszę się. Po to jest samolot, prawda? Jeśli się go ma...

– Nie wiem, jak to jest – zauważył Scott.

– Nie bądź złośliwy – poprosiła Maggie, odwracając się do niego. – Ty też lecisz.

Uśmiechała się szeroko, przekomarzała ze Scottem, i Sarah uznała, że Maggie zwyczajnie taka jest, dobra kumpelka lubiąca ludzi. Scott zdecydowanie nie sprawiał wrażenia, jakby łączyło go z Maggie coś więcej niż tylko znajomość z targu.

– Pomyślę o tym – odparł. – Dzięki.

Uśmiechnął się do obu kobiet i odszedł. Przez chwilę wydawało się, że cała trójka się rozejdzie, każde w swoją stronę, ale Maggie ociągała się i Sarah poczuła się w obowiązku kontynuować rozmowę. Kobiety odsunęły się na moment od siebie, a potem przysunęły z powrotem.

– Skąd go znasz? – zapytała Sarah.

– Scotta? Zwyczajnie, z okolicy. Zawsze przesiaduje w Gabe's, pije kawę, a ja kiedyś przyprowadzałam tam dzieci, żeby wyjść gdzieś z domu. Rachel lubiła babeczki z tej kawiarni. Po prostu zaczęliśmy gawędzić.

– Jest żonaty?

– Nie – odparła Maggie. – Był chyba kiedyś zaręczony. Tak czy inaczej, poszliśmy któregoś dnia z dziećmi do niego obejrzeć jego prace. Są naprawdę niesamowite. Próbuje namówić Davida, by kupił jedną z nich, ale stwierdził, że pracuje w branży katastrofalnej, więc nie chce wracać do domu i oglądać podobnych klimatów. Muszę przyznać, że są bardzo drastyczne.

– Nie wątpię.

– Właśnie.

Stały tak przez chwilę, nie wiedząc, co powiedzieć, jak dwa kamienie w strumieniu, a tłum poruszał się wokół nich nieprzerwanie.

– Wszystko dobrze? – zapytała Sarah.

– Tak, dobrze. A u was?

Sarah przypomniała sobie sposób, w jaki Ben pocałował ją tego ranka. Uśmiechnęła się.

– Też.

– Wspaniale. Pogadamy w samolocie, co?

– Cudownie. Dzięki jeszcze raz.

– W porządku. Do zobaczenia wieczorem.

Maggie cmoknęła Sarah przelotnie i już jej nie było. Sarah patrzyła, jak znajoma odchodzi, a potem poszła poszukać więcej truskawek.

W tym samym czasie Ben siedział na tarasie ze starego drewna, z trelią obrobionym bluszczem, i patrzył na fale. Na blacie kuchennym leżał rozłożony tuzin bajgli z wędzonym łososiem, dawną odmianą pomidorów, kaparami i lokalnym serkiem kremowym. Ben siedział w wiklinowym fotelu z niedzielnym „Timesem” i cappuccino, a w twarz wiał mu delikatny wiatr znad oceanu. Cały weekend esemesował z Culpepperem, używając aplikacji o nazwie Redact, która zaciemniała wiadomości w miarę ich czytania, a potem wymazywała je na dobre.

W dali, na oceanie, żaglówki posuwały się powoli po szczytach fal. Culpepper napisał zagadkowo, że szperał w rządowej sprawie tylnymi kanałami. Używał emotikonek zamiast kluczowych słów, zakładając, że taki tekst trudniej będzie wykorzystać jako dowód, gdyby rząd jakimś sposobem rozszyfrował aplikację.

Wygląda na to, że mają kluczową :(, która dostarcza im brudy.

Ben starł z brody sok z pomidora i skończył pierwszą połówkę bajgla. Informator? Czy to Culpepper miał na myśli? Przypomniał sobie mężczyznę w golfie przed wejściem do Bali, z nosem złamanym w rosyjskim więzieniu. Czy to zdarzyło się naprawdę?

Sarah wyszła na werandę z połówką grejpfruta. Kiedy Ben się obudził, ona zdążyła już wrócić z zajęć na rowerach stacjonarnych w mieście.

– Prom odpływa o trzeciej trzydzieści – poinformował ją. – Powinniśmy być na przystani o drugiej czterdzieści pięć.

Sarah podała mu serwetkę i usiadła.

– Wpadłam na targu na Maggie.

– Bateman?

– Tak. Była tam z jakimś malarzem. To znaczy nie z nim, ale rozmawiali.

– Aha – odparł Ben, przygotowując się do wyciszenia reszty rozmowy.

– Powiedziała, że mają miejsce w samolocie odlatującym dzisiaj wieczorem.

To przykuło jego uwagę.

- Zapropowała je nam?
- Chyba że chcesz popłynąć promem. Ale wiesz, korki w niedzielny wieczór...
- Nie, to brzmi... Zgodziłaś się?
- Powiedziałam, że porozmawiam z tobą, ale Maggie zakłada, że polecimy.

Ben oparł się na fotelu. Napisze wiadomość do asystentki, by przysłała samochód do Teterboro. Już wyjmował telefon, aby to zrobić, kiedy przysłała mu do głowy inna myśl.

David. Mógł porozmawiać z Davidem. Oczywiście nie o szczegółach, ale ogólnie, o kłopotach, jak jedna szycha z drugą. Czy David sugeruje jakąś strategię? Czy powinni prewencyjnie zatrudnić specjalistę od zarządzania kryzysowego? Zacząć szukać kozła ofiarnego? David współpracował też blisko z organami wykonawczymi. Jeśli w Departamencie Sprawiedliwości rzeczywiście szykowały się nowe zwolnienia, może mógłby ich zawczasu uprzedzić?

Odłożył do połowy zjedzonego bajgla, wytarł dłonie w spodnie i wstał.

- Pójdę pospacerować po plaży, wyjaśnić parę spraw.
- Jeśli chwilę poczekaasz, pójdę z tobą.

Zaczął tłumaczyć żonie, że potrzebuje czasu, by pomyśleć, ale zamilkł. Po porażce z narzeczoną Jenny musiał się szczególnie starać. Skinął więc głową i wszedł do domu po buty.

Droga na lotnisko trwała krótko, samochód przyjechał po nich tuż po dziewiątej wieczorem. Jechali na tylnym siedzeniu klimatyzowanego pojazdu, sunąc przez zapadający zmierzch. Słońce wisiało nisko nad horyzontem, pomarańczowe żółtko zanurzające się powoli w chłodnej bezie. Ben powtarzał sobie, co chciał powiedzieć Davidowi, jak delikatnie podejść do tematu. Zamiast: „Mam kryzysową sytuację” powie: „Czy słyszałeś jakieś wieści z Białego Domu, które mogłyby wpłynąć ogólnie na sytuację na rynku?”. Chociaż nie, to zbyt konkretne. Może wystarczy po prostu: „Doszły nas pogłoski o nowych przepisach. Możesz to potwierdzić lub temu zaprzeczyć?”.

Pocił się, mimo iż w samochodzie było dwadzieścia stopni. Siedząca obok Sarah podziwiała zachód słońca z delikatnym uśmiechem na twarzy. Ben uściśnął pokrzepiająco jej dłoń, a ona odwróciła się i posłała mu szeroki uśmiech, mówiący: „mój mężczyzna”. Ben odwzajemnił go. Walnąłby sobie teraz szklaneczkę ginu z tonikiem.

Ben wysiadał właśnie z samochodu na płytę lotniska, kiedy zadzwonił Culpepper. Była dziewiąta piętnaście i ciepła, ciężka mgła wisiała na krańcach pasa startowego.

- Ruszyło – powiedział Culpepper, gdy Ben brał od kierowcy małą torbę podróżną.
- Co?
- Akty oskarżenia. Ptaszek mi powiedział.
- Co? Kiedy?

– Rano. Federalni przyszli całą grupą, wymachując nakazami. Miałem debilną rozmowę z Leroyem, ale w tej kwestii stanę po stronie prezydenta. „Musimy wysłać sygnał Wall Street” czy inne podobne bzdety. Setka tymczasowych pracowników siedzi teraz i ogarnia sprawę.

– Sprawy?

– Co ciasteczkowy potwór robi z ciasteczkami?

Ben drżał. Jego centrum kreatywnego rozumowania było zamknięte.

– Jezu, Barney, po prostu to powiedz.

– Nie przez telefon. Wiedz tylko, że to, co Stalin zrobił Związkowi Radzieckiemu, dzieje się teraz z naszymi danymi. Ale ty nic nie wiesz. Dla ciebie to tylko kolejny niedzielny wieczór.

– Co powinienem...

– Nic. Pojedź do domu, weź xanax i połóż się spać. Rano załóż wygodny garnitur i nawilż nadgarstki. Aresztują cię w biurze. Ciebie, Hoovera, Tabithę i tak dalej. Prawnicy czekają w pogotowiu, aby wpłacić za ciebie kaucję, ale federalni będą dupkami i zatrzymają cię tak długo, jak tylko będą mogli.

– W więzieniu?

– Nie, w supermarkecie. Tak, w więzieniu. Ale nie martw się, znam świetnego specja od wszy.

Culpepper się rozłączył. Ben stał na pasie startowym, nie zważając na ciepły wiatr i zaniepokojone spojrzenie Sarah. Wszystko wyglądało teraz inaczej, pełzająca mgła, cień pod samolotem. W głębi spodziewał się, że zobaczy spuszczone z helikoptera liny i schodzące po nich oddziały szturmowe.

„Stało się – pomyślał. Zdecydowanie najgorszy możliwy scenariusz. – Zostanę aresztowany i oskarżony”.

– Jezu, Ben, wyglądasz jak duch.

Za nimi dwuosobowa ekipa obsługi naziemnej skończyła tankować samolot.

– Nie – zaprzeczył, próbując się pozbierać. – Nie, to... Wszystko w porządku. Tylko złe wieści z rynków. Azja.

Dwaj mężczyźni wyciągnęli wąż i odsunęli go z dala od kadłuba. Mieli na sobie kombinezony khaki i czapki w tym samym kolorze, a twarze przyciemnione przez cień. Jeden z nich odszedł parę kroków od węża paliwowego i wyciągnął paczkę papierosów. Zapalił zapalniczkę, a płomień rozjaśnił jego twarz pomarańczowym blaskiem. Ben przyjrzał mu się zmrużonymi oczami. „Czy to...?”, pomyślał, ale twarz ponownie znikła w cieniu. Jego instynkt „walcz lub uciekaj” był teraz tak silny, że miał wrażenie, iż każdy lęk, jakiego kiedykolwiek doświadczył, otacza go we mgle. Serce waliło mu jak młotem i miał dreszcze, pomimo upału.

Po chwili zorientował się, że Sarah do niego mówi.

– Co? – zapytał.

– Zapytałam, czy powinnam się martwić.

– Nie – odpowiedział. – Nie. To tylko... Wiesz, naprawdę cieszę się na tę podróż, o której rozmawialiśmy, Włochy, Chorwacja. Myślę, że będzie... Sam nie wiem. Może powinniśmy polecieć dzisiaj?

Sarah ujęła go za ramię i uścisnęła je.

– Ale z ciebie wariat – dodała.

Ben skinął głową. Pierwszy mężczyzna skończył zabezpieczać wąż paliwowy i wsiadł do szoferki ciężarówki. Drugi upuścił papierosa, przydeptał go i podszedł do drzwi pasażera.

– Nie chciałbym tym lecieć – oznajmił.

Było coś szczególnego w sposobie, w jaki to wypowiedział. Sugestia. Ben odwrócił się.

– Słucham? – zapytał.

Ale mężczyzna zamykał już drzwi. Potem ciężarówka odjechała. Czy to była groźba? Ostrzeżenie? Czy miał tylko paranoję? Ben patrzył, jak ciężarówka toczy się z powrotem do hangaru, aż jej tylne światła stały się tylko dwoma czerwonymi punkcikami we mgle.

– Kochanie? – zagadnęła Sarah.

Ben głośno wypuścił powietrze, starając się pozbyć tych wszystkich myśli.

– Tak – odparł.

„Zbyt potężni, aby wsadzić ich do pudła”. Tak powiedział Barney. To był tylko wybieg. Rząd próbował ukarać ich dla przykładu, ale biorąc wszystko pod uwagę – swoje tajemnice, konsekwencje dla rynków finansowych – Ben musiał wierzyć, że Barney ma rację. Że całą sprawę da się uciszyć za kilka milionów dolarów. Prawda była taka, że przygotował się na ten dzień, zaplanował go. Byłby idiotą, gdyby tego nie zrobił, a jeśli istniało określenie, które zupełnie do niego nie pasowało, to było nim właśnie słowo „idiotą”. Zabezpieczył się finansowo, ukrył fundusze, oczywiście nie wszystkie, ale kilka milionów. W pogotowiu czekał prawnik procesowy. Tak, to był najgorszy możliwy scenariusz, lecz zbudowali fortecę, żeby sobie z nim poradzić.

Niech przyjdą, pomyślał, poddając się przeznaczeniu, a potem uścisnął rękę Sarah i odzyskując normalny oddech, zaprowadził ją do samolotu.

Rozdział drugi

CUNNINGHAM

Fakt, że Bill Cunningham ma problem z zaakceptowaniem zwierzchnictwa, nigdy nie był tajemnicą. Na swój sposób definiuje to jego markę, zięjącego ogniem malkontenta, a on zdołał przełożyć to na kontrakt z ALC wart dziesięć milionów dolarów rocznie. Jednak problemy psychologiczne człowieka, podobnie jak nos i uszy, przesadnie uwidaczniają się na starość. Jeśli żyjemy wystarczająco długo, wszyscy stajemy się karykaturami samych siebie. I tak w ciągu ostatnich kilku lat, w miarę rozwijania się kariery Billa, wyostrzała się również jego postawa: „Pierdolę ciebie i konia, na którym przyjechałeś”. Dzisiaj przypomina pijącego krew cesarza rzymskiego, który w głębi duszy wierzy, że może być bogiem.

Ostatecznie dlatego właśnie wciąż jest na antenie, po całym tym bzdurnym, korporacyjnym biadoleniu na temat jego domniemanego „hakowania telefonów”. Chociaż jeśli ma być szczery (a taki nie jest), musiałby przyznać, że duży wpływ miała na to śmierć Davida. Pełna żalu reakcja na wydarzenia i próżnia we władzy w kryzysowym momencie, którą Bill potrafił wykorzystać poprzez działanie, które sam nazywa „przywództwem”, a które faktycznie było formą moralnego tyranizowania.

– Masz zamiar... – oznajmił. – Wyjaśnijmy to sobie, chcesz mnie zapuszkować w momencie totalnej wojny?

– Bill, nie rób tego – odparł Don Liebling.

– Nie, chcę... Trzeba to powiedzieć oficjalnie. Kiedy pozwę wasze tyłki na kwotę miliarda dolarów, mogę zeznawać w sądzie, jednocześnie spuszczać się do kawioru.

Don wpatruje się w niego.

– Jezu. David nie żyje, jego żona nie żyje, jego... – Milknie na chwilę, przytłoczony ogromem sytuacji. – Jego cholerna córka. A ty... Nie potrafisz nawet powiedzieć tego na głos.

– Właśnie – przytaknął Bill. – Ty nie możesz, ale ja tak. To dokładnie robię. Mówię głośno o różnych sprawach. Zadaję pytania, których nikt nie ma ochoty zadać, i miliony ludzi oglądają ten kanał tylko z tego powodu. Ludzie, którzy pobiegą do CNN, gdy włączą nasz reportaż o śmierci naszego własnego cholernego szefa i zobaczą jakiegoś rezerwowego robota z doczepianymi włosami z dyskontu, czytającego swoje opinie z telepromptera. David, jego żona i córka, którą, kurwa, trzymałem do chrztu, leżą gdzieś na dnie Atlantyku wraz z Benem Kiplingiem, który podobno miał zostać postawiony w stan oskarżenia, i wszyscy używają słowa „wypadek”, jakby nikt na świecie nie miał powodu, żeby życzyć tym ludziom śmierci. Tylko dlaczego gość jeździł kuloodporną limuzyną, a okna jego biura mogły wytrzymać strzał z bazuki?

Don spogląda na Frankena, prawnika Billa, wiedząc już, że w walce zdrowego rozsądku z marketingowym geniuszem marketing wygra. Franken się uśmiecha.

„Mam cię”.

I tak właśnie Bill Cunningham wrócił na antenę w poniedziałkowy poranek, trzy godziny po ogłoszeniu informacji o katastrofie.

– Chcę wyrazić się jasno – oznajmił. – Ta organizacja, ta planeta, straciła wielkiego człowieka. Przyjaciela i przywódcę. Nie siedziałbym przed wami teraz... – Zamilkł i uspokoił się. – Nadal przedstawiałbym prognozę pogody w Oklahomie, gdyby David Bateman nie dostrzegł potencjału tam, gdzie inni nie potrafili go zobaczyć. Razem zbudowaliśmy tę stację. Byłem jego drużbą, gdy żenił się z Maggie, jestem – byłem – ojcem chrzestnym jego córki, Rachel. I dlatego czuję, że mam obowiązek dopilnować, by to morderstwo zostało rozwikłane, a zabójca lub zabójcy pociągnięci do odpowiedzialności. – Nachylił się i spojrzał prosto w obiektyw. – Tak, powiedziałem: morderstwo. Cóż innego mogło się zdarzyć? Dwaj z najpotężniejszych ludzi w mieście potężnych ludzi, których samolot znika nad ciemnym Atlantykiem. Dzień wcześniej przeszedł przegląd techniczny, prowadzili go pierwszorzędni piloci, którzy nie zgłosili kontroli lotów żadnych problemów technicznych, a jednak, z jakiegoś powodu, osiemnaście minut po starcie samolot znika z ekranu radaru. A teraz spójrzcie na moją twarz... Nikt na świecie mnie nie przekona, że nie miało tu miejsca jakieś przestępstwo.

Notowania tego ranka były najwyższe w historii sieci i nadal rosły. Gdy odnaleziono pierwsze szczątki wraku, ocean wyrzucił na brzeg pierwsze ciała – Emmę Lightner odnalazł we wtorek na Fisher Island spacerowicz z psem, Sarah Kipling wyłowili w środowy poranek poławiacze homarów – Bill przechodził samego siebie, jak miotacz rezerwowy pod koniec ostatniego, siódmego meczu całej rundy, którego wyniku nie da się przewidzieć.

Tego dnia z ponurego faktu odkrycia ludzkich szczątków Bill wysnuł dalszą intrygę. Gdzie jest Ben Kipling? Gdzie jest David Bateman? Czyż nie wydawało się to wygodne, że spośród jedenastu osób, pasażerów i załogi, nie odnaleziono siedmiu ciał, w tym dwóch osób, które najprawdopodobniej były celami ataku na razie niezidentyfikowanych sił? Jeśli, zgodnie z doniesieniami, Ben Kipling siedział ze swoją żoną, to dlaczego jej ciało odnaleziono, a jego nie?

Poza tym gdzie jest ten gość, Scott Burroughs? Dlaczego nadal uparcie ukrywa przed światem swoją twarz? Czy to możliwe, by w jakiś sposób był w to zamieszany?

– Najwyraźniej wie więcej, niż mówi – oznajmił Bill widzom przed telewizorami.

Władze biorące udział w śledztwie przekazywały informacje ALC, od kiedy pierwsi ludzie pojawili się na miejscu zdarzenia. Dzięki temu dziennikarze byli w stanie rozpracować rozmieszczenie pasażerów w samolocie, zanim zrobił to ktokolwiek inny. Jako pierwsi mogli również podać do publicznej wiadomości informację o grożącym Kiplingowi oskarżeniu.

To Bill oznajmił, że chłopiec, JJ, spał, gdy rodzina przyjechała na lotnisko, i to ojciec

zaniósł go do samolotu. Osobiste powiązania Billa z historią, niezliczone godziny, które spędził za biurkiem prezentera, często zmuszony, by zrobić przerwę i uspokoić się, sprawiały, że widzom trudno było przełączyć stację. Czy całkowicie się rozklei? Co powie? Godzina po godzinie Bill robił z siebie męczennika, jak Jimmy Stewart w salach senackich, stale w gotowości, nie chcąc ulec ani się poddać.

Ale z upływem dni nawet przecieki z nieformalnych źródeł zaczęły wydawać się fałszywe. Czyżby rzeczywiście nie było żadnych nowych tropów dotyczących położenia wraku? Teraz wszystkie inne ekipy знаły historię Kiplinga – w niedzielę „Times” wydrukował artykuł na sześć tysięcy słów, wyjaśniający w najdrobniejszych szczegółach, jak jego firma prała miliardy z Korei Północnej, Iranu i Libii – i Bill stracił zainteresowanie wykopywaniem brudów w tym temacie. Ograniczył się do przedstawiania opinii, przypominania starych materiałów, wskazując wydarzenia na osi czasu i krzycząc na mapy.

I wtedy wpadł na pomysł.

Bill spotyka się z Namorem w spelunie na Orchard Street, w ciemnej dziurze bez szyldu. Wybrał ją, ponieważ uznał, że nikt z grunge’owej, liberalnej elity nuworyszy nie zna jego twarzy. Żaden z brodatych absolwentów college’u Sarah Lawrence pijących tradycyjne piwa i przekonanych, że każdy konserwatywny ekspert to kolejny kolega taty.

Przygotowując się do spotkania, Bill zamienia swoje charakterystyczne szelki na koszulkę z krótkim rękawem i krótką skórzaną kurtkę. Przypomina byłego prezydenta, który stara się wyglądać modnie, Billa Clintona na koncercie U2.

Charakterystyczne elementy baru Swim! to przyciemnione oświetlenie i błyszczące akwaria, nadające mu wygląd jak z filmu fantastycznonaukowego z połowy lat dziewięćdziesiątych. Bill zamawia budweisera (wbrew ironii), znajduje miejsce za wielkim słonowodnym akwariem i wypatruje swojego człowieka. Siedząc za zbiornikiem z wodą, wygląda, jakby był pod wodą, a obserwowana przez szybę sala przypomina gabinet śmiechu w wesołym miasteczku. Tak mógłby wyglądać hipsterski bar, gdyby poziom wody w oceanach podniósł się i pochłonął Ziemię. Jest tuż po dziewiątej wieczorem i lokal do połowy wypełniają grupki kumpli i hipsterzy na pierwszej randce. Bill sący króla piw i przygląda się lokalnym ślicznotkom – blondynka, niezłe cycki, lekko pucułowata. Jakaś wschodnioazjatycka laska z kółkiem w nosie. Filipinka? Myśli o ostatniej dziewczynie, którą przeleciał, dwudziestodwuletniej stażystce z Uniwersytetu Jerzego Waszyngtona. Przełożył ją przez biurko, a potem wykaszał swój orgazm w jej brązowe włosy po sześciu cudownych minutach mlócenia pod hasłem „Uważaj na drzwi!”.

Jego człowiek wchodzi ubrany w płaszcz przeciwdeszczowy, z niewypalonym papierosem zatkniętym za uchem. Od niechcenia rozgląda się po sali, dostrzega komicznie powiększoną w akwariem głowę Billa i podchodzi.

– Zakładam, że chciałeś wyjść na przebiegłego – mówi, wślizgując się na siedzenie przy stoliku z kanapami – wybierając tę dziurę.

– Moja główna publiczność to pięćdziesięcioletni biali mężczyźni, którzy potrzebują dwóch czubatych łyżek błonnika, by co rano zrobić w miarę przyzwoitą kupę. Myślę, że tutaj nikt nie będzie nas podejrzewał.

– Tyle że przyjechałeś limuzyną, która w tej chwili podejrzenie czai się na krawężniku i przyciąga uwagę.

– Cholera – rzuca Bill. Wyciąga telefon i każe kierowcy jeździć w kółko.

Bill poznał Namora na wycieczce do Niemiec na koszt podatnika podczas pierwszej kadencji drugiego Busha. Miejskowa organizacja pozarządowa przedstawiła mu Namora jako człowieka, „którego warto znać”, i zaraz potem dzieciak zaczął dostarczać mu czyste informacyjne złoto. Dlatego Bill pielęgnował go, stawiał mu posiłki, kupował bilety do teatru i co tylko Namor sobie zażyczył i był gotowy, gdy ten chciał porozmawiać, co zwykle miało miejsce po pierwszej trzydziści w nocy.

– Czego się dowiedziałeś? – pyta Bill, kiedy jego telefon znalazł się z powrotem w kieszeni.

Namor rozgląda się, oceniając głośność i odległość.

– Cywile to pestka – odpowiada. – Dużo wiemy już o ojcu stewardesy, matce pilota, ciotce i wujku małego Batemana.

– Eleanor i, jak mu tam, Doug?

– Tak.

– Musiało im się w głowie zakręcić – stwierdza Bill. – Wygrali cholerną loterię sierot. Dzieciak odziedziczy około trzystu milionów.

– Ale oprócz tego – dodaje Namor – jest sierotą.

– Wielkie mi coś. Sam chciałbym być sierotą. Matka wychowywała mnie w pensjonacie i używała wybielacza jako metody antykoncepcyjnej.

– Cóż, wszystkie trzy telefony są na podsłuchu, jej, jego i domowy, a do tego widzimy wszystkie ich wiadomości elektroniczne, zanim oni sami je zobaczą.

– Dokąd idą te informacje?

– Założyłem fikcyjne konto. Kiedy dzisiaj wieczorem wyjdziemy stąd, dostaniesz materiał w zakodowanej wiadomości. Zhakowałem również jej pocztę głosową, więc możesz posłuchać jej późno w nocy, gdy będziesz bzykał poduszkę.

– Wierz mi, mam tyle cipek, że po powrocie do domu jedynym miejscem, w jakie wkładam fiuta, jest lód.

– Przypomnij mi, żebym nie zamawiał u ciebie margarity.

Bill kończy piwo i macha na kelnera, żeby przyniósł mu kolejne.

– A co z Królem Neptunem? – pyta. – Tym długodystansowym pływakiem.

Namor sączy piwo.

– Nic.

– Jak to nic? Jest dwa tysiące piętnasty.

– Cóż mogę powiedzieć? To relik. Nie ma komórki, nie pisze esemesów, wszystkie rachunki płaci pocztą.

– Za chwilę mi powiesz, że jest trockistą.

– Nikt już nie jest trockistą, nawet Trocki.

– Pewnie dlatego, że nie żyje od pięćdziesięciu lat.

Kelnerka przynosi Billowi piwo. Namor daje jej znać, że też chce jedno.

– Powiedz mi przynajmniej – prosi Bill – gdzie jest ten harcerzyk, na jakiej planecie.

Namor się zastanawia.

– Coś się tak nakręcił na tego gościa? – pyta.

– O czym ty mówisz?

– Mówię tylko, że wszyscy inni uważają tego pływaka za bohatera.

Bill wykrzywia twarz, jakby to słowo przyprawiło go o mdłości.

– To tak, jakby powiedzieć, że wszystko, co złe w kraju, decyduje o jego wielkości.

– Tak, ale...

– Jakiś niedoszły pijaczyna, który kumpluje się z ludźmi o faktycznych osiągnięciach, autostopowicz, który załapał się na ekspres do sławy czymś kosztem.

– Nie wiem, co to...

– Mówię, że to oszust. Nic nie znaczy. Mięśniami utorował sobie drogę do sławy, zgrywa pokornego rycerza, podczas gdy faktyczni bohaterowie, wielcy ludzie, leżą martwi na dnie głębokiego błękitnego gówna. A jeśli w dwa tysiące piętnastym coś takiego nazywamy bohaterstwem, to, kolego, mamy przesrane.

Namor dłubie w zębach. To nie jego sprawa, lecz w grę wchodzi ważna kwestia, wiele przepisów prawa ma zostać złamanych, więc pewnie warto się upewnić.

– Uratował dzieciaka – mówi.

– I co z tego? Szkolą psy, by nosiły beczki z whisky i znajdowały ciepłe ciała pod lawiną, ale nikt nie wychowuje dzieci na malamuty.

Namor się zastanawia.

– Cóż, nie pojechał do domu.

Bill wpatruje się w niego, a Namor uśmiecha się, nie pokazując zębów.

– Przesiewam trochę paplaniny. Może się pojawi.

– Ale chcesz powiedzieć, że nie wiesz?

– Tak. Pierwszy raz nie wiem.

Bill rusza stopą, straciwszy nagle zainteresowanie drugim piwem.

– O czym my tu właściwie mówimy? O pijanym degeneracie? O uśpionym tajnym agencie? O jakimś Romeo?

– Albo może jest tylko kolesiem, który wsiadł do nieodpowiedniego samolotu i uratował dzieciaka.

Bill się krzywi.

– To historia o bohaterze. Każdy ma swoją cholerną historię bohatera. To emocjonalne bzdety. Nie powiesz mi, że ten pomarszczony, zapomniany malarzyna dostaje miejsce w samolocie tylko dlatego, że jest dobrym człowiekiem. Trzy tygodnie temu nie mogłem nawet dostać biletu na samolot. Musiałem płynąć cholernym promem.

– Ty zdecydowanie nie jesteś dobrym człowiekiem.

– Pierdol się. Jestem wielkim Amerykaninem. Czyż to nie ważniejsze niż... Co to właściwie jest? Bycie miłym?

Kelnerka przynosi Namorowi drugie piwo. Mężczyzna pociąga łyk.

– Chodzi o to – mówi – że nikt nie zostaje w ukryciu na zawsze. Wcześniej czy później ten koleś ruszy się do delikatesów po bajgla i ktoś dostanie jego zdjęcie zrobione komórką albo zadzwoni do kogoś, kogo już podsłuchujemy.

– Na przykład Franklina z NTSB.

– Powiedziałem ci, że z tym może być problem.

– Pierdol się. Powiedziałeś: kogokolwiek. Powiedziałeś, żebym wybrał nazwisko z książki telefonicznej.

– Posłuchaj, mogę dostać się do jego linii prywatnej, ale nie do telefonu satelitarnego.

– A co z mailem?

– Za jakiś czas może. Ale musimy być ostrożni. Monitorują wszystko od uchwalenia Patriot Act³.

– Którą nazwałeś amatorką. Pokaż wreszcie, że masz jaja.

Namor wzdycha. Obserwuje blondynkę, która esemesuje z kimś, podczas gdy jej towarzysz wieczoru jest w kiblu. Jak tylko zdobędzie nazwisko dziewczyny, będzie mógł wyłowić jej nagie selfie w mniej niż piętnaście minut.

– O ile pamiętam, powiedziałeś, że na chwilę musimy wyluzować – przypomina. – Nie to mówiłeś przez telefon? Spal wszystko, czekaj na mój sygnał.

Bill zbywa go gestem.

– To było przed tym, jak ISIS zabiło mojego przyjaciela.

– Albo ktoś inny.

Bill wstaje i zapina kurtkę.

– Posłuchaj – mówi. – To proste równanie. Tajemnice plus technologia równa się zero tajemnic. Tu potrzeba zespołu ekspertów, kogoś na wysokości sześciu tysięcy metrów, kto ma dostęp do wszystkich informacji: rządowych, osobistych, pieprzonych pogodowych ekspertyz sądowych, i on, ten wywyższony bóg, używa informacji, żeby narysować prawdziwy obraz, ujawnić, kto kłamie, a kto mówi prawdę.

– I tym kimś jesteś ty.

– Właśnie, kurwa, tak – oznajmia Bill i wychodzi z baru do swojej limuzyny.

GABINET ŚMIECHU

Tego wieczoru Scott siedzi sam i ogląda siebie w telewizji. To nie tyle akt narcyzmu, co symptom skołowania. Ogląda na ekranie własną twarz, z odwróconymi rysami, własne zdjęcia z dzieciństwa – skąd oni je wzięli? – wykopane i pokazane na forum publicznym (pomiędzy reklamami pieluch dla dorosłych i minivanów), słucha historii własnego życia, jak podczas zabawy w głuchy telefon. Historii, która przypomina jego własną, ale nią nie jest. Urodził się w nie tym szpitalu, chodził do innej szkoły podstawowej, studiował malarstwo w Cleveland, a nie w Chicago. Ma wrażenie, jakby spojrzął w dół i zobaczył, że na ulicy podąża za nim cień innej osoby. W ostatnich dniach wystarczająco trudno mu zaakceptować własną tożsamość, bez obecności sobowtóra. Siebie samego w trzeciej osobie, obiekt pogłosek i spekulacji. „Co on robił w tym samolocie?” W zeszłym tygodniu był zwykłym anonimowym człowiekiem. Dzisiaj jest bohaterem opowieści detektywistycznej. *Ostatni człowiek, który widział ofiary żywe* albo *Wybawca dziecka*. Każdego dnia odgrywa swoją rolę, scena po scenie, siedząc na kanapach i krzesłach z twardym oparciem, odpowiadając na pytania FBI i NTSB, w kółko powtarzając szczegóły, to, co pamięta, i to, czego nie pamięta, a następnie czytając nagłówki w gazetach i słuchając bezosobowych głosów z radia.

Bohater. Nazywają go bohaterem. To słowo, z którym na razie nie potrafi sobie poradzić, oddalwszy się tak bardzo od poczucia siebie, stworzywszy historię, która pozwala mu funkcjonować: splukany mężczyzna o skromnych ambicjach, eksalkoholik pijący do utraty przytomności, żyjący z minuty na minutę, z dnia na dzień. I tak chodzi ze spuszczoną głową i unika kamer.

Czasami ktoś rozpoznaje go w metrze albo na ulicy. Dla tych ludzi jest kimś więcej niż celebrytą. „Hej, to ty ocaliłeś tego dzieciaka. Stary, słyszałem, że walczyłeś z rekinem. Rzeczywiście walczyłeś?” Nie traktują go jak członka rodziny królewskiej, gdyż jego sława wynika z niecodziennego zdarzenia, a raczej jak faceta z sąsiedztwa, któremu się poszczęściło. Ostatecznie cóż takiego zrobił poza tym, że płynął? Jest jednym z nich, nic nieznaczącym człowiekiem, który zrobił coś dobrego. Dlatego ludzie podchodzą do niego z uśmiechem. Chcą uścisnąć mu dłoń, zrobić sobie z nim zdjęcie. Przeżył katastrofę lotniczą i uratował dziecko. Dotknięcie go niesie ze sobą magiczną moc, taką samą pozytywną energię, jak szczęśliwy grosz lub królicza łapka. Dokonując czegoś niemożliwego – jak Jack – udowodnił, że niemożliwe jest możliwe. Któż nie chciałby otrzeć się o coś takiego?

Scott uśmiecha się i stara zachowywać przyjaźnie. Te rozmowy są inne od tego, jak wyobraża sobie wywiady dla prasy. To kontakt na ludzkim poziomie. I chociaż czuje się niezręcznie, uważa, żeby nie wyjść na niegrzecznego. Rozumie, że ludzie chcą, aby był wyjątkowy. To ważne, aby był wyjątkowy, ponieważ potrzebujemy w życiu wyjątkowych

rzeczy. Chcemy wierzyć, że magia jest nadal możliwa. Dlatego Scott ściska dłonie i przyjmuje uściski przypadkowych kobiet. Prosi, by nie robić mu zdjęć, i większość szanuje jego prośbę.

– Niech to będzie nasza prywatna sprawa – wyjaśnia. – Spotkanie znaczy więcej, gdy jesteśmy tylko ty i ja.

Ludziom podoba się pomysł, że w dobie środków masowego przekazu mogą doświadczyć czegoś niepowtarzalnego. Ale nie wszystkim. Niektórzy beczelnie robią mu zdjęcia, jakby mieli do tego prawo. Inni denerwują się, gdy Scott odmawia pozowania z nimi. Starsza kobieta przed parkiem Washington Square nazywa go dupkiem, a on kiwa głową i odpowiada, że ma rację. Jest dupkiem i życzy jej miłego dnia.

– Pierdol się – rzuca kobieta.

Raz ogłoszony przez bliźnich bohaterem tracisz prawo do prywatności. Stajesz się przedmiotem pozbawionym jakiegoś niewymiernego człowieczeństwa, jakbyś wygrał kosmiczną loterię i któregoś dnia po przebudzeniu zorientował się, że jesteś drobnym bóstwem. Patron powodzenia. To, czego chciałeś dla siebie samego, przestaje mieć znaczenie. Liczy się tylko rola, jaką odegrałeś w życiu innych. Jesteś rzadkim okazem motyla, trzymanym mniej więcej pod kątem prostym do słońca.

Trzeciego dnia Scott przestaje wychodzić na zewnątrz.

Mieszka w gościnnym apartamencie Layli na drugim piętrze. To przestrzeń w kolorze czystej bieli: białe ściany, biała podłoga, biały sufit, białe meble. Czuje się tak, jakby umarł i przeniósł się w stan niebiańskiego zawieszenia. Czas, niegdyś grzęznący w zaciętej rutynie, teraz stał się zmienny. Budzi się w obcym łóżku, robi kawę z nieznanomych ziaren, wyciąga miękkie ręczniki kąpielowe z samozamykających się szafek i czuje na skórze ich hotelową teksturę. W salonie stoi barek wypełniony szkockimi, słodowymi whisky i czystą rosyjską odwagą. Szafka z połowy wieku, wykonana z drewna wiśniowego, z wyszukaną, składaną pokrywą. Pierwszej nocy Scott przyglądał się jej długo, jak człowiek w pewnym stanie umysłu spogląda na szafkę z bronią. Tak wiele sposobów na odebranie sobie życia. Potem zakrył bar kocem i postawił przed nim krzesło, żeby nigdy więcej na niego nie spojrzeć.

Gdzieś tam żona Kiplinga i piękna stewardesa leżą na plecach, na stalowym stole w kostnicy. Sarah, tak miała na imię, a modelka w krótkiej spódnicy to Emma Lightner. Powtarza imiona kilka razy dziennie jak mistrz zen – koan. David Bateman, Maggie Bateman, Rachel Bateman...

Myślał, że pogodził się z całą sprawą, jej znaczeniem, ale w wiadomości o odnalezieniu ciał było coś, co wytrąciło go z równowagi. Zginęli. Wszyscy. On wie, że nie żyją. Był tam, w oceanie. Zanurkował pod falą. Wszyscy mogli zginąć, ale usłyszenie wiadomości, zobaczenie reportażu – „Pierwsze ciała odnalezione po katastrofie samolotu Batemana...” – urealniły całe wydarzenie, tak jak nogi uginają się pod tobą, dopiero gdy kryzys zostaje zażegnany.

Matka chłopca nadal gdzieś tam leży, ojciec i siostra. Podobnie jak piloci, Charlie

Busch i James Melody. Zdrajca Kipling i ochroniarz Batemana, pogrzebani głęboko pod falami, kołyszają się w permanentnej ciemności.

Wie, że powinien wrócić do domu, na wyspę, ale nie może. Z jakiegoś powodu nie jest w stanie stawić czoła życiu, jakie kiedyś wiódł („kiedyś” oznacza w tym przypadku zaledwie kilka dni temu, jakby czas linearny miał jakiegokolwiek znaczenie dla człowieka, który przeszedł to, co przeszedł; istnieje przed i po), nie jest w stanie podejść do małej białej furtki przy cichej piaszczystej drodze, przejść nad starymi wsuwanymi butami zostawionymi w roztargnieniu przy drzwiach, tak że palec tylnego buta jest nadal oparty o piętę przedniego, gdzie Scott wyjął z niego stopę. Nie czuje się na siłach, żeby wrócić do skwaśniałego mleka w lodówce i smutnych oczu psa. To jego dom, mężczyzny w telewizji, który nosi koszule Scotta i mruży oczy do obiektywu na starych zdjęciach. „Czy faktycznie mam tak krzywe zęby?” Nie potrafi stawić czoła atakowi kamer i ciąglemu gradowi pytań. Rozmowa z ludźmi w metrze to jedno, ale zwracanie się do mas – tego nie umie udźwignąć. Stwierdzenie staje się oświadczeniem, gdy wypowiada się je w obecności tłumu. Przypadkowe obserwacje trafiają do zbiorów publicznych i będą mogły być odgrywane przez całą wieczność, zmodyfikowane za pomocą programów takich jak Auto-Tune czy Memfy. Z jakiegoś powodu nie jest w stanie wrócić po swoich śladach, wycofać się do miejsca, gdzie mieszkał „przed”. Dlatego siedzi na pożyczonej kanapie teraźniejszości, patrzy na szczyty drzew i czerwono-brunatne budynki na Bank Street.

Gdzie w tej chwili jest chłopiec? W wiejskim domu na farmie? Siedzi przy zastawionym do śniadania stole, otoczony szpiczastymi zielonymi szypułkami truskawek i zastygającymi plamami owsianki? Każdej nocy przed snem Scott ma tę samą myśl. Będzie śnił o chłopcu zagubionym w nieskończonym czarnym oceanie, o jego krzykach podlegających efektowi Dopplera, słyszalnych w jednej chwili wszędzie i nigdzie, podczas gdy Scott chłapie się w wodzie, niemal tonąc, szukając, ale nigdy nie znajdując. Sen jednak nie nadchodzi. Zamiast tego pojawia się jedynie głęboka senna próżnia. Teraz, sącząc zimną kawę, zdaje sobie sprawę, że mogą to być sny chłopca. Projekcja jego lęków unosząca się na prądzie strumieniowym jak dźwięk gwizdka dla psów, który słyszy tylko Scott.

Czy więc między nimi jest prawdziwa czy wymyślona, czy to efekt poczucia winy, pomysł, który złapał jak wirusa? Ocalenie dziecka, płynięcie z nim przyklejonym do pleców przez osiem wyczerpujących godzin, zanieśenie go na własnych rękach do szpitala – czy to wszystko stworzyło nowe ścieżki w mózgu Scotta? Czy ocalone życie nie wystarczy? Już jest w domu, dzieciak, którego świat zna jako JJ-a, ale którego Scott będzie zawsze nazywał w myślach po prostu „chłopcem”. Bezpieczny i otoczony opieką przez nową rodzinę, przez ciotkę i jej – cóż, bądźmy szczerzy – podejrzanego męża. Natychmiastowy stukrotny milioner, któremu nigdy niczego nie zabraknie, choć nie skończył nawet pięciu lat. Scott ocalił mu życie, dał przyszłość i szansę na szczęście. Czy to nie wystarczy?

Dzwoni do informacji i prosi o numer telefonu ciotki chłopca w Westchester. Jest dziewiąta wieczorem. Przez dwa dni ciurkiem siedział sam w mieszkaniu. Operator łączy

go, a Scott, słuchając sygnału połączenia, zastanawia się, co właściwie robi.

Po szóstym sygnale odbiera Eleanor. Scott wyobraża sobie jej twarz, różowe policzki i smutne oczy.

– Halo?

Jej głos brzmi ostrożnie, jakby z ciemności dochodziły jedynie złe wieści.

– Cześć, tu Scott.

Ale ona już mówi.

– Wydaliśmy oświadczenie. Proszę, czy może pan uszanować naszą prywatność?

– Nie, tu Scott. Malarz. Ze szpitala.

Głos jej łagodnieje.

– Och, przepraszam. Oni po prostu... Nie chcą zostawić nas w spokoju. A to tylko chłopiec. A jego mama i tata...

– Wiem. Jak myślisz, dlaczego ja się ukrywam?

Zapada cisza, podczas której kobieta przełącza się z rozmowy, na którą się szykowała, na rzeczywistą, ludzką chwilę kontaktu z wybawcą jej siostrzeńca.

– Szkoda, że my nie możemy – wyznaje. – Wystarczająco trudno przechodzić przez to samemu, bez...

– Na pewno. Czy on...

Pauza. Scott niemal słyszy, jak kobieta myśli. Na ile może mu zaufać? Ile może powiedzieć?

– JJ? No wiesz, nie bardzo chce mówić. Zabraliśmy go do psychiatry, to znaczy, ja go zabrałam, a on powiedział, by dać mu czas. Więc nie naciskam.

– To brzmi... Nie potrafię sobie wyobrazić, jak to jest...

– Nie płacze. Nie żeby... Ma tylko cztery lata, więc jak wiele może naprawdę rozumieć? Mimo wszystko myślałam, że będzie płakał.

Scott się zastanawia. Co ma powiedzieć?

– Myślę, że po prostu przetrawia to. Coś tak... traumatycznego. Dzieciom wszystko, przez co przechodzą, wydaje się normalne, prawda? To znaczy, w ich głowach. Uczą się, jak wygląda świat, więc chłopiec tak teraz myśli. Że samoloty spadają, ludzie giną i człowiek ląduje w oceanie. Może ma wątpliwości, czy to wszystko ma sens, skoro tak wygląda życie na ziemi.

– Wiem – przytakuje Eleanor. I trwają przez minutę w milczeniu, która nie wydaje się ani dziwna, ani niezręczna. Słychać tylko odgłosy dwóch ludzi, którzy myślą.

– Doug też niewiele mówi. Chyba że o pieniądzach. Przyłapałam go wczoraj, jak ściągał z internetu arkusz kalkulacyjny. Ale... emocjonalnie? Myślę, że cała ta sprawa go

przeraża.

– Nadal?

– Tak, on jest... wiesz, nie radzi sobie w kontaktach z ludźmi. Też miał ciężkie dzieciństwo.

– Dwadzieścia pięć lat temu?

Słysząc przez telefon, że Eleanor się uśmiecha.

– Bądź miły.

Scottowi podoba się dźwięk jej głosu, jego tempo. Jest w nim coś intymnego, jakby znali się już bardzo, bardzo długo.

– Ja też nie jestem gadułą – informuje ją Scott. – Biorąc pod uwagę moje osiągnięcia z kobietami.

– Tej przynęty nie połknę – odpowiada Eleanor.

Przez chwilę rozmawiają o rozkładzie dnia. Ona wstaje z chłopcem, gdy Doug nadal śpi. Najwyraźniej późno się kładzie. JJ lubi jeść na śniadanie tosty i potrafi za jednym zamachem zjeść cały pojemnik borówek amerykańskich. Do czasu drzemki robią prace plastyczne, a po południu chłopiec lubi szukać robaków na podwórku. Kiedy przyjeżdżają śmieciarze, oboje siadają na ganku i machają do nich.

– Właściwie normalny dzieciak – mówi Eleanor.

– Myślisz, że naprawdę rozumie, co się stało?

Zapada długa cisza, po czym ona pyta:

– A ty?

Pogrzeby zaczynają się w środę. Pierwsza jest Sarah Kipling, jej szczątki zostają pochowane na cmentarzu Mount Zion w Queens, położonym w cieniu majaczących kominów, jakby tuż obok stała fabryka produkująca ciała. Policja trzyma wozy transmisyjne na ogrodzonym kordonem terenie po południowej stronie muru. Dzień jest pochmurny, powietrze parne, tropikalne. Po południu przewidywane są burze z piorunami i w atmosferze można już wyczuć niespokojne naelektryzowanie. Sznur czarnych samochodów ciągnie się aż do drogi szybkiego ruchu Brooklyn–Queens, rodzina, przyjaciele, politycy. Zanim zakończą się wszystkie uroczystości, odbędzie się jeszcze osiem pogrzebów, zakładając, że wszystkie ciała zostaną odnalezione.

Nad głowami krążą helikoptery. Scott przyjeżdża żółtą taksówką. Ma na sobie czarny garnitur, który znalazł w szafie Layli. Jest o rozmiar za duży i ma za długie rękawy. W szufladzie komody natknął się, dla odmiany, na za małą białą koszulę. Z powodu jej zbyt ciasnego kołnierzyka pod krawatem Scotta powstała widoczna przerwa. Źle się ogolił, zacinając w dwóch miejscach. Widok własnej krwi w lustrze łazienkowym i ostry, cięty ból przeraziły go na tyle, by przywrócić do pewnego rodzaju rzeczywistości.

Nadal czuje smak słonej wody z tyłu gardła, jeśli ma być szczery, nawet we śnie.

Dlaczego on żyje, a oni nie?

Prosi kierowcę, aby zostawił samochód z włączonym silnikiem i rusza błotnistą ścieżką. Przez moment zastanawia się, czy chłopiec też będzie, zapomniał o to zapytać, ale potem myśli: „Kto przyprowadziłby czterolatka na pogrzeb obcej osoby?”.

Prawda jest taka, że sam nie wie, po co tu przyszedł. Nie jest ani przyjacielem, ani członkiem rodziny.

Idzie i czuje na sobie wzrok obecnych. Dwadzieścia kilka ubranych na czarno osób otacza grób. Scott widzi, że go dostrzegli. Jest jak piorun, który uderzył dwa razy w to samo miejsce. Anomalia. Z szacunku spuszcza wzrok.

Widzi kilku mężczyzn w garniturach stojących w stosownej odległości. Jednym z nich jest Gus Franklin. Scott rozpoznaje również dwóch innych, agenta O’Briena z FBI i jakiegoś tam agenta z... Jak to było? Z Departamentu Skarbu? Kiwiają głowami w jego stronę.

Rabin przemawia, a Scott obserwuje przepływające po niebie ciemne chmury. Są na planecie zwanej Ziemią, w sercu galaktyki Drogi Mlecznej. Wirują, ciągle wirują. Wszystko we wszechświecie zdaje się poruszać po kolistym torze, ciała niebieskie krążą po orbicie. Siły odpychania i przyciągania, które przyćmiewają działania człowieka czy zwierzęcia. Nawet w kontekście planetarnym jesteśmy mali – jeden człowiek pływający w całym oceanie, punkcik na falach. Uważamy, że nasza zdolność rozumowania czyni nas większymi, niż jesteśmy, nasza umiejętność pojęcia nieskończonego ogromu ciał niebieskich. Ale w rzeczywistości to poczucie skali tylko nas kurczy.

Zrywa się wiatr. Scott stara się nie myśleć o innych ciałach nadal pogrzebanych

w samolocie, o kapitanie Melodym, Benie Kiplingu, Maggie Bateman i jej córce Rachel. Wyobraża ich sobie leżących tam, jak zagubiony list w pozbawionej światła głębinie, kołyszących się cicho do niesłyszalnej muzyki, podczas gdy kraby zjadają ich nosy i palce u stóp.

Kiedy pogrzeb się kończy, do Scotta podchodzi mężczyzna. Ma wojskową postawę i przystojną, chropawą twarz, jakby przeżył wiele lat w gorącym słońcu Arizony.

– Scott? Jestem Michael Lightner. Moja córka była...

– Wiem – odpowiada łagodnie Scott. – Pamiętam ją.

Stoją pośród nagrobków. W oddali znajduje się mauzoleum nakryte kopułą. Na jej szczycie widnieje figura mężczyzny z uniesioną nogą i berłem w dłoni, zdająca się mówić, że nawet teraz podróż nie dobiegła jeszcze końca. Wydaje się mały w zestawieniu z widokiem miasta na tle nieba, błyszczącego w późnopołudniowym słońcu. Gdyby spojrzeć nieostro, można by mieć wrażenie, że wszystkie budynki to tylko różnego rodzaju nagrobki, strzeliste gmachy pamięci i żalu.

– Czytałem gdzieś, że jesteś malarzem – mówi Michael. Wyjmuje z kieszeni paczkę papierosów i wystukuje jednego.

– Cóż, maluję – odpowiada Scott. – Jeśli to czyni mnie malarzem, to chyba nim jestem.

– Ja lataam samolotami – wyjaśnia Michael. – Zawsze myślałem, że to czyni mnie pilotem.

Przez chwilę pali.

– Chciałbym panu podziękować za to, co pan zrobił – mówi.

– Że przeżyłem? – pyta Scott.

– Nie, za chłopca. Wodowałem kiedyś awaryjnie samolot w Cieśninie Beringa, znalazłem się na tratwie ratunkowej i to było... Miałem zapasy.

– Pamięta pan Jacka LaLanne'a? – zapytał Scott. – Gdy byłem dzieckiem, pojechałem do San Francisco i on płynął przez zatokę, ciągnąc za sobą łódź. Uważałem go za Supermana i dlatego zapisałem się do drużyny pływackiej.

Michael zastanawia się nad tym, co usłyszał. Jest typem człowieka, jakim chce się być, opanowany i pewny siebie, ale jednocześnie lekko dowcipny, jakby brał sprawy na poważnie, ale nie zbyt poważnie.

– Kiedyś każdy start rakiety pokazywali w telewizji – wspomina. – Neil Armstrong, John Glenn. Siadałem na dywanie w salonie i niemal czułem płomienie.

– Czy kiedykolwiek poleciał pan w kosmos?

– Nie. Przez długi czas latałem myśliwcami, a potem szkoliłem pilotów. Nie mogłem się zmusić, by latać samolotami rejsowymi.

– Powiedzieli coś panu? – pyta Scott. – O samolocie?

Michael rozpiną marynarkę.

– Z technicznego punktu widzenia wydawał się w porządku. Pilot nie zgłosił żadnych kłopotów podczas wcześniejszego lotu przez Atlantyk tamtego dnia rano, a tydzień wcześniej obsługa techniczna przeprowadziła pełny przegląd. Dodatkowo przejrzałem historię lotów Melody’ego, waszego pilota, i był bez zarzutu, chociaż nie można wykluczyć ludzkiego błędu. Nie dostaliśmy jeszcze rejestratora parametrów lotu, ale pozwolili mi zobaczyć raport kontroli lotów i nie zarejestrowano żadnego wezwania pomocy ani sygnałów alarmowych.

– Było mgliście.

Michael marszczy brwi.

– To problem z widocznością. Mogą wystąpić turbulencje spowodowane wahaniami temperatury, ale w tego typu samolocie, latającym według oprzyrządowania, to nie byłyby decydujący czynnik.

Scott obserwuje nadlatujący z północy helikopter, sunący wzdłuż rzeki. Jest zbyt daleko, by dało się usłyszeć odgłos śmigieł.

– Proszę mi o niej opowiedzieć – zwraca się do Michaela.

– O Emmie? Jest... Była... Kiedy masz dzieci, myślisz sobie: „Stworzyłem cię, więc jesteśmy tacy sami”, ale to nieprawda. Po prostu mamy możliwość żyć z nimi przez jakiś czas i być może pomóc im zrozumieć parę spraw.

Upuszcza papieros na mokrą ziemię i przydeptuje go.

– Czy może pan... – prosi. – Cokolwiek o locie, o niej... Co może mi pan powiedzieć?

O jej ostatnich chwilach, to chce powiedzieć.

Scott się zastanawia, co może powiedzieć. Że podała mu drinka? Że w telewizorze leciał mecz, dwaj milionerzy gadali, a żona jednego z nich opowiadała o zakupach?

– Wykonywała swoją pracę – mówi. – Lot trwał tylko jakieś osiemnaście minut, a ja wsiadłem na pokład tuż przed zamknięciem drzwi.

– W porządku, rozumiem – odpowiada ojciec i pochyla głowę, by ukryć zawód. Otrzymanie jeszcze jednego wspomnienia o córce, kawałka jej obrazu, poczucie, że kolejny raz może dowiedzieć się czegoś nowego, to sposób na zachowanie jej żywej w swoim umyśle.

– Była miła – stwierdza Scott.

Stoją tak przez chwilę, nie mając nic więcej do powiedzenia, a potem Michael kiwa głową i wyciąga rękę. Scott ściska ją, a później zastanawia się, co mógłby powiedzieć, by odnieść się do żalu, który mężczyzna musi odczuwać. Ale Michael, wyczuwając zamęt w głowie Scotta, odwraca się i odchodzi, nadal prosto trzymając plecy.

Gdy Scott wraca do taksówki, podchodzą do niego agenci. Jako pierwszy idzie

O'Brien, za nim podąża Gus Franklin, trzymając rękę na ramieniu poprzednika, jakby mówił: „Cholera, zostaw gościa w spokoju”, stawkę zamyka Hex.

– Panie Burroughs.

Scott zatrzymuje się z dłonią na klamce taksówki.

– Nie chcemy cię dzisiaj niepokoić – wyjaśnia Gus.

– To nie jest niepokojenie – prostuje O'Brien. – Tylko nasza praca.

Scott wzrusza ramionami. Nie uniknie tej rozmowy.

– Wsiadajcie – mówi. – Nie chcę robić tego przed kamerami.

Taksówka to minivan. Scott odsuwa tylne drzwi, wchodzi do środka i siada na szerokim tylnym siedzeniu. Agenci spoglądają na siebie, a potem również wsiadają. Gus zajmuje miejsce z przodu, O'Brien i Hex na środkowych składanych siedzeniach.

– Dziękuję – odzywa się Scott. – Do dzisiaj udało mi się przeżyć bez bycia filmowanym przez kamerę z helikoptera.

– Tak, zauważyliśmy – odpowiada O'Brien. – Nie jesteś wielkim fanem telewizji.

– W ogóle żadnych mediów – dodaje Hex.

– Jak idą poszukiwania? – pyta Gusa Scott.

Gus zwraca się do kierowcy, Senegalczyka.

– Może nam pan dać minutę?

– To moja taksówka.

Gus wyjmuje portfel, podaje mężczyźnie dwadzieścia dolarów, a potem kolejne dwadzieścia, gdy pierwszy banknot nie działa. Kierowca bierze pieniądze i wysiada.

– Huragan Margaret przesuwa się na północ znad Kajmanów – informuje Scotta Gus.
– Musieliśmy na razie odwołać poszukiwania.

Scott zamyka oczy. Maggie, Margaret.

– Tak – przytakuje Gus. – To kiepski żart, ale nadają nazwy huraganom na początku sezonu.

– Wyglądasz na bardzo przygnębionego – zauważa O'Brien.

Scott patrzy na agenta zmrużonymi oczami.

– Kobieta ginie w katastrofie lotniczej, a teraz nadchodzi huragan o jej imieniu – wyjaśnia. – Nie jestem pewien, jak powinienem wyglądać.

– Jaka relacja łączyła cię z panią Bateman? – pyta Hex.

– Wypowiadacie słowa w taki sposób, że nabierają oceniającego charakteru.

– Czyżby? – pyta O'Brien. – Prawdopodobnie ma to źródło w głęboko zakorzenionym przekonaniu, że wszyscy kłamią.

– Gdybym tak uważał, mógłbym całkowicie zrezygnować z rozmowy – stwierdza Scott.

– Och, nie. To dopiero frajda – wyjaśnia O'Brien.

– Zginęli ludzie – rzuca Gus. – To nie jest zabawa.

– Z całym szacunkiem – odpowiada O'Brien. – Ty skup się na tym, dlaczego samolot spadł, a my weźmiemy na cel czynnik ludzki.

– Chyba że – zauważa Hex – te dwie kwestie okażą się tym samym.

Scott opiera się i zamyka oczy. Agenci najwyraźniej prowadzą teraz rozmowę bez niego, a on czuje się znużony. Ból w barku zmalął, ale powoli do jego mózgu zakrada się ból głowy, odbijające się głęboko w tkankach echo opadającego na zewnątrz ciśnienia.

– Chyba zasnął – zauważa Hex, przyglądając się Scottowi.

– Wiesz, kto śpi na posterunku? – pyta O'Brien.

– Ten, kto to zrobił – odpowiada Hex.

– Chłopaki, powinniście założyć własną rozgłośnię radiową – stwierdza Gus. – Poranni kumple. Sytuacja na drogach i pogoda osiem minut po pełnych godzinach.

O'Brien klepie Scotta w pierś.

– Rozważamy załatwienie nakazu, by przyjrzeć się twoim obrazom.

Scott otwiera oczy.

– Jak miałyby wyglądać? – pyta. – Nakaz, by popatrzeć na sztukę? – Wyobraża sobie rysunek dokumentu, w artystycznym ujęciu.

– To kawałek papieru podpisany przez sędziego, który pozwala nam skonfiskować twoje szpargały.

– A może przyjdziecie w czwartek wieczorem? – proponuje Scott. – Podam białe wino w papierowych kubkach i wystawię tacę z pałeczkami chlebowymi. Byliście kiedyś na wernisażu?

– Byłem w cholernym Luwrze – warczy O'Brien.

– Czy to niedaleko właściwego Luwru?

– To moje dochodzenie – stwierdza Gus. – Nikt niczego nie skonfiskuje bez ustalenia tego ze mną.

Scott wygląda przez okno. Wszyscy żałobnicy już poszli. Grób jest jedynie dziurą w ziemi, która teraz napełnia się wodą deszczową, podczas gdy dwaj mężczyźni w kombinezonach roboczych stoją pod zadaszeniem z gałęzi wiązu i palą camele lighty.

– Jaką praktyczną wartość, waszym zdaniem, mogłyby mieć moje obrazy? – pyta Scott.

Naprawdę chce wiedzieć, jako człowiek, który spędził (zmarnował?) dwadzieścia pięć

lat, rozmazując kolory na płótnie, ignorowany przez świat, goniący za wiatrakami.

– Nie chodzi o to, czym są – wyjaśnia O'Brien. – Ale o czym są.

– Obrazy katastroficzne – dodaje Hex. – To wiemy od twojego agenta. Obrazy wraków samochodów i katastrof kolejowych.

– Co – kontynuuje O'Brien – pomijając fakt, że same w sobie jako forma sztuki są popierdolone, interesuje nas na poziomie proceduralnym. Może zmęczyło cię poszukiwanie katastrof do malowania i postanowiłeś spowodować własną.

Scott patrzy na nich z zainteresowaniem. Jakież ci mężczyźni mają fascynujące umysły, tworzące wątki i podstęp z niczego. Przenosi wzrok na Gusa, który ściska nasadę nosa, jakby bardzo cierpiał.

– Jak miałyby to działać? – pyta Scott. – Na poziomie praktycznym. Malarz bez grosza z trójnogim psem. Człowiek, który spędza dnie na pogoni za czymś, czego nie potrafi zdefiniować. Historia bez czasowników. Jak ów mężczyzna... nie wiem nawet, jak to ująć... wpada na taki pomysł?

– To zdarza się cały czas – wyjaśnia O'Brien. – Mali ludzie w małych pomieszczeniach myślący o wielkich sprawach. Zaczynają mieć pomysły, chodzą na pokazy broni i sprawdzają w internecie, jak wykonać bombę nawozową.

– Nie wchodzę do sieci.

– W takim razie do cholernej, fizycznej biblioteki. „Zauważcie mnie”, to jest przesłanie. Zemsta.

– Na kim? Za co?

– Na kimkolwiek, na wszystkich, na ich matkach, na Bogu. Mszczą się na dzieciaku, który wyzymał ich na WF-ie.

– Faktycznie na lekcji? – pyta Scott. – Na oczach wszystkich?

– Widzisz, teraz żartujesz, a ja mówię poważnie.

– Nie, to mnie po prostu interesuje – wyjaśnia Scott. – Jak działają wasze umysły. Wspomniałem już, że spaceruję po plaży. Przesiaduję w kawiarniach i wpatruję się w swoją filizankę. Myślę o obrazach, kolorach, mieszaniu środków malarskich. To jest dla mnie nowość, tego rodzaju projekcja telewizyjna.

– Dlaczego malujesz to, co malujesz? – pyta cicho Gus.

– Cóż – zaczyna Scott. – Właściwie nie jestem pewien. Kiedyś malowałem krajobrazy, a potem zacząłem dodawać do nich różne elementy. Chyba próbuję zrozumieć świat. Kiedy jesteśmy młodzi, oczekujemy, że życie dobrze nam się ułoży, a przynajmniej uznajemy, że to możliwe. Że życiem można sterować. Gdy wybierze się ścieżkę, a nawet gdy się tego nie robi. Ilu znacie ludzi, którzy doszli na szczyt przez przypadek? Wpadają w coś. Ja natomiast wpadłem w burbon i własną dupę.

– Zaraz zasnę – oznajmia O'Brien.

Scott kontynuuje, ponieważ Gus go o to poprosił, a że właśnie on to zrobił, Scott zakłada, że naprawę chce się dowiedzieć.

– Ludzie wstają rano i myślą, że jest nowy dzień. Robią plany. Poruszają się w obranym kierunku. Ale to nie jest kolejny dzień. To jest dzień, kiedy ich pociąg wypada z szyn, nadchodzi tornado albo tonie prom.

– Lub spada samolot.

– Tak. Wszystkie te sytuacje są prawdziwe i postrzegam je jako metaforę. A przynajmniej tak było dziesięć dni temu. Kiedy jeszcze myślałem, że malowanie katastrofy lotniczej było sprytnym sposobem na ukrycie faktu, że zrujnowałem sobie życie.

– A więc namalowałeś katastrofę lotniczą – powtarza Hex.

– Będziemy chcieli to zobaczyć – oznajmia O'Brien.

Przez okno Scott widzi, jak mężczyźni upuszczają w błoto niedopałki i chwytają łopaty. Myśli o Sarah Kipling, która zagadywała go życzliwie w słoneczny sierpniowy dzień, obdarzyła wiotkim uściskiem dłoni i zdawkowym uśmiechem. Dlaczego to ona spoczywa w ziemi, a nie on? Myśli o Maggie i jej dziewięcioletniej córce. Obie leżą gdzieś na dnie oceanu, a on jest tutaj, oddycha, prowadzi rozmowę o sztuce, a tak naprawdę o śmierci.

– Wpadajcie, kiedy chcecie – oznajmia. – Obrazy są na miejscu. Musicie jedynie włączyć światło.

Scott każe taksówkarzowi zawieźć się na Penn Station. Biorąc pod uwagę tłumy dziennikarzy obecnych na pogrzebie, uznał, że ktoś pojedzie za jego taksówką, i kiedy popycha drzwi i wchodzi na stację, widzi, jak przy krawężniku zatrzymuje się zielony SUV i wyskakuje z niego mężczyzna w dżinsowej kurtce. Scott idzie szybko w stronę metra i schodzi po schodach na peron linii 3. Potem zawraca i udaje się na peron linii jadącej na północ. W tym momencie dostrzega swego prześladowcę na peronie linii jadącej w przeciwnym kierunku. Trzyma w ręku aparat fotograficzny i gdy wjeżdża pociąg w kierunku przedmieść, mężczyzna dostrzega Scotta i unosi aparat, żeby zrobić zdjęcie. Scott odwraca się na pięcie, a przejeżdżający obok niego z piskiem pociąg zasłania jego sylwetkę. Czuje podmuch powietrza, słyszy dzwonek metra i wchodzi do wagonu. Siada, zakrywając twarz ręką. Gdy drzwi się zamykają, zerka przez rozstawione palce i kiedy kolej rusza, na dalekim peronie dostrzega w przelocie mężczyznę w dżinsie, z podniesionym nadal aparatem, polującego na zdjęcie.

Scott jedzie trzy przystanki w stronę przedmieść, wysiada i łapie autobus zmierzający do centrum. Jest teraz w nowym świecie, mieście kolizji, pełnym podejrzeń i braku zaufania. Nie ma tutaj miejsca na abstrakcyjne myślenie, dumanie nad naturą rzeczy. To druga kwestia, która zginęła w zmaconym Atlantyku. Bycie artystą to życie jednocześnie w świecie i poza nim. Tam, gdzie inżynier dostrzega formę i funkcjonalność, artysta widzi znaczenie. Dla inżyniera toster to układ mechanicznych i elektrycznych elementów

działających wspólnie, by dostarczyć ciepło do chleba i stworzyć grzanekę. Dla artysty toster jest wszystkim innym. To urządzenie zapewniające wygodę, jedna z wielu mechanicznych skrzynek w mieszkaniu, które tworzą iluzję domu. Zantropomorfizowany, jest jak mężczyzna z otwartą szczęką, któremu nigdy nie nudzi się jedzenie. Otwórz jego usta i włóż do nich chleb. Ale biedny Pan Toster, bez względu na to, jak dużo je, nigdy nie jest faktycznie nakarmiony.

Scott je na obiad płatki śniadaniowe, wciąż ubrany w pożyczony garnitur i przekrzywiony krawat. Z jakiegoś powodu czuje, że zdjęcie tych rzeczy byłoby okazaniem braku szacunku. Śmierć, tak trwała dla zmarłych, powinna być dla żałobników czymś więcej niż tylko popołudniowym zajęciem. Siedzi więc, szufluje i przeżuwa, cały w czerni jak właściciel zakładu pogrzebowego.

Stoi nad zlewem, myje miskę i łyżkę, kiedy słyszy dźwięk otwierania frontowych drzwi. Bez odwracania się wie, że to Layla, dociera do niego odgłos jej obcasów i zapach jej perfum.

– Jesteś ubrany? – pyta, wchodząc do kuchni.

Scott odkłada miskę na suszarkę.

– Próbuję zrozumieć, po co ci zastawa stołowa na trzydzieści osób – oznajmia. – Kowboje przemierzali cały kraj z jednym talerzem, widelcem i łyżką.

– Tym właśnie jesteś? – pyta Layla. – Kowbojem?

Scott przechodzi do salonu i siada na kanapie. Layla zdejmuje koc z barku z żaluzjowym zamknięciem i nalewa sobie drinka.

– Grzejesz alkohol czy...?

– Jestem alkoholikiem – wyjaśnia Scott. – Chyba.

Dziewczyna sączy drinka.

– Chyba?

– Cóż, to bezpieczne określenie, skoro gdy zacznę pić, nie mogę przestać.

– Mój ojciec jest najbogatszym alkoholikiem na tej planecie. „Forbes” opublikował artykuł o tym, że prawdopodobnie wypija trzysta tysięcy rocznie w alkoholach z najwyższej półki.

– Może umieścisz to na jego nagrobku.

Layla uśmiecha się, siada, a buty spadają jej ze stóp. Podwija prawą nogę pod lewą.

– To garnitur Serge’a.

Scott sięga do krawata.

– Przepraszam.

– Nie – odpowiada ona. – W porządku. Jest teraz chyba w Rumunii, na tropie

kolejnego wielkiego rżnięcia.

Scott obserwuje, jak Layla pije szkocką. Na zewnątrz deszcz uderza o okna i spływa po nich strugami.

– Jadłem kiedyś brzoskwinie – mówi Scott – na pustyni w Arizonie. Była lepsza niż jakikolwiek seks, który w życiu uprawiałem.

– Uważaj – odpowiada Layla. – Mogę uznać to za wyzwanie.

Po jej wyjściu Scott zanosí jej szklankę do kuchni. W środku został centymetr szkockiej i przed wylaniem jej do zlewu unosi szklankę i wacha napój, zachwycony znajomym zapachem ziemistego torfu. „Życie, które prowadzimy – myśli – pełne jest dziur”. Płucze szklankę i stawia ją do góry dnem, by wyschła.

Idzie do sypialni i kładzie się na łóżku, nadal w garniturze. Próbuje wyobrazić sobie, jak to jest być martwym, ale nie może, więc sięga do wyłącznika i gasi światło. Deszcz stuka o szybę. Scott wpatruje się w sufit, obserwuje, jak cienie strug deszczu poruszają się w odwrotną stronę, krople ślizgające się z dołu do góry. Gałęzie drzew rozmazane jak w teście Rorschacha. Biel mieszkania przypomina puste płótno, miejsce czekające na to, by jego lokator zdecydował, jak ma żyć.

„Co teraz namaluję?”, zastanawia się.

WĄTKI

Istnieje odpowiedź, tylko jeszcze jej nie znaleźli. To mówił Gus swoim szefom, gdy naciskali. Od katastrofy minęło dziesięć dni. W bazie marynarki wojennej na Long Island stał hangar, gdzie składowano wszystkie odnalezione szczątki. Dwumetrowy fragment skrzydła, rozkładany stolik, część skórzanego zagłówek. Tam też trafią pozostałe ciała, kiedy zostaną wyłowione, zakładając, że zostaną odnalezione razem z wrakiem, a nie wyrzucone na brzeg jak Emma Lightner lub wyciągnięte z sieci poławiaczy homarów jak Sarah Kipling. Tamte ciała wysłano do miejscowych kostnic, skąd musiały zostać odebrane w ciągu kilku dni na podstawie upoważnienia władz federalnych. Jurysdykcja była jednym z wielu utrapień, z którymi trzeba było sobie poradzić, gdy miało się do czynienia z katastrofą nad wodami przybrzeżnymi.

Każdego dnia nurkowie zakładali pianki, piloci tankowali helikoptery, a kapitanowie rozdzielali między sobą obszary poszukiwań. Głębiny są ciemne, a prądy zmienne. Co nie pływa po powierzchni, tonie. Tak czy inaczej, im więcej czasu mijało, tym mniejsze było prawdopodobieństwo, że znajdą to, czego szukają. Czasami, gdy czekanie było zbyt męczące, Gus wzywał śmigłowiec i leciał na główny statek. Stawał na pokładzie i patrząc na krążące mewy, pomagał koordynować poszukiwania. Lecz nawet w środku akcji Gus wciąż stał bezczynnie. Był inżynierem, specjalistą od projektowania samolotów, który potrafił znaleźć wadę w każdym systemie, potrzebował jednak systemu do analizy pod kątem napędu, hydrauliki, aerodynamiki, a miał jedynie poszarpaną część skrzydła i odgórne ciśnienie człowieka, którego grzebią żywcem.

A jednak nawet niewielki element wraku opowiada jakąś historię. Po zbadaniu fragmentu skrzydła ustalono, że samolot uderzył w taflę wody pod kątem prostym, pikując jak morski ptak. To nie jest naturalny kąt schodzenia samolotu, który chce szybować na profilowanych skrzydłach. Sugerowało to błąd pilota, a może nawet celowe rozbicie samolotu, chociaż Gus przypominał wszystkim, że samolot mógł schodzić pod bardziej naturalnym kątem, ale uderzył bezpośrednio w potężną falę, co przypominało pikowanie. Innymi słowy, „nic nie wiemy na pewno”.

Kilka dni później niedaleko Block Island dostrzeżono fragment ogona. To pozwoliło pierwszy raz przyjrzeć się systemowi hydraulicznemu, który okazał się nieuszkodzony. Następnego dnia na plaży Montauk znaleziono dwa kolejne bagaże, jeden nienaruszony, a drugi otwarty, sama walizka bez zawartości. I tak postępowały poszukiwania, fragment po fragmencie, jak mozolne układanie puzzli. Dobre wieści były takie, że wrak najwyraźniej rozpadał się pod wodą i wypływał po kawałku, ale po czterech dniach znaleziska przestały się pojawiać. Teraz Gus martwi się, że mogą nigdy nie znaleźć kadłuba, że pozostali pasażerowie i załoga przepadli na zawsze.

Codziennie musi stawiać czoła naciskom swoich przełożonych w Waszyngtonie, którzy z kolei słyszą coraz więcej żądań ze strony prokuratora generalnego i pewnego zagniewanego miliardera, by znaleźć odpowiedzi, wydobyć ciała zaginionych i zakończyć całą tę historię.

Odpowiedź istnieje, tylko jeszcze jej nie znamy.

W czwartek Gus siedzi przy stole konferencyjnym i omawia oczywistości z dwudziestoma pięcioma biurokratami, rzeczy, które już doskonale wiedzą. Znajdują się w budynku federalnym na Broadwayu, na terenie agentów O'Briena z FBI i Hexa z OFAC. Według O'Briena katastrofa wpisuje się w szerszy kontekst związany z groźbami terrorystycznymi i atakami w stylu *splinter cell*⁴ wymierzonymi w interesy państwa amerykańskiego. Hex postrzega ją tylko jako najnowszy fragment historii wojennej o gospodarce amerykańskiej, milionerach i miliardarach, którzy poświęcają ogromny kapitał, aby łamać zasady i prawo. Gus jest jedyną osobą w pomieszczeniu, która traktuje katastrofę jednostkowo.

„Ci” ludzie w „tym” samolocie.

Obok niego prezes prywatnej firmy ochroniarskiej odpowiedzialnej za rodzinę Batemanów opisuje procedurę stosowaną przy ocenianiu poziomu zagrożenia. Przyproceedził ze sobą sześćoosobową ekipę, której członkowie podają mu dokumenty w trakcie wystąpienia.

– ...w stałym kontakcie z przydzielonymi agentami Homeland Security – mówi. – Jeśli zaistniałoby zagrożenie, wiedzielibyśmy o nim w ciągu kilku minut.

Gus siedzi przy stole konferencyjnym i patrzy na swoje odbicie w oknie. W myślach jest na kutrze straży przybrzeżnej i obserwuje fale. Stoi na mostku fregaty marynarki i przegląda zapisy sonaru.

– Przez pół roku przed katastrofą osobiście nadzorowałem pełny przegląd wszystkich informacji i działań i mogę stwierdzić z całkowitym przekonaniem, że niczego nie pominięto – kontynuuje prezes. – Jeśli ktoś celował w Batemanów, trzymał tę informację dla siebie.

Gus mu dziękuje i oddaje głos agentowi Hexowi, który zaczyna przegląd rządowego procesu wytoczonego Benowi Kiplingowi i jego firmie inwestycyjnej. Akty oskarżenia zostały przekazane zgodnie z planem w dzień po katastrofie, ale śmierć Kiplinga dała pozostałym współnikom idealnego kozła ofiarnego. Wszyscy bez wyjątku twierdzili, że wszelkie transakcje z nieuczciwymi krajami (jeśli takie istniały) były pomysłem zmarłego, a w ich księgach figurowały jako inne działania. Krótko mówiąc, zostali oszukani. „W tej sytuacji jestem taką samą ofiarą jak ty”, mówili.

Osiemnaście rachunków bankowych firmy zostało zamrożonych. Ich całkowita wartość wyniosła 6,1 miliarda dolarów. Śledczy powiązali pieniądze z pięcioma krajami: Libią, Iranem, Koreą Północną, Sudanem i Syrią. Z zapisów rozmów telefonicznych Kiplinga dowiedzieli się, że Barney Culpepper dzwonił do niego pięćdziesiąt jeden minut przed startem samolotu. Prawnik odmówił komentarza na temat treści rozmowy, ale jest

oczywiste, że telefonował, żeby ostrzec Kiplinga o oskarżeniu.

Według agenta Hexa i jego zwierzchników z OFAC katastrofa była działaniem wrogiej nacji, mającym na celu uciszenie Kiplinga i utrudnienie śledztwa. Pojawia się pytanie, kiedy dokładnie Kiplingowie zostali zaproszeni, by polecieć z Batemanami. Prezes firmy ochroniarskiej sprawdza dziennik. Znajduje w nim raport osobistego ochroniarza Batemanów z godziny jedenastej osiemnaście w dniu lotu na temat rozmowy ze swoim zleceniodawcą (Davidem Batemanem, alias Kondorem), w której Kondor poinformował go, że Ben i Sarah będą wracali samolotem razem z nimi.

– Scott – mówi w zamyśleniu Gus.

– Co? – pyta Hex.

– Ten malarz – wyjaśnia Gus. – Powiedział nam, że Maggie zaprosiła Sarah i jej męża. Chyba miało to miejsce wcześniej, na targu. On został zaproszony jeszcze wcześniej. Sprawdzę notatki, ale chyba było to w niedzielny poranek. Spotkał przypadkiem Maggie z córką.

Gus myśli o ostatniej rozmowie ze Scottem w taksówce na cmentarzu. Liczył na bardziej szczegółową dyskusję, przesłedzenie minuta po minucie wspomnień Scotta z lotu, wejścia na pokład, następującego po nim startu i tego, co pamięta z przebywania w powietrzu, ale rozmowa została zawłaszczona przez mężczyzn szukających twarzy w chmurach.

„Wobec braku faktów – myśli – opowiadamy sobie historie”.

Najwyraźniej to właśnie robią media, CNN, Twitter, Huffington Post: dwudziestoczworogodzinny cykl spekulacji. Większość renomowanych ekip pozostaje przy faktach i dobrze sprawdzonych artykułach z komentarzami, ale inni, wśród których Bill Cunningham z ALC jest najgorszym winowajcą, tworzą legendy i zmieniają cały ten bałagan w jedną wielką operę mydlaną o rozpustnym malarzu i jego mecenasach milionerach.

Gus myśli o chłopcu, zadomowionym już u cioci i wujka w dolinie rzeki Hudson. Pojechał spotkać się z nimi dwa dni temu, siedział w kuchni i pił herbatę ziołową. Nigdy nie znajdziemy ani dobrego momentu na przesłuchanie dziecka, ani idealnej techniki. Wspomnienia, którym nie można ufać nawet w przypadku dorosłych, są najmniej wiarygodne u dzieci, zwłaszcza po traumie.

– Niewiele mówi – wyjaśniła Eleanor i przyniosła mu herbatę. – Od momentu gdy przywieźliśmy go do domu. Lekarz stwierdził, że to normalne. Albo raczej nie nienormalne.

Chłopiec siedział na podłodze i bawił się plastikową koparką. Gus pozwolił mu najpierw przyzwyczać się do swojej obecności w pokoju, a potem usiadł obok niego na podłodze.

– JJ-u – zaczął. – Mam na imię Gus. Spotkaliśmy się wcześniej, w szpitalu.

Chłopiec podniósł wzrok, zmrużył oczy, a później wrócił do zabawy.

– Pomyślałem, że moglibyśmy porozmawiać o samolocie, o tym, kiedy leciałeś samolotem z mamusią i tatusiem.

– I siostrzyczką – powiedział chłopiec.

– Tak, i z twoją siostrą.

Gus zamilkł z nadzieją, że chłopiec wypełni ciszę, ale on tego nie zrobił.

– Cóż – kontynuował. – Pamiętasz samolot? Wiem, że... Scott powiedział mi, że spałeś, gdy samolot startował.

Na dźwięk imienia Scotta chłopiec podniósł wzrok, ale się nie odezwał. Gus kiwnął zachęcająco głową.

– Czy się... Pamiętasz, żebyś się obudził przed...?

Chłopiec spojrzał na Eleanor, która zajęła miejsce za nim, na podłodze.

– Możesz mu powiedzieć, kochanie, cokolwiek pamiętasz.

Chłopiec się zastanowił, po czym wziął swoją koparkę i walnął nią w krzesło.

– Wraa! – krzyknął.

– JJ-u – odezwała się Eleanor, ale chłopiec ją zignorował. Wstał i zaczął biegać z koparką wkoło pokoju, uderzając nią w ściany i szafki.

Siedzący na podłodze Gus kiwnął głową, wstał ociężale, a kolana mu strzyknęły.

– W porządku – powiedział. – Jeśli coś sobie przypomni, dowiemy się. Lepiej go nie naciskać.

Teraz, w sali konferencyjnej, toczy się rozmowa logistyczna na temat technik, których oddział specjalny (z Libii, Korei Północnej itp.) mógł użyć, żeby zestrzelić samolot. Najbardziej prawdopodobny scenariusz to bomba umieszczona w samolocie na którymś etapie podróży, albo w Teterboro, albo na samej wyspie Vineyard. Zostaje przyniesiony plan samolotu i wszyscy stają wokół stołu i wskazują możliwe miejsca ukrycia ładunku. Zewnątrz samolotu jest w tym kontekście mało opłacalne, zważywszy na dokładne oględziny wykonane przez pilota przed startem.

Gus rozmawiał z technikami obsługi naziemnej, którzy tankowali samolot na pasie startowym, mężczyznami z klasy robotniczej, z akcentem z Massachusetts, którzy piją zielone piwo w Dniu Świętego Patryka i jedzą hot dogi czwartego lipca. Wykluczono, by osoby trzecie mogły wejść na pokład i podłożyć ładunek wybuchowy.

O'Brien podrzuca (ponownie) pomysł, iż powinni przyjrzeć się Charliemu Buschowi, którego w ostatniej chwili dodano do załogi. Chodzą niepotwierdzone słuchy, że mógł spotykać się ze stewardesą, Lightner, ale nie ma na to twardych dowodów. Gus przypomina mu, że sprawdzono dokładnie historię Buscha. Był sportowcem z Teksasu, siostrzeńcem senatora i typem kobieciarza, jeśli wierzyć jego aktom osobowym. Nic w jego przeszłości nie wskazuje na to, że mógłby celowo rozbić samolot, bez względu na to, co mówi jego profil randkowy. Z pewnością nie pasował do opisu żadnego znanego

terrorysty.

Dzień wcześniej Gus został wezwany do Waszyngtonu na spotkanie z wujem Buscha, senatorem Birchem. Birch, skazany na dożywocie w senacie, odbył już sześć kadencji. Miał czuprynę siwych włosów i szerokie barki byłego biegacza z futbolowej drużyny w college'u. Z boku siedział szef jego kancelarii i pisał na telefonie, gotowy wkroczyć, gdyby rozmowa zbyt szybko zbiegła z tematu.

– A więc, jak brzmi odpowiedź? – zapytał Gusa Birch.

– Jest zbyt wcześnie, bym mógł coś powiedzieć – odpowiedział Gus. – Musimy wydobyć samolot, przeanalizować zapisy czarnej skrzynki, odnaleźć ciała.

Birch pomasaował sobie twarz.

– Co za bajzel. Bateman i Kipling. A w tym wszystkim moja biedna siostra.

– Tak.

– Proszę posłuchać – zaczął Birch. – To był dobry dzieciak. Charlie. Trochę w młodości popieprzony, ale mogę powiedzieć, że się pozbierał, doszedł do czegoś. Co mówią ludzie Jima Coopera w GullWing?

– Miał dobrą historię pracy. Nie wspaniałą, ale dobrą. Wiemy, że wieczorem, dzień przed katastrofą, był w Londynie na spotkaniu towarzyskim z wieloma pracownikami GullWing i pojawiła się tam również Emma Lightner. Wszyscy twierdzą jednak, że był to zwyczajny wieczór. Poszli do baru, Emma wyszła wcześniej. Wiemy, że podczas tego wieczoru pański siostrzeniec zamienił się lotami z Peterem Gastonem. Nie był przydzielony do lotu sześć trzynastcie.

Birch potrząsnął głową.

– Pech.

Gus pokiwał głową na boki, jakby mówił: „Może to był pech, a może nie”.

– Następnego dnia pański siostrzeniec załapał się na dodatkowe miejsce podczas lotu czarterowego do Nowego Jorku. Jeszcze nie wiemy dlaczego. Gaston twierdzi, że zamiana była pomysłem Charliego. Jego zdaniem kolega po prostu miał ochotę polecieć do Nowego Jorku. Najwyraźniej tak właśnie działał... Impulsywnie.

– Był młody.

Gus się zastanowił.

– Mógł również mieć kłopoty z kobietami związane ze stawianiem granic.

Birch skrzywił się, jakby chciał powiedzieć: „To nie jest rzeczywisty problem”.

– Co zrobić? Był przystojnym gościem. Przez całe życie właściwie prześlizgiwał się, stosując strategię na piękne oczy. Gdyby był moim synem, zabrałbym go do szopy i wbił w niego trochę dyscypliny, ale siostra traktowała go jak bóstwo. Robiłem co mogłem, wykonałem parę telefonów, załatwiłem mu szkolenie dla pilotów w Gwardii Narodowej, pomogłem znaleźć punkt oparcia.

Gus skinął głową. Charakterystyka drugiego pilota interesowała go w mniejszym stopniu, chciał raczej zrozumieć jego stan fizyczny i psychiczny w dniu zdarzenia. Samoloty nie spadają dlatego, że piloci wychowali się bez ojców. Tło historii zapewnia kontekst, ale nie mówi o tym, co faktycznie warto wiedzieć, czyli co zdarzyło się podczas osiemnastu minut pomiędzy oderwaniem się kół samolotu od pasa startowego a wпадnięciem maszyny do oceanu. Czy w samolocie były jakieś usterki techniczne?

Zdaniem Gusa wszystkie pozostałe dywagacje dawały im jedynie zajęcie, gdy czekali na prawdziwy trop.

Stojący naprzeciw Birch skinął głową w bok. Czas kończyć. Wstał i wyciągnął dłoń.

– Jeśli to miałyby się źle odbić na wizerunku Charliego, proszę mi powiedzieć. Nie chcę, by robił pan coś sprzecznego z prawem, proszę tylko, żeby mnie pan uprzedził. Chciałbym ochronić matkę chłopaka, jak tylko mogę.

Gus wstał i uściśnął dłoń senatorowi.

– Oczywiście – odparł. – Dziękuję, że zechciał pan spotkać się ze mną.

Teraz, siedząc w sali konferencyjnej wieżowca, Gus patrzy na swoje odbicie w szybie, wyciszając głosy obecnych w sali mężczyzn w garniturach. Oni też wypełniają tylko czas. Dochodzenie przypomina detektywistyczną planszówkę, w której brakuje kart. Potrzebny mu samolot. Dopóki go nie znajdą, mogą jedynie zgadywać.

Hex stuka Gusa w ramię. Franklin zdaje sobie sprawę, że O'Brien mówi do niego.

– Co?

– Mówię, że dostałem nakaz – odpowiada O'Brien.

– W jakiej sprawie?

– Obrazów. Skonfiskowaliśmy je ze studia Burroughsa jakąś godzinę temu.

Gus przeciera oczy. Z akt O'Briena wie, że jest on synem dyrektora szkoły z internatem Andover czy Blair Academy, nie pamięta której. To świetna metoda na stworzenie maszyny do osądzania, której zadaniem jest utrzymywanie porządku i karanie. Tak najwyraźniej O'Brien postrzega swoją życiową rolę.

– Facet uratował dziecko – mówi Gus.

– Był w odpowiednim miejscu w odpowiednim czasie i zastanawiam się dlaczego.

Gus stara się trzymać nerwy na wodzy.

– Wykonuję te prace od dwudziestu lat – oznajmia. – I nikt nigdy nie określił udziału w katastrofie jako znalezienie się w odpowiednim miejscu w odpowiednim czasie.

O'Brien wzrusza ramionami.

– Dałem ci szansę, byś zrealizował ten pomysł jako swój. Teraz sam się za niego zabieram.

– Po prostu... przynieście je do hangaru – nakazuje im Gus, a potem, zanim O'Brien

zdoła zaprotestować, dodaje: – I masz rację. Powinniśmy się im przyjrzeć. Zrobiłbym to inaczej, ale już się stało. Przywieź je do hangaru, a potem spakuj się, bo wylatujesz z zespołu operacyjnego.

– Co?

– Przyjąłem cię, ponieważ Colby powiedział, że jesteś jego najlepszym człowiekiem, ale tak nie będziemy się bawić. To moje śledztwo i ja wyznaczam ton, w jakim traktujemy ocalałych i podejrzanych. Więc na tym koniec. Skonfiskowałeś dzieła sztuki stworzone przez mężczyznę, który pewnego dnia może otrzymać medal od prezydenta. Uznałeś, że coś ukrywa, a może zwyczajnie nie jesteś w stanie zaakceptować, że życie pełne jest przypadkowych zbiegów okoliczności i nie wszystko, co wydaje się znaczące, jest znaczące. Prawda jest taka, że nie ty o tym decydujesz. Więc pakuj manatki, oddaję cię FBI.

O'Brien wpatruje się w Gusa z zaciśniętymi szczękami, a potem wstaje powoli.

– Jeszcze zobaczymy – mówi i wychodzi.

OBRAZ 3

Jesteś pod wodą. Pod tobą jest tylko ciemność. Wysoko w górze widzisz światło, szarość przechodzącą stopniowo w biel. Mrok posiada fakturę, widoczną jako czarne krzyże bombardujące twoje pole widzenia. Z początku czarne ukośne linie nie są oczywiste, jakby coś zostało narysowane, a potem skreślone, ale gdy oczy przyzwyczajają się do obrazu, zdajesz sobie sprawę, że są wszędzie i nie jest to wyłącznie technika malarska, ale treść pracy.

W prawym dolnym rogu płótna można dostrzec coś błyszczącego, czarny przedmiot łapiący refleks światła z powierzchni. Widać litery USS⁵, z ostatnim S zatapiającym się poniżej krawędzi ramy. Gdy je obserwujemy, nasz wzrok przyciąga coś innego, wznoszącego się z samego dołu obrazu, wierzchołek czegoś trójkątnego, pierwotnego.

W tym momencie zdajesz sobie sprawę, że owe krzyże to ciała.

ZAPIS

Dokument, który wyciekł, wskazuje na napięcie w ekipie prowadzącej dochodzenie w sprawie katastrofy samolotu Batemana i nasuwa pytania o rolę tajemniczego pasażera.

(7 września 2015, godzina 20:16)

BILL CUNNINGHAM (prezenter): Dobry wieczór, Ameryko. Nazywam się Bill Cunningham. Przerwywamy nasz codzienny program, aby przedstawić państwu ten specjalny raport. ALC zdobyło służbową notatkę wewnętrzną sporządzoną przez agenta specjalnego Waltera O'Briena z FBI, skierowaną do głównego śledczego Narodowej Rady Bezpieczeństwa Transportu, Gusa Franklina, która została napisana zaledwie kilka godzin temu. Notatka dotyczy obecnych teorii zespołu dochodzeniowego na temat katastrofy i stawia pytania o obecność na pokładzie rzekomego bohatera wydarzenia, Scotta Burroughsa.

(POCZĄTEK NAGRANIA Z TAŚMY WIDEO)

CUNNINGHAM: Jak widać, dokument, który zaczyna się od miłej wymiany zdań, ujawnia nieporozumienia pomiędzy śledczymi w kwestii dalszego prowadzenia sprawy. Jak wynika z listy przedstawionej w notatce, śledczy pracują obecnie nad czterema głównymi teoriami. Pierwsza mówi o usterce mechanicznej, druga o błędzie pilota, trzecią opisano jako: *sabotaż, prawdopodobnie w celu utrudnienia rządowego śledztwa dotyczącego Bena Kiplinga i jego firmy inwestycyjnej, natomiast ostatnią zatytułowano: atak terrorystyczny wymierzony w Davida Batemana, prezesa ALC News.*

Istnieje jednak również piąta teoria, wymieniona w notatce po raz pierwszy. Stawia ona pytanie o rolę, jaką w katastrofie odegrał Scott Burroughs. Tę teorię agent O'Brien przedstawił głównemu śledczemu osobiście, tego samego dnia, ale spotkał się z odrzuceniem, dlatego pisze, cytując: *I chociaż wiem, że wspomniałeś osobiście, iż nie interesuje Cię ten kierunek przesłuchań, biorąc pod uwagę ostatnie odkrycia, czuję, że muszę przedstawić na piśmie możliwą, piątą teorię, według której pasażer Scott Burroughs wie więcej, niż mówi, albo ponosi część winy za wydarzenia prowadzące do katastrofy samolotu.*

Przyjaciele, poczekajcie, aż usłyszycie dlaczego. Cytuję: *Wywiady z miejscowymi sprzedawcami i mieszkańcami Martha's Vineyard sugerują, że Burroughs i pani Bateman, żona Davida, byli w bardzo bliskich relacjach i wygląda na to, iż mieli ze sobą swobodny kontakt fizyczny - obejmowali się publicznie. Wiadomo, że pani Bateman odwiedziła pana Burroughsa w jego pracowni i oglądała jego prace.*

Moi drodzy, jako przyjaciel rodziny powiem wam, że nie czytam tych słów od niechcienia i nie sugeruję, że miał miejsce romans. Jednak wciąż nurtuje mnie pytanie, dlaczego pan Burroughs znalazł się na pokładzie samolotu. W porządku, powiedzmy, że się przyjaźnili, nawet blisko. Nie ma w tym nic złego ani wstydlwego. To kolejna sprawa, o której pisze agent O'Brien, wydała mi się rewelacją.

Cytuję: *Rozmowy z menadżerką pana Burroughsa w Nowym Jorku potwierdzają, że na nadchodzący tydzień miał on zaplanowanych kilka spotkań z właścicielami galerii. Jednak w dalszej części przesłuchania wyszedł na jaw wstrząsający (dla mnie) szczegół, który dotyczy treści ostatnich prac pana Burroughsa. Według pani Crenshaw powstało piętnaście obrazów i wszystkie przedstawiają fotorealistyczne scenariusze katastrof, a wiele z nich dotyczy wypadków komunikacyjnych na wielką skalę. Są wśród nich: wykolejenie pociągu, karambol na autostradzie spowodowany mgłą, katastrofa dużego samolotu pasażerskiego.*

Dalej O'Brien pisze: *W świetle powyższych faktów muszę zdecydowanie podkreślić potrzebę przesłuchania mężczyzny, który jest, przynajmniej, naszym jedynym*

świadczeniem wydarzeń, które doprowadziły do katastrofy samolotu, i twierdzenie, że stracił przytomność, gdy samolot zaczął spadać, powinno zostać sprawdzone.

Panie i panowie, trudno mi zrozumieć, dlaczego Gus Franklin, główny śledczy zespołu dochodzeniowego, waha się choćby przez sekundę przed posłuchaniem rady najwyraźniej bardzo inteligentnego i doświadczonego agenta największego organu ścigania w naszym kraju. Czy to możliwe, aby Franklin miał własny plan? Czy agencja rządowa, dla której pracuje, ma plan lub doświadcza nacisków ze strony liberalnej administracji, żeby szybko wyciszyć tę sprawę, na wypadek gdyby stała się zachętą dla mężczyzn i kobiet, którzy nie są w stanie przełknąć kolejnych zapewnień, że nic się nie dzieje, jak nasz nieżyjący bohaterski przywódca David Bateman?

Więcej na ten temat przedstawi reporterka ALC Monica Fort.

SOJUSZNICY

Eleanor wjeżdża na podjazd i widzi nieznanego samochód zaparkowany pod wiązem. SUV Porsche z naklejką dla prasy na przedniej szybie. Na jego widok wpada w panikę. Chłopiec jest w domu z jej matką. Eleanor zostawia Douga i biegnie do domu. Wpada z hukiem przez drzwi i od progu woła:

– Mamo!

Rozgląda się po salonie i podąża w głąb domu.

– Jesteśmy w kuchni – odpowiada matka.

Eleanor rzuca torbę na krzesło i pędzi korytarzem. W głowie już beszta dwie osoby, matkę i właściciela porsche.

– Jest pan uroczy – słyszy głos matki i wtedy wbiega do kuchni. Przy stole siedzi mężczyzna w garniturze i czerwonych szelkach.

– Mamo – warczy Eleanor, a mężczyzna odwraca się na dźwięk jej głosu.

– Eleanor – mówi.

Kobieta zatrzymuje się gwałtownie, rozpoznawszy Billa Cunninghama, prezentera wiadomości. Oczywiście spotkała go już wcześniej, na przyjęciach Davida i Maggie, ale w jej świadomości istnieje przede wszystkim jako wielka głowa na ekranie telewizyjnym, ze zmarszczonym czołem, mówiąca o moralnym bankructwie liberalnych umysłów. Na jej widok Cunningham otwiera ramiona w wielkopańskim geście, jakby oczekiwał, że Eleanor do niego podbiegnie.

– To, przez co musimy przechodzić... – stwierdza. – Barbarzyństwo i problemy. Gdyby wiedziała pani, na ilu pogrzebach byłem w ciągu ostatnich dziesięciu lat...

– Gdzie jest JJ? – pyta Eleanor, rozglądając się.

Jej matka nalewa sobie herbaty.

– Na górze – odpowiada. – W swoim pokoju.

– Sam?

– Ma cztery lata – rzuca matka. – Jeśli będzie czegoś potrzebował, poprosi o to.

Eleanor odwraca się i wychodzi na korytarz. W jej stronę idzie Doug. Wygląda na dezorientowanego.

– Kto to? – pyta.

Eleanor go ignoruje i wbiega na górę po dwa stopnie. Chłopiec jest w swoim pokoju

i bawi się parą plastikowych dinozaurów. Przekraczając próg, Eleanor bierze oczyszczający oddech i zmusza się do uśmiechu.

– Wróciliśmy, wróciliśmy – oznajmia pogodnie.

Chłopiec podnosi wzrok i uśmiecha się. Eleanor klęka przed nim na podłodze.

– Przepraszam, że tak długo nas nie było – mówi. – Były korki i Doug poczuł się głodny.

Chłopiec wskazuje własne usta.

– Jesteś głodny? – pyta Eleanor.

Chłopiec kiwa głową. Eleanor zastanawia się, co oznaczałoby sprowadzenie go na dół do kuchni. Już ma powiedzieć JJ-owi, żeby zaczekał w pokoju, ale wtedy w jej głowie pojawia się myśl: „Jest głodny”, a następnie przecucie siły, jaką ten chłopiec, którego za chwilę weźmie na ręce, da jej – osobie, która zawsze dogadzała innym.

– Dobrze, chodź.

Wyciąga ramiona. JJ obejmuje ją, a ona podnosi go z podłogi i zabiera do kuchni. Po drodze chłopiec bawi się jej włosami.

– W kuchni jest pan – uprzedza go. – Nie musisz z nim rozmawiać, jeśli nie chcesz.

Bill siedzi tam, gdzie go zostawiła. Doug stoi przy lodówce i szpera w niej.

– Mam piwo belgijskie i drugie produkowane przez moich znajomych w brooklińskim minibrowarze – informuje.

– Zaskocz mnie – odpowiada Bill, a potem zauważa Eleanor i JJ-a.

– Tutaj jest – wita go. – Mały księżę.

Doug bierze dwie butelki lokalnego piwa i podchodzi do gościa.

– To pilzner – informuje i podaje jedno Billowi. – Niezbyt chmielowe.

– Dobra – mówi lekceważąco Bill i stawia butelkę, nawet na nią nie spojrzawszy. Uśmiecha się do chłopca.

– Pamiętasz wujka Billa?

Eleanor przekłada JJ-a na prawe biodro, z dala od Cunninghama.

– Czy to rzeczywiście rodzinna wizyta? – pyta.

– A cóż innego? – odpowiada Bill. – Przepraszam, że nie przyszedłem wcześniej. To okropne, gdy twoje życie zamienia się w wiadomości, a wiadomości stają się twoim życiem. Ale ktoś musiał stać na posterunku i mówić prawdę.

„Czyli to właśnie robisz? – myśli Eleanor. – Sądziłam, że przedstawiasz wiadomości”.

– Jakie są ostatnie wieści w tej sprawie? – pyta Doug, sącząc piwo. – Jesteśmy... No wiesz, staramy się skupić na dziecku i nie... – A potem, obawiając się, że zrazi swojego gościa celebrytę, dodaje: – Chyba pan rozumie, oglądanie wiadomości nie jest raczej...

– Oczywiście – uspokaja go Bill. – Cóż, nadal szukamy reszty samolotu.

Eleanor potrząsa głową. Czy oni zwariowali?

– Nie. Nie przy JJ-u.

Doug zaciska usta. Nigdy nie lubił być karcony przez kobiety, zwłaszcza w obecności innych mężczyzn. Eleanor dostrzega to i dodaje do listy dzisiejszych przewinień. Sadza chłopca w krzeselku i podchodzi do lodówki.

– Oczywiście, Eleanor ma rację – przytakuje Bill. – Kobiety są lepsze w tych sprawach niż mężczyźni, w uczuciach. Mężczyźni skupiają się raczej na faktach, na tym, jak możemy pomóc.

Eleanor próbuje wyciszyć jego głos i skupia się na karmieniu siostrzeńca. Jest wybredny, nie grymaśny, ale dość wybiórny. Zje serek wiejski, lecz nie śmietankowy. Lubi hot dogi, ale nie salami. To tylko kwestia dostrojenia się do jego preferencji.

W tym czasie Bill postanawia rozśmieszyć chłopca.

– Pamiętasz wujka Billa, prawda? – pyta. – Byłem na twoich chrzcinach.

Eleanor przynosi chłopcu kubek wody. JJ pije.

– I twojej siostry – kontynuuje Bill. – Jej też. Była taką... piękną dziewczynką.

Eleanor posyła Billowi spojrzenie mówiące: „Uważaj”. Ten kiwa głową i bez wahania zmienia temat, próbując pokazać jej, że jest dobrym słuchaczem, dobrym partnerem, że są w tej sytuacji razem.

– Wiem, że niestety ostatnio rzadko tutaj bywałem. Pracowałem i, cóż, twój tata i ja nie zawsze się zgadzaliśmy. Może dlatego, że mieliśmy zbyt bliski kontakt. Ale wiesz, było między nami uczucie. Zwłaszcza z mojej strony. Choć w ostatecznym rozrachunku tak właśnie działamy, my, dorośli. Zobaczysz. Właściwie mam nadzieję, że nie, ale pewnie tak. Zbyt wiele pracujemy kosztem miłości.

– Panie Cunningham – oznajmia Eleanor. – Miło nam, że nas pan odwiedził, ale to... Po jedzeniu jest czas na drzemkę.

– Nie. JJ drzemał dzisiaj rano – informuje matka. Eleanor posyła jej gniewne spojrzenie. Ona, Bridget Greenway, też lubi dogadzać innym, zwłaszcza mężczyznom. Typowa wycieraczka. Ich ojciec, Eleanor i Maggie, zostawił matkę, gdy Eleanor szła do college'u, rozwiódł się z nią i przeprowadził na Florydę. To właśnie jej uśmiechu nie mógł znieść, nieustannego szczerzenia zębów żony ze Stepford. Dzisiaj mieszka w Miami i w kręgu jego zainteresowań są ponure rozwódki ze sztucznymi cyckami. Ma przyjechać w przyszłym tygodniu, po wyjeździe Bridget.

Bill dostrzega napięcie między matką i córką. Spogląda na Douga, który podnosi do połowy opróżnioną szklankę piwa, jakby wznosił toast.

– Dobrze, prawda? – pyta, nie zważając na nic.

– Co? – zwraca się do niego Bill, który najwyraźniej uznał, że Doug jest jakimś

hipsterskim palantem.

– Piwo.

Bill go ignoruje, wyciąga rękę i mierzwi chłopcu włosy. Cztery godziny wcześniej stał w gabinecie Dona Lieblinga i patrzył z góry na Gusa Franklina z Narodowej Rady Bezpieczeństwa Transportu i przedstawicieli Departamentu Sprawiedliwości. Oznajmili, że chcą się dowiedzieć, skąd wziął notatkę służbową O'Briena.

– Pewnie, że chcecie – odpowiedział im, rozciągając kciukami szelki.

Don Liebling wyprostował krawat i oznajmił rządowemu oddziałowi szturmowemu, że informacje o źródłach są, oczywiście, poufne.

– To nam nie wystarczy – odparł prawnik z Departamentu Sprawiedliwości.

Ten czarny, Franklin, miał najwyraźniej własną teorię.

– Czy O'Brien sam ci ją dał? Z powodu tego, co zaszło?

Bill wzruszył ramionami.

– Nie spadła z nieba – oznajmił. – Tyle wiemy. Ale byłem już kiedyś w sądzie, by bronić źródła, i z przyjemnością zrobię to jeszcze raz. Słyszałem, że płacą wam teraz za miejsca parkingowe.

Po burzliwym wyjściu agentów Liebling zamknął drzwi i stanął plecami do nich.

– Mów – rozkazał.

Siedzący na kanapie Bill rozstawił szeroko nogi. Został wychowany bez ojca, przez słabą kobietę, która chwytala się palantów, jakby tonęła. Zamykała Billa na noc w pokoju i szła w tango. A spójrzcie na niego teraz, jest multimilionerem, który połowie planety mówi, co i kiedy myśleć. Co to, kurwa, ma być, żeby jakiś synek bogatego tatusia, prawnik z Bluszczowej Ligi, próbował go wystraszyć? Nie ma mowy, żeby wydał Namora. Tu chodziło o Davida, o jego mentora, przyjaciela. W porządku, może pod koniec nie za bardzo się dogadywali, ale ten facet był dla niego jak brat i on, Bill, dotrze do prawdy za wszelką cenę.

– Jak powiedział czarny – oznajmił Donowi. – To gość z FBI. Wykopali go z zespołu i się wpienił.

Liebling wpatrywał się w niego, a w głowie pracowały mu trybiki.

– Jeśli się dowiem... – zaczął.

– Daj spokój – przerwał mu Bill. Wstał, podszedł do drzwi i stanął twarzą w twarz z prawnikiem. „Zapomnij, że jesteś w biurze – mówił swoją postawą. – Zapomnij o hierarchii i zasadach zachowania społecznego. Stoisz naprzeciw wojownika, króla ogierów na otwartej sawannie, opanowanego i gotowego rozerwać ci twarz, więc albo spuścisz z tonu, albo spieprzaj z mojej drogi”.

Wyczuwał salami w oddechu Lieblinga, widział, jak mruga, wytrącony z równowagi, nieprzygotowany na pierwotne starcie niedźwiedzi, na walkę kogutów na piachu. Przez

trzydzieści sekund Bill pieprzył go nienawistnym spojrzeniem. Po chwili Don odsunął się, a Bill wyszedł powoli z gabinetu.

Teraz, w kuchni, postanawia zająć pozycję wyższości.

– To tylko przyjacielska wizyta – oznajmia. – To ciężki okres, a wy... Cóż, dla mnie jesteście rodziną. Byliście rodziną Davida i to czyni nas... Chcę, żebyście wiedzieli, że dbam o was. Wujek Bill dba o was, czuwa nad wami.

– Dziękujemy – odpowiada Eleanor. – Ale myślę, że damy sobie radę.

Bill uśmiech się szeroko.

– Jestem pewien. Pieniądze wam pomogą.

Słysząc w jego tonie uszczypliwość, która przeczy wyrazowi współczucia na jego twarzy.

– Myślimy o przeprowadzce do domu w mieście – informuje Doug.

– Doug – warczy Eleanor.

– Co? Przecież to prawda.

– To piękne miejsce – stwierdza Bill i zakłada kciuki za szelki. – Mam z nim wiele wspomnień.

– Nie chcę być nieuprzejma – mówi chłodno Eleanor. – Ale muszę nakarmić JJ-a.

– Oczywiście – przytakuje Bill. – Jesteś jego... To znaczy chłopiec w tym wieku nadal potrzebuje matczynej opieki, zwłaszcza po... Więc nie myśl, że musisz...

Eleanor odwraca się od niego, zamyka torebkę strunową z indykiem i chowa ją do lodówki. Słyszy, jak za jej plecami Bill wstaje. Nie przywykł do bycia lekceważonym.

– Cóż – stwierdza. – Powinienem już iść.

Doug również się podnosi.

– Odprowadzę pana.

– Dzięki, nie ma takiej... Znajdę wyjście.

Eleanor przynosi JJ-owi talerz.

– Proszę – mówi do chłopca. – Jest więcej pikli, jeśli chcesz.

Za jej plecami Bill podchodzi do drzwi kuchennych i się zatrzymuje.

– Rozmawiałaś ze Scottem? – pyta.

Na dźwięk imienia chłopiec podnosi wzrok znad talerza. Eleanor podąża za nim i patrzy na Billa.

– Dlaczego pan pyta?

– Bez powodu – odpowiada Bill. – Po prostu... Skoro nie oglądasz wiadomości, może nie słyszałaś pytań.

– Jakich pytań? – chce wiedzieć Doug.

Bill wzdycha, jakby rozmowa sprawiała mu trudność.

– Jest po prostu... Wiecie, ludzie się zastanawiają. Wsiadł do samolotu jako ostatni i... Co faktycznie łączyło go z twoją siostrą? A poza tym słyszeliście o jego obrazach?

– Nie musimy teraz o tym rozmawiać – stwierdza Eleanor.

– Nie – odzywa się Doug. – Chcę wiedzieć. On dzwoni, w środku nocy. – Doug patrzy na żonę. – Myślisz, że o tym nie wiem, ale wiem.

– Doug – ucina Eleanor. – To nie twoja sprawa.

Bill ponownie wkłada kciuki za szelki i przygryza dolną wargę.

– A więc rozmawiasz z nim – mówi. – To jest... Uważaj. On jest... Na razie to tylko pytania i jesteśmy w Ameryce. Będę walczył do śmierci, ale nie pozwolę temu rządowi odebrać nam prawa do uczciwego procesu. Choć jest za wcześnie, a to są faktyczne pytania. Po prostu... Martwię się o... Już tyle wycierpieliście. A kto wie, jak źle może być? Dlatego pytam: potrzebujesz go?

– To samo powiedziałem – przytakuje Doug. – To znaczy, jesteśmy wdzięczni za to, co zrobił dla JJ-a.

Bill się krzywi.

– Oczywiście, jeśli się... Bóg wie, jak długo płynął w środku nocy z przetrąconym barkiem, ciągnąc małego chłopca.

– Wystarczy – zaprotestowała Eleanor.

– Mówi pan – kontynuuje Doug, chwytając się tej informacji jak zarazek – że ten bohater może wcale nie być takim bohaterem. Chwileczkę, czy mówi pan...?

Bill wzrusza ramionami, patrzy na Eleanor i twarz mu łagodnieje.

– Daj spokój, Doug. Eleanor ma rację. To nie jest...

Pochyla się w prawo, próbując spojrzeć na JJ-a zza zasłaniającego go ciała Eleanor, a potem kilka razy wychyla się zabawnie, aż chłopiec w końcu spogląda na niego. Bill się uśmiecha.

– Bądź grzecznym chłopcem – mówi. – Porozmawiamy niedługo. Gdybyś czegoś potrzebował, powiedz twojej... Powiedz Eleanor, by do mnie zadzwoniła. Może kiedyś pójdziemy na mecz Metsów. Lubisz baseball?

Chłopiec wzrusza ramionami.

– Albo Jankesów. Mam miejsca w łóży.

– Zadzwonimy – zapewnia Eleanor.

Bill kiwa głową.

– O każdej porze – dodaje.

Później Doug chce porozmawiać, ale Eleanor informuje go, że zabiera JJ-a na plac zabaw. Czuje się tak, jakby była ściśnięta wewnątrz ogromnej pięści. Na placu zabaw zmusza się do radosnego nastroju. Zjeżdża z chłopcem ze zjeżdżalni i buja się na huśtawce. Stawia koparki na piasku, kopie nimi, ładuje na nie piasek i patrzy, jak się wysypuje. Dzień jest gorący i Eleanor stara się pozostać z JJ-em w cieniu, ale on chce tylko biegać, więc poi go wodą, by się nie odwodnił. Tysiąc myśli krąży w jej głowie i zderza się ze sobą, a każdy nowy pomysł przerywa poprzedni.

Z jednej strony próbuje rozgryźć, dlaczego Bill przyszedł. Z drugiej analizuje to, co powiedział, zwłaszcza o Scotcie. Ma uwierzyć, że mężczyzna, który ocalił jej siostrzeńca, rzeczywiście rozbił samolot, a następnie sfingował swój bohaterstwo? Samo w sobie wydaje jej się to absurdalne. Jak malarz miałby rozbić samolot? I co Bill miał na myśli, mówiąc o relacji Scotta z Maggie? Czyżby sugerował, że mieli romans? I po co przyjeżdżał do ich domu, by jej to powiedzieć?

Chłopiec stuka ją w ramię i pokazuje spodnenki.

– Musisz iść siusiu? – pyta Eleanor.

JJ kiwa głową, więc Eleanor bierze go na ręce i niesie do toalety publicznej. Gdy pomaga mu rozpiąć spodnenki, nagle uświadamia sobie coś, co przyprawia ją o zawrót głowy. Zważywszy na wiek chłopca, istnieją małe szanse, że jako dorosły będzie pamiętał swoich prawdziwych rodziców. To ona będzie matką, o której będzie myślał w każdą drugą niedzielę maja, a nie jej siostra. Czy to znaczy, że Doug będzie ojcem? Na myśl o tym czuje lekkie mdłości. Nie pierwszy raz przeklina się za słabość młodości, potrzebę ciągłego towarzystwa, jakby była wdową w podeszłym wieku, która cały czas zostawia włączony telewizor i kupuje psa.

Potem jednak myśli, że być może Dougowi trzeba tylko dać szansę. Może przysposobienie czterolatka go zmotywuje i zmieni w rodzinnego mężczyznę? Z drugiej strony, czyż wiara w to, że dziecko może ocalić małżeństwo, nie jest klasycznym złudzeniem? JJ jest z nimi od dwóch tygodni i Doug wcale nie pije mniej, nie zmienił swych zwyczajów w kwestii wychodzenia i powrotów, nie traktuje Eleanor lepiej. Jej siostra nie żyje, chłopiec został sierotą, a przy każdym bezmyślnym komentarzu jej mąż pyta: „Co z potrzebami Douga?”.

Eleanor pomaga JJ-owi podciągnąć spodnenki i umyć ręce. Niepewność przyprawia ją o zawroty głowy. Może jest niesprawiedliwa. Może nadal denerwuje się po spotkaniu z prawnikami od nieruchomości i menadżerami biznesowymi, czuje się przygnębiona ostatecznością decyzji. Może Doug ma rację? Może powinni przeprowadzić się do willi w mieście, zapewnić JJ-owi poczucie ciągłości, wykorzystać pieniądze do stworzenia luksusu, który zna? Intuicja podpowiada jej jednak, że to by chłopca tylko dezorientowało. Wszystko się zmieniło. Udawanie, że jest inaczej, wydaje się oszustwem.

– Lody? – pyta chłopca, gdy wychodzą na zewnątrz i uderza ich upał.

JJ przytakuje. Eleanor bierze go za rękę i prowadzi do samochodu. Dzisiaj porozmawia z Dougiem, wyłoży mu wszystko, co czuje, co myśli o potrzebach chłopca. Sprzedadzą nieruchomości i zdeponują pieniądze w funduszu. Będą wypłacali sobie miesięczną pensję, wystarczającą na pokrycie wszelkich dodatkowych kosztów związanych z wychowaniem chłopca, ale nie tyle, by mogli pozwolić sobie na rzucenie pracy albo zostanie bogaczami. Wie, że Dougowi się to nie spodoba, ale cóż on może powiedzieć?

Decyzja należy do niej.

RACHEL BATEMAN

9 lipca 2006 – 23 sierpnia 2015

Nic nie pamięta z tamtego wydarzenia – wszystkie szczegóły usłyszała od innych – poza obrazem fotela bujanego na pustym poddaszu, kołyszącego się samotnie w przód i w tył. Widziała go czasem w myślach, najczęściej na granicy jawy i snu, stary wiklinowy fotel bujany, skrzypiący w tę i z powrotem, w tę i z powrotem, jakby chciał uspokoić ducha, skonanego i rozzłoszczonego.

Rodzice nazwali ją po babci Maggie. Kiedy była naprawdę mała (teraz miała dziewięć lat), Rachel uznała, że jest kotem. Obserwowała ich kotkę Brzoskwinkę i próbowała poruszać się jak ona. Siadała do śniadania przy stole i lizała wierzch dłoni, a potem wycierała nią twarz. Rodzice znosili to zachowanie, dopóki córka nie oznajmiła im, że będzie spała w ciągu dnia, a nocami włóczyła się po domu. Maggie, jej matka, stwierdziła:

– Kochanie, nie mam po prostu tyle energii, żeby nie spać w nocy.

Z powodu Rachel zatrudnili ochroniarzy, mężczyźni z izraelskim akcentem i kaburami wszędzie za nimi chodzili. Zwykle było ich trzech. W żargonie branżowym pierwszy z nich, Gil, był osobistym ochroniarzem, opłacanym za przebywanie w bezpośredniej, fizycznej bliskości swego pracodawcy. Dodatkowo służbę pełnił zespół rozpoznania, składający się z czterech do sześciu osób, zazwyczaj zmieniających się, który obserwował rodzinę z większej odległości. Rachel wiedziała, że towarzyszą im z jej powodu, z powodu tego, co się stało, chociaż jej ojciec zaprzeczał. „Groźby”, wyjaśnił oględnie, sugerując, że na poziom ich codziennego zagrożenia bardziej wpływa prowadzenie sieci informacyjnej niż fakt, że córka została w dzieciństwie porwana, a jeden lub kilku porywaczy nadal przebywa na wolności.

Przynajmniej tak wyglądały fakty w głowie Rachel. Rodzice, podobnie jak pracownicy FBI (w ramach zeszłorocznej przysługi oddanej jej ojcu) i sownie opłacany psycholog dziecięcy zapewnili ją, że porwanie było dziełem jednego szalonego człowieka (Wayne’a R. Macy’ego, lat trzydzieści sześć) oraz że Macy został zabity (postrzelony w prawe oko) podczas przekazania okupu przez stróża prawa w kamizelce kuloodpornej, chociaż przedtem, na początku krótkiej wymiany ognia, Macy zastrzelił drugiego funkcjonariusza. Był nim czterdziestoczteroletni Mick Daniels, były agent FBI i weteran pierwszej wojny w Zatoce Perskiej.

Rachel pamiętała jedynie fotel.

Miała czuć. Wiedziała o tym. Lato dziewięciolatki, tuż przed wkroczeniem w nastoletni wiek. Od dwóch tygodni jest z mamą i bratem na wakacjach na Vineyard i leniuchuje. Jako bardzo bogate dziecko mogła wybierać wśród niezliczonych możliwości: lekcje tenisa, żeglarstwa, golfa, jazdy konnej, wszelkich dyscyplin, ale nie miała ochoty na bycie nauczaną. Kiedyś przez dwa lata uczyła się gry na pianinie, ale w końcu zaczęła się

zastanawiać „po co?” i zakończyła naukę. Lubiła przebywać w domu z mamą i bratem. I tyle. Tam czuła się przydatna. „Przy czterolatku jest mnóstwo pracy”, mawiała matka, więc Rachel bawiła się z JJ-em, przygotowywała mu lunch i zmieniała spodnie, gdy się zsiusiał.

Matka powtarzała jej, że nie musi tego robić, że powinna wyjść na zewnątrz i korzystać z dnia, ale jak miała jej posłuchać, skoro wielki Izraelczyk (a czasami trzech) wszędzie za nią chodził. Nie podważała konieczności tego rozwiązania. Czyż sama nie była przykładem na to, że ostrożności nigdy nie za wiele?

Dlatego zostawała w domu, leżała na ganku lub trawniku na tyłach domu i wpatrywała się w ocean, który czasami oślepił ją swym diamentowym blaskiem. Lubiła czytać książki o krnąbrnych dziewczynkach, które nigdzie nie pasują, a potem odkrywają, że posiadają magiczne moce. Hermiona, Katniss Everdeen. W wieku siedmiu lat przeczytała książki o Harriet szpiegu i Pippi Pończoszance i obie bohaterki okazały się uzdolnione, ale ostatecznie były tylko ludźmi. Z czasem Rachel poczuła, że potrzebuje od nich czegoś więcej, więcej zادیorności, walki, mocy. Podobał jej się dreszcz niebezpieczeństwa, któremu stawiały czoła, ale nie chciała musieć martwić się o nie. Zbyt ją to niepokoiło.

Zawsze gdy docierała do szczególnie stresującego fragmentu (na przykład spotkanie Hermiony z trollem w książce *Harry Potter i Kamień Filozoficzny*), zanosila książkę do domu i wręczała ją matce.

– Co jest?

– Powiedz mi tylko, czy się jej uda.

– Co ma się komu udać?

– Hermionie. Troll uciekł, gigantyczny troll i ona jest... Czy możesz... Po prostu przeczytaj i powiedz mi, czy nic jej nie jest.

Wtedy Maggie, która znała córkę na tyle dobrze, by nie naciskać, przerywała to, co akurat robiła, siadała i czytała tyle stron, ile było trzeba, aby poznać odpowiedź. Potem oddawała córce książkę, zaznaczywszy kciukiem nowy początek lektury.

– Zaczynij tutaj – mówiła. – Nie musiała z nim walczyć. Po prostu krzyknęła na niego, że to damska toaleta i powinien wyjść.

Chichotały z tej sceny, z krzyczenia na trolla, a potem Rachel wychodziła z powrotem na zewnątrz, żeby czytać.

Zaczął się od niani, chociaż wówczas nie zdawali sobie z tego sprawy. Nazywała się Francesca Butler, ale wszyscy mówili na nią Frankie. To było latem, gdy rodzina spędzała wakacje na Long Island w Montauk Point jeszcze przed erą samolotów i helikopterów, kiedy po prostu pakowali się do samochodu, wyjeżdżali w piątkowy wieczór i pokonywali korki. Droga ekspresowa Long Island przypominała gigantyczną anakondę, która połknęła ruch uliczny, skrzep splątanych samochodów przesuwający się w dół falami.

Brata Rachel nie było jeszcze nawet w planach. Byli tylko David, Maggie i śpiąca w foteliku samochodowym mała Rachel. Kanał informacyjny miał sześć lat i już stał się maszyną generującą zarówno zyski, jak i kontrowersje, ale jej ojciec lubił mawiać: „Jestem tylko pionkiem, generałem na zapleczu. Nie zna mnie zupełnie nikt”.

Porwanie to zmieniło.

To było lato potwora z Montauk, którego morze wyrzuciło na brzeg dwunastego lipca 2008 roku. Miejscowa kobieta, Jenna Hewitt, spacerowała wraz z trójką przyjaciół po plaży Ditch Plains i znalazła stworzenie.

„Szukaliśmy miejsca, by usiąść, kiedy zobaczyliśmy ludzi przyglądających się czemuś”, cytowano później słowa kobiety. „Nie wiedzieliśmy, co to było. Żartowaliśmy, że może to coś z Plum Island”.

Opisany przez kogoś jako „gryzoniowate stworzenie z dziobem dinozaura” potwór był rozmiarów małego psa i większa część jego ciała pozbawiona była sierści. Tułów miał krępy, a kończyny smukłe. Stworzenie posiadało dwie przednie łapy z wydłużonymi jasnymi pazurami. Jego ogon był smukły i długością zbliżony do długości głowy i szyi mierzonych razem. Stworzenie miało krótki pysk, na którym malował się wyraz agonii lub przerażenia, natomiast tylna część czaszki wyglądała na długą i mocną. W górnej szczęce nie było widać zębów, zamiast tego można było zaobserwować rodzaj haczykowatego, kościstego dziobu. Żuchwa zawierała potężne spiczaste kły i cztery trzonowce z wysokimi cylindrycznymi guzkami.

Czy był to szop, który rozłożył się w oceanie, jak sugerowali niektórzy? A może żółw morski, któremu zdjęto skorupę? Pies?

Przez kilka tygodni zdjęcia rozdętych, opuchniętych zwłok pojawiały się w brukowcach i w sieci. Coraz częściej sugerowano, że mogło być to stworzenie spreparowane w laboratorium Centrum Chorób Zwierzęcych na Plum Island, wyspie znajdującej się około półtora kilometra od głównego lądu. Zaczęto ją nazywać Prawdziwą Wyspą Doktora Moreau. W końcu jednak, jak zawsze, brak odpowiedzi przełożył się na brak zainteresowania i świat zajął się innymi tematami.

Ale kiedy w tamten weekend David i Maggie przyjechali do Montauk, gorączka wokół potwora sięgała zenitu. Jak grzyby po deszczu pojawiły się przydrożne stoiska z koszulkami, a za pięć dolarów można było zobaczyć miejsce, gdzie znaleziono potwora, teraz anonimowy skrawek piasku.

Batemanowie wynajmowali dom na Tuthill Road. Był to jednopiętrowy, pokryty białym sidingiem dom, oddzielony ulicą od małej laguny. Dość ustronnie położony, stał równolegle do nowoczesnego budynku, którego przebudowę przerwano. Płachty folii powiewały nad ziejącą raną wiodącą do salonu. W poprzednich latach rodzina Rachel wynajmowała dom położony bardziej na południe, na Pinetree Drive, ale w styczniu został on sprzedany miliarderowi od funduszy hedgingowych.

Ich nowy biały dom (Maggie zostawała tam z Rachel na długi weekend ze Świętem Pracy, a David przyjeżdżał w piątki i brał urlop na ostatni tydzień sierpnia) był przytulny

i uroczy. Posiadał dużą wiejską kuchnię i skrzypiącą werandę ze spadzistym dachem. Sypialnie mieściły się na piętrze, a pokój mamy i taty miał widok na ocean. Sypialnia Rachel (wyposażona w kołyskę w stylu wiktoriańskim) wychodziła na lagunę. Batemanowie przywieźli ze sobą Frankie, nianię, trzecią parę rąk, jak lubiła mawiać Maggie. Frankie siedziała na tylnym siedzeniu audi z Rachel i przez całą podróż bawiła się w podnoszenie smoczka dziewczynki, wycieranie go i podawanie jej z powrotem. Frankie studiowała wieczorowo pielęgniarstwo na uniwersytecie Fordham i pomagała zajmować się Rachel trzy dni w tygodniu. Miała dwadzieścia dwa lata i pochodziła z dzikich terenów Michigan. Po skończeniu college'u przeprowadziła się do Nowego Jorku razem z chłopakiem, który zaraz potem zostawił ją dla basistki z japońskiego zespołu surf-punkowego.

Maggie ją lubiła, ponieważ spędzając z nią czas, czuła się młoda. Nie doświadczała tego, przebywając w świecie Davida, zamieszkanym w całości przez ludzi takich jak on, około czterdziestki, a czasami nawet pięćdziesiątki i sześćdziesiątki. Maggie skończyła właśnie dwadzieścia dziewięć lat i dzieliło ją od Frankie zaledwie siedem. Różniło je tylko to, że Maggie wyszła za milionera.

– Poszczyściło ci się – mawiała Frankie.

– Jest miły – odpowiadała Maggie.

– W takim razie masz jeszcze większe szczęście – dodawała Frankie i uśmiechała się. Wśród jej znajomych wiele się rozmawiało o usidleniu bogatego faceta. Dziewczyny zakładały krótkie spódniczki, wysokie buty i chodziły do klubów, gdzie alkohol sprzedaje się na butelki, z nadzieją na złowienie dobrze rokującego bankiera z Wall Street, z bujną czupryną i stalowym fiutem. Ale Frankie nie była taka jak one. Miała w sobie coś łagodnego, w końcu wychowała się z kozami i kurczakami. Maggie nigdy się nie martwiła, że Frankie chce ukraść jej męża. Byłoby to przecież absurdalne, wymieniać swoją atrakcyjną dwudziestodwuletnią żonę na dwudziestodwuletnią – banał na sterydach. A jednak wiedziała, że zdarzają się dziwniejsze rzeczy.

Jeszcze kilka lat temu to jej płacili za uczenie dzieci innych ludzi. Była dwudziestodwuletnią przedszkolanką i mieszkała na Brooklynie. Co rano przejeżdżała most Brooklyński na rowerze, przepisowo sygnalizując swe ruchy rękami. O tej porze ruch na moście był znikomy. Poruszali się po nim głównie biegacze i kilka świadomych swego zdrowia osób, które w drodze do pracy przekraczały rzekę z własnym lunchem w torebce. Maggie nosiła cytrynowożółty kask, a jej długie brązowe włosy powiewały z tyłu jak peleryna. Nie zakładała słuchawek ani okularów przeciwsłonecznych. Zatrzymywała się przed wiewiórkami, by podziwiać widoki i napić się wody. W mieście jechała ulicą Chambers, przechodzącą w Hudson, i kierowała się na północ, mniej więcej co minutę oglądając się, by w razie czego zauważyć rozmawiających przez komórki taksówkarzy lub cwaniaków w niemieckich samochodach, którzy przestali patrzeć na drogę.

Każdego ranka przyjeżdżała do pracy o szóstej trzydzieści. Lubiła przygotować się przed przyjściem dzieci, uzupełnić przybory. Przedszkole było małe, zaledwie kilka pomieszczeń mieszczącym się w starym ceglany budynku obok parkingu, który

przerobiono na plac zabaw. Znajdowało się przy wysadzonej drzewami ulicy w części West Village, w której panowała atmosfera przypominająca klimat starego Londynu. Chodniki krzywiły się jak powyginane palce. Maggie napisała kiedyś na Facebooku, że tę część miasta lubi najbardziej, jej ponadczasowy, elegancki charakter. Reszta miasta wydawała się jej zbyt chłodna, szerokie aleje wystawionych na wiatr biurowych wieżowców przypominały połyskujące bankomaty z zasobami ludzkimi.

Pierwszy uczeń zwykle pojawiał się o ósmej, idąc, powłócząc nogami albo jadąc na hulajnodze, ramię w ramię z mamą lub tatą, czasami na wpół śpiący w futurystycznym superwózku firmy Maclaren lub Stokke. Mała Penelopa, Daniel lub Eloiza, w bucikach tak małych, że pasowałyby na lalkę, i w maleńkich kraciastych bądź pasiastych koszulkach z krótkim rękawem, jakby któregoś dnia mieli wyrosnąć na bogate ofermy takie jak tata. Czterolatki w sukienkach za osiemdziesiąt dolarów, z kucykiem lub kwiatami we włosach, które spieszący się do przedszkola rodzic zerwał z doniczki przed kamienicą z brunatnego piaskowca.

Maggie zawsze witała dzieci na asfaltowym placu zabaw, uśmiechając się ze słonecznym entuzjazmem, gdy tylko się pojawiały, jak pies, który skacze na dźwięk klucza w drzwiach.

– Dzień dobry, panno Maggie – krzyczały dzieci.

– Dzień dobry, Dieterze, dzień dobry, Justinie, dzień dobry, Sadie.

Przytulała dzieci lub mierzwiła im włosy, potem witała się z mamą albo tatą, którzy często burczeli w odpowiedzi i zaczynali wysyłać esemesy, gdy tylko stopy ich pociech dotknęły terenu przedszkola. Pracowali jako prawnicy albo menadżerowie w firmach reklamowych, redaktorzy czasopism i architekci. Mężczyźni mieli około czterdziestki lub więcej (najstarszy ojciec w klasie miał sześćdziesiąt trzy lata). Kobiety były różne, od dwudziestoparoletnich supermodelek z dziećmi o imionach Raisin lub Mudge po zaganiane pracujące matki po trzydziestce, które zrezygnowały z poszukiwania żyjącego, oddychającego męża i przekonały przyjaciela geja, aby spuścił się do kubka w zamian za sześć weekendów w roku w domku letniskowym w Catskills i honorowy tytuł „wujka”.

Była cierpliwą nauczycielką, czasem nawet nieludzko, ciepłą i troskliwą, ale zdecydowaną, gdy trzeba. W ocenach rodzice pisali, że chcieliby być tacy jak ona, dwudziestodwulatka, która zawsze ma dla innych uśmiech i życzliwe słowo, nawet dla krzyczącego dziecka, które właśnie przerwało ich drzemkę.

Maggie zwykle wychodziła ze szkoły około czwartej, prowadziła swój mahoniowy rower do krawężnika, a następnie zapinała pasek kasku pod brodą i wtapiała się w ruch uliczny. Popołudniami lubiła jechać nad rzekę, a potem ścieżką rowerową na południe. Czasami zatrzymywała się, siadała na ławce nad wodą, zapomniawszy o kasku na głowie, i patrzyła na pływające po rzece statki. Przy każdym powiewie wiatru zamykała oczy. Gdy temperatura przekraczała trzydzieści stopni, na straganie Meksykanina kupowała deser z kruszonego lodu, zwykle wiśniowy, i jadła go na trawie miniaturową płaską łyżeczką. W takie dni zdejmowała kask i kładła go obok siebie, jak kroplę cytryny. Odpoczywała na plecach w chłodnej zieleni i przez długi czas wpatrywała się w niebo,

wyginając na trawniku palce u nóg. Potem zakładała kask i ruszała w długą drogę do domu, z ustami umazanymi kolorem dzieciństwa.

Jakże odległe wydawały jej się te wydarzenia zaledwie siedem lat później, bezrobotnej matce brzdąca, a dokładniej rozpieszczonej żonie milionera.

Zaraz po przyjeździe do domu letniskowego szli razem z Davidem na rynek i uzupełniali zapasy, a Frankie zostawała z Rachel. Montauk nie było wówczas markową sceną Hamptons, ale czuło się już, jak atmosfera modnego kurortu powoli wkrada się do miasteczka. W miejscowym sklepie wielobranżowym sprzedawano teraz wyszukane masła i lokalne dzemy. Dawny sklep z narzędziami oferował tradycyjne pościele i obrusy, a sam budynek został udekorowany sztucznie postarzoną blendą fotograficzną.

Na straganie przy drodze kupowali mięsiste, popękane pomidory. Wracali do domu, kroili je w grube plastry i zjadali z solą morską i oliwą z oliwek. Nie istniały już problemy, z pewnością nic więcej niż przelotne niedogodności, a jednak nocami Maggie zastanawiała się nad tym i była zdumiona, jak jej poczucie życiowych wyzwań stopniało i dostosowało się do nowych okoliczności. Przed poznaniem Davida musiała pedałowac na rowerze w deszczu, czasami w korkach, i przekopywać mieszkanie w poszukiwaniu drobnych na pralnię (choć nawet tego nie można było uznać za prawdziwy problem w świecie, gdzie dzieci chodziły spać głodne), a teraz irytowały ją głupie sprawy: gdy nie mogła znaleźć kluczy do swojego lexusa albo gdy usłyszała od sprzedawcy w sklepie D'Agostino, że nie ma wydać ze stu dolarów. Kiedy uświadomiła sobie, jak miękka się stawała, jak uprzywilejowana, Maggie poczuła niechęć do samej siebie. Powiedziała Davidowi, że powinni rozdać pieniądze i wychowywać dzieci z dnia na dzień, w poszanowaniu odpowiednich wartości.

– Chcę wrócić do pracy – oznajmiła.

– W porządku.

– Nie, mówię poważnie. Nie mogę całe dni siedzieć beczynnie. Jestem pracownicą, jestem przyzwyczajona do obowiązków.

– Opiekujesz się Rachel. Cały czas mi powtarzasz, jak wiele pracy to wymaga.

Maggie skręcała kabel telefoniczny między palcami i mówiła cicho, by nie obudzić dziecka.

– To prawda, wiem. I nie potrafię... nie chcę, by moją córkę wychowywały nianie.

– Tak, oboje tak uważamy, dlatego to takie cudowne, że możesz...

– Po prostu... nie czuję się już sobą.

– To normalne po porodzie.

– Nie rób tego. Nie sprowadzaj tego wyłącznie do mojego ciała, jakbym nie potrafiła się kontrolować.

Po drugiej stronie zapadła cisza. Maggie nie umiała stwierdzić, czy David milczał z powodu niezadowolenia czy pisał maila.

– Nadal nie rozumiem, dlaczego nie możesz brać więcej wolnego. Będziemy tu tylko przez miesiąc.

– Słyszę, co mówisz – odparł David. – Mnie też to frustruje, ale jesteśmy w trakcie intensywnych działań rozwojowych na poziomie korporacyjnym...

– Nieważne – przerwała mu Maggie, nie chcąc słuchać o szczegółach pracy męża. On też niechętnie wysłuchiwał jej dramatycznych opowieści, o kobiecie, która wcisnęła się przed nie w kolejce w supermarkecie, lub o podwórkowych operach mydlanych.

– W porządku. Mówię tylko... Postaram się przynajmniej dwa razy przylecieć w czwartek wieczorem.

Teraz to Maggie zamilkła. Na górze Rachel spała w kołysce. Do Maggie docierały odgłosy z drugiego końca kuchni i pomyślała, że Frankie wiesza pranie. Na krawędzi spraw słyhać było szum oceanu, tektoniczny bęben, bicie serca ziemi. Dzięki temu spała w nocy jak zabita, jej głęboki, genetyczny puls kolejny raz zsynchronizował się z rytmem fal.

Frankie zniknęła pod koniec kolejnego tygodnia. Poszła do miasta, żeby obejrzeć film w małym starym kinie studyjnym. Miała wrócić przed dwudziestą trzecią i Maggie nie czekała na nią. Tę noc zamierzała spędzić z Rachel, wstając na pierwszy odgłos płaczu i głaszcząc córkę po plecach, aby zasnęła. W takie dni intuicyjnie czuła, że musi wypaść się na zapas, i zaraz po zachodzie słońca (a czasem i wcześniej) kładła głowę na poduszce, a jej zmęczone oczy wciąż od nowa czytały te same krótkie strony książki, nie docierając nawet do drugiego rozdziału.

Kiedy raniem wstała z Rachel (która zaraz po północy przyszła do niej do łóżka) i Frankie jeszcze nie była na nogach, Maggie pomyślała, że to nieco dziwne, ale dziewczyna była młoda i mogła poznać kogoś w kinie albo po filmie, może w drodze do domu wstąpiła na drinka do starego żeglarskiego pubu. Dopiero o jedenastej, gdy zapukała do drzwi pokoju Frankie – uzgodniły wcześniej, że Maggie będzie miała ten dzień dla siebie – otworzyła je i zobaczyła puste, zasłane łóżko, zaczęła się martwić.

Zadzwoniła do Davida do pracy.

– Jak to zniknęła? – zapytał.

– Po prostu, nie wiem, gdzie jest. Nie wróciła do domu i nie odbiera telefonu.

– Zostawiła wiadomość?

– Gdzie ją miała zostawić? Sprawdziłam jej pokój i kuchnię. Dzwoniłam na jej komórkę, ale nie...

– W porządku, pozwól, że... Wykonam parę telefonów i sprawdzę, czy wróciła do miasta. Pamiętasz, miała problemy z chłopakiem, Troyem, czy jakoś tak. Jeśli niczego się nie dowiem albo jeśli nadal nie wróci, zadzwonię do miejscowej policji.

– Czy to... Nie chcę przesadzać.

– Albo się martwimy, albo nie. Ty mi powiedz.

Zapadła długa cisza, podczas której Maggie się zastanawiała. Przygotowała przekąskę dla Rachel, która gryzła ją w kostki.

– Kochanie?

– Tak – odparła. – To dziwne, powinieneś zadzwonić.

Trzy godziny później siedziała naprzeciw miejscowego szeryfa, Jima Peabody’ego, którego twarz wyglądała jak ostatni kawałek suszonego mięsa w słoiku.

– Może głupio reaguję, ale Frankie jest zwykle bardzo odpowiedzialna – przyznała.

– Proszę sobie tego nie robić, pani Bateman. Proszę nie odbierać sobie mocy. Zna pani dziewczynę i miała pani przeczucie. Proszę mu zaufać.

– Dziękuję. Ja... Dziękuję.

Jim zwrócił się do swojej zastępczyni, przysadzistej kobiety około trzydziestki.

– Odwiedzimy kino, porozmawiamy z Samem i sprawdzimy, czy pamięta dziewczynę. Grace pójdzie do pubu, może tam wstąpiła. Wspomniała pani, że mąż dzwonił do znajomych opiekunki.

– Tak, dzwonił do kilkorga jej przyjaciół i członków rodziny, nikt nie miał od niej wieści.

Rachel kolorowała, głównie po papierze, przy małym okrągłym stoliku dla dzieci, który Maggie kupiła na pchlim targu. W zestawie były też dwa urocze składane krzeselka. Maggie była zdumiona, że podczas całego spotkania córka ani razu im nie przeszkodziła, jakby rozumiała powagę tego, co się działo. Zawsze była wrażliwym i poważnym dzieckiem, do tego stopnia, że Maggie martwiła się czasem, że Rachel może cierpieć na depresję. Czytała w „Timesie” artykuł o dzieciach z depresją i teraz nosiła tę myśl z tyłu głowy, Wielką Koncepcję, która mogła powiązać wszystkie małe trudności, problemy ze snem i nieśmiałość córki. A może Rachel była tylko uczulona na pszenicę.

Tak właśnie wyglądało macierzyństwo, jeden lęk przysłonięty kolejnym.

– Nie ma depresji – mawiał David. – Po prostu się koncentruje.

Ale on był chłopcem, a na dodatek republikaninem. Cóż mógł wiedzieć o zawiłościach kobiecej psychologii?

Po zmierzchu, kiedy nadal nie było żadnych wieści, David zawiesił resztę zadań służbowych i przyjechał do Montauk. Już po paru minutach od jego przyjazdu Maggie poczuła się jak balon, z którego uchodzi powietrze. Maską siły mówiąca „wszystko działa jak zwykle” zniknęła. Zrobiła sobie (i jemu) mocnego drinka.

– Rachel śpi? – zapytał David.

– Tak. Położyłam ją w jej pokoju. Myślisz, że to błąd? Może powinnam położyć ją w naszym?

David wzruszył ramionami. „Nie ma to wielkiego znaczenia – pomyślał. – To jedynie problem w głowie żony”.

– Po drodze zadzwoniłem do szeryfa – poinformował ją, gdy siedzieli w salonie. Ocean szumiał przez ekrany, niewidoczne w czarnym, nocnym powietrzu. – Powiedział, że Frankie na pewno poszła do kina. Ludzie zapamiętali ładną, ubraną miastowo dziewczynę, ale nie ma informacji z baru. Cokolwiek się stało, zdarzyło się, kiedy wracała do domu.

– Co mogło się zdarzyć?

David wzruszył ramionami i wypił łyk drinka.

– Sprawdzili miejscowe szpitale.

Maggie się skrzywiła.

– Cholera, powinnam to zrobić. Dlaczego nie...

– To nie twoje zadanie. Byłaś zajęta Rachel. Sprawdzili szpitale i zeszłej nocy nie zgłosił się nikt pasujący do opisu. Nie było żadnej N.N.

– Davidzie, czy ona nie żyje? Może leży w rowie?

– Nie, nie sędzę. Im dłużej ta sprawa potrwa, tym mniej pozytywnie będę na nią patrzył, ale na razie może po prostu, sam nie wiem, zabalowała.

Jednak oboje wiedzieli, że Frankie nie była typem imprezowiczki.

Tej nocy Maggie spała niespokojnie. Śniło jej się, że potwór z Montauk ożył, wypełził z laguny, przeszedł przez ulicę i bez wątpienia podązał w stronę ich domu, zostawiając za sobą krwawy ślad. Kręciła się i wierciła, wyobrażając sobie, że stworzenie wspina się po elewacji do okna na piętrze, okna Rachel. Czy zostawiła je otwarte? Była ciepła, parna noc. Zwykle zamykała okno, ale może tym razem, roztargniona i rozbita z powodu Frankie, zostawiła je otwarte?

Maggie obudziła się ze stopami już na podłodze, a matczyna panika poprowadziła ją krótkim korytarzem do pokoju córki. Zdziwiła się, że drzwi były zamknięte. Wiedziała, że ich nie zamykała. Właściwie zawsze stawiała przed nimi podkładkę, by nie zatrzasnęły się od podmuchu wiatru. Uderzyła w nie prawie z rozbiegu, ale klamka nie chciała się przekręcić. Mocno natarła na drzwi ramieniem, rozległ się głuchy odgłos.

Usłyszała, jak za jej plecami David się poruszył, lecz z głębi pokoju córki nie dochodził żaden dźwięk. Ponownie spróbowała przekręcić klamkę. Drzwi były zamknięte.

– Davidzie! – krzyknęła raz, potem drugi, a w jej głosie pobrzmiwała już nuta hysterii.

Po chwili był za nią, poruszał się szybko, choć leniwie, jakby część jego mózgu wciąż spała.

– Są zamknięte – powiedziała.

– Przesuń się – polecił.

Maggie odsunęła się, przylegając plecami do ściany, żeby przepuścić męża. David chwycił klamkę swą wielką dłonią i próbował ją przekręcić.

– Dlaczego Rachel nie płacze? – Maggie usłyszała swój głos. – Musiała się obudzić. Na pewno ją obudziłam, uderzając w drzwi.

David jeszcze raz spróbował przekręcić klamkę, potem zrezygnował i uderzył w drzwi ramieniem. Raz, drugi, trzeci. Drzwi odgięły framugę, ale się nie otwały.

– Kurwa mać – zaklął, już całkowicie przebudzony i ogarnięty lękiem. Dlaczego jego córka nie płacze? Z pokoju dobiegał jedynie szum oceanu.

Odsunął się i z całej siły kopnął w drzwi. Tym razem framuga się rozpadła, jeden z zawiasów wyskoczył, a drzwi ustąpiły gwałtownie i wygięły się w tył, jak pięściarz trafiony w brzuch.

Maggie minęła męża, wpadła do pokoju i krzyknęła.

Okno było szeroko otwarte.

Kołyska stała pusta.

Maggie długo wpatrywała się w nią, jakby widok pustego łóżeczka był surrealistyczną niemożliwością. David rzucił się do okna i wyjrzał, najpierw w jedną, potem w drugą stronę. Po chwili wybiegł z pokoju, mijając Maggie. Słyszała, jak głośno zbiega po schodach, po czym dotarł do niej trzask drzwi frontowych i kroki męża najpierw na trawie, później na piasku, a w końcu na żwirze, gdy biegł w stronę drogi.

Kiedy go znalazła, rozmawiał na dole przez telefon.

– Tak – mówił. – To sprawa życia i śmierci. Koszty nie mają znaczenia. – Zapadła cisza, gdy słuchał rozmówcy. – Dobrze, będziemy czekać.

Zakończył rozmowę ze wzrokiem utkwionym w jakimś odległym punkcie przed sobą.

– Davidzie?

– Przyślą kogoś.

– Kto?

– Firma.

– Jak to kogoś? Dzwoniłeś na policję?

David potrząsnął głową.

– To moja córka. Zabrali moją córkę. Nie będziemy korzystać z usług funkcjonariuszy państwowych.

– O czym ty mówisz? Kto ją zabrał? Zaginęła. Oni muszą... my musimy mieć kogoś, dużo osób, które będą jej teraz szukały.

David zaczął zapalać światła, by sprawić wrażenie, że domownicy nie śpią. Przechodził z pokoju do pokoju, a Maggie szła za nim.

– Davidzie?

Ale on był pogrążony w myślach, w jego głowie rodził się jakiś męski plan. Maggie odwróciła się i chwyciła z haczyka kluczyki do samochodu.

– Nie mogę tak siedzieć.

Dogonił ją przy drzwiach i złapał za nadgarstek.

– To nie... – zaczął. – Ona nie oddaliła się sama. Ma dwa lata. Ktoś wszedł przez okno i ją zabrał. Po co? Dla pieniędzy.

– Nie.

– Ale najpierw... – kontynuował – najpierw zabrali Frankie.

Maggie oparła się o ścianę, czując zawroty głowy.

– O czym ty...

David położył dłonie na jej barkach, nie brutalnie, ale stanowczo, by uświadomić Maggie, że nadal ma kontakt z ziemią, z nim.

– Frankie nas zna, zna nasz plan zajęć, nasze finanse, a przynajmniej ich ogólny stan, wie, w którym pokoju śpi Rachel. Wie wszystko. Zabrali Frankie, by mogła im dać Rachel.

Maggie podeszła do kanapy i usiadła na niej, z torebką nadal na ramieniu.

– Chyba że współpracuje z nimi – powiedział David.

Maggie potrząsnęła głową. Zszokowana, paradoksalnie się uspokoiła i miała wrażenie, że jej kończyny zmieniły się w pływające po wodzie wodorosty.

– Nie. Ma dwadzieścia dwa lata, chodzi do szkoły wieczorowej.

– Może potrzebuje pieniędzy.

– Davidzie – oznajmiła, patrząc na męża. – Nie pomagają im. Nie celowo.

Zastanawiali się nad tym, co może zmusić uczciwą młodą kobietę do oddania śpiącego dziecka zostawionego pod jej opieką.

Czterdzieści pięć minut później usłyszeli odgłos opon na podjeździe. David wyszedł na zewnątrz, by przywitać przyjezdnych. Wrócił z sześcioma mężczyznami. Byli uzbrojeni i prezentowali postawę, którą można jedynie określić jako wojskową. Jeden z nich ubrany był w garnitur. Miał oliwkową cerę i przyprószone siwizną skronie.

– Pani Bateman – oznajmił. – Nazywam się Mick Daniels. Ci mężczyźni mają za zadanie chronić państwa i ustalić pewne fakty.

– Miałam sen – usłyszała swój głos Maggie.

– Kochanie – odezwał się David.

– O potworze z Montauk. Wspinał się po ścianie naszego domu.

Mick skinął głową. Jeśli wydało mu się to dziwne, nic na ten temat nie powiedział.

– Spała pani – wyjaśnił – ale część pani coś słyszała. To efekt treningu genetycznego,

nasza zwierzęca pamięć wynikająca z funkcjonowania przez setki tysięcy lat w roli ofiary.

Prosił, żeby pokazali mu sypialnię Rachel i odtworzyli krok po kroku swoje działania. W tym czasie dwaj z jego ludzi przeszukiwali obszar wokół domu. Dwójka przyniosła laptopy, telefony i drukarki i założyła w salonie centrum dowodzenia.

Dziesięć minut później David i Maggie spotkali się ponownie z całą grupą.

– Jeden zestaw odcisków palców – oznajmił czarnoskóry mężczyzna żując gumę – i dwa głębsze ślady dokładnie pod oknem. Sądzę, że w tym miejscu stała drabina. Ślady prowadzą do mniejszego budynku na terenie posesji, a potem znikają. W środku znaleźliśmy drabinę. Rozkładaną. Myślę, że wystarczyłoby, żeby wspiąć się na pierwsze piętro.

– Czyli nie przyniósł własnej drabiny – skomentował Mick. – Użył drabiny, która była na miejscu, co oznacza, że o niej wiedział.

– W zeszły weekend odpadła rynna – wyjaśnił David. – Właściciel domu przyjechał i zamontował ją z powrotem, używając drabiny. Nie jestem pewien, skąd ją wzięł, ale przyjechał sedanem i na pewno nie przywiózł jej ze sobą.

– Przyjrzymy się właścicielowi – rzekł Mick.

– Żadnych widocznych śladów opon na drodze – poinformował drugi mężczyzna trzymający karabin. – Przynajmniej nie świeżych. Nie wiem, w którym kierunku on lub oni mogli się udać.

– Przepraszam – odezwała się Maggie. – Ale kim panowie są? Ktoś zabrał moje dziecko. Musimy zadzwonić na policję.

– Pani Bateman – zaczął Mick.

– Proszę mnie tak nie nazywać – sprzeciwiła się Maggie.

– Przepraszam. Jak mam się do pani zwracać?

– Nie, po prostu... Czy ktoś może mi powiedzieć, co się dzieje?

– Proszę pani – zaczął Mick. – Jestem prywatnym konsultantem do spraw bezpieczeństwa z największej na świecie firmy ochroniarskiej. Zatrudnił mnie pracodawca pani męża i państwo nie poniosą z tego tytułu żadnych kosztów. Osiem lat służyłem w oddziałach Navy Seals, a kolejne osiem w FBI. Pracowałem przy trzystu sprawach o porwanie, z których bardzo wiele zakończyło się powodzeniem. Pracujemy według schematu. Jak tylko go odkryjemy, obiecuję pani, że powiadomimy FBI, ale nie jako bezradni obserwatorzy. Moim zadaniem jest kontrolowanie sytuacji do momentu odzyskania państwa córki.

– I może pan to zrobić? – zapytała Maggie, jakby z innego wymiaru. – Odzyskać ją?

– Tak, proszę pani – przytaknął Mick. – Mogę.

BIEL

To białe ściany go budzą. Nie tylko w sypialni; cały apartament wytłaczany jest czystą kością słoniową, ściany, podłogi, meble. Scott leży z otwartymi oczami, a serce bije mu szybko. Spanie w białej próżni, jak nowa dusza zawieszona w eterze, czekająca na otwarcie drzwi, na biurokratyczne odhaczenie przydziału ciała, modląca się bez tchu o wynalezienie koloru, najwyraźniej może doprowadzić człowieka do szaleństwa. Scott kręci się i wierci pod białą kołdrą, na białych poduszkach, w łóżku, którego ramę pomalowano na kolor skorupki jaj. O drugiej piętnaście w nocy zrzuca kołdrę i stawia stopy na podłodze. Odgłosy ruchu ulicznego zakradają się przez okna z podwójnymi szybami. Scott poci się z wysiłku, jakiego wymaga zmuszenie się do pozostania w łóżku, i przez ściany klatki piersiowej czuje, jak bije mu serce.

Idzie do kuchni, rozważa zrobienie sobie kawy, ale z jakiegoś powodu wydaje mu się to nieodpowiednie. Noc to noc, a rano to rano i mieszanie ich ze sobą może doprowadzić do utrzymującego się poczucia braku osadzenia. Człowiek poza czasem, w przesunięciu fazowym, pijący burbona na śniadanie. Scott czuje swędzenie pod powiekami. Idzie do salonu, zauważa komodę, otwiera wszystkie szuflady. W łazience znajduje sześć szminek, a w kuchni czarny marker i dwa zakreślacze, różowy i żółty. W lodówce są buraczki, przypalone i tłuste. Scott wyjmuje je i stawia na kuchence garnek z wodą, by się zagotowała.

Mówią o nim w telewizji. Nie musi włączać telewizora, by to wiedzieć. Jest teraz częścią cyklu, niekończącego się zamartwiania. Pobielone deski podłogowe skrzypią pod stopami, gdy drepcze do salonu (białego). Kominek nadal jest osmalony od niedawnego używania. Scott kuca na chłodnej ceglanej krawędzi i rozgrzebuje popiół. Wyczuwa dłonią grudkę węgla i wyciąga go jak diament z kopalni. Na przeciwległej ścianie znajduje się sięgające do podłogi lustro. Prostując się, Scott dostrzega w nim swoje odbicie. Przypadkowo ma na sobie białe bokserki i białą koszulkę, jakby on również był powoli pochłaniany przez nieskończoną nicość. Na widok siebie w tym białym świecie – blady biały mężczyzna odziany w biel – zaczyna rozważać możliwość, że może być duchem. „Co jest bardziej prawdopodobne – zastanawia się – to, że płynąłem wiele kilometrów z przetrąconym barkiem i dzieckiem na plecach, czy to, że utonąłem we wzburzonej soli, jak moja siostra wiele lat temu, gdy jej pełne paniki oczy i usta zostały wciągnięte w głąb zachłannych czarnych wód jeziora Michigan?”

Z węglem w ręce chodzi po apartamencie i zapala światła. Działa pod wpływem instynktu, niezbyt racjonalnie. Na zewnątrz słyszy zgrzyt hamulców pierwszej tego dnia śmieciarki. Jej mechaniczne szczęki miażdżą wszystko, czego już nie potrzebujemy. W całkowicie oświetlonym apartamencie Scott obraca się powoli, by przyjrzeć się wszystkiemu, białym ścianom, białym meblom, białym podłogom. Pojedynczy obrót

zamienia się w swoistego rodzaju wirowanie, jakby raz zaczęty nie mógł zostać zatrzymany. Biały kokon przerywany czarnymi lustrami, podniesionymi roletami.

Wszystko, co może wytworzyć kolor, zostało zgromadzone na stercie leżącej na małym białym stoliku do kawy. Scott stoi z popielatym węglem w dłoni. Przerzuca grudkę z lewej ręki do prawej, a jego wzrok przyciąga dzika czarna plama po wewnętrznej stronie lewej dłoni. Potem z zapalem uderza otwartą dłonią w klatkę piersiową i przeciąga ją w kierunku brzucha, rozmazując popiół na bawełnie.

„Żywy”, myśli.

Po czym zabiera się za ściany.

Godzinę później słyszy pukanie do drzwi i odgłos klucza w zamku. Do apartamentu wchodzi Layla, nadal ubrana wieczorowo, w krótkiej sukience i butach na wysokim obcasie. Zastaje Scotta w salonie, rzucającego burakami w ścianę. Jego koszulka i spodenki są „zniszczone”, mówiąc oględnie, albo „znacznie ulepszone” w oczach tego konkretnego malarza. Powietrze pachnie delikatnie węglem i burakami. Scott podchodzi do ściany, kuca i podnosi rozgniecioną bulwę. Słyszy za plecami kroki w korytarzu, a potem odgłos wciąganego powietrza, przerażony wdech.

Słyszy go i jednocześnie nie słyszy, ponieważ w tym samym czasie dosięgają go własne myśli. Wizje i wspomnienia oraz coś bardziej abstrakcyjnego, naglącego, ale nie w kontekście wstrząsu czy przełomu. To raczej uczucie, gdy po długiej podróży do domu oddaje się w końcu mocz. Stanie w korku, bieg do drzwi frontowych, poszukiwanie kluczy, pospieszne rozpinanie drżącymi rękami rozporka. Światło, kiedyś zgaszone, teraz zapalone.

Obraz ukazuje się Scottowi z każdym pociągnięciem.

Za nim Layla patrzy z otwartymi ustami, ogarnięta uczuciem, którego nie rozumie. Jest nieproszonym gościem w trakcie aktu tworzenia, nieoczekiwanym podglądaczem. Ten apartament, który jest jej własnością i który sama udekorowała, stał się czymś innym, czymś niespodziewanym i dzikim. Sięga do stóp, ściąga buty na obcasach i trzymając je w ręce, podchodzi do nakrapianej białej kanapy.

– Byłam na imprezie w centrum – odzywa się. – Na jednym z tych niekończących się „a, wszystko jedno”... Zobaczyłam z ulicy, że pali się u ciebie światło. Wszystkie światła.

Siada, z jedną nogą podwiniętą pod drugą. Scott przeczesuje włosy dłonią, a jego głowa przybiera kolor ugotowanego homara. Następnie podchodzi do stolika kawowego i wybiera szminkę.

– Pięćdziesięciolatek powiedział, że chciałby powąchać moje majtki – oznajmia Layla. – Nie, chwileczkę, nie tak. Chciał, bym zdjęła majtki, wsunęła mu je do kieszeni, a potem, gdy jego żona zaśnie, on podsunie je sobie pod nos i spuści się do umywalki.

Rozplata nogi, wstaje i podchodzi do barku, by nalać sobie drinka.

Nie zważając na nią, Scott wypróbowuje szminkę na ścianie, a potem zamyka ją

i bierze inny odcień.

– Wyobraź sobie jego zdziwione spojrzenie, kiedy mu oznajmiłam, że nie mam na sobie majtek – kontynuuje Layla, obserwując, jak Scott wybiera pomadkę w kolorze Letni Rumieniec. Sący drinka. – Zastanawiasz się czasem, jak to było przedtem?

– Przed czym? – pyta Scott, nie odwracając się.

Layla kładzie się na plecach na kanapie.

– Czasami martwię się, że ludzie rozmawiają ze mną tylko dlatego, że jestem bogata, albo dlatego, że chcą mnie przelecieć – wyznaje.

Scott jest jak promień lasera, skoncentrowany na jednym punkcie.

– Czasami pewnie zastanawiają się tylko, czy chcesz zamówić przystawkę albo może koktajl – odpowiada.

– Nie mówię o sytuacjach, gdy wymaga tego ich praca. Mówię o sali pełnej ludzi, o spotkaniu towarzyskim lub biznesowym. Mówię o sytuacji, kiedy ktoś patrzy na mnie i myśli: „To ludzka istota, która może dodać coś ważnego do wspaniałej dyskusji”.

Scott zamyka szminkę i cofa się, by sprawdzić efekt swojej pracy.

– Kiedy miałem siedem lat – opowiada – uciekłem z domu. To znaczy nie od rodziny, tylko z budynku. Wspiąłem się na drzewo na podwórzu za domem. „To im pokaże”, myślałem, nie pamiętam nawet z jakiego powodu. Mama zobaczyła mnie z okna kuchennego, patrzącego gniewnie chłopca na gałęzi, z plecakiem i poduszką, ale dalej robiła obiad. Obserwowałem ich później, jak jedli w kuchni, mama, tata i siostra. „Podaj ciasteczka”. Po umyciu naczyń usiedli na kanapie i oglądali telewizję. *Prawdziwych ludzi*, a może *Pełną chatę*. Zacząłem marznąć. – Scott rozmazuje węgiel, doskonaląc efekt. – Próbowalaś kiedyś spać na drzewie? Trzeba być panterą. Jedno po drugim światła w domu gasną. Zapomniałem wziąć jedzenie i sweter. Po jakimś czasie schodzę na dół i wracam do domu. Tylne drzwi są otwarte. Mama zostawiła dla mnie na stole talerz z jedzeniem i liścik: „W zamrażalniku są lody!”. Siadam i jem w ciemności, a potem idę na górę i kładę się do łóżka.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Nic. To po prostu coś, co kiedyś zrobiłem. – Rozciera linie narysowane węglem na płycie gipsowo-kartonowej, dodając cieni. – A może – ciągnie – chodzi mi o to, że ludzie mogą powiedzieć wiele rzeczy, nie otwierając nawet ust.

Layla wyciąga ręce i nogi i odwraca się biodrem do sufitu.

– W wiadomościach podali, że chłopiec przestał mówić – informuje. – Że od wypadku nie odezwał się ani słowem. Nie wiem, skąd oni to wiedzą, ale tak mówią.

Scott drapie się po twarzy, zostawiając czarną smugę na skroni.

– Kiedy piłem, byłem tak zwaną gadułą – wyznaje. – Mówiłem bez przerwy, zwykle to, co moim zdaniem ludzie chcieli usłyszeć. Chociaż to nieprawda. Mówiłem to, co uważałem za prowokacyjne. Prawdę.

– Jaki był twój ulubiony alkohol?

– Whisky.

– Bardzo męski.

Scott otwiera żółty zakreślacz i w zamyśleniu pociera mokrym filcem o lewy kciuk.

– W dniu, kiedy wytrzeźwiałem, przestałem mówić – kontynuuje. – Co miałem powiedzieć? By sformułować myśl, trzeba mieć nadzieję. Mówienie, zaangażowanie się w rozmowę wymaga... sam nie wiem... optymizmu. Jaki naprawdę jest cel całej komunikacji? Jakie naprawdę ma znaczenie to, co do siebie wypowiadamy? Albo nawet co robimy?

– Takie myślenie ma swoją nazwę – odpowiada Layla. – To depresja.

Scott odkłada zakreślacz, odwraca się powoli, żeby ocenić pracę. Kształty i kolory podlegające interpretacji. Nagle czuje się wyczerpany, teraz, gdy pokój nabrał głębi i wymiarów. Jego wzrok pada na Laylę. Widzi, że zdjęła sukienkę i leży naga na kanapie.

– Nie żartowałaś na temat bielizny.

Layla się uśmiecha.

– Całą noc byłam bardzo zadowolona, wiedząc, że mam swój sekret – wyznaje. – Wszyscy rozmawiali o tym, co się stało, o tajemnicy... katastrofie samolotu. Czy to był atak terrorystyczny? Scenariusz pod hasłem „zabić bogacza” zwiastujący początek końca? A może cios packą na muchy mający na celu powstrzymanie Kiplinga przed sypaniem? Szkoda, że cię tam nie było. Potem jednak tematy się zmieniły, stały się bardziej osobiste. Wszyscy ci bogaci elitaryści rozmawiają o chłopcu i dywagują, czy kiedykolwiek zaczną znowu mówić.

Przygląda się Scottowi.

– Mówią o tobie.

Scott podchodzi do zlewu kuchennego i myje ręce, obserwując, jak popiół i szminka spływają do ścieków. Kiedy wraca, kanapa jest pusta.

– Tutaj – woła z sypialni Layla.

Scott się zastanawia, do czego doprowadzi naga kobieta w jego sypialni, a potem odwraca się i wchodzi do gabinetu. W tym pokoju ściany nadal są białe. To obraża jego poczucie spełnienia, więc przylega klatką piersiową do płyty gipsowo-kartonowej i zostawia na niej kształt ciała jak Wiluś E. Kojot. Podchodzi do biurka i podnosi słuchawkę telefonu.

– Obudziłem cię? – pyta, gdy ona odbiera.

– Nie – odpowiada Eleanor. – Nie śpimy. JJ miał koszmar.

Scott wyobraża sobie, jak chłopiec wierci się i kręci, a wewnątrz jego głowy przypomina rozszalały ocean.

– Co teraz robi?

– Je płatki. Próbowałam położyć go z powrotem spać, ale nie chciał, więc znalazłam Świat słów na PBS.

– Mogę z nim porozmawiać?

Słyszysz, jak Eleanor odkłada telefon, a potem stłumiony dźwięk jej rozlegającego się w pokoju głosu:

– JJ!

Poddawszy się grawitacji, Scott kładzie się na podłodze, a kabel telefoniczny rozciąga się razem z nim. Po chwili słyszy szuranie plastikowej słuchawki o twardą powierzchnię, a potem oddech.

– Hej, kolego – mówi i czeka. – Tu Scott. Właśnie... Wygląda na to, że obaj się obudziliśmy, co? Miałeś zły sen?

Scott słyszy, jak w drugim pokoju Layla włącza telewizor i aplikuje sobie dwudziestoczworogodzinny cykl życia informacji. Z telefonu dobiega go oddech chłopca.

– Myślałem, że mógłbym do was przyjechać, zobaczyć się z tobą – kontynuuje. – Mógłbyś pokazać mi swój pokój albo, sam nie wiem... Gorąco tu ostatnio, w mieście. Twoja ciocia mówi, że mieszkacie nad rzeką. Mógłbym cię nauczyć, jak puszczać kaczki albo...

Scott myśli o tym, co właśnie powiedział. „Odwiedzmy razem wielki zbiornik wodny”. W głębi duszy zastanawia się, czy chłopiec krzyczy za każdym razem, gdy ktoś spuszcza wodę w toalecie, czy płoszy się na dźwięk napełniania wanny.

– Na lęk, to znaczy: kiedy się boję, najbardziej pomaga mi przygotowanie – radzi. – Poznanie, jak coś można robić. Na przykład podczas ataku niedźwiedzia trzeba udawać martwego. Wiedziałaś o tym?

Czuje, jak z głębi podłogi ciągnie go ciężar wyczerpania.

– A co z lwami? – pyta chłopiec.

– Cóż – odpowiada Scott. – Nie jestem pewien. Ale wiesz co? Dowiem się tego i powiem ci, kiedy się zobaczymy, dobrze?

Zapada długa cisza.

– Dobrze – mówi chłopiec.

Scott słyszy, jak JJ upuszcza słuchawkę, a następnie dźwięk podnoszenia aparatu.

– Rety – odzywa się Eleanor. – Nie wiem, co...

Rozmowa zawisa między nimi, wymiana zdań z cudotwórcą. Scott nie chce o tym mówić. Według niego to, że chłopiec rozmawia tylko z nim i z nikim innym, to jedynie fakt i nie przypisuje mu psychologicznego znaczenia.

– Powiedziałem mu, że go odwiedzę – informuje Eleanor. – W porządku?

– Oczywiście. To będzie dla niego... dla nas przyjemność.

Scott zastanawia się nad modulacją głosu Eleanor.

– A co z twoim mężem? – pyta.

– Jest bardzo niewiele rzeczy, które lubi.

– Ciebie?

Cisza.

– Czasami.

Zastanawiają się nad tym przez chwilę. Scott słyszy z sypialni westchnięcie, ale nie potrafi stwierdzić, czy to ludzki odgłos, czy efekt dźwiękowy z ekranu.

– Dobrze, słońce niedługo wzejdzie – stwierdza Scott. – Postaraj się dzisiaj zdrzemnąć.

– Dzięki – odpowiada Eleanor. – Miłego dnia.

Miły dzień. Prostota tego stwierdzenia wywołuje uśmiech na jego twarzy.

– Tobie też.

Po zakończeniu rozmowy Scott leży przez chwilę na podłodze, balansując na krawędzi snu, a potem się podnosi. Idzie za dźwiękiem telewizora. Zdejmuje koszulkę i upuszcza ją na podłogę, potem ściąga bokserki i wchodzi do sypialni, wyłączając po drodze światła. Layla leży przykryta do połowy kołdrą, w pozie z biodrem ku górze. Wie, jak wygląda, zna moc tego widoku. Oczy wstydliwie utkwiała w ekranie. Lekko zmarznięty Scott kładzie się do łóżka. Layla wyłącza telewizor. Na zewnątrz słońce właśnie zaczyna wschodzić. Scott kładzie głowę na poduszkach. Czuje, jak jej ręka, a potem całe ciało przysuwają się do niego. Fale zalewają białą, piaszczystą plażę. Layla kładzie się w poprzek na jego biodrze i klatce piersiowej. Jej usta odnajdują jego kark. Scott czuje, jak ciepło kołdry pociąga go w dół. Białe pudełko zostało pokonane. Próżnia stała się miejscem. Ręka Layli dotyka jego klatki piersiowej. Jej noga muska jego piszczel i usadawia się na udzie. Ciało kobiety jest gorące, łuk piersi czerwieni się przy ręce Scotta. Layla niespiesznie trąca go nosem i szepcze w zagięcie jego karku.

– Ty lubisz ze mną rozmawiać, prawda? – pyta.

Ale on już śpi.

OBRAZ 4

Z pozoru wygląda jak puste płótno. Długi biały prostokąt pokryty gruntem. Lecz z bliska widać, że owa biel ma swoją topografię, cienie i doliny. Biała farba została położona warstwami, a pod nią prześwitują kolory, jak rumieniec czegoś skrywanego. Myślimy, że może jednak płótno nie jest białe, może obraz został zakryty, wymazany przez biel. Prawda jest taka, że gołym okiem nigdy nie zdołamy odkryć przedstawionej historii. Ale jeśli wyciągniemy dłoń i przesuniemy ją po dolinach i krawędziach gruntu, jeśli zamkniemy oczy i pozwolimy topograficznej prawdzie przesączyć się na powierzchnię, może wówczas kontury sceny zaczną wyciekać.

Płomienie. Zarys budynku.

Resztę dopowie wyobraźnia.

PUBLICZNE/PRYWATNE

Budzi go klakson samochodu, długi uporczywy dźwięk. Layli nie ma. Klakson odzywa się ponownie. Scott wstaje i nagi podchodzi do okna. Na zewnątrz stoi ekipa reporterów wiadomości, przy krawężniku zaparkował wóz transmisyjny z wystawioną anteną satelitarną.

Znaleźli go.

Scott odsuwa się od zasłony, znajduje pilota i włącza telewizję. Pojawia się obraz domu, białego dwupiętrowego budynku z niebieskimi oknami i czarnymi gwiazdami na wysadzonej drzewami ulicy w Nowym Jorku. To dom, w którym teraz stoi. Pod obrazem przesuwają się pasek informacji, wyświetlając słowa i numery: NASDAQ – spadek o 13 pkt proc., Dow Jones – wzrost o 116 pkt proc. Po lewej stronie ekranu Bill Cunningham zajmuje swoje własne okno i nachyla się do kamery.

– ...podobno mieszka ze znaną radykalną dziedziczką, której ojciec w zeszłym roku przekazał na wsparcie działań lewicowych czterysta milionów dolarów. Pamiętajcie, drodzy widzowie, mężczyznę, który próbował kupić wybory w dwa tysiące dwunastym roku? To jego mała córeczka. Chociaż już nie taka mała. Spójrzcie na jej zdjęcia zrobione w tym roku podczas festiwalu filmowego we Francji.

Obraz domu na ekranie wędruje do mniejszego okna i zastępuje go seria zdjęć Layli w skąpych sukniach balowych, zdjęć wyciętych z magazynów o modzie i brukowców. Pojawia się również ujęcie w bikini, zrobione obiektywem długoogniskowym, z jachtu jakiegoś aktora.

Scott zastanawia się, czy Layla jest w domu i ogląda wiadomości.

Jakby na dźwięk jego myśli otwierają się drzwi do apartamentu. Wchodzi Layla ubrana jak na dzień pełen spotkań.

– Nikomu nie powiedziałam – tłumaczy się. – Przyrzekam.

Scott wzrusza ramionami. Nie zakładał, że powiedziała. Według niego oboje należą do wymierającego gatunku, odkrytego w czasie zrzucania skóry przez ciekawskie dziecko z trudnościami w kontrolowaniu odruchów.

Na ekranie widzi piętnaście zasłoniętych okien, wąskie drzwi wejściowe pomalowane na niebiesko i dwoje równie niebieskich drzwi do garażu. Jediną rzeczą osłaniającą jego bezpieczny dom przed widokiem jest młode drzewko, a właściwie patyk z niepewną chmurką zielonych liści. Scott obserwuje w telewizji dom, w którym się znajduje, zaniepokojony, ale jednocześnie dziwnie zafascynowany, jak człowiek, który ogląda siebie samego zjadanego żywcem. Najwyraźniej nie może już uniknąć stania się postacią

publiczną. Musi uczestniczyć w tym komercyjnym tańcu.

„Jakie to dziwne”, myśli.

Layla staje obok niego. Chce powiedzieć coś więcej, ale tego nie robi. Po chwili odwraca się i wychodzi z apartamentu. Scott słyszy dźwięk zamykanych drzwi, a potem odgłos jej obcasów na schodach. Stoi, wpatrując się w dom na ekranie telewizora.

Wyglądający na podekscytowanego Bill Cunningham mówi:

– ...ruch w oknie na górze zaledwie chwilę temu. Źródła podają, że pani Mueller mieszka w domu sama, co... Ile jest tam sypialni, drodzy widzowie? Na moje oko przynajmniej sześć. Nie mogę się powstrzymać przed połączeniem kilku faktów. Szef konserwatywnej sieci telewizyjnej ginie w tajemniczych okolicznościach, a potem człowiek, który jako jedyny ocalał z katastrofy lotniczej, zamieszkuje z córką lewicowego aktywisty. Cóż, niektórzy nazwą to zbiegiem okoliczności, ale nie ja.

Na ekranie widać, jak jedne z drzwi garażowych otwierają się. Scott nachyla się i ogląda teraz coś więcej niż telewizję. Podświadomie czuje, że zobaczy siebie wyjeżdżającego samochodem, ale zamiast tego wyłania się czarny mercedes, a za jego kierownicą Layla w dużych okularach przeciwsłonecznych. Kamery reporterskie ruszają w jej kierunku, próbując zablokować drogę, ale Layla wyjeżdża szybko, marząc o tym, by rozjechać dziennikarzy. Zanim zdołają ją osaczyć, skręca w lewo i rusza wzdłuż Bank Street, w kierunku Greenwich.

Drzwi do garażu zamykają się za nią.

– ...na pewno właścicielka domu – stwierdza Cunningham. – Zastanawiam się jednak, czy potencjalnie mógł tam być ten Burroughs, zwinięty na tylnym siedzeniu jak jakiś uciekinier z więzienia w filmie Peckinpaha.

Scott wyłącza telewizor. Jest teraz sam w domu, stoi nago w białym pokoju, a słońce rzuca cienie na podłogę. Jeśli będzie racjonował sobie jedzenie i jadł jeden posiłek dziennie, zdoła pozostać w mieszkaniu przez sześć dni. Zamiast tego bierze prysznic i ubiera się. „Magnus”, myśli. Jeśli ktoś się wygadał, to on. Kiedy jednak dzwoni do kolegi, Irlandczyk twierdzi, że jest niewinny.

– Zwolnij – mówi Magnus. – Czyj dom pokazują w telewizji?

– Musisz mi pożyczyć samochód – oznajmia Scott, gdy omawianie w kółko tematu nie przynosi rezultatów. Magnus jest w centrum, w dzielnicy dawniej zwanej Hiszpańskim Harlemem, na wpół pijany, chociaż jest dopiero dziesiąta rano.

– Szepnąłeś o mnie dobre słowo, co? – pyta. – Layli. Szepnąłeś co nieco w to piękne uszko? Magnus to najlepszy malarz, coś w tym...

– Wczorajszego wieczoru. Długo chwaliłem twoje użycie kolorów i światła.

– Dobrze, chłopie. Bardzo, kurwa, dobrze.

– Rozważa przyjście w ten weekend, żeby zobaczyć nowe prace.

– Spuchłem na całego – ekscytuje się Magnus. – W te kilka sekund. Główka jest cała

fioletowa i nabrzmiała, jak po ukąszeniu węża.

Scott podchodzi do okna. Zasłony są przewiewne, ale nie prześwitujące. Scott próbuje spojrzeć w dół, świadomy, że przed domem stoją ludzie i patrzą na niego. W przelocie dostrzega drugi wóz transmisyjny, zatrzymujący się przy krawężniku.

– To nie musi być duży samochód – informuje kolegę. – Potrzebuję go tylko na kilka dni, by pojechać do Croton.

– Chcesz, żebym pojechał z tobą? – pyta Magnus.

– Nie, potrzebuję cię tutaj – odpowiada Scott. – Masz pilnować fortu. Layla lubi nie spać całą noc, jeśli wiesz, co mam na myśli.

– Umowa stoi, przyjacielu. Mam tyle viagry, że wystarczy do Halloween.

Po zakończeniu rozmowy Scott chwyta kurtkę, wchodzi do salonu i nagle nieruchomieje. W całym tym chaosie zapomniał o godzinach spędzonych w nocy na pozbywaniu się bieli. Stoi teraz w sześcianie węgla i szminki, a wokół widać buraczane plamy zastygłe w rubinowych strugach. Otacza go bazar na Martha's Vineyard, szkic obrazu w trzech wymiarach, a meble wyglądają tak, jakby ustawiono je pośrodku otwartego rynku. Na przeciwległej ścianie widać sklep rybny, otwarte, wypełnione lodem chłodziarki stoją pod długim białym stołem do gier karcianych, obok rzędy warzyw, potrójne pojemniki z jagodami. Do tego twarze, odtworzone z pamięci, naszkicowane pospiesznie kruszącym się węglem.

A w centrum na białym płóciennym krześle siedzi Maggie, z głową i ramionami naszkicowanymi na ścianie i ciałem obrysowanym na materiale krzesła. Uśmiecha się, a na jej oczy cień rzuca duży letni kapelusz. Po obu jej stronach stoją dzieci. Dziewczynka przy ramieniu, po prawej, a po lewej chłopiec, do połowy zasłonięty małym stolikiem. Widać tylko jego drobną rączkę przytwierdzoną do kawałka ramienia i kończącą się pośrodku bicepsa koszulkę w paski w kolorze buraków, natomiast resztę postaci zakrywa drewno.

Scott stoi zeszywniały pośrodku sceny, wyjęty z czasu, otoczony duchami. Potem schodzi na dół, żeby stawić czoła tłumowi.

JACK

– **Nigdy nie lubiłem** ćwiczyć – powiedział Jack LaLanne. – Ale lubiłem wyniki.

Taki wniosek płynął bezpośrednio już z samej definicji jego tricepsu, nie wspominając o wadze jego beczkowatych ud, jak u koni rasy Clydesdale. Mężczyzna średniego wzrostu, którego kombinezon aż pęka w szwach. Miał w mieszkaniu muzeum sprzętów do ćwiczeń pełne dziwacznych maszyn, w większości własnej konstrukcji. To właśnie Jack w 1936 roku wynalazł urządzenie do ćwiczenia mięśni czworogłowych. Realizował podejście, według którego należało ćwiczyć mięsień aż do całkowitej utraty sił, ponieważ wierzył w moc transformacji przez zniszczenie tkanek głębokich.

Na początku na trening ubierał się w koszulkę z krótkim rękawem i parę zwykłych spodni. Lubił uczucie rozciągania materiału. Potem wpadł na pomysł prezentowania się w obcisłych kombinezonach, uniformie samodoskonalenia. Pojechał do fabryki spodni w Oakland, przedstawił swoje szkice i szeroki wybór kolorów, głównie błękitów i szarości. Afroamerykanka zdjęła jego miarę za pomocą taśmy tkaninowej, jeżdżąc wokół niego na skrzypiącym metalowym krześle. W owych czasach jedynym rozciągliwym materiałem była wełna, więc firma uszyła kombinezony właśnie z niej, utkawszy materiał najcieniej, jak się dało. Jack powiedział kobiecie, że chce, aby stroje były połyskliwe, paradne, bez rękawów, żeby wyeksponować jego obszerne ramiona, i zwężone w talii.

Były tak obcisłe, że widać było, co Jack zjadł tego dnia na śniadanie.

Miejskowy sklep medyczny zapłacił Jackowi za stworzenie programu o zasięgu lokalnym dla stacji KGO-TV. Uczył ludzi o mocy diety, opracowywał zestawy ćwiczeń na każdy miesiąc, od palców stóp po język. Sześć lat później program zaczął być nadawany w całym kraju. Ludzie jedli śniadanie, oglądając Jacka skaczącego na czubkach palców. Biegli przed telewizor i naśladowali to, co widzieli, zginali się w pasie i zataczali ramionami młynki jak ptaki. Kiedy sprawy nabrały rozpędu, niektóre używane przez Jacka słowa i wyrażenia weszły do amerykańskiego leksykonu: „pajacyki”, „przysiady z wyrzutem nóg”, „unoszenia nóg”.

W zestawie z każdym kombinezonem Jack posiadał zapinany w talii na klamerkę monochromatyczny pasek. W swoich najlepszych latach był mężczyzną o kwadratowej szczęce i ciele o budowie klepsydry, a kruczoczną czuprynę przycinał w klasyczne włoskie fale jak na przykład Frankie Valli. Na początku kariery dla większości ludzi istniał jedynie w czerni i bieli, etniczny hydrant wskazujący anatomiczne schematy i wyjaśniający, co dzieje się wewnątrz ludzkiego ciała. „Bo widzicie – zdawał się mówić. – Nie jesteśmy tylko zwierzętami. Jesteśmy architekturą. Kości, ścięgna i więzadła tworzą podstawę rozwijającej się masy mięśniowej”. Jack pokazał nam, że wszystko w ludzkiej anatomii jest połączone i może zostać razem cudownie wykorzystane.

Uśmiech oznaczał użycie całego systemu mięśni zasilanych radością.

Któregoś dnia zaprezentował Amerykanom, co zrobić, by ich twarze wyglądały na „wysportowane”. Komicznie szeroko otwierał usta i zamykał je do rytmicznej piosenki *Zabierz mnie na mecz* granej na organach podczas zawodów sportowych.

Potem, w latach siedemdziesiątych, Jack poszedł na całość z kolorami i wbiegał na wyłożony drewnianymi panelami plan filmowy w błyszczących fioletach i błękitach. Został gospodarzem talk-show, w którym rozmawiał z kulturystami o diecie i stylu życia. Były to czasy programu przyrodniczego *Dzikie królestwo Mutual of Omaha's*. W Wietnamie poniesiono porażkę, Amerykanie stanęli na Księżycu, a Nixon wydawał się zdecydowany, by odejść w niełasce. Ludzie włączali program Jacka z powodu jego nieograniczonej energii, zmęczeni tym, że patrząc w dół, widzą swój brzuch. Chcieli podwyższyć sobie tętno i zmienić swoje życie.

– A teraz, prosto z Hollywood – huczał prezenter – wasz osobisty instruktor zdrowia i sprawności, Jack LaLanne!

Przez trzydzieści minut dostawało się zastrzyk inicjatywy „możesz to zrobić”, sponsorowaną firmowo korektę postawy. Dostawało się góry do wspinania, inspirację oraz umiejętności.

– Czy nie lepiej być szczęśliwym z problemem, niż być z nim nieszczęśliwym? – pytał Jack.

„Nie rozpaczajcie – mówił narodowi brnącemu przez recesję. – Kiedy życie staje się trudne, wy musicie stać się twardsi”.

Tak było w trakcie inspirującej fazy Jacka, kiedy zdał sobie sprawę, że ludzie potrzebują nie tylko zasad dotyczących ćwiczeń, ale też lepszego sposobu patrzenia na świat. Kończyły się reklamy i pojawiał się on, człowiek od pajacyków, siedzący tyłem do przodu na metalowym krześle i wykładający swoją naukę.

– W tym kraju jest tylu niewolników – mawiał. – Czy ty jesteś jednym z nich? Prawdopodobnie pytasz: Jacku, jak można być niewolnikiem w tym wspaniałym, wolnym kraju, jakim jest Ameryka? Nie chodzi mi o niewolnictwo, o którym myślicie. Mam na myśli to, że jesteście niewolnikami, gdy nie możecie zrobić rzeczy, które chcecie zrobić i kiedy chcecie je zrobić. Ponieważ jesteście niewolnikami, tak jak dawni niewolnicy, których chwymano i zakuwano w kajdany. Byli skrupowani i nie mogli nigdzie pójść.

Jack spojrział prosto w kamerę.

– Jesteście takimi samymi niewolnikami.

Wtedy nachylił się do przodu, wskazał kamerę i oznajmił, wymawiając wyraźnie każdą sylabę:

– Jesteście niewolnikami waszych ciał.

„Umysł pozostaje aktywny aż do śmierci, ale jest niewolnikiem ciała – mawiał. – Ciało, które stało się tak leniwe, że chce jedynie siedzieć. Świt kanapowego leniucha. I sami na to pozwoliliście”.

– To wy powinniście rządzić swoim ciałem, a zamiast tego ono rządzi wami.

To był początek ery telewizji i letarg zawładnął już społeczeństwem, hipnoza migoczącej poświaty. Pudło dla idioty. A tutaj Jack mówił prawdę o sile i próbował wyrwać ludzi z tłamszących okowów współczesnego świata.

„To nie są jakieś skomplikowane głupoty”, mówił oczami, a ruch jego ciała zdawał się podkreślać każde wypowiedziane zdanie. Żaden francuski filozof, żywy czy martwy, nie zdołałby przekonać Jacka LaLanne’a, że problemy człowieka miały charakter egzystencjalny. To była kwestia woli, wytrwałości, wyższości umysłu nad materią. Tam, gdzie Sartre widział nudę, Jack widział energię. Gdzie Camus widział bezsens i śmierć, Jack dostrzegał łamiącą deski moc powtórzeń.

Doszedł do władzy w erze Buzza Aldrina i Neila Armstronga, w czasach Johna Wayne’a. Według niego Amerykanie byli narodem ambitnym. Nie było zbyt wielkich wyzwań ani zbyt dużych przeszkód.

Jack mówił nam, że Amerykanie są narodem przyszłości, że wszyscy znajdujemy się na krawędzi podróży w błyszczących rakietach do fantastycznonaukowej nirwany.

Tyle że według Jacka powinniśmy w tym kierunku biec.

IMAGO

Atakuje go sztuczne światło, obramowane kamerami o halogenowych lampach. Scott odruchowo mruży oczy, dzięki czemu pierwsze zdjęcie, na którym zobaczy go świat, przedstawia lekko skrzywionego mężczyznę z przymkniętym lewym okiem. Gdy wychodzi przez drzwi frontowe, ciała ruszają do przodu, mężczyźni z kamerami na ramionach i kobiety z zakończonymi kulą mikrofonami ciągną kable po chodniku upstrzonym gumami do żucia.

– Scott – wołają. – Scott, Scott!

Sadowi się na progu, przed na wpół otwartymi drzwiami, na wypadek gdyby musiał szybko uciekać.

– Dzień dobry – wita się.

Jest mężczyzną, który zaczyna rozmowę z tłumem. W jego kierunku lecą pytania, a wszyscy mówią jednocześnie. Scott myśli o tym, czym kiedyś była ta ulica, zalesionym strumieniem wijącym się w kierunku mulistej rzeki.

– Jaki macie cel? – pyta.

– Tylko kilka pytań – wyjaśnia jeden z dziennikarzy.

– Ja przyszłam tu pierwsza – odzywa się kolejna osoba, blondynka trzymająca mikrofon z literami ALC wytłoczonymi na prostokątnym pudełku. Informuje, że nazywa się Vanessa Lane, i w tym momencie Bill Cunningham mówi jej do ucha z centrum kontroli.

– Scotcie, co tutaj robisz? – pyta, przesuwając się na czoło tłumowi.

– Tutaj, na ulicy? – pyta Scott.

– Z panią Mueller. Czy to pańska koleżanka, czy może ktoś więcej?

Scott rozważa to pytanie. Czy to koleżanka, czy może ktoś więcej. Nie jest pewien, co to pytanie naprawdę znaczy.

– Musiałbym się nad tym zastanowić – odpowiada. – Czy jesteśmy przyjaciółmi. Tak naprawdę dopiero się poznaliśmy. Poza tym istnieje jej punkt widzenia, to, jak ona widzi sprawy. Może ja źle to rozumiem, znaczenie tego, co... Któż tego nie robił: myślał, że coś jest czarne, kiedy faktycznie było białe?

Vanessa marszczy brwi.

– Proszę opowiedzieć nam o katastrofie – kontynuuje. – Jakie to było doświadczenie?

– W jakim sensie?

– Gdy był pan sam w szalejącym oceanie, a potem usłyszał płaczącego chłopca.

Scott się zastanawia, a jego milczenie bombardują inne pytania, wykrzykiwane na wyścigi.

– Szukacie porównania: to przypomina tamto. Analogii, która pomoże wam zrozumieć.

– Scotcie – krzyczy brunetka z mikrofonem. – Dlaczego samolot spadł? Co się stało?

Od wschodu idzie para młodych ludzi. Scott obserwuje, jak przechodzą na drugą stronę ulicy, żeby uniknąć kamer. Teraz to on jest wypadkiem, na który gapią się przechodnie.

– Chyba muszę stwierdzić, że to doświadczenie nie przypominało żadnego innego – odpowiada Vanessie, nie ignorując nowego pytania, ale skupiając się na ostatnim. – Ja na pewno nie potrafię go z niczym porównać. Rozmiar oceanu, jego głębokość i siła. Bezksiężycowe niebo. W którym kierunku jest północ? Przetrwanie, w swojej najbardziej podstawowej formie, to nie historia. Albo, sam nie wiem, może to jedyna historia.

– Rozmawiał pan z chłopcem? – pyta ktoś. – Bał się?

Scott się zastanawia.

– Rety – odpowiada. – To jest... Nie wiem, czy to pytanie do mnie... Czteroletni mózg... To zupełnie inna rozmowa. Wiem, czym to doświadczenie było dla mnie, punkcika w ogromnej wrogiej ciemności, ale dla niego, w tym momencie rozwoju, mam na myśli rozwój biologiczny... do tego natura lęku... na pewnym poziomie... jego zwierzęca siła... Ale powtarzam, w tym wieku...

Milknie i zastanawia się. Jest świadomy, że nie daje im tego, co chcą, ale jednocześnie zatroskany faktem, że pytania są zbyt ważne, żeby odpowiedzieć na nie od razu, zdefiniować naprędce, tylko po to, by zdążyć przed jakimś przypadkowym terminem. „Jakie to było doświadczenie? Dlaczego się wydarzyło? Co to znaczy iść naprzód?” To tematy na książki, pytania, nad którymi rozmyśla się latami, aby znaleźć odpowiednie słowa, nazwać wszystkie kluczowe czynniki, zarówno subiektywne, jak i obiektywne.

– To ważne pytanie – odpowiada – na które możemy nigdy nie znaleźć odpowiedzi.

Zwraca się do Vanessy:

– Czy ma pani dzieci?

Kobieta ma najwyżej trzydzieści sześć lat.

– Nie.

Pyta operatora około czterdziestki.

– A pan?

– Uhm, tak. Córeczkę.

Scott kiwa głową.

– Widzicie, dochodzi do tego kwestia płci, nocnej pory, fakt, że chłopiec spał, gdy samolot spadł. Może myślał, że to sen? Na początku. Może wydawało mu się, że nadal śpi? Tak wiele czynników.

– Ludzie mówią, że jest pan bohaterem – krzyczy kolejny reporter.

– Czy to pytanie?

– Uważa się pan za bohatera?

– Musiałby mi pan podać definicję tego słowa – opowiada Scott. – Poza tym to, co myślę, nie ma tak naprawdę znaczenia. Chociaż nie do końca. To, co sam o sobie myślę, nie zawsze okazuje się trafne według świata, w ogólnym ujęciu. Na przykład w wieku około dwudziestu lat myślałem, że jestem artystą, ale tak naprawdę byłem dzieciakiem koło dwudziestki, który uważał się za artystę. Czy to ma sens?

– Scott, Scott! – krzyczą.

– Przepraszam – mówi. – Widzę, że nie daję wam tego, czego chcecie.

– Scotcie – odzywa się Vanessa. – To pytanie bezpośrednio od Billa Cunninghama. Dlaczego był pan na pokładzie?

– W sensie kosmicznym czy...

– Jak to się stało, że znalazł się pan na pokładzie? – poprawia się dziennikarka.

– Maggie mnie zaprosiła.

– Maggie, czyli Margaret Bateman, żona Davida.

– Tak.

– Miał pan z nią romans? Z panią Bateman?

Scott marszczy brwi.

– Romans w znaczeniu seksualnym?

– Tak. Podobnie jak teraz ma pan romans z panią Mueller, której ojciec przeznacza miliony na lewicowe działania.

– Czy to pytanie?

– Ludzie mają prawo poznać prawdę.

– Tylko dlatego, że jestem w jej domu, uważacie, że mam... że uprawialiśmy seks. Wniosek na miarę Einsteina.

– Czy nie jest prawdą, że dostał się pan na pokład samolotu, flirtując?

– Po co? Żeby spaść do oceanu i musieć płynąć do brzegu szesnaście kilometrów z przetrąconym barkiem?

Nie czuje złości, jedynie zdumienie tokiem rozumowania pytających.

– Czy to prawda, że FBI przesłuchiwało pana wielokrotnie?

- Czy dwa razy to wiele?
- Dlaczego się pan ukrywa?
- Używa pan słowa „ukrywa”, jakbym był Johnem Dillingerem. Jestem prywatną osobą, prowadzącą prywatne życie.
- Po katastrofie nie wrócił pan do domu? Dlaczego?
- Nie jestem pewien.
- Może czuje pan, że ma coś do ukrycia.
- Pozostawanie poza zasięgiem wzroku to nie to samo co ukrywanie się – odpowiada Scott. – Na pewno tęsknię za swoim psem.
- Niech nam pan opowie o obrazach. Czy to prawda, że FBI je skonfiskowało?
- Nie. Nie żebym... To tylko obrazy. Mężczyzna stoi w szopie na wyspie. Kto wie, dlaczego maluje to, co maluje? Czuje, że jego życie to katastrofa. Może od tego się zaczęło. Od ironii. Ale potem dostrzega w tym coś większego, może klucz do zrozumienia. Czy to...? Odpowiadam na wasze pytania?
- Czy to prawda, że namalował pan katastrofę samolotu?
- Tak. To jeden z... Dla mnie to... Chodzi o to, że wszyscy kiedyś umrzemy. To... biologia. Wszystkie zwierzęta... Ale tylko my o tym wiemy. A mimo to udaje nam się jakoś schować tę wiedzę głęboko do skrzyni. Wiemy o tym i jednocześnie nie wiemy. Ale w momentach masowej śmierci, gdy tonie prom lub rozbija się samolot, stajemy twarzą w twarz z prawdą. My też któregoś dnia umrzemy, z powodów, które nie mają nic wspólnego z nami, naszymi nadziejami i marzeniami. Pewnego dnia wsiadasz do autobusu w drodze do pracy i okazuje się, że jest w nim bomba. Albo w Czarny Piątek idziesz do Walmartu, by oszczędzić trochę pieniędzy, i zostajesz zmiażdżony przez tłum. To, co zaczęło się jako ironia, moje życie, katastrofa, otwarło pewne drzwi. – Przygryza wargę. – Ale mężczyzna w szopie to nadal tylko mężczyzna w szopie. Rozumiecie?

Vanessa dotyka plastiku w uchu.

- Bill chciałby zaprosić pana do studia na prywatny wywiad.
- To miło z jego strony – odpowiada Scott. – Chyba. Tyle że wyraz pani twarzy nie sugeruje, że ma pani miłe nastawienie. Raczej jak policjantka.
- Zginęli ludzie, panie Burroughs – stwierdza kobieta. – Naprawdę uważa pan, że to jest czas na bycie miłym?
- Teraz bardziej niż kiedykolwiek – odpowiada Scott, a potem odwraca się, zatrzaskuje drzwi, mija dziennikarzy i odchodzi.

Musi pokonać kilka przecznic, ale w końcu przestają za nim iść. Stara się wyglądać normalnie, świadomy siebie samego zarówno jako ciało w czasie i przestrzeni, jak i obraz oglądany przez tysiące (miliony?) widzów. Idzie Bleecker Street do Siódmej Alei i wskakuje do taksówki. Zastanawia się, jak go znaleźli, mężczyznę bez komórki,

w zamkniętym na klucz mieszkaniu. Layla twierdzi, że się nie wygadała, i nie ma powodu, by wątpić w jej słowa. Kobieta z miliardem dolarów nie kłamie, chyba że chce, a z jej zachowania wynikało, że podoba jej się fakt, iż Scott pozostaje jej małą tajemnicą. A Magnus? Cóż, Magnus kłamie na wiele tematów, ale to raczej nie jest jeden z nich. Chyba że dali mu pieniądze, ale dlaczego w takim razie zakończył rozmowę, prosząc Scotta o sto dolarów?

„Wszechświat to wszechświat”, myśli. Chyba wystarczy świadomość, że istnieje powód, nie trzeba znać jego treści. Może jakiś nowy rodzaj satelity? Program, który szpera w naszym ciele podczas snu? Wczorajsza fikcja staje się dzisiejszą pierwszą ofertą publiczną.

Był niewidzialnym człowiekiem, ale już nim nie jest. Najważniejsze, że biegnie w kierunku czegoś, a nie ucieka przed tym. Na tylnym siedzeniu taksówki wyobraża sobie, jak późno w nocy, nie mogąc zasnąć, chłopiec je płatki przed telewizorem i ogląda, jak pies narysowany z liter *p-i-e-s* rozmawia z kotem narysowanym z liter *k-o-t*. Gdyby tylko prawdziwe życie było takie proste, gdyby każde odwiedzane miejsce i wszyscy ludzie, których spotykamy, byli stworzeni z czystej esencji ich tożsamości. Gdyby można spojrzeć na człowieka i widzieć litery *p-r-z-y-j-a-c-i-e-l*, spojrzeć na kobietę i widzieć słowo *ż-o-n-a*.

Ekran w taksówce jest włączony i widać na nim fragmenty nocnych programów telewizyjnych.

Scott wyciąga rękę i wyłącza go.

GIL BARUCH

5 czerwca 1967 – 23 sierpnia 2015

Krążyły o nim legendy, historie, a właściwie więcej niż historie. „Teorie” byłoby lepszym słowem. Gil Baruch, czterdziestoosmioletni Izraelczyk mieszkający na obczyźnie. (Chociaż jedna z teorii głosiła, że posiadał dom na krawędzi ostrza Zachodniego Brzegu Jordanu, krawędzi, którą sam stworzył z palestyńskiej ziemi. Któregoś dnia pojechał tam starym jeepem, rozstawił namiot, znosząc spojrzenia i docinki Palestyńczyków. Mówi się, że sam porąbał drewno i wylał fundamenty, a pierś przecinał mu pasek pistoletu. Podobno pierwszy dom podpalił wściekły tłum, a Gil, zamiast użyć swoich zdumiewających umiejętności snajperskich lub sprawności w walce wręcz, po prostu patrzył i czekał. Kiedy tłum się rozszedł, wylał swoją pogardę wraz z moczem na zgliszcza i zaczął od nowa).

Nikt nie kwestionował faktu, że Gil wywodzi się z izraelskiej elity. Jego ojciec, Lev Baruch, był prawą ręką Moszego Dajana, sławnego przywódcy wojskowego, organizatora wojny sześciodniowej. Mówi się, że ojciec Gila był obecny w momencie, gdy snajper z Vichy posłał kulę przez lewy obiektyw lornetki Dajana, że to on usunął szkło i odłamki i pozostał z Dajaniem przez wiele godzin, aż mogli zostać ewakuowani.

Mówi się, że Gil urodził się pierwszego dnia wojny sześciodniowej, a jego narodziny co do sekundy zbiegły się w czasie z rozpoczynającym walkę strzałem. Był dzieckiem stworzonym w trakcie wojny przez lędźwie bohatera wojskowego, zrodzonym z odrzutu działa. Nie wspominając o tym, że według opowieści jego matka była ulubioną wnuczką Goldy Meir, jedynej kobiety silnej na tyle, by stworzyć cały naród w brzuchu arabskiego państwa.

Są też jednak inni, którzy twierdzą, że jego matka była jedynie córką kapelusznika z Kijowa, ładną dziewczyną o błędnym wzroku, która nigdy nie wyjechała z Izraela. Taka jest natura legendy. Zawsze coś czai się w cieniu, próbując wykluć dziury. Bezsporne fakty głoszą, że jego starszy brat, Eli, został zabity w Libanie w 1982 roku, a obaj młodsi bracia, Jay i Ben, zginęli w Strefie Gazy w drugiej intifadzie, Jay unicestwiony przez minę lądową, a Ben podczas zasadzki. Jedyna siostra Gila zmarła natomiast przy porodzie. Częścią legendy było stwierdzenie, że Gil to człowiek otoczony przez śmierć. Wszyscy jego bliscy umierali, raczej wcześniej niż później, a jednak on przetrwał. Chodzą słuchy, że zanim skończył trzydzieści lat, został postrzelony sześć razy, przeżył atak nożem w Belgii i ochronił się przed eksplozją we Florencji, chowając się w żeliwnej wannie. Snajperzy celowali do niego i chybiali. Nagrody za schwytanie go, zbyt liczne, by je wymienić, pozostały nieodebrane.

Gil Baruch był żelaznym gwoździem w płonącym budynku, połyskującym wśród zgliszczy po tym, jak wszystko inne zostało zniszczone.

A jednak śmierć i smutek nie pozostały niezauważone. Była w mozołach Gila Barucha

swoista biblijna jakość. Nawet z żydowskiego punktu widzenia jego cierpienie wydawało się wyjątkowe. Mężczyźni w barach poklepywali go po plecach i stawiali mu drinki, a potem odsuwali się na bezpieczną odległość. Kobiety kładły się u jego stóp, jak na szynach kolejowych, z nadzieją, że zderzenie ciał je unicestwi. Szalone kobiety o płomiennych temperamentach i szczodrych punktach G. Kobiety w depresji, walczące, kłuszące, poetki. Gil ignorował je wszystkie. W głębi duszy wiedział, że potrzebuje w życiu mniej dramatów, a nie więcej.

Legendy jednak przetrwały. Podczas swoich podróży w charakterze prywatnego ochroniarza sypiał z najpiękniejszymi kobietami na świecie, modelkami, księżniczkami, gwiazdami filmowymi. Istniała teoria, głośna w latach dziewięćdziesiątych, że Gil pozbawił dziewictwa Angelinę Jolie. Miał oliwkową cerę, orli nos i bujne brwi wielkiego romantyka. Był mężczyzną z bliznami, zarówno fizycznymi, jak i emocjonalnymi, które nosił bez użalania się czy komentarzy, milczącym człowiekiem z błyskiem ironii w oku (jakby w głębi duszy wiedział, że jest celem kosmicznego żartu), mężczyzną z bronią, który spał z pistoletem pod poduszką, z palcem na spuście.

Mówiono, że nie urodził się jeszcze człowiek, którego Gil Baruch nie mógłby pokonać. Był nieśmiertelny i zabić mogła go jedynie siła wyższa.

I jak inaczej nazwać katastrofę samolotu, jak nie boską pięścią, wysłaną, by ukarać zuchwałych?

Towarzyszył Batemanom przez cztery lata, dołączywszy do ekipy, gdy Rachel miała pięć lat. Było to trzy lata po porwaniu, trzy lata po tym, jak David i Maggie poczuli chłodny dreszcz odkrycia – pusta kołyska i okno otwarte w czarnym środku nocy. Gil sypiał w pomieszczeniu, które starodawni architekci nazwaliby służbówką, w mnisiej celi za pralnią, gdy przebywał w willi w mieście, i w większym pokoju z widokiem na podjazd w posiadłości na Martha's Vineyard. W zależności od aktualnego poziomu zagrożenia – ustalanego na podstawie analizy maili i rozmów z zagranicznymi i miejscowymi analitykami, zarówno prywatnymi, jak i członkami rządu, oraz opartego na mieszance pogroźek ekstremistów i kontrowersyjnego charakteru obecnych programów sieci ALC – grupa wsparcia Gila rosła lub malała. W pewnym momencie, po operacji w Iraku w 2006 roku, liczyła kilkunastu mężczyzn z paralizatorami i bronią automatyczną. Ale w podstawowym składzie zawsze było ich trzech. Trzy pary oczu patrzących, kalkulujących, połączonych i gotowych do działania.

Wyjazdy planowano w biurze domowym, zawsze w porozumieniu z ekipą obecną na miejscu. Loty rejsowe przestały być bezpieczną formą transportu, podobnie jak komunikacja publiczna, chociaż kilka razy w miesiącu Gil pozwalał Davidowi zaspokajać jego potrzebę jazdy do biura metrem. Podróże te nie odbywały się według żadnego schematu, a dzień przejazdu wybierano losowo. W takie dni wysyłano najpierw limuzyną innego mężczyznę jako przynętę. Wychodził z budynku ubrany w strój Davida, z pochyloną głową, a za nim spieszyła ekipa ochroniarzy, która następnie pakowała go na tylne siedzenie samochodu.

W metrze Gil stał na tyle daleko od Davida, by pozwolić mu poczuć się jak zwykły człowiek, ale jednocześnie wystarczająco blisko, żeby interweniować, gdyby zewnętrzni agenci postanowili zaatakować. Jego kciuk spoczywał na rękojeści zakrzywionego składanego noża, ukrytego za paskiem. Ostrze miał tak ostre, że mógł ciąć papier, i chodziły słuchy, że był zatruty jadem pustelnika brunatnego. Gil posiadał również półautomatyczny pistolet, schowany w niewykrywalnym miejscu. David widział kiedyś, jak ochroniarz wyciąga go, nawet się nie poruszywszy. Bezdomny mężczyzna z rurą w rękach rzucił się na nich z krzykiem przed budynkiem Time Warner. David zrobił krok w tył i spojrzał na swojego pomocnika. W jednym momencie dłoń Gila była pusta, a po chwili trzymał w niej krótkolufowego glocka, którego wyczarował z powietrza niczym magik wyciągający matową porysowaną monetę.

Gil lubił kołysanie metra, zgrzyt metalu o metal na zakrętach. Miał głębokie, sięgające szpiku kości przecucie, że jego życie nie skończy się pod ziemią. Nauczył się ufać temu instynktowi. Nie chodziło o to, że obawiał się śmierci. Stracił bardzo wiele osób i wiele znajomych twarzy czekało na niego po drugiej stronie, jeśli istniała druga strona, a nie tylko czarna jak smoła cisza. Ale nawet taka perspektywa nie wydawała mu się zła, zakończenie syzyfowego bezmiaru życia. Przynajmniej raz na zawsze odpowie sobie na odwieczne pytanie.

Należy zaznaczyć, że w Torze nie pojawia się jednoznaczna wzmianka o życiu po śmierci.

Jak każdego ranka Gil wstał przed świtem. To była czwarta niedziela sierpnia, ostatnia, którą rodzina spędzała na Vineyard. Na weekend ze Świętem Pracy Batemanowie zostali zaproszeni do Camp David i większość poprzedniego dnia Gil spędził, koordynując działania ochronne ze służbami specjalnymi. Mówił w czterech językach, po hebrajsku, angielsku, arabsku i niemiecku. Żartował, że Żyd powinien znać język wrogów, by wiedzieć, co knują przeciwko niemu.

Oczywiście większość słuchaczy nie rozumiała dowcipu. Powodem był wyraz twarzy Gila, gdy go opowiadał, przypominający żałobnika na pogrzebie.

Pierwszą czynnością Gila po przebudzeniu była zmiana statusu na „aktywny”. Robił to natychmiast, gdy tylko otworzył oczy. Spał najwyżej cztery godziny w ciągu nocy, czekał godzinę lub dwie po zaśnięciu rodziny i wstawał godzinę lub dwie przed ich przebudzeniem. Lubiał ten spokojny czas, kiedy światła były zgaszone, a on siedział w kuchni i słuchał mechanicznego szumu urządzeń, dźwięku klimatyzacji włączającej się, by ochłodzić lub ogrzać dom. Gil był mistrzem bezruchu. Legenda głosi, że przez pięć dni, obawiając się odkrycia przez siły palestyńskie, siedział bez ruchu na dachu budynku w Strefie Gazy, w głębi terytorium nieprzyjaciela. Z karabinem Barrett M82 opartym na metalowym stojaku czekał, aż z kompleksu mieszkalnego wynurzy się cenny cel.

W porównaniu z tym siedzenie w klimatyzowanej, luksusowej kuchni, w posiadłości multimilionera przypominało rejs po oceanie. Gil siedział z termosem zielonej herbaty (nikt nigdy nie widział, jak ją przygotowuje), z zamkniętymi oczami, i słuchał. W przeciwieństwie do domowego szaleństwa budzącego się dnia, nocne odgłosy domu, nawet tak wielkiego jak ten, były spójne i przewidywalne. Oczywiście w budynku

zainstalowano system alarmowy, na wszystkich oknach i drzwiach zamontowano czujniki, detektory ruchu i kamery. To jednak była technologia, którą można przechytrzyć i wyłączyć. Gil Baruch pochodził z dawnej szkoły, był sensualistą. Niektórzy mówili, że zamiast paska nosił garotę, ale nikt nigdy nie widział dowodu na potwierdzenie tych słów.

Prawda była taka, że w dzieciństwie Gil cały czas kłócił się z ojcem, o wszystko. Był średnim dzieckiem i gdy się urodził, ojciec rodziny był już na dobrej drodze do zapicia się. Co w końcu zrobił w 1991 roku, kiedy marskość wątroby doprowadziła do niewydolności serca, a ta do ciszy.

A potem, według Tory, ojciec Gila przestał istnieć. To nie przeszkadzało Gilowi, który siedział teraz w klimatyzowanej kuchni i słuchał ledwie słyszalnego szumu fal uderzających o plażę za oknem.

Zapisy w dzienniku ochrony z tamtej niedzieli niczym się nie wyróżniają. Mąż (Kondor) został w domu (*czytał gazetę 8:10–9:45, zdrzemnął się w pokoju gościnnym na górze 12:45–13:55, wykonał i odebrał kilka telefonów 14:15–15:45, przygotował kolację 16:30–17:40*). Żona (Sokół) poszła na targ razem z Rachel i ochroniarzem Avrahaemem. Chłopiec bawił się w swoim pokoju i odbył lekcję gry w piłkę nożną. Drzemał od jedenastej trzydziestej do pierwszej. Ktokolwiek spojrzełby później na dziennik, próbując poskładać elementy zagadki, znalazłby w nim jedynie godziny i nudne zapisy. To była leniwa niedziela. Sensu nadawały jej nie fakty i szczegóły, ale to, co niedostrzegalne. Wewnętrzne życie. Zapach trawy na plaży i piasek na podłodze łazienki, wyczuwalny pod stopami podczas przebierania się z kostiumu do pływania.

Upał amerykańskiego lata.

Wpis w dziesiątej linii dziennika brzmiał po prostu: *10:22 Kondor zjadł drugie śniadanie*. Nie mógł on jednak uchwycić idealnego przypieczenia cebulowego bajgla ani słoności ryby kontrastującej z gęstością kremowego serka. To czas zatracenia się w książce, podróż wyobraźni, przeniesienie się w inne miejsce, które dla pozostałych ludzi wygląda jedynie jak siedzenie lub leżenie na brzuchu, na kocu, przed ogniskiem, z uniesionymi, zgiętymi w kolanach pod kątem dziewięćdziesięciu stopni nogami i stopami machającymi w zamyśleniu i omdlewającymi w powietrzu.

Bycie osobistym ochroniarzem nie oznaczało pozostawania w stanie ciągłej gotowości. W zasadzie było odwrotnie. Należało być otwartym na zmiany w normalnym funkcjonowaniu rzeczy, wrażliwym na delikatne zwroty. Trzeba było rozumieć, że żaby nie zabija się, wrzucając ją do wrzątku, ale gotując powoli i stopniowo podwyższając temperaturę o jeden stopień. Najlepsi ochroniarze to rozumieli. Wiedzieli, że ich praca wymaga pewnego rodzaju napiętej bierności, gdy umysł i ciało współgrają ze wszystkimi pięcioma zmysłami. Kiedy się nad tym zastanowić, prywatna ochrona wydawała się tylko kolejną formą buddyzmu, tai-chi. Płynne życie tu i teraz, myślenie tylko o tym, gdzie jesteś i co cię otacza. Ciało w czasie i przestrzeni przesuwające się po określonym łuku. Światło i cień. Pozytyw i negatyw.

Taki sposób życia może powodować wytworzenie pewnego rodzaju wyczekiwania, szamańskie przewidywanie, że obserwowane osoby zrobią lub powiedzą coś

oczekiwanego. Będąc jednością z wszechświatem, stajesz się wszechświatem i w ten sposób wiesz, jak spadnie deszcz, jak ścięta trawa będzie powiewała na letnim wietrze stałymi falami. Wiesz, kiedy Kondor i Sokół się pokłócą, kiedy dziewczynka, Rachel (Drozd), się nudzi i kiedy chłopiec, JJ (Wróbel), przegapił drzemkę i zaraz zrobi się marudny.

Wiesz, kiedy mężczyzna z tłumu podejdzie o krok za blisko, kiedy człowiek udający fana proszącego o autograf ma zamiar doręczyć dokumenty sądowe. Wiesz, kiedy zwolnić na żółtym świetle i kiedy pojechać następną windą.

To nie są sprawy, co do których mamy przecucie. To rzeczy, które po prostu są.

Sokół wstała pierwsza i ubrana w szlafrok zniosła Wróbla. Ekspres zrobił już kawę. Działał według programatora czasowego. Potem zeszła Drozd, poszła prosto do salonu i włączyła kreskówki. Kondor wstał ostatni, godzinę później. Wszedł do kuchni, szurając nogami, z gazetą w dłoni, wbijając kciuki w niebieską plastikową torbę z niedzielną prasą. Gil obserwował ich, trzymając się na uboczu, wpatrzony w otoczenie, pozostawał w cieniu.

Przy śniadaniu podszedł do Kondora.

– Panie Bateman – zaczął. – Mogę zdać panu teraz krótki raport?

Kondor podniósł wzrok znad okularów do czytania.

– Czy mam się martwić?

– Nie, panie Bateman, to tylko plan na najbliższy tydzień.

Kondor przytaknął i wstał. Wiedział, że Gil nie lubi rozmawiać o sprawach służbowych w miejscach prywatnych. Przeszli do salonu. Pełen był książek, które Kondor faktycznie przeczytał. Na ścianach wisiały stare mapy i zdjęcia Kondora ze znanymi osobistościami: Nelsonem Mandelą, Władimirem Putinem, Johnem McCainem, Clintem Eastwoodem. Na biurku w szklanej skrzyni stała piłka do baseballu z autografem. Wyrzucona w kosmos w dziesiątej rundzie tamtego pamiętnego meczu przez Chrissa Chamblissa. Któż na terenie trzech stanów nie pamiętał, jak trybuny opustoszały i widzowie wybiegli na boisko, a Chambliss musiał przedzierać się przez szalejący tłum, żeby zaliczyć bazy. Czy dotknął właściwie bazy domowej?

– Czy chce pan, abym połączył się z centralą dowodzenia i zdał panu bardziej formalny raport? – zapytał Gil.

– Boże, nie. Po prostu mi go streść.

Kondor usiadł za biurkiem i wziął do ręki starą piłkę do baseballu. Przerzucał ją mechanicznie z ręki do ręki, a Gil mówił.

– Przechwyciliśmy szesnaście maili z pogrózkami przesłanych głównie na prywatne adresy – zaczął. – Od ostatnich zmian personelu pana prywatne linie wydają się nienaruszone. Jednocześnie firma bada konkretne groźby pod adresem amerykańskich firm medialnych. Współpracuje z Departamentem Bezpieczeństwa Krajowego, by monitorować sprawę na bieżąco.

Kondor przyglądał się mówiącemu Gilowi i spiralnym ruchem przerzucał piłkę z lewej ręki do prawej i z powrotem.

– Byłeś w armii izraelskiej.

– Tak.

– Piechota czy...?

– Nie mogę o tym rozmawiać. Powiedzmy, że odbyłem służbę, tyle.

Kondor podrzucił piłkę i nie złapał jej. Potoczyła się skocznie po niedbalej paraboli i zatrzymała pod zasłoną.

– Jakież bezpośrednie pogrożki? – zapytał David. – Davidzie Batemanie, zabijemy cię. Coś w tym stylu?

– Nie, panie Bateman. Nic takiego.

Kondor się zastanowił.

– Dobra, a ten gość? Ten, o którym nie mówimy, który porwał moją córkę. Czy kiedykolwiek groził koncernowi medialnemu albo wysłał bzdurnego maila? Drań myślał, że może się wzbogacić, i nie miał problemów z zabiciem niani.

– Tak, panie Bateman.

– Co robicie, żeby ochronić nas przed takimi ludźmi? Tymi, którzy nie grożą?

Jeśli Gil poczuł się zganiony, nie okazał tego. Uznał pytanie za uczciwe.

– Obydwa domy są zabezpieczone, samochody opancerzone. Państwa grupa ochroniarska jest widoczna i wysoce wykwalifikowana. Jeśli szukają was, widzą nas. Wysyłamy przekaz. Są łatwiejsze cele.

– Ale nie możecie niczego zagwarantować?

– Nie, panie Bateman.

Kondor skinął głową. Rozmowa był skończona. Gil ruszył w stronę drzwi.

– Och, zaczekaj – zatrzymał go Kondor. – Pani Bateman zaprosiła Kiplingów. Wróć z nami samolotem.

– Ben i Sarah?

Kondor przytaknął.

– Powiadomię dowództwo.

Kluczem do bycia dobrym prywatnym ochroniarzem, co Gil odkrył z biegiem lat, było stanie się lustrem: nie niewidzialnym, gdyż klient chce wiedzieć, gdzie jesteś, ale odbijającym. Lustra nie są bliskimi przedmiotami. Odzwierciedlają zmianę, ruch. Lustro nigdy nie jest statyczne, to część otoczenia, które przesuwa się razem z tobą, pochłaniając kąty i światło.

A potem, gdy staniesz dokładnie na wprost niego, pokaże ci ciebie samego.

Oczywiście, czytał akta. Jakim byłby ochroniarzem, gdyby tego nie zrobił? Prawda była taka, że pewne fragmenty potrafił zacytować z pamięci. Rozmawiał też z żyjącymi agentami, szukając szczegółów zmysłowych, informacji o tym, jak zleceniodawcy się zachowywali. Czy pod presją Kondor stawał się spokojny czy wybuchowy? Czy Sokół ulegała panice lub rozpacz, czy prezentowała matczyne stalowe nerwy? W jego branży porwanie dziecka było koszmarnym scenariuszem, gorszym niż śmierć (choć patrząc realistycznie, w dziewięciu przypadkach na dziesięć porwane dziecko było martwym dzieckiem). Porwane dziecko wymazywało z umysłu rodziców normalne, ludzkie mechanizmy bezpieczeństwa. Własne przetrwanie nie było już ważne. Ochrona majątku, domu stawała się drugorzędna. Innymi słowy, rozum szedł w odstawkę. Dlatego podczas scenariusza „porwanie za okup” główna walka (poza wyścigiem z czasem) toczyła się z samymi zleceniodawcami.

W przypadku porwania Drozda fakty były następujące: dwadzieścia cztery godziny wcześniej niania, Francesca Butler (nazywana Frankie), została porwana, prawdopodobnie gdy wracała pieszo do domu z kina. Została zmuszona do ujawnienia informacji o wynajmowanym przez Batemanów domu i ich planie dnia, a zwłaszcza o tym, w którym pokoju spała dziewczynka. W noc porwania (pomiędzy dwunastą trzydzieści a pierwszą piętnastą) z szopy na terenie posiadłości Batemanów została wyniesiona drabina i przystawiona do południowej ściany budynku, sięgając krawędzi okna w pokoju gościnnym. Widoczne były ślady podważenia z zewnątrz łomem zamknięcia w oknie (był to stary dom z oryginalnymi oknami i z upływem lat materiał spuchł i skurczył się, aż powstała pokaźna szpara pomiędzy górną ramą a dolną).

Później śledczy ustalili, że porwanie było dziełem jednego sprawcy (choć toczyły się na ten temat dyskusje). Zgodnie z oficjalną wersją wydarzeń mężczyzna przystawił drabinę, wspiął się na górę, zabrał dziewczynkę i zszedł z nią na dół. Drabinę odstawił potem do szopy (Co sprawca zrobił wówczas z dziewczynką? Umieścił ją w samochodzie?), a dziecko wywieziono z posiadłości. Według zleceniodawców córka „zniknęła”. Gil wiedział, że nikt tak naprawdę nie znika. Zawsze gdzieś były ciała, w spoczynku lub w ruchu, w trójwymiarowej przestrzeni.

W tym przypadku porywacz zabrał Rachel Bateman (alias Drozd) na drugą stronę ulicy, do nowoczesnego budynku w trakcie przebudowy, schowanego za ochronną folią budowlaną. Na gorące, wyciszone gazetami poddasze, gdzie jedzenie pochodziło z plastikowej czerwonej chłodziarki, a woda z węża podłączonego do kranu nad umywalką na pierwszym piętrze. Niania, Frankie Butler, leżała martwa na gołym fundamencie, przykryta kartonami.

To z tego miejsca porywacz, trzydziestosześcioletni były więzień, Wayne R. Macy, obserwował ruch po drugiej stronie ulicy. Z perspektywy czasu Gil wiedział, że Macy nie był kryminalnym geniuszem, za jakiego początkowo go uważali. Gdy ma się za zleceniodawcę osobę pokroju Davida Batemana, wart miliony dolarów ważny cel polityczny, trzeba zakładać, że porywacz dziecka wybrał go z konkretnych powodów, posiadając pełną wiedzę na temat jego charakterystyki i zasobów. W rzeczywistości

jednak Macy wiedział jedynie, że David i Maggie są bogaci i niechronieni. W latach dziewięćdziesiątych odsiedział w więzieniu Folsom wyrok za napad z bronią w rękę i wrócił na Long Island z przekonaniem, że może odmienić swoje życie. Ale przykładowa egzystencja okazała się wyczerpująca i niewdzięczna, a poza tym Wayne lubił procenty, dlatego tracił jedną pracę za drugą. Pewnego dnia, wyciągając worek ze śmieciami z zaplecza baru Dairy Queen, stwierdził: „Kogo ja oszukuję? Czas, bym wziął przyszłość we własne ręce”.

Postanowił buchnąć bogaczowi dzieciaka i zarobić parę dolców. Później okazało się, że najpierw obserwował dwie inne rodziny, ale pewne czynniki – mężowie cały czas byli na terenie posiadłości i oba domy wyposażono w systemy alarmowe – powstrzymały go przed działaniem i w rezultacie skupił się na nowym celu: rodzinie Batemanów. Ostatni dom na cichej ulicy, niestrzeżony, zamieszkały przez dwie młode kobiety i dziecko.

Uzgodniono, że pierwszej nocy zabił Frankie, otrzymawszy od niej wszystkie informacje, jakie był w stanie uzyskać. Na jej ciele widniały ślady tortur oraz dowody molestowania seksualnego, prawdopodobnie pośmiertnie.

Dziecko zostało porwane osiemnastego lipca, kwadrans przed pierwszą w nocy. Zaginęło na trzy dni.

Informacje nadeszły, gdy byli już w drodze. Dowództwo przekazało je do głównego samochodu, a ten zawiadomił Gila, który słuchał głosu w słuchawce w uchu, mówiącego do niego przez włókna i pustkę, ale nie zdradzał niczego.

– Panie Bateman – powiedział specyficznym tonem, kiedy samochód wyjechał z ich ulicy. Kondor odwrócił się, zauważył spojrzenie Gila i skinął głową. Siedzące za nimi dzieci były ożywione, jak zabawki na guziki. Zawsze tak się zachowywały przed wejściem na pokład samolotu, stawały się podekscytowane i nerwowe.

– Dzieciaki – powiedział David i posłał im spojrzenie. Maggie je zauważyła.

– Rachel – przyłączyła się. – Wystarczy.

Rachel nadąsała się, ale przestała grać w szturchanie i łaskotki. JJ był za mały, by za pierwszym razem zrozumieć przekaz. Szturchnął Rachel i zaśmiał się, myśląc, że nadal się bawią.

– Przestań – jęknęła.

Kondor nachylił się do Gila, ten zlikwidował pozostały między nimi dystans i odezwał się cicho do ucha Kondora:

– Jest problem z pana gościem – oznajmił.

– Z kim, z Kiplingiem? – zapytał Kondor.

– Tak, panie Bateman. Dowództwo dokonało rutynowego sprawdzenia i pojawiła się czerwona flaga.

Kondor nie odpowiedział, ale pytanie było oczywiste: „Jaka flaga?”.

– Nasi przyjaciele z instytucji państwowych twierdzą, że pan Kipling może jutro zostać postawiony w stan oskarżenia.

Krew odpłynęła z twarzy Kondora.

– Jezu – powiedział.

– Faktyczne zarzuty są tajne, ale nasz wywiad podejrzewa, że może pracować pieniądze dla wrogich państw.

Kondor się zamyślił. Wrogi państwa. I wtedy do niego dotarło. Miał zamiar gościć na pokładzie wroga publicznego. Zdrajcę. Jak by to wyglądało w prasie, gdyby media się dowiedziały? Kondor wyobraził sobie znudzonych paparazzich w Teterboro, czekających na powroty celebrytów. Wstaną, kiedy samolot będzie kołował, a potem, gdy okaże się, że na pokładzie nie ma Brada ani Angeliny, na wszelki wypadek pstrykną kilka zdjęć i wrócą do swoich iPhone'ów. Zdjęć Davida Batemana idącego ramię w ramię ze zdrajcą.

– Co robimy? – zapytał Gila.

– To zależy od pana.

Sokół patrzyła na nich, wyraźnie zmartwiona.

– Czy coś się...? – zapytała.

– Nie – odparł szybko Kondor. – Po prostu... wygląda na to, że Ben ma problemy prawne.

– O, nie.

– Tak, kiepskie inwestycje. Dlatego właśnie... pojawia się pytanie, czy chcemy... Jeśli ludzie zobaczą nas razem... Gdy informacja ujrzy światło dzienne, czy będziemy... Mówię tylko, że możemy mieć nieprzyjemności.

– Co mówi tata? – zapytała Rachel.

Sokół zmarszczyła czoło.

– Nic. Nasz kolega ma kłopoty. Dlatego mamy zamiar... – tu zwróciła się do Kondora – ...mamy zamiar stanąć po jego stronie, ponieważ to właśnie robią przyjaciele. Zwłaszcza Sarah jest taką uroczą osobą.

Kondor przytaknął, żałując, że nie zignorował pytania i nie załatwił sprawy sam.

– Oczywiście. Masz rację.

Spojrzał przed siebie i napotkał wzrok Gila. Wyraz twarzy Izraelczyka sugerował, że potrzebuje jasnego potwierdzenia, iż utrzymują status quo. Wbrew sobie Kondor skinął głową.

Gdy małżonkowie rozmawiali, Gil odwrócił się i patrzył przez okno. Bycie częścią spraw nie należało do jego zadań, posiadanie opinii również. Widział wiszącą nisko nad oceanem warstwę mgły i znikające w niej słupy latarni. Tylko siwy blask na wysokości sugerował, że są włączone.

Dwadzieścia minut później, po zaparkowaniu na pasie startowym, Gil czekał, aż samochód prowadzący kolumnę wypłuje zespół rozpoznania, żeby dać Batemanom zielone światło do wyjścia. Dwaj główni ochroniarze sprawdzali lotnisko w poszukiwaniu nieprawidłowości. Gil robił to samo, ufając im i jednocześnie nie ufając. Gdy on sprawdzał teren (wejścia, martwe strefy), rodzina wysiadała z samochodu. Już wtedy Wróbel spał, ułożony na ramieniu Kondora. Gil nie proponował pomocy przy niesieniu bagażu ani dzieci. Jego zadaniem była ochrona, a nie usługiwanie.

Kątem oka zobaczył, jak Avraham wchodzi po rozkładanych schodkach do samolotu i przeszukuje go. Był w środku przez sześć minut, przeszedł z dziobu do ogona, sprawdził łazienkę i kokpit. Kiedy pojawił się w drzwiach, dał znak ręką i zszedł na płytę lotniska.

Gil skinął głową.

– W porządku – oznajmił.

Rodzina podeszła do schodów i weszła na pokład w przypadkowej kolejności. Ponieważ samolot został sprawdzony, Gil wszedł ostatni, ochraniając grupę na wypadek ataku z tyłu. Już w połowie drogi czuł chłód kabiny, pocałunek ducha na odkrytym karku, przecinający sierpniowe piżmo. Czy w tamtym momencie poczuł poruszenie w swoim gadzim mózgu, głębokie, złe przecucie, przekonanie o nieuchronnym końcu? Czy to tylko pobożne życzenie?

Na pokładzie Gil pozostał w pozycji stojącej, ustawiwszy się przy otwartych drzwiach. Był wysoki, miał sto osiemdziesiąt siedem centymetrów wzrostu, ale szczupły, i udało mu się znaleźć miejsce w wąskim wejściu, z dala od przejścia między siedzeniami, podczas gdy pasażerowie i załoga szykowali się do lotu.

– Druga ekipa przybyła – oznajmił głos w słuchawce. Przez drzwi Gil dostrzegł na pasie startowym Bena i Sarah Kiplingów okazujących zespołowi rozpoznania dokumenty tożsamości. Wtedy poczuł czyjąś obecność przy prawym ramieniu i się odwrócił. To była stewardesa z tacą.

– Przepraszam – zaczęła. – Życzy pan sobie szampana przed startem czy...? Coś panu podać?

– Nie – odparł. – Jak się pani nazywa?

– Jestem Emma. Lightner.

– Dziękuję, Emmo. Ochraniam rodzinę Batemanów. Czy mogę porozmawiać z twoim kapitanem?

– Oczywiście. Jest... Chyba robi obchód. Czy poprosić go, żeby porozmawiał z panem po powrocie?

– Tak, proszę.

– W porządku – odparła.

Gil czuł wyraźnie, że z jakiegoś powodu była zdenerwowana. Czasami obecność uzbrojonego mężczyzny tak właśnie działała na ludzi.

– Czy coś panu podać, czy...?

Gil potrząsnął głową i odwrócił się, ponieważ Kiplingowie wchodzili już po schodach do samolotu. Przez lata pojawiali się na imprezach Batemanów i Gil od razu ich poznał. Skinął głową na przywitanie, ale szybko odwrócił wzrok, by zniechęcić ich do rozmowy. Słyszał, jak para wita inne osoby na pokładzie.

– Kochana – powiedziała Sarah. – Śliczna sukienka.

W tym momencie u stóp schodów pojawił się kapitan, James Melody.

– Widziałeś ten cholerny mecz? – zapytał Kipling przenikliwym głosem. – Jak on mógł nie złapać tej piłki?

– Nie zaczynaj – odpowiedział Kondor.

– Sam bym złapał tę cholerną piłkę, a mam dwie lewe ręce.

Gil podszedł do szczytu schodów.

– Kapitanie – odezwał się. – Jestem Gil Baruch z Enslor Security.

– Tak – przytaknął Melody. – Poinformowano mnie, że na pokładzie będzie ochrona.

Gil zdał sobie sprawę, że mężczyzna mówił z lekkim, trudnym do określenia akcentem. Może brytyjskim albo południowoafrykańskim, ale zamerykanizowanym przez pobyt w Stanach.

– Nie pracował pan z nami wcześniej – stwierdził Gil.

– Nie, ale współpracowałem z wieloma ekipami ochraniającymi. Znam procedury.

– To dobrze. Wie pan, że w razie problemów z samolotem albo zmiany rozkładu lotu kokpit musi mnie natychmiast o tym poinformować?

– Oczywiście – przytaknął Melody. – Słyszał pan, że zmienił się pierwszy oficer?

– Nowym pilotem jest Charles Busch, tak?

– Tak.

– Latał pan z nim wcześniej?

– Raz. Nie jest Michałem Aniołem, ale wydaje się rzetelny.

Melody zamilkł na chwilę, ale Gil wyczuł, że chciał powiedzieć coś więcej.

– Nie ma nieważnych szczegółów – zwrócił się do pilota.

– Nie, tylko... Zdaje się, że Busch i stewardesa mają jakąś wspólną historię.

– Romantyczną?

– Nie jestem pewien. Zastanowił mnie sposób, w jaki dziewczyna zachowuje się w jego obecności.

Gil to rozważył.

– W porządku – odparł. – Dziękuję.

Wrócił do kabiny, zerkając jednocześnie w stronę kokpitu. Busch siedział na miejscu drugiego pilota i jadł kanapkę z plastikowego opakowania. Spojrzał w górę, napotkał wzrok Gila i się uśmiechnął. Był młodym mężczyzną, przystojnym, schludnym, ale wydawał się trochę „zmęczony” – golił się wczoraj, nie dzisiaj, włosy miał krótkie, lecz nieuczesane. Gilowi wystarczyła tylko chwila obserwacji, żeby zorientować się, że mężczyzna był kiedyś sportowcem, od dzieciństwa ma powodzenie u dziewczyn i lubi uczucie, jakie mu to zapewnia. Potem Gil odwrócił się w stronę kabiny. Zobaczył stewardesę Emmę podchodzącą z pustą tacą.

Dał jej znak palcem. „Podejdz”.

– Cześć – powiedziała.

– Czy są jakieś problemy, o których powinienem wiedzieć?

Zmarszczyła czoło.

– Nie jestem...

– Pomiedzy tobą i Buschem, drugim pilotem.

Zarumieniła się.

– Nie. On nie jest... To... – Uśmiechnęła się. – Czasami im się podobasz, ale musisz odmówić – oznajmiła.

– To wszystko?

Z zażenowaniem poprawiła włosy, świadoma, że musi zrealizować zamówienia na drinki.

– Lataliśmy już razem. Lubi flirtować. Ze wszystkimi dziewczynami, nie tylko... Ale to nic. Wszystko jest w porządku.

Chwila.

– Ale pan tu jest, więc...

Gil się zastanowił. Ocena sytuacji należała do jego obowiązków – zaciemnione wejście, odgłos kroków. Z konieczności był też znawcą ludzi. Wypracował własny system rozpoznawania typów charakterów – myśliciel, nerwowy gaduła, drażliwa ofiara, tyran, chochlik – a w ramach typów określał podtypy i wzorce, sygnalizujące możliwe zmiany w oczekiwanym zachowaniu, okoliczności, w których nerwowy gaduła może stać się myślicielem, a następnie tyranem.

Emma ponownie się do niego uśmiechnęła. Gil pomyślał o drugim pilocie, zjedzonej do połowy kanapce, słowach kapitana. Czas lotu to tylko mniej niż godzina, od bramki do bramki. Myślał o oskarżeniu Kiplinga, o zakończonej sprawie porwania Drozda. Myślał o wszystkim, co może pójść nie tak, bez względu na to, jak daleko idące mogą być jego założenia. To dzięki przepuszczaniu wszystkiego przez liczydło szarej masy stał się legendą. Myślał o oku Moszego Dajana i picciu ojca, o śmierci braci, każdego z osobna, a potem o śmierci siostry. Zastanawiał się, co to znaczy przeżywać życie jako echo, cień, zawsze stojąc za człowiekiem i jego światłem. Miał bliźny, o których nie chciał

rozmawiać. Spał z palcem na spuście pistoletu. Wiedział, że świat jest niemożliwością, że państwo Izrael jest niemożliwością, że każdego dnia ludzie zakładają buty i idą robić to, co niemożliwe, czymkolwiek to jest. To jest właśnie ludzka pycha, mobilizacja w obliczu przytłaczających przeciwności, by nawlec igłę, zdobyć szczyt i przetrwać burzę.

Zdążył pomyśleć o tym wszystkim w czasie, gdy stewardesa przechodziła obok, a potem włączył radio i oznajmił dowództwu, że są gotowi do startu.

WIEŚ

Scott jedzie na północ, wzdłuż rzeki Hudson, mija Washington Heights i Riverdale. Miejskie mury ustępują miejsca nisko zabudowanym miejscowościom. Ruch się zwiększa, potem maleje i Scott wjeżdża w aleję Henry'ego Hudsona, mija małe centrum handlowe w Yonkers, zjeżdża na szosę numer 9 prowadzącą na północ przez Dobbs Ferry, gdzie amerykańscy rewolucjoniści obozowali masowo, szukając słabych punktów Brytyjczyków na granicy Manhattanu. Jedzie z wyłączonym radiem i słucha odgłosu opon na mokrej od deszczu nawierzchni. W ciągu ostatnich godzin przeszła późnoletnia burza i Scott brnie przez jej końcówkę przy rytmicznie pracujących wycieraczkach.

Myśli o fali, jej cichym dudnieniu, majaczeniu. Wysoki garb oceanicznej solanki uwidocznił przez światło księżyca, zakradający się do nich od tyłu, jak olbrzym z bajek dla dzieci. Upiorna i bezgłówna, nadeszła jak wróg bez duszy i ludzkich cech. Natura w swojej najbardziej karzącej i surowej postaci. Myśli o tym, jak chwycił chłopca i zanurkował.

W jego umyśle pojawia się teraz obraz kamer, łypiących mechanicznie, wysuniętych do przodu na anonimowych ramionach, oceniających swymi niemrugającymi, wypukłymi oczami. Scott przypomina sobie świecące mu w oczy światła, splatające się ze sobą, tworzące mur pytania. Zastanawia się, czy kamery są narzędziem służącym rozwojowi człowieka, czy człowiek jest narzędziem służącym rozwojowi kamer. W końcu to my je nosimy, transportujemy z miejsca na miejsce, usługujemy im dzień i noc, uwieczniając wszystko, co widzimy. Uważamy, że stworzyliśmy nasz mechaniczny świat, by z niego korzystać, ale skąd wiemy, że nie jesteśmy tutaj, żeby służyć jemu? Kamera musi być w coś wymierzona, by być kamerą. Żeby użyć mikrofonu, należy zadać pytanie. Dwadzieścia cztery godziny na dobę, klatka po klatce, karmimy głodną bestię zamkniętą w nieustannym ruchu, spiesząc, by wszystko sfilmować.

Innymi słowy, czy telewizja istnieje, abyśmy ją oglądali, czy my istniejemy, aby ją oglądać?

Tamtej nocy fala się piętrzyła, chwiała jak czteropiętrowy budynek tuż przed zawaleniem, a Scott zanurkował, przyciskając do siebie chłopca. Nie miał czasu na nabranie powietrza, ciało przejęło kontrolę i przetrwanie przestało zależeć od abstrakcyjnych funkcji umysłu. Kopiąc, zanurzył się w ciemność. Czuł, jak wirujące szarpnięcie fali przyciąga do siebie wszystko, a potem poczuł przechył i nieuchronną grawitację opadania. Chwycony w dłoń potwora i ciśnięty głębiej. Teraz mógł tylko przyciskać chłopca do siebie i przetrwać.

Czy miał romans z Maggie? O to pytali. Zamężna matka dwójki dzieci, była przedszkolanka. A dla nich była... Kim? Bohaterką reality show? Smutna lubieżna

gospodyni domowa z postmodernistycznej powieści Czechowa?

Myśli o salonie Layli, nocnych natręctwach człowieka cierpiącego na bezsenność, który zmienił pokój w rodzaj pałacu pamięci. Jego wykonany węglem obraz to najprawdopodobniej ostatnia podobizna Maggie, jaką ktokolwiek stworzy.

Czy przespałby się z nią, gdyby mu to zaproponowała? Czy pociągała go, a może on ją? Czy stał za blisko, kiedy przyszła obejrzeć jego prace, czy kiwał się nerwowo na piętach i na palcach stóp, utrzymując dystans? Była pierwszą osobą, której pokazał swe prace, pierwszym cywilem. Świerzbiły go ręce. Gdy chodził po szopie, miał ochotę się napić, ale to była blizna, a nie strup, więc go nie zdrapał.

To jest jego prawda, historia, którą opowiada samemu sobie. Publicznie Scott jest jedynie bohaterem w nie swoim dramacie. Jest „Scottem Burroughsem”, bohaterskim draniem. To tylko zaczątek koncepcji, teoria. Widzi jednak, jak mogłaby się rozwinąć i stać... Czym? Rodzajem obrazu. Fakt zmieniany krok po kroku w fikcję.

Myśli o Andym Warholu, który wymyślał różne historie dla różnych dziennikarzy. „Urodziłem się w Akron. Urodziłem się w Pittsburghu”. W rezultacie, kiedy rozmawiał z ludźmi, wiedział, które wywiady czytali. Warhol rozumiał, że osobowość to jedynie historia, którą opowiadamy. Wymyślanie na nowo było kiedyś narzędziem artystów. Myśli o pisuarze Duchampa, gigantycznej popielniczce Claesa Oldenburga. Wziąć rzeczywistość i zmienić jej przeznaczenie, nagiąć do swego pomysłu – to było królestwo iluzji.

Ale dziennikarstwo to przecież coś innego. Ma być obiektywnym przedstawianiem faktów, choćby najbardziej sprzecznych. Wiadomości nie zmienia się, aby pasowały do reportażu. Przedstawia się fakty takimi, jakie są. Kiedy to przestało być prawdą? Scott pamięta dziennikarzy ze swojej młodości, Cronkite’a, Mike’a Wallace’a, Woodwarda i Bernsteina, ludzi z zasadami, o żelaznej determinacji. Jak oni przedstawiliby te wydarzenia?

Rozbija się prywatny samolot. Z życiem uchodzą mężczyzna i chłopiec.

Informacje kontra rozrywka.

Nie chodzi o to, że Scott nie rozumie wartości „ludzkiego zainteresowania”. Czymże była jego fascynacja Królem Ćwiczeń, jak nie fascynacją mocą ludzkiego ducha? Ale na palcach jednej ręki mógłby zliczyć informacje, które posiadał na temat życia miłosnego Jacka, jego romantycznej historii. Jack miał żonę, poślubioną kilkadziesiąt lat temu. Co więcej musiał wiedzieć?

Jako człowieka zajmującego się obrazem fascynuje go myśl o tym, jak jego wizerunek jest fałszowany, nie w sensie podrabiania, ale przetwarzania, kawałek po kawałku. *Historia Scotta. Historia katastrofy.*

Chce jedynie, żeby zostawiono go w spokoju. Dlaczego ma być zmuszany do wyjaśnień, brodzenia w bagnie kłamstw i prób prostowania owych zatrutych myśli? Czyż nie tego chcą? By się zaangażował? By rozbudował historię? Kiedy Bill Cunningham zaprasza go na antenę, nie robi tego po to, aby wyprostować fakty i zakończyć historię.

Robi to, żeby dodać do niej nowy rozdział, nowy zwrot, który popchnie opowieść naprzód, ku kolejnemu tygodniowi cykli popularności.

Innymi słowy, pułapka. Zastawiają pułapkę. Jeśli będzie sprytny, nadal będzie ich ignorował, szedł do przodu, żył swoim życiem.

O ile nie przeszkadza mu fakt, że nikt na ziemi już nigdy nie zobaczy go tak, jak on sam widzi siebie.

Dom jest mały i schowany za drzewami. Pochyla się lekko w lewo, jakby szerokie deski po tej stronie budynku w miarę upływu lat ugięły się i osunęły z wyczerpania, nudy lub obydwu powodów. Zbliżając się, Scott zauważa, że dom ma pewien cienisty urok: z obramowanymi na niebiesko białymi okiennicami wygląda jak dom z pocztówki z dzieciństwa, który przypomina się nam w snach. Kiedy mężczyzna wjeżdża po nierównej kostce brukowej i parkuje pod dębem, Doug wychodzi z domu z płócienną torbą na narzędzia. Ze znaczną siłą wrzuca ją na otwarty tył starego jeepa wranglera i bez podnoszenia wzroku idzie w kierunku drzwi kierowcy.

Scott macha, wysiadając z pożyzonego samochodu, ale Doug nie nawiązuje kontaktu wzrokowego, wrzuca bieg i wyjeżdża, rozbryzgując wokół chmurę zrębków drzewnych. Potem do drzwi frontowych podchodzi Eleanor trzymająca chłopca. Scott orientuje się, że na ich widok ściska go w żołądku (jej sukienka w czerwonej kratę na tle obramowanych na niebiesko białych okiennic i chłopiec w podobnej koszuli w kratę i krótkich spodenkach). W odróżnieniu od Eleanor, która patrzy na Scotta, chłopiec wydaje się rozkojarzony i patrzy za siebie, w stronę domu. Wtedy Eleanor mówi coś do niego i chłopiec się odwraca. Dostrzega Scotta i na jego twarzy pojawia się uśmiech. Scott macha do niego delikatnie („Od kiedy taki ze mnie machacz?”, zastanawia się). Chłopiec nieśmiało odwzajemnia gest. Wtedy Eleanor stawia go na ziemi i maluch na wpół podbiega, na wpół podchodzi do Scotta. Ten klęka na kolano. Rozważa objęcie chłopca i podniesienie go, ale w końcu kładzie tylko dłonie na ramionach dziecka i patrzy mu prosto w oczy jak trener piłkarski.

– Cześć – mówi.

Chłopiec się uśmiecha.

– Przyniosłem ci coś – informuje Scott.

Wstaje i idzie do bagażnika samochodu. W środku leży plastikowa wywrotka, którą znalazł w sklepie na stacji benzynowej. Jest przyczepiona do kartonowego pudełka niedającymi się złamać nylonowymi zapinkami. Scott spędza kilka minut, próbując wydostać zabawkę, aż w końcu Eleanor idzie do domu i przynosi nożyczki.

– Co się mówi? – pyta JJ-a, gdy wywrotka zostaje wyswobodzona i chłopiec zaczyna kopać nią zawzięcie. – Dziękuję – podpowiada po chwili, kiedy staje się jasne, że JJ się nie odezwie.

– Nie chciałem przyjechać z pustymi rękami – wyjaśnia Scott.

Eleanor kiwa głową.

– Przepraszam za Douga. Trochę się... Trochę nam teraz trudno.

Scott mierzwi chłopcu włosy.

– Porozmawiajmy w środku – proponuje. – Wjeżdżając, minąłem wóz transmisyjny. Czuję, że w tym tygodniu wystarczająco często gościłem w wiadomościach.

Eleanor przytakuje. Żadne z nich nie chce być na widoku.

Siadają przy stole kuchennym, podczas gdy chłopiec ogląda *Tomka i przyjaciół* i bawi się wywrotką. Zbliża się pora jego snu i malec zaczyna się wiercić, pokłada się na kanapie z oczami wlepionymi w ekran. Scott siedzi przy stole kuchennym i obserwuje go przez drzwi. Chłopiec ma świeżo przycięte włosy, chociaż nie wszystkie, grzywka jest prosta, ale tył nadal bujny. Przypominają młodszą wersję fryzury Eleanor, jakby chłopiec dostosował się, żeby pasować do rodziny.

– Myślałam, że dam radę obciąć je sama – wyjaśnia Eleanor, stawiając czajnik na kuchence – ale po kilku minutach tak się wiercił, że musiałam przestać. Teraz codziennie próbuję jeszcze trochę je podciąć, podkradając się do niego, kiedy bawi się ciężarówkami albo...

Mówiąc to, chwyta nożyczki z szuflady przy kuchence i podchodzi cicho do chłopca, starając się pozostać poza zasięgiem jego wzroku. Malec zauważa ją jednak i odgania gestem, wydając z siebie warknięcie.

– Po prostu – Eleanor próbuje przemówić do rozsądku nierozważnego zwierzątka – są dłuższe z...

Chłopiec znowu wydaje dźwięk, ze wzrokiem utkwionym w telewizorze. Eleanor kiwa głową i wraca do kuchni.

– Sam nie wiem – odzywa się Scott. – Jest coś idealnego w obrazie słodkiego dziecka z kiepską fryzurą.

– Mówisz tak tylko po to, żebym lepiej się poczuła – stwierdza Eleanor i wrzuca nożyczki z powrotem do szuflady.

Nalewa obojgu po filiżance herbaty. Od kiedy usiedli, słońce zdążyło opaść i pojawić się w polu widzenia na górnej krawędzi ramy okiennej. Gdy Eleanor nachyla się, by nalać Scottowi herbaty, jej głowa wślizguje się w kremowe światło, powodując zaćmienie. Scott patrzy na nią zmrużonymi oczami.

– Dobrze wyglądasz – przyznaje.

– Naprawdę? – pyta ona.

– Trzymasz się. Zrobiłaś herbatę.

Eleanor się zastanawia.

Scott patrzy, jak chłopiec się pokłada, w zamyśleniu gryząc palce lewej ręki.

Eleanor przez chwilę wpatruje się w zachodzące słońce i miesza herbatę.

– Kiedy urodził się mój dziadek – odzywa się Scott – ważył półtora kilograma. Działo się to w zachodnim Teksasie, w latach dwudziestych, przed erą OIOM-ów. Przez trzy miesiące spał w szufladzie na skarpetki.

– To nieprawda.

– O ile mi wiadomo – mówi Scott. – Chcę tylko powiedzieć, że ludzie potrafią

przetrwąć więcej, niż myślisz. Nawet dzieci.

– Rozmawiamy o nich, o jego rodzicach. Wie, że... odeszli, o ile rozumie, co znaczy to słowo. Ale po sposobie, w jaki patrzy na drzwi, kiedy Doug wraca do domu, widzę, że nadal czeka.

Scott zastanawia się. Wiedzieć coś i jednocześnie nie wiedzieć. Na swój sposób chłopiec ma szczęście. Gdy będzie w stanie naprawdę zrozumieć, co się wydarzyło, rana będzie już stara, a farba na niej wypłowiwała.

– Powiedziałaś, że Doug... – odzywa się Scott. – Jakież problemy?

Eleanor wzdycha i w zamyśleniu macza torebkę herbaty w filiżance.

– Posłuchaj – zaczyna. – On jest słaby. Jest po prostu... Ja nie... Myślałam najpierw, że to coś innego. Wiesz, niepewność, defensywność mogą przypominać pewność siebie. Myślę, że teraz głośniej wygłasza swoje opinie, ponieważ tak naprawdę nie jest pewien, co myśli. Czy to ma sens?

– Jest młody. To nic nowego. Sam przez to przechodziłem. Dogmat.

Eleanor przytakuje i do jej oczu powraca promyk nadziei.

– Ale z tego wyrosłeś.

– Wyrosłem? Nie. Spaliłem to, zapijałem się do odrętwienia i wkurzałem wszystkich, których znałem.

Rozmyślają przez moment nad tymi słowami i nad faktem, że czasami jedynym sposobem, aby nauczyć się nie igrać z ogniem, jest wejście w płomień.

– Nie mówię, że on tak robi – wyjaśnia Scott. – Ale nierealistyczne jest myślenie, że pewnego dnia obudzi się po prostu i powie: „Wiesz co? Jestem dupkiem”.

Eleanor kiwa głową.

– No i są pieniądze – mówi cicho.

Scott czeka.

– Nie wiem... To... Na samą myśl o nich robi mi się niedobrze.

– Mówisz o testamencie?

Kobieta przytakuje.

– To... dużo – stwierdza.

– Ile ci zostawili?

– Jemu. To jego pieniądze. To nie...

– Ma cztery lata.

– Wiem, ale chcę tylko... Czy nie mogłabym trzymać ich na koncie, aż będzie wystarczająco dorosły, żeby...?

– To jedno z rozwiązań – mówi Scott. – Ale co z jedzeniem albo mieszkaniem? Kto

zapłaci za szkołę?

Eleanor nie wie.

– Mogłabym... – zaczyna. – Może mogłabym przygotowywać dwa posiłki. Wykwintny dla niego albo... Dostaje ładne ubrania.

– A ty szmaty?

Eleanor kiwa głową. Scott rozważa pokazanie jej absurdalności tego pomysłu, ale widzi, że Eleanor to wie. Stara się zaakceptować coś, co otrzymała w zamian za śmierć rodziny.

– Zgaduję, że Doug patrzy na to inaczej.

– On chce... Możesz w to uwierzyć? On myśli... „Powinniśmy koniecznie zatrzymać willę w mieście, ale sam nie wiem, pewnie moglibyśmy sprzedać dom w Londynie i podczas wizyt zatrzymywać się w hotelu”. Od kiedy staliśmy się ludźmi jeżdzącymi do Londynu? Facet jest właścicielem połowy restauracji, której nigdy nie otworzy, ponieważ kuchnia jest nieskończona.

– Mógłby skończyć ją teraz.

Eleanor zaciska zęby.

– Nie. To nie są pieniądze na ten cel. Nie zarobiliśmy ich. To nie... To pieniądze dla JJ-a.

Scott patrzy, jak chłopiec ziewa i trze oczy.

– Zgaduję, że Doug się z tym nie zgadza.

Eleanor zaciska dłonie, aż knykcie jej bieleją.

– Powiedział, że oboje chcemy tego samego, ale ja odpowiedziałam: „Skoro oboje chcemy tego samego, to dlaczego krzyczysz?”.

– Czy ty się... boisz? W ogóle?

Eleanor patrzy na Scotta.

– Wiesz, że ludzie mówią, że miałeś romans z moją siostrą?

– Tak – odpowiada Scott. Kobieta mruży oczy. – Wiem o tym, ale to nieprawda.

Czyta w jej oczach, widzi wątpliwość, niepewność, komu może teraz zaufać.

– Kiedyś opowiem ci, jak to jest być wyzdrowiałym alkoholikiem. Albo zdrowiejącym. Chodzi głównie o unikanie... przyjemności, o koncentrowanie się na pracy.

– A ta dziedziczka w mieście?

Scott potrząsa głową.

– Dała mi miejsce, gdzie mogłem się ukryć, ponieważ lubi mieć tajemnice. Byłem czymś, czego nie mogła kupić za pieniądze. Tyle że... To chyba nieprawda.

Scott chce coś powiedzieć, kiedy wchodzi JJ. Eleanor prostuje się i wyciera oczy.

– Hej, kochany. Bajka się skończyła?

Chłopiec kiwa głową, a potem wskazuje Scotta.

– Chcesz, żeby ci poczytał? – pyta Eleanor.

Kolejne przytaknięcie.

– Dobry plan – odpowiada Scott.

Gdy chłopiec idzie z Eleanor na górę, by szykować się do spania, Scott dzwoni do starego rybaka, od którego wynajmuje dom. Chce sprawdzić, co się dzieje, jak się miewa trójnogi pies.

– Nie jest bardzo źle? – pyta. – Z prasą?

– Nie, panie Scotcie – odpowiada Eli. – Nie nachodzą mnie, a na dodatek okazuje się, że boją się psa. Ale, panie Burroughs, muszę panu coś powiedzieć. Przyszli ludzie. Mieli nakaz.

– Jacy ludzie?

– Policja. Wyłamali zamek w drzwiach szopy i wszystko zabrali.

Scott czuje dreszcz u podstawy kręgosłupa.

– Obrazy?

– Tak, panie Scotcie, wszystkie.

Zalega długa cisza, gdy Scott rozmyśla nad tymi słowami. Eskalacja. Co oznacza? Prace są teraz na widoku, cały dorobek jego życia. Jakich doznają uszkodzeń? Do czego zostanie zmuszony, by je odzyskać? W głębi duszy czuje jednak również coś innego, przyprowadzającą o zawrót głowy ekscytację na myśl o tym, że obrazy wreszcie robią to, co powinny. Są oglądane.

– W porządku – uspokaja staruszka. – Proszę się nie martwić. Odzyskamy je.

Kiedy zęby zostają umyte, piżama odnaleziona i chłopiec leży w łóżku, pod kołdrą, Scott siada w bujanym fotelu i czyta książki ze stosu leżącego w pokoju. Eleanor stoi w progu. Nie wie, czy zostać, czy pójść sobie, niepewna granic swojej roli. Czy może zostawić ich samych? Czy powinna, nawet jeśli jej wolno?

Po trzeciej książce chłopcu zamykają się oczy, ale nie chce, żeby Scott kończył. Eleanor podchodzi i kładzie się na łóżku, moszcząc się obok chłopca. Scott czyta więc kolejne trzy pozycje, nawet po tym, jak chłopiec zasypia, Eleanor też czuje senność, a późnoletnie słońce w końcu zachodzi. Jest w tej czynności, w tej chwili pewna prostota, czystość, której Scott nigdy nie doświadczył. Dom wokół niego tonie w ciszy. Scott zamyka ostatnią książkę i kładzie ją cicho na podłodze.

Na dole dzwoni telefon. Eleanor porusza się, ostrożnie wstaje z łóżka, by nie obudzić

chłopca. Scott słyszy, jak schodzi cicho na parter, słyszy pomruk jej głosu i dźwięk odkładanej słuchawki. Potem Eleanor wraca na górę i staje w drzwiach z dziwnym wyrazem twarzy. Wygląda jak kobieta jadąca kolejką górską, która pędzi ku ziemi.

– Co? – pyta Scott.

Eleanor przelżyka ślinę i drżąc, wypuszcza powietrze. Scott ma wrażenie, że w pionie utrzymuje ją futryna drzwi.

– Odnaleźli pozostałe ciała.

Rozdział trzeci

CZAS PRZED EKRADEM

Gdzie krzyżują się życie i sztuka? Dla Gusa Franklina współrzędne można wyznaczyć z precyzją GPS-u. Sztuka i życie zderzają się w hangarze lotniczym na Long Island. Tam właśnie wisi teraz dwanaście wielkoformatowych obrazów, ocienionych przed światłem wlewającym się przez mleczne szkło okien. Wielkie drzwi hangaru zostały zamknięte, aby trzymać z dala wścibskie oczy kamer. Dwanaście fotorealistycznych obrazów ludzkich katastrof podtrzymywanych przez drut. Na polecenie Gusa dołożono wszelkich starań, żeby prace w żaden sposób nie ucierpiały. Pomimo dogmatu O'Briena o polowaniu na czarownice Gus jest nadal przekonany, że ich działanie nie jest niczym innym jak dręczeniem ofiary, i nie chce być odpowiedzialny za zniszczenie dorobku artystycznego ani utrudnienie wykorzystania zasłużonej drugiej szansy malarza.

Stoi teraz z zespołem składającym się z agentów z różnych jurysdykcji, przedstawicieli linii lotniczych oraz firmy, która wyprodukowała samolot, i wspólnie analizują obrazy, nie pod względem artystycznym, ale jako dowody. Zadają sobie pytanie, czy to możliwe, by w pracach kryły się wskazówki dotyczące wymazania dziewięciu osób i samolotu za miliony dolarów. Czy to surrealistyczne ćwiczenie, niepokojące z uwagi na miejsce, w którym się znajdują? Pośrodku pomieszczenia rozstawiono składane stoły, a na nich technicy rozłożyli szczątki z katastrofy. Po dodaniu obrazów w przestrzeni pojawiło się napięcie, przyciąganie i odpychanie pomiędzy szczątkami a sztuką, w wyniku którego wszyscy obserwatorzy zmagają się z nieoczekiwanym uczuciem, że w jakiś sposób dowody stały się sztuką, a nie odwrotnie.

Gus przygląda się największej pracy, obejmującej trzy płótna. Po prawej widać wiejski dom. Po lewej powstało tornado. Na środkowym obrazie, na skraju pola kukurydzy, stoi kobieta. Gus przygląda się wysokim łądygom, mrużąc oczy, patrzy na twarz kobiety. Jako inżynier ma wrażenie, że sztuka przekracza jego zrozumienie, koncepcja, iż sam przedmiot (płótno, drewno i farby olejne) nie jest najważniejszy, a w zamian powstaje nieuchwytnie doświadczenie utworzone z sugestii, z połączenia materiałów, kolorów i treści. Sztuka istnieje nie w środku samego dzieła, ale w umyśle obserwatora.

Pomimo to nawet Gus musi przyznać, że w pomieszczeniu wyczuwa się teraz niepokojącą moc, dręczące widmo masowej śmierci, wynikające z ogromu i natury obrazów.

Uświadomiwszy sobie tę myśl, dostrzega coś jeszcze.

Na każdym obrazie widnieje kobieta.

I wszystkie mają tę samą twarz.

– Co o tym myślisz? – pyta go agent Hex z OFAC.

Gus potrząsa głową. „Poszukiwanie połączeń leży w naturze ludzkiego umysłu”, myśli. Wtedy podchodzi Marcy i informuje ich, że nurkowie znaleźli coś, co jest prawdopodobnie pozostałą częścią wraku.

Pomieszczenie eksploduje głosami, Gus wpatruje się jednak w obraz przedstawiający tonących ludzi, w hangarze pełnym schnących szczątków. Jedno to rzeczywistość, drugie – fikcja. Wolałby, żeby to obraz był śmiercią, a prawda fikcją. Potem kiwa głową i podchodzi do telefonu podłączonego do zabezpieczonej linii. Myśli o tym, że w każdych poszukiwaniach przychodzi moment, gdy ma się wrażenie, że pościg nigdy się nie skończy. I wtedy następuje koniec.

Agent Mayberry koordynuje działania załogi statku straży przybrzeżnej, która znalazła wrak. Informuje Gusa, że rozmieszcza nurków z kamerami na kaskach. Materiał zostanie przesłany wcześniej uruchomionym bezpiecznym kanałem łączności. Godzinę później Gus siedzi w hangarze przy plastikowym składanym stoliku. Tutaj od dwóch tygodni jada większość posiłków. Pozostali członkowie zespołu stoją za nim i piją kawę z Dunkin’ Donuts ze styropianowych kubków. Mayberry rozmawia przez telefon satelitarny bezpośrednio z kutrem straży przybrzeżnej.

– Materiał powinien się teraz pojawić – oznajmia.

Gus poprawia kąt nachylenia monitora, chociaż z racjonalnego punktu widzenia wie, że nie przyspieszy to komunikacji. To nerwowa ruchliwość. Przez moment widać jedynie okno do transmisji wideo, ale bez połączenia – „brak materiału” – a następnie nagły błysk niebieskiego sygnału. Nie oceaniczny błękit, ale elektroniczny, podzielony na piksele. Potem kolor ustępuje miejsca bezgłośniei zieleni podwodnego obiektu. Nurkowie (powiedziano Gusowi, że jest ich trzech) wysyłają światło z czołówek i obraz ma w sobie coś z upiornego filmu kręconego z ręki. Chwilę zajmuje Gusowi zorientowanie się, na co patrzy, ponieważ nurkowie znajdują się bardzo blisko przedmiotu, który wygląda na kadłub – porysowana biała skorupa przecięta na pół przez coś, co przypomina grube czerwone linie.

– Jest logo linii lotniczych – oznajmia Royce i pokazuje zebrany zdjęcie samolotu. Na bocznej powierzchni czerwoną kursywą napisano gullwing.

– Możemy się z nimi komunikować? – pyta salę Gus. – Może uda im się znaleźć numer identyfikacyjny.

Następuje poruszenie i próba kontaktu z kimś na kutrze straży przybrzeżnej. Kiedy informacja dociera do nurków, są już w drodze. Płyną, poruszają się dalej, według przecucia Gusa w stronę tyłu samolotu. Gdy mijają lewe skrzydło, Gus zauważa, że pękło z wielką siłą. Metal wokół miejsca oderwania jest poskręcany i pozaginany. Gus spogląda na fragment skrzydła leżący na podłodze hangaru, obok siatki pomiarowej.

– Nie ma ogona – oznajmia Royce.

Gus patrzy z powrotem na ekran. Białe światła przesuwają się po kadłubie, poruszając się powoli to w górę, to w dół wraz z ruchem płetw nurków. Samolot stracił tył

i spoczywa w mule, dlatego poszarpana dziura jest na wpół zakopana. Maszyna pożarta przez naturę.

– Nie – odzywa się kobieta z linii lotniczych. – Jest tam, w oddali. Prawda?

Gus wpatruje się w ekran zmrużonymi oczami i wydaje mu się, że jest w stanie dostrzec migotanie na krawędzi światła, stworzone przez człowieka kształty, pochylone i kołyszące się łagodnie z prądem. Potem jednak nurek odwraca się i zebrani w hangarze patrzą na dziurę w tyle samolotu. Kiedy kamera unosi się, po raz pierwszy ukazują się kadłub w pełnej długości. Obserwatorzy oglądają go z perspektywy.

– Mam strefę zgniotu – odzywa się jeden z inżynierów.

– Widzę ją – potwierdza Gus, chcąc uciąć spekulacje.

Samolot będzie musiał zostać przetransportowany do hangaru w celu szczegółowej analizy. Na szczęście nie leży zbyt głęboko, ale w przyszłym tygodniu spodziewany jest kolejny huragan, a wtedy morza i oceany stają się nieprzewidywalne. Będą musieli działać szybko.

Przed kamerą pojawia się nurek, porusza nogami. Wskazuje na ciemność na końcu samolotu, a potem na siebie. Kamera przytakuje. Nurek się odwraca.

Gus pochyła się do przodu na krześle, świadom powagi chwili.

Wchodzą na cmentarzysko.

Jak opisać rzeczy widziane na ekranie, doświadczenia, które nie są naszymi doświadczeniami? Po tak wielu godzinach (dniach, tygodniach, latach) oglądania telewizji, porannych talk-show, codziennych oper mydlanych, wieczornych wiadomości, a potem programów w godzinach największej oglądalności (*Kawaler do wzięcia*, *Gra o tron*, *The Voice*), po latach studiowania szybko rozprzestrzeniających się filmików gospodarzy nocnych programów i klipów ze strony *Funny or Die*, przesyłanych mailem przez znajomych, jak mamy je rozróżnić, skoro doświadczenie oglądania jest takie samo? Oglądamy zawałenie się bliźniaczych wież World Trade Center, a potem, na tym samym urządzeniu, w tym samym pokoju, śledzimy maraton serialu *Wszyscy kochają Raymonda*.

Razem z dziećmi oglądamy na Netfliksie odcinek *Troskliwych misiów*, a później, tego samego wieczoru (kiedy dzieci pójdą spać), szukamy amatorskich nagrań par, które sfilmowały się w trakcie łamania przepisów kilku stanów. Bierzymy udział w wideokonferencji z Janem i Michaelem z biura w Akron (na temat nowych protokołów dotyczących ewidencji czasu pracy), a potem (wbrew intuicji) klikamy bezpośredni link do filmu, na którym dżihadyści ucinają głowę zakładnikowi. Jak oddzielamy od siebie te nagrania w naszym mózgu, skoro doświadczenie oglądania ich, siedzenie lub stanie przed ekranem, może jedzenie z miski płatków śniadaniowych, samemu lub w grupie, tak czy inaczej, zawsze z częścią nas zakotwiczoną we własnej codzienności (jesteśmy rozkojarzeni z powodu terminów, próbujemy zdecydować, w co się ubrać na późniejszą randkę), jest takie samo?

Z definicji, oglądanie to co innego niż robienie.

Bycie nurkiem pięćdziesiąt metrów pod powierzchnią oceanu, gdzie poziom tlenu i azotu jest odpowiednio regulowany. Bycie nurkiem zamkniętym w obcisłym kokonie pianki, z maską na twarzy, poruszającym nogami w jednostajnym rytmie i obserwującym tylko to, co oświetla czołówka. Odczuwanie ciśnienia głębiny, koncentrowanie się na trudzie, jakim staje się oddychanie – coś, co wcześniej było mechaniczne i automatyczne, wymaga teraz ostrożności i wysiłku. Noszenie balastu, faktycznego obciążenia, by zapobiec wypłynięciu na powierzchnię ciała, które inaczej unosiłoby się na wodzie, i doświadczanie spowodowanego tym zmęczenia mięśni i poczucia, że oddech jest większy niż klatka piersiowa. W tym momencie nie ma salonu, terminów w pracy ani randek, na które trzeba się ubrać. W tym momencie jesteśmy podłączeni tylko do rzeczywistości, której doświadczamy. Właściwie to jest rzeczywistość.

Tymczasem Gus jest tylko kolejną osobą siedzącą przed monitorem komputera. Jednak wówczas, gdy nurkowie wślizgują się w czarną, mechaniczną otchłań, w której spoczywają zmarli, poza ograniczoną do przestrzeni pomieszczenia rzeczywistością doświadczą czegoś głębokiego, czegoś, co można określić jedynie jako strach.

Wewnątrz samolotu jest ciemniej. Oprócz ogona w czasie katastrofy ucierpiały również tylna łazienka i kuchnia. Widać też wgłębienie w miejscu, gdzie kadłub skręcił się pod wpływem siły uderzenia. Dokładnie naprzeciw kamery migoczące w świetle czołówki płetwy poprzedzającego nurka poruszają się rytmicznie. On również ma na czole latarkę i to w jej mniej wyraźnym świetle pojawia się pierwszy zagłówek i otaczające go jak aureola włosy, unoszące się na wodzie niczym wodorosty.

Włosy widać jedynie przez sekundę, potem pierwszy nurek zasłania je swoim ciałem, a wtedy obserwujący tę scenę w hangarze przechylają się na prawo, żeby zobaczyć, co jest za nim. To instynktowny ruch, który dla racjonalnego mózgu wydaje się bezcelowy, jednak pragnienie ujrzania tego, co zostało odkryte, jest tak wielkie, że wszyscy przechylają się jak jedno ciało.

– Przesuń się – szepcze pod nosem Mayberry.

– Cicho – rzuca Gus.

Na ekranie nurek odwraca głowę, a kamera przesuwa się wraz z nim. Gus widzi, że boazeria w kabinie w paru miejscach odłamała się i wygięła. Przez ekran przepływa but. Dziecięca tenisówka. Jedna z kobiet za Gusem gwałtownie wciąga powietrze. I wtedy się pojawiają, czwórka z pozostałych pięciu pasażerów, David Bateman, Maggie Bateman, ich córka Rachel i Ben Kipling. Ich opuchnięte ciała unoszą się na próżno, wbrew nylonowym pętom pasów bezpieczeństwa.

Nigdzie nie widać ochroniarza, Gila Barucha.

Gus zamyka oczy.

Kiedy je otwiera, kamera zdążyła już przenieść się z ciał pasażerów do ciemnej kuchni. Prowadzący nurek odwraca się i coś pokazuje. Operator kamery musi podплыnąć do przodu, by to złapać.

– Czy to...? Co to za dziury? – pyta Mayberry, podczas gdy Gus nachyla się do

ekranu. Kamera zbliża się i robi najazd na grupę kilku małych dziur wokół zamka u drzwi.

– Wyglądają jak... – zaczyna jeden z inżynierów i milknie.

Dziury po pociskach.

Kamera zbliża się jeszcze bardziej. Przez rozmyte w wodzie światło Gus jest w stanie dostrzec sześć dziur. Jedna z nich wyłamała zamek w drzwiach.

Ktoś ostrzelał drzwi kokpitu, próbując wejść do środka.

Kamera odsuwa się od drzwi i porusza w prawo i w górę.

Gus pozostaje skupiony. Ktoś przestrzelił drzwi. Kto? Czy udało mu się wejść do środka?

Wtedy kamera znajduje coś, co wszystkim w pomieszczeniu zapiera dech w piersiach. Gus patrzy w górę i widzi kapitana Jamesa Melody'ego, jego zwłoki uwięzione w kieszeni zassanego powietrza pod zaokrąglonym sufitem przedniej kuchni.

Po złej stronie zamkniętych drzwi kokpitu.

JAMES MELODY

6 marca 1965 – 23 sierpnia 2015

Spotkał kiedyś Charlesa Mansona. Taką historię opowiada matka Jamesa Melody'ego. „Miałeś dwa lata. Charlie trzymał cię na kolanach”. Zdarzyło się to w Venice, w stanie Kalifornia, w 1967 roku. Matka Jamesa, Darla, przyjechała z Kornwalii, w Anglii, z nieważną wizą. Żyła w Stanach od 1964 roku. Mawiała, że przyjechała z Beatlesami, chociaż oni pochodzili z Liverpoolu i przylecieli innym rejsem. Teraz mieszkała w Westwood. James starał się odwiedzać ją za każdym razem, gdy miał przerwę w podróży po przylocie na jedno z lotnisk wielkiego Los Angeles: Burbank, Ontario, Long Beach, Santa Monica i tak dalej.

Późno w nocy, po kilku kieliszkach sherry, Darla czasami oznajmiała, że Charles Manson był prawdziwym ojcem Jamesa. Podobnych historii było wiele. „W październiku sześćdziesiątego czwartego do Los Angeles przyjechał Robert Kennedy. Spotkaliśmy się w lobby hotelu Ambassador”.

James nauczył się większość z nich ignorować. W wieku pięćdziesięciu lat pogodził się z tym, że nie pozna prawdziwej tożsamości swojego biologicznego ojca. Była to jedynie kolejna wielka tajemnica życia. A James wierzył w tajemnice. Nie tak jak jego matka, która nigdy nie spotkała się z fantasmagoryczną ideologią, której nie zaakceptowałyby natychmiast i całkowicie, ale raczej jak Albert Einstein, który powiedział kiedyś: „Nauka bez religii jest ułomna, a religia bez nauki jest ślepa”⁶.

Jako pilot James widział bezmiar powietrza. Latał przy burzliwej pogodzie, gdzie pomiędzy nim a katastrofą nie było nic oprócz Boga.

A to kolejne słowa Einsteina: „Im dalej postępuje ewolucja duchowa ludzkości, tym bardziej jestem przekonany, że droga do autentycznej religijności nie wiedzie przez lęk przed życiem, strach przed śmiercią i poprzez ślepe wiary, ale przez wysiłek skierowany na zdobywanie racjonalnej wiedzy”⁷.

James był wielkim fanem Alberta Einsteina, byłego urzędnika w urzędzie patentowym, który stworzył teorię względności. Podczas gdy matka Jamesa szukała rozwiązań tajemnic życia w duchowych miazmatach, James wolał myśleć, że odpowiedź na każde pytanie można ostatecznie znaleźć w nauce. Weźmy dla przykładu pytanie: Dlaczego jest coś, a nie nic? Oczywiście dla spirytualistów odpowiedzią jest Bóg, jednak Jamesa bardziej interesował racjonalny kod wszechświata, aż do poziomu subatomowego. Praca pilota wymagała znajomości matematyki na zaawansowanym poziomie i naukowego sposobu pojmowania, a tym bardziej bycie astronautą (którym James kiedyś chciał zostać).

W czasie przerw w lotach zawsze można było zastać Jamesa Melody'ego czytającego. Siadał nad hotelowym basenem w Arizonie i przeglądał Spinozę albo jadł w barze klubu nocnego w Berlinie i czytał teksty z dziedziny nauk społecznych, takie jak *Freakonomia*.

Kolekcjonował fakty i szczegóły. W zasadzie to właśnie robił teraz w restauracji w Westwood, czytając „The Economist” i czekając na matkę. Był słoneczny sierpniowy poranek, na zewnątrz dwadzieścia osiem stopni, wiatr przeważnie z kierunku południowo-wschodniego o prędkości szesnastu kilometrów na godzinę. James siedział, pił mimozę i czytał artykuł o narodzinach czerwonej krowy w Izraelu, na Zachodnim Brzegu Jordanu. Jej narodziny spowodowały oburzenie żydów i fundamentalistycznych chrześcijan, gdyż zarówno Stary, jak i Nowy Testament mówią, że nowy Mesjasz nie nadejdzie, dopóki na Wzgórzu Świątynnym w Jerozolimie nie zostanie zbudowana Trzecia Świątynia. A jak powszechnie wiadomo, Trzecia Świątynia nie może zostać zbudowana, dopóki ziemia pod nią nie zostanie oczyszczona prochami czerwonej krowy.

Jak wyjaśniono w artykule (o czym James wiedział już wcześniej), Księga Liczb (19,2) poucza nas: *Powiedz Izraelitom: Niech ci przyprowadzą czerwoną krowę bez skazy, na którą jeszcze nie wkładano jarzma*⁸. Zwierzę nie mogło być wcześniej użyte do wykonania pracy. W tradycji żydowskiej potrzeba czerwonej krowy pojawia się jako pierwszy przykład *chok* lub biblijnego prawa, na które nie ma logicznego wytłumaczenia. Uznano zatem, że wymóg ten ma absolutne, boskie źródło.

Jak napisał dziennikarz, „The Economist” opublikował artykuł nie z powodu jego religijnego znaczenia, ale ponieważ poruszył na nowo gorący temat własności Wzgórza Świątynnego. Wspomniano w nim o geopolitycznym znaczeniu regionu bez komentowania religijnej zasadności roszczeń fundamentalistów.

Po skończonej lekturze James wyrwał artykuł z czasopisma i starannie złożył go na trzy. Zatrzymał przechodzącego kelnera i poprosił, by ten wyrzucił kartkę do kosza. Zostawiając artykuł w magazynie, ryzykował, że matka niechcący weźmie go do ręki, zobaczy tekst i skreśli w kolejną ścieżkę. Ostatni „skręt” zabrał ją w głąb króliczej nory scjentologii na dziewięć lat, podczas których oskarżała Jamesa, że jest nieprzyjazny, i zerwała z nim wszelkie kontakty. Nie bardzo mu to przeszkadzało, tyle że się martwił. Darla pojawiła się ponownie po latach, gadatliwa i przyjazna, jakby nic się nie wydarzyło. Kiedy James zapytał ją, co się stało, odpowiedziała po prostu:

– Och, te głupki. Zachowują się tak, jakby wszystko wiedzieli. Ale jak mówi nam *Daodejing*: „Poznanie innych to mądrość. Poznanie siebie to oświecenie”.

James patrzył, jak kelner znika w kuchni. Chciał pójść za nim i upewnić się, że wyrzucił artykuł, w zasadzie żałował, że nie polecił mu, aby spalił tekst wraz z innymi odpadkami, albo że sam nie podarł go na małe, niemożliwe do odczytania kawałki, ale oparł się pokusie. Takie obsesyjne impulsy najlepiej ignorować, czego nauczył się na własnej skórze. Artykułu nie było. Zniknął z pola widzenia. Był nieosiągalny, i to się liczyło.

Stało się to w samą porę, gdyż właśnie pojawiła się jego matka na swoim czterokołowym elektrycznym wózku inwalidzkim Ventura 4 z regulowanym kątem nachylenia i kierownicą typu delta (oczywiście czerwonym). Zjechała z rampy dla inwalidów, zobaczyła Jamesa i pomachała do niego. James wstał, kiedy się zbliżała, manewrując pomiędzy gośćmi (którzy musieli przesuwac krzesła, żeby mogła przejechać). Matka nie używała wózka z powodu otyłości (wręcz przeciwnie, ważyła nie więcej niż

czterdzieści kilogramów) ani niepełnosprawności (nie miała problemów z chodzeniem). Chodziło o komunikat, jaki wysyłał jej pojazd w kolorze strażackiej czerwieni, o znaczenie, jakie niósł ze sobą. Stało się to jasne już od jej wejścia, kiedy wszyscy w restauracji musieli wstać i przesunąć krzesła, jakby przybyła królowa.

– Cześć – przywitała się Darla, gdy James odsunął dla niej krzesło. Wstała bez wysiłku i zajęła miejsce. Potem, widząc drinka syna, zapytała:

– Co pijemy?

– To mimoza. Chcesz?

– Tak, poproszę – odparła.

James gestem poprosił kelnera o kolejnego drinka. Matka rozłożyła serwetkę na kolanach.

– Więc... powiedz mi, że wspaniale wyglądam.

James się uśmiechnął.

– Rzeczywiście. Wyglądasz świetnie.

Przybrał ton głosu, którego używał tylko przy matce. Powolne, cierpliwe objaśnianie, jakby mówił do dziecka wymagającego specjalnej troski. Matce się to podobało, o ile syn nie przesadzał i nie popadał w ton protekcyjny.

– Widzę, że jesteś w formie – zauważyła. – Podoba mi się wąsik.

James dotknął zarostu, zdając sobie sprawę, że matka jeszcze go z nim nie widziała.

– Trochę jak Errol Flynn, co?

– Ale trochę za siwy – zasugerowała, krzywiąc się. – Może nieco czarniejszy?

– Uważam, że tak wyglądam bardziej dystyngowanie – oznajmił beztrósco James, gdy kelner przyniósł drinka.

– Jest pan uroczy – powiedziała do niego matka. – Proszę przygotować mi kolejnego. Jestem okropnie spragniona.

– Oczywiście – rzekł kelner i się oddalił.

Przez dziesięciolecia brytyjski akcent matki zmienił się w coś, co James zaczął nazywać czystą pozą. Podobnie jak Julia Child, roztaczała wokół siebie atmosferę wielkości, przy której jej akcent wydawał się wręcz arystokratyczny. Przekaz brzmiał: „Tak po prostu mówimy, mój drogi”.

– Sprawdziłem dania dnia – oznajmił James. – Podobno frittata jest boska.

– Och, świetnie – ucieszyła się Darla. Nic nie sprawiało jej takiej przyjemności jak dobry posiłek. „Jestem sensualistką”, powtarzała, co brzmiało seksownie i zabawnie, kiedy miała dwadzieścia pięć lat, ale teraz, gdy dobiegła siedemdziesiątki, wydawało się niestosowne. – Słyszałaś o czerwonej krowie? – zapytała, kiedy złożyli zamówienie.

Jamesa na moment zalała panika na myśl, że jakimś sposobem matka zdołała

przeczytać artykuł, ale potem przypomniał sobie, że ogląda CNN dwadzieścia cztery godziny na dobę. Musieli zrobić na ten temat reportaż.

– Widziałem artykuł – przytaknął. – I z chęcią wysłucham twojej opinii, ale najpierw chciałbym porozmawiać o czymś innym.

To ją najwyraźniej udobruchało, z czego James wywnioskował, że matka nie podłączyła się jeszcze całkowicie do tej historii, tak jak wtyczka podłącza się do gniazdka i pobiera moc.

– Zacząłem uczyć się grać na harmonijce ustnej – poinformował. – Staram się znaleźć kontakt z moimi muzycznymi korzeniami. Chociaż nie jestem pewien, czy korzenie to odpowiednie...

Matka podała pusty kieliszek kelnerowi, który w samą porę pojawił się z kolejnym drinkiem.

– Twój ojczym grał na harmonijce – oznajmiła.

– Który?

Albo nie usłyszała jego żartu, albo go zignorowała.

– Był bardzo muzyczny. Może masz to po nim.

– To chyba tak nie działa.

– Cóż – oznajmiła i wypła łyk drinka. – Zawsze uważałam, że to trochę głupie.

– Harmonijka?

– Nie, muzyka. Bóg mi świadkiem, że byłam z wieloma muzykami. To, co robiłam Mickowi Jaggerowi, zawstydziłoby nawet dziwkę.

– Mamo – upomniał ją, rozglądając się dookoła, ale siedzieli na tyle daleko od innych gości, że nikt nie odwrócił głowy.

– Och, daj spokój. Nie bądź takim świętoszkiem.

– Cóż, lubię to. Grę na harmonijce.

Wyjął instrument z kieszeni marynarki i pokazał jej.

– Jest przenośna, więc mogę ją wszędzie zabrać. Czasami gram cicho w kokpicie, gdy lecimy na autopilocie.

– Czy to bezpieczne?

– Oczywiście. Dlaczego miałyby nie być?

– Wiem tylko, że muszę wyłączyć telefon na czas startu i lądowania.

– To... już to zmienili. Sugerujesz, że fale dźwiękowe z harmonijki mogłyby mieć wpływ na system sterowania czy...

– Cóż, to twoja działka, rozumowanie techniczne. Ja tylko mówię, co widzę.

James przytaknął. Za trzy godziny miał lecieć samolotem OSPRY do Teterboro

i odebrać nową załogę. Potem krótki wypad na Martha's Vineyard i z powrotem. Na jedną noc zarezerwował sobie pokój w hotelu Soho w centrum, a następnego dnia wylatywał do Tajwanu.

Matka skończyła drugiego drinka – „mój drogi, nalewają takie małe” – i zamówiła trzeciego. James zauważył czerwony sznureczek na jej prawym nadgarstku. A więc wróciła do kabaty. Nie musiał patrzeć na zegarek, by wiedzieć, że od jej przyścia minęło dopiero piętnaście minut.

Kiedy opowiadał, że dorastał w sekcie apokaliptycznej, tylko częściowo żartował. Mieszkali tam, on i Darla, przez pięć lat, od 1970 do 1975 roku. Tam, czyli w dwuipółhektarowym kompleksie w Karolinie Północnej. Sekta nosiła nazwę Przywrócenie Dziesięciu Bożych Przykazań (później skróconą do Przywrócenia) i była prowadzona przez przewielebnego Jaya L. Bakera. Jay L. mawiał, że on jest piekarzem, a oni jego chlebem. Oczywiście piekarzem, który stworzył ich wszystkich, był Bóg.

Jay L. był przekonany, że świat skończy się dziewiątego sierpnia 1974 roku. Podczas spływu górskiego doznał wizji, w której zobaczył, jak zwierzęta domowe płyną do nieba. Po powrocie do domu sprawdził Pismo Święte, Stary Testament, Księgę Objawienia i Ewangelie gnostyckie. Doszedł do wniosku, że w Biblii znajduje się zakodowany, ukryty przekaz. Im bardziej zagłębiał się w teksty religijne, im więcej notatek robił na marginesach i im więcej obliczeń wklepywał na starym kalkulatorze, tym mocniej przekonywał się, że chodzi o datę. Tę datę.

Datę końca świata.

Darla poznała Jaya na Haight Street. Miał starą gitarę i szkolny autobus. Grupa jego wyznawców liczyła dokładnie jedenaście osób (wkrótce rozrosła się do niemal stu), a sam Jay obdarzony był głosem mówcy, głębokim i melodyjnym. Lubił sadzać swoich wyznawców w kręgach przypominających symbol olimpijski, przeplatających się tak, że niektórzy siedzieli do siebie twarzami. Przechadzał się między nimi, głosząc swoje przekonanie, że w momencie wniebowzięcia tylko najczystsze dusze pójną do nieba. Czystość w jego mniemaniu oznaczała wiele rzeczy: modlitwę przynajmniej osiem godzin dziennie, oddanie się ciężkiej pracy i trosce o innych. Oznaczała niejedzenie kurcząt ani produktów z nimi związanych (na przykład jaj), mycie się wyłącznie mydłem wyrabianym ręcznie (czasami mycie twarzy popiołem z drewna brzozy). Wyznawcy musieli otaczać się jedynie czystymi dźwiękami, prosto ze źródła. Niedozwolone były materiały nagrywane, telewizja, radio i film.

Przez chwilę Darli podobały się te zasady. W głębi duszy była poszukiwaczką. Twierdziła, że szuka oświecenia, ale tak naprawdę szukała porządku. Była zagubioną dziewczyną z klasy robotniczej. Miała ojca pijaka, który chciał, by mówić mu, co ma robić i kiedy. Pragnęła wieczorem kłaść się spać, wiedząc, że rzeczy mają sens i świat celowo jest taki, jaki jest. Chociaż był wówczas mały, James pamięta zapał, jaki matka wprowadziła do ich nowego życia we wspólnocie, pamięta, jak rzuciła się w jej wir na oślep. Kiedy Jay L. postanowił, że dzieci powinny być wychowywane wspólnie, i kazał członkom sekty zbudować szkółkę, matka Jamesa nie wahała się przed dodaniem go do grupy.

- Jesteś teraz tutaj czy jak? – zapytała teraz.
- Czy jestem tutaj?
- Nie nadążam. Te wszystkie twoje przyloty i odloty. Masz jakiś adres?
- Oczywiście, w Delaware. Wiesz o tym.
- Delaware?
- Dla celów podatkowych.

Skrzywiła się tak, jakby myślenie o podobnych sprawach było niegodne człowieka.

– Jak było w Szanghaju? – zapytała. – Zawsze myślałam, że wizyta w Szanghaju musi być magiczna.

– Jest tłoczno i wszyscy palą papierosy.

Spojrzała na niego z rodzajem znudzonej litości.

– Nigdy nie czuleś potrzeby podziwiania.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Nic. Po prostu... Zostajemy sprowadzeni na ziemię, by rozkoszować się majestatem tworzenia, a nie, no wiesz, mieszkać w Delaware dla celów podatkowych.

– To tylko na papierze. Mieszkam w chmurach.

Powiedział tak dla niej, ale to była prawda. Większość jego najlepszych wspomnień pochodzi z kokpitu. Kolory natury, sposób, w jaki światło załamuje się nad horyzontem, oczyszczający skok adrenaliny po pokonaniu pułapu chmur burzowych. Ale co to znaczyło? O to zawsze pytała jego matka. „Co to wszystko znaczy?” James jednak nie martwił się o to. W środku, w głębi swojego jestestwa wiedział, że to wszystko nie ma żadnego znaczenia.

Wschód słońca, zimowa nawałnica, ptaki lecące w kluczu uformowanym w idealną literę V. Te zjawiska po prostu są. Prawda wszechświata, wewnętrzna i doniosła, mówiła, że istnieją bez względu na to, czy ich doświadczamy czy nie. Majestatyczność i piękno to cechy, które na nie projektujemy. Burza to jedynie element pogody, wschód słońca to tylko układ na niebie. Nie chodzi o to, że mu się nie podobały. Po prostu nie wymagał od wszechświata więcej poza tym, żeby istniał i zachowywał się spójnie, żeby grawitacja działała tak jak zawsze, żeby siła nośna i opór były stałymi.

Jak powiedział kiedyś Albert Einstein: „W Naturze widzę przede wszystkim jej wspaniałą strukturę, którą pojmujemy w bardzo ograniczonym stopniu, a która z konieczności wywołuje u każdego myślącego człowieka poczucie znikomości. Stanowi to iście religijne przeżycie, które wszakże nie ma nic wspólnego z mistycyzmem”⁹.

Odprowadził matkę do mieszkania. Jechała obok niego i machała do znajomych jak syrena na swojej własnej świątecznej paradzie. Przy drzwiach spytała Jamesa, kiedy się znowu pojawi, a on powiedział, że w przyszłym miesiącu będzie miał w Los Angeles przerwę między lotami. Kazała mu uważać na znaki. Czerwona krowa urodziła się

w Ziemi Świętej. Wydarzenie samo w sobie nie było potwierdzeniem boskiego planu, ale jeśli znaki zaczną się mnożyć, powinni się przygotować.

Zostawił ją w holu. Miała potem pojechać do windy, a następnie prosto do mieszkania. Wspomniała, że ma tego dnia spotkanie grupy czytelniczej, obiad z przyjaciółmi i spotkanie grupy modlitewnej. Zanim odszedł, pocałowała go w policzek (James nachylił się, aby jej to umożliwić, jak postępuje się w obecności papieża lub kardynała) i oznajmiła, że będzie się za niego modlić. Przyznała, że cieszy się, że ma tak dobrego syna, który zafundował matce pyszny posiłek i zawsze pamięta, by do niej zadzwonić. Powiedziała, że ostatnio często myśli o komunie, i zapytała, czy on ją pamięta. Przewielebny Jay L. Baker. Co on takiego mówił? „Ja jestem piekarzem, a wy wszyscy moim chlebem”.

– Cóż – powiedziała. – Ja byłam twoim piekarzem. Zrobiłam cię w moim piecyku i nigdy o tym nie zapominaj.

James ucałował matkę w policzek, poczuł na ustach delikatny starczy meszek. Przy drzwiach obrotowych odwrócił się i pomachał jej ostatni raz, ale ona już zniknęła, mignęła mu tylko czerwień w zamykających się drzwiach windy. Założył okulary przeciwsłoneczne i wyszedł na poranne słońce.

Dziesięć godzin później już nie żył.

Zacinający deszcz, od średniego po intensywny, spadał na Teterboro przez pułap chmur. James leciał samolotem OSPRY 700SL. Przewoził czterech dyrektorów z Sony Corporation. Wylądowali bez problemów i po kołowaniu zatrzymali się obok limuzyny. Jak zawsze James stał w drzwiach kokpitu i życzył wsiadającym pasażerom bezpiecznej podróży. Dawniej mówił czasem „Z Bogiem” (nabrał tego zwyczaju w dzieciństwie), ale zauważył, że te słowa wprawiały mężczyzn w krawatach w zakłopotanie, więc zmienił pożegnanie na bardziej neutralne. Traktował obowiązki kapitana niezwykle poważnie.

Było późne popołudnie. Zostało mu kilka wolnych godzin przed kolejnym lotem, szybkim wypadem na Martha's Vineyard, by odebrać grupę sześciu osób. Miał polecieć tam OSPRY 700SL. Poza dzisiejszym kursem wcześniej nie latał tym modelem, ale nie martwił się – firma OSPRY produkowała bardzo solidne maszyny. Samolot miał niecałe dwadzieścia jeden metrów długości, a rozpiętość skrzydeł wynosiła dziewiętnaście i pół metra. Był w stanie rozwinąć prędkość do 0,83 macha, ale James nigdy nie ciśnie maszyny tak mocno, mając na pokładzie pasażerów, którzy zapłacili za lot. Na pełnym baku samolot jest w stanie przelecieć od Atlantyku do Pacyfiku z maksymalną prędkością ośmiuset dziewięćdziesięciu dwóch kilometrów na godzinę. Specjaliści twierdzą, że może osiągnąć pułap czternastu tysięcy metrów, lecz James z doświadczenia wiedział, że to ostrożne wyliczenia. Mógłby spokojnie wznieść się na wysokość piętnastu tysięcy metrów, chociaż nie wyobraża sobie, żeby było to konieczne podczas tego lotu.

Dziewiąty sierpnia 1974 roku, tego dnia świat miał się skończyć. W Przywróceniu modlono się przez wiele miesięcy. Bóg powiedział Noemu, że następnym razem wybuchnie pożar, więc na to się przygotowywali. Uczyli się padać na podłogę i turlać, na

wypadek gdyby wniebowzięcie ich ominęło. Jay L. spędzał coraz więcej czasu w drewnianej szopie, przyjmując do swego ciała Archanioła Gabriela. W ramach niepisanej umowy wszyscy w grupie objadali się przez dziesięć dni, a potem jedli tylko macę.

W pomieszczeniu dla załogi James sprawdził aktualne warunki pogodowe. Nad Vineyard zapowiadała się kiepska widoczność, nisko zalegające chmury (na wysokości od sześćdziesięciu do stu dwudziestu metrów) i gęsta przybrzeżna mgła. Z północnego wschodu wiał wiatr o prędkości od siedmiu do dziesięciu metrów na sekundę. James wiedział z meteorologii, że mgła to jedynie chmura znajdująca się w niedalekiej odległości od powierzchni ziemi lub w kontakcie z lądem bądź morzem. Mówiąc prościej, to małe krople wody zawieszony w powietrzu. Są one tak niewielkie, że prawie wcale nie podlegają sile grawitacji, dlatego pozostają zawieszony. W najłagodniejszej formie mgła składa się ze smug o grubości kilkudziesięciu centymetrów. W najgorszym przypadku może osiągać głębokość kilkudziesięciu metrów.

Mgły morskie bywają zwykle gęste i długo zalegają. Mogą podnosić się i opadać, nie rozpraszając się całkowicie. Na wysokości przybierają formę niskich chmur warstwowych. Na średnich i dużych wysokościach (na przykład w Nowej Anglii) mgła morska zwykle występuje latem. Ograniczona widoczność nie jest najgorszym problemem, z jakim musi mierzyć się pilot. Pokładowy system HGS potrafi wylądować przy zerowej widoczności, jeśli posiada współrzędne GPS pasa startowego. HGS przekształca sygnały wysyłane z radiowego systemu nawigacyjnego ILS lotniska w wirtualny obraz pasa startowego wyświetlany na monitorze. Jednak pilot może zostać zaskoczony, jeśli wiatr zmieni się gwałtownie przy ręcznym podchodzeniu do lądowania.

*Przeto wyjdźcie spośród nich i odłączcie się od nich*¹⁰. To mówiła Biblia, te słowa przekonały Jaya L. Bakera, by zebrał swoje stado i uciekł do lasu niedaleko Eureka w stanie Kalifornia. Znajdował się tam opuszczony teren po obozie letnim, bez ogrzewania ani elektryczności. Członkowie sekty kąpali się w jeziorze i jedli jagody z krzaków. Jay L. zaczął wygłaszać długie kazania, przemawiał godzinami, czasami całe dni. Mówił im, że znaki są wszędzie. Objawienia. Żeby zostać zbawionymi, musieli wystrzegać się wszelkich grzechów i wyrzucić z serca sprzedajną zdrożność. Czasami oznaczało to wywoływanie bólu w okolicach genitaliów własnych i innych osób, czasami – odwiedzanie „konfesjonału”, drewnianego wychodka, którego wnętrze w letnim słońcu nagrzewało się nawet do czterdziestu stopni Celsjusza. Matka Jamesa spędziła tam kiedyś trzy dni, głosząc, że diabeł przyszedł po jej duszę. Była cudzołożnicą i (prawdopodobnie) wiedźmą, przyłapaną *in flagranti* z Gale'em Hickeyem, byłym dentystą z Ojai. Nocą James próbował przemycić matce wodę. Skradał się od krzaka do krzaka i przepychał manierkę przez otwór w smole, ale matka zawsze odmawiała. Sama sprowadziła na siebie cierpienie i przetrwała cały proces oczyszczenia.

James postanowił sprawdzić przed odlotem system HGS. Jeśli będzie mógł, porozmawia z załogami, które niedawno przyleciały, aby zorientować się, jakie warunki pogodowe panują w powietrzu, chociaż na wysokości sytuacja zmienia się szybko i można natrafić na turbulencje czystego nieba.

Czekając, sączył irlandzką herbatę śniadaniową. Nosił foliowe torebki z herbatą w bagażu podręcznym. Podniósł filiżankę do ust i zobaczył, jak kropla krwi przecina powierzchnię napoju i tworzy na nim zmarszczki. Potem kolejna. Poczł wilgoć na wargach.

– Cholera.

Pobiegł do toalety z serwetką przy twarzy, odchyliwszy głowę. Krwawił ostatnio z nosa, mniej więcej dwa razy w tygodniu. Lekarz powiedział mu, że to z powodu wysokości. Kruche naczynka i ciśnienie. W ciągu ostatnich miesięcy zniszczył sobie kilka mundurów. Na początku się martwił, ale gdy nie pojawiły się inne symptomy, Melody przypisał dolegliwość wiekowi. W marcu skończy pięćdziesiąt jeden lat. „To już połowa drogi”, myślał.

W łazience ucisnął nos, aż krwawienie ustało, a potem się umył. Tym razem miał szczęście, na koszuli ani marynarce nie było śladów krwi. Zanim jego miejsce zdążyło wystygnąć, wrócił do poczekalni i wypił kolejną filiżankę herbaty.

O piątej trzydzieści zebrał swoje rzeczy i wyszedł do samolotu.

W rzeczywistości dziewiątego sierpnia 1974 roku nie skończyło się nic, poza prezydenturą Richarda M. Nixona.

Kontrolę przed lotem zaczął od kokpitu, przeglądając urządzenia jedno po drugim. Najpierw zajrzał do dokumentów, zawsze dbał o szczegóły. Sprawdzał ruchomość wolantu, z zamkniętymi oczami nasłuchiwał nietypowych odgłosów, zgrzytów lub brzęków. Czuł lekki opór przy skręcie w prawo, więc poprosił obsługę techniczną, żeby przeanalizowała problem. Potem przekreślił włącznik główny, sprawdził poziomy paliwa i pełne wysunięcie klap.

– Jeszcze... dajcie mi jeszcze chwilę – poprosił.

Po kontroli instrumentów wyszedł na płytę lotniska i obszedł samolot, dokonując oględzin. Chocł wieczór był ciepły, sprawdził, czy na zewnątrz nie zgromadził się lód. Upewnił się, że nie brakuje anten, nitów, nie ma wgnieceń ani luźnych śrub, że wszystkie światła są w pełni sprawne. Znalazł na skrzydle ptasie odchody, stał je ręką, a następnie ocenił, jak samolot siedzi na kołach. Przechył w lewą stronę wskaźniki na niski poziom powietrza w lewym tylnym kole. James sprawdził krawędzie spływu skrzydeł i przyjrzał się silnikom. Używał zarówno racjonalnej, lewej półkuli mózgu, żeby odhaczyć w głowie kolejne punkty kontroli, jak i instynktownej, prawej półkuli, otwartej na wrażenie, że coś jest nie tak z samolotem. Ale nic takiego nie poczuł.

Po powrocie do kabiny naradził się z mechanikiem, który stwierdził, że radiowysokościomierz jest sprawny. Pogawędził ze stewardesą, Emmą Lightner, z którą wcześniej nie pracował. Jak w przypadku innych prywatnych lotów dziewczyna była ładniejsza, niż można by oczekiwać przy tak monotonnej i nudnej pracy, ale Melody wiedział, że praca ta jest dobrze płatna i można przy niej zwiedzić trochę świata. Pomógł Emmie rozmieścić cięższe torby. Uśmiechnęła się do niego w sposób, który wydał mu się

przyjacielski, lecz nie flirciarski. Jej uroda działała jednak jak grawitacja, jakby natura stworzyła tę kobietę, aby przyciągała do siebie mężczyzn, więc to właśnie robiła, czy tego chciała czy nie.

– Szybki wieczorny lot – powiedział do niej James. – Przed jedenastą powinnaś być z powrotem. Gdzie mieszkasz?

– W Nowym Jorku – odpowiedziała. – W Village z dwiema innymi stewardesami. Wydaje mi się, że też wyleciały, chyba do RPA.

– Cóż, ja pójdę prosto do łóżka – przyznał James. – Dzisiaj rano byłem w Los Angeles, a jutro lecę do Azji.

– Nieźle nami rzucają, co?

James się uśmiechnął. Miała najwyżej dwadzieścia pięć lat. Przez chwilę pomyślał o mężczyznach, z jakimi się umawia. Futbolści i muzycy rockowi. Czy to nadal było modne? Muzyka rockowa? James przeważnie był sam. Nie dlatego, że nie lubił towarzystwa kobiet, ale nie mógł znieść wynikających ze związku komplikacji, natychmiastowego poczucia obowiązku, oczekiwania całkowitego połączenia. Był mężczyzną, który w wieku pięćdziesięciu lat żył na walizkach. Lubił robić rzeczy po swojemu. Lubił herbatę i książki. Lubił chodzić do kina w innych krajach i w dawnych barkowych pomieszczeniach oglądać współczesne amerykańskie filmy z napisami. Lubił spacerować brukowanymi ulicami i słuchać, jak ludzie się kłócą w różnych językach. Uwielbiał gorący powiew pustynnego powietrza, który uderzał go, gdy schodził z pokładu samolotu na muzułmańską ziemię. Jemen, Zjednoczone Emiraty Arabskie. Latał nad Alpami przy zachodzie słońca, walczył z burzami nad Półwyspem Bałkańskim. Postrzegał siebie jak satelitę, eleganckiego i samowystarczalnego, krążącego po orbicie Ziemi, bez zastrzeżeń wypełniającego powierzone mu zadania.

– Przy drugim drążku ma siedzieć Gaston – powiedział James. – Znasz Petera?

– Tak, jest przemiły.

– Szkoda.

Uśmiechnęła się, pokazując zęby, i to wystarczyło. Wywołać uśmiech u pięknej kobiety i czuć ciepło jej uwagi. Wszedł do kokpitu i ponownie przejrzał urządzenia, sprawdzając, jak technicy wykonali swoją pracę.

– Dziesięć minut – zawołał.

Podczas ponownej kontroli poczuł, że samolot się przechylił. „Drugi pilot”, pomyślał. Według rozkładu tego dnia miał nim być Peter Gaston, ekscentryczny Belg, który na długich trasach lubił rozmawiać o filozofii. James z przyjemnością wdawał się z nim w dyskusje, zwłaszcza gdy zagłębiali się w tematy z pogranicza nauki i ideologii. Czekał, aż Peter wejdzie do kokpitu, ale zamiast tego usłyszał szepty dochodzące z kabiny, a potem odgłos przypominający kłaśnięcie. Zmarszczył czoło, wstał i dotarł już prawie do drzwi, gdy do kokpitu wszedł mężczyzna, trzymając się za policzek.

– Przepraszam – powiedział. – Zatrzymano mnie w biurze.

Melody go rozpoznał. Chłopak prawdopodobnie dwudziestoparoletni, ze szklistym wzrokiem i przekrzywionym krawatem. Charlie jakiś tam. Leciał z nim raz i uznał, że pod względem technicznym dzieciak dobrze się spisał.

– Co się stało z Gastonem? – zapytał i zmarszczył brwi.

– Masz mnie – odparł Charlie. – Chyba problemy żołądkowe. Wiem tylko tyle, że mnie wezwano.

James poczuł się zirytowany, ale nie miał zamiaru tego okazać, więc wzruszył tylko ramionami. To problem administracji.

– Cóż, spóźniłeś się. Zadzwoiłem po mechaników z powodu oporów na wolancie.

Chłopak wzruszył ramionami i rozmasował policzek.

James widział z tyłu Emmę. Weszła ponownie do kabiny i zaczęła wyglądać pokrowce zagłówek.

– Wszystko w porządku? – zapytał, bardziej stewardesę niż chłopaka.

Emma uśmiechnęła się do niego z lekkim dystansem, patrząc w dół. James spojrzał na Charliego.

– Wszystko w porządku, kapitanie – odparł chłopak. – Po prostu zaśpiewałem piosenkę, której nie powinienem.

– Nie wiem, co to znaczy, ale nie toleruję na pokładzie mojej maszyny nieczystych zagrań. Mam zadzwonić do biura, żeby przysłali kogoś innego?

– Nie, kapitanie. Żadnych nieczystych zagrań. Jestem tu tylko po to, by wykonać swoją pracę. Nic więcej.

James przyjrzał mu się. Chłopak wytrzymał spojrzenie. Typ łobuza, uznał. Niegroźny, ale przyzwyczajony do stawiania na swoim. Przystojny w lekko szemrany sposób, mówił z teksaskim akcentem. Luzak, tak opisałby go Melody. Chłopak nie wyglądał na lubiącego planować, raczej „płynął z prądem”. W zasadzie nie przeszkadzało to Jamesowi. W kwestii personelu potrafił być elastyczny, o ile załoga wykonywała polecenia. Chłopak potrzebował jedynie dyscypliny i on miał zamiar mu ją pokazać.

– Dobra, zajmij miejsce i do steru. Za pięć minut chcę być w górze. Musimy trzymać się rozkładu.

– Tak jest – przytaknął Charlie z trudnym do rozszyfrowania szerokim uśmiechem i zabrał się do pracy.

Wtedy na pokład weszli pierwsi pasażerowie, klient i jego rodzina. Samolot chwiał się, gdy wchodzili po schodkach. James wyszedł z kokpitu, żeby się przywitać. Lubił poznawać ludzi, których przewoził, ścisnąć im dłonie i dopasowywać imiona do twarzy. Dzięki temu jego praca nabierała większego znaczenia, zwłaszcza gdy przewoził dzieci. Był przecież kapitanem tego statku, odpowiedzialnym za życie wszystkich. Nie traktował tego jak przymusu, ale jak przywilej. We współczesnym świecie ludzie uważali, że powinni tylko dostawać. Ale James lubił dawać. Nie wiedział, jak się zachować, kiedy

ludzie próbowali mu dogadzać. Gdy załapał się na lot rejsowy, zawsze wstawał, aby pomóc stewardesom rozmieścić bagaże albo podawał koce ciężarnym pasażerkom. Ktoś mu kiedyś powiedział: „Trudno być smutnym, gdy jest się pomocnym”. I spodobało mu się to. Służenie innym dawało szczęście. Zajmowanie się sobą prowadziło do depresji, do spirali pytań na temat sensu spraw. Matka zawsze miała ten problem. Zbyt wiele myślała o sobie, a niewystarczająco o innych.

James starał się działać odwrotnie. Często zastanawiał się, co jego matka zrobiłaby w danej sytuacji, i dzięki temu nabierał jasności, co zamiast tego powinien zrobić. W tym znaczeniu służyła mu jak Gwiazda Polarna podczas podróży, w której stale kierujemy się na południe. Orientowanie się w ten sposób było pomocne. Zawsze miał coś, do czego mógł się dostroić, jak skrzypce do pianina.

Chwilę później byli w powietrzu, kierowali się na zachód, by następnie skręcić w stronę wybrzeża. Przy skręceniu w prawo wolant nadal pracował z lekkimi oporami, ale James uznał to za specyficzną cechę samolotu.

CZARNI

Pierwszej nocy Scott śpi na rozkładanej kanapie w szwalni. Nie planował zostać, ale zważywszy na najnowsze wiadomości, uznał, że Eleanor może potrzebować wsparcia, zwłaszcza że jej mąż najwyraźniej zniknął.

– Wyłącza telefon, gdy pracuje – wyjaśniła Eleanor, chociaż sposób, w jaki to powiedziała, sugerował, że „pracuje”, faktycznie znaczy „pije”.

Teraz, koło pierwszej w nocy, na granicy snu Scott słyszy, jak Doug wraca do domu. Budzi go gwałtowny zastrzyk adrenaliny na dźwięk opon na podjeździe. Czuje zwierzęcą falę prymitywnego stresu. Otwiera oczy w nieznanym pomieszczeniu i przez dłuższą chwilę nie jest pewien, gdzie się znajduje. Pod oknem stoi stół do szycia, a maszyna wygląda jak dziwny, majaczący, schowany w cieniu drapieźnik. Na dole zamykają się drzwi frontowe. Scott słyszy kroki na schodach. Słucha, jak się zbliżają i zatrzymują przed jego drzwiami. Ponownie zapada cisza, jakby ktoś wstrzymał oddech. Scott leży zwinięty, spięty, niechciany gość w domu innego mężczyzny. Dochodzi do niego oddech Douga, brodatego mężczyzny w kombinezonie roboczym, spitego tradycyjnie wyrabianym burbonem i piwem z minibrowarów. Za oknem na podwórzu cykadki urządzają niezły harmider. Scott rozmyśla o oceanie pełnym niewidocznych drapieźników. Wstrzymujesz oddech i nurkujesz w zamykającą się ciemność, jakbyś ześlizgiwał się w głąb gardła wielkoluda. Nie myślisz już nawet o sobie jak o człowieku. Jesteś ofiarą.

Deska w podłodze w holu skrzypi, gdy Doug przenosi ciężar ciała. Scott siada i wpatruje się w klamkę, ledwie widoczną w ciemności miedzianą gałkę. Co zrobi, jeśli Doug ją przekreśli? Jeśli wejdzie pijany, gotowy do walki?

Oddech. Znowu.

Wtedy włącza się kompresor klimatyzacji i niski szum wypychanego powietrza sprawia, że czar pryska. Dom jest znowu tylko domem. Scott słyszy, jak Doug idzie korytarzem w stronę sypialni.

Powoli wypuszcza powietrze i zdaje sobie sprawę, że wstrzymywał oddech.

Rano zabiera chłopca na poszukiwanie kamyków do puszczania kaczek. Przeszukują brzegi rzeki i wypatrują płaskich, gładkich kamieni, Scott w swoich eleganckich butach, a chłopiec w małych spodenkach, małej koszulce i butach, z których każdy jest mniejszy niż dłoń Scotta. Pokazuje chłopcu, jak się ustawić pod kątem do rzeki, i puszczać pociski po powierzchni wody. Przez dłuższy czas chłopiec nie jest w stanie tego zrobić. Marszczy czoło i próbuje raz za razem, wyraźnie sfrustrowany, ale się nie poddaje. Przygryza język w zamkniętych ustach i w skupieniu melodyjnie buczy pod nosem, ostrożnie dobierając kamyki. Gdy pierwszy raz udaje mu się puścić dwie kaczki, skacze i klaszcze.

– Świetnie, kolego – chwali go Scott.

Ożywiony chłopiec biegnie, by znaleźć więcej kamieni. Znajdują się na wąskim, pokrytym jeżynami brzegu, na skraju lasu, na szerokim zakolu rzeki Hudson. Za nimi zasłonięte drzewami wschodzi słońce, a jego pierwsze promienie oświetlają przeciwny brzeg. Scott siada na piętach i zanurza ręce w przepływającej wodzie. Jest chłodna i przejrzysta. Przez chwilę zastanawia się, czy kiedykolwiek będzie jeszcze pływał, czy kiedykolwiek poleci samolotem. Czuje w powietrzu zapach mułu z nutą ścinanej trawy. Ma świadomość swego ciała jako ciała, pracujących mięśni, płynącej krwi. Wokół niego niewidoczne ptaki nawołują się niespiesznie, jednostajna wymiana krzyków i pisków.

Śmiejąc się, chłopiec rzuca kolejny kamień.

Czy tak zaczyna się leczenie?

Zeszłego wieczoru Eleanor weszła do salonu z informacją, że ktoś do Scotta dzwoni. Klęczał i bawił się z chłopcem samochodami.

„Kto miałby dzwonić do mnie tutaj?”

– Powiedziała, że ma na imię Layla – wyjaśniła Eleanor.

Scott wstał i poszedł do kuchni.

– Skąd wiedziałaś, że tu jestem? – zapytał.

– Kochany, a od czego są pieniądze? – odparła.

Ściszyła głos i przeszła na bardziej intymny ton.

– Powiedz, że niedługo wracasz – poprosiła. – Spędzam cały czas na drugim piętrze, wewnątrz twojego obrazu. Jest wspaniały. Mówiłam ci, że byłam na tym rynku? Jako dziecko. Mój tata miał dom na Vineyard. Dorastałam, jedząc lody na tym dziedzińcu. Jest niesamowity. Pierwszy raz dostałam do ręki pieniądze, by kupić brzoskwinie od pana Cosellego. Miałam wtedy sześć lat.

– Jestem teraz z chłopcem – poinformował ją Scott. – Potrzebuje mnie... Chyba. Sam nie wiem. Dzieci, psychologia. Może po prostu stanąłem mu na drodze.

Przez telefon Scott słyszy, jak Layla wypija łyk jakiegoś napoju.

– Cóż, mam kolejną kupców na obrazy, które namalujesz w ciągu kolejnych dziesięciu lat – informuje go. – Będę rozmawiała z Tate o zorganizowaniu indywidualnej wystawy tej zimy. Twoja agentka przesłała mi slajdy. Zapierają dech w piersiach.

Te słowa, kiedyś tak pożądane, teraz brzmiały dla Scotta jak po chińsku.

– Muszę lecieć – stwierdził.

– Poczekaj – zamruczała Layla. – Nie uciekaj, tęsknię za tobą.

– Co się dzieje? – zapytał. – W twojej głowie. Na nasz temat.

– Pojedźmy do Grecji – zaproponowała. – Mam tam mały domek na klifie, kupiony przez sześć spółek fasadowych. Nikt o nim nie wie. To całkowita tajemnica. Moglibyśmy

leżeć na słońcu i jeść ostrygi, tańczyć po zmierzchu, czekać, aż opadnie kurz. Wiem, że powinnam zachowywać się wobec ciebie powściągliwie, ale nigdy nie spotkałam osoby, której uwagę tak trudno zdobyć. Nawet wtedy, gdy jesteśmy razem, mam wrażenie, że jesteśmy w tym samym miejscu, ale dzielą nas całe lata.

Po skończeniu rozmowy Scott zobaczył, że JJ przeniósł się na biurko w salonie. Na komputerze Eleanor grał w grę edukacyjną, w której przenosił kafelki z literami.

– Hej, kolego.

Chłopiec nie podniósł wzroku. Scott przysunął krzesło i usiadł obok dziecka. Patrzył, jak przeciąga literę R na odpowiedni kwadrat. Nad napisem rysunkowy robaczek siedział na liściu. Chłopiec przeciągnął O, a potem B.

– Mogę...? – zapytał Scott. – Czy mógłbym...?

Sięgnął po myszkę i poruszył kursorem. Sam nie miał komputera, ale pomyślał, że spędził wystarczająco wiele czasu, obserwując w kawiarniach ludzi z laptopami, żeby wiedzieć, co robić.

– Jak mam... – zapytał po chwili, bardziej siebie niż chłopca – ...coś znaleźć?

Chłopiec wziął do ręki myszkę. Koncentrując się i przygryzając język, otworzył okno przeglądarki, uruchomił Google i oddał myszkę Scottowi.

– Świetnie – odpowiedział Scott. – Dzięki.

Wpisał *Dwo* i zatrzymał się, gdyż nie znał pisowni. Skasował litery i wpisał: *Red Sox, wideo, rekord na pozycji pałkarza*, i wcisnął ENTER. Strona się załadowała. Scott kliknął link wideo. Chłopiec pokazał mu, jak powiększyć okno. Scott czuł się jak jaskiniowiec wpatrujący się w słońce.

– Możesz... Myślę, że możesz to obejrzeć – wyjaśnił chłopcu i wcisnął „play”. Film się zaczął. Obraz był zamazany, a kolory nasycone, jakby umieszczający film w internecie sfilmował ekran telewizora, zamiast nagrywać mecz na żywo. Scott wyobraził sobie człowieka siedzącego w salonie i filmującego mecz z telewizora, tworząc mecz w meczu, obraz obrazu.

„Dworkin po wybiciu dociera do pierwszej bazy pola wewnętrznego”, oznajmił sprawozdawca. Za nim słychać głośne okrzyki tłumu, przefiltrowane przez głośniki telewizora, a następnie jeszcze mocniej stłumione przez kamerę widza. Pałkarz zajął pozycję. Był wysokim mieszkańcem stanu Indiana, miał brodę menonity, ale nie miał wąsów. Zamachnął się kilka razy dla wprawy. Operator przesunął kamerę na miotacza, Wakefielda, który smarował ręce kalafonią. Za jego plecami wieże reflektorów rozświetlały rogi ekranu. Letni wieczór, trzydzieści stopni Celsjusza i wiatr z południowego zachodu.

Scott dowiedział się od Gusa, że kolejka Dworkina na pozycji pałkarza rozpoczęła się w momencie, gdy koła samolotu oderwały się od pasa startowego. Myślał o tym teraz, o prędkości samolotu, o stewardesie na dodatkowym siedzeniu oraz o tym, o ile szybciej unosił się w powietrze samolot prywatny niż rejsowy. Patrzył, jak Dworkin wybija piłkę

nisko, na zewnątrz. Wybicie pierwsze.

Kamera przeniosła się na tłum, mężczyzn w bluzach, dzieci w czapkach machających do obiektywu. Miotacz zebrał się w sobie. Dworkin przygotował się, z kijem zawieszonym nad lewym ramieniem. Piłka została wyrzucona. Scott kliknął myszką i zatrzymał obraz. Miotacz zastygł z podniesioną z tyłu nogą i wyciągniętym lewym ramieniem. Osiemnaście metrów dalej szykował się Dworkin. Z wiadomości Scott dowiedział się, że czekały go jeszcze dwadzieścia dwa rzuty. Dwadzieścia dwa rzuty wykonane w ciągu osiemnastu minut, piłka za piłką wybijana w trybuny lub w siatkę. Powolne przeciąganie baseballowego czasu, mecz leniwych niedziel i gwaru w łoży dla zawodników. Przygotowanie i rzut.

Teraz jednak gra była zatrzymana, zastygła, a piłka wisiała w powietrzu. Dwadzieścia dwa rzuty. Mecz odbył się już niemal trzy tygodnie temu, ale dla Scotta wydarzenia na ekranie działały się po raz pierwszy. Jakby cała ziemia cofnęła się w czasie. Kto wiedział, co zdarzy się za chwilę? Dworkin mógł chybić trzy razy i wypaść z gry albo wybić piłkę daleko na lewe pole, poza zielone ogrodzenie Fenway Park, i zaliczyć *home run*. Siedząc teraz z chłopcem, Scott nie mógł się powstrzymać przed myślą: A gdyby wszystko zresetowało się razem z meczem? Gdyby cały świat cofnął się do dziesiątej wieczorem dwudziestego trzeciego sierpnia 2015 roku i się zatrzymał? Wyobraził sobie zastygłe miasta na planecie, samochody słoczone na czerwonym świetle w idealnej harmonii. Zobaczył dym wiszący bez ruchu nad miejskimi kominami. Gepardy uchwycone w połowie skoku na otwartych równinach. Na ekranie piłka wyglądała zaledwie jak biała kropka uwięziona pomiędzy punktem wyjścia a celem.

Gdyby to była prawda. Gdyby jakimś cudem świat cofnął się w czasie, to on byłby na pokładzie samolotu. Wszyscy byliby w samolocie. Czteroosobowa rodzina, finansista i jego żona, piękna stewardesa, dzieci. Byliby żywi. Zatrzymani. Dziewczynka słuchająca muzyki. Mężczyźni gadający i oglądający mecz. Maggie na swoim miejscu, uśmiechająca się do śpiącego syna.

Dopóki nie włączy ponownie meczu, będą żyli. O ile tylko nie kliknie myszką. Zawieszona w powietrzu piłka była zawieszonym samolotem, który nie spotkał jeszcze swojego przeznaczenia. Scott wpatrywał się w obraz i zaskoczony zdał sobie sprawę, że oczy zachodzą mu łzami, piksele na ekranie rozmazują się, mężczyzna stojący na pozycji odbijającego wydaje się tylko smugą, a piłka płatkami śniegu spadającym w nieodpowiedniej porze roku.

Nad rzeką Scott zanurza ręce w wodzie i pozwala prądowi ciągnąć go za nadgarstki. Pamięta, jak tego ranka wyglądał przez okno i widział Douga wrzucającego torby na tył furgonetki. Wykrzykiwał słowa, których Scott nie dosłyszał, a potem trzasnął drzwiami szoferki i wyjechał z podjazdu, rozsypując żwir.

Co się stało? Czy odszedł na zawsze?

W oddali słychać hałas. Na początku brzmi jak szum przemysłowy, może daleki odgłos piły łańcuchowej lub ciężarówek na autostradzie (tyle że w okolicy nie ma żadnej autostrady), i Scott nie zwraca na niego uwagi. Obserwuje, jak chłopiec kopie w mulistym

brzegu i wyciąga kawałki skały łupkowej i kwarcu. Zaczyna w odległym punkcie i posuwa się w tył, przeszukując błoto najpierw wzrokiem, a potem palcami.

Odgłos piły łańcuchowej staje się coraz głośniejszy i nabiera niskiego, basowego dudniącego brzmienia. Coś się zbliża. Scott wstaje, czuje podmuch wiatru, widzi pochylające się na zachód drzewa, słyszy szeleszczące liście, przypominające dźwięk aplauzu. W oddali chłopiec przerywa poszukiwania i patrzy w górę. W tym momencie otacza ich jurajski ryk, a zza ich pleców, nisko nad drzewami nadlatuje helikopter. Scott odruchowo pochyła głowę. Chłopiec zaczyna biec.

Śmigłowiec przecina światło słońca, niczym drapieźny ptak. Dotarłszy do przeciwnego brzegu, zwalnia i zaczyna zawracać. Jest czarny i błyszczący jak chrząszcz jelonek. JJ zbliża się w pełnym rozpędzie z wyrazem przerażenia na twarzy. Scott bez namysłu podnosi go i rusza w kierunku drzew. Biegnie w eleganckich butach przez niskie krzewy, przemykając między topolami i wiązami, a trujący bluszcz muska mu mankiety spodni. Kolejny raz jest mięśniami przetrwania, lokomotywą ocalenia. Chłopiec oplata rękami jego szyję, a nogami talię. Patrzy w tył szeroko otwartymi oczami, trzymając brodę na ramieniu Scotta. Jego nogi wbijają się Scottowi w boki.

Kiedy docierają do domu, Scott widzi, jak helikopter ląduje na podwórzu za budynkiem. Eleanor wyszła na ganek i przytrzymuje ręką powiewające włosy, by nie wpadały jej na twarz.

Pilot wyłącza silnik i śmigło zwalnia.

Scott podaje chłopca Eleanor.

– Co się dzieje? – pyta ona.

– Powinnaś zabrać JJ-a do domu – sugeruje Scott, a potem odwraca się i widzi, jak Gus Franklin i agent O'Brien wysiadają z helikoptera. Podchodzą, O'Brien pochylony, z ręką na głowie, a Gus wyprostowany, pewien, że śmigła go nie dosięgną.

Silnik zwalnia i cichnie. Gus wyciąga rękę.

– Przepraszamy za tę akcję, ale biorąc pod uwagę wszystkie przecieki, uznałem, że powinienem spotkać się z tobą, zanim informacje wypłyną.

Scott podaje mu dłoń.

– Pamiętasz agenta O'Briena? – pyta Gus.

O'Brien pluje na trawę.

– Tak – stwierdza. – Pamięta.

– Czy nie został odsunięty od sprawy?

Gus patrzy w słońce zmrużonymi oczami.

– Powiedzmy, że w związku z nowymi faktami FBI zaczęło odgrywać większą rolę w dochodzeniu.

Scott wygląda na zdumionego. O'Brien klepie go w ramię.

– Wejźmy do środka.

Siadają w kuchni. Eleanor włącza odcinek *Kota Prota*, by zająć czymś chłopca („Za dużo telewizji – myśli. – Ogląda przy mnie za dużo telewizji”), a potem siada na krawędzi krzesła i podskakuje za każdym razem, gdy chłopiec się poruszy.

– Dobrze – oznajmia O’Brien. – Koniec ceregieli.

Scott patrzy na Gusa, a ten wzrusza ramionami. Nic nie może zrobić. Nurkowie wydobyli dzisiaj drzwi kokpitu, laserem odcięli zawiasy i wyciągnęli drzwi na powierzchnię. Testy potwierdziły, że otwory są rzeczywiście dziurami po pociskach. To odkrycie spowodowało zmianę proceduralną organów prowadzących dochodzenie. Dzwoniono z urzędów państwowych i powiedziano Gusowi w dobitny sposób, że powinien dać FBI tyle operacyjnej swobody działania, ile potrzebuje. A przy okazji dostaje z powrotem O’Briena. Najwyraźniej szefostwo było przekonane, że to nie on odpowiadał za wyciek informacji. Dodatkowo, jak wyjaśnił łącznikowy Gusa, „szukowano go do poważnych zadań”, więc wracał do sprawy.

Dziesięć minut później O’Brien wkroczył do hangaru z grupą dwunastu mężczyzn i poprosił o raport sytuacyjny. Gus uznał walkę za bezcelową. Był z natury pragmatykiem, bez względu na to, jak bardzo osobiście nie lubił agenta. Wyjaśnił O’Brienowi, że wydobyto wszystkie pozostałe ciała, z wyjątkiem Gila Barucha, ochroniarza Batemanów. Wygląda na to, że został wyrzucony z dala od innych lub wypłynął z wraku w ciągu kilku dni po katastrofie. Jeśli będą mieli szczęście, ocean wyrzuci gdzieś jego ciało, podobnie jak wyrzucił ciała Emmy i Sarah. Albo, co całkiem możliwe, ciało Barucha zwyczajnie zniknęło.

Gus widział następujące pytania:

1. Kto wystrzelił pociski? Oczywiście podejrzany był ochroniarz Gil Baruch, według informacji jedyny uzbrojony pasażer, ale ponieważ żaden z pasażerów ani członków załogi nie przeszedł kontroli bezpieczeństwa przed wejściem na pokład, wszyscy byli potencjalnymi strzelcami.
2. Dlaczego wystrzelono pociski? Czy strzelający próbował wdrzeć się do kokpitu, aby porwać samolot? Może tylko po to, żeby go rozbić? A może próbował wejść do kokpitu, by zapobiec rozbiciu maszyny? Przestępca czy bohater? Oto jest pytanie.
3. Dlaczego kapitan był w kabinie, a nie w kokpicie? Jeśli brać pod uwagę scenariusz z porwaniem, to czy był zakładnikiem? Czy wyszedł, żeby załagodzić sytuację? Jeśli tak...
4. Dlaczego drugi pilot nie wzywał pomocy?

Skoro mowa o drugim pilocie, nurkowie znaleźli Charlesa Buscha przypiętego pasami do jego siedzenia w kokpicie, z dłońmi nadal na wolancie. Jeden z pocisków utkwiał w podłodze za nim, ale nie było dowodów na to, że ktokolwiek wszedł do kokpitu, zanim samolot uderzył w wodę. Gus poinformował agenta, że wyniki autopsji Buscha przyjdą po południu. Nikt nie wiedział, na co liczyć. W opinii Gusa w najlepszym wypadku chłopak

doznał udaru lub ataku serca. W najgorszym, cóż... W najgorszym przypadku było to zaplanowane, masowe morderstwo.

Luźne szczątki zostały oznaczone i opakowane, a teraz były katalogowane. Na szczęście rejestrator parametrów lotu i rejestrator rozmów zostały wydobyte, niestety, w czasie katastrofy jedno z urządzeń lub oba mogły ulec zniszczeniu. Technicy będą pracowali dzień i noc, by odzyskać każdy możliwy skrawek informacji. Gus zapowiedział również, że do końca dnia, o ile pogoda nie zmieni się gwałtownie, kadłub powinien zostać wyłowiony i zmierzać do hangaru.

O'Brien wysłuchał wszystkiego, co zrelacjonował mu Gus, a potem wezwał helikopter.

Teraz, w kuchni, agent O'Brien ostentacyjnie wyjmując z kieszeni mały notes. Wyciąga długopis, zdejmując skuwkę i kładzie go obok notatnika. Gus czuje na sobie pytający wzrok Scotta, ale nadal patrzy na O'Briena, jakby chciał zasygnalizować Scottowi: „Tam powinienes patrzeć”.

Umówili się, że nie będą rozmawiać o sprawie przez telefon ani niczego zapisywać, dopóki nie dowiedzą się, jak wyciekła notatka O'Briena. Od tej pory wszystkie rozmowy będą prowadzone osobiście. To paradoks nowoczesnej technologii. Narzędzia, których używamy, mogą zostać wykorzystane przeciwko nam.

– Jak państwo wiedzą, odnaleźliśmy samolot. Pani Dunleavy, z przykrością muszę panią poinformować, że to prawda, oficjalnie wydobyliśmy ciała pani siostry, jej męża i pani siostrzenicy.

Eleanor kiwa głową. Czuje się jak kość, którą zostawiono na słońcu, żeby wypłowiała. Myśli o chłopcu oglądającym telewizję w drugim pokoju. O „jej” chłopcu. Myśli o tym, co mu powie, co powinna mu powiedzieć. Myśli o ostatnich słowach Douga tego ranka.

„To jeszcze nie koniec”.

– Panie Burroughs – zwraca się do Scotta O'Brien. – Musi mi pan powiedzieć wszystko, co pamięta pan z lotu.

– Dlaczego?

– Ponieważ tak powiedziałem.

– Scotcie – odzywa się Gus.

– Nie – rzuca O'Brien. – Skończyliśmy z trzymaniem go za rękę.

Odwraca się do Scotta.

– Dlaczego podczas lotu pilot był poza kokpitem?

Scott potrząsa głową.

– Nie pamiętam takiej sytuacji.

– Mówił pan, że przed rozbiciem słyszał pan stukanie. Zapytaliśmy, czy pana zdaniem był to odgłos mechaniczny, a pan zaprzeczył. Co to mogło być?

Scott patrzy na niego w zamyśleniu.

– Nie wiem. Samolot zaczął opadać, uderzyłem się w głowę. To... to nie są faktyczne wspomnienia.

O'Brien mu się przygląda.

– W drzwiach kokpitu widać sześć dziur po pociskach.

– Co? – Krew odpływa z twarzy Eleanor.

Słowa wciskają Scotta w krzesło. Dziury po pociskach? Co oni opowiadają?

– Czy w którymś momencie widział pan na pokładzie broń? – pyta Scotta O'Brien.

– Nie.

– Pamięta pan ochroniarza Batemanów? Gila Barucha?

– Postawnego gościa przy drzwiach? On nie... Nie sądzę...

Scott łamie sobie głowę. Ktoś ostrzelał drzwi kokpitu. Próbuje to zrozumieć. Samolot się przechylił. Ludzie krzyczeli i ktoś ostrzelał drzwi. Samolot spadał. Kapitan był poza kokpitem. Ktoś ostrzelał drzwi, próbując wejść do środka.

A może najpierw ktoś wyciągnął broń i kapitan... Nie, drugi pilot wprowadził samolot w lot nurkowy, żeby... Co chciał zrobić? Wytrącić go z równowagi? Tak czy inaczej, mówią, że to nie była usterka techniczna ani błąd ludzki. To było coś gorszego.

Scott czuje, że skręca go w żołądku i mdli, jakby dopiero teraz docierało do niego, jak blisko był śmierci. Potem uderza w niego fala oszołomienia i pojawia się kolejna myśl. Jeśli to nie był wypadek, to znaczy, że ktoś próbował ich zabić. Zamiast zrządnienia losu on i chłopiec padli ofiarą ataku.

– Wsiadłem do samolotu i zająłem miejsce – zaczyna. – Dziewczyna przyniosła mi wino. Emma. Ja nie... Powiedziałem: „Nie, dziękuję” i poprosiłem o wodę. Sarah, żona finansisty, opowiadała mi o wizycie z córką na biennale w Muzeum Whitney. W telewizji leciał mecz. Baseball. Mężczyźni, David i ten drugi, oglądali go i kibicowali. Torbę trzymałem na kolanach. Chciała ją zabrać, ta stewardesa, ale zatrzymałem ją i kiedy kołowaliśmy, zacząłem... zacząłem przeglądać rzeczy w środku. Nie wiem dlaczego. Chciałem się czymś zająć. Z nerwów.

– Co pana zdenerwowało? – zapytał O'Brien.

– To była dla mnie ważna wyprawa. I samolot... Fakt, że musiałem biec, żeby zdążyć. Byłem trochę onieśmielony. To wszystko wydaje się teraz nieistotne, znaczenie tej podróży. Spotkania z przedstawicielami artystycznymi, wizyty w galeriach. Miałem w torbie wszystkie slajdy i chciałem się upewnić, że po biegu do autobusu nadal tam są. Bez powodu. – Spogląda na rękę. – Siedziałem przy oknie i patrzyłem na skrzydło. Wszystko było spowite mgłą i nagle mgła się rozviała. Albo wznieśliśmy się ponad nią. Chyba tak właśnie było. I zapadła noc. Spojrzałem na Maggie, a ona się uśmiechnęła. Na fotelu za nią siedziała Rachel i słuchała muzyki, a chłopiec spał przykryty kocem. Nie wiem dlaczego, ale pomyślałem, że Maggie chciałaby dostać rysunek, więc wyjąłem notes

i zacząłem szkicować dziewczynkę, wyglądającą przez okno dziewięciolatkę ze słuchawkami na uszach.

Scott pamięta wyraz twarzy dziewczynki, dziecka pogrążonego w myślach. Jednak coś w jej oczach, smutek, zapowiadało kobietę, jaką kiedyś się stanie. Pamiętał, jak któregoś dnia przyszła z matką do szopy, by popatrzeć na jego prace, dorastająca dziewczyna, długie nogi i włosy.

– Przy starcie trochę rzucalo – ciągnie Scott. – Trzęsły się kieliszki, ale poza tym wznoszenie było łagodne i nikt nie wyglądał na zaniepokojonego. Podczas startu ochroniarz siedział z przodu ze stewardesą na... jak wy to nazywacie... dostawce, ale wstał, gdy tylko zgasło światelko sygnalizujące zapięcie pasów.

– Co robił?

– Nic, stał.

– Żadnych akcji?

– Żadnych.

– A pan rysował.

– Tak.

– Co było potem?

Scott potrząsa głową. Pamiętał, jak gonił ołówek po podłodze, ale nie to, co zdarzyło się wcześniej. Kłamstwo samolotu polega na tym, że podłoga jest zawsze pozioma, kąty półpełne na pokładzie oszukują umysł i wydaje nam się, że siedzimy lub stoimy pod kątem prostym do świata nawet wtedy, gdy samolot się przechyla. A potem wyglądamy przez okno i okazuje się, że patrzymy na ziemię.

Samolot się przechylił, ołówek spadł, Scott rozpiął pas, żeby go złapać, a on potoczył się po podłodze, jak piłka w dół stoku. Potem Scott zaczął się ślizgać i uderzył w coś głową.

Patrzy na Gusa.

– Nie wiem.

Gus patrzy na O'Briena.

– Mam pytanie – odzywa się Gus. – Nie na temat katastrofy, ale twoich prac.

– W porządku.

– Kim jest ta kobieta?

Scott patrzy na niego.

– Kobieta?

– Na wszystkich obrazach. Zauważyłem, że na każdym jest kobieta. Z tego co widzę, zawsze ta sama. Kim ona jest?

Scott wypuszcza powietrze. Patrzy na Eleanor. Obserwuje go. Co musi sobie myśleć? Kilka dni temu jej życie przypominało linię prostą, a teraz dźwiga to brzemię.

– Miałem siostrę – odpowiada Scott. – Utonęła, kiedy byłem... Miała szesnaście lat. Pływała nocą w jeziorze Michigan z jakimiś... dziećmi. Po prostu... głupimi dziećmi.

– Przykro mi.

– Tak.

Scott żałuje, że nie potrafi powiedzieć na ten temat niczego głębokiego.

Później, gdy chłopiec już śpi, Scott dzwoni z kuchni do Gusa.

– Czy dzisiaj było w porządku? – pyta.

– Pomogłeś nam, dziękuję.

– Jak wam pomogłem? – chce wiedzieć.

– Podałś szczegóły. Kto gdzie siedział, co ludzie robili.

Scott siada przy stole. Gdy helikopter odleciał, razem z Eleanor zostali na chwilę sami. Oboje zdali sobie sprawę, że są sobie obcy, że iluzja ostatnich dwudziestu czterech godzin, wrażenie, że dom jest bańką, w której mogą się schować, rozplynęła się. Ona jest mężatką, a on... Kim? Mężczyzną, który uratował jej siostrzeńca. Co tak naprawdę wiedzieli o sobie nawzajem? Jak długo miał zostać? Czy ona tego chciała? A on?

Poczuli się niezręcznie i kiedy Eleanor zaczęła gotować, Scott powiedział jej, że nie jest głodny. Potrzebował się przejść, by się wyciszyć.

Został poza domem nawet po zmierzchu. Wrócił nad rzekę i patrzył, jak o zachodzie słońca woda zmienia kolor z niebieskiego na czarny i jak wschodzi księżyc.

Nigdy wcześniej nie oddalił się tak bardzo od człowieka, którym myślał, że jest.

– Cóż – mówi przez telefon Gus. – Nikt jeszcze o tym nie wie, ale rejestrator parametrów lotu uległ uszkodzeniu. Nie jest całkiem zniszczony, ale odzyskanie danych będzie wymagało dużo wysiłku. Pracuje tutaj teraz sześciuosobowy zespół i co pięć minut dzwonią gubernatorzy dwóch stanów z pytaniem o wieści.

– Z tym ci nie pomogę. Ledwie potrafię otworzyć tubkę z farbą.

– Nie. Ja tylko... Mówię ci, ponieważ zasługujesz na to, by wiedzieć. Wszyscy inni mogą iść do diabła.

– Powiem Eleanor.

– Jak się ma chłopiec?

– Nie mówi, ale chyba cieszy się, że tu jestem. Może działa to na niego terapeutycznie. Eleanor jest naprawdę... silna.

– A jej mąż?

– Wyjechał dziś rano. Zabrał swoje rzeczy.

Zapada długa cisza.

– Nie muszę ci mówić, jak to będzie wyglądało – odzywa się Gus.

Scott kiwa głową.

– Od kiedy to, jak coś wygląda, liczy się bardziej niż to, czym jest? – pyta.

– Chyba od dwa tysiące piętnastego – odpowiada Gus. – Zwłaszcza po tym, jak ukrywałeś się w mieście i jaką sensację to wywołało. Dziedziczka, która... Powiedziałem: „znajdź miejsce, gdzie możesz się ukryć”, a nie: „zamieszkać w brukowcu”.

Scott przeciera oczy.

– Nic nie zaszło. To znaczy, tak, rozebrała się i weszła ze mną do łóżka, ale ja nie...

– Nie mówimy o tym, co się zdarzyło albo nie – stwierdza Gus. – Mówimy o tym, jak to wygląda.

Rankiem Scott słyszy Eleanor w kuchni na dole. Zastaje ją przy kuchence przygotowującą śniadanie. Chłopiec siedzi na podłodze i bawi się w przejściu między kuchnią a pokojem. Scott bez słowa siada obok niego i bierze do ręki betoniarkę. Bawia się przez chwilę, jeżdżąc gumowymi kołami po drewnianej podłodze. Potem chłopiec częstuje Scotta żelowym misiem z torebki, a on go przyjmuje.

Na zewnątrz świat nadal się kręci. Wewnątrz mieszkańcy stwarzają pozory codziennego życia i udają, że wszystko dzieje się normalnie.

EMMA LIGHTNER

11 lipca 1990 – 23 sierpnia 2015

Chodziło o wyznaczanie granic i trzymanie się ich. Uśmiechasz się do klientów i podajesz im drinki. Śmiejesz się z ich żartów i gawędzisz. Flirtujesz. Jesteś ich fantazją, tak jak samolot. Piękna dziewczyna z cudownym uśmiechem, która sprawia, że mężczyźni siedzący w luksusowych odrzutowcach i odbierający trzy telefony naraz czują się jak królowie. Pod żadnym pozorem nie podajesz swojego numeru telefonu. Na pewno nie całujesz w kuchni milionera, który zbił majątek w internecie, ani nie uprawiasz w prywatnej łazience seksu z gwiazdą koszykówki. Nigdy też nie lecisz z miliarderem do innego miejsca, nawet gdyby było zamkiem w Monako. Jesteś stewardesą, profesjonalnym pracownikiem świadczącym usługi, a nie prostytutką. Musisz mieć zasady, granice, ponieważ w kraju bogaczy łatwo zgubić drogę.

W wieku dwudziestu pięciu lat Emma Lightner zdążyła odwiedzić wszystkie siedem kontynentów. Pracując dla GullWing, poznała gwiazdy filmowe i szejków. Leciła z Mickiem Jaggerem i Kobe'em Bryantem. Pewnego wieczoru, po locie przez cały kraj, z lotniska LAX w Los Angeles na JFK w Nowym Jorku, Kanye West wybiegł za nią na pas startowy i próbował dać jej diamentową bransoletkę. Oczywiście nie wzięła jej. Emmie dawno przestała schlebiać uwaga. Mężczyźni w wieku jej dziadka regularnie sugerowali, że może mieć wszystko, co chce, jeśli zje z nimi kolację w Nicei, Gstaad albo Rzymie. Czasem myślała, że przyczyną takiego zachowania jest wysokość – świadomość, że mogą zginąć, spadając – ale tak naprawdę kierowała nimi arogancja pieniądza i potrzeba posiadania wszystkiego, co zobaczą. Prawda była taka, że dla klientów Emma nie znaczyła więcej niż Bentley, mieszkanie czy paczka gum do żucia.

Dla pasażerek, klientek lub żon klientów, Emma stanowiła zarówno zagrożenie, jak i opowieść ku przestrodze. Była przedstawicielką dawnego modelu, w którym piękne kobiety w stożkowatych stanikach spełniały sekretne zachcianki silnych mężczyzn w zadymionych klubach. Gejsza, króliczek „Playboya”. Była złodziejką mężów albo, co gorsza, lustrzanym odbiciem, rekonstrukcją ich własnej ścieżki prowadzącej do zostania bogatą żoną. Przypomnieniem. Emma czuła na sobie ich wzrok, gdy poruszała się po kabinie. Znosiła cięte komentarze wypowiedziane przez kobiety w wielkich okularach przeciwsłonecznych, które zwracały drinki i upominały ją, by następnym razem mieszała je uważniej. Potrafiła zrobić łabędzia z serwetki i przygotować idealny koktajl z ginem i sokiem z cytryny. Wiedziała, jakie wina podawać z gulaszem z ogona wołu lub paellą z sarniny, potrafiła przeprowadzić resuscytację krążeniowo-oddechową i przeszła szkolenie w zakresie wykonywania awaryjnej tracheotomii. Posiadała umiejętności, nie tylko urodę, ale dla tych kobiet to nigdy nie miało znaczenia.

W większych samolotach pracowały trzy do pięciu dziewczyn. W mniejszych tylko Emma, w niebieskim kostiumie z krótką spódnicą, rozdawała drinki i demonstrowała procedury bezpieczeństwa cessny Citation Bravo lub hawкера 900XP.

Wyjścia są tutaj. Pasy bezpieczeństwa działają w ten sposób. Maski tlenowe. Siedzenie może służyć jako przyrząd pływający po wodzie.

Prowadziła życie między startami i lądowaniami, w godzinach i dniach pomiędzy lotami. Linie lotnicze posiadały mieszkania we wszystkich większych miastach na świecie, co było tańsze niż wynajmowanie pokoi hotelowych dla członków załogi. Anonimowo nowoczesne, z parkietami i szwedzkimi drewnianymi meblami. Każde z mieszkań zaprojektowano tak, by przypominało pozostałe, takie same meble i armatura, „w celu zmniejszenia skutków zmiany stref czasowych”, jak mówił firmowy podręcznik. Jednak na Emmie jednakowy charakter mieszkań robił przeciwne wrażenie i zwiększał jej poczucie wysiedlenia. Łatwo mogła obudzić się w środku nocy i nie wiedzieć, w jakim mieście i kraju się znajduje. W firmowym mieszkaniu zwykle mogło zatrzymać się około dziesięciu osób, co oznaczało, że w każdej chwili można trafić na niemieckiego pilota i sześcioro Południowoafrykańczyków śpiących po dwoje w pokoju. Przypominało lokum agencji modelek, pełne pięknych dziewczyn, tyle że w jednym pokoju śpi para czterdziestosześcioletnich pilotów puszczających w nocy baki.

Emma zaczęła pracę w wieku dwudziestu jeden lat. Była córką pilota sił powietrznych i gospodyni domowej. W college'u studiowała finanse, ale po pół roku pracy dla dużego nowojorskiego banku inwestycyjnego postanowiła, że zamiast tego chce podróżować. Rynek usług luksusowych gwałtownie się rozwijał, dlatego firmy lotnicze, żeglarskie i prywatne kurorty rozpaczliwie poszukiwały atrakcyjnych, kompetentnych, dyskretnych osób władających dwoma językami, które mogą zacząć pracę od zaraz.

Tak naprawdę kochała samoloty. Jednym z jej pierwszych, jednocześnie najlepszych wspomnień był lot z tatą w kokpicie cessny. Emma nie mogła mieć wówczas więcej niż pięć, sześć lat. Pamięta chmury oglądane przez małe owalne okna, strzeliste białe kształty, które jej umysł zmieniał w pieski i misie. Zrobiły na niej takie wrażenie, że po powrocie do domu powiedziała mamie, że tata zabrał ją do zoo na niebie.

Pamięta ojca z tamtego dnia, widzianego z żabiej perspektywy. Miał silnie zarysowaną szczękę, krótko przycięte włosy i okulary przeciwsłoneczne pilota. Wydawał się jej nieśmiertelny. Dwudziestosześcioletni Michael Aaron Lightner, pilot myśliwców, o ramionach przypominających zasupłane liny. W życiu Emmy nie będzie żadnego mężczyzny tak męskiego jak jej ojciec, o ostrych zębach, stalowych oczach i ironicznym, środkowozachodnim poczuciu humoru. Małomówny mężczyzna, który w dziesięć minut potrafił porąbać sąg drzewa na opał i nigdy nie zapinał pasów. Emma widziała kiedyś, jak powalił mężczyznę jednym ciosem. Było to jak uderzenie pioruna, zakończyło się, zanim zdążyło się zacząć, z góry przesądzony nokaut. Gdy zgięty wpół mężczyzna padał na ziemię, ojciec odchodził już z miejsca zdarzenia.

Zdarzyło się to na stacji benzynowej pod San Diego. Później Emma dowiedziała się, że mężczyzna powiedział coś wulgarnego do jej matki, gdy szła do łazienki. Ojciec tankował benzynę, usłyszał wymianę zdań i podszedł do mężczyzny. Zaczęli się kłócić. Emma nie pamięta, by ojciec podniósł głos. Nie było zaciętej dyskusji, wypinania piersi w stylu macho czy ostrzegawczego popchnięcia. Ojciec coś powiedział, mężczyzna odpowiedział, a potem nastąpił cios, strzał z bata w szczękę wyrzucony z biodra, i już po

chwili ojciec wracał do samochodu, a mężczyzna odchylił się i padł jak kłoda. Ojciec wyjął końcówkę węża z dystrybutora, odwiesił go i zakręcił zatyczkę baku.

Z twarzą przyklejoną do szyby Emma patrzyła, jak mama wraca z łazienki, zerka na nieprzytomnego nieznanego i powoli na jej twarzy pojawia się dezorientacja. Mąż zawołał ją, otworzył jej drzwi, a potem usiadł na siedzeniu kierowcy.

Emma uklękła na siedzeniu, patrzyła przez tylną szybę i czekała na przyjazd policji. Jej tata był już teraz kimś więcej, nie tylko tatą. Był jej rycerzem, obrońcą. Kiedy kołowali na prywatnych pasach startowych, Emma zamykała oczy i przypominała sobie ten moment, wymianę zdań i upadek mężczyzny. Wzbijała się wysoko w stratosferę, w ciemne zakamarki przestrzeni, wślizgując się w stanie nieważkości w środek tego jednego, idealnego wspomnienia.

Potem kapitan wyłączał znak „Zapiąć pasy” i Emma gwałtownie wracała do rzeczywistości. Była dwudziestopięciolatką, na którą czekała praca. Wstawiała, wygładzała zagniecenia na spódnicy, z ukartowanym, ale profesjonalnym uśmiechem na twarzy, gotowa do odegrania swej roli w niekończącym się uwodzeniu bogactwa. Praca nie była trudna. Odhaczała zadania z listy, przygotowując się do startu, a potem robiła to samo przed podejściem do lądowania. Rozdawała kamizelki ratunkowe, przynosiła kolejne drinki. Czasami, jeśli lot był krótki, a posiłek składał się z ponad czterech dań, samolot stał przez godzinę na pasie startowym, a na pokładzie podawano desery i kawę. W przypadku prywatnych, ekskluzywnych lotów celem była sama podróż. Później, kiedy goście opuścili pokład, zostawały naczynia do umycia i rozlokowania. Jednak prawdziwa brudna robota przypadała w udziale miejscowym, podczas gdy Emma i koledzy schodzili po schodkach i wsiadali do własnych, eleganckich środków transportu.

Emma Lightner żyła w czasie pomiędzy lotami, i to właśnie przygnębiało ją najbardziej. Trudność w powrocie do normalnego życia nie wynikała z luksusowego otoczenia, limuzyny, która wozila ją do pracy i z pracy, czy szwajcarskiej precyzji i przepychu samolotu. Nie chodziło o to, że spędzała noce i dni w otoczeniu milionerów i miliarderów, mężczyzn i kobiet, którzy nawet przypominając ci, że jesteś ich służącym, jednocześnie (jeśli było się pięknym jak Emma) dawali ci poczucie, że należysz do ich klubu, ponieważ w dzisiejszej gospodarce piękno jest głównym wyrównywaczem, przepustką za kulisy.

Dla Emmy najtrudniejsze w powrocie do maleńkiego mieszkania dzielonego z dwiema innymi stewardesami w West Village było uświadomienie sobie, że przez te wszystkie tygodnie podróży była pasażerką na gapę w życiu kogoś innego, aktorką grającą rolę na scenie. Była królewską dziewczyną do towarzystwa, cnotliwą konkubiną, zanurzoną w służbie na całe tygodnie, aż zasady i granice, które ustaliła, by poruszać się w życiu zawodowym, stały się również podstawą jej życia prywatnego. Spostrzegła, że czuje się coraz bardziej samotna, jak przedmiot, który można podziwiać, ale którego nigdy nie można dotknąć.

W piątek dwudziestego pierwszego sierpnia leciała z Frankfurtu do Londynu na pokładzie samolotu Learjet 60XR. W kabinie głównej pracowała razem z Chelsea Norquist, blond Finką z przerwą między zębami. Klientami byli kierownicy z niemieckiej

firmy naftowej, starannie ubrani i niezawodnie uprzejmi. Wylądowali o szóstej po południu czasu Greenwich na lotnisku Farnborough, ominąwszy opóźnienia i biurokrację Heathrow i Gatwick. Szefowie z telefonami przyklejonymi do uszu zeszli po schodach do czekającej na pasie startowym limuzyny. Za nią zaparkował czarny SUV, który miał zabrać załogę do miasta. W Londynie firmowe mieszkanie znajdowało się w South Kensington, dwa kroki od Hyde Parku. Emma nocowała tam już kilkanaście razy. Wiedziała, które łóżko jej odpowiada, do których pobliskich barów i restauracji może uciec, zamówić kieliszek wina lub filiżankę kawy, otworzyć książkę i naładować baterie.

Podczas lotu z Frankfurtu samolot pilotował Stanford Smith, były porucznik brytyjskich sił powietrznych, tuż po pięćdziesiątce. Pierwszym oficerem był Peter Gaston, trzydziestosześcioletni nałogowy palacz z Belgii, który podrywał wszystkie dziewczyny z wytrwałością i humorem, co, jak na ironię, okazywało się nieskuteczne. Wśród załóg GullWing miał reputację gościa, do którego należało się zgłosić, jeśli szukało się ecstazy, koki lub w ostatniej chwili potrzebowało czystej próbki moczu do badań pracowniczych.

Samochody na autostradzie A4 jechały zderzak w zderzak. Siedząca obok Emmy w środkowym rzędzie cadillaca Chelsea stuknęła na iPhone, ustalając i zmieniając plany towarzyskie na ten wieczór. Była dwudziestosiedmioletnią imprezową dziewczyną, która miała słabość do muzyków.

– Nie, ty przestań – powiedziała, chichocząc.

– Mówię ci – odezwał się z tylnego rzędu Stanford. – Spodnie się zwija, a nie składa.

– *Merde* – rzucił Peter – żeby ułożyć rzeczy na stosie, trzeba mieć płaskie powierzchnie.

Jak wszyscy, którzy zarabiają, podróżując, Stanford i Peter uważali, że są ekspertami w sztuce pakowania. Ów temat był stałym źródłem sporów wśród załóg na całym świecie. Czasami różnice wynikały z odmienności kulturowych – Niemcy uważali, że buty należy przechowywać w ochraniaczach, natomiast Holendrzy byli wielbicielami pokrowców na ubrania. Weterani sprawdzali wyrywkowo nowicjuszy, zwykle po kilku drinkach, i przepytывali ich z odpowiedniej strategii pakowania na wszelkie możliwe rodzaje podróży: jedną noc od Bermudów po Moskwę, dwudniowy pobyt w Hongkongu w sierpniu. Jaki wybrać rozmiar walizki i jaką markę? Jeden ciepły płaszcz czy warstwy ubrań? Kluczowa była kolejność wkładania garderoby do walizki. Emma w niewielkim stopniu interesowała się tym tematem. Uważała, że to, co wkłada do walizki, to jej prywatna sprawa. By zbyć temat, z fałszywą skromnością odpowiadała, że sypia nago i nigdy nie nosi majtek, co było nieprawdą. Do łóżka zakładała flanelową piżamę, którą przed podróżą zwijała oddzielnie i pakowała próżniowo do torebek wielorazowego użytku, ale sztuczka zazwyczaj działała i temat zmieniał się z pakowania na nagość. Wtedy Emma przeproszała i oddalała się, pozwalając innym kontynuować dyskusję, aż do jej naturalnego zakończenia, czyli rozmowy o seksie.

Tego wieczoru jednak Emma była zmęczona. Odbiła właśnie jeden po drugim dwa loty, z Los Angeles do Berlina ze znanym reżyserem i sławną aktorką na premierę filmu, po którym załoga natychmiast zatankowała i poleciała do Frankfurtu po kierowników

firmy naftowej. Podczas pierwszej podróży spała kilka godzin, ale teraz, doświadczywszy zmiany stref czasowych, świadoma, że musi pozostać na nogach przynajmniej przez kolejne cztery godziny, hamowała ziewanie.

– Och, nie – zaprotestowała Chelsea, przyłapawszy ją. – Wychodzimy dzisiaj wieczorem. Fardah wszystko zaplanował.

Fardah był londyńskim chłopakiem Chelsea, projektantem mody, który nosił rozwiązane buty za kostkę i dopasowane garnitury. Emma nawet go lubiła, poza tym, że podczas ostatniej wizyty w Londynie próbował umówić ją z obdartym artystą z Manchesteru, który nie potrafił trzymać rąk przy sobie.

Emma przytaknęła i napiła się wody z butelki. O tej porze następnego dnia będzie w samolocie czarterowym do Nowego Jorku, potem szybki skok na Martha's Vineyard i powrót do domu na Jane Street na tygodniowe wakacje. Planowała spać przez czterdzieści osiem godzin, a potem usiąść i zastanowić się, co, u licha, robi ze swoim życiem. Jej matka chciała przyjechać do miasta na trzy dni i Emma cieszyła się na to spotkanie. Zbyt długo się nie widziały. Emma potrzebowała silnego matczynego uścisku i wielkiego garnka makaronu z serem. Planowała spędzić ostatnie urodziny w San Diego, ale pojawiła się propozycja lotu czarterowego za stawkę dwa razy wyższą niż normalna, więc zgodziła się i spędziła dwudzieste piąte urodziny, odmrażając sobie tyłek w Petersburgu.

Od teraz na pierwszym miejscu będzie stawiała własne potrzeby, rodzinę i miłość. Nie mogła sobie pozwolić, by skończyć jako stara panna ze zbyt grubą warstwą makijażu i sztucznymi cyckami. Już była za stara. Czas jej się kończył.

Zatrzymali się przed firmowym domem tuż po siódmej wieczorem, a londyńskie niebo po zmierzchu mieniło się głębokim granatem. Na następny dzień zapowiadano deszcz, ale teraz była idealna, letnia pogoda.

– Wygląda na to, że oprócz nas w domu będzie tylko jedna załoga – oznajmił Stanford, który wysiadając z samochodu, chował do kieszeni rozkład lotów. – Z Chicago.

Emma poczuła ukłucie jakiejś emocji. Niepokoju? Lęku? Ale uczucie znikło równie szybko, jak się pojawiło, gdy Chelsea uściśnęła ją za ramię.

– Kąpiel, kieliszek wódki i wychodzimy – poinformowała ją.

W domu zastali Carvera Ellisa, drugiego pilota lotu z Chicago, i dwie stewardesy. Tańczyli do francuskich piosenek pop z lat sześćdziesiątych. Carver był umięśnionym czarnoskórym mężczyzną około trzydziestki. Miał na sobie spodnie typu chino i białą koszulkę bez rękawów. Uśmiechnął się na widok Emmy. Leciąca z nim kilka razy i lubiła go. Był radosny i zawsze traktował ją profesjonalnie. Na jego widok Chelsea mruknęła. Miała słabość do czarnoskórych facetów. Emma nie знаła tańczących z nim stewardes, blond Amerykanki i ładnej Hiszpanki. Ta druga była w ręczniku.

– Teraz to dopiero będzie impreza – ucieszył się Carver, kiedy weszła załoga lotu z Frankfurtu.

Członkowie załóg uściskali się i podali sobie dłonie. Na blacie kuchennym stała

butelka wódki Chopin i skrzynka świeżo wyciskanego soku pomarańczowego. Z okien salonu widać było szczyty drzew w Hyde Parku. Piosenka płynąca z odtwarzacza była zapętloną melodią w stylu *drum and bass*, zmysłową i zaraźliwą.

Carver wziął Emmę za rękę, a ona pozwoliła, by nią obracał. Chelsea zrzuciła buty na obcasach, uniosła ręce i zaczęła ruszać biodrami. Przez chwilę tańczyli, pozwalając, żeby rządziły nimi energia muzyki i pomruk libido. Rytm miał w sobie nutę, którą czuło się w lędźwiach. Jak to wspaniale być młodym i pełnym życia w europejskim mieście.

Emma wzięła prysznic jako pierwsza i stała pod wrzącą wodą z zamkniętymi oczami. Jak zwykle czuła w kościach to wrażenie, że nadal się porusza, wciąż pędzi w przestrzeni sześćset pięćdziesiąt kilometrów na godzinę. Nie zdając sobie z tego sprawy, zaczęła nucić w zaparowanej szklanej kabinie.

Ludzie tej Ziemi, czy mnie słyszycie?

Dał się słyszeć głos z nieba w tamtą magiczną noc¹¹.

Wytarła się ręcznikiem. Jej kosmetyczka wisiała na haczyku obok umywalki. Była wyrazem przemyślności firmy kosmetycznej MAC, gdyż przybory i kosmetyki poukładano w niej według ich przeznaczenia – włosy, zęby, skóra, paznokcie. Stojąc nago, rozczesała włosy długimi równomiernymi pociągnięciami, a potem użyła dezodorantu. Nawilżyła stopy, nogi i ramiona. To był jej sposób na uziemienie, na przypomnienie sobie, że jest rzeczywistą osobą, a nie tylko przedmiotem zawieszonym w powietrzu.

Rozległo się szybkie pukanie do drzwi i do łazienki wślizgnęła się Chelsea ze szklanką w ręce.

– Małpa – rzuciła w stronę Emmy. – Nienawidzę tego, że jesteś taka chuda.

Podążyła Emmie szklankę i obiema rękami ścisnęła fikcyjny tłuszcz wokół własnej talii. Szklanka była do połowy wypełniona wódką z lodem, a na powierzchni pływał plasterek limonki. Emma wypła łyk, a potem kolejny. Czuła, jak alkohol przepływa przez nią, rozgrzewa od środka.

Chelsea wyjęła z kieszeni spódnicy małą przezroczystą torebkę i na marmurowym blacie uformowała kreskę koki, wykonując zadanie z profesjonalną sprawnością.

– Panie mają pierwszeństwo – powiedziała i podała Emmie zwinięty banknot jednodolarowy.

Emma nie była zagorzałą wielbicielką kokainy, wolała tabletki, ale jeśli miała wyjść tego wieczoru, potrzebowała czegoś na pobudzenie. Nachyliła się i przyłożyła rulonik do nosa.

– Nie wszystko, zuchwała pipko – ostrzegła ją Chelsea, klepiąc Emmę po nagim tyłku. Emma wyprostowała się i wytarła nos. Gdy narkotyk trafił do krwiobiegu, jak zwykle poczuła w głowie fizyczne kliknięcie, jakby coś w jej mózgu zostało włączone.

Chelsea usypała kolejną kreskę, a pozostały proszek wtarła w dziąsła. Wzięła szczotkę Emmy i zaczęła się nią czesać.

– Wierz mi, mam zamiar dzisiaj zaszaleć – oznajmiła.

Emma owinęła się ręcznikiem, czując na skórze każdą jego nitkę.

– Nie obiecuję, że zostanę do późna – odparła.

– Wróć wcześniej do domu, a uduszę cię we śnie – zagroziła Chelsea. – Albo zrobię coś gorszego.

Emma zapięła kosmetyczkę i wypila resztę wódki. Przypomniała sobie ojca w przybrudzonej białej koszulce, zamrożonego na zawsze w wieku dwudziestu sześciu lat. Szedł do niej w zwolnionym tempie. Za nim większy mężczyzna upadł na ziemię.

– Tylko spróbuj, zołzo – odgryzła się. – Śpię z nożem.

Chelsea uśmiechnęła się.

– Moja dziewczynka – pochwaliła ją. – A teraz wyjdźmy i dajmy się porządnie zerznąć.

Wychodząc z łazienki, Emma usłyszała męski głos. Później pamiętała uczucie ścisku w żołądku i wrażenie, że czas zwolnił.

– Odebrałem mu nóż – mówił mężczyzna. – A co myślałeś? Złamałem mu też rękę w trzech miejscach. Pieprzona Jamajka.

Emma w panice odwróciła się, by ukryć się z powrotem w łazience, ale Chelsea stała za nią i zderzyły się głowami.

– Au, cholera – powiedziała głośno Chelsea.

Wszyscy w salonie spojrzeli w górę. Zobaczyli Chelsea i Emmę (w białym ręczniku) wykonujące dziwny taniec, gdy Emma ostatni raz próbowała zniknąć. A potem Charlie Busch był już na nogach i szedł w jej kierunku z otwartymi ramionami.

– Hej, piękna – przywitał się. – Niespodzianka.

Przyparta do muru, Emma odwróciła się. Kokaina zaczęła działać i sprawiła, że świat wydawał się jej roztrzęsiony i nierówny.

– Charlie, Charlie – powiedziała, starając się brzmieć radośnie.

Pocałował ją w oba policzki, trzymając ręce na jej ramionach.

– Przytyłaś troszkę, co? – stwierdził. – Zbyt wiele deserów.

Poczuła ucisk w żołądku, a on się uśmiechnął.

– Żartowałem tylko – dodał. – Wyglądasz fantastycznie. Czyż nie wygląda świetnie?

– Ma na sobie ręcznik – zauważył Carver, wyczuwając dyskomfort Emmy. – Oczywiście, że wygląda świetnie.

– To co, kochanie? – kontynuował Charlie. – Może pobiegiesz i założysz coś seksownego? Słyszałem, że mamy wielkie plany na dzisiejszy wieczór. Wielkie plany.

Emma zmusiła się do uśmiechu i chwiejnym krokiem weszła do pokoju. Po wódce

miała nogi jak z waty. Zamknęła drzwi i oparła się o nie plecami. Stała tak dłuższą chwilę, a serce jej waliło.

„Cholera – myślała. – Cholera, cholera, cholera”.

Ostatni raz widziała Charliego pół roku wcześniej. Pół roku telefonów i esemesów. Tropił ją jak pies myśliwski zwierzynę. Emma zmieniła numer telefonu, zablokowała jego maile i wyrzuciła go z grupy znajomych na Facebooku. Ignorowała wiadomości, plotki współpracowników o tym, że oczerniał ją za jej plecami i nazywał jej imieniem inne dziewczyny w łóżku. Znajomi radzili jej, żeby złożyła skargę w liniach lotniczych, ale Emma się bała. Pamiętała, że Charlie był czymś siostrzeńcem, a poza tym wiedziała, że ci, którzy krzyczą najgłośniejszy, pierwsi zostają zwolnieni.

„A tak dobrze mi szło”, pomyślała sobie. Ustanowiła zasady i trzymała się ich. Miała poukładane w głowie. Charlie był jej jedynym błędem i tak naprawdę nie była to jego wina. Nie miał wpływu na to, komu się podobał. Był wysoki, przystojny, z łobuzerskim, kilkudniowym zarostem. Zielonooki czarodziej, który przypominał Emmie ojca. I tak faktycznie było. Charlie był mężczyzną, który zajmował to samo miejsce co jej ojciec, uosabiał ten sam archetyp, silnego, małomównego samotnika, dobrego człowieka, ale to okazało się iluzją. W rzeczywistości Charlie w niczym nie przypominał jej ojca, on tylko udawał dobrego człowieka. W sytuacjach, gdy ojciec Emmy był pewny siebie, Charlie zachowywał się arogancko. Jej ojciec był szarmancki, natomiast Charlie – protekcyjny i próżny. Zalecał się do niej i uwiódł ją swoją empatią i ciepłem, a potem nie wiadomo dlaczego, zmienił się w pana Hyde’a, który krytykował ją publicznie, mówił, że jest głupią, grubą dziwką.

Na początku za tę zmianę obwiniła siebie. Najwyraźniej jego zachowanie było reakcją na coś. Może utyła kilka kilogramów? Może flirtowała z saudyjskim księciem? Ale później, gdy jego zachowanie zaczęło eskalować, doprowadzając do przerażającego podduszania w sypialni, Emma zdała sobie sprawę, że Charlie jest szalony. Cała jego zazdrość i złośliwość pochodziły ze złej strony jego dwubiegunowego serca. Nie był dobrym człowiekiem. Był chodzącą katastrofą, dlatego Emma zrobiła to, co każdy rozsądny człowiek zrobiłby w obliczu kataklizmu. Uciekła.

Teraz ubiera się szybko, zakładając swój najmniej twarzowy strój. Ręcznikiem zmywa makijaż, wyjmuje soczewki i zakłada kocie okulary kupione na Brooklynie. W pierwszym odruchu ma ochotę oznajmić, że źle się czuje, i zostać w domu, ale wie, co robi Charlie. Zaproponuje, że zostanie i zaopiekuje się nią, a bycie z nim sam na sam to ostatnia rzecz, jaką Emma jest w stanie znieść.

Ktoś wali w drzwi łazienki, na co Emma podskakuje.

– No dalej, zdziro – krzyczy Chelsea. – Farhad czeka.

Emma chwyta płaszcz. Będzie się trzymała blisko innych, Chelsea i Carvera, który zainteresował się ładną Hiszpanką. Przyklei się do nich, a potem, gdy nadejdzie właściwy moment, wymknie się. Wróci do mieszkania, zabierze swoje rzeczy i zamelduje się w hotelu pod przybranym nazwiskiem, a jeśli Charlie będzie czegokolwiek próbował, następnego dnia zadzwoni do firmy i złoży formalną skargę.

– Idę – krzyczy i pakuje się pospiesznie. Postawi walizkę przy drzwiach i zniknie, zanim ktokolwiek się zorientuje. Dziesięć sekund, wejdzie i wyjdzie. Potrafi to zrobić. I tak planowała zmienić swoje życie. To jest jej szansa. Kiedy otwiera drzwi, orientuje się, że jej tętno niemal wróciło do normalnego. I wtedy widzi Charliego, który stoi przy drzwiach frontowych i uśmiecha się swymi świdrującymi oczami.

– Okej – oznajmia Emma. – Jestem gotowa.

BÓL

Co rano strumień ludzi i pojazdów porusza się Szóstą Aleją według stale zmieniających się schematów. Każde ciało, samochód i rower to cząsteczka wody, która poruszałaby się z maksymalną prędkością po linii prostej, gdyby nie wszystkie inne cząsteczki walczące o przestrzeń w stale kurczącym się kanale, jak ocean przepuszczony przez wąz strażacki. To morze słuchawek dousznych, ciał poruszających się we własnym rytmie. Pracujące kobiety w tenisówkach esemesują w drodze, a ich myśli błędzą tysiące kilometrów dalej, taksówkarze na zmianę patrzą na drogę i przeglądają wiadomości z odległych krajów.

Doug stoi przed wejściem do budynku ALC i pali ostatniego papierosa. W ciągu ostatnich dwóch dni spał zaledwie kilka godzin. Test zapachowy jego brody wykazałby nuty burbona, cheeseburgerów z restauracji dla zmotoryzowanych, z torfiastą smugą brooklińskiego jasnego pełnego. Ma spierzchnięte usta, jego synapsy zbyt szybko wysyłają impulsy w zbyt wielu kierunkach. Jest maszyną zemsty, która przekonała samą siebie, że prawda jest subiektywna i że skrzywdzony człowiek ma prawo, a nawet moralny obowiązek wyjaśnić sprawę.

Krista Brewer, producentka Billa Cunninghama, spotyka się z nim w holu. Niemal biegnie, właściwie odpycha z drogi czarnoskórego mężczyznę z torbą kurierską, a wzrok ma utkwiony w postaci szurającego Douga.

– Cześć – wita go i uśmiecha się jak negocjator walczący o uwolnienie zakładnika, nauczony, by nie tracić kontaktu wzrokowego. – Krista Brewer. Rozmawialiśmy przez telefon.

– Gdzie jest Bill? – pyta nerwowo Doug, gdyż zaczyna mieć wątpliwości. Miał w głowie wizję przebiegu tego spotkania i nie wyglądało tak jak teraz.

Krista się uśmiecha.

– Na górze. Nie może się doczekać, kiedy cię zobaczy.

Doug marszczy brwi, ale kobieta bierze go pod rękę i prowadzi obok stanowiska ochrony do czekającej windy. Są poranne godziny szczytu i ściskają się razem z kilkunastoma innymi cząsteczkami, a każda z nich zmierza na inne piętro, do innego życia.

Dziesięć minut później Doug siedzi na krześle przed potrójnym lustrem otoczonym jasnymi światłami. Kobieta z wieloma bransoletkami czesze mu włosy, kładzie na czoło podkład i pudruje twarz.

– Ma pan plany na weekend? – pyta go.

Doug potrząsa głową. Żona właśnie wyrzuciła go z domu. Spędził pierwsze dwanaście godzin pijany, a ostatnie sześć przespał w swojej furgonetce. Czuje się jak Humphrey Bogart w filmie *Skarb Sierra Madre*, ma takie samo poczucie szalonej straty (był tak blisko!). Nie chodzi o pieniądze, ale o zasady. Eleanor jest jego żoną, a dzieciak jest ich dzieckiem i... tak, sto trzy miliony dolarów (a do tego kolejne czterdzieści z nieruchomości) to mnóstwo pieniędzy, tak, zmienił już swój pogląd na świat, rozkoszując się świadomością, że jest teraz majątnym człowiekiem. Nie, nie uważa, że pieniądze rozwiązują wszelkie problemy, ale z pewnością ułatwią im życie. Mógłby w końcu otworzyć restaurację i wreszcie dokończyć powieść. Stać ich na opiekę nad dzieckiem i może mogliby wyremontować dom w Croton, by spędzać tam weekendy, gdy przeprowadzą się do willi na Upper East Side. Sam ekspres do kawy Batemanów wart jest przeprowadzki. Tak, wie, że to płytkie, ale czy nie o to właśnie chodzi w całym tym tradycyjnym ruchu promującym powrót do prostoty? Pilnowanie, by każda rzecz, którą robimy, była przemyślana i idealna? By każdy kęs każdego posiłku, każdy krok każdego dnia, wszystko było jak koan Dalajlamy, począwszy od ozdobnych poduszek z konopi po ręcznie wykonane rowery.

Jesteśmy wrogami industrializacji, zabójcami rynku masowego odbiorcy. Koniec z „obsłużono 10 milionów”. Teraz przygotowuje się po jednym posiłku, z jajek od własnych kur. Woda sodowa nasyczona dwutlenkiem węgla z własnego zbiornika. To jest rewolucja. Powrót do ziemi, krosna, aparatu destylacyjnego. A jednak zmagania są ciężkie, każdy człowiek musi utorować sobie pazurami jakąś przyszłość. Pokonać przeszkody młodości i ustawić się, nie gubiąc się po drodze. Pieniądze by w tym pomogły. Zniwelowałyby zmartwienia i ryzyko. Zwłaszcza teraz, gdy jest dzieciak i może być ciężko. Na przykład, jeśliby człowiek nie był jeszcze naprawdę gotowy na tego typu odpowiedzialność, na odłożenie na bok własnych potrzeb dla czegoś małego i irracjonalnego, co nie potrafi nawet podetrzeć sobie tyłka.

Na krześle zaczyna się pocić. Makijażystka osusza mu czoło.

– Może zdejmie pan kurtkę – proponuje.

Ale Doug myśli o Scotcie, o węźu we własnym domu, i o tym, jak ten cholerny gość po prostu podjeżdża pod dom, jakby był jego właścicielem. Tylko z powodu więzi, jaka łączy go z chłopcem, czuje się zaproszony, żeby się wprowadzić. A cóż on, Doug, takiego zrobił, by wyrzucać go z własnego domu? Tak, dobra, wrócił do domu po północy, pijany, i może trochę się wkurzył i krzyczał, ale to w końcu jego dom. A ona jest jego kobietą. I w jakim dziwnym świecie żyjemy, skoro jakiś przebrzmiały malarz ma większe prawo być w jego domu niż on sam? Mówi to wszystko Eleanor i każe jej poinformować gościa, że ma się pakować, jak tylko wstanie słońce. Mówi jej, że jest jego żoną, że ją kocha i łączy ich coś pięknego, co warto chronić, pielęgnować, zwłaszcza teraz, gdy są rodzicami, prawda? Mówi, że jest ojcem.

A Eleanor słucha. Tylko słucha. Siedzi spokojnie i się nie denerwuje. Nie wydaje się przestraszona, wkurzona ani... nic. Po prostu słucha jego tyrady, patrzy, jak stąpa głośno po sypialni, a potem, gdy jemu kończy się energia, oznajmia, że chce rozwodu, a on powinien pójść spać na kanapę.

Krista wraca uśmiechnięta. Mówi, że czekają na niego. Bill jest gotowy. Doug okazał dużą odwagę, przychodząc do studia, a kraj i cały świat są niezmiernie wdzięczne, że są jeszcze ludzie tacy jak on, którzy chcą wyjawić prawdę, nawet jeśli to trudne. Doug przytakuje. To w skrócie jego opis. Jest zwykłym człowiekiem, szlachetnym, pracowitym. Człowiekiem, który nie narzeka ani nie wymaga, ale oczekuje, że świat postąpi z nim uczciwie. Oczekuje, że za całodzienną pracę otrzyma dniówkę, a życie, które buduje, i rodzina, którą tworzy, to jego życie i jego rodzina. Zasłużył na nie i nikt nie powinien być w stanie mu ich odebrać.

Wygrana na loterii należy się zwycięzcy.

Więc zdejmuje papierowy śliniak i idzie na spotkanie z przeznaczeniem.

– Dougu – zaczyna Bill. – Dziękuję ci za przyjście do studia.

Doug kiwa głową, starając się nie patrzeć w kamerę. „Skup się na mnie”, powiedział mu Bill. I to właśnie robi, skupia się na brwiach mężczyzny, na czubku jego nosa. Bill Cunningham nie jest przystojny, nie w tradycyjnym znaczeniu tego słowa, ale ma zuchwałość samca alfa, nieuchwytnie połączenie siły, charyzmy i pewności siebie, ten wzrok bez mrugnięcia i eksponującą krocze postawę człowieka u szczytu swego instynktownego, globalnego oddziaływania. Czy to kwestia budowy fizycznej? Feromonów? Aury? Z jakiegoś powodu Doug myśli o tym, jak ławica żarłaczy białopłetwych rozpierzcha się, gdy pojawia się żarłacz biały. O tym, jak jeleni po prostu poddaje się szczękom wilka, zaprzestaje walki i leży bez ruchu, poskromiony przez nieuchronne i przemożne siły.

I wtedy zastanawia się: „Czy ja jestem jeleniem?”.

– To niepokojące czasy – stwierdza Bill. – Zgodzisz się ze mną?

Doug mruga.

– Czy zgadzam się, że czasy są niepokojące?

– Dla ciebie, dla mnie, dla Ameryki. Mówię o stracie i braku sprawiedliwości.

Doug kiwa głową. Tę historię chce opowiedzieć.

– To tragedia. I wszyscy o tym wiemy. Katastrofa, a teraz...

Bill pochyla się do przodu. Program jest przekazywany przez satelitę do dziewięciuset milionów potencjalnych telewizorów na całym świecie.

– Ze względu na ludzi, którzy nie znają historii tak dobrze jak ja, proszę, niech nas pan krótko wprowadzi w temat – prosi Bill.

Doug kręci się nerwowo, potem zdaje sobie sprawę, że się wierci, i wzrusza ramionami.

– No cóż, wiedzą państwo o katastrofie. Katastrofie lotniczej. I o tym, że przeżyły tylko dwie osoby. JJ, mój siostrzeniec, to znaczy, siostrzeniec mojej żony, i ten malarz,

Scott, yyy, jakiś tam, który podobno dopłynął do brzegu.

– Podobno?

– Nie – wycofuje się Doug. – Ja tylko wychodzę od czegoś, co pan... Tak, to było bohaterskie, z pewnością, ale to nie znaczy...

Bill niezauważalnie potrząsa głową.

– Więc wziął go pan do siebie – kontynuuje. – Pana siostrzeńca.

– Tak, oczywiście. Przecież ma dopiero cztery lata. Jego rodzice... nie żyją.

– Tak – przytakuje Bill. – Wziął go pan do siebie, ponieważ jest pan dobrym człowiekiem, któremu zależy, by robić to, co trzeba.

Doug kiwa głową.

– Wie pan, nie mamy wiele – kontynuuje. – Jesteśmy... Ja jestem pisarzem, a Eleanor, moja żona, jest kimś w rodzaju fizjoterapeutki.

– Opiekunką.

– Tak, ale wie pan, cokolwiek mamy, należy też do niego. Przecież jest naszą rodziną. JJ. Tak, wiem... – Doug bierze wdech, starając się trzymać historii, którą chce opowiedzieć. – ...wiem, że nie jestem idealny.

– A kto jest? – pyta Bill. – A do tego ma pan... Ile ma pan lat?

– Trzydzieści cztery.

– Nadal dzieciak z pana.

– Nie, to znaczy ciężko pracuję. Próbuję uruchomić restaurację, odbudować ją, a jednocześnie... W porządku, czasami wypiję parę piw.

– Kto tego nie robi? – dodaje Bill. – Po długim dniu pracy. Moim zdaniem to czyni z człowieka patriotę.

– Właśnie i... Posłuchajcie, facet jest bohaterem, Scott, to jasne, ale, cóż, on się jakby wprowadził...

– Scott Burroughs? Wprowadził się do pańskiego domu.

– Cóż, przyjechał parę dni temu, żeby zobaczyć się z dzieciakiem, co, powtórzmy... Przecież go ocalił, prawda? Więc to... Nikt nie mówi, że nie może się widywać z JJ-em. Ale... Dom mężczyzny powinien być jego... A moja żona... Wie pan, mamy wiele obowiązków, teraz, z chłopcem, wiele do ogarnięcia, więc może po prostu poczuła się dezorientowana, ale...

Bill przygryza wargę. Chociaż nie pokazuje tego widzom przed telewizorami, traci cierpliwość do Douga, który najwyraźniej jest świrem. Postawiony sam sobie, załamię się i nie zdoła przekazać historii, dla której Bill go tu sprowadził.

– Niech pomyślę – przerywa mu. – Nie chcę panu przerywać, ale chciałbym sprawdzić, czy jestem w stanie wyjaśnić kilka kwestii. Cóż, najwyraźniej jest pan

zdenerwowany.

Doug kiwa głową. Bill odwraca się lekko, by móc mówić do kamery.

– Siostra pana żony, jej mąż i córka zostali zabici w bardzo podejrzanych okolicznościach, w katastrofie prywatnego samolotu, i osierocili czteroletniego syna, JJ-a. Dlatego pan i pańska żona przygarnęliście go, z dobroci serc, i próbujecie stworzyć mu rodzaj rodziny, pomóc mu w tym okropnym czasie. A potem inny mężczyzna, Scott Burroughs, który według pogłosek miał romans z pańską szwagierką i ostatni raz był widziany, gdy opuszczał rezydencję rozwiązałej i uparcie samotnej dziedziczki, wprowadził się do pańskiego domu, podczas gdy pan został poproszony przez żonę o opuszczenie go. – Zwraca się do Douga. – Został pan wyrzucony. Jeśli nazwiemy rzeczy po imieniu. Gdzie pan spał ostatniej nocy?

– W mojej furgonetce – mamrocze Doug.

– Co?

– W furgonetce. Spałem w mojej furgonetce.

Bill potrząsa głową.

– Spał pan w furgonetce, podczas gdy Scott Burroughs spał w pana domu. Z pańską żoną?

– Nie, to znaczy nie wiem, czy to... Czy łączy ich coś więcej... Ja nie...

– Synu, proszę... A co innego? Facet ratuje chłopca, podobno, a pana żona przyjmuje go pod dach, obu, jakby chciała stworzyć... Co? Nową rodzinę? Kogo obchodzi, że jej faktyczny mąż jest teraz bezdomny i załamany.

Doug kiwa głową i nagle rozpaczliwie chce mu się płakać, ale się opanowuje.

– Proszę nie zapominać o pieniądzach – mówi.

Bill przytakuje. Bingo.

– O jakich pieniądzach? – pyta niewinnie.

Doug ociera oczy, zdając sobie sprawę, że siedzi zgarbiony. Wyprostowuje się i próbuje odzyskać kontrolę.

– A więc... David i Maggie, rodzice JJ-a, byli... Cóż, wiecie, on prowadził tę sieć. Nie chcę mówić, że to coś podejrzanego, ale... chodzi o to, że to byli bardzo bogaci ludzie.

– Ile warci? W przybliżeniu.

– Uhm, nie wiem, czy powinienem...

– Dziesięć milionów? Pięćdziesiąt?

Doug się waha.

– Więcej? – pyta Bill.

– Chyba dwa razy tyle – odpowiada niechętnie Doug.

– Rety. Jasne. Sto milionów dolarów. I te pieniądze...

Doug pociera brodę kilkoma szybkimi ruchami, jak człowiek, który próbuje wytrzeźwieć.

– Duża część pieniędzy przeznaczona jest na cele charytatywne – wyjaśnia. – Ale, oczywiście, reszta należy do JJ-a. A to... wie pan, on ma dopiero cztery lata, więc...

– Mówi pan... – podpowiada Bill. – Chyba chce pan powiedzieć, że ktokolwiek ma chłopca, ma pieniądze.

– Cóż, mówiąc niedelikatnie...

Bill wpatruje się w niego z pogardą.

– Wolę określenie „otwarcie”. Chodzi mi o to, chociaż może głupio rozumię, że w grę wchodzi dziesiątki milionów dolarów dla osoby, która będzie wychowywała chłopca, muszę dodać, mojego chrześniaka. Dlatego, faktycznie, nie jestem... W duchu całkowitej przejrzystości nie jestem w tej kwestii zupełnie obiektywny. Po tym, co przeszedł, śmierć jego... wszystkich, których kocha... I ten dzieciak ma stać się pionkiem...

– Cóż, Eleanor nie jest... To dobra osoba. Ma dobre intencje. Ja tylko... Myślę, że musi być... to pewien rodzaj manipulacji.

– Ze strony malarza.

– Albo... sam nie wiem... Może pieniądze sprawiły... Świadomość posiadania ich jakoś ją zmieniła.

– Uważa pan, że byliście szczęśliwym małżeństwem?

– Cóż, są pewne trudności. Nie zawsze się... Ale to... Gdy ma się dwadzieścia, trzydzieści lat, życie to trudna praca. Próba zrobienia czegoś znaczącego. I powinniśmy zostać ze sobą, a nie...

Bill kiwa głową i opiera się na krześle. W prawej kieszeni spodni wibruje mu telefon. Wysuwa go, patrzy na wiadomość tekstową i mruży oczy. W tym momencie przychodzi drugi esemes, a potem trzeci. Namor podsłuchuje dom żony Douga i pisze, by poinformować, że coś usłyszał.

Rozmowa telefoniczna między pływakiem a dziedziczką wczoraj wieczorem. Seksowne teksty.

A potem:

Również między pływakiem i NTSB. Zniszczony rejestrator parametrów lotu.

I w końcu:

Pływak przyznaje, że był w łóżku z dziedziczką.

Bill chowa telefon do kieszeni i prostuje się.

– A jeśli powiedziałbym panu – zaczyna – iż mamy potwierdzenie, że Scott Burroughs poszedł do łóżka z dziewczynką Laylą Mueller zaledwie kilka godzin przed przyjazdem do pańskiego domu?

– No cóż...

– I że nadal z nią rozmawia, dzwoni do niej z pańskiego domu?

Doug czuje, że zaschło mu w ustach.

– W porządku, ale czy to znaczy... Czy myśli pan... Czy jest z moją żoną, czy...

– A co pan myśli?

Doug zamyka oczy. Nie jest na to przygotowany, na emocje, które odczuwa, poczucie, że w ciągu ostatnich dwóch tygodni jakimś cudem z wygranego stał się przegranym, jakby jego życie było psikusiem, którego robi mu świat.

W studiu Bill wyciąga rękę i klepie Douga po dłoni.

– Wracamy po przerwie.

POCISKI

Kto z nas naprawdę rozumie, w jaki sposób działa nagrywanie? Jak w dawnych czasach maszyna Edisona łąbiła rowki na winylowym cylindrze, by później za pomocą igły odtwarzać dokładną kopię nagrywanych dźwięków, słów lub muzyki? Jak to możliwe, że igła na rowkach odtwarza dźwięk? Że zadrapanie na plastikowym kole jest w stanie uchwycić dokładne brzmienie życia? Potem nastąpiła zmiana na nośniki cyfrowe i teraz głos ludzki przechodzi przez mikrofon, trafia na twarde dyski i jakimś sposobem zostaje zakodowany w postaci jedynek i zer, przetworzony na dane, a następnie złożony ponownie dzięki kablom i głośnikom, by odtworzyć dokładną wysokość i ton mowy ludzkiej, dźwięk reggae lub odgłosy ptaków nawołujących się w letni dzień.

To tylko jedna z miliona magicznych sztuczek, które opanowaliśmy w ciągu wieków, wynalezionych technologii, poczynając od stentów po maszyny wojenne, których źródła sięgają brudnych czasów neandertalczyka i odkrycia ognia. Narzędzia przetrwania i podboju.

A potem, tysiące lat później, mężczyźni w obcisłych dżinsach i modnych okularach potrafią rozłożyć na części czarną skrzynkę wewnątrz sterylnej pojemnika i badać ją za pomocą śrubokrętów z pięcioramienną końcówką i latarek kieszonkowych. Potrafią wymienić zniszczone porty i użyć oprogramowania diagnostycznego, które samo w sobie powstało w oparciu o kod dwójkowy. Każda linijka jest tylko wersją symbolu „włączony” lub „wyłączony”.

Gus Franklin siedzi na swoim krześle, ze stopami na siedzeniu. Nie śpi od trzydziestu sześciu godzin, ma na sobie wczorajsze ubranie i jest nieogolony. Są blisko. Tak mówią. Odzyskano prawie wszystkie dane. Lada chwila otrzyma wydruk z rejestratora parametrów lotu, na którym będą spisane wszystkie ruchy samolotu i wprowadzone polecenia. Prace nad rejestratorem rozmów mogą potrwać trochę dłużej. Umiejętność cofnięcia się w czasie, przełożenia jedynek i zer na głosy, utrudnia wpłynięcie do upiornego kokpitu i stanie się świadkiem ostatnich chwil lotu.

Analiza balistyczna wykazała, że dziury po pociskach pasują do broni służbowej Gila Barucha. Agent O'Brien, zmęczony patrzeniem technikom NTSB przez ramię i pytaniem „Ile jeszcze?”, pojechał do miasta i próbuje dowiedzieć się więcej na temat ochroniarza Batemanów. Ponieważ jego ciała nie odnaleziono, agent O'Brien przedstawił kolejną teorię. Może Gil zwrócił się przeciwko swojemu pracodawcy, sprzedał swoje usługi innemu klientowi (Al-Kaidzie, Korei Północnej?), a potem, w trakcie lotu, wyciągnął broń, spowodował katastrofę i uciekł.

„Jak czarny charakter w filmie o Jamesie Bondzie?”, zapytał Gus, ale nie uzyskał odpowiedzi. zaproponował O'Brienowi bardziej prawdopodobną teorię. Baruch, który jak

wiadomo, nie był przypięty pasami, został zabity podczas katastrofy, jego ciało wyleciało z samolotu i zostało pochłonięte przez głębinę lub pożarte przez rekiny. Jednak O'Brien potrząsnął głową i oznajmił, że muszą być skrupulatni.

Równolegle, mniej więcej godzinę temu, powróciły wyniki autopsji Charlesa Buscha. Badanie toksykologiczne potwierdziło obecność we krwi alkoholu i kokainy. Teraz zespół FBI kopie głębiej w historii drugiego pilota, przepytuje znajomych i rodzinę, przegląda historię zatrudnienia i świadectwa szkolne. W jego aktach nie ma dowodów na problemy psychiczne. Czy doświadczył epizodu psychotycznego, jak drugi pilot Germanwings? Czy Busch zawsze był bombą zegarową i jakimś cudem udało mu się utrzymać to w tajemnicy?

Gus wpatruje się w galerię sztuki na przeciwległej ścianie hangaru. Wykolejony pociąg, zbliżające się tornado. Kiedy był żonaty, w jego szafce leżały dwie szczoteczki do zębów. Teraz mieszka sam w sterylnym mieszkaniu nad rzeką Hudson, hermetycznie zamknięty wewnątrz szklanego sześcianu. Posiada jedną szczoteczkę, przy każdym posiłku pije z tej samej szklanki, płucze ją potem i odkłada na suszarkę.

Podchodzi Cody, technik, z plikiem papierów. Wydruk. Podaje go Gusowi, a ten przelatuje kartki wzrokiem. Wokół niego w oczekiwaniu zbiera się zespół. W innym miejscu te same informacje pojawiają się na ekranie i zbiera się druga grupa. Wszyscy czekają na relację, historię opowiedzianą przez szerokość i wysokość geograficzną, dosłowne wzniesienie się i upadek lotu sześć trzynaście.

– Cody – odzywa się Gus.

– Widzę – potwierdza Cody.

Dane to czyste liczby. Wektory siły ciągu i siły nośnej. Są przejrzyste, widoczne na wykresach. Żeby matematycznie prześledzić podróż, potrzebne są jedynie współrzędne. Czytając dane, Gus uwalnia ostatnie minuty lotu maszyny, dane oddzielone od życia i osobowości pasażerów oraz załogi. To historia samolotu, a nie ludzi na pokładzie. Zapis pracy silnika, szczegóły dotyczące działania kłap.

Sceny katastrofy wokół zostają zapomniane, galeria sztuki i jej mecenas.

Dane pokazują, że samolot startuje bez zakłóceń, skręca w lewo, a potem prostuje i według zaleceń kontroli ruchu lotniczego w ciągu sześciu minut i trzynastu sekund wnosi się na wysokość ośmiu tysięcy metrów. W szóstej minucie zostaje włączony autopilot i samolot zmierza na południowy zachód, po zaplanowanej trasie. Dziewięć minut później sterowanie maszyną zostaje przełączone z pilota na drugiego pilota, z Melody'ego na Buscha, z powodów, których dane nie są w stanie określić. Kurs i wysokość pozostają bez zmian. W szesnastej minucie lotu autopilot zostaje wyłączony. Samolot gwałtownie kładzie się na skrzydło i pikuje. Ruch, zaczynający się jako powolny skręt w lewo, przechodzi w ostry korkociąg, jakby szalony pies gonił swój ogon.

Wszystkie urządzenia pracowały normalnie. Nie wystąpił żaden błąd mechaniczny. Drugi pilot wyłączył autopilota i przejął sterowanie manualne. Wprowadził samolot w lot nurkowy i ostatecznie rozbił się w oceanie. Takie są fakty. Teraz znają główną przyczynę.

Nie wiedzą, dlaczego tak się stało i co wydarzyło się później. Wiedzą, że Busch był pijany i na haju. Czy leki wpłynęły na jego umiejętność postrzegania i podejmowania decyzji? Czy myślał, że leci samolotem normalnie, czy zdawał sobie sprawę, że wpadł w spiralę śmierci?

Co ważniejsze, czy drugi pilot czekał na wyjście pierwszego i potem celowo rozbił samolot? Dlaczego miałyby to zrobić? Jakie mogły być możliwe motywy takiego działania?

Gus siedzi przez chwilę. Wokół niego następuje nagłe wzmożenie aktywności, liczby wpisywane są w algorytmy i ponownie sprawdzane. Ale Gus jest spokojny. Wie już na pewno, że katastrofa nie była wypadkiem. Jej źródła nie leżą w nauce o wytrzymałości na rozciąganie czy w zużyciu przegubów, nie spowodowała jej usterka komputera ani uszkodzona hydraulika. Odpowiedź drzemie w mętnych głębinach psychologii, w udreće i tragedii ludzkiej duszy. Dlaczego przystojny, zdrowy, młody człowiek wprowadził samolot pasażerski w ostry, bezpowrotny lot nurkowy, ignorując paniczne walenie w drzwi kapitana przebywającego na zewnątrz kokpitu i swój własny krzyczący instynkt samozachowawczy? Jaka chwiejna postawa zakorzeniła się w istocie szarej jego mózgu, jaka wcześniej niezdiagnozowana choroba umysłowa lub aktualna ogłuszająca skarga na niesprawiedliwość świata mogły zainspirować siostrzeńca senatora do zabicia dziewięciu osób, w tym siebie samego, poprzez zamianę luksusowego samolotu w pocisk?

Czy w takim razie mogą wnioskować, że oddane strzały były próbą ponownego wejścia do kokpitu i przejęcia kontroli nad samolotem?

Innymi słowy, rozwiązanie owej zagadki leży poza kompetencjami inżynierów, w sferze szamańskich spekulacji.

Gus Franklin może tylko zagryźć zęby i przebrnąć przez burzę.

Sięga po telefon, a potem się zastanawia. Takie wieści, zwłaszcza w następstwie wielu wycieków, najlepiej przekazać osobiście. Chwyta marynarkę i rusza do samochodu.

– Jadę do domu – oznajmia zespołowi. – Zadzwońcie do mnie, kiedy technicy rozpracują rejestrator rozmów.

GRY

Grają w salonie w *Węże i drabiny*, kiedy dzwoni telefon. Doug jest w telewizji. Eleanor wraca z kuchni, a telefon drży w jej dłoniach. Napotyka wzrok Scotta i gestem daje mu znać, że muszą zająć czymś chłopca, by mogli porozmawiać.

– Hej, kolego – odzywa się do dziecka Scott. – Przynieś z góry moją torbę, dobrze? Mam dla ciebie prezent.

Chłopiec biegnie na górę, włosy powiewają mu z tyłu, a kroki rozbrzmiewają na schodach niedbałą kaskadą. Eleanor patrzy, jak dziecko znika, a potem odwraca bladą twarz.

– Co się stało? – pyta Scott.

– Moja matka – odpowiada i szuka pilota.

– Co...

Eleanor grzebie w szufladzie z rupieciami pod telewizorem.

– Gdzie jest pilot?

Scott dostrzega go na stoliku nocnym i chwyta w rękę. Eleanor bierze go od niego, włącza telewizor i wciska klawisze. Czarny ekran miga i rozświecła się, pośrodku ożywa gwiazda, nabiera dźwięku i wydaje na świat słońca na sawannie poszukującego wody. Eleanor zmienia kanały.

– Nie rozumiem – odzywa się Scott.

Zerka w stronę schodów. Z góry dobiegają go kroki chłopca i odgłos otwierania drzwi szafy w pokoju gościnnym.

Potem słyszy gwałtowny wdech Eleanor i odwraca się. Na ekranie widać ubranego we flanelę brodatego Douga, siedzącego naprzeciw Billa Cunninghama w czerwonych szelkach. Znajdują się w studiu redakcji informacyjnej, za biurkiem prowadzącego. To surrealistyczny widok, jakby dwa programy zostały splecione ze sobą, program o pieniądzu i program o drzewach. Pokój wypełnia głos Douga, połowa wypowiedzianego zdania. Mówi o Scotcie, o tym, jak Eleanor wyrzuciła własnego męża z domu, i o swoich podejrzeniach, że Scott może trzymać się blisko z powodu pieniędzy. Bill Cunningham przytakuje, wtrąca się i parafrazuje stwierdzenia Douga. W pewnym momencie wkracza, by samemu opowiedzieć historię.

– ...skończony zawodowo malarz, który sypia z mężatkami i wychwala katastroficzne sceny.

Scott patrzy na Eleanor, która przyciska pilota do piersi, tak że knykcie ma już białe.

Z jakiegoś powodu Scott myśli o swojej leżącej w trumnie siostrze, szesnastolatce, która utonęła pod koniec września, pochłonięta przez mętną głębinę, na której powierzchnię wypłynęły tylko bąbelki. Dziewicze ciało, które musiało zostać wysuszone i umyte, wciśnięte w swoje najlepsze ubranie przez sześćdziesięcioletniego właściciela zakładu pogrzebowego, nieznanego, który pokrył jej skórę różem i czesał jej nasiąknięte wodą włosy, aż zaczęły błyszczeć. Ręce złożono jej na klatce piersiowej, a pomiędzy nieczułe palce wsunięto bukiet żółtych stokrotek.

Siostra była uczulona na stokrotki i gdy Scott przypomniał sobie o tym, niezmiernie się zdenerwował, aż dotarło do niego, że nie ma to już znaczenia.

– Nie rozumiem – mówi Eleanor, po czym powtarza to ciszej, do siebie, jak mantrę.

Scott słyszy kroki na schodach i odwraca się. Przechwytuje chłopca, gdy ten zsuwa się ze schodów, niosąc torbę Scotta ze zdeorientowanym (a może urażonym) wyrazem twarzy, jakby chciał powiedzieć: „Nie mogę znaleźć prezentu”. Scott podchodzi do niego z ukosa, mierzwi mu włosy i gładko kieruje w stronę kuchni.

– Nie mogłeś go znaleźć? – pyta, a chłopiec potrząsa głową. – W porządku – pociesza go. – Niech spojrzę.

Sadza chłopca przy stole kuchennym. Na podjazd wjeżdża furgonetka pocztowa. Listonosz ma na głowie starodawny hełm tropikalny. Za nim Scott dostrzega podniesione anteny wozów transmisyjnych zaparkowanych na końcu ślepej uliczki, wyczekujące i obserwujące. Listonosz otwiera skrzynkę, wkłada do środka gazetkę supermarketu i kilka rachunków, nieświadomy toczącego się wewnątrz dramatu.

Scott słyszy z salonu głos Douga:

– Było nam dobrze, zanim się pojawił. Byliśmy szczęśliwi.

Szpera w torbie w poszukiwaniu czegoś, co mógłby nazwać prezentem. Znajduje wieczne pióro, które ojciec podarował mu, gdy wyjeżdżał do college'u. Czarne pióro marki Montblanc. To jedyna rzecz, jaką Scott zachował przez lata, okresy wzlotów i upadków, jedyna stała, gdy brnął przez pijackie ciągi, fazę wielkiego malarza, samobójcze okresy żalostnego terroru, gdy otumaniał się alkoholem i zmierzał ku katastrofie. I potem, kiedy powstawał z wciąż jeszcze ciepłych popiołów, ku nowemu dorobkowi. Nowemu początkowi.

Towarzyszyło mu na samym dnie, gdy wyrzucił przez okno wszystkie meble, talerze i naczynia, wszystko, co posiadał.

Poza piórem.

Tym piórem podpisuje obrazy.

– Proszę – mówi do chłopca, wyciągając je z torby. Chłopiec się uśmiecha. Scott odkręca skuwkę, pokazuje chłopcu, jak działa pióro, i rysuje nim na serwetce psa. – Mój ojciec dał mi je, gdy byłem młody – wyjaśnia, po czym zdaje sobie sprawę z implikacji, iż teraz to on przekazuje pióro swojemu synowi. Jakimś sposobem adoptował chłopca.

Dociera do niego ta myśl i forsuje ją. Życie może nas sparaliżować, zamrozić

w posągi, jeśli za długo się zastanawiamy.

Podaje chłopcu pióro, prawdopodobnie ostatnią cząstkę mężczyzny, jakim kiedyś był, jego kręgosłup, jedyną związaną z nim rzecz, która pozostała prosta i prawdziwa, niezawodna i solidna. On sam też był kiedyś chłopcem, badaczem wyruszającym na nieodkryte lądy. Ani jedna komórka tego chłopca nie przetrwała do dziś, ciało Scotta zmieniło się na poziomie genetycznym, w ciągu dziesięcioleci każdy elektron i neutron został zastąpiony nowymi komórkami, nowymi pomysłami.

Nowy człowiek.

Chłopiec bierze do ręki pióro i wypróbówuje je na serwetce, ale nie potrafi narysować linii.

– To... – zaczyna Scott – to wieczne pióro, więc musisz je trzymać...

Ujmuje dłoń chłopca i pokazuje, jak trzymać pióro. Słyszycy dobiegający z salonu głos Billa Cunninghama:

– ...więc najpierw zaprzyjaźnia się z siostrą, bogatą kobietą, a teraz, kiedy ona nie żyje i pieniądze odziedziczył jej syn, nagle pojawia się w pańskim domu, a pan śpi w starej furgonetce.

Chłopcu udaje się narysować czarną linię, a potem następną. Wydaje odgłos zadowolenia. Scott obserwuje go i coś w jego wnętrzu wskakuje na swoje miejsce. Poczucie celu, decyzja, której podjęcia nie był nawet świadomy. Podchodzi do telefonu, jakby stąpał po rozżarzonych węglach, pilnując, aby nie patrzeć w dół. Dzwoni do informacji, dostaje numer do ALC, a potem prosi o połączenie z biurem Billa Cunninghama. Po kilku błędnych przekierowaniach udaje mu się dodzwonić do Kristy Brewer, producentki Billa.

– Pan Burroughs? – pyta. Słysząc, że brakuje jej tchu, jakby przebiegła długi dystans, żeby odebrać telefon.

Z racji natury czasu następna chwila jest zarówno nieskończona, jak i natychmiastowa.

– Proszę mu powiedzieć, że się zgadzam – oznajmia Scott.

– Proszę?

– Na wywiad. Zrobię to.

– Rety, to wspaniale. Czy mamy... Wiem, że nasz wóz transmisyjny stoi niedaleko. Czy chce pan...

– Nie. Trzymajcie się z dala od domu, od chłopca. To sprawa pomiędzy mną a gargulcem. To rozmowa o tym, że zastraszanie i poniżanie ludzi na odległość to cholernie tchórzliwy sposób na bycie mężczyzną.

Ton głosu Kristy w następnym momencie można jedynie określić słowem „uszcześliwiony”.

– Czy mogę to zacytować?

Scott myśli o swojej siostrze leżącej ze skrzyżowanymi rękami i zamkniętymi oczami. Myśli o piętrzących się falach i walce o pozostanie na powierzchni, z przetrąconym barkiem.

– Nie – protestuje. – Do zobaczenia po południu.

OBRAZ 5

PRZYKRO NAM Z POWODU TWOJEJ STRATY¹².

HISTORIA PRZEMOCY

Gdy dzwoni telefon, Gus jest na Drugiej Alei i zmierza z powrotem do hangaru.

– Śledzisz to? – pyta Mayberry.

– Co? – chce wiedzieć Gus. Był pogrążony w myślach, przypominał sobie spotkanie z prokuratorem generalnym stanu oraz szefami FBI i OFAC. Drugi pilot był naćpany i celowo rozbił samolot.

– To zmieniło się w prawdziwą operę mydlaną – wyjaśnia Mayberry. – Doug, wujek, poszedł do telewizji, by poinformować, że został wyrzucony z domu, a Burroughs się do niego wprowadził. A teraz mówią, że Burroughs zmierza do studia na wywiad.

– Jezu – przeraził się Gus. Chce zadzwonić do Scotta, aby go ostrzec, ale potem przypomina sobie, że malarz nie ma komórki. Zwalnia przed czerwonym światłem, przed nim taksówka włącza się do ruchu bez kierunkowskazu, zmuszając go do gwałtownego wciśnięcia hamulca. – Jak wygląda sytuacja z rejestratorem rozmów? – pyta.

– Jesteśmy blisko – odpowiada Mayberry. – Jeszcze jakieś dziesięć minut.

Gus włącza się do ruchu zmierzającego w kierunku Bridge Street 59.

– Zadzwoń do mnie, jak tylko go dostaniecie – mówi. – Jestem w drodze do hangaru.

Sto kilometrów na północ biały samochód z wypożyczalni sunie przez Westchester w kierunku miasta. Okolica jest bardziej zielona, a aleja wysadzana drzewami. W odróżnieniu od trasy Gusa tutejsza droga jest niemal pusta. Scott zmienia pasy bez kierunkowskazu.

Próbuje egzystować wyłącznie w chwili, w której żyje, jest mężczyzną prowadzącym samochód późnym latem, po południu. Trzy tygodnie temu był pyłkiem kurzu w szalejącym oceanie. Rok wcześniej – beznadziejnym pijakiem, który obudził się na dywanie w salonie znanego malarza i zataczając się, wyszedł na ostre słońce i odkrył basen w kolorze akwamaryny. Życie składa się z takich właśnie momentów, gdy nasze fizyczne jestestwo porusza się w czasie i przestrzeni. My nawlekamy je jeden za drugim i tworzymy historię, a ona staje się naszym życiem.

Siedzi więc w wypożyczonej toyocie camry, jadącej aleją Henry'ego Hudsona, a godzinę później wślizguje się na krzesło w studiu 3, w budynku ALC, i patrzy, jak młody mężczyzna w okularach ukrywa mikrofon pod klapą marynarki Billa Cunninghama. W tym samym momencie jest nastolatkiem, który wrócił do domu z college'u i siedzi na rowerze marki Schwinn z dziesięcioma przerzutkami. Jest wieczór

i na poboczu wiejskiej drogi czeka, aż siostra skończy pływać w jeziorze Michigan. A jeśli zamiast historii opowiedzianej w kolejności życie jest kakofonią chwil, których nigdy nie opuszczamy? A jeśli najbardziej traumatyczne i najpiękniejsze doświadczenia chwytają nas w rodzaj pętli przyczynowo-skutkowej, gdzie przynajmniej część naszego umysłu pozostaje opanowana przez owe myśli, nawet gdy ciało idzie naprzód?

Mężczyzna w samochodzie i na rowerze, i w studiu telewizyjnym. Ale również na dziedzińcu przed domem Eleanor trzydzieści minut wcześniej, idący do samochodu, podczas gdy ona prosi go, by nie jechał, i twierdzi, że popełnia błąd.

– Jeśli chcesz opowiedzieć swoją historię, w porządku – mówi. – Zadzwoń do CNN, do „New York Timesa”, ale nie do niego.

Nie do Cunninghama.

W oceanie Scott chwyta chłopca i nurkuje pod falę, której ogrom przekracza ludzkie pojęcie.

W tym samym czasie zwalnia za powgniatanym kombi, potem wrzuca kierunkowskaz i zmienia pas.

W przebieralni Scott widzi, jak Bill Cunningham robi miny, słyszy, jak ćwiczy wymowę „r” i wykonuje sekwencję kilku ćwiczeń wokalnych. Stara się ustalić, czy odczucie w żołądku to lęk, przerażenie czy podekscytowanie boksera przed walką, którą uważa, że może wygrać.

– Wrócisz? – zapytała go Eleanor na podjeździe.

Scott spojrział na nią, na chłopca ze zdezorientowanym wzrokiem stojącego za jej plecami, na ganku, i zapytał:

– Czy jest tu w okolicy basen? Myślę, że powinienem nauczyć chłopca pływać.

Eleanor uśmiechnęła się i odpowiedziała:

– Tak. – W pobliżu był basen.

W charakteryzatorni Scott czekał na Billa. Stwierdzenie, że się denerwował, byłoby nieodpowiednie.

Jak mógłby mu zagrozić jeden człowiek, skoro zdołał stawić czoła całemu oceanowi? Więc Scott po prostu zamknął oczy i czekał na wezwanie.

– Przede wszystkim – wyjaśnia Bill, kiedy siedzą naprzeciw siebie i filmują ich kamery – chcę panu podziękować za spotkanie ze mną dzisiaj.

Słowa brzmią życzliwie, ale oczy Billa patrzą wrogo, więc Scott nie odpowiada.

– To były długie trzy tygodnie – stwierdza Bill. – Ja nie... nie jestem pewien, ile kto z nas spał. Osobiście spędziłem na wizji ponad sto godzin w poszukiwaniu odpowiedzi. Prawdy.

– Mam patrzeć na pana czy do kamery? – wchodzi mu w słowo Scott.

– Na mnie. To rozmowa, jak każda inna.

– Cóż... – odpowiada Scott. – Odbyłem w życiu wiele rozmów i żadna z nich nie przypominała obecnej.

– Nie mam na myśli treści – wyjaśnia Bill. – Chodzi mi o rozmowę dwóch osób.

– Tyle że to wywiad. Cholerny wywiad to nie rozmowa.

Bill pochyla się do przodu na krześle.

– Wygląda pan na zdenerwowanego.

– Czyżby? Nie czuję się zdenerwowany. Chciałbym jedynie mieć jasność w kwestii zasad.

– W takim razie, jeśli nie jest pan zdenerwowany, to jak się pan czuje? Chcę, by widzowie przed telewizorami byli w stanie odczytać wyraz pana twarzy.

Scott się zastanawia.

– To dziwne – mówi. – Czasem słyszy się słowo „lunatykowanie”. Słyszymy o ludziach, którzy idą przez życie jak we śnie, a potem coś ich budzi. Ja nie... nie tak się czuję. Może przeciwnie.

Obserwuje oczy Billa. Najwyraźniej nie wie on jeszcze, co sądzić na temat Scotta, jak go przyprzeć do muru.

– Mam wrażenie, że cała ta historia to rodzaj... snu – kontynuuje Scott. On też dąży do prawdy. A może tylko on. – Jakbym zasnął w samolocie i nadal czekał, żeby się obudzić.

– Chce pan powiedzieć, że to nierealne – sugeruje Bill.

Scott się zastanawia.

– Nie. To bardzo realne. Może nawet zbyt realne. To, jak w dzisiejszych czasach ludzie traktują się nawzajem. Nie chodzi o to, że myślałem, że mieszkamy na planecie uścisków, ale...

Bill nachyla się, niezainteresowany rozmową o manierach.

– Chciałbym porozmawiać o tym, jak znalazł się pan na pokładzie samolotu.

– Zostałem zaproszony.

– Przez kogo?

– Przez Maggie.

– Panią Bateman.

– Tak. Powiedziała, żeby nazywać ją Maggie, więc nazywam ją Maggie. Poznaliśmy się na Vineyard zeszłego lata. Chyba w czerwcu. Chodziliśmy do tej samej kawiarni i widywałem ją na targu z JJ-em i córką.

– Była w pana pracowni.

– Raz. Pracuję za domem, w starej szopie. Maggie powiedziała, że ma robotników

w kuchni i potrzebuje zajęcia na popołudnie. Przyszła z dziećmi.

– Mówi pan, że podczas jedyne go spotkania z panią Bateman poza targiem czy kawiarnią towarzyszyły jej dzieci.

– Tak.

Bill krzywi się, aby pokazać, że uważa to za bzdury.

– Niektóre z pana prac można by uznać za niepokojące, nie sądzi pan?

– Dla dzieci? – pyta Scott. – Chyba tak. Ale chłopiec spał, a Rachel chciała je obejrzeć.

– Więc jej pan pozwolił.

– Nie, matka jej pozwoliła. Nie miałem zamiaru... I to nie... Dla wyjaśnienia, obrazy nie są dosłowne. To tylko... próba.

– Co to znaczy?

Scott się zastanawia.

– Czym jest ten świat? – odpowiada. – Dlaczego pewne sytuacje się zdarzają? Czy coś znaczą? To wszystko, co robię. Próbuję zrozumieć. Więc oprowadziłem je, Maggie i Rachel, i rozmawialiśmy.

Bill uśmiecha się szyderczo. Scott widzi, że sztuka to ostatnia rzecz, o jakiej Bill chce rozmawiać. W kakofonii czasu Scott siedzi w studiu telewizyjnym, ale część niego nadal jest w samochodzie i jedzie do miasta. Na mokrej drodze widać czerwone smugi tylnych świateł. Jednocześnie siedzi w samolocie i próbuje się zorientować w sytuacji, a jeszcze kilka minut temu biegł na przystanek autobusowy.

– Żył pan jednak do niej jakieś uczucia – stwierdza Bill. – Do pani Bateman.

– Co ma pan na myśli, mówiąc „uczucia”? Była miłą osobą i kochała swoje dzieci.

– Ale nie męża.

– Tego nie wiem. Takie sprawiała wrażenie. Nigdy nie byłem żonaty, więc cóż mogę wiedzieć. Nigdy tego nie... Wydawała się bardzo swobodna, jako osoba. Dobrze się bawili, ona i jej dzieci. Cały czas się śmiali. David chyba dużo pracował, ale ciągle o nim mówili, opowiadali o rzeczach, które zrobią, kiedy tata przyleci. – Zastanawia się chwilę. – Wydawała się szczęśliwa.

Gus jedzie autostradą Long Island, kiedy dzwoni telefon. Naprawiono rejestrator rozmów. Urządzenie doznało uszkodzeń, ale wpłynęło to jedynie na jakość dźwięku, a nie na zawartość nagrania. Zespół ma zamiar je odsłuchać. Pytają, czy poczekać na Gusa.

– Nie – odpowiada Gus. – Musimy wiedzieć, co się stało. Przyłóż telefon do głośnika.

Ekipa spieszy się, by wykonać polecenie. Gus siedzi w swoim brązowym służbowym samochodzie i posuwa się powoli w ruchu ulicznym. Jest w połowie wyspy, minął

lotnisko LaGuardia, ale nie dotarł jeszcze do lotniska JFK. Przez głośniki samochodowe słyszy krzątanię, kiedy jego zespół przygotowuje się do odtworzenia taśmy. To zapis innego czasu, jak naczynie, w którym znajduje się ostatnie tchnienie umierającego. Nagrane działania i głosy nadal są tajemnicą, ale za chwilę ujrzą światło dzienne. Ostatnia niewiadoma stanie się wiadoma. I wszystko, co może zostać wyjaśnione, będzie jasne. Pozostałe tajemnice przejdą do historii.

Gus oddycha przefiltrowanym powietrzem. Deszcz kropi na przednią szybę samochodu.

Zaczyna się odtwarzanie.

Najpierw słycać dwa głosy w kokpicie. Kapitan, James Melody, ma brytyjski akcent, natomiast Charles Busch, drugi pilot, mówi z teksaskim akcentem.

– Lista kontrolna, hamulce? – odzywa się Melody.

– Sprawdzone – odpowiada po chwili Busch.

– Klapy?

– Dziesięć, dziesięć, na zielono.

– Amortyzator zbaczania?

– Sprawdzony.

– Lekki boczny wiatr – informuje Melody. – Pamiętajmy o tym. – Przyrządy pokładowe i sygnalizator pracy urządzeń?

– Hm, tak. Żadnych ostrzeżeń.

– W porządku. Kontrola skończona.

Przed Gusem ruch się przersedza. Rozpędza forda do czterdziestu kilometrów na godzinę, a potem znowu zwalnia, gdy sznur samochodów z przodu hamuje. Zjechałby na pobocze, żeby posłuchać, ale jedzie środkowym pasem, a w zasięgu wzroku nie ma żadnych zjazdów.

Następnie słycać głos Melody'ego.

– Kontrola lotów Vineyard, tu GullWing sześć trzynaście. Gotowy do startu.

Przerwa, a następnie słycać przytłumiony przez radio głos.

– GullWing sześć trzynaście, macie pozwolenie na start.

– SRS¹³ rozbieg. – Melody wydaje komendę Buschowi. Gusa dobiegają mechaniczne odgłosy z taśmy. Trudno mu je zidentyfikować, słuchając przez telefon, ale wie, że technicy w laboratorium już zgadują, które dźwięki to ruchy wolantem, a które oznaczają zwiększanie obrotów silnika.

– Osiemdziesiąt węzłów. – Busch?

Kolejne odgłosy z taśmy, gdy samolot odrywa się od ziemi.

– Odpowiednia prędkość wznoszenia – oznajmia Melody. – Podwozie w górę, proszę.

Przez radio zgłasza się kontrola lotów.

– GullWing sześć trzynaście, widzę cię. Skręć w lewo. Przeleć nad mostem. Zwiększ wysokość. Skontaktuj się z odlotami w Teterboro. Dobrej nocy.

– GullWing sześć trzynaście, dziękuję bardzo – odpowiada Melody.

– Podwozie w górę – melduje Busch.

Samolot jest teraz w powietrzu, w drodze do New Jersey. W normalnych warunkach to dwudziestodwujęciominutowy lot. Krótszy niż krótka piłka. Nastąpi sześciominutowa cisza, zanim znajdą się w zasięgu kontroli lotów Teterboro.

Pukanie do drzwi.

– Kapitanie – odzywa się damski głos. Stewardesa Emma Lightner. – Czy coś panu podać?

– Nie – odpowiada Melody.

– A co ze mną? – pyta drugi pilot.

Pauza. Co się wówczas działo? Jakie spojrzenia wymieniali?

– Niczego mu nie trzeba – mówi Melody. – To krótki lot. Skoncentrujmy się.

Bill Cunningham pochyla się do przodu na krześle. Znajdują się na planie zaprojektowanym do oglądania pod jednym kątem. Oznacza to, że tyły ścian za prowadzącym są niepomalowane, jak na planie filmowym zbudowanym do kręcenia *Strefy mroku*, gdzie ranny człowiek powoli zdaje sobie sprawę, że to, co wydaje mu się prawdziwe, w rzeczywistości jest teatrem.

– A podczas lotu? – odzywa się Bill. – Proszę opisać, co się działo.

Scott kiwa głową. Nie wie dlaczego, ale zadziwia go fakt, że wywiad zmierza w tym kierunku i zaczyna dotyczyć katastrofy, tego, co się rzeczywiście wydarzyło. Zakładał, że do tego czasu będą się już okładać.

– Cóż – zaczyna. – Spóźniłem się. Taksówka nie przyjechała, więc musiałem pojechać autobusem. Dopóki nie dotarliśmy na pas startowy, zakładałem, że przegapiłem lot i zdążę jedynie zobaczyć unoszące się tylne światła. Ale tak się nie stało, poczekali na mnie. Właściwie nie czekali, chowali już schody, kiedy ja... Ale nie odlecieli. Więc wsiadłem na pokład, wszyscy już byli... Niektórzy siedzieli na miejscach, Maggie i jej dzieci, pani Kipling. David i pan Kipling chyba nadal stali. Stewardesa zaproponowała mi kieliszek wina. Nigdy wcześniej nie leciałem prywatnym samolotem. Potem kapitan powiedział: „Proszę zająć miejsca” i tak zrobiliśmy. – Zdążył już przenieść wzrok z Billa i wpatruje się teraz prosto w jedną z lamp, przypomina sobie. – W telewizji leciał mecz, grał Boston. To była chyba siódma runda. Odgłosy gry, wypowiedzi komentatora słychać było cały czas. Pamiętam, że pani Kipling siedziała obok mnie i trochę rozmawialiśmy. Chłopiec,

JJ, spał. Rachel przeglądała swojego iPhone'a, może wybierała piosenki. Miała na uszach słuchawki. A potem wystartowaliśmy.

Gus w żółtym tempie mija lotnisko JFK, a nad głową huczą mu przylatujące i odlatujące samoloty. Ma podniesione szyby i wyłączoną klimatyzację, by lepiej słyszeć, chociaż na zewnątrz są trzydzieści dwa stopnie. Poci się, strużki płyną mu po bokach i plecach, ale nie zauważa tego. Słyszy głos Jamesa Melody'ego.

– Mam żółte światło.

Pauza. Gus słyszy odgłos stukania. Ponownie odzywa się Melody.

– Słyszałeś mnie? Mam żółte światło.

– Och – odpowiada Busch. – Niech... Mam. To chyba żarówka.

– Zrób notatkę dla serwisantów – wydaje polecenie Melody. Potem ma miejsce seria niemożliwych do zidentyfikowania dźwięków, a następnie Melody wykrzykuje: – *Merde*. Poczekaj. Muszę...

– Kapitanie?

– Przejmij stery. Znów mi, cholera, krew leci z nosa. Muszę... Idę się umyć.

Słysząc odgłosy. Gus zakłada, że kapitan wstaje i podchodzi do drzwi. W tym samym momencie Busch oznajmia:

– Przyjąłem. Przejmuję stery.

Drzwi otwierają się i zamykają. Teraz Busch jest w kokpicie sam.

Scott mówi i słucha swojego głosu zarówno w tej chwili, jak i poza nią.

– Wyglądałem przez okno i cały czas myślałem, jakie to nierealne wrażenie. Czasami czujemy się obco, gdy znajdujemy się poza granicami naszego doświadczenia, gdy robimy coś, co wydaje się działaniem innej osoby, jakbyśmy jakimś cudem teleportowali się do życia kogoś innego.

– Jaki był pierwszy sygnał, że coś jest nie w porządku? – pyta Bill. – Pana zdaniem.

Scott robi wdech i próbuje zrozumieć logikę wydarzenia.

– To trudne, ponieważ najpierw były owacje, a potem krzyki.

– Owacje?

– Z powodu meczu. David i Kipling byli... Na ekranie działo się coś, co ich... Dworkin i najdłuższy okres na pozycji pałkarza. Mieli już wtedy rozpięte pasy, pamiętam, że obaj wstali, a potem... sam nie wiem... samolot opadł i musieli gramolić się na swoje miejsca.

– Powiedział pan wcześniej, podczas przesłuchania przez śledczych, że pański pas był

odpięty.

– Tak. To było... to było naprawdę głupie. Miałem notes, szkicownik. Kiedy samolot zniżył lot, ołówek wypadł mi z dłoni i... rozpiąłem pas i poszedłem po niego.

– Co ocaliło panu życie.

– Tak, myślę, że to prawda. Ale w tamtym momencie ludzie krzyczeli i słychać było... odgłos uderzania. A potem...

Scott wzrusza ramionami, jakby chciał powiedzieć: „Tylko tyle pamiętam”.

Siedzący naprzeciw Bill kiwa głową.

– A więc to pańska historia.

– Moja historia?

– Pańska wersja wydarzeń.

– To pamiętam.

– Upuścił pan ołówek, rozpiął pas, żeby go podnieść, i dlatego pan przeżył.

– Nie mam pojęcia, dlaczego przeżyłem, jeśli to w ogóle... Jeśli istnieje jakaś przyczyna, a nie po prostu, wie pan, prawa fizyki.

– Fizyki.

– Tak. Siły fizyczne, które uniosły mnie, wyrzuciły z samolotu i które pozwoliły chłopcu ocaleć.

Bill milczy, jakby mówił: „Mógłbym drążyć dalej, ale nie będę”.

– Porozmawiajmy o pana obrazach.

W każdym horrorze jest moment, który opiera się na ciszy. Bohater wychodzi z pokoju i zamiast podążać za nim, kamera pozostaje nieruchoma, skupiona na niczym, może na niewinnym wejściu lub łóżku dziecięcym. Widz siedzi i ogląda pustą przestrzeń, słucha ciszy, i sam fakt, że pokój jest pusty i jest w nim cicho, wywołuje rosnące poczucie przerażenia. Dlaczego czekamy? Co się wydarzy? Co zobaczymy? Wtedy, z rosnącym lękiem, przeszukujemy pokój, aby znaleźć coś nietypowego, wytężamy słuch, aby wbrew ciszy usłyszeć szepty ukryte pod tym, co zwyczajne. To właśnie zwyczajność pokoju potęguje jego przerażający potencjał, który Zygmunt Freud nazywał „niesamowitością”. Ponieważ prawdziwe przerażenie nie pochodzi z dzikości nieoczekiwanego, ale z deformacji codziennych przedmiotów i przestrzeni. Gdy bierzemy rzecz widzianą każdego dnia, którą z założenia uważamy za normalną, na przykład pokój dziecienny, i przekształcamy go w coś złowrogiego, niewiarygodnego, podważamy samą konstrukcję życia.

I tak wpatrujemy się w normalność, kamera stoi bez ruchu, niezachwiana. W napięciu owego spojrzenia bez mrugnięcia nasza wyobraźnia wytwarza poczucie lęku, które nie ma żadnego logicznego wytłumaczenia.

To właśnie uczucie ogarnia Gusa Franklina, kiedy siedzi w swoim samochodzie na autostradzie, otoczony podróżnymi zmierzającymi do punktów docelowych na wschodzie, ludźmi wracającymi z pracy, rodzinami jadącymi ze szkoły do domu albo na plażę na późnopołudniową przygodę. W ciszy daje się słyszeć trzask, syk wypełniający klimatyzowane powietrze. To odgłos maszyny, niezrozumiały, ale niemożliwy do zignorowania.

Gus wyciąga rękę i podkręca głośność, a syk staje się ogłuszający.

I wtedy słyszy szept, szeptane w kółko pojedyncze słowo.

– Suka.

– Nie mówmy o moich obrazach – sprzeciwia się Scott.

– Dlaczego nie? Co pan ukrywa?

– Nic nie... To moje obrazy. Z definicji wszystko, co z nimi związane, jest widoczne.

– Tyle że je pan ukrywa.

– Fakt, że jeszcze ich nie pokazałem, nie oznacza, że je ukrywam. Są teraz w posiadaniu FBI. Mam w domu ich slajdy. Kilka osób je widziało, osoby, którym ufam. Ale prawda jest taka, że moje obrazy są tutaj bez znaczenia.

– Chciałbym to wyjaśnić. Mężczyzna, który maluje sceny katastrof, prawdziwych katastrof lotniczych, przeżywa taką katastrofę. I co mamy sobie pomyśleć? Że to tylko zbieg okoliczności?

– Nie wiem. Wszechświat pełen jest spraw, które nie mają sensu. Przypadkowe zbiegi okoliczności. Istnieje model statystyczny, według którego można wyliczyć prawdopodobieństwo mojego uczestnictwa w katastrofie samolotu, wypadku promu czy wykolejeniu się pociągu. Takie rzeczy zdarzają się codziennie i nikt z nas nie jest na nie odporny. Po prostu wylosowano mój numerek, to wszystko.

– Rozmawiałem z marszandem – informuje Bill. – Powiedział, że pańskie prace są teraz warte setki tysięcy dolarów.

– Żaden obraz nie został sprzedany. To teoretyczne kwoty. Kiedy ostatni raz sprawdzałem stan konta bankowego, było na nim sześćset dolarów.

– I dlatego wprowadził się pan do Eleanor i jej siostrzeńca?

– Dlaczego wprowadziłem się do Eleanor i jej siostrzeńca?

– Dla pieniędzy. Ponieważ chłopiec jest teraz wart niemal sto milionów dolarów.

Scott patrzy na Billa.

– Czy to rzeczywiście pytanie?

– A pewnie.

– Po pierwsze, nie wprowadziłem się.

- Nie to powiedział mi mąż Eleanor. W zasadzie wyrzuciła go z domu.
- Fakt, że dwa wydarzenia dzieją się jedno po drugim, nie znaczy, że istnieje pomiędzy nimi związek przyczynowo-skutkowy.
- Nie chodziłem do jednej ze szkół Ligi Bluszczowej, więc będzie pan musiał mi to wyjaśnić.
- Mówię, że fakt, iż Eleanor i Doug rozeszli się i są w separacji, jeśli rzeczywiście to właśnie się zdarzyło, nie ma nic wspólnego z tym, że ja przyjechałem z wizytą.

Bill prostuje się na krześle.

- Powiem panu, co widzę – oznajmia. – Widzę przegranego malarza, pijaka, który dryfuje sobie dziesięć lat po okresie świetności i wtedy życie podsuwa mu szansę.
- Samolot się rozbił, zginęli ludzie.
- Staje się centrum uwagi, jest bohaterem i nagle wszyscy chcą dostać kawałek jego osoby. Zaczyna pukać dwudziestoparoletnią dziedziczkę. Nagle jego obrazy stają się gorącym towarem...
- Nikt nie puka...
- A potem, nie wiem, może jest chciwy i myśli: mam dobrą relację z dzieciakiem, który wart jest fortunę, a on ma piękną, bardzo atrakcyjną ciotkę i wujka frajera, więc mogę wkroczyć jako gorący towar, jakim się stałem, i przejąć wszystko. Dostać kawałek tego, co mają.

Scott kiwa głową, zdumiony.

- Rety – stwierdza. – W jakim okropnym świecie pan żyje.
- To się nazywa prawdziwy świat.
- W porządku. W pana wypowiedzi jest kilkanaście błędów. Chce pan, bym omówił je po kolei, czy...
- Więc zaprzecza pan, że spał z Laylą Mueller.
- Czy uprawiam z nią seks? Nie. Pozwoliła mi zamieszkać w nieużywanym apartamencie.

– A potem zdjęła ubranie i położyła się z panem do łóżka.

Scott wpatruje się w Billa. Skąd on to wie? Zgaduje?

- Nie uprawiałem z nikim seksu od pięciu lat – mówi.
- Nie o to pytałem. Pytałem, czy rozebrała się i wskoczyła z panem do łóżka.

Scott wzdycha. Tylko siebie może winić za to, że znalazł się w tej sytuacji.

- Po prostu nie rozumiem, dlaczego to takie ważne.
- Proszę odpowiedzieć na pytanie.
- Nie – protestuje Scott. – Proszę mi powiedzieć, dlaczego to ważne, że dorosła

kobieta się mną interesuje. Proszę mi powiedzieć, dlaczego warto ujawniać to, co zrobiła, kiedy była w swoim domu, i o czym wolałaby nie mówić.

– Więc się pan przyznaje?

– Nie. Pytam, co to zmienia. Czy to wyjaśnia, dlaczego samolot się rozbił? Czy pomaga nam poradzić sobie z rozpaczą? Czy to coś, co chce pan wiedzieć tylko dlatego, że chce pan to wiedzieć?

– Próbuję tylko ustalić, jak wielkim jest pan kłamcą.

– Powiedziałbym, że przeciętnym – odpowiada Scott. – Ale nie kłamię w ważnych sprawach. To element mojego życia w trzeźwości, przysięga, którą złożyłem. Staram się żyć tak uczciwie, jak to możliwe.

– Proszę więc odpowiedzieć na pytanie.

– Nie, ponieważ to nie pańska sprawa. Nie staram się być dupkiem. Pytam wprost, jakie to ma znaczenie. I jeśli jest pan w stanie przekonać mnie, że moje życie osobiste po katastrofie ma jakikolwiek związek z wydarzeniami, które do niej doprowadziły i to nie jest tylko pasożytnicze, zachłanne wykorzystywanie, wtedy opowiem panu o sobie wszystko. Z przyjemnością.

Bill przygląda się Scottowi przez dłuższą chwilę ze zdezorientowanym wyrazem twarzy.

A potem puszcza nagranie.

– Suka. Ta cholerna suka.

Gus zdaje sobie sprawę, że wstrzymuje oddech. Drugi pilot, Charles Busch, jest sam w kokpicie i mamrocze pod nosem te słowa.

A potem głośniej mówi:

– Nie.

I wyłącza autopilota.

CHARLES BUSCH

31 grudnia 1984 – 23 sierpnia 2015

Był czyimś siostrzeńcem. Tak ludzie mówili za jego plecami. Jakby w inny sposób nigdy nie zdołał zdobyć pracy. Jakby był próżniakiem, lewusem. Urodzony w ostatnich minutach sylwestra 1984 roku, Charlie Busch nigdy nie zdołał pozbyć się uczucia, że o włos ominęło go coś ważnego. W przypadku narodzin ominęła go przyszłość. Zaczął życie jako wspomnienie z zeszłego roku i jego sytuacja nigdy zdecydowanie się nie poprawiła.

Jako dziecko uwielbiał grać. Nie był dobrym uczniem. Lubił nawet matematykę, ale kompletnie nie interesowało go czytanie ani pozostałe przedmioty ścisłe. Dorastał w Odessie w stanie Teksas i miał to samo marzenie co wszyscy inni chłopcy. Chciał być Rogerem Staubachem albo chociaż Nolanem Ryanem. Szkolny sport miał w sobie coś czystego, co trafiało do serca, podkręcanie piłki baseballowej i zmyłkowe zagrywki za linią natarcia w futbolu amerykańskim. Sprinterskie treningi interwałowe, ćwiczenia na łapanie piłki jak aligator. Niskie natarcie kamikadze na ciężkie sanie do ćwiczeń bloku. Boisko futbolowe, gdzie poprzez schematy i powtarzalność chłopcy w pocie czoła stają się mężczyznami. Steve Hammond i Billy Rascal. Scab Dunaway i ten ogromny Meksykanin z dłońmi wielkości steka z antrykotu. Jak on się nazywał? Wysoka piłka ciśnięta w bezchmurny wiosenny dzień. Ochraniacze i kaski zakładane od niechcenia w szatni, śmierdzącej potem i feromonami gorącego nastoletniego zapachu, mówiącego „Walcz albo zjeżdżaj”. Natłuszczona rękawica pomiędzy materacem a stelażem ze sprężynami i fakt, że zawsze lepiej się spało, gdy tam była. Piłka opleciona siecią skórzanych kciuków. Chłopcy na skraju tego, co zaraz nastąpi, mocujący się w ziemi, używający głów, by utorować sobie przejście. To uczucie, gdy biegniesz bez końca i nigdy się nie męczysz, stoisz w zakurzonej łoży dla zawodników i gadasz o bzdurach z rezerwowymi miotaczami, a kumpel Chris Hardwick muczy jak krowa. Idealny wykop z ręki i nielegalny blok przeciwnika. Pierwotna, mała radość wydłubywania starym patykiem błota z butów z korkami, grupka chłopaków siedzących na ławce, plujących pestkami słonecznika i grzebiących zawzięcie w gumowanych podszewkach. Średnia piłka i zmiana na leworęcznego miotacza. Nadzieja. Zawsze nadzieja. I wrażenie, gdy jesteś młody, że każdy mecz to powód, dla którego świat istnieje. Zagrania *pickoff* i *squeeze play*. I upał. Zawsze upał, jak kolano wbite w plecy, jak but na karku. Picie litrami napoju izotonicznego Gatorade i żucie kostek lodu jak umyślowo chorzy, na ugiętych kolanach, wciągający wiatr w południowym słońcu. Poczucie idealnej spirali, kiedy piłka dociera do rąk. Chłopaki w kabinach prysznicowych, śmiejący się nawzajem ze swoich wacków, oceniający cheerleaderki i sikający na stopy koleśi obok. Piłka rzucona w kierunku głowy pałkarza i szybka piłka zmuszająca pałkarza do odsunięcia się z płyty. Uczucie, gdy zaliczasz pierwszą bazę i pędzisz do drugiej ze wzrokiem utkwionym w polu wewnętrznym, rzucasz się głową naprzód, w myślach już bezpieczny. Panika, gdy przeciwnik chce cię wyautować, i widok świeżych białych kredowych linii błyszczących

jak błyskawice na trawie w kolorze głębokiej, niemożliwej zieleni. To kolor nieba. I jasne światła piątkowego wieczoru, idealne, alabastrowe światła, i krzyk tłumów. Prostota gry, zawsze do przodu, nigdy w tył. Rzucasz piłkę, odbijasz piłkę, łapiesz piłkę. I wrażenie, że po skończeniu szkoły nic już nie będzie takie samo.

Był czyimś siostrzeńcem. Wujka Logana, brata mamy. Logana Bircha, senatora szóstej kadencji ze wspaniałego stanu Teksas, przyjaciela ropy i bydła, długoletniego przewodniczącego Komisji Budżetu i Planowania. Charlie znał go głównie jako smakosza whisky z żyta z ufryzowanymi włosami. To dla wujka Logana mama wyciągała eleganckie talerze. W każde Boże Narodzenie jechali do jego rezydencji w Dallas. Charlie pamięta, jak cała rodzina ubierała się w takie same świąteczne swetry. Wujek Logan kazał Charliemu pokazywać mięśnie, a potem mocno ścisnął jego ramię.

– Trzeba chłopaka wzmocnić – mówił jego matce. Ojciec Charliego zmarł kilka lat wcześniej, kiedy chłopak miał sześć lat. Pewnego wieczoru, gdy wracał z pracy do domu, uderzył w niego wielki tir. Jego samochód koziółkował sześć razy. Na pogrzebie nie otwarto trumny i ojca Charliego pochowano na ładnym cmentarzu. Wujek Logan za wszystko zapłacił.

Nawet w szkole średniej pomogło mu to, że był siostrzeńcem Logana Bircha. Grał na prawym polu w drużynie, mimo że nie potrafił uderzać tak dobrze jak inni chłopcy, nie potrafił ukraść bazy, by ocalić życie. To specjalne traktowanie odbywało się bez słów. W zasadzie przez pierwsze trzynaście lat życia Charlie nie miał pojęcia, że otrzymywał więcej, niż powinien. Myślał, że trenerzy doceniali jego wysiłki. Ale w szkole średniej to się zmieniło. To w szatni przebudził się i dostrzegł opartą na nepotyzmie konspirację i mentalność chłopaków w ochraniaczach, którzy otoczyli go pod prysznicem jak wataha wilków. W końcu sport to merytokracja. Zaczynasz, ponieważ umiesz odbijać, ponieważ umiesz biegać, rzucać i łapać. W Odessie drużyna była znana ze swej szybkości i precyzji. Co roku jej weterani otrzymywali stypendia do dobrych college'ów i studiowali za darmo. W zachodnim Teksasie liczyła się rywalizacja sportowa. Na trawnikach przed domami wystawiano tabliczki dopingujące drużyny, a w dni meczów biura i firmy zamykano wcześniej. Ludzie traktowali sport poważnie. Dlatego taki gracz jak Charlie, o średnich umiejętnościach w każdej z dyscyplin sportowych, zupełnie nie pasował.

Kiedy przyszli po niego pierwszy raz, miał piętnaście lat. Był chudym pierwszorocznikiem, który został wybrany do oddania pierwszego strzału w meczu, po tym jak spudłował, strzelając na bramkę z trzydziestu sześciu metrów. Sześciu zwalistych łobuzów z rancza, nagich i spoconych, wepchnęło go do kabiny prysznicowej.

– Uważaj, gnoju – rozkazali mu.

Kuląc się w rogu, Charlie czuł ich pot, piżmowy smród sześciu nastoletnich graczy drugiej linii obrony. Każdy z nich ważył przynajmniej sto dziesięć kilogramów i właśnie spędził trzy godziny, gotując się w sierpniowym słońcu. Chłopak pochylił się i zwymiotował im na stopy. Porządnie go za to sprali, na dodatek oklepując po całym ciele swoimi wackami. W końcu, zwinięty na podłodze, wzdrygnął się na głos Levona Daviesa, który syknął mu w ucho:

– Piśnij słówko i, kurwa, nie żyjesz.

To wujek Logan pociągnął za parę sznurków, żeby Charlie dostał się do programu szkoleniowego dla pilotów Gwardii Narodowej. Okazało się, że nie był złym pilotem, chociaż zamierał w niektórych sytuacjach zagrożenia. Po Gwardii Narodowej, kiedy Charlie obijał się po Teksasie, nie potrafiąc utrzymać posady, to Logan porozmawiał ze znajomym w GullWing i załatwił siostrzeńcowi rozmowę o pracę. I chociaż nadal nie znalazł dziedziny, w której był faktycznie dobry, Charlie Busch miał specyficzny błysk w oku i kowbojską pewność siebie, które działały na kobiety. Potrafił oczarować wszystkich w pokoju i świetnie prezentował się w garniturze, więc kiedy usiadł z dyrektorem działu zasobów ludzkich linii lotniczych, wyglądał na idealnego członka szybko rosnącej stajni młodego i atrakcyjnego personelu GullWing.

Zaczął pracę jako drugi pilot. Było to we wrześniu 2013 roku. Uwielbiał luksusowe samoloty i klientów, których obsługiwał, miliarderów i głowy państw. Dzięki nim czuł się ważny. Ale najbardziej podobały mu się piękne kociaki z najwyższej półki pracujące w kabinie. „A niech to”, pomyślał, kiedy pierwszy raz zobaczył załogę, z którą miał lecieć. Cztery ślicznotki z różnych stron świata, jedna bardziej seksowna od drugiej.

– Drogie panie – odezwał się do nich, opuszczając lotnicze okulary przeciwsłoneczne i produkując swój najefektowniejszy teksaski uśmiech. Dziewczyny nawet nie mrugnęły. Okazało się, że nie spijają z drugimi pilotami. Oczywiście obowiązywała polityka firmy, ale tu chodziło o coś więcej. Te kobiety były wyrefinowane i bywałe w świecie. Wiele z nich znało pięć języków obcych. Były aniołami, które śmiertelnicy mogli podziwiać, ale nie dotknąć.

Lot za lotem Charlie próbował swoich metod i raz za razem spotykał się z odrzuceniem. Okazało się, że nawet wujek nie mógł załatwić mu seksu ze stewardesą GullWing.

Pracował już w firmie od ośmiu miesięcy, kiedy poznał Emmę. Od razu zauważył, że różni się od innych stewardes, mocniej stąpa po ziemi. Miała niewielką przerwę między przednimi zębami. Czasami podczas lotu przyłapywał ją w kuchni, jak nucila pod nosem. Rumieniła się, zauważywszy, że Charlie stoi obok. Nie była najseksowniejszą dziewczyną w zespole, ale wydawała się dostępna. Charlie był jak lew tropiący stado antylop, czekał, aż najsłabsza oddali się od reszty.

Emma opowiedziała mu, że jej ojciec latał w powietrznych siłach zbrojnych, więc Charlie rozdmuchał swoje doświadczenie w Gwardii Narodowej i oznajmił, że spędził rok w Iraku, latając F-16. Widział, że jest córeczką tatusia. Charlie miał dwadzieścia dziewięć lat, jego ojciec zmarł, gdy chłopak miał sześć. Jedynym wzorem do naśladowania w kwestii męskości był dla niego smakosz żytnej whisky z ufryzowanymi włosami, który przy każdym spotkaniu kazał mu napinać mięśnie. Charlie wiedział, że nie jest tak bystry i utalentowany jak inni faceci. Dlatego musiał wypracować taktyki lawirowania. Już we wczesnych latach zdał sobie sprawę, że nie musi być pewny siebie, wystarczy, że będzie sprawiał takie wrażenie. Nigdy nie był dobry w odbijaniu szybkich piłek, więc nauczył się zdobywać bazy za darmo. Nie umiał mocno wykopywać piłki, więc wyćwiczył lekkie kopnięcie, które mogą przejąć koledzy z drużyny. Podczas lekcji nauczył się żartować,

aby uniknąć odpowiedzi na trudne pytania. Nauczył się pieprzyć głupoty na boisku baseballowym i przechwalać się w Gwardii Narodowej. Uznał, że mundur robi z człowieka gracza, tak jak noszenie broni – żołnierza. Może dostał się do lotnictwa dzięki nepotyzmowi, ale teraz nikt nie mógł zaprzeczyć, że jego życiorys jest prawdziwy.

Kto jednak kiedykolwiek kochał Charlesa Nathaniela Buscha za to, kim jest? Był czymś siostrzeńcem, symulantem, sportowcem reprezentacji szkolnej, który został pilotem. Na dobrą sprawę jego życie przypominało historię sukcesu, więc tak je określał, jednak w głębi duszy znał prawdę. Był oszustem. I ta świadomość sprawiła, że stał się zgorzkniały. Dlatego stał się podły.

Załapał się na lot czarterowy GullWing z Heathrow i wylądował w Nowym Jorku o trzeciej po południu w niedzielę, dwudziestego trzeciego sierpnia. Minęło pół roku od momentu, gdy Emma z nim zerwała, powiedziała, żeby przestał do niej dzwonić, przychodzić do jej mieszkania i nie próbował załapać się na te same loty co ona. Miała w planach rutynowy lot na Martha's Vineyard i z powrotem i Charlie uznał, że gdyby mógł spędzić z nią na osobności choćby kilka minut, zdołałby jej wszystko wytłumaczyć. Jak bardzo ją kocha. Jak bardzo jej potrzebuje. I jak przykro mu z powodu tego, co się stało. Właściwie z powodu wszystkiego. Tego, jak ją traktował, co powiedział. Gdyby tylko mógł wytłumaczyć. Gdyby tylko zdołała dostrzec, że w głębi duszy nie jest złym człowiekiem. Nie naprawdę. Od tak dawna szedł przez życie, udając, że teraz zżerał go strach przed tym, że zostanie przyłapany. A wszystkie wady, tupet, zazdrość, małostkowość były produktem ubocznym takiej postawy. Sami spróbujcie przez dwadzieścia lat udawać, że jesteście kimś innym, i zobaczycie, jak to was zmieni. Ale, mój Boże, Charlie nie chciał dłużej się bać. Nie z Emmą. Chciał, by go zobaczyła. Prawdziwego Charliego. By go poznała. Czyż nie zasługiwał na to choćby raz w życiu? Na bycie kochanym za to, kim jest naprawdę, a nie kogo udawał?

Myśl o Londynie, kiedy widział Emmę, była jak ukąszenie węża. Jad rozlewał się po jego żyłach, a instynktowną reakcją, gdy tracił grunt pod nogami, był atak, zmniejszenie odległości między... Kim? Przeciwnikiem? Ofiarą? Sam nie wiedział. To było tylko odczucie, rodzaj paniki, w obliczu której przybierał pozę, wypinał pierś i prezentował swoją najlepszą, teksaską buńczuczność. Już dawno uznał, że gdy zbytnio mu zależy, jedynym wyjściem jest zachowywanie się tak, jakby miał wszystko gdzieś, w kwestii szkoły, pracy i miłości.

Metoda okazywała się skuteczna wystarczająco często, by takie zachowanie ugruntowało się w nim. Kiedy zobaczył Emmę, gdy serce podskoczyło mu do gardła i poczuł się bezbronny i odkryty, tak właśnie się zachował: przybrał pozę ważniaka, skrytykował jej wagę, a potem całą noc chodził za nią jak szczeniak.

Peter Gaston z radością oddał Charliemu lot na Vineyard w zamian za kilka dodatkowych dni przerwy w Londynie. Spotkali się w piątek wieczorem i do świtu pili razem w SoHo, krążąc od baru do baru. Raczyli się wódką, rumem, ecstasą, odrobiną koki. Następny test na obecność narkotyków był dopiero za dwa tygodnie, a Peter znał gościa, który mógł im załatwić czysty mocz. Więc poszli na całego. Charlie zbierał się na

odwagę. Za każdym razem gdy widział Emmę, czuł, że serce mu pęka. Była taka piękna, taka urocza. A on spieprzył to po królewsku. Dlaczego powiedział jej, że przytyła kilka kilogramów? Dlaczego cały czas musiał być dupkiem? Kiedy w ręczniku wyszła z łazienki, chciał tylko ją przytulić, pocałować jej powieki, tak jak ona kiedyś całowała jego, poczuć na ciele jej puls, zaciągnąć się jej zapachem. Ale zamiast tego powiedział głupi, złośliwy żart.

Pomyślał o wyrazie jej twarzy, gdy oplótł dłońmi jej szyję i zacisnął. O tym, jak początkowy dreszcz seksualnego eksperymentu zmienił się najpierw w szok, a potem przerażenie. Czyżby naprawdę myślał, że to się jej spodoba? Że była taką dziewczyną? Spotkał je już, wytatuowane samobójczynie, które lubiły być karane za to, kim są, lubiły zadrapania i siniaki niebezpiecznej, zwierzęcej konfrontacji. Ale Emma była inna. Widział to w jej oczach, w sposobie bycia. Była normalna, była cywilem nieskażonym walką w okopach spieprzonego dzieciństwa. Dlatego właśnie wydała się mu tak dobrym wyborem, zdrowym posunięciem. Była Madonną, a nie dziwką. Kobieta, którą mógł poślubić, która mogła go ocalić. Więc dlaczego to zrobił? Dlaczego ją poddusił? Chyba tylko po to, by sprowadzić ją do swojego poziomu. Żeby dowiedziała się, że świat, w którym żyje, to nie bezpieczny, błyszczący lunapark.

Po tamtej nocy, gdy go zostawiła i przestała odbierać od niego telefony, zdarzały mu się trudne okresy. Dni pełne przerażenia i odrazy, kiedy leżał w łóżku od świtu do zmierzchu. W pracy jakoś się trzymał, startował i lądował na pozycji drugiego pilota. Lata ukrywania słabości nauczyły go udawania, nieważne, co działo się w środku. Ale podczas tych lotów czuł zwierzęce przyciąganie, iskrzący w sercu przewód pod napięciem, który chciał, by popchnął wolant i pikując, zrzucił samolot w zapomnienie. Czasami uczucie było tak silne, że musiał udawać, że ma sraczkę, i chować się w toalecie, gdzie siedział i oddychał w ciemności.

Emma. Jak jednorożec, jak mityczny klucz do szczęścia.

W londyńskim barze obserwował jej oczy, kącik ust. Czuł, że celowo na niego nie patrzy, że napina mięśnie pleców za każdym razem, gdy on zbyt głośno się odzywa, wymieniając z Gastonem dowcipy. Uznał, że Emma go nienawidzi, ale czyż nie tak właśnie traktujemy miłość, kiedy ból staje się nie do zniesienia?

Mógł to naprawić, odwrócić, wytłumaczyć wszystko i ugasić nienawiść odpowiednimi słowami, odpowiednimi uczuciami. Wypije jeszcze jednego drinka, a potem podejdzie do niej. Weźmie ją delikatnie za rękę, poprosi, żeby wyszli na zewnątrz na papierosa, i porozmawiają. Widział w głowie każde słowo, każdy ruch. Najpierw on będzie mówił, opowie jej wszystko, całą Historię Charliego, a ona będzie stała z ramionami splecionymi w obronnym geście. Potem zagłębi się w szczegóły, opowie jej o śmierci ojca, wychowaniu przez samotną matkę i o tym, jak w końcu opiekował się nim wujek, który bez jego wiedzy torował mu drogę, aby mógł bez wysiłku sunąć przez życie. Chociaż Charlie wcale tego nie chciał. Powie jej, że pragnął jedynie być oceniany za własne zalety, ale z czasem zaczął się bać, że najlepsze, co ma do zaoferowania, nie wystarczy. Więc poddał się i pozwolił, by wydarzenia działy się same. Ale już z tym skończył. Charlie Busch był gotowy zostać panem samego siebie. I chciał, żeby Emma była jego kobietą.

Widział w wyobraźni, jak słuchając go, Emma zacznie opuszczać ręce, podejdzie bliżej, a w końcu obejmie go mocno i pocałują się.

Wypił jeszcze jednego drinka 7&7, a do tego piwo. A potem, gdy w toalecie wciągał z Peterem kolejną kreskę, Emma zniknęła. Wyszedł z łazienki, wycierając nos, a jej już nie było. Roztrzęsiony i przestraszony, rzucił się w kierunku dziewczyn.

– Hej – zaczął. – Hm, tego, Emma... Urwała się już?

Dziewczyny zaśmiały się. Patrzyły na niego tymi cholernymi wyniosłymi oczami modelek i prychały z pogardą.

– Kochany – odparła Chelsea. – Naprawdę uważasz, że grasz w tej samej lidze?

– Kurwa, powiedz mi tylko, czy już poszła.

– A co tam. Powiedziała, że jest zmęczona. Wróciła do mieszkania.

Charlie rzucił gotówkę na bar i wybiegł na ulicę. Po alkoholu i prochach czuł się skołowany, dlatego przeszedł najpierw dziesięć przecznic w przeciwnym kierunku, zanim się zorientował. Kurwa, kurwa. Kiedy dotarł do mieszkania, Emmy już nie było. Ani jej rzeczy.

Zniknęła.

Następnego dnia, kiedy Peter jęczał, że musi wracać do Nowego Jorku, bo ma stamtąd lot, który Emma będzie obsługiwała, Charlie zaproponował, że weźmie to zlecenie. Okłamał Petera i powiedział, że ustali to z firmą, ale do momentu gdy pojawił się na lotnisku Teterboro, nikt nie wiedział, że Charlie go zastępuje. A wtedy było już za późno na cokolwiek.

Podczas lotu przez Atlantyk siedział na dostawce w boeingu 737, pił kawę za kawą, próbując wytrzeźwieć i się pozbierać. Wystraszył Emmę, pojawiając się z nienacką w Londynie. Teraz to zrozumiał. Chciał ją przeprosić, ale zmieniła numer telefonu i przestała odpowiadać na jego maile. Więc jaki miał wybór? Czy był inny sposób, by to naprawić, niż odnaleźć ją kolejny raz, przedstawić swoją mowę obronną i zdać się na jej łaskę?

Teterboro było prywatnym lotniskiem, oddalonym dwadzieścia kilometrów od Manhattanu. Linie lotnicze GullWing miały tam swój hangar, a ich szare logo – dwie dłonie ze skrzyżowanymi kciukami i resztą palców rozpostartych jak skrzydła – ozdabiało jasnobrązową elewację. W niedzielę biuro w hangarze było zamknięte i urzędowała tam tylko załoga. Charlie pojechał z lotniska JFK taksówką, objechał miasto od północy i przeprawił się przez rzekę mostem Jerzego Waszyngtona. Starał się nie patrzeć na taksometr i rosnącą kwotę do zapłaty. Miał platynową kartę American Express, a poza tym powiedział sobie, że koszty nie grają roli. Robił to w imię miłości. Peter podał mu trasę lotu. Wylot z New Jersey zaplanowano na szóstą pięćdziesiąt wieczorem, samolotem OSPRY 700SL. Mieli odbyć krótką przejażdżkę na Vineyard bez pasażerów, wziąć ludzi na pokład i od razu wracać. Nie będą nawet tankować. Charlie wyliczył, że będzie miał przynajmniej pięć godzin na znalezienie chwili, żeby pomówić z Emmą na osobności, by odciągnąć ją na bok, dotknąć jej policzka, porozmawiać z nią tak, jak rozmawiali dawniej,

wziąć ją za rękę i powiedzieć: „Tak mi przykro. Kocham cię. Teraz to wiem. Byłem idiotą. Proszę, wybacz mi”.

A ona mu wybaczy. Jak mogłaby tego nie zrobić? Łączyło ich coś szczególnego. Na miłość boską, kiedy pierwszy raz się kochali, płakała. Płakała, bo było tak pięknie. A on to spieprzył. Ale jeszcze nie było za późno. Charlie widział wszystkie komedie romantyczne, na których dziewczyny mdlały. Wiedział, że kluczem była wytrwałość. Emma go testowała, to wszystko, sprawdzała jego wytrzymałość. To był kurs podstawowy ze znajomości kobiet. Kochała go, ale on musiał udowodnić swoje zamiary, pokazać jej, że potrafi być stały, wiarygodny, i tym razem będzie jak w bajce. Ona jest księżniczką, a on rycerzem na koniu. I taki będzie. Będzie jej, teraz i na zawsze, i nigdy się nie podda. A kiedy ona to zobaczy, padnie mu w ramiona i znów będą razem.

Przy bramce bezpieczeństwa na Teterboro pokazał licencję pilota. Strażnik gestem wpuścił go na teren lotniska. Charliego z nerwów ścisnęło w żołądku, potarł dłonią twarz. Żałował, że zapomniał się ogolić, i obawiał się, że wygląda blado i widać, że jest zmęczony.

– Jasnobrzązowy hangar – powiedział taksówkarzowi.

– Dwieście sześćdziesiąt sześć – poinformował go kierowca, gdy się zatrzymali.

Charlie przeciągnął kartę przez terminal, wysiadł i wyjął swoją srebrną walizkę na kółkach. Samolot stał zaparkowany na pasie startowym tuż przed hangarem. Kadłub błyszczał w świetle reflektorów budynku. Ten widok nigdy się Charliemu nie nudził, perfekcyjny samolot, jak lśniący koń czystej krwi, skrywający pod maską mocny silnik, a w obsłudze łatwy i przyjemny. Dwuosobowa ekipa naziemna tankowała maszynę, a obok dziobu zaparkowała ciężarówka cateringowa. Sto cztery lata temu dwaj bracia skonstruowali pierwszy samolot i przelecieli nim nad plażą w stanie Karolina Północna. Teraz istniały floty myśliwców, setki komercyjnych samolotów pasażerskich, towarowych i prywatnych. Latanie stało się rutynowe. Nie dla Charliego jednak. Nadal uwielbiał uczucie, gdy koła odrywały się od ziemi, a samolot sunął ku stratosferze. Ale to go nie dziwiło, był przecież romantykiem.

Rozejrzał się po okolicy w poszukiwaniu Emmy, lecz nigdzie jej nie dostrzegł. Przebrał się w mundur pilota w łazience na lotnisku JFK. Widok siebie w świeżo wypranej bieli uspokoił go. Kim był jak nie Richardem Gere'em w filmie *Oficer i dżentelmen*? Pociągnął walizkę na kółkach do hangaru, a obcasy stuknęły mu o asfalt. Czuł serce w gardle i pocił się, jakby znalazł się z powrotem w cholernej szkole i szykował się, żeby zaprosić Cindy Becker na bal na koniec roku.

„Jezu – pomyślał. – Co ta laska z tobą wyprawia? Weź się w garść, Busch”.

Na moment ogarnął go gniew, wściekłość zwierzęcia w klatce, ale zignorował go.

„Zduś te bzdury – powiedział do siebie. – Kontynuuj misję”.

Potem zobaczył Emmę, w biurze na pierwszym piętrze, i jego tętno gwałtownie przyspieszyło.

Zostawił walizkę i popędził schodami na górę. Biuro znajdowało się na pomoście

roboczym zbudowanym wewnątrz hangaru. Było dostępne tylko dla pracowników. Klienci nigdy nie wchodzili nawet do hangaru. Dowożeni byli limuzynami bezpośrednio pod samolot. Rygorystyczna, istniejąca na piśmie polityka firmy zakładała, że pracownicy GullWing wszystkie zakulisowe działania wykonują poza widokiem i nie robią niczego, co mogłoby przebić bańkę luksusowego doświadczenia podróży.

By dotrzeć do biura, trzeba było wspiąć się po zewnętrznych metalowych schodach. Charlie położył dłoń na balustradzie i poczuł, że zasycha mu w ustach. Odruchowo uniósł rękę i poprawił czapkę, unosząc ją lekko. Czy powinien założyć lotnicze okulary przeciwsłoneczne? Nie. Tu chodziło o połączenie, kontakt wzrokowy. Miał wrażenie, że jego ręce to dzikie zwierzęta, palce mu drżały, więc wcisnął je do kieszeni. Skupiał się na każdym stopniu, na unoszeniu stóp i stawianiu ich z powrotem. Myślał o tej chwili przez ostatnie szesnaście godzin, o tym, jak zobaczy Emmę, uśmiechnie się do niej ciepło i pokaże, że potrafi być spokojny i delikatny. A jednak wcale nie czuł się spokojny. Od trzech dni nie spał dłużej niż trzy godziny pod rząd. To kokaina i wódka utrzymywały go na chodzie i zapewniały płynne działanie. Kolejny raz powtórzył w głowie scenariusz. Dotrze na szczyt schodów i otworzy drzwi. Emma odwróci się i zobaczy go, a on zatrzyma się i będzie stał bardzo spokojnie. Otworzy się na nią, swoją postawą i wzrokiem pokaże jej, że otrzymał jej wiadomość. Jest i nigdzie się nie wybiera.

Tyle że wydarzenia potoczyły się inaczej. Gdy dotarł na szczyt schodów, zobaczył, że Emma już patrzy w jego stronę. Na jego widok zbladła. Jej twarz. Oczy zrobiły jej się wielkie jak spodki. Co gorsza, kiedy on zobaczył, że Emma go zauważyła, dosłownie zamarł, z prawą nogą wiszącą w powietrzu, i lekko... pomachał. Pomachał? Jaki idiota macha pedalsko do dziewczyny swoich marzeń? W tym momencie Emma odwróciła się i uciekła w głąb biura.

„Kurwa – pomyślał Charlie. – Kurewska kurwa”.

Wypuścił powietrze i wszedł na górę. Tego wieczoru w biurze pracowała koordynatorka Stanhope. Była starszą kobietą bez śladu ust, z gniewną kreską pod nosem.

– Obsługuję dziś lot sześć trzynaście – oznajmił. – Melduję się.

– Nie jesteś Gaston – stwierdziła, przejrzawszy rejestr lotów.

– Kurewsko błyskotliwa obserwacja – skomentował, a wzrokiem przeszukiwał pomieszczenia biurowe widoczne za szklaną szybą.

– Słucham?

– Nic. Przepraszam. Ja tylko... Gaston zachorował i zadzwonił do mnie.

– Cóż, powinien był zadzwonić do mnie. Nie możemy pozwolić na indywidualne zamiany między pracownikami. To burzy cały...

– Oczywiście. Ja tylko wyświadczam koleśowi... Widziałaś, gdzie poszła Emma?

Nieco rozgorączkowany zerknął przez szklaną szybę, szukając dziewczyny swoich marzeń. W głowie kłębiły mu się myśli, sprawdzał różne scenariusze i starał się jak najszybciej wymyślić, w jaki sposób naprawić całą katastrofę.

„Uciekła – pomyślał. – Wzięła, kurwa, nogi za pas. O co jej, kurwa, chodziło?”

Spojrzał na biurowego trolla i posłał swój najefektowniejszy uśmiech.

– Jak masz na imię? Jenny? – zaczął. – Przepraszam, ale musimy... Już prawie czas startu. Możemy dokończyć papierkową robotę po powrocie?

Kobieta skinęła głową.

– W porządku. Zajmiemy się tym po locie.

Charlie się odwrócił, ale kobieta go zawołała.

– Zgłoś się do mnie, kiedy wylądujesz. Nie bez powodu mamy tu protokoły.

– Tak – odparł Charlie. – Jasne. Przepraszam za... Nie wiem, dlaczego Gaston nie zadzwonił.

Poszedł chwiejnym krokiem do samolotu, rozglądając się za Emmą. Wszedł po schodach i znalazł ją w kuchni, gdzie kruszyła lód.

– Hej – powiedział. – Gdzie się...? Szukałem cię.

Naskoczyła na niego.

– Dlaczego tu... Nie chcę cię tutaj. Nie chcę...

Wyciągnął ręce, by ją objąć, przytulić, pokazać, że miłość wszystko naprawi. Ale odsunęła się z nienawiścią w oczach i uderzyła go mocno w twarz.

Wpatrywał się w nią z płonącym policzkiem. Miał wrażenie, że słońce nagle eksplodowało na niebie. Wyzywająco patrzyła mu w oczy, a potem odwróciła wzrok, jakby się przestraszyła.

Patrzył, jak odchodzi. Potem odwrócił się, z całkowitą pustką w głowie, i wszedł do kokpitu, gdzie niemal zderzył się z Melodym, kapitanem lotu. James. Starszy gość, niezbyt zabawny, ale kompetentny. Wyjątkowo. Brytyjska ciota, choć wydaje mu się, że wszystkim rządzi. Ale Charlie umiał się płaszczyć. To była część taktyki lawirowania.

– Dobry wieczór, kapitanie – przywitał się.

Melody rozpoznał go i zmarszczył czoło.

– Co się stało z Gastonem? – zapytał.

– Masz mnie – odparł Charlie. – Chyba problemy żołądkowe. Wiem tylko tyle, że mnie wezwano.

Kapitan wzruszył ramionami. To problem administracji.

Pogawędzili jeszcze chwilę, ale Charlie nie skupiał się na rozmowie. Myślał o Emmie, o tym, co powiedziała. Co mógł zrobić inaczej.

Namiętność, to ich łączyło. Ogień. Ta myśl go pocieszyła, a ból w policzku zmalął.

Uruchamiał systemy, sprawdzał urządzenia i powtarzał sobie, że dobrze mu poszło, może nie idealnie, ale... Emma grała tylko niedostępna. Następne godziny pójdą jak po

maśle. Podręcznikowy start, podręcznikowe lądowanie. Tam i z powrotem w pięć godzin, a potem to on zmieni numer telefonu. Kiedy Emma się opamięta i zrozumie, co straciła, cóż, sama będzie go błagała o wybaczenie.

Gdy uruchamiał silniki, usłyszał, jak otwierają się drzwi. Emma wpadła do kokpitu.

– Trzymaj go ode mnie z daleka – przykazała Melody’emu, wskazując Charliego, a potem wymaszerowała z powrotem do kuchni.

Kapitan spojrział na drugiego pilota.

– Masz mnie – zażartował Charlie. – To musi być ten czas w miesiącu.

Skończyli kontrolę przed startem i zamknęli luk. O szóstej pięćdziesiąt dziewięć podkołowali na pas startowy i wystartowali bez zakłóceń, oddalając się od zachodzącego słońca. Kilka minut później kapitan Melody skręcił w prawo i skierował samolot w stronę wybrzeża.

Przez resztę lotu na Martha’s Vineyard Charlie wpatrywał się w ocean, garbiąc się wyraźnie na swoim siedzeniu. Kiedy opuściły go wściekłość i piorunujący gniew, który go napędzał, poczuł się wyczerpany i przybity. Prawda była taka, że nie spał od blisko trzydziestu sześciu godzin. Kilka minut podczas lotu z Londynu, ale przez większość czasu był zbyt podminowany. To pewnie utrzymujący się efekt kokainy albo mieszanki wódki z red bullem. Cokolwiek to było, teraz, gdy misja zakończyła się porażką, efektownie eksplodowała od wewnątrz, poczuł się skończony.

Piętnaście minut sprzed lądowaniem na Vineyard kapitan wstał i położył mu dłoń na ramieniu. Przestraszony Charlie podskoczył na swoim fotelu.

– Jest twój – oznajmił Melody. – Idę po kawę.

Charlie skinął głową i wyprostował się. Samolot pracował na autopilocie i leciał bezwysiłkowo nad błękitnym bezkresem. Wyszędłszy z kokpitu, kapitan zamknął drzwi. Dlaczego? Dlaczego to zrobił? Były otwarte podczas startu, więc po co zamykać je teraz?

Chyba że w celu zachowania prywatności.

Poczuł, że zalewa go fala gorąca. Tak. Melody potrzebuje prywatności, żeby porozmawiać z Emmą.

„O mnie”.

Do krwiobiegu Charliego trafił nowy zastrzyk adrenaliny. Musiał się skupić. Kilka razy klepnął się w twarz.

„Co mam robić?”

Przeanalizował swoje opcje. W pierwszym odruchu chciał wypaść z kokpitu i skonfrontować się z nimi, powiedzieć kapitanowi, że to nie jego sprawa. „Wracaj na miejsce, staruszk”. Ale to było nieracjonalne. Prawdopodobnie mógłby zostać za to zwolniony.

Nie. Powinien powstrzymać się przed wszelkimi ruchami. Jest profesjonalistą. To ona

była królową dramatu, która przeniosła ich prywatne sprawy na grunt pracy. Będzie pilotował (no dobra, obserwował, jak robi to autopilot) i pozostanie stabilnym emocjonalnie dorosłym.

Musiał jednak przyznać, że sytuacja go wykańczała. Zamknięte drzwi, niewiedza, co dzieje się za nimi. Co mówi Emma. Wbrew sobie wstał, usiadł, a potem wstał ponownie. Kiedy już sięgał do klamki, drzwi otworzyły się i kapitan wrócił z kawą.

– Wszystko w porządku? – zapytał.

Charlie wykonał skręt, jakby rozciągał górę ciała.

– Całkowitym – odparł. – Tylko... mam skurcz w boku. Próbuję go rozciągnąć.

Gdy rozpoczęli ostatnie podejście do Martha's Vineyard, słońce już prawie skryło się za horyzontem. Na ziemi Melody przejechał obok kontroli naziemnej i zaparkował. Kiedy zgasły silniki, Charlie wstał.

– Gdzie idziesz? – zapytał kapitan.

– Na papierosa – odparł.

Kapitan również się podniósł.

– Później – stwierdził. – Chcę, byś sprawdził wszystkie urządzenia. Przy lądowaniu czułem opory na wolancie.

– Tylko szybki dymek? – zapytał Charlie. – Do odlotu mamy jeszcze jakąś godzinę.

Kapitan otworzył drzwi kokpitu. Za jego plecami Charlie widział stojącą w kuchni Emmę. Zorientowawszy się, że drzwi się otworzyły, spojrzała w ich stronę, zobaczyła Charliego i szybko odwróciła wzrok. Kapitan przeniósł ciężar ciała na drugą nogę, by zasłonić Charliemu widok.

– Sprawdź oprzyrządowanie – polecił i wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

„Pieprzone bzdety”, pomyślał Charlie i odwrócił się do komputera. Westchnął raz, drugi. Wstał, usiadł. Potarł ręce o siebie, aż się rozgrzały, a potem przycisnął je do oczu. Przed lądowaniem pilotował samolot przez piętnaście minut. Wolant działał sprawnie. Ale Charlie był profesjonalistą, więc zrobił to, o co go poproszono. To zawsze była jego strategia. Kiedy całe życie odgrywasz rolę, uczysz się, co robić, by dobrze wyglądała. Wypełniasz dokumenty na czas. Jako pierwszy pojawiaasz się na boisku na ćwiczeniach sprinterskich na trawie. Zawsze zakładasz czysty i wyprasowany mundur, regularnie strzyżesz włosy i golisz twarz. Stoisz wyprostowany. Jesteś rolą, którą grasz.

By się uspokoić, wyciągnął słuchawki i włączył muzykę Jacka Johnsona. Melody chciał, żeby sprawdził urządzenia? W porządku. Nie robi wyłącznie tego, o co został poproszony. Wykona zadanie na wysoki połysk. Zaczął od kontroli urządzeń, a w uszach brzdąkały mu łagodnie dźwięki gitary. Na zewnątrz ostatnie skrawki słońca chowały się za drzewami i niebo nabrało odcienia granatu.

Trzydzieści minut później kapitan zastał Charliego na miejscu, pogrążonego w głębokim śnie. Potrząsnął głową i opadł na siedzenie. Charlie podskoczył,

zdezorientowany, a serce waliło mu jak młotem.

– Co? – zapytał.

– Sprawdziłeś oprzyrządowanie? – zapytał Melody.

– Yyy, tak – odparł Charlie, pstrykając przełącznikami. – Wszystko... wygląda dobrze.

Kapitan przyglądał mu się chwilę, a potem skinął głową.

– W porządku. Są już pierwsi klienci. Chcę być gotowy do startu o dwudziestej drugiej.

– Jasne – przytaknął Charlie i wykonał gest. – Czy mogę... muszę się odlać.

Kapitan przytaknął.

– Wracaj od razu.

– Tak jest – odpowiedział, a w jego głosie dało się słyszeć jedynie nutę sarkazmu.

Wyszedł z kokpitu. Łazienka załogi znajdowała się zaraz obok. Widział Emmę stojącą w otwartych drzwiach. Czekala, żeby przywitać pierwszych gości. Charlie zobaczył na pasie startowym pięcioosobową grupę, chyba rodzinę, oświetloną światłami range rovera. Przyglądał się karkowi Emmy. Włosy upięła w kok, a luźny kasztanowy kosmyk opadał łukiem na jej szczękę. Na ten widok poczuł, że kręci mu się w głowie. Miał nieprzeparłą chęć, by paść przed nią i przycisnąć twarz do jej kolan w akcie pokuty i oddania, w geście kochanka, ale również syna wobec matki. Charlie nie szukał zmysłowej przyjemności nagiego ciała Emmy, lecz matczynego dotyku jej dłoni na jego głowie, bezwarunkowej akceptacji, jej palców w jego włosach, matczynego głaskania. Tak dawno nikt zwyczajnie nie głaskał go po głowie, nie pocierał delikatnie jego pleców, aż zaśnie. Czuł się bardzo zmęczony, tak ogromnie zmęczony.

W łazience wpatrywał się w swoje odbicie w lustrze. Miał przekrwione oczy, policzki pociemniałe od zarostu. Nie taki chciał być. Przegrany. Jak to się stało, że pozwolił sobie upaść tak nisko? Jak mógł pozwolić, żeby dziewczyna go złamała? Kiedy się spotykali, okazywanie przez nią uczuć odbierał jako przytłaczające, sposób, w jaki trzymała go publicznie za rękę, jak kładła mu głowę na ramieniu. Jakby go oznaczała. Tak bardzo się nim interesowała, że czuł, iż musi udawać. Jako życiowy aktor był pewien, że na kilometr rozpozna innego kłamcę. Więc zaczął traktować ją chłodno. Odpychał ją, żeby zobaczyć, czy wróci. I wracała, a to doprowadzało go do pasji. „Wiem, co knujesz – myślał. – Wiem, kurwa, że udajesz. Odkryłem twój szwindel, odpuść”. Ale ona wydawała się jedynie zraniona i zdezorientowana. W końcu, pewnej nocy, gdy ją pieprzył, a ona wyciągnęła rękę, pogłaskała go po policzku i powiedziała „kocham cię”, coś w nim pękło. Chwycił ją za gardło, najpierw tylko po to, by ją uciszyć, ale na widok przerażenia w jej oczach i poczerwieniałej twarzy poczuł, że ściska ją mocniej. Jego orgazm był jak piorun przeszywający go od jaj po mózg.

Teraz, wpatrując się w swoje odbicie w lustrze, powtarza sobie, że przez cały czas miał rację. Emma udawała. Pogrywała z nim. A teraz, kiedy skończyła, po prostu go

odrzuciła.

Myje twarz i wyciera ręce ręcznikiem. Samolot wibruje, gdy pasażerowie wchodzą po schodach. Słyszy rozmowy, śmiech. Przeczesuje dłońmi włosy i prostuje krawat.

„Profesjonalista”, myśli. A potem, tuż przed otwarciem drzwi i wejściem z powrotem do kokpitu: „Suka”.

LOT

Gus słyszy na taśmie automatyczny głos.

– Autopilot wyłączony.

„To jest ten moment – myśli. – Początek końca”.

Słyszy odgłos silników, rosnące obroty. Z danych rejestratora parametrów lotu wie, że wtedy właśnie drugi pilot wprowadzał samolot w korkociąg i zwiększał moc.

– Podoba ci się? – docierają do niego wypowiedziane pod nosem słowa Buscha. – Tego chcesz?

Teraz to jedynie kwestia czasu. Samolot uderzy w wodę za mniej niż dwie minuty.

Gus słyszy walenie w drzwi i głos Melody’ego:

– Jezu, wpuść mnie. Wpuść mnie. Co się dzieje? Wpuść mnie.

Ale drugi pilot milczy. Myśli, które przyszły mu do głowy w tym ostatnim momencie, zachował dla siebie. Słysząc desperackie krzyki pilota, a w tle tylko odgłos samolotu pikującego ku śmierci.

Gus sięga do odbiornika i zwiększa poziom dźwięku, usiłując wyłapać coś, cokolwiek, pośród niskiego, mechanicznego hałasu i pomruku silników. A potem padają strzały. Gus podskakuje i skręca gwałtownie na lewy pas. Wokół trąbią klaksony. Przeklinając, wraca na swój pas, gubiąc rachubę oddanych strzałów. Co najmniej sześć. Na pozbawionym innych dźwięków nagraniu każdy z nich brzmi jak wystrzał z działa. A w tle odgłos powtarzanej mantry:

– Cholera, cholera, cholera, cholera.

Bum, bum, bum, bum.

Szum zwiększanych obrotów, gdy Busch opiera się na przepustnicy. Samolot pikuje jak liść wirujący w dół, do ścieku.

I chociaż zna rezultat, Gus zdaje sobie sprawę, że modli się, by kapitan i izraelski ochroniarz otworzyli drzwi i obezwładnili Buscha, by kapitan zajął miejsce i znalazł jakiś cudowny sposób na wyrównanie lotu maszyny. Wtedy, jakby na znak solidarności ze wstrzymanym oddechem Gusa, strzały zastępuje odgłos ciała uderzającego w metalowe drzwi kokpitu. Później technicy odtworzą te dźwięki i ustalą, który wywołało uderzenie ramieniem, a który kopnięcie, ale na razie są to rozpaczliwe odgłosy przetrwania.

„Proszę, proszę, proszę”, myśli Gus, chociaż racjonalna część jego mózgu wie, że pasażerowie i załoga są straceni.

I wtedy, w ułamku sekundy przed rozbiciem, słyhać jedną sylabę:

– Och.

A potem uderzenie, kakofonia tak ogromna i tak ostateczna, że Gus zamyka oczy. Trwa cztery sekundy. Pierwsze uderzenie, a potem drugie, odgłos odrywania się skrzydła i pękania kadłuba. Busch musiał zginąć natychmiast. Inni mogli przeżyć sekundę lub dwie, zabici nie przez siłę uderzenia, ale przez latające szczątki maszyny. Na szczęście żadna z osób nie żyła na tyle długo, żeby utonąć, gdy samolot opadał na dno oceanu. To wiedzą z autopsji.

A jednak w tym całym chaosie mężczyzna i chłopiec przeżyli. Po wysłuchaniu zapisu katastrofy fakt ten staje się dla Gusa niepodważalnym cudem.

– Szefie? – słyhać głos Mayberry’ego.

– Tak. Ja...

– Zrobił to. On po prostu... Chodziło o dziewczynę, tę stewardesę.

Gus nie odpowiada. Próbuje zrozumieć tragedię. Zabić wszystkich tych ludzi, dziecko. Po co? Z powodu złamanego serca szaleńca?

– Chcę dostać pełną analizę wszystkich odgłosów – mówi. – Każdego dźwięku.

– Tak jest.

– Będę na miejscu za dwadzieścia minut.

Rozłącza się. Zastanawia się, ile lat jeszcze będzie w stanie wykonywać tę pracę, ile tragedii potrafi znieść. Jest inżynierem, który zaczyna wierzyć, że świat jest z gruntu zepsuty.

Widzi zbliżający się zjazd z autostrady i zmienia pas na prawy. Życie to seria decyzji i reakcji. To rzeczy, które robimy i które ktoś robi nam.

A potem następuje koniec.

Pierwszy głos, który Scott słyzy na taśmie, należy do mężczyzny.

Co się dzieje? W twojej głowie. Na nasz temat.

Jakość dźwięku jest kiepska, głosy tłumi warstwa mechanicznego szumu. Nagranie brzmi jak rozmowa telefoniczna i Scott zdaje sobie sprawę, że tym właśnie jest. W jednej chwili rozpoznaje swój głos.

Pojedźmy do Grecji – słyzy głos Layli. – Mam tam mały domek na klifie, kupiony przez sześć spółek fasadowych. Nikt o nim nie wie. To całkowita tajemnica. Moglibyśmy leżeć na słońcu i jeść ostrygi, tańczyć po zmierzchu, czekać, aż opadnie kurz. Wiem, że powinnam zachowywać się wobec ciebie powściągliwie, ale nigdy nie spotkałam osoby, której uwagę tak trudno zdobyć. Nawet wtedy, gdy jesteśmy razem, mam wrażenie, że jesteśmy w tym samym miejscu, ale dzielą nas całe lata.

– Skąd pan... – zaczyna Scott.

Bill patrzy na niego i unosi brwi z poczuciem pewnego rodzaju triumfu.

– Nadal uważa pan, że powinniśmy wierzyć, że do niczego nie doszło?

Scott wpatruje się w niego.

– Czy pan... Jak pan...

Bill unosi palec. „Czekaj”.

Puszcza nagranie.

To Gus. Scott nie musi słyszeć kolejnego głosu, by wiedzieć, że należy do niego.

Nie mówi, ale chyba cieszy się, że tu jestem. Może działa to na niego terapeutycznie. Eleanor jest naprawdę... silna.

A jej mąż?

Wyjechał dziś rano. Zabrał swoje rzeczy.

Zapada długa cisza.

Nie muszę ci mówić, jak to będzie wyglądało – odzywa się Gus.

Scott orientuje się, że bezgłośnie wypowiada swoją następną kwestię razem z nagraniem.

Od kiedy to, jak coś wygląda, liczy się bardziej niż to, czym jest?

Chyba od dwa tysiące piętnastego. Zwłaszcza po tym, jak ukrywałeś się w mieście i jaką sensację to wywołało. Dziedziczka, która... Powiedziałem: znajdź miejsce, gdzie możesz się ukryć, a nie: zamieszkać w brukowcu.

Nic nie zaszło. To znaczy, tak, rozebrała się i weszła ze mną do łóżka, ale ja nie...

Nie mówimy o tym, co się zdarzyło albo nie. Mówimy o tym, jak to wygląda.

Nagranie się kończy i Bill pochyla się na krześle.

– Więc sam pan widzi. Kłamstwa. Od początku opowiada pan same kłamstwa.

Scott kiwa głową, a w myślach składa fragmenty rozmowy w całość.

– Nagrał nas pan – stwierdza. – Telefon Eleanor. Tak się pan dowiedział. Kiedy zadzwoniłem do niej z domu Layli... Stąd pan wiedział, gdzie mieszkam. Namierzył pan rozmowę. A potem... podsłuchiwał pan też telefon Gusa? FBI? Czy tak...? Wszystkie te przecieki... Czy tak zdobył pan notatkę?

Scott widzi, jak producentka Billa macha gorączkowo zza kamery. Wygląda na spanikowaną. Scott się pochyla.

– Założył pan podsłuch w ich telefonach. Rozbił się samolot, zginęli ludzie, a pan podsłuchuje rozmowy ofiar tej katastrofy, członków ich rodzin?

– Ludzie mają prawo wiedzieć – odpowiada Bill. – David Bateman był wielkim

człowiekiem, gigantem. Zasługujemy na prawdę.

– Tak, ale... Wie pan, jak rażąco to nielegalne? To, co pan zrobił? Nie wspominając o tym, że to niemoralne. A teraz siedzimy tutaj, a pan martwi się, że... co? Byłem w związku z kobietą i oboje się na niego zgodziliśmy? Cały czas nie ma pan pojęcia, co tak naprawdę się stało. Nie wie pan, że drugi pilot zamknął drzwi kokpitu i zostawił kapitana na zewnątrz, że wyłączył autopilota i wprowadził samolot w korkociąg, że w stronę drzwi oddano sześć strzałów, strzałów z broni, prawdopodobnie zrobił to ochroniarz Batemanów, próbując otworzyć drzwi i odzyskać kontrolę nad samolotem, ale nie udało im się, więc wszyscy zginęli.

Scott patrzy na Billa, któremu choć raz w życiu brak słów.

– Zginęli ludzie. Ludzie, którzy mieli rodziny, dzieci. Zostali zamordowani, a pan siedzi tu i pyta mnie o moje życie seksualne. Niech się pan wstydzi.

Bill wstaje. Patrzy za plecy Scotta. Scott również się podnosi, jak do walki, niewzruszony.

– Wstydz się – powtarza, tym razem cicho, tylko do Billa.

Przez chwilę wydaje się, że dziennikarz go uderzy. Dłonie zwinął w pięści. A potem chwytają go dwaj kamerzyści i pojawia się Krista.

– Bill! – krzyczy. – Bill, uspokój się!

– Zostawcie mnie! – wrzeszczy dziennikarz, szarpiąc się, ale mężczyźni mocno go trzymają.

Scott zwraca się do Kristy:

– W porządku, skończyłem.

Odchodzi, pozwalając, by gniew i walka za jego plecami stopniowo cichły. Znajduje korytarz i idzie nim w kierunku windy. Czuje się jak człowiek, który przebudził się ze snu. Naciska przycisk, po czym czeka, aż drzwi się otworzą. Myśli o dryfującym płonącym skrzydle, myśli o głosie chłopca wzywającym go w ciemności. Myśli o siostrze, o tym, jak czekał na nią w zapadającym mroku. Myśli o każdym drinku, którego kiedykolwiek wypił, i o tym, jakie to uczucie usłyszeć pistolet startowy i wskoczyć w chlorowany błękit.

Gdzieś tam czeka chłopiec bawiący się ciężarówkami na podjeździe i niedokładnie kolorujący obrazki. Leniwa rzeka i szum liści na wietrze.

Odzyska swoje obrazy. Ponownie umówi się na zaplanowane wcześniej spotkania w galeriach i kolejne, które się pojawią. Znajdzie basen i nauczy chłopca pływać. Cekał już wystarczająco długo. Czas włączyć START, pozwolić, by mecz toczył się dalej, i zobaczyć, co się stanie. A jeśli okaże się katastrofą, to tak będzie. Przetrwiał gorsze rzeczy. Jest zwycięzcą. Czas, aby zaczął się zachowywać jak zwycięzca.

Wtedy drzwi się otwierają i Scott wsiada do windy.

-
- [1](#) Nawiązanie do książki dla dzieci Crocketta Johnsona *Harold i fioletowa kredka* o czterolatku, który magiczną kredką tworzy świat (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).
 - [2](#) Ivy League – należy do niej osiem elitarnych uniwersytetów amerykańskich z północno-wschodniej części Stanów Zjednoczonych.
 - [3](#) USA Patriot Act (*Uniting and Strengthening America by Providing Appropriate Tools Required to Intercept and Obstruct Terrorism Act of 2001*) – ustawa amerykańska uchwalona w 2001 roku po zamachu na WTC.
 - [4](#) Nawiązanie do serii gier komputerowych powstałych na podstawie powieści Toma Clancy’ego pod tytułem *Splinter Cell*.
 - [5](#) United States Ship – okręt Stanów Zjednoczonych.
 - [6](#) Walter Isaacson, *Einstein. Jego życie, jego wszechświat*, przeł. Jarosław Skowroński, WAB, Warszawa 2010.
 - [7](#) Tadeusz Niwiński, *Bóg Einsteina, Złote Myśli*, Gliwice 2010.
 - [8](#) Biblia Tysiąclecia, Stary Testament, Księga Liczb 19,2, Pallottinum, Poznań 2003.
 - [9](#) Alice Calaprice, *Einstein w cytatach*, przeł. Marek Krośniak, Prószyński i S-ka, Warszawa 1997.
 - [10](#) Biblia Tysiąclecia, 2. List do Koryntian 6,17, Pallottinum, 2003.
 - [11](#) Fragment piosenki Billy’ego Thorpe’a *Children of the Sun*.
 - [12](#) Białe litery na czarnym płótnie (przyp. autora).
 - [13](#) Speed Reference System – system, którego zadaniem jest utrzymywanie optymalnej prędkości wznoszenia.